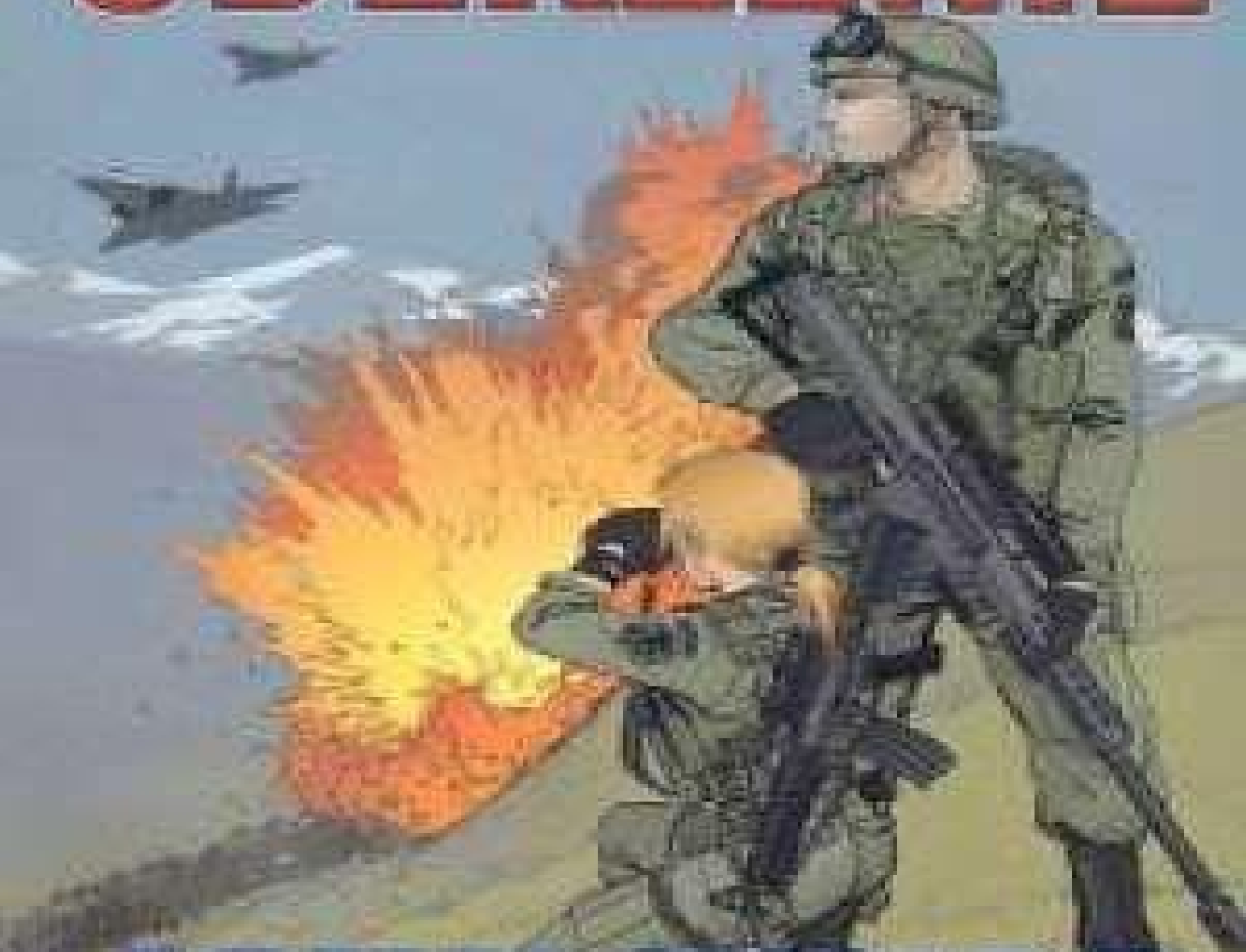


# PIERWSZE UDERZENIE



JOHN RINGO

**John Ringo**

**Pierwsze Uderzenie**

Tłumaczenie:  
Przemysław Bieliński  
Radosław Botev

# Spis treści

## PROLOG

- 1
- 2
- 3
- 4
- 5
- 6
- 7
- 8
- 9
- 10
- 11
- 12
- 13
- 14
- 15
- 16
- 17
- 18
- 19
- 20
- 21
- 22
- 23
- 24
- 25
- 26
- 27
- 28
- 29
- 30
- 31
- 32
- 33
- 34
- 35
- 36
- 37
- 38
- 39
- 40

[41](#)

[42](#)

[43](#)

[44](#)

[45](#)

[46](#)

[47](#)

[48](#)

[49](#)

[50](#)

[51](#)

[52](#)

[53](#)

[54](#)

[55](#)

[56](#)

[57](#)

[58](#)

[59](#)

[60](#)

[61](#)

[62](#)

[63](#)

[64](#)

[65](#)

[66](#)

[67](#)

[68](#)

[69](#)

[70](#)

[71](#)

[72](#)

[73](#)

[74](#)

[Posłowie](#)

*Pamięci Williama Pryora Ringo, wspaniałego inżyniera.*

## PROLOG

– Cóż, Tirianinie, uważasz, że twoje plany dotyczące ludzi toczą się pomyślnie?

Darhelski Ghin machnął kadzidełkiem i umieścił wiadomość do Zwierzchników na Ołtarzu Komunikacji. Dźwięczące w tle kryształy śpiewne i lustrzane, srebrne kolumnady pomagały mu w rozmyślaniach o możliwym rozwoju wypadków. Był wdzięczny nawet za to. Przyszłość jawiła się dość ponuro.

Orszak Indowy uniósł jego szaty, kiedy wstał i odwrócił się do swojego tiriańskiego sługi. Lisia twarz młodszego Darhela zastygła w starannie wypracowanym wyrazie obojętności starszego zarządcy.

Na uprzejme, pytające strzyżenie uszami Ghina odpowiedział całkowitym brakiem emocji. W rzeczywistości ponad dwie trzecie całego planu legło w gruzach, głównie w wyniku szczęśliwych działań jednego człowieka. Przyznawanie się do takich rzeczy nie było jednak dobrym sposobem na dojście do władzy. Na szczęście to stare próchno niewiele mogło skrytykować. Całość planu znał jedynie on sam.

– Żaden plan nie jest doskonały – powiedział gładko. – Po to właśnie istnieją zarządcy.

Smukły Ghin znowu zastrzygł uszami. Gest ten był świadomie dwuznaczny. Mógł wyrażać uprzejme przytaknięcie; mógł wyrażać uprzejme niedowierzanie. Różnica była bardzo subtelna.

– Wciąż mamy Diess.

Ghin celowo nie zawarł w tym stwierdzeniu pochwały ani przygany. Zniszczenie broniących planety sprzymierzonych ziemskich wojsk mogło, ale nie musiało być częścią planu młodego Tirianina.

Dwuznaczność wypowiedzi była pułapką; Ghin wątpił, czy zarządca był tego świadom.

Tirianin przytaknął, wydymając nozdrza i spojrzał na zebranych Indowy.

– To ważny dla nas świat.

Korporacje Diess znajdowały się pod całkowitą kontrolą Darhelów, mimo że planetę zamieszkiwały miliardy Indowy. Robotnicy Federacji byli równie tani i mało istotni, jak bakterie.

– Zyski nie są bez znaczenia.

Ghin wydał nozdrza. Tak, jak się spodziewał, młody głupiec zrobił unik.

– Barwhon również.

– Niestety, Ziemianie ponieśli tam ciężkie straty. – Twarz Tirianina przybrała wyraz, który podpatrzył u ludzi – oczy o kocich źrenicach i pionowych powiekach szeroko się otworzyły, szeroka, ruchliwa żuchwa opadła i odsłoniła podobne do rekinich zęby. Opuścił nawet uszy. Był to subtelny i efektowny sposób wyrażania emocji, trudny do skopiowania. Ludzie też załamaliby się w obliczu pozornej klęski. Smutek nie był uczuciem znanym Darhelom. Nienawiść? Tak. Gniew? Na pewno. Smutek? Nie.

Ghin rozmyślał przez chwilę o swoich własnych planach. Wiedział, że nie można polegać tylko na spiskowaniu; najważniejsze było dogłębne zrozumienie rzeczywistości. To, że ten młody głupiec wspiał się tak wysoko dowodziło, że opozycja osłabła.

Albo było częścią skomplikowanej intrygi.

Ghin wydał w myślach nozdrza. Nie. Nie ma w tym żadnej intrygi. Jego własne plany otwierały drzwi jego przyszłym zamierzeniom i odcinały wszystkie drogi młodemu głupcowi. Jego podejście nie miało słabych punktów. Poczul przyjemne ciepło, kiedy to sobie uświadomił.

– Twój plan wymaga pewnych... poprawek? Na Diess przeszkodził wam zaledwie jeden Ziemianin.

– Tak, Ghinie – zgodził się Tirianin. Zastawił pułapkę, a stary głupiec wlaźł w sam jej środek. – Obawiam się, że następna faza planu będzie wymagała mojej obecności na Ziemi.

– To znaczy?

Ghin zastawił pułapkę targan i czekał na zdobycz.

Twarz Tirianina stała się jeszcze bardziej nieprzenikniona. Następna faza była oczywista. Nawet dla tego starego głupca.

– Ziemianie muszą wstąpić na ścieżkę prowadzącą do oświecenia. Indywidualizm jest przeszkodą na drodze do jedności i trzeba go przewyciężyć.

– Jak proponujesz to osiągnąć? – Ghin znów zastrzygł uszami, w ten sam rozmyślnie dwuznaczny sposób.

– Opisanie wszystkich dróg do sukcesu zajęłoby wiele dni. Dość powiedzieć, że Ziemianie muszą stać się pionkami na Ścieżce do Oświecenia. Ich mit indywidualności musi zostać zniszczony, a wraz z nim ich namiętności. Namiętność nie sprzyja naszym obecnym przedsięwzięciom. Nie jest też drogą do oświecenia.

Tirianin przerwał. Lekko drżał.

– Czas bohaterów minął. A zwłaszcza czas niektórych osobników.

Tirianin był mistrzem panowania nad mimiką twarzy, ale nadal nie kontrolował zbyt dobrze mowy ciała. Głęboki oddech i drżenie mięśni górnych kończyn zdradzały wzbierający w nim gniew.

Młody głupiec był na skraju lintatai. Ghin przybrał nieprzenikniony wyraz twarzy. Tirianin zbyt długo czytał swoje raporty i analizy. Zapomniał, że pod cienką powłoką cywilizacji serce Darhela jest sercem wojownika. Z tym właśnie się zmagał i to właśnie podpowiadało Ghinowi, że jego przeciwnik bardzo się przeliczył. Ziemianie nie dadzą się tak łatwo podporządkować władzy Darhelów.

– Ciesz się, że nasz lud ma tak wspaniałych przywódców – powiedział. Również skopiował ludzki grymas – jego usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, ukazując w całej okazałości lśniące kły mięsożercy. Indowcy zamknęli ze strachu oczy i odwrócili twarze. Nie byli tak głupi, żeby uciekać albo w jakiś inny sposób zawstydzić darhelskich władców, ale widok ten został im przed oczami na zawsze.

– Nasza przyszłość jest w dobrych rękach.

*Kabul legł u naszych stóp,  
Już brzmią trąby, błyska miecz,  
Lecz bym stracił owo gród,  
Hen od brodu idąc precz.  
Bród, bród, bród na rzece Kabul,  
Bród na rzece Kabul w ciemną noc!*

„Bród na rzece Kabul”  
Rudyard Kipling

### **Prowincja Ttckpt, Barwhon V 16:25 czasu uniwersalnego Greenwich, 23 listopada 2003**

Seria z karabinu maszynowego trafiła pierwszego Posleena prosto w pierś. Piąty pocisk smugowy chybił padającego stwora, a parująca żółta krew zbryzgała purpurowe paprocie poszycia. Kompania podobnych do centaurów obcych rozproszyła się, kiedy pozostali Ziemianie otworzyli ogień. Bród za ich plecami zachichotał pluskiem, jakby naśmiewał się z żołnierzy skazanych na śmierć przez jego nieprzewidzianą obecność.

Kapitan Robert Thomas wyteżył wzrok, próbując zobaczyć coś przez wszechobecną zasłonę mgły i szeptem nakazał otworzyć ogień do zbliżających się Posleenów. Nadchodząca grupa wojowników miała znaczną przewagę liczebną nad jego zdziesiątkowanymi żołnierzami. Ludziom kończyła się amunicja, morale było niskie, okopali się jednak na podmokłym, grząskim brzegu. Nie mieli wyboru, musieli walczyć albo zginąć. Przeprawa przez bród z Posleenami za plecami oznaczałaby samobójstwo.

Pozycja, którą zajęli, też była samobójcza. Jednak gdyby nikt nie zatrzymał obcych, ich niespodziewane uderzenie zagroziłoby całemu skrzydłu czwartej dywizji pancerniej. Thomas znał swój obowiązek w takiej sytuacji. Ustawił żołnierzy na najbardziej niebezpiecznych pozycjach zgodnie z zasadą, że kiedy można już tylko zginąć, ludzie walczą najzacieklej. To był najstarszy aksjomat z podręcznika wojskowości.

Bujna roślinność Barwhon uniemożliwiała ostrzelanie Posleenów z dużej odległości, walka sprowadzała się więc do strzelaniny na krótki dystans, w której obcy mieli przewagę. Thomas warknął z wściekłością, kiedy smuga plazmy uciszyła sekcję broni maszynowej jego drugiego plutonu i pojawił się pierwszy Wszechwładca.

Poslekańskich Wszechwładców łatwo było odróżnić od zwykłych wojowników. Po pierwsze, byli od nich potężniejsi, gdyż mierzyli około stu siedemdziesięciu centymetrów w barach, podczas gdy wojownicy mieli tylko sto czterdzieści do stu pięćdziesięciu. Po drugie, na grzbietach mieli wysokie, pierzaste grzebienie, otwierające się do przodu jak ceremonialne pióropusze Indian z równin. Przede wszystkim jednak Wszechwładcy różnili się od zgrupowanych w formacje wojowników tym, że poruszali się na błyszczących spodkach, unoszących się nad ziemią jak ekranoplany.

Urządzenie to służyło nie tylko do transportu. Ciężka broń na obrotowym czopie – w tym wypadku wyrzutnia rakiet hiperszybkich – zdradzała jego główne przeznaczenie. Spodek wyposażony był w mnóstwo zaawansowanych sensorów. Niektórzy Wszechwładcy używali ich w trybie aktywnym, inni w pasywnym, sieć czujników była jednak na swój sposób równie niebezpieczna, co



ciężka broń. Uniemożliwienie przeciwnikowi zdobycia informacji o swoich siłach jest drugą najstarszą zasadą działań wojennych.

Jednak przez ostatni rok walk w dżunglach Barwhon V, Ziemianie nauczyli się walczyć z Wszechwładcami. Całą ciężką broń kompanii kierowano na wojowników wokół spodka, a snajper brali na cel samego Wszechwładcę i jego pojazd.

Na długo przed opuszczeniem biało-niebieskiej kuli ziemskiej amerykańskie siły zbrojne zaczęły dostosowywać swoją broń do walki z nowym zagrożeniem. Wysłuzone karabiny M-16 zastąpiono bronią cięższego kalibru, która mogła zatrzymać biegnącego Posleena, dorównującego masą koniowi. Poza tym wprowadzono zmiany dotyczące snajperów.

Odkąd w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku przywrócono funkcję strzelca wyborowego, toczyły się debaty na temat odpowiedniego dla nich standardowego karabinu. Spór zakończyła grupa do zadań specjalnych wysłana na Barwhon. Członkowie zespołu zwiadowczego mogli znowu ujrzeć zielone wzgórza Ziemi tylko dlatego, że drużynowy snajper używał karabinu kaliber .50.

Roztrząsano jeszcze zalety stosowania karabinu z ręcznym rygłem i broni półautomatycznej, była to jednak już tylko dyskusja akademicka. Najpopularniejszą wśród żołnierzy bronią okazało się M-82, półautomatyczna „pięćdziesiątka Murfreesboro”.

Specjalista John Jenkins pokazał, dlaczego tak się stało. Wybrał pozycję na lekkim wzniesieniu na tyłach kompanii, na wprost spodziewanego kierunku nadejścia wroga. Jego mundur, obsyty zwisającymi luźno jutowymi paskami sprawiał, że był niewidoczny gołym okiem. Jednak czujniki Wszechwładców nie dawały się tak łatwo oszukać i kompania musiała go osłaniać zmasowanym ogniem.

Kiedy M-60-tki trzech liniowych plutonów przykryły wojsko wokół Wszechwładcy ciężkim ogniem, specjalista wystrzelił pojedynczy pocisk ze swojego czternastokilogramowego karabinu. Odrzut szarpnął jego stukilowym ciałem, a rozmiękle błoto, w którym leżał, zachlupotało.

Wystrzelony pocisk nie różnił się zasadniczo od amunicji, której używały od dawna zasłużone karabiny maszynowe M-2 kalibru .50.

Trzykrotnie większy od pocisku kaliber .30-06, opuszczał lufę z prędkością wylotową kojarzoną zazwyczaj z działkami przeciwlotniczymi. Ułamek sekundy po tym, jak odrzut zatargał mocno zbudowanym snajperem, przeciwpancerny pocisk trafił spodek na lewo od mocowania czopu ciężkiego działa plazmowego.

Wolframowy trzpień z teflonową powłoką przeszył zamknięcie mało istotnej skrzynki pod stopami Wszechwładcy, następnie nieco mocniej opancerzoną wewnętrzną ściankę spodka. Potem wbił się w krystaliczną matrycę. Przebiłby ją na wylot, gdyby nie zachwiały delikatnej równowagi napędzających ciężkie sanie antygravitacyjne kryształów mocy.

Kryształy przy pomocy pola utrzymywały drgania cząsteczkowe w stanie zaburzenia, co pozwalało im magazynować ogromne ilości energii. Skręt wiązań był jednak utrzymywany przez mały, ukryty głęboko w matrycy generator. Kiedy uderzenie pocisku go strzaskało, zebrana w kryształach energia eksplodowała z siłą pół tony materiałów wybuchowych.

Wszechwładca zniknął w zielonym rozbłysku aktywnego ognia, a wraz z nim ponad połowa jego kompanii. Kula ognia pochłonęła dwa tuziny wyższych rangą wojowników w bezpośredniej bliskości spodka, a podmuch i odłamki zabiły jeszcze ponad stu pięćdziesięciu innych.

Według kapitana Thomasa pierwsza salwa pocisków kasetowych sojuszniczej artylerii prawie zepsuła szczególnie klimat tej sceny.

Następna fala Posleenów miała na ten temat inne zdanie.

\* \* \*

– Echo Trzy Pięć, tu Papa Jeden Sześć, odbiór – szepnął ochryple Thomas. Ostatnie dwie godziny wypełnili nacierający Posleeni, łoskot artylerii i umierający żołnierze. Kapitan przeczuwał, że zbliża się koniec. Chuchnął w dłonie, próbując je rozgrzać i spojrzął na pole bitwy. Pochyłość zbocza prowadzącego do ich pozycji zasłana była trupami Posleenów, ale mimo to pieprzone kucyki wciąż atakowały.

Jak zwykle nie można było nawet sprawdzić, ile ich jeszcze zostało.

Czujniki i broń Wszechwładców sprawiały, że o rekonesansie powietrznym można było tylko pomarzyć. Przed kompanią leżało jednak przynajmniej dwa tysiące poszarpanych ciał. Setka żołnierzy, których wystawił kapitan, zniszczyła dwadzieścia razy liczniejsze wojsko.

Sami jednak także ponieśli duże straty. Z kompanii został zaledwie wzmocniony pluton, więc następne natarcie miało przejść przez ich szeregi jak gorący nóż przez masło. Trudność walki z Posleenami nie polegała na tym, że trudno było ich zabić; sztuką było zabić ich tyłu, żeby miało to jakieś znaczenie. Kapitan obawiał się, że jeśli nie nadejdą obiecane posiłki, wytraci całą swoją kompanię na próżno. Przyleciał na Barwhon razem z Alianckim Korpusem Ekspedycyjnym i wiedział, że będzie potrafił to zrobić. Zdarzało się to wcześniej i miało zdarzyć się jeszcze wiele razy; w ciągu ostatniego roku jednostka dwa razy wymieniła cały stan osobowy. Ale drażniło go, kiedy działo się to nadaremnie.

Opadł do wypełnionego wodą okopu. Kiedy usiadł, zimna, lepka ciecz sięgnęła mu do pasa. Zignorował niewygodę – błoto było na Barwhon tak częste, jak śmierć – włożył kolejny magazynek dwudziestomilimetrowych granatów do swojego AIW i jeszcze raz wezwał brygadę.

– Echo Trzy Pięć, tu Papa Jeden Sześć, odbiór.

Brak odpowiedzi. Wyciągnął z kieszeni na udzie stalowe lustro i wystawił je nad krawędź okopu, żeby spojrzeć na pole bitwy.

Potrząsnął głową, schował lustro i przeładował AIW.

Zmienił pozycję na klęczącą i głęboko odetchnął. Potem poderwał się gwałtownie i odpalił serię granatów w stronę grupy wojowników, którzy najwyraźniej szykowali się do natarcia.

W zasadzie po śmierci Wszechwładców ich wojownicy oddawali ostatnią salwę na pokaz i uciekali. Niektórzy jednak byli bardziej agresywni, niż inni. Ci tutaj krążyli dookoła ludzi, dość skutecznie odpowiadali na ogień i zasadniczo byli upierdliwi. Większość żołnierzy kapitana akurat zajęta była kombinowaniem, skąd wziąć amunicję, opatrywaniem ran i przygotowywaniem się do odparcia następnego ataku, nikt więc nie miał czasu zająć się tym zagrożeniem. Normalnie zrobiłby to Jenkins, ale jego dostali prawie godzinę temu. Dowódca kompanii sypnął więc kolejną serią granatów w stronę ogłupiających centaurów, schował się z powrotem w dziurze i zmienił magazynek.

Znowu. Krawędź okopu poszarpały pociski strzałkowe, potem wszystko ucichło. Posleeni wojownicy byli tak głupi, że wszystkie żarty narodowościowe przestawały być śmieszne.

– Echo Trzy Pięć, tu Papa Jeden Sześć, odbiór – szepnął kapitan do mikrofonu. – Atakują nas przeważające siły wroga. Oceniam je na pułk lub więcej. Potrzebujemy posiłków, odbiór.

Żołnierze z jego kompanii byli dobrzy; po tak długim pobycie na Barwhon musieli być. Ale dziesięciu na jednego to trochę za dużo, zwłaszcza jeśli nie ma się przygotowanych fortyfikacji. Niech to szlag, to za dużo nawet, jeśli się je ma. Do czegoś takiego potrzebny był betonowy albo kamienny mur i fosa najeżona ostruganymi kołkami. A nie kompania przyłapana beznadziejnie w samym środku jakiegoś zadupia z zapasem czasu ledwie starczającym na okopanie się. Bez min, zwykłych ani kierunkowych, bez zasieków, a już na pewno bez cholernego wsparcia.

Radio zatrzeszczało.

– Papa Jeden Sześć, tu Echo Trzy Pięć, odbiór.

W tym momencie kapitan Thomas zrozumiał, że już po nim. Skoro wzywał go sam dowódca brygady, mogło to oznaczać tylko jedno – jest źle.

– Wasz meldunek sytuacyjny przyjęty. Druga kompania sto dziewięćdziesiątego ósmego batalionu wpadła w zasadzkę, gdy maszerowała ku waszym pozycjom. Mamy tu jeszcze co najmniej jeden pułk działający w sposób niekontrolowany na tyłach brygady.

Dowódca urwał, a Thomas zamknął oczy, zdając sobie sprawę, co to oznacza. Mając ponad dwa tysiące Posleenów na słabo zabezpieczonych tyłach, brygada w żadnym razie nie będzie mogła wysłać im posiłków.

– Ma pan odciętą drogę odwrotu, kapitanie. Wszędzie roi się od Posleenów. – Przez chwilę znowu było cicho, po czym po drugiej stronie dało się słyszeć westchnienie, wyraźne mimo trzasków zakłóceń. – Musi pan utrzymać pozycję. Jeśli będziemy mogli, pomożemy wam. Ale jeśli pojawi się teraz nowe oolt'ondar, cały front będzie w niebezpieczeństwie.

Znowu zrobiło się cicho; pułkownik po drugiej stronie linii zastanawiał się, co jeszcze może powiedzieć.

Kapitan Thomas zaś myślał o tym, jak to jest być na drugim końcu linii. Dowódca brygady był tu tak samo długo jak Thomas i obaj dobrze się znali; to właśnie on przypinał kiedyś Thomasowi belki podporucznika i kapitana. Teraz siedział w ogrzewanym centrum operacji taktycznych i patrząc na radio mówił jednemu ze swoich dowódców, że rozwój sytuacji właśnie go zamordował. Że on i jego oddział byli od teraz niczym więcej niż karmą dla centaurów. I że nie wystarczy, że zginą – muszą sprzedać skórę jak najdrożej. Muszą zginąć samotni i opuszczeni, pośród zimnych, purpurowych mgieł.

Połowę jednostki stanowili weterani – była to normalna proporcja w doświadczonych oddziałach liniowych. Po pierwszym tygodniu walk zginęli wszyscy, którzy nie potrafili sobie radzić. Zdarzało się co jakiś czas, że jakiś weteran zginął, a przypadkowy żółtodziób przeżył. Dwustuprocentowa wymiana stanu dotyczyła zasadniczo żołnierzy z uzupełnień, którzy nie uczyli się dość szybko.

Thomas zdawał sobie jednak sprawę, że w tym momencie większość żółtodziobów poszła do piachu, a ci, którzy zostali, byli już weteranami. A to z kolei oznaczało, że zginą walcząc tak zajadle, jak oczekiwała tego od nich brygada.

Potrząsnął głową i spojrzał na fioletowe niebo. Na krótką chwilę zamknął powieki i spróbował przywołać obraz nieba nad Kansas.

Przypomniawszy sobie zapach pól pszenicy i gorący, suchy wiatr znad prerii. Niebieską kopułę nieba w chłodny jesienny dzień, kiedy wydawało się rozpościerać w nieskończoność. Potem westchnął, przełączył radio na lokalną częstotliwość i włączył mikrofon.

\* \* \*

Starszy plutonowy Bob Duncan zamknął niewidzące oczy kapitana i rozejrzał się dookoła.

Automatyczny projektor hełmu wyczuł napięcie mięśni jego karku i przesunął pole widzenia wzdłuż brodu. Wskazania celów i informacje zwiadowcze, wyświetlane we wnętrzu gałki ocznej przez maleńkie, laserowe diody przesuwały się przez pole widzenia plutonowego niezauważone. Na górze pojawiły się dane na temat strat ludzi i Posleenów, obliczone przez systemy sztucznej inteligencji pancerza na podstawie analizy plam krwi i wielkości zniszczeń.

Miękkie strumienie oczyszczonego powietrza wewnątrz zbroi były na szczęście pozbawione zapachu. Nanity gromadziły się wokół powiek i zbierały wodę, która groziła zalaniem pola widzenia.

Wspomagany pancerz bojowy automatycznie utrzymywał stały poziom oświetlenia; brak widocznych cieni nadawał wszystkiemu wrażenia dwuwymiarowości. Po półtora roku walk Duncan tak bardzo się do tego przyzwyczaił, że nie zwracał na to uwagi, dopóki nie zdjął pancerza. Ostatnio zrobił to prawie sześć tygodni temu, więc to, co teraz widział, nie wydawało mu się nienaturalne.

Atakujący Posleeni jak zwykle usunęli z pola bitwy wszystkie ciała. Ponieważ ludzie i centaury byli jadalni, Posleeni uważali Ziemian za problem taktyczny bądź raczej żywnościowe. Nawet posleński wyraz oznaczający człowieka brzmiał „threshkreen”, czyli, w wolnym tłumaczeniu „Jedzenie z żądłem”. Tym bardziej więc dziwił fakt, że ciało kapitana pozostało nienaruszone.

Duncan podniósł kij, wbity w ziemię obok ciała oficera. Widział już coś takiego dwa razy, zawsze wtedy, gdy ciała dowódców pozostawały nietknięte. Tym razem jednak zwłoki leżały na kopcu ziemi, którego usypanie zajęło z pewnością trochę czasu. Duncan przez chwilę oglądał tajemnicze znaki wyryte na kiju, po czym podniósł sztywniejące zwłoki. Dla pancerza wspomaganego ciało ważyło tyle co nic, było lekkie jak piórko. Sierżant ruszył truchtem.

– Duncan! – zawołał sierżant plutonu, który najpierw wykrył ruch na sensorach, a dopiero potem odwrócił się i zobaczył oddalający się pancerz. – Gdzie ty się, do diabła, wybierasz?

Duncan jakby ogłuchł. Truchtał z powrotem ścieżką, którą pancerze wydeptały odbijając bród. To tutaj czekał na nich posleński pułk. Gigantyczne drzewa barwhońskiej dżungli były odarte z kory, ich gałęzie ogołocone z liści, a masywne pnie roztrzaskane od pocisków ciężkiej broni.

Tam zmiądzono resztki pułku Posleenów. Sterta ciał wskazywała miejsce, gdzie wojownicy skupili się wokół Wszechwładców w rozpaczliwej próbie uratowania ich przed opancerzonymi potworami. Stos pancerzy dowodził zaś, jak potrafili walczyć, kiedy nie mieli gdzie uciekać.

Tutaj z kolei to jednostka pancerzy wspomaganych wpadła w zasadzkę. Trup jednego z Wszechwładców, wciąż broczący żółtą krwią, leżał rozciągnięty na strzaskanym, czekającym na techników pancerzu. Żołnierzowi nie mogły już pomóc żadne cuda nowoczesnej techniki; odczyty z pancerza wyraźnie wskazywały na penetrację.

Gdy posleński pocisk penetrujący dziurawił pancerz, pozostawał w środku, działając jak ostrza miksera. Jediną oznaką uszkodzenia zbroi żołnierza był niewielki otworek. Wciąż ciekła z niego krew. Szeregowy Arnold był nowy, a teraz, kiedy został przerobiony na puree, w liczącej normalnie sto trzydzieści pancerzy kompanii sprawnych pozostało już tylko pięćdziesiąt dwa. Zanim jednostka odzyskała bród, liczba ta spadła do czterdziestu.

Duncan biegł dalej. O niczym nie myślał, nie miał żadnego celu ani pragnień, po prostu biegł, jak prowadzony przez autopilota.

Wreszcie dotarł na teren dowództwa brygady, gdzie łatano i naprawiano poniszczone umocnienia. Uszkodzone pojazdy reperowano albo odholowywano, a wkoło krzątały się zespoły rejestrujące zabitych, oznaczając i pakując ciała martwych żołnierzy. Każde zwłoki opatrywano plaketką z nazwiskiem, lokalizacją jednostki i ogólną przyczyną śmierci, następnie pakowano je w plastikowy worek do transportu i pochówku. Zespoły sprzątające miały zająć się stratami w jednostkach pancerzy w swoim czasie. Posleenami miały, oczywiście, nie zajmować się w ogóle.

Duncan zwolnił, zbliżając się do centrum operacyjnego brygady. Zauważył zmieszane spojrzenia żandarmów przy wejściu i plutonu żołnierzy w okopach wokół stanowiska dowodzenia. Nie przejął się nimi.

Galaksjańskie pancerze wspomagane nie miały przyłbic; jako słaby punkt zastępowały je przekaźniki wizyjne. Żandarmi stanęli więc twarzą w twarz z gładką powierzchnią fasetowej plastali, odpornej na pociski każdej ziemskiej broni; podobna zbroja przetrwała podmuch eksplozji nuklearnej. W okolicy było co prawda kilka wyrzutni rakiet hiperszybkich, ale żadnej w centrum

operacji taktycznych. Nic zatem nie mogło powstrzymać zbliżającego się kolosa, chyba, że zadziałałby rozsądek albo rozkaz.

Jeden z żandarmów spróbował. Była to kobieta – albo odważniejsza, albo bardziej lekkomyślna niż jej kolega: zagroziła Duncanowi drogę i uniosła rękę jak policjant kierujący ruchem.

– Zatrzymajcie się, żołnierzu. Nie obchodzi mnie, że jesteście z Floty, nie macie upoważ...

Duncan nawet nie zwolnił i półtonowy pancerz odrzucił ją na bok jak szmacianą lalkę. Drugi żandarm ruszył jej pomóc, ale nie licząc siniaków na żebrach i uszczerbku na honorze kobiecie nic się nie stało.

Centrum operacji taktycznych mieściło się w trzech połączonych budynkach z prefabrykatów. Drzwi nie były wystarczająco szerokie, żeby zmieścić się w nich pancerz wspomagany, ale nie miało to żadnego znaczenia. Dla Duncana framuga była taką samą przeszkodą, jak mokra bibuła, wbił się więc do sali odpraw i ruszył krótkim korytarzem do gabinetu dowódcy. Zaskoczona obsada sztabu podążyła za nim.

Dowódca brygady otworzył drzwi. Beznamiętnym wzrokiem popatrzył na osmałoną w ogniu bitwy zjawę, toczącą się korytarzem w jego kierunku. Pancerz znaczyły ślady rykoszetów i zasychające już bryzgi krwi Posleenów; wyglądał jak mechaniczny demon rodem z jakiegoś bitewnego piekła. Kiedy dowódca rozpoznał zwłoki, które pancerz trzymał w ramionach, na jego twarzy pojawił się smutek i zrozumienie tego, co się stało.

Duncan podszedł do biurka dowódcy i ostrożnie położył zwłoki kapitana na rozrzuconych papierach. Nad otwartymi ustami Thomasa i jego straszliwie zdeformowaną twarzą krążył wszędobyłski barwhoński chrząszcz. Śmiertelny cios zadany posleńskim ostrzem skruszył bok czaszki kapitana jak skorupkę jajka.

Duncan nacisnął przełącznik na przedramieniu pancerza i włączył zewnętrzne głośniki.

– Przyniosłem go do domu – powiedział.

Pułkownik wpatrywał się w stojącą przy biurku plastalową zbroję. Pancerz promieniował gorącym trafień pocisków broni kinetycznej i cuchnął gnijącymi trupami Posleenów. Pułkownik otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale zawahał się i jedynie odkaslnął.

– Przyniosłem go do domu – powtórzył Duncan i położył na zwłokach kapitana znaną przy nim pałkę.

Symbol ten stał się powszechnie znany od czasu pierwszego lądowania Posleenów. Sporo ich można było znaleźć wśród żołnierzy na tyłach, każdy podobno autentyczny. W rzeczywistości jednak potwierdzono tylko osiem przypadków znalezienia pałek i wszystkie pochowano razem z ich właścicielami. Byli to ludzie, którzy zostali odznaczeni w sumie czterema Medalami Honoru, trzema Krzyżami Wybitnej Służby i niezliczonymi Srebrnymi Gwiazdami.

Sama pałka gwarantowała co najmniej Srebrną Gwiazdę. Pułkownik zasłonił usta dłonią, a po policzkach spłynęły mu zupełnie niemęskie łzy na widok dziewiątej. Jeszcze raz odkaslnął i głęboko odetchnął.

– Dziękuję, plutonowy – powiedział, z trudem odrywając wzrok od symbolu prawdziwego wojownika. – Dziękuję.

Pancerz zachwiał się i przez chwilę dowódca sądził, że to tylko złudzenie. Wkrótce jednak stało się jasne, że tak nie jest. Z łoskotem, który wstrząsnął całym budynkiem, Duncan upadł na kolana i objął się ramionami.

Nie sposób było powiedzieć, co się dzieje we wnętrzu pancerza, ale pułkownik umiał to sobie wyobrazić. Wstał i obszedł biurko, poklepując ramię swojego byłego podwładnego, którego krew barwiła teraz na czerwono raport zatytułowany „Zapotrzebowanie na uzupełnienia w roku

podatkowym 2003”. Pułkownik kucnął i objął ramieniem bary gigantycznego pancerza.

– Chodźmy, plutonowy – powiedział, a łzy wciąż płynęły mu po policzkach. – Wyciągniemy was z tej puszki.

**Fort Indiantown Gap, Pensylwania, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III, 1423  
standardowego czasu wschodniego USA, 18 stycznia 2004**

To nie tak powinno wyglądać, pomyślał podpułkownik Frederic (Fred) Hanson.

Przyszły dowódca pierwszego batalionu pięćset pięćdziesiątego piątego pułku piechoty zmechanizowanej całe lata temu przeszedł w stan spoczynku jako sztabowiec w brygadzie osiemdziesiątej drugiej dywizji powietrznodesantowej. Miał do czynienia z wieloma koncertowo spieprzonymi akcjami, ale ta zasługiwała na nagrodę specjalną.

Jednostkę zazwyczaj tworzy się – czy to zaczynając od zera, czy też od „rezerwy pułkowej” – od najwyższych stanowisk. Dowódcy tworzonej jednostki spotykają się ze swoimi oficerami i pracują nad planem dalszej aktywacji, danym odgórnie lub stworzonym przez nich samych. We właściwym czasie zjeżdżają się starsi podoficerowie, najczęściej z własnymi dowódcami i sztabem. Później pojawiają się zwykli żołnierze; sztab jeszcze nie działa, ale wszyscy oficerowie i podoficerowie wiedzą już, na czym stoją. Następnie przywozi się sprzęt, kończy układanie harmonogramu szkolenia i jednostka zaczyna funkcjonować jako całość. Staje się jednością, zamiast tylko gromadą pojedynczych ludzi. We właściwym czasie wysyła się ją na wojnę-jednostki bowiem rzadko wykorzystuje się w czasie pokoju – i trud jej tworzenia zastępuje teraz jeszcze większy trud walki.

W najlepszych nawet okolicznościach jest to ostrożne żonglowanie uzupełnieniami oficerów i podoficerów bez zapominania o niezbędnym sprzęcie. Przy okazji każdej wojny najłatwiej dostać w ręce byle mięso armatnie, a najtrudniej wyszkolonych i kompetentnych młodszych oficerów.

W przypadku pierwszego batalionu pięćset pięćdziesiątego piątego pułku piechoty mobilnej – jak w przypadku większości batalionów formowanych na Ziemi – proces ten nie przebiegał tak gładko. Fred Hanson do tej pory sądził, że widział już wszystkie możliwe błędy, jakie armia Stanów Zjednoczonych ma w zanadrzu. Jednak kiedy jego pożyczony Hunwee wjechał na teren jednostki, podpułkownik musiał przyznać, że się mylił. Tym razem armia popełniła jeden malutki, wręcz mikroskopijny błąd – o makroskopowych implikacjach.

Planetarne centra obrony naziemnej – oddzielne dla każdej z narodowych armii – nie musiały się martwić o wyszkolone uzupełnienia. W zamian za pomoc w walce z Posleenami ludzkość otrzymała od Federacji Galaktycznej technologię odmładzania. Starszy oficer, który już dawno odszedł na emeryturę, mógł otrzymać zastrzyki, ewentualnie przejść kilka operacji chirurgicznych, i już po kilku tygodniach, najwyżej miesiącach, wyglądał na mniej więcej dwadzieścia lat. W ten sposób wielu starszych wojskowych, którzy odeszli na emeryturę w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci, otrzymało ponowne powołanie do służby. Pojawiła się jednak maleńka trudność.

Do programu odmładzania wybierano żołnierzy według najwyższego uzyskanego przez nich stopnia wojskowego i aktualnego wieku. Stopień E-9, czyli starszy sierżant sztabowy w siłach lądowych albo starszy bosman sztabowy w marynarce zostawali odmłodzeni, jeśli odeszli ze służby w ciągu ostatnich czterdziestu lat, stopień E-8, czyli starszy sierżant albo starszy bosman – trzydziestu dziewięciu, i tak dalej. Tak więc spośród wojskowych w stopniu szeregowca albo marynarza wybierano tych, którzy zakończyli służbę nie dawniej, niż dwadzieścia lat temu. Podobny algorytm zastosowano w przypadku oficerów.

Najpierw wzywano żołnierzy i oficerów, którzy najdłużej przebywali w cywilu. W ten sposób armię Stanów Zjednoczonych zasiliła duża liczba najwyższych oficerów i podoficerów, z których większość po raz ostatni słyszała strzały oddane, by zabić, podczas ofensywy Tet w Wietnamie.

Jednocześnie powołano do armii żołnierzy, którzy dopiero niedawno zakończyli czynną służbę, oraz ogłoszono ogólną mobilizację, co spowodowało gwałtowny napływ młodszych oficerów i podoficerów. Program odmładzania miał zapewnić podobną liczbę oficerów polowych, wojskowego odpowiednika zarządzania średniego szczebla.

Powstał dystans pokoleń i doświadczenia, ale zasobów miało być dość, by zapewnić spójność struktury dowodzenia i oddziałów. Po raz pierwszy w historii mobilizacji wystąpił nadmiar wyszkolonych podoficerów i oficerów.

Obydwa programy były dokładnie zgrane w czasie, tak, żeby jeszcze zanim podporucznicy, porucznicy i kapitanowie razem ze starszymi sierżantami dotrą do jednostek, na miejscu byli już dowódcy brygad i batalionów wraz ze sztabami, z „barwami wojennymi” na twarzach i planem formowania jednostki w rękach.

Niestety, kiedy program odmładzania objął starszych sierżantów sztabowych i pułkowników, brygadierów i najstarszych oficerów sztabowych, zaczęły się wyczerpywać naniety. O ile technologia Galaksjan stała na bardzo wysokim poziomie, o tyle galaksjańskie zdolności produkcyjne w dużym stopniu bazowały na przemyśle chałupniczym. Co do technologii bojowej, ludzkość powoli wychodziła ze stanu zacofania, ale nie potrafiła poradzić sobie z problemem niedoboru nanitów.

Nie było możliwości, żeby spowolnić proces powoływania nowych żołnierzy i ponownego wzywania tych, którzy odbyli już służbę, a nie potrzebowali odmładzania, więc nagle okazało się, że siły lądowe i marynarka mają do dyspozycji całą kupę najwyższych dowódców i sporo żołnierzy, za to niewielu ludzi, którzy mogliby zająć się łącznością między nimi.

Pułkownik Hanson został poinformowany o sytuacji, więc widok takiej ilości baraków ciągnących się daleko w głąb bazy nie był dla niego szokiem; uderzyły go warunki, w jakich przebywali żołnierze.

Kiedys był tu poligon. Pułkownik spędził na nim jeden gorący, okropny tydzień jako obserwator i dobrze to zapamiętał. Teraz było to zaśnieżone miejsce pobytu dwóch regularnych dywizji piechoty i batalionu panczerzy wspomaganych Sił Uderzeniowych Floty, oraz świeżo utworzonej i wciąż rozproszonej dwudziestej ósmej dywizji zmechanizowanej, należącej poprzednio do Gwardii Narodowej stanu Pensylwania.

Zgodnie ze schematem organizacyjnym i aprowizacyjnym w dywizji piechoty było dwadzieścia sześć tysięcy ludzi, a w batalionie panczerzy wspomaganych prawie ośmiuset. Hanson należał do świeżo odmłodzonej grupy podpułkowników i wiedział, że ta bezładna masa ludzi pilnie potrzebuje starszych oficerów.

Baraki ustawiono w zgrupowaniach odpowiednich dla batalionów i brygad. W wysuniętych do przodu budynkach mieściły się biura batalionów oraz kwatery dowódców, sztabu i starszych podoficerów. Po obu stronach tej grupy baraków przebiegały ulice, wzdłuż których stały biura kompanii, kwatery oficerów i starszych podoficerów oraz magazyny, naprzeciwko nich zaś kwatery żołnierzy. Każdy budynek koszar mieścił sześć dwuosobowych pokoiów dla szeregowców i dwa jednoosobowe dla dowódców drużyn.

Za budynkami kompanii jednego batalionu znajdował się plac apelowy, a za nim ciągnęły się budynki drugiego. Za nimi znowu był plac apelowy, i tak dalej. Kilka mil dalej jednak, z boku, stało bezładne skupisko ponad dziewięciu tysięcy baraków; do tego, chociaż ludzie zostali zakwaterowani razem z podoficerami, większość z nich nie była jeszcze nawet żołnierzami, a tym bardziej nie tworzyli żadnych jednostek. Starszych plutonowych, starszych sierżantów i sierżantów sztabowych praktycznie nie było.

Kiedy program odmładzania wymknął się spod kontroli, machina poboru działała już na pełnych



obrotach, więc większość nowo powoływanych do służby starszych podoficerów kierowano do szkolenia rekrutów. Batalionami kierowali kapitanowie, a kompaniami zupełnie niedoświadczeni podporucznicy. W większości kompanii funkcję starszych sierżantów musieli pełnić starsi plutonowi, a często zwykli plutonowi. Bez solidnego korpusu oficerskiego i podoficerskiego dowództwo było bardzo niespójne. Dzieciaki siedziały już w swoich pokojach, tylko rodzice się spóźniali.

Taki obraz przedstawił pułkownikowi zastępca szefa sztabu do spraw personalnych piętnastej dywizji zmechanizowanej, a w rzeczywistości sprawy miały się jeszcze gorzej. Pułkownik zauważył sekcje koszar, gdzie sytuacja najwyraźniej całkowicie wymknęła się spod kontroli. Na ścianach koszar wisiało pranie, na ulicach walały się odpadki, a ludzie otwarcie walczyli między sobą. Grupy żołnierzy tłoczyły się przy ogniskach; niektórzy z nich byli ubrani w strzępy mundurów, ledwie chroniące ich przed chłodem pensylwańskiej zimy. Strawione przez ogień budynki koszar w jednej z sekcji dowodziły, że jakaś ostra impreza wymknęła się spod kontroli.

Bez dowódców batalionów oraz sztabów brygad i batalionów dowódca odpowiedzialny za aktywację jednostki miał praktycznie związane ręce. Kilku generałów, garstka pułkowników i kilku starszych sierżantów sztabowych nie mogło upilnować pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Cała aktywacja została zaplanowana w oparciu o program odmładzania, a kiedy on się załamał – wszystko się rozleciało. Żywność i zaopatrzenie docierały, a to było wszystko o co dbali rozwydrzeni, młodociani przestępcy zaludniający koszary.

Kiedy hunwee pułkownika wjechał na teren jego batalionu, Hansonowi niemal zebrało się na płacz. Był to jeden z „gorszych” sektorów, do których lepiej było nie wchodzić bez broni i kamizelki kuloodpornej. Pułkownik dał kierowcy znak ręką, żeby skręcił w jedną z ulic, i ogarnęła go zgroza. Teren batalionu wyglądał całkiem nieźle. Wejście do kwatery głównej wyłożono kamieniami, a chodniki odśnieżono i zamieciono. Tereny kompanii – z jednym wyjątkiem – przynosiły armii hańbę. Pułkownikowi od razu rzuciły się w oczy poniszczone przez wandalów budynki oraz walające się wszędzie śmieci.

Kiedy samochód objechał batalion, Hanson zobaczył, że w tym ogólnym bałaganie miły wyjątek stanowi ostatnia kompania. Przed jej dowództwem stały strażnicy w szarych uniformach Sił Uderzeniowych Floty, a między koszarami kręciły się dwuosobowe patrole z karabinami grawitacyjnymi M-300. Karabiny te ważyły jedenaście i pół kilograma – tyle, co przypominające je karabiny maszynowe M-60 z czasów Wietnamu – ale żołnierze sprawiali wrażenie, że posługują się nimi bez trudu. Ich niewątpliwa sprawność fizyczna i porządne para-jedwabne uniformy były pierwszą dobrą rzeczą, którą pułkownik ujrzał tego dnia.

Cienkie uniformy z para-jedwabiu miały chronić żołnierzy przed każdym mrozem – i tak najwyraźniej było. Lekko odziani żołnierze znosili zimowe podmuchy bez zmrużenia oka. Chociaż para-jedwab był oficjalnym dziennym mundurem jednostek Sił Uderzeniowych Floty, większość pozostałych żołnierzy na terenie batalionu nosiła zwykłe mundury z kamuflażem i kurtki polowe. To była odpowiedź na pytanie, czy dostępny był tu sprzęt GalTechu. Wyjaśnienia pełniące obowiązki dowódcy batalionu mogły być pouczające. Pułkownik Hanson zastanawiał się, dlaczego reszta batalionu nie ma na sobie mundurów i gdzie on sam może zdobyć para-jedwabny uniform dla siebie.

Skinął na kierowcę, żeby zatrzymał się przed kwaterą główną kompanii.

– Zanieś torby do mojej kwatery. Potem wróc do dowództwa.

Żałował, że nie może go zatrzymać – dzieciak wydawał się dobrze ułożony i mądry – ale zastępca szefa sztabu wyraził się precyzyjnie. „Masz odesłać kierowcę razem z hunwee, czy to jasne?”.

– Tak jest, sir.

– Jeżeli ktoś tam będzie marudził, znajdź mnie. Będę u dowódcy kompanii Bravo. – Wskazał kciukiem kwaterę główną kompanii.

– Tak jest, sir.

Kiedy pułkownik Hanson szedł ośnieżoną ścieżką w stronę baraku, dwóch strażników wyprężyło się oficjalnie, a prawy przepisowo zawołał: „Baaaaaa-czność!”. Na pierwszy rzut oka mogło się zdawać, że do baraku zbliżał się jakiś młody chłopak, ale ten chłopak przyjechał hunwee, a teraz trudno było zdobyć jakikolwiek wóz.

Czyli to nie był chłopak, tylko odmłodzony oficer albo podoficer, a wyglądał raczej na oficera. Starszy szeregowy zdołał wreszcie dostrzec na kołnierzyku munduru chłopaka oznaczenie rangi – czarne dębowe listki – i pobłogosławił swoją ostrożność. Kiedy pułkownik odpowiedział na ich salut i wszedł do środka, strażnicy stanęli w pozycji spoczyn. Potem spojrzeli po sobie i wzruszyli ramionami. Starszy szeregowy chuchnął na zgrabiałe dłonie i uśmiechnął się lekko. Sądząc po wyglądzie dowódcy, kompania Bravo znalazła się albo w bardzo dobrym, albo w paskudnym położeniu. A on był gotów założyć się, która z tych dwóch możliwości jest bardziej prawdopodobna.

Pułkownik Hanson był zaskoczony i ucieszony widokiem plutonowego, którego przydzielono na dwadzieścia cztery godziny do pełnienia obowiązków dowódcy terenu kompanii i który stał teraz na baczność za stołem w głębi pomieszczenia. Drobnny, ciemnowłosy podoficer, który wyglądał na zbyt jeszcze młodego, żeby się nawet golić, zasalutował.

– Plutonowy Stewart, kompania Bravo, pierwszy batalion pięćset pięćdziesiątego piątego pułku piechoty mobilnej. W czym mogę pomóc, sir?

Musiał być albo odmłodzony, albo dobrze wyszkolony. Hanson nie potrafił stwierdzić tego z marszu.

– Cóż, plutonowy – powiedział, odpowiadając na salut. – Możecie mnie zaprowadzić do biura dowódcy kompanii i przynieść mi filiżankę kawy, jeśli to możliwe. Jeśli nie, proszę o szklanek wody.

– Tak jest, sir – powiedział plutonowy, trochę zbyt głośno. Fred zdziwił się, aż dotarło do niego, że głos plutonowego był prawdopodobnie słyszany przez cienkie jak papier ściany. Uśmiechnął się w duchu, kiedy żołnierz kontynuował tym samym, głośnym tonem.

– Jeśli PUŁKOWNIK pozwoli za mną do BIURA DOWÓDCY, zajmę się KAWĄ!

Pułkownik Hanson próbował powstrzymać śmiech, ale wyrwało mu się coś w rodzaju parsknięcia.

– Słucham, sir? – zapytał Stewart, prowadząc pułkownika w głąb baraku.

– To tylko kaszel.

– Rozumiem, sir.

Minęli drzwi z napisem „Bagno”, potem drugie z napisem „Ustęp” i wreszcie trzecie, z widocznymi śladami naprawy, opatrzone tabliczką „Starszy sierżant”. Na końcu korytarza znajdowało się pomieszczenie, w którym za biurkiem stał na baczność żołnierz najprawdopodobniej pełniący obowiązki sekretarza kompanii. Na blacie biurka stała filiżanka kawy, a żołnierz trzymał w ręce dzbanuszek śmietanki. Zasalutował.

– Śmietanki, sir?

– Piję czarną. Macie cukier?

– Tak jest, sir! – Szeregowiec podniósł do góry pudełko z kostkami cukru.

– Jedną proszę. – Cukier wpadł do filiżanki i został rozmieszany, a plutonowy Stewart zapukał do drzwi.

– Wejść – dobiegł z wnętrza chrapliwy głos.

Zazwyczaj przy przejmowaniu jednostki nowy dowódca miał możliwość zapoznania się z aktami swoich oficerów – archiwami 201, jak je nazywano – i opiniami o ich wynikach. Dodatkowo mógł omówić z ustępującym dowódcą mocne i słabe strony swoich nowych podkomendnych. W tym przypadku zastępca szefa sztabu do spraw personalnych przyznał, że może podać mu jedynie nazwiska oficerów, a i to z trudem. Systemy informacyjne działały tak samo źle, jak wszystko inne, a ponadto większość akt oficerów znajdowała się nadal w magazynach w St. Louis. Pułkownik Hanson pamiętał tylko, że dowódca kompanii Bravo nazywa się O’Neal.

– Sir, podpułkownik Hanson do pana – powiedział Stewart przez uchylone drzwi.

Pułkownik Hanson natychmiast ocenił Stewarta jako jednego z tych osobników, którzy potrafią bez trudu stworzyć, ale także zniszczyć każdą małą jednostkę wojskową. Jako człowieka, który musi być za coś odpowiedzialny i czuje potrzebę szanowania swoich przełożonych, więc jeśli nie zasługują na jego szacunek, już jest po nich.

A więc respekt, jaki okazywał swojemu dowódcy kompanii, o czymś świadczył. Oczywiście już sam stan kompanii o czymś świadczył, ale to mogło wynikać z kilku przyczyn: kapitan O’Neal mógł mieć niezwykle skutecznego sierżanta, albo sam był despotycznym fanatykiem, i tak dalej. Widok tak trudnego przypadku jak plutonowy Stewart, jedzącego O’Nealowi z ręki, mówił wszystko o jego sposobie dowodzenia. Oby jeszcze tylko znał się trochę na taktyce.

Dlatego też Hanson uznał, że wykazał się wielkim opanowaniem, kiedy drzwi otworzyły się i stanął w nich niski, krępy blok mięśni, który choć spocony od wykonywanych właśnie ćwiczeń – od razu dawał się rozpoznać jako postać znana z licznych wywiadów telewizyjnych. Pułkownik w przelocie zwrócił uwagę na blizny widoczne na przedramieniu O’Neala, kiedy kapitan zasalutował.

– Kapitan Michael O’Neal, dowódca kompanii Bravo pierwszego batalionu pięćset pięćdziesiątego piątego pułku piechoty mobilnej. W czym mogę pomóc, sir?

Fred Hanson zasalutował w odpowiedzi tak porządnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Tak się robi, kiedy odpowiada się na salut żołnierzowi odznaczonemu Medalem Honoru.

– Podpułkownik Frederick Hanson – powiedział. – Mam przejąć dowodzenie w pierwszym batalionie pięćset pięćdziesiątego piątego pułku i pomyślałem, że mógłby mi pan towarzyszyć.

Fred odniósł wrażenie, że twarz O’Neala rozjaśnił nagle błysk radości, ale w ciszy, jaka zaległa po tym oświadczeniu, słychać było tylko szuranie butów Stewarta.

– Tak jest, sir. Zrobię to z przyjemnością. Stewart, odszukaj sierżanta i zgłoś się w batalionie.

– Tak jest, sir.

– Idziemy? – zapytał dowódca batalionu o chłopięcej twarzy.

– Pan przodem, sir – odpowiedział O’Neal, a oczy mu się zaświeciły.

\* \* \*

– Myślę, że raczej dobrze nam poszło. – Pułkownik zamknął drzwi za wychodzącym majorem.

– Tak, sir. Uważam, że major Stidwell sprawdzi się doskonale jako szef poczty polowej – zgodził się O’Neal. – Jednak następnym razem powinien bardziej uważać, kogo nazywa zasmarkanym gówniarzem.

– Podejrzewam też – ciągnął pułkownik z lekkim uśmiechkiem – że pomimo uszczerbku, jakiego prawdopodobnie doznała jego przyszła kariera, nie będzie składał żadnych zażaleń w tej sprawie.

– Z pewnością nie kwestionuje pan... hmmm... walecznego ducha majora, sir?

– Raczej nie – odpowiedział pułkownik Hanson, spoglądając zza biurka dowódcy batalionu na swojego najmłodszego stopniem dowódcę kompanii.

Potem zaczął zdejmować ze ściany kolekcję dyplomów majora Stidwella, imponujących zarówno jako całość, jak i każdy z osobna. Od dyplomu Akademii Wojskowej w West Point po dyplom ukończenia Szkoły Dowództwa i Sztabu Major Stidwell miał najwyraźniej wszystkie sprawności, o jakich mógł marzyć połowy oficer piechoty. Po ukończeniu zarówno Szkoły Rangersów i Kursu Kwalifikacyjnego Sił Specjalnych major Stidwell był uprawniony do noszenia „Wieży Mocy”: potrójnego oznaczenia Rangersów, Sił Specjalnych i wojsk powietrznodesantowych. Miał także odznakę instruktora treningu fizycznego i pewnie umiał rozpalić ogień mając do dyspozycji tylko dwa patyki.

Jednak w którymś momencie kariery major najwyraźniej przestał rozumieć, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi. Pułkownik zauważył, że na ścianie brakuje plaket z poprzednich stanowisk dowódczych majora. Mogły być tylko dwa powody, a nie mając możliwości zajrzeć do jego akt, Hanson nie mógł stwierdzić, który jest bardziej prawdopodobny: albo Stidwell był tak nie lubiany w swoich dowództwach, że świętowano jego odejście bez jakichkolwiek oznak żalu, albo do tej pory zajmował bardzo mało stanowisk dowódczych. Po dokładnym przemyśleniu pułkownik uznał, że musiało chodzić o drugi wariant. Jakiś lizus zawsze zorganizuje plaketę, niezależnie od tego, jak fatalnie człowiek się sprawdza jako dowódca.

– Mimo, że major Stidwell wydaje się posiadać wszystkie kwalifikacje niezbędne do bycia dowódcą – pułkownik wskazał na ścianę – czasami jednak to wcale nie oznacza posiadania dowódczych zdolności. W czasie pokoju brak umiejętności kierowania ludźmi można łatwo ukryć sprawnym sztabem. Jednak w czasach napięcia, kiedy trzeba szybko i samodzielnie podejmować właściwe decyzje, bez wsparcia zdolnego sztabu, brak zdolności przewodzenia wychodzi na jaw. Przypuszczam, że major Stidwell może się dość dobrze sprawdzić w roli młodszego oficera, a nawet służyć za przykład jako starszy oficer, ale nie nadaje się na dowódcę, zwłaszcza polowego. – Zakończył wywód wzruszeniem ramion. – Zdarza się.

– Czy na pewno powinien pan rozprawić o zaletach i wadach starszych oficerów z młodszymi oficerami, sir? – zapytał Mike, odchylając się w rozklekotanym fotelu, przypuszczalnie odrzucie ze świetlicy.

– Cóż, kapitanie – odparł pułkownik – są młodszy oficerowie i młodszy oficerowie. Może pan być pewien, że z panem będę omawiał wszystko, co w moim odczuciu pomoże panu w karierze wojskowej, i będę zabiegał o pana opinię w kwestii taktyki jednostek pancerny wspomaganych. Nie zamierzam traktować wszystkiego, co pan powie, jako prawdy objawionej, ale będę pana uważnie słuchał.

– Z powodu Medalu? – zapytał Mike z udaną beztróską i wyciągnął z rękawa szarego parajedwabiu cygaro.

Pułkownik Hanson wiele słyszał o Michaelu O’Nealu. Mocarne Maleństwo. Niepokonany, żelazny O’Neal, bohater z Diess. Pułkownik Hanson poznał w swojej karierze wojskowej niejednego bohatera i wiedział, że czasem, nie będąc na miejscu akcji, trudno jest powiedzieć, za co żołnierz dostaje medal, a szczególnie Medal Honoru. Zdarza się, że najbardziej heroiczne zasługi po dokładnym zapoznaniu się z okolicznościami okazują się lipą, a inne, mało doceniane, niespodziewanie złożonymi. Niektórzy bohaterowie lubią się przechwalać, inni są cisi. Często ich jedyną zasługą jest to, że znaleźli się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie i udało im się to przeżyć. Czasami zaś wszystko, co się o nich mówi, okazuje się prawdą.

W przypadku Michaela O’Neala zdarzenia, które doprowadziły do obsypania go medalami, zostały przeanalizowane, rozłożone na czynniki pierwsze i zbadane tak dokładnie, jak żadne inne w historii wojskowości. Kiedy media oszalały na jego punkcie, reakcja była nieunikniona. Najpierw

stał się idolem, potem próbowano strącić go z piedestału. Okazało się jednak, że każdy szczegół jego historii jest dokładnie taki, jak wydawało się w chwili pierwszej euforii. Być może nawet jego dokonania początkowo umniejszono.

Jako doradca do spraw taktycznych jednostek pancerzy wspomaganych w wojskach ekspedycyjnych na Diess, ówczesny porucznik O'Neal objął dowództwo nad niedobitkami batalionu pancerzy po tragicznym spotkaniu Ziemi z pierwszą falą Posleenów.

Jego grupa – pluton, początkowo bezbronny po eksplozji paliwa, która zniszczyła całe zewnętrzne wyposażenie pancerzy – przełamała posleeńskie obleżenie dywizji pancernych wojsk ekspedycyjnych. Po drodze żołnierze zabili mnóstwo Posleenów i zniszczyli posleeński statek dowodzenia, który nadciągnął – ze wsparciem. O'Neal przedostał się kwitującym pancernym dowódczym na statek i ręcznie zdetonował zaimprovizowaną minę, zawierającą ładunek antymaterii.

Pancerz, chroniący człowieka, który teraz siedział naprzeciw Hansona i oglądał cygaro, jakby to była broń, został w wyniku eksplozji odrzucony na odległość pięciu kilometrów. Przebił po drodze kilka budynków, odbił się od ziemi i wylądował wraz z tym, co zostało z O'Neala w morzu, kolejne dwa kilometry od brzegu. Kilka tygodni później zespół ratowniczy Komanda Foki, kierujący się sygnałem automatycznej radiolatarni, wyłowił prawie nietknięty, wart pół miliarda kredytów pancerz. Ku zaskoczeniu komandosów zbroja wskazywała, że jej użytkownik nadal żyje.

– Nie tylko z powodu Medalu. Bardziej ze względu na sposób, w jaki panuje pan nad kompanią. Po tym poznaje się dobrego dowódcę.

– Proszę wybaczyć małą poprawkę, sir. Dobry zespół dowodzenia. Sierżant Pappas jest najlepszy.

– Przysłali nam żołnierza piechoty morskiej? Myślałem, że wysłała się ich głównie do Floty.

Wojna, którą Federacja Galaksjan prowadziła z Posleenami, wywoływała liczne spory na temat udziału w niej wojsk Stanów Zjednoczonych. Federacja czerpała fundusze na Flotę z ponad dwustu federacyjnych planet.

Planety, które aktywnie uczestniczyły w walce z Posleenami, musiały jednak same zadbać o fundusze na obronę naziemną.

W przypadku całkowicie skolonizowanych planet korporacje, których szlakiem handlowym groziło niebezpieczeństwo pobierały środki na obronę z kilku innych światów. Na planecie Diess, na której służył O'Neal, walczyli żołnierze wielu ziemskich armii. Planeta Barwhon, która mimo braku przemysłu miała sporo zasobów pieniężnych, bronili tylko żołnierze NATO.

Ponieważ Ziemia dowiedziała się o istnieniu Federacji zaledwie trzy i pół roku temu, nie posiadała żadnego wsparcia finansowego – mogła jedynie wynajmować swoje siły zbrojne temu, kto da najwięcej, jednocześnie samemu przygotowując żołnierzy do odparcia bezpośredniej inwazji, która miała nastąpić za niecałe dwa lata.

Mimo całokształtu sytuacji niemożliwością było polityczne zjednoczenie całej planety w obliczu zagrożenia. Wynikiem tego były liczne kompromisy.

Niektórych żołnierzy Sił Uderzeniowych Floty kierowano bezpośrednio do oddziałów Floty, podczas gdy innych wysyłano na planety zagrożone atakiem lub już walczące. Jednostkami, które skierowano do obrony Ziemi, nadal dysponowały ich ojczyste państwa, mimo że żołnierzy obowiązywały przepisy i hierarchia dowódcza Floty. Personel Floty wybierano jednak głównie spośród żołnierzy marynarki wojennej, a Siły Uderzeniowe Floty – jednostki obrony lądowej, zadań specjalnych i piloci myśliwców – rekrutowały się z jednostek piechoty morskiej, sił powietrznych i oddziałów zadań specjalnych każdego kraju.

Biorąc pod uwagę liczebność oddziałów marynarki wojennej, piechoty morskiej, wojsk

powietrznodesantowych i sił specjalnych Stanów Zjednoczonych i NATO, Flotę tworzyli głównie żołnierze pochodzący z tych właśnie krajów; na drugim miejscu znalazły się Rosja i Chiny. Niemal wszystkie jednostki naziemne Sił Uderzeniowych rozmieszczono na terenach tych państw; jeden batalion stacjonował w Japonii. Trzeci Świat głośno protestował przeciw tak jawnej niesprawiedliwości, ale tym razem nikt nie miał czasu słuchać jego skarg.

Sytuacja militarna i technologia obcych zmieniła wieloletnie tradycje armii Stanów Zjednoczonych. Amerykański kontyngent składał się teraz z czterech dywizji Sił Uderzeniowych Floty, sformowanych z żołnierzy piechoty morskiej oraz z 82-giej, 101-szej oraz 11-ej dywizji oraz samodzielnych pułków: 508-go, 509-go, 555-go i 565-go, które z kolei powstały z żołnierzy wojsk powietrznodesantowych. Jednostki piechoty morskiej i wojsk powietrznodesantowych albo już zostały, albo miały wkrótce zostać przeformowane w oddziały pancerzy wspomaganych, mobilne jednostki piechoty, których żołnierze mieli walczyć zakuci w samobieżne zbroje, uzbrojeni w karabiny grawitacyjne, miotające uranowe krople z prędkościami relatywistycznymi, albo w działka plazmowe, zdolne przebić burtę pancernika z okresu drugiej wojny światowej.

Ponieważ we Siłach Uderzeniowych Floty zatarły się już różnice pomiędzy piechotą morską a wojskami powietrznodesantowymi, zdarzały się czasem dziwne sytuacje. Na przykład sierżanta piechoty morskiej wysyłano do jednostki utworzonej z żołnierzy wojsk powietrznodesantowych, a dowódca powietrznodesantowych trafiał do jednostki marines. Personelu i starszych oficerów wojsk powietrznodesantowych było ogólnie rzecz biorąc więcej, niż marines, więc dla zmniejszenia wpływu wojsk powietrznodesantowych wszystkich starszych podoficerów batalionu i brygady nazywano „Gunny”, od „gunnery sergeant” (które to określenie rangi sierżanta funkcjonuje tylko w jednostkach marines), mimo że ranga ta właściwie stopniowo zanikała. Amerykańska Baza Dowodzenia Sił Uderzeniowych Floty znajdowała się jednak w Twenty Nine Palms, dawnej bazie piechoty morskiej, a wyjściowe mundury Floty – oparte w sporej mierze na wzorach pochodzących z popularnych seriali SF – były ciemnogranatowe z czerwonymi wstawkami, czyli w kolorach wyjściowych uniformów marines.

Pozostał także mały reprezentacyjny kontyngent amerykańskiej piechoty morskiej, który kursował tam i z powrotem między Flotą a Gwardią Prezydencką. Żołnierze ci byli jedynym ziemskim oddziałem wyposażonym w pancerze bojowe, który pozostawał pod wyłączną i bezpośrednią kontrolą państwa. Ameryka, która była nie tylko potęgą ekonomiczną, ale również militarną, jako jedyna uzyskała wystarczająco duże fundusze pozaplanetarne, aby pozwolić sobie na zakup niewiarygodnie drogich pancerzy.

– Tak, sir – powiedział O’Neal i w charakterystyczny sposób zmarszczył czoło – to prawdziwy Gunny z piechoty morskiej z bardzo dużym doświadczeniem. Hipis.

– Hipis?

– Tak nazywają weteranów z Wietnamu. Prawdziwy wiarus.

– No, pewnie my, dwaj hipisi, będziemy mogli wspominać stare czasy – powiedział z uśmiechem dowódca.

– Jezu, sir! – zakrztusił się Mike i spojrzał zaskoczony na pułkownika. – Mówi pan poważnie?

– Zabrałem kompanię ze sto pierwszej do Doliny Szczęśliwości w Wietnamie – powiedział pułkownik i stłumił dreszcz na wspomnienie tych wydarzeń. – Zaczynałem w sto osiemdziesiątym siódmym.

– Hmm. Przynajmniej nie będę musiał panu wyjaśniać, kim była Janis Joplin.

– To wszystko jest cholernie dziwne, prawda? – powiedział dowódca i wrzucił kolejny fragment kolekcji ze ściany do pudełka. – Jak tu się w tym połapać? Dowódca pułku tak naprawdę

jest młodszy ode mnie o czterdzieści lat. Kiedy ja odchodziłem na emeryturę, on był podporucznikiem. Cieszą się, że go wówczas nie znałem.

Wyobrażam sobie, jak moje wspomnienia mogłyby teraz popsuć nasze stosunki.

– A jego wspomnienia, sir? Wyobraża pan sobie, co by było, gdyby napisał pan o nim wtedy zły raport?

– A co do pańskiego starszego sierżanta...

– To żołnierz piechoty morskiej – przerwał mu O’Neal i parsknął śmiechem. – Tak, sir, wiem. Dopóki nie będziemy musieli zająć jakiejś plaży, wszystko powinno być w porządku. Właściwie nawet wolę, żeby zajmował się tym ktoś z marines.

Pułkownik Hanson spojrzał na niego zdziwiony i wrzucił do pudełka kolejną plakieta.

– Pourquoi?

Mike sposepniał nagle i przyjrzał się trzymanemu cygaru. Na przyzwalające skiniecie głową pułkownika zapalił je zapalniczką marki Zippo, ozdobioną wizerunkiem czarnej pantery na skale. Zaciągnął się kilka razy, wydmuchując kłęby dymu.

– Cóż, sir... – Puf, puf-... w wojskach powietrznodesantowych istnieje tradycja... – Puf, puf-... szybkiego załatwiania spraw. Raz, dwa i po krzyku. – Puf. – Do tego właściwie potrafią tylko uderzyć i uciec. – Głębokie zaciągnięcie, puf. – HmMMM, Imperium El Sol.

Cholernie ciężko ich znaleźć, a co dopiero przy takich brakach kadrowych. – Mike porzucił nagle pozę, dźgając cygarem powietrze, jakby podkreślając swoje słowa.

– Obecna sytuacja wymaga raczej taktyki piechoty morskiej, zwłaszcza z czasów drugiej wojny światowej i wojny w Korei. Zająć trudną pozycję. Utrzymać ją mimo bezustannych ataków wroga, kończących się zasobów oraz cholernie słabego wsparcia. Utrzymać ją za wszelką cenę i walczyć do ostatniego przekłętego żołnierza, jeśli to konieczne, cały czas zabijając jak najwięcej wrogów.

Żadnego odwrotu, żadnego poddawania się, żadnej litości.

Mike przypomniał sobie nagle wąską, błotnistą uliczkę z ogromnymi drapaczami chmur po obu stronach. Na ulicy tłoczyły się żółte centaury – najeźdźcy rozmiarów konia, zwarci w walce na bagnety i maczety z osaczoną dywizją niemieckich grenadierów pancernych.

Mike brnął przez pięttrzące się stosy posleeńskich i niemieckich trupów. Czerwona i żółta krew obu armii pomarańczową rzeką spływała do morza.

Pochylił głowę i bawił się przez chwilę cygarem, próbując otrząsnąć się ze wspomnień.

– Cholera, zgasło.

Pułkownik Hanson opadł na swój obrotowy fotel, a Mike jeszcze raz sięgnął po zippo. Dowódca wyciągnął z kieszeni na piersi paczkę czerwonych marlboro. Wiele lat zajęło mu wydostanie się ze szponów nałogu, ale Galaksjanie mieli na to pigułkę, a poza tym wyeliminowali u wojskowych zagrożenie raka, chorób serca i płuc, więc...

– Dobrze się pan czuje, kapitanie? – zapytał i wyciągnął z paczki jednego papierosa.

– Tak, sir. Wszystko w jak najlepszym porządku. – Mike spojrzał pułkownikowi prosto w oczy.

– Nie mogę... nie możemy pozwolić sobie na dowódcę z pobitewnym szokiem.

– Sir, nie jestem w szoku – zaprotestował O’Neal, wbrew kakofonii głosów w swojej głowie. – Jestem jednym z cholernie niewielu ludzi poza Barwhon i Diess, którzy są psychicznie przygotowani do inwazji. Ćwiczyłem to wszystko tysiące godzin w symulatorze, zanim stanąłem do walki na Diess. Sama wojna na tej planecie była już tylko, że się tak wyrażę, kropką nad i. Kiedy dostanie pan swój przekaźnik, może pan mnie sprawdzić.

Zaciągnął się dymem. Od czasu Diess sporo palił i pił. Wiedział, że w końcu się to na nim zemści.

– Ta wojna będzie piekłem, sir, dla każdego Amerykanina. W gorsze gówno nie da się już wdepnąć.

Pułkownik Hanson kiwnął głową w zamyśleniu. To brzmiało logicznie.

– Na razie czas zająć się bieżącymi sprawami. Teraz, kiedy wyrzuciłem już z kwatery głównej tego durnia, trzeba zastanowić się, jaka jest nasza sytuacja. Zastępca szefa sztabu do spraw personalnych nie miał w ogóle pojęcia o jednostkach pancerzy wspomaganych. Powiedział tylko, że sytuacja zaopatrzenia jest tak skomplikowana, jak można było się spodziewać. Pytam więc, gdzie są członkowie sztabu? Kwatera główna wydaje się całkowicie pusta, więc gdzie oni, do cholery, są?

– Major Stidwell był swoim własnym zastępcą do spraw operacyjno-szkoleniowych, sir. Właściwie sprawował wszystkie funkcje oprócz oficera do spraw zaopatrzenia.

– Może powinienem był ocenić go łagodniej, skoro był aż tak przydatny.

– Nie powiedziałbym tego, sir. Oficera zaopatrzenia mamy tylko dlatego, że przysłano nam pewnego porucznika na to stanowisko.

W przeciwnym razie major Stidwell, który uważa zarządzanie w skali mikro za swoje życiowe powołanie, z pewnością objąłby też i tę funkcję.

– Aha – skrzywił się pułkownik.

– Mamy też komplet kapitanów na stanowisku dowódców kompanii, sir, z których każdy mógłby podjąć się drugiego zadania, gdyby Stidwell był zbyt zajęty. Jeśli chodzi o liczbę oficerów jesteśmy w lepszym położeniu niż jednostki Gwardii i liniowe. Ponieważ tylko on podejmował decyzje, to był absolutnie pewny, że są właściwe – prychnął kapitan. – Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie decyzje mogliby podjąć kapitanowie, nie posiadający jego wieloletniego doświadczenia. Mogliby na przykład „wystąpić z inicjatywą poważnych zmian w harmonogramie szkolenia” albo, nie daj Boże, „rozpocząć szkolenie z pancerzami, zanim zakończono by obrady na temat ich zastosowania”.

– Jeśli dobrze pamiętam, to właśnie pan to wszystko zrobił? – zapytał obojętnie pułkownik.

– Tak, sir, to prawda. – O’Neal natychmiast spoważniał. – Major bardzo się starał postawić mnie przed sądem wojskowym za niesubordynację.

– Był pan niesubordynowany? – zapytał dowódca, zastanawiając się, jaką odpowiedź usłyszy. Niepotrzebnie.

– Sir, odmówiłem wykonania nie tylko jednego bezpośredniego rozkazu, ale tak wielu, że nawet nie potrafię ich zliczyć – oznajmił stanowczo O’Neal.

– Dlaczego?

– Nie sądziłem, że ktokolwiek odważy się postawić mnie przed sądem wojskowym, sir, a ponieważ miałem wybór między niewykonaniem rozkazów a skazaniem mojej kompanii na śmierć, odpowiedź nasuwa się sama.

– Dlaczego mieliby zginąć? – zapytał Hanson.

– Major rozpoczął szkolenie dokładnie tak samo, jak robiono to z drugim batalionem na Diess. Tak, sir, byłem tam i nie miałem zamiaru znów przez to przechodzić. Zresztą taką przysięgę złożyłem nad ciałami żołnierzy poległych pod moją komendą. Brakowało nam bardzo wielu pancerzy. Mieliśmy – dalej mamy – za mało pancerzy; jednostka nie dostała swojego przydziału, więc przydzielono je tylko kilku żołnierzom, przeniesionych z innych jednostek pancerzy wspomaganych. Major chciał, żeby żołnierze uczyli się na pamięć nazw wszystkich części pancerza, oglądali slajdy z Posleenami i tym podobne. Innymi słowy, chciał ich zanudzić na śmierć. Próbowałem mu wytłumaczyć, że powinniśmy ćwiczyć, że zdobyłem.. swoimi kanałami cholernie dużo wojkularów, szkoleniowych okularów z interfejsem rzeczywistości wirtualnej.

Pułkownik Hanson się uśmiechnął. Musiał pamiętać, że chociaż jego oficer miał duże



doświadczenie z pancernymi i ich zastosowaniem w walce, nie miał doświadczenia jako oficer. Czasem trzeba zrobić coś, czego wolałoby się uniknąć. Od niepamiętnych czasów jednostki, które nie były odpowiednio wyposażone, znajdowały własne sposoby na zdobycie potrzebnego im sprzętu. Dopóki nie działo się to na dużą skalę i było pod kontrolą, nie stanowiło problemu.

– Mogliśmy już wiele tygodni temu rozpocząć szkolenie w symulatorze polowym o osiemdziesięcioprocentowej realności bojowej – ciągnął Mike, kiedy stwierdził, że pułkownik nie ma zamiaru wypytywać go o źródła dostaw wojskularów. Mike był gotów bronić swoich żołnierzy, ale sam był zaskoczony, kiedy druga drużyna pojawiła się z ciężarówką pełną sprzętu GalTechu. Od tamtej pory dowiedział się wszystkiego o plutonowym Stewarcie i „Drużynie z Piekła”. Teraz nic go już nie dziwiło.

– Ale ponieważ tego nie było w podręczniku – co nie jest moją winą, chciałem, żeby to w nim umieścili – major nie chciał się zgodzić. Potem zaczęły się problemy z kradzieżami w koszarach, zamieszkami, wandalizmem i całym tym bajzlem, który ma tu miejsce. Wydałem ludziom broń i załatwiłem im amunicję z budżetu szkoleniowego. Myślałem, i nadal tak uważam, że należało przynajmniej dać żołnierzom broń do ręki, żeby mieli jakieś pojęcie o tych wielkich draniach, i rozpocząć trening fizyczny inny niż tylko bieganie na długie dystanse. Ale majora martwiło tylko to, że nie można już zwrócić amunicji do arsenału i trzeba będzie wydać na nią część budżetu na szkolenie.

– No, trochę go rozumiem – zmarszczył czoło pułkownik. – Szkolenie ze strzelaniem jest bardzo kosztowne.

– O Jezu, pan też? – Mike poczuł, jak ogarnia go gniew i z wysiłkiem zapanował nad sobą. Ostatnie dwa miesiące ze Stidwellem doprowadziły jego i tak już nadwerżoną cierpliwość do granic wytrzymałości. Pułkownik był jednak zupełnie innym orzechem do zgryzienia. Mike musiał tylko kontrolować się i rozsądnie przedstawić całą sytuację. Jasne. A potem wszystko dobrze się skończy?

– Kapitanie, budżety szkoleniowe to też budżety. Trzeba się w nich mieścić, zwłaszcza, że każdy ponosi jakieś ofiary przez tą pieprzoną wojnę.

– Sir, to, wydatki na szkolenia w tym roku mogę pokryć z własnej pensji – odparł poważnie Mike.

– Co? Ile pan zarabia? – zapytał zaskoczony Hanson.

– Cóż, jeśli pan nie wie, powiem, że żołnierze Sił Uderzeniowych Floty, niezależnie od rangi, zarabiają o wiele więcej niż zwykłe wojsko, sir. Ale miałem na myśli coś innego. Proszę powiedzieć, co jest finansowane z budżetu szkolenia?

– Paliwo do pojazdów, pociski, żywność, specjalny sprzęt polowy i tym podobne.

– No właśnie. Trzeba pamiętać, że wojsko nie miało pojęcia, jakie będą potrzeby jednostek pancerny wspomaganych, więc pozostawiono bez zmian stary budżet wojsk powietrznodesantowych i piechoty morskiej. Nie wzięto zatem pod uwagę, że pancerny są ładowane przy użyciu wbudowanych zasilaczy z reaktora termojądrowego, który działa przez czterdzieści lat. Te koszty odlicza się od budżetu ogólnego, podobnie jak paliwo i same pancerny. Pożywienie do podajników pancerny jest tanie; podstawowy zapas przychodzi wraz z pancernem, a potem ulega wielokrotnej przeróbce na pokarm, więc mogę z łatwością pokryć z własnej pensji roczny koszt wyżywienia batalionu. Nie potrzeba nam papieru toaletowego, żadnych racji żywnościowych, paliwa do pojazdów, pojemników jednorazowego użytku i tym podobnych. Wszystkim tym pancerny zajmują się same. Żywność finansuje budżet batalionu. No i odpadają też koszty amunicji.

– Jak to odpadają koszty amunicji? – spytał pułkownik Hanson, próbując cały czas oswoić się

z faktem, że wszystkie jego wyobrażenia na temat kosztów szkolenia były błędne.

– Kiedy zaczniemy trening z pancernymi, a nawet trening w rzeczywistości wirtualnej, sam pan zobaczy, sir. Pancernie są wspaniałymi maszynami treningowymi. Praktycznie nie ma potrzeby strzelać prawdziwą amunicją. Mamy więc tak dużą nadwyżkę środków na amunicję, że moglibyśmy sobie wszyscy kupić cadillaki i jeszcze sporo by nam zostało. W każdym razie – zakończył wywód – problem nie polega na braku sprzętu, tylko na tym, że nie dotarli do nas jeszcze wszyscy zmobilizowani.

– Nie wiedziałem, że oprócz starszych oficerów i podoficerów brakuje nam jeszcze innego personelu. Mówi pan o żołnierzach albo oficerach kompanii?

– Tak, sir, właśnie o tym mówię. Nadal czekamy na dwadzieścia procent naszego młodszego personelu złożonego z kobiet, ponownie powołanych do służby podoficerów i obecnej kadry szkoleniowej.

– Powiedział pan: kobiety? Kobiety?

– Ostatnio zdecydowano, że do oddziałów pancernych wspomaganym mają być dopuszczone także kobiety – odpowiedział O’Neal i znów zaciągnął się dymem. Miał ochotę parsknąć śmiechem na widok pułkownika, który poczerwieniał na myśl o kobietach w swoim batalionie. Uznał jednak, że byłoby to niewskazane.

– O ile wiem, oczekujemy czterech kobiet w stopniu młodszych oficerów, dwóch poruczników i dwóch podporuczników; cholera, sam dostanę dwie. Dostaniemy też wielu szeregowych i odmłodzonych lub pozostających nadal w czynnej służbie podoficerów, w tym mojego sierżanta plutonu. Wszystkie dziewczyny przechodzą teraz szkolenie. Reszta na nowo przyzwyczaja się do służby albo jest jeszcze w swoich jednostkach.

– Sama radość.

– Tak, sir. Lepiej teraz niż kiedy wybuchną walki; wolę nie myśleć, co by się wtedy działo. A kiedy już tu będą, musimy je przeszkolić w pancernych. Wciąż nie ma centrum szkolenia pancernych wspomaganym.

– Racja. Cóż, nie zamierzam wypruwać sobie żył, pracując za cały sztab. Dopóki nie dostaną wyszkolonego zmiennika, pan będzie pełnił funkcję zastępcy szefa sztabu do spraw operacyjno-szkoleniowych. Proszę tu ściągnąć pozostałych dowódców kompanii, po jednym. Biorę ich wszystkich tylko z braku lepszych żołnierzy, zważywszy na kondycję batalionu.

– To tylko częściowo ich wina, sir. W wielu przypadkach kondycja batalionu jest wynikiem rozkazów majora Stidwella.

– Niech będzie, zobaczymy, czy to prawda. Dobra, kto tu ma największe doświadczenie?

– Kapitan Wolf, kompania Charlie.

– Proszę go tu sprowadzić.

– Tak jest, sir.

– Potem proszę się zająć harmonogramem szkolenia. Nie mamy na razie żadnych innych obowiązków, a ja wierzę w trening. Kiedy tylko pojawią się nasi nowi kumple, chcę, żebyśmy ćwiczyli w terenie dwadzieścia cztery godziny na dobę i siedem dni w tygodniu.

Proszę przygotować harmonogram szkolenia, jakiego jeszcze nie widziano nawet w najśmielszych snach.

– Tak jest, sir!

– A podczas planowania proszę nie zapominać, że nasza misja to stać między ludźmi a Posleenami i bronić ludzkości. A my nie zawiedziemy.

I Faraonowi Anglia rzekła: „Musisz siłę w sobie wzmóc, Byś mógł stanąć z wojskiem twym

u wroga bram;

Byś mógł skruszyć twych oprawców jak chrześcijan wielki wódz,”

I z angielskich przybył ziem sierżant Jakiśtam.

Nie był księciem on ni hrabią, nie baronem też -

Nie potężnej armii to generał sam;

W stroju khaki zwykły mąż, wojskiem swym dowodził wciąż,

A na pryczy mu pisano: Sierżant Jakiśtam.

„Faraon i sierżant”

Rudyard Kipling, 1897

**Atlanta, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 10:25 standardowego czasu wschodniego USA, 15 stycznia 2004**

– Jestem starszy sierżant sztabowy Jake Mosovich.

Światła sali odbijały się w srebrnej naszywce na jego zielonym berecie. Jake uznał, że otoczenie jest wyjątkowo nieodpowiednie.

Wewnątrz budynku Pierwszego Amerykańskiego Episkopalnego Zjednoczonego Kościoła Afrykańskiego było pełno bardzo starych i bardzo młodych mężczyzn oraz kobiet. Wszyscy oni tłoczyli się przy stołach zawalonych dziwną bronią, narzędziami gospodarstwa domowego i innymi gratami. Członkowie zespołu Sił Specjalnych, wśród których znalazło się kilka znajomych twarzy, stali w różnych miejscach sali, przygotowani na ewentualną interwencję, gdyby miało się to okazać potrzebne. W pomieszczeniu było bardzo niewiele mężczyzn w wieku poborowym. Praktycznie wszyscy mężczyźni w Stanach Zjednoczonych zostali już wcieleni do wojska, a jeśli któryś z miejscowych nastolatków uchylał się od tego obowiązku, na pewno nie pojawił się na dzisiejszym zebraniu obronno-szkoleniowym, prowadzonym przez Siły Specjalne. Nawet jeśli oznaczało to ciepły posiłek w zimny dzień.

– Jestem weteranem ze stażem dwudziestu pięciu lat służby w Siłach Specjalnych Armii Stanów Zjednoczonych. Nazywają nas Zielone Berety. Jesteśmy jedną z jednostek do zadań specjalnych, które od lat utrzymujecie z waszych podatków. Teraz macie okazję odzyskać z powrotem część waszych pieniędzy.

Jak zwykle wywołało to stłumione śmiechy.

– Misja Sił Specjalnych polega na szkoleniu lokalnych sił w stosowaniu taktyk niekonwencjonalnych. Inaczej mówiąc, jeździmy do obcych krajów i szkolimy partyzantów, którzy lubią Stany Zjednoczone, jak być lepszymi partyzantami. Oficjalnie ani razu tego nie zrobiliśmy.

Uśmiechnął się ponuro i znowu rozległy się śmiechy. Niektórzy zrozumieli.

– Ale do tego jesteśmy szkoleni. Partyzanci zazwyczaj nie mają dostępu do dobrej broni i sprzętu. Musi im wystarczyć to, co mają pod ręką. Nie korzystają także z usług potężnych systemów zaopatrzenia, „ogonów”, jak się je określa w wojskowym żargonie.

Spochmurniał. Blizny na twarzy sprawiły, że wyglądał jak jakiś stwór z nocnego koszmaru.

– Wszyscy wiemy, co nas czeka – powiedział, wskazując sufit i niebo nad nim. – I wszyscy też wiemy, że Flota nie będzie gotowa do odparcia ataku, kiedy nadciągnie nieprzyjaciel. Budowa okrętów jeszcze trwa. Rzucenie do walki tylko tych, które będą już gotowe, nie pomoże nam w niczym, a nawet cofnie nas o całe lata.

– Politycy wreszcie przyznali, że szansę ocalenia równin wybrzeża są niewielkie – zaśmiał się ponuro. – Gdyby ktoś z was nie wiedział, to dotyczy także Atlanty. Waszyngtonu, Los Angeles, Baltimore, Philly i wszystkich innych dużych miast w Ameryce.

Znowu pokręcił głową.

– Wiem, że większość z was stąd nie wyjedzie. – Rozejrzał się po twarzach zebranych w pomieszczeniu ludzi. Stare kobiety i mężczyźni, chłopcy i dziewczęta. Kilka kobiet między dwudziestką a pięćdziesiątką. Dwóch mężczyzn w tym samym przedziale wieku, jeden bez nóg, drugi z oznakami paraliżu. – Przynajmniej nie przed inwazją. Widziałem w swoim życiu więcej wojen niż większość z was obejrzała filmów, i zawsze wszyscy zostawali aż do ostatniej minuty. A potem wybuchała panika. Zawsze o czymś się zapomina. Zawsze ktoś jest na końcu.

Jeszcze raz pokręcił głową. Jego twarz była szara i ponura.

– Dlatego tutaj przyjechaliśmy – żeby nauczyć was, jak przeżyć w tych ostatnich szeregach. Jak żyć i walczyć bez wsparcia i regularnych dostaw broni. Mamy nadzieję, że to wam pomoże, kiedy nie będziecie już mieli innego wyjścia. Może tak, może nie. To zależy, co się ma tutaj. – Postukał się w pierś, patrząc na jedną z małych dziewczynek – Nauczymy was też, jak siać zniszczenie typową bronią, na wypadek, gdybyście mieli do niej jakiś dostęp – ciągnął, stając w pozycji „spocznij”.

– Dodam jeszcze – mam nadzieję, że nie muszę, ale takie mamy rozkazy – że wszystko, czego was tu nauczymy, jest absolutnie niedopuszczalne w czasie pokoju. Dzięki uprzejmości pastora Williamsa zostaniemy w Kościele Afrykańskim przez pięć dni, a kiedy skończymy ćwiczenia, będziecie wiedzieli, jak skonstruować broń, która może zmienić Oklahoma City w jedną wielką petardę. Ale, tak mi dopomóż Bóg – i nie wzywam tu imienia Pana nadaremnie, ślubuję w Jego obliczu – jeśli ktoś z was użyje tej wiedzy przeciwko drugiemu obywatelowi amerykańskiemu, dopadnę go, nawet jeśli miałbym na to poświęcić resztę życia.

Rozejrzał się po sali, a jego pokryta bliznami twarz wyglądała jak wykuta z granitu.

– Nie użyjecie tej wiedzy przeciwko waszym bliźnim. Musicie mi to przysiąc na wszechmiłosiernego Boga, zanim rozpoczniemy pierwszą lekcję. Przysięgacie?

Rozległ się pomruk ogólnej zgody. Mosovich uznał, że to wystarczy. Pastor wydawał się panować nad swoimi wiernymi, a większość zebranych do nich należała.

Szkolenie miało zasadniczo służyć dwóm celom. Nie spodziewano się, żeby ludzie zdołali w razie ataku Posleenów utrzymać swoje domostwa – i to miano wbijać im do głów przez następne kilka dni. Budowano dla nich specjalne schrony, mające pomieścić większość bezdomnych. Ale tak, jak powiedział Mosovich, w ludzkiej naturze leżało uciekanie w ostatniej chwili. Oprócz poprowadzenia lekcji na temat technik walki, żołnierze mieli razem z pastorem wyznaczyć spośród mieszkańców oficjalnych koordynatorów ewakuacji. Wykonywaliby zadania analogiczne do cywilnej obrony przeciwlotniczej podczas drugiej wojny światowej. W razie lądowania Posleenów wskazywaliby mieszkańcom okolicy trasy ucieczki i – jeśli byłoby to konieczne – organizowaliby miejscową obronę.

Przewidywano, że część ludzi, których teraz szkolono, zostanie odcięta od reszty na tyłach obcych. W takiej sytuacji im więcej Posleenów uda im się zabić, tym lepiej. Wietnam nauczył Amerykanów, że nawet dziecko może podłożyć minę, jeśli się je tego nauczy.

Ci ludzie mieli otrzymać najlepsze przeszkolenie, jakie Mosovich umiał zorganizować w ciągu pięciu krótkich dni.

– Zaczniemy dzisiaj podstawowy trening z bronią. Wiem, że wielu z was miało złe doświadczenia z bronią. Dopóki mobilizacja nie wchłonęła członków gangów, ta okolica była bardzo niebezpieczna. Wiem, że gwizdały tu zabłąkane kule i miały miejsce straszne zbrodnie. Ale my nauczymy was, jak używać broni skutecznie i we właściwym celu.

Departament policji przygotowuje w okolicy poligon strzelecki; w dzień będzie można na nim poćwiczyć. Zachęcam was do korzystania ze strzelnicy. Amunicja szkoleniowa jest za darmo. Będzie tam standardowa broń – mamy mnóstwo strzelb i amunicji – ale nie wolno wam jej stamtąd zabrać. Kiedy nadciągnie inwazja, broń zostanie wam wydana, a jeśli Posleeni wylądują gdzieś wcześniej, możecie otrzymać broń w najbliższej komendzie policji. Władze obawiają się, że broń mogłaby wam zostać skradziona, gdyby ją wszystkim rozdano.

Osobiście uważam, że to bzdury, ale czasem wszyscy musimy podporządkować się biurokracji, a w tym wypadku rządowi federalnemu. Spójrzcie więc na to w taki sposób: żołnierze też nie zabierają karabinów do domu, zostawiają je w arsenale. Z wami jest tak samo. Dobrze... Przyjrzymy

się dzisiaj dwóm rodzajom broni:

M-16 i AK-47.

Sierżant David Mueller w zamyśleniu słuchał wykładu. Kiedyś nie do pomyślenia było, żeby zespół Sił Specjalnych uczył obywateli taktyk miejskiej partyzantki. Teraz jednak miało to sens. Sam miał nauczyć ich rzeczy, znajomość których miała ich umieścić w prowadzonym przez FBI rejestrze potencjalnych terrorystów.

Wszyscy członkowie Sił Specjalnych już w nim byli.

Obok Muellera stała mała, czarna, najwyżej dwunastoletnia dziewczynka z włosami zaplecionymi w warkoczyki, i z ogromnym przejęciem patrzyła na AK. Ci ludzie nigdy nie doświadczyli władzy ani siły, a teraz mieli dostać jedno i drugie w swoje ręce. Mieli się nauczyć rzeczy, które przeciwko rządowi były jeszcze skuteczniejsze, niż przeciw Posleenom.

\* \* \*

– Dobra, co to jest? – zapytał Mueller i podniósł do góry białą plastikową butelkę ze znakiem firmowym znanego producenta środków czyszczących.

Żołnierze podzielili ludzi na grupy, wyszukując spośród nich potencjalnych przywódców i tych, którzy przejawiali jakieś niezwykle zdolności. Jak na razie Mueller wybrał jednego dowódcę drużyny. Podejrzał też, że mała dwunastolatka sprawdzi się w ogniu walki.

– Wybielacz – wymamrotała dziewczynka, a w jej oczach pojawiło się pytanie: „Nie potrafisz rozpoznać wybielacza, białasie?”

– Naprawdę? A to? – zapytał i podniósł w górę butelkę z przezroczystą cieczą.

– Woda amoniakalna.

– Dobra. A do czego się tego używa?

– Do czyszczenia – powiedział starszy jegomość siedzący w drugim rzędzie.

– No, zdarzyło mi się nimi coś czyścić, ale głównie wysadzam nimi różne rzeczy w powietrze. – Zauważył, że przyciągnął ich uwagę. – Z wielu produktów codziennego użytku można zrobić materiały wybuchowe – powiedział i zaprezentował im sposób robienia bomby rurowej.

– Lont do detonatora możecie dostać w sklepie z bronią. Używają go do amatorskich armat i broni odprzodkowej. Pokażę wam też kilka sposobów, jak go zrobić samemu. Później zademonstruję też, jak zrobić minę-pułapkę z magazynka pistoletu lub karabinu i kawałka drutu. Ale najpierw chciałbym, żebyście wszyscy ostrożnie zrobili własne bomby rurowe, tak jak wam to pokazałem. Potem pójdziemy do tego starego budynku na rogu, który jest przeznaczony do rozbiórki, i wysadzimy sukinsyna w powietrze.

Większości mieszkańców ten pomysł bardzo się spodobał.

\* \* \*

– Musisz częściej myć zęby, młody człowieku – powiedziała lekarka, oglądając trzonowce dziesięciolatka. – Od jak dawna boli cię ten ząb?

– Okoo mehąca, chyga.

– Cóż, trzeba założyć plombę, może przeczyścić kanał.

Ustalono, że w ramach misji mieszkańcom zostanie udzielona pomoc lekarska. Sierżant Gleason była oburzona, że jej kraj, szczycący się najlepszym systemem ochrony zdrowia na świecie, pozwala na takie zaniedbania, z jakimi zetknęła się tutaj. Już dawno powinni byli przysłać tu Zielone Berety; być może poradziliby sobie nawet z gangami.

Na szczęście ten problem na razie przestał istnieć. W pierwszych fazach planowania wydawał

się poważny, później okazało się jednak, że zasadniczo ma charakter czysto akademicki. Wszyscy członkowie gangów trafili do Gwardii i raczej tam zostawali.

Miejscowi dowódcy Gwardii ukróćili dezercje, stosując rozwiązanie węzła gordyjskiego. Kary śmierci nigdy nie usunięto z regulaminu i dowództwo zaczęło ją wprowadzać w życie w przypadku dezercji, choć tej starano się nie mylić z samowolnym przedłużeniem przepustki.

Dezertów łatwo można było znaleźć. Obszar miasta patrolowali funkcjonariusze policji, którzy zostali wyłączeni z ogólnej mobilizacji jako uzupełnienie sił zbrojnych w przypadku wylądowania Posleenów. Żołnierze musieli być cały czas w mundurach, więc jeśli tylko gdzieś pojawił się mężczyzna w wieku poborowym bez munduru, policja natychmiast sprawdzała jego kartę odroczenia. Odroczenia zaznaczano na pasku magnetycznym prawa jazdy, którego autentyczność można było łatwo sprawdzić jednym telefonem na komendę albo skonsultowaniem się z komputerem. Każde zatrzymanie szargało nerwy policjantów; dezertery wiedzieli, co ich czeka, i najczęściej reagowali przemocą. Kiedy policjant wykrywał domniemanego dezertera, dzwonił po wsparcie i czekał, aż pojawią się wystarczające siły, by przeprowadzić zatrzymanie.

Niekiedy dochodziło do komicznych wręcz sytuacji, kiedy jakiś nie podejrzewający niczego, ubrany po cywilnemu policjant z innego okręgu zostawał nagle otoczony przez kolegów po fachu z bronią w rękach. Ale najczęściej kończyło się na tym, że gliniarze klęli dowódców Gwardii, bo podejrzany krzyczał „pierdol się” i sięgał po broń, woląc samobójstwo niż powieszenie.

Tak, więc gangi wyeliminowano i w mieście pozostali tylko bardzo młodzi i bardzo starzy mężczyźni, kobiety i niepełnosprawni.

A ci potrzebowali lepszej ochrony zdrowia niż dotąd dostawali.

Lekarka spojrzała pytająco na matkę chłopca.

– Nie ma u nas dentystów, w ogóle nie ma lekarzy. Albo poszli do woja, albo chcą za dużo kasy. Trzeba cały dzień czekać w Grady, a i wtedy nie wiadomo, czy coś w ogóle zrobią. Co ty na to, żołnierko?

Sierżant Gleason, stateczna matka czworga dzieci, która dopiero co ukończyła ogólny kurs lekarski Sił Specjalnych, uśmiechnęła się ciepło.

– A ja na to: wyrwiemy ząb i wstawimy implant. W ten sposób będzie miał nowy, zdrowy ząb. Przy okazji zrobię ogólny przegląd i zaplombuję wszystkie dziury. Ponieważ widzę, synu, że na samą myśl o tym włosy stają ci dęba, zrobimy wszystko pod narkozą, więc niczego nie poczujesz. No i nie będzie was to kosztować złamanego grosza.

Gleason, wojskowa pielęgniarka z czternastoletnim stażem, wykorzystwała pierwszą nadarżającą się okazję przeniesienia się do Sił Specjalnych. Jej decyzja była dla rodziny, a szczególnie dzieci, trudna do zrozumienia, ale jeśli miała być lekarką na wojnie, to właśnie Siły Specjalne miały jej najwięcej do zaoferowania.

Siły Specjalne spędzały dużo czasu z dala od regularnych oddziałów i zaplecza logistycznego. Jednostki musiały więc być samowystarczalne pod względem medycznym. Ponieważ doktorzy zazwyczaj nie chcieli przechodzić kursu adaptacyjnego Sił Specjalnych, oddziały musiały wyszkolić własnych medyków. Chociaż nie byli oni – i nigdy nie mieli być – lekarzami medycyny, nie ustępowali wiedzą i sprawnością działania na polu medycyny urazowej wykwalifikowanym sanitariuszom.

Podczas misji mieli prawo wykonywania mniejszych zabiegów chirurgicznych i dentystycznych oraz przepisywania leków. Chociaż każdy z nich wiedział, że nie może się równać nawet z pijanym, mającym akurat zły dzień lekarzem, czasami nie było pod ręką nikogo lepszego. W takich sytuacjach ratowali życie ludzkie wycinając wyrostki robaczkowe, usuwając migdałki oraz łagodne i złośliwe

guzy nowotworowe – wykonując operacje, za które Amerykańska Izba Lekarska spaliłaby ich na stosie.

Sierżant Gleason działała więc zgodnie z tradycją równie starą, co same Zielone Berety.

– Dziękujemy, żołnierko. Syn się zgadza! – powiedziała z ulgą matka.

– Wcale nie!

– Nie mów takim tonem do matki. Ząb będzie cię bolał jeszcze bardziej, jeśli go nie wyleczymy.

– Twoja mama ma rację – powiedziała Gleason. – Zawsze trzeba ufać mamie.

– Dobra, niech będzie – zgodził się niepewnie chłopak. – Ale na pewno mnie pani uśpi?

– Tak, dzięki nowym galaktycznym lekarstwom nie muszę się martwić o dawki ani zawracać sobie głowy ich skutkami ubocznymi. Kiedy to zrobimy?

– Można zaczekamy do jutra? – zapytała matka. – Muszę iść do pracy i wolałabym się nie spóźnić.

– Jasne, jak pani uważa. Tymczasem, synku, wyszoruj sobie dziś wieczorem ząbki tą szczoteczką i wypłucz usta tym płynem. Zobaczymy się jutro, powiedzmy o dziesiątej?

– Dobra, pani doktor.

– Nie jestem doktorem. Mam tylko uprawnienia do wykonywania drobnych zabiegów, a ten właśnie do takich się zalicza. Do jutra.

Kiedy odchodzili, malec przyciskał do piersi szczotkę do zębów i płyn do płukania ust jak jakieś talizmany.

– To był ostami pacjent, pani doktor – powiedział dowódca zespołu, kapitan Thompson, przepuszczając przez drzwi matkę z dzieckiem.

– To dobrze, bo mam dość. Mamy jakieś nowe rozkazy?

– Tak, przedstawię je szczegółowo na zebraniu zespołu. Mamy się zwijać z Atlanty. Jedziemy do Richmond.

– Zastanawiałam się, czy wyślą nas za ocean.

– Myślę, że raczej zostaniemy w kraju.

– Czyli zostawiamy Afrykę na pastwę losu? – skrzywiła się Gleason.

– Do licha – powiedział starszy sierżant Mark Ersin, który wszedł do pokoju w trakcie tej rozmowy – a co nas obchodzi Afryka? Mamy tutaj wystarczająco dużo roboty.

– Zgadza się – powiedział kapitan Thompson, a jego hebanowa twarz spochmurniała. – Miasta ostro dostaną. Im bardziej ludzie będą przygotowani, tym lepiej. Bliski Wschód jest najeżony bronią i raczej mało interesujący, a Afryka i tak nie zdąży wziąć dupy w troki i zwiać na czas. Pies ich trącał.

Pokryta bliznami euroazjatycka twarz Ersina wykrzywiła się w ponurym uśmiechu.

– Wierzcie mi, na pewno będziemy woleli być blisko wsparcia, jeśli Posleeni wylądują wcześniej.

Razem z Muellerem i Mosovichem Ersin przeżył pierwszy kontakt ludzkości z nadciągającym zagrożeniem. Wszyscy trzej byli członkami oddziału wysłanego na rekonesans na planetę Barwhon.

Przeżyli zmianę priorytetu misji z rozpoznania na porwanie; przeżyli, podczas gdy pozostałych pięciu członków zespołu zginęło. Po drodze zebrali olbrzymią ilość informacji o zapleczu Posleeniów i organizacji. Wszyscy trzej zgodnie twierdzili, że walka z nimi nie jest najprzyjemniejszą rzeczą.

– Kiedy Posleeni wylądują – ciągnął – najlepiej byłoby przyciąć się za umocnieniami, a kiedy już się tu zainstalują – wyjść i namieszać im na tyłach. Do tego czasu wolałbym mieć dach nad głową i ściany wokół.

– Cóż – ciągnął kapitan Thompson – w Richmond skończymy nasz program objazdowy. Potem



mamy tu wrócić i działać jako organ nadzorujący partyzantów. Kadra.

– Co? – wykrztusili Gleason i Ersin. Usłyszeli o tym po raz pierwszy.

– Wprawdzie program szkolenia partyzantów działa dobrze, ale rząd chce mieć na miejscu zawodowców – wyjaśnił kapitan i wzruszył ramionami.

– Myślałem, że od tego jest Gwardia! – warknął Ersin.

– Sierzancie, tu są cywile, których mamy bronić!

– Przepraszam, sir, ale nie wyjdzie mi to najlepiej, jak będę martwy! Jeśli mam znowu walczyć z Posleenami, to chcę to robić z dobrze umocnionych pozycji!

– Czegokolwiek byście nie chcieli, sierzancie, takie są rozkazy – powiedział kapitan tonem, w którym zabrzmiała groźba.

– Nasze rozkazy są do dupy, sir. O Jezu! Ale wdepnęliśmy. Czy Jake i Mueller też już o tym słyszeli?

– Nie. Nie wiedziałem, że ta wiadomość wywoła aż taką reakcję.

– O rany, sir, to pan jeszcze nie widział aż takiej reakcji.

\* \* \*

– Który zasrany sukinsyn wpadł, kurwa, na pomysł z kadra? – wrzasnął starszy sierżant sztabowy.

Nie był to zwykły sposób zwracania się starszych sierżantów sztabowych do czterogwiazdkowych generałów, jednak szef sztabu sił lądowych spodziewał się takiego telefonu. Kiedy jego adiutant poinformował, że starszy sierżant sztabowy Mosovich jest na linii i chciałby zamienić z nim słówko, generał najpierw się upewnił, czy nikt nie słyszy tej rozmowy.

– Witaj, Jake. Miło cię słyszeć. Tak, u mnie wszystko w porządku, jestem tylko trochę przepracowany, jak wszyscy.

– Jebać to! Kto to wymyślił? Osobiście sukinsyna rozwalę! Co to jest, jakaś pierdolona intryga Armii, żeby wreszcie załatwić Siły Specjalne raz na zawsze?!

– Dobra, Jake, już wystarczy – powiedział zimno generał Taylor.

– To był mój jebany plan.

– CO?! – Jeśli generał Taylor myślał, że poprzednie pytania były wypowiedziane wyjątkowo głośno, to bardzo się mylił.

– Posłuchaj, wy ich uczyliście. Jaką szansę mają ci ludzie, jeśli Posleeni wylądują przed zakończeniem ewakuacji?

– Więc poświęci pan przekłete Siły Specjalne? Oto chodzi?

– Nie. Użyję ich możliwie najostrożniej. Ale staną między Posleenami a cywilami, tam, gdzie, cholera, jest ich miejsce. Jasne?

– Jasne. Nie mamy odpowiedniej broni ani przeszkolenia do tej misji. Mamy ograniczoną mobilność taktyczną. Znamy się na partyzantce, umiemy atakować i znikać, możemy dowodzić takimi jednostkami, ale wy chcecie, żebyśmy utrzymali się na pozycjach i dali rozgnieść, żeby dać cywilom kilka minut ekstra, które oni i tak zaprzepaszczą. – Sierżant wyszczał ostatnie słowa.

– Jake, w jaki sposób walczy się z Posleenami? – zapytał generał opanowanym tonem.

– Co?

– Pytam, w jaki sposób walczy się z Posleenami.

– Moim zdaniem najlepiej przy użyciu artylerii i stałych umocnień obronnych.

– A co byś powiedział na moździerze i bazy ogniowe?

– I co wtedy, sir? Będziemy w oddalonych od siebie bazach ogniowych, odcięci od siebie i bez

wsparcia. A poza tym skąd je weźmiemy?

– Cóż, w przypadku Atlanty macie do wyboru kilka naturalnych, geograficznych lokacji. Wasza misja będzie polegała na utworzeniu baz ogniowych wzdłuż tras ewakuacji i obsadzeniu ich lokalnymi, cywilnymi jednostkami, które zostaną przez was wstępnie przeszkolone. Wasze zespoły wyszkolą ich oraz pokierują budową stałych umocnień z dostępnych na miejscu materiałów i przy użyciu miejscowych środków. Czy to jest niezgodne z tradycją Sił Specjalnych, sierżancie?

– Cholera. – Nastąpiła długa chwila ciszy. – Nie przeżyjemy tego, Jim. Między innymi dlatego, że nasza „partyzantka” będzie się składać z samych emerytów i nastolatków.

– Kiedy Posleeni już wylądują i będziemy znali ich pozycje, a wszyscy cywile zostaną ewakuowani, kiedy wszystko będzie, kurwa, zrobione jak należy, Siły Specjalne będą mogły użyć wszelkich dostępnych środków, żeby oczyścić teren z nieprzyjaciół.

– Nie będzie żadnych środków, Jim. Żadnych.

– Na pewno będą, cholera. Pamiętaj: „Nie oszukujesz, znaczy, że się nie starasz”.

– „Jak cię złapią, nie jesteś z Sił Specjalnych”. Jasne. Ja jednak nadal uważam, że to zadanie dla Gwardii.

– Celów starczy dla wszystkich.

– Nie do końca chodziło mi o brak celów, sir.

\* \* \*

– Aha – mruknął Mueller – mamy przejebane.

– Sierżancie Mueller – powiedział podchorąży Andrews – taka postawa w niczym nie pomoże.

Andrews i Mueller nie przepadali za sobą. Niezależnie od tego, czy Andrews zdawał sobie z tego sprawę, czy nie, był na z góry na straconej pozycji. Większość chorążych nie miała dużego doświadczenia. Byli młodszymi podoficerami Sił Specjalnych albo przychodzili nawet spoza tych oddziałów, a w ramach kursu mieli pełnić funkcję zastępcy dowódcy drużyny. Kiedy jednak w nowych Siłach Specjalnych dochodziło do konfliktu doświadczonego podoficera z mało obytym młodszym oficerem, ten ostatni zawsze musiał ustąpić.

– Nie widzę tu żadnego problemu – ciągnął Andrews. – Budujemy bazę ogniową i zabezpieczamy ją. Mamy dostęp do olbrzymiej ilości materiałów budowlanych. To jest podstawowa misja Sił Specjalnych. Co wam się nie podoba, sierżancie?

– Nie tylko jemu, sir – wtrącił ostro sierżant Mosovich. – Rozmawiałem już o tym z Głównym Dowództwem. Są tego samego zdania. Może powinien pan najpierw zobaczyć Posleenów w akcji, żeby zrozumieć, że ten plan to sikanie pod wiatr.

– Właśnie – dodał Ersin. – Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby to miało sens. Ale niestety nie ma.

– Przepraszam, może to kwestia bycia młodszym oficerem – zaczął Andrews, mając na myśli „może to kwestia tego, że jestem od was inteligentniejszy, dziadki” – ale uważam, że powinniśmy po prostu zabezpieczyć pozycje, a potem spowolnić Posleenów ogniem pośrednim.

– Tak, sir. A co potem? – zapytał Mosovich. Mueller siedział dziwnie cicho, jakby zdawał sobie sprawę, że za chwilę straci cierpliwość.

– No, wtedy się ewakuujemy, jak sędzę. Jeśli nie uda się uciec, polegniemy walcząc do samego końca. Zdarzało się to już wcześniej i będzie się jeszcze zdarzać nie raz. Na Bataan, na przykład.

– Dobra, sir. Po pierwsze, Posleeni nie zwalniają marszu ani w obliczu ognia pośredniego, ani nawet bezpośredniego. Pod ostrzałem posuwają się tak samo szybko, jak bez niego. Zatrzymują się dopiero wtedy, gdy zginie ich odpowiednio wielu, i to też tylko dlatego, że po prostu nie żyją. Po

drugie, nie będzie praktycznie sposobu, żeby się ewakuować. Posleeni otoczą nas ciasnym pierścieniem, a potem najprawdopodobniej rozgniotą nas samą przewagą liczebną. Gdybyśmy zbudowali mury obronne wokół miasta, może by się udało, ale nie wydaje mi się, żebyśmy mieli na to czas, czy zapasy na wieloletnie oblężenie. Po trzecie, nie wiemy, skąd nadejdą i w którą stronę będą chcieli pójść. Lądują dosyć przypadkowo i ich cele też są przypadkowe. Skupią na nas swoje wszystkie siły, a my nie będziemy mieli nawet szansy zabić ich tyłu, żeby miało o jakieś znaczenie. Czy sytuacja jest teraz trochę bardziej zrozumiała, sir?

– Nie wierzę, żeby Posleeni stanowili aż tak wielkie zagrożenie, sierżancie – powiedział chorąży z nutą lekceważenia w głosie. – Wiem, że ma pan doświadczenie w walce z nimi, ale nie korzystał pan wtedy ze stałych umocnień. Moim zdaniem, powinniśmy być w stanie ich powstrzymać przez jakiś czas, a potem się ewakuować.

– Jasne, koleś, śnij dalej – nie wytrzymał Mueller i z pogardą wyszedł z sali.

**Fort Indiantown Gap, Pensylwania, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 09:00  
standardowego czasu wschodniego USA, 22 stycznia 2004**

– Tych, którzy dopiero przyjechali, witam w kompanii Bravo pierwszego batalionu pięćset pięćdziesiątego piątego pułku piechoty Sił Uderzeniowych Floty. Jestem kapitan Michael O’Neal. A jednostka, do której właśnie wstąpiliście, nazywa się „Triple-Nickle”.

Mike powiódł wzrokiem po ostatnich przydzielonych jednostce żołnierzach. Mimo że wmieszali się już w tłum, nadal można ich było rozpoznać po standardowych mundurach kamuflujących i gortexach, wyróżniających się na tle szarych para-jedwabii pozostałej części kompanii. Wyróżniali się też tym, że były wśród nich kobiety i żołnierze przekraczający przeciętny wiek poborowych. Nie zostali poddani odmłodzeniu, mimo że większość z nich stanowili rezerwiści, których ponownie powołano do czynnej służby. W przeciwieństwie do pułkownika Mike miał przy sobie inteligentny przekąznik; chociaż pozostali oficerowie nie mieli wglądu do akt osobowych żołnierzy, on miał. Szybko przejrzał dane poborowych i stwierdził, że generalnie jest zadowolony. Miał wprawdzie kilka trudnych przypadków, jak choćby starszego szeregowca, który już dwukrotnie został zdegradowany ze stopnia plutonowego, ale większość wyglądała na papierze na dobrych żołnierzach. Kiedy się nimi zajmie, będą jeszcze lepsi. Teraz przyszła pora na Wykład, dzięki któremu wszyscy będą mieli całkowitą jasność co do tego, kim jest ich dowódca kompanii.

– Jeśli się zastanawiacie, czy jestem właśnie tym kapitanem O’Nealem, odpowiem wam, że tak, jestem. To wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie. To, co czym zamierzam mówić, usłyszycie dziś i przy wielu innych okazjach, zanim w końcu doświadczycie na własnej skórze tego, o co mi chodzi.

Ci z was – większość z was – którzy nie braliście jeszcze nigdy udziału w walce: nie jesteście gotowi stawić czoła Posleenom. Ci nieliczni z was, którzy macie już pewne doświadczenie bojowe: nie jesteście gotowi stawić czoła Posleenom. Sposób walki z Posleenami, który my także zastosujemy, jest brutalnie prosty. Zajmuje się dobrą pozycję, nie wychyla, wzywa artylerię i moździerz i zabija tyłu, ile się da, a kiedy są już tuż-tuż, ile sił w nogach cofa się do następnej pozycji. Sytuacja taka daje tylko trzy możliwości rozstrzygnięcia: wygrana, przegrana, remis. Dla nas istnieje tylko jedna z tych możliwości. Wygramy. To, czy tu obecni doczekają dnia zwycięstwa, będzie zależało od ich wyszkolenia i szczęścia.

Z tyłu za zebraniymi kapitan zobaczył starszego sierżanta Pappasa. Mike podejrzewał, że podoficer robi to samo, co on: wodzi wzrokiem po zebranych żołnierzach i zastanawiał się, kto z nich może zginąć. Czy ten wysoki facet z trzeciego plutonu, czy może ten dowcipny z pierwszego? Czy okryty sławą żylasty, twardy plutonowy Stewart, czy plutonowy Ampele, jego zupełne przeciwieństwo?

A może ktoś inny? Ktoś ze starszych żołnierzy? Mike w duchu pokiwał głową.

– Wielu z nas będzie musiało zapłacić przewoźnikowi dusz w zaświatach. Ale, jak powiedział George Patton: „Waszym zadaniem nie jest zginąć za waszą ojczyznę. Macie zrobić wszystko, żeby ten nieszczęsny drań po przeciwnej stronie zginął za swoją.” Ale nie myślcie teraz o przewoźniku dusz. W końcu każdy z nas się z nim spotka, czy to za tydzień na polu bitwy, czy za wiele lat w ramionach zrozpaczonego męża lub żony. Dopóki to nie nastąpi, macie się skupić tylko i wyłącznie na zabijaniu Posleenów. Jeśli macie rodzinę, zapomnijcie o niej. Sam mam żonę i dwie córki, i staram się jak najmniej teraz o nich myśleć. Żyję, oddycham i jem tylko po to, by zabijać

Posleenów. Nie dlatego, że tak ich osobiście nienawidzę, i nie z powodu Diess, ale dlatego, że musimy ich zabijać, zabijać i zabijać, aż zabijemy wszystkich. Dopóki tego nie dokonamy, nikt z nas nie jest bezpieczny. Przygotujcie się więc na trening cięższy niż cokolwiek, czego doświadczyliście w waszym żalonym życiu.

Dopóki nie dostaniemy pancerzy, będziemy ćwiczyć w wojkularach szesnaście godzin dziennie. Co tydzień będziecie mieli pół dnia wolnego na załatwienie swoich spraw osobistych. Kiedy dostarczą nam pancerze, będziemy ćwiczyć to samo na poligonie. W czasie wolnym możecie wysyłać e-maile. Dostaniecie zapłatę w formie bezpośredniego żołdu. Innej możliwości nie ma. Jeśli wasza rodzina potrzebuje więcej środków, porozmawiajcie z dowódcą waszej drużyny, a on pokaże wam, jak zarządzać żołdem przez inteligentny przekaźnik.

Dla tych, którzy odbywali wcześniej służbę, mam następującą informację. Nie jesteście już piechotą morską ani wojskami powietrznodesantowymi. Należycie do Sił Uderzeniowych Floty. Możecie dalej krzyknąć „Airborne!” albo „Semper Fi!”, jeśli chcecie, ale pamiętajcie, że z tymi żołnierzami, z którymi będziecie trenować, znajdziecie się ramię w ramię w walce. Dlatego nie osądzajcie ich na podstawie tego, w jakich jednostkach dotychczas służyli, albo gorzko tego pożałujecie. Siły Uderzeniowe Floty są całkowicie nową formacją, rekrutującą się, mam nadzieję, z elity armii i piechoty morskiej. Każdy z was zgłosił się do tej jednostki na ochotnika, ale wątpię, czy zdajecie sobie sprawę, jak radykalnie wpłynie to na wasze życie. Kiedy należycie do Gwardii lub oddziałów liniowych, w pierwszej kolejności jesteście obywatelami Stanów Zjednoczonych, potem Ziemi, a dopiero na końcu Federacji. Jeśli jednak jesteście członkami Sił Uderzeniowych Floty, podlegacie bezpośrednio armii federacyjnej. Federacja traktuje swoje wojsko zupełnie inaczej, niż Stany Zjednoczone. Wkrótce przejdziecie skrócony kurs federacyjnego prawa wojskowego. Mówię skrócony, bo armia Federacji działa na zasadach o wiele bardziej skomplikowanych, niż jakiegokolwiek ziemskie. Złożyliście przysięgę, więc prawo Federacji jest teraz dla was wiążące, choć nie ma możliwości, żebyście je zrozumieli. Na przykład: jako wasz dowódca mogę każdego z was bez powodu zastrzelić i nie spotkają mnie za to żadne konsekwencje. W Federacji wojsko jest uprzywilejowaną kastą, wyjętą spod mocy większości praw, za to związaną całym mnóstwem innych.

Wolno wam zabijać ziemskich cywilów bez konsekwencji prawnych, ale z jednym drobnym wyjątkiem: jako wasz dowódca absolutnie zabraniam wam łamać prawo poza czasem wojny.

Amerykańską część Sił Uderzeniowych Floty obowiązują też inne przepisy, a mianowicie Jednolity Kodeks Sprawiedliwości Wojskowej. Jest w nim wiele luk prawnych; mnie wolno bezkarnie zastrzelić kogoś z was, ale wam wystarczy, że będziecie go przestrzegać.

Jeszcze jedna sprawa. Oczekuję od was, że poświęcicie Siłom Uderzeniowym Floty sto procent waszego umysłu, ciała i duszy. Ci z was, którzy służyli wcześniej w wojsku, na pewno już coś takiego słyszeli. Tym razem jednak to nie jest żadne pieprzenie w bambus.

Jeśli zaczniecie jakieś gierki, wyślę was do jednostki karnej tak szybko, że papiery dogonią was tam dopiero po roku. Wszyscy zgłosiliście się tu dobrowolnie. Jeśli chcecie wrócić do swoich poprzednich zajęć, wystarczy, że o tym powiecie, a ja wam gwarantuję, że się tym zajmę.

Oficerowie, proszę zameldować się w moim biurze po odprawie żołnierzy. Sierżancie, teraz kolej na pana.

\* \* \*

Mike popatrzył chłodno na oficerów, tych którzy już się wdrożyli i tych, którzy dopiero co przyjechali do jednostki. Przysłano mu trzech: wysoką, jasnowłosą porucznik o nazwisku Teri

Nightingale, która miała zostać jego zastępcą, smukłą jak chart brunetkę podporucznik Karen Slight, przydzieloną do trzeciego plutonu, i ciemnowłosego, chudego podporucznika Mike'a Fallona, który był absolwentem Akademii Wojskowej w West Point, skierowanym na stanowisko dowódcy drugiego plutonu. Zgodnie z doświadczeniami Mike'a oficerowie po akademiach wojskowych dzielili się na dwie grupy: absolwentów bardzo dobrych i bardzo złych. Dobrzy absolwenci West Point okazywali się rzeczywiście dobrzy, źli byli prostu dobrzy w lizaniu dupy szefa i kryciu własnej. Z czasem miało się okazać, jak było w tym przypadku.

Tim Arnold, wcześniej pełniący obowiązki zastępcy dowódcy, był porucznikiem i dowódcą plutonu ciężkiej broni. Wysoki, robiący wrażenie nieporadnego, służył poprzednio jako podoficer w dwudziestej czwartej dywizji zmechanizowanej, potem jako porucznik w osiemdziesiątej drugiej powietrznodesantowej. Pod jego niezdarną powierzchownością krył się jednak zdrowy rozsądek i wiedza o wojsku i ludziach jako takich. Mike wiedział, że będzie mu go brakowało na stanowisku zastępcy, bo kilka razy to właśnie Arnold nie dopuścił, żeby Mike stracił cierpliwość w bardzo widowiskowy sposób.

Dave Rogers, dowódca pierwszego plutonu, był osobliwą postacią. Rzadko kiedy porucznik jest dowódcą plutonu piechoty, ale z powodu nadmiaru poruczników i jego niewielkiego doświadczenia nie było dla niego innego stanowiska. Wysoki, dumny oficer wydawał się urażony przydziałem i Mike podejrzewał, że wynikną z tego napięcia między nim a Nightingale. W przeciwieństwie do Arnolda błyskawicznie reagował na wszystkie niedopatżenia, prawdziwe czy wymaginowane, a do tego był prawie tak samo gwałtowny, jak Mike. Przy tym wszystkim jednak nie sposób było odmówić mu doświadczenia i bystrości. O'Neal uważał, że kiedy tylko Rogers pozna smak walki z Posleenami, szybko zostanie adiutantem czy kimś podobnym.

– Jak przekonali się ci z was, którzy są tu już od jakiegoś czasu, to, co powiedziałem żołnierzom, oficerów dotyczy dwa razy bardziej. Mimo widowiskowo popieprzonej sytuacji zaopatrzeniowej, w przyszłym tygodniu powinniśmy dostać całość sprzętu w jednej, horrendalnie rozburdelonej dostawie. Gdyby nie przyjechał nowy dowódca batalionu, za cholere byśmy tego nie ogarnęli, ale ponieważ wyznaczył mnie na zastępcę do spraw operacyjno-szkoleniowych, będę miał jakiś wpływ na całość planu, zwłaszcza, że dobrze dogaduję się z Wilsonem, zastępcą do spraw zaopatrzenia.

Kiedy rozpakujemy pancerze, będziemy musieli dopasować je do poszczególnych żołnierzy. O ile wiem, w całym batalionie tylko ja znam się na pancerzach, więc będą musieli przysłać nam jeszcze jednego albo kilku techników. Nie znalazłem na ten temat żadnej wzmianki w korespondencji, ani ogólnej, ani GalTechu, żaden z moich kontaktów nic o tym nie wie, więc nie wiadomo, kiedy zjawią się ci technicy. W każdym razie na pewno miną dwa, trzy, a może i cztery tygodnie, zanim ktokolwiek z was włoży pancerz. Najpierw dostaniemy pancerze dowódcze, a potem pancerze dla sierżantów plutonów. Na końcu zajmiemy się bronią. Omówiłem to już z moim zastępcą, a on przekaże to podoficerom.

Na razie czekają nas cztery sesje ćwiczeń taktycznych bez żołnierzy. Najpierw będzie to potyczka samotnej kompanii w otwartym polu, potem większa bitwa kilku kompanii w otwartym polu, później obrona kompanii w dobrym terenie przed słabymi siłami wroga, a w końcu moje ulubione ćwiczenie: scenariusz spartański.

Ja wezmę na siebie rolę agresora. Nightingale, pani poprowadzi kompanię; musi pani poczuć, o co chodzi. Arnold, wprowadzicie panią porucznik w szczegóły.

– Zaznajomię panią porucznik z instrukcją gry.

– Tak jest. – Mike spojrzał na nowoprzybyłych oficerów. – Walka z Posleenami wymaga

elastyczności i całkowitego skupienia.

Bierzemy więc przykład z futbolistów i stosujemy coś w rodzaju kodu poleceń. Służy to dwóm celom. Po pierwsze, skraca czas potrzebny na wydanie rozkazu. Większość poleceń potrzebnych w walce da się ułożyć w zestaw prostych, dwuczłonowych komend. Po drugie, pomaga przezwyciężyć tak zwane „zahamowania bojowe”.

Chcę tak uwarunkować żołnierzy, żeby kiedy przyjdzie pora każdy z nich bez wahania otwierał ogień. Zatrzymać natarcie Posleenów to jak zatrzymać lawinę wodą z węży strażackich. Można to zrobić, ale trzeba by użyć całej wody świata. Każdy bez wyjątku sukinsyn ma strzelać. Zajmą się tym głównie podoficerowie. Chcę, żeby w miarę możliwości oficerowie nie mieszały się do niczego, chyba że zaczniemy aktywny trening na poziomie kompanii lub plutonu.

W sprawach dotyczących waszych plutonów proszę się zgłaszać do starszego sierżanta Pappasa lub do mnie.

Uporządkujcie dziś wszystkie swoje sprawy, bo jutro nie będzie już na to czasu. Według harmonogramu, ćwiczenia taktyczne zaczną się jutro. Od dziś aż do dnia przeprowadzenia Testów Gotowości Bojowej Sił Uderzeniowych Floty czeka nas szesnaście godzin szkolenia dziennie.

Rozejść się.

**Hrabstwo Rabun, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 17:23 standardowego czasu wschodniego USA, 3 lutego 2004**

Kiedy samochód zjeżdżał do malej doliny wśród wzgórz Georgii, Sharon O'Neal omal nie zawróciła.

Nigdy nie potrafiła zrozumieć swoich uczuć do ojca Mike'a.

Ten gburowaty, ale porządny człowiek czasem zwracał się do niej per „poruczniku” i traktował ją tak, jak dowódca traktuje swoich młodszych oficerów – uprzejmie, chociaż czasami ostro. Na jej żądanie ograniczał się z opowiadaniem dzieciom wojennych opowieści i rzadko robił to, gdy była w pobliżu. Przez lata dowiedziała się o nim jednak wystarczająco wiele, żeby zacząć go w pewien sposób rozumieć.

Być może miało to związek z jej doświadczeniami ze służby we Flocie, gdzie tak dotkliwie odczuwała odrzucenie przez klikę starych wiarusów. Mike Senior wtopiłby się bez trudu w grupę podoficerów czy nawet oficerów Floty, zwłaszcza tych, których powołaniem była walka na morzu. Byłby zupełnie nie do odróżnienia wśród żołnierzy Komanda Foki. Sharon nie wiedziała, czy to nie efekt jej uprzedzeń, ale zawsze czuła emanującą z niego pogardę, czy może poczucie wyższości.

Po wielu latach doświadczeń związanych z krótkością życia ludzkiego i sposobami skrócenia go jeszcze bardziej Michael O'Neal Senior wrócił na rodzinną farmę, żeby uprawiać zboże i dbać o rodzinę. Jego kolekcja broni, częściowo nielegalna, oraz kilku przyjaciół z podobnym zacięciem – to były jedyne pamiątki po poprzednim etapie życia. Sharon wiedziała, że odszedł z wojska w tajemniczych okolicznościach – co potwierdzał fakt, że nie objęto go razem z kumplami mobilizacją – i że spędził jakiś czas za granicą, wykonując tam jakieś wojskowe zadania, najbardziej jednak przeszkadzało jej jego poczucie wyższości. Teraz właśnie tego potrzebowała, ale wiedziała, że niełatwo przyjdzie jej powiedzieć mu to prosto w oczy.

Spojrzała na siedzącą obok Cally. Gdyby ktoś ją zapytał, które z jej dzieci ma szansę przeżyć w świecie ogarniętym wojną, wybrałaby Cally. Zazwyczaj starsze dziecko jest bardziej samolubne i afektowane, ale w przypadku jej córek było na odwrót.

Kiedy Michelle skaleczyła się w palec, dostawała spazmów; kiedy Cally wpadła na ścianę, wstawiała, ocierała krew z nosa i biegła dalej. Mimo to jednak miała zaledwie siedem lat. W dniu lądowania Posleenów miała mieć dziewięć, a jej tata i mama będą wtedy bardzo daleko.

Michelle wraz z członkami innych rodzin żołnierzy odleciała już statkiem kolonizacyjnym, który wiozł ją w bezpieczne miejsce. Program ten ostro krytykowano zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i za granicą. Okrzyknięto go produktem rasizmu, nacjonalizmu i każdego innego – izmu, jaki tylko przyszedł ludziom do głowy, ale mimo to nie przerwano go. Jeśli pulę ludzkich genów miano przenieść poza planetę (a w obecnych okolicznościach stworzenie takiej kopii zapasowej wydawało się rozsądnym rozwiązaniem), logika nakazywała wybrać geny reprezentujące najbardziej pożądane w przyszłości cechy. Federacja nie potrzebowała naukowców, polityków ani inżynierów – potrzebowała żołnierzy. Może było to okrutne, może niezbyt poprawne politycznie, ale za to sensowne, a Federacji chodziło tylko o to.

\* \* \*

Dom był kamienny, co było rzadkością w tej części gór, a zbudowano go na długo przed wojną secesyjną. O'Nealowie przybyli na ten teren wraz z pierwszymi osadnikami, kiedy przymusowo



przesiedlono stąd Czirokezów, dlatego dom zaprojektowano tak, aby był schronieniem przed zrozumiałym gniewem indiańskich wojowników. Pierwszy O'Neal był irlandzkim imigrantem, który przez kilka lat wydobywał złoto, a potem doszedł do wniosku, że można zarobić dużo więcej sprzedając żywność górnikom, niż kopiąc samemu. Wyzaczył więc działkę, na której z pomocą swoich kolegów – górników zbudował farmę.

Dom królował dumnie nad małą doliną, obfitującą we wszelkie bogactwa natury. Na południowym zboczu rozciągał się sad owocowy, poniżej szumiały leszczyny. Pola dzieliły się na grunty orne i pastwiska. Sześćset akrów żyznej ziemi nawet w tych trudnych czasach całkowicie zaspokajało potrzeby rodziny O'Nealów.

Rząd gromadził wszystkie artykuły spożywcze w zabezpieczonych magazynach w Górach Skalistych i Appalachach. Po inwazji z Amerykanów mogły zostać jedynie niedobitki, ale rząd Stanów Zjednoczonych zdecydował, że będą to dobrze wyżywione niedobitki. Niestety, nawet mimo przeznaczenia pod uprawy coraz to nowych obszarów, wprowadzenia na szeroką skalę zmodyfikowanych genetycznie roślin i rozkręcenia amerykańskiego rolnictwa po raz pierwszy w historii na pełną skalę, oznaczało to niedobory żywności. A niedobory były rzeczą, która przydarzała się innym narodom.

Nigdy Amerykanom.

Gdy Amerykanie wchodzili do sklepów spożywczych, oczekiwali uśmiechniętych sprzedawców i świeżych produktów na półkach. Teraz większość sprzedawców chodziła w mundurach, a produkty zamiast na półki wędrowały do jaskiń w górach. Zbiory pszenicy były o dwadzieścia pięć procent wyższe niż kiedykolwiek w historii, ale brakowało chleba.

Nawet właściciele małych gospodarstw rolnych, tacy jak Dziadek O'Neal, musieli zgłaszać wielkość swoich zbiorów, ale rząd nie próbował ani nie chciał kontrolować każdego akra ziemi.

Ogród O'Nealów zaopatrywał więc rodzinę w świeże warzywa przez całe długie lato, kiedy Sharon oczekiwała powołania do wojska, a Mike przesiadywał na nie kończących się wystąpieniach i paradach.

Wszystko wskazywało na to, że jedno z nich może nie wrócić z wojny i że prawdopodobnie będzie to Mike, a szansę na przeżycie Cally były niewielkie. Jako inżynier wyspecjalizowany w dziedzinie konserwacji maszyn, Sharon spodziewała się urzędniczego przydziału do Bazy na Tytanie. Byłaby tam stosunkowo bezpieczna. Niestety nie mogła zabrać ze sobą ani męża, ani starszej córki.

Kiedy w zapadającym zmroku podjechała pod dom, w drzwiach wejściowych pojawiła się mała sylwetka jej teścia – człowieka, po którym Mike odziedziczył wrodzoną siłę, ale i mizerny wzrost.

\* \* \*

– Tato?

– Tak?

Siedzieli w pokoju gościnnym. Czulo się, że w tym domu od dawna nie przebywała żadna kobieta, mimo że panował tu idealny porządek. Płonący na kominku ogień wyganiał z domu chłód zimowego wieczoru. Sharon trzymała w ręku szklanek białego wina, które powoli robiło się ciepłe. Zastanawiała się, czy odważy się poprosić o lód. Mike Senior ścisnął w dłoni kufel równie ciepłego już piwa. Oboje siedzieli tak odkąd położyli Cally spać, a w ich głowach kłębiło się coraz więcej nie wypowiedzianych myśli.

– Muszę cię o coś zapytać. To nie ma nic wspólnego z tym wszystkim, z Cally, ale to dla mnie

bardzo ważne. – Przerwała, zastanawiając się, co powiedzieć Zastanawiając się, czy w ogóle powinna pytać. Czy rzeczywiście chciała znać odpowiedzi?

– Dlaczego odszedłeś z wojska?

– Cholera – powiedział O’Neal, wstał i poszedł do kuchni. Wylał do zlewu ciepłe piwo, wyciągnął z lodówki wiaderko lodu i wrzucił dwie kostki do szklanki Sharon. Potem wyjął pękata butelkę bimbru. Nalał do szklanki na dwa palce, wypił zawartość jednym haustem i skrzywił się. Potem nalał sobie jeszcze raz i wrócił z butelką w rękę na fotel.

Fotel przykryty był włochatą, krowią skórą. Wyglądał jak cały dom: był surowy, solidny, mało wygodny i kompletnie nieestetyczny. O’Neal Senior usiadł na nim z westchnieniem.

– Wiedziałem, że kiedyś do tego dojrzejesz.

– Skąd? – Sharon zamieszała palcem wino z lodem i wypięła łyk, kiedy się trochę ochłodziło.

– Nigdy o to nie pytałaś. I wiem, że nigdy nie pytałaś Mike’a.

– Pytałam. Powiedział, żebym sama cię zapytała.

– Kiedy? – Nalał sobie kolejną porcję bimbru.

– Niedługo po tym, jak cię poznałam. Zapytałam go, co się z tobą dzieje, wiesz, dlaczego jesteś taki...

– Pomyłony? – spytał.

– Nie, tylko... no...

– Niech będzie ekscentryczny – podpowiedział i wzruszył ramionami.

– Może być, ekscentryczny. I Mike powiedział mi, że masz za sobą ciekawą karierę. A ty opowiadałaś o różnych rzeczach, ale nigdy o tym. A o Wietnamie prawie wcale.

Przekrzywiła głowę na bok.

– W którym roku się urodziłaś? Siedemdziesiątym drugim? – zapytał szorstko.

– Trzecim.

– Zastanówmy się... – Mike Senior podrapał się w podbródek.

Tak bardzo przypominał w tej chwili Mike’a Juniora, że Sharon aż wstrzymała oddech.

– W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim – ciągnął – byłem w Bragg, ale w siedemdziesiątym czwartym wróciłem do Wietnamu.

– Myślałam, że wycofaliśmy wojska w siedemdziesiątym drugim i trzecim – zdziwiła się Sharon.

– Tak było, jasne... – Uśmiechnął się chytrze. – Wycofaliśmy wszystko, oprócz Grupy Badawczo-Obszerwacyjnej.

– Czego?

– GBO. Co to było GBO? – spytał retorycznie. – Cóż, byliśmy chłopakami, których absolutnie nie mogłabyś przedstawić swoim rodzicom ani Kongresowi, co zresztą na jedno wychodziło. Bandą ciężkich przypadków, dla których wojna po prostu nie mogła się skończyć. Nie mogliśmy przegrać, dlatego wymyślono, jak wysłać nas z powrotem do dżungli.

Komando Foki, LRPS, Rangersi, Phoenix, Siły Specjalne, zwiadowcy piechoty morskiej. Wszyscy tam byli. Generalnie chodziło o zemstę. Dowództwo wiedziało, że wojna jest już przegrana. Cholera, oficjalnie się wycofaliśmy, ale pozostało kilka celów, które nie powinny były przeżyć i kilka sytuacji, które trzeba było raz na zawsze wyjaśnić.

Wypił łyk czterdziestoprocentowego alkoholu i spojrzął na strzelający ogień, a jego myśli wybiegły daleko w czasie i przestrzeni.

– Naprawdę nie rozumiałem wtedy tych jebanych Wietnamczyków. Vietcong to były takie zimne skurwysyny. Robili rzeczy, na wspomnienie których jeszcze dziś budzę się zlanym zimnym potem.

Ale niektórzy z nich, cholera, może nawet większość z nich, robili to dlatego, że byli patriotami. Może niektórzy mieli z tego pieprzoną przyjemność, ale większość brzydziła się tym tak samo, jak ja.

Robili to, bo ich zadaniem było zjednoczenie Wietnamu pod rządami komunistów, i wierzyli w to tak samo głęboko, jak ja wierzyłem, że komunizm to wcielone zło. Minęło piętnaście cholernych lat, zanim doszedłem do tego wniosku. – Pokręcił głową na myśl o starych, głębokich aż do kości ranach.

– W każdym razie mieliśmy rozwiązać ostatecznie kwestię kilku co bardziej nieprzyjemnych przykładów materializmu dialektycznego.

W pamięć zapadły mi dwa cele. To była jedna z niewielu sytuacji, kiedy linia dzieląca czerń od bieli była wyjątkowo cienka.

Często jest wyraźna, ale w większości przypadków chodzi tylko o różne odcienie szarości. W tym przypadku było dwóch ludzi, którzy nie mogli się dogadać, jak bardzo szary jest ich cel. Obaj byli skończonymi skurwielami, bez dwóch zdań, ale jeden z nich był oficjalnie po naszej stronie, a drugi oficjalnie po stronie przeciwnej. W końcu uznałem, że mam dość takich oficjalnych różnic, więc zabiłem ich obu.

Sharon spojrzała na masywną, kryształową szklanę, którą Mike Senior ścisnął w dłoni. Widniał na niej napis, tak starty, że z trudem można go było odczytać: De Oppresso Liber, „Uwolnić Uciśnionych”. Jakże to wzniosłe motto nie pasowało do diabelskiego kotła południowo-wschodniej Azji, gdzie uciśnieni często przedkładali ucisk nad wolność, gdzie wrogowie okazywali się przyjaciółmi, a przyjaciele wrogami. Dla zwykłych żołnierzy było to miejsce nieustannego strachu przed pułapką, miną i snajperem. Dla tych, którzy rządzą dżunglą, pozostawała ciągła obawa przed zdradą, przed nożem wbitym w plecy. Nawet teraz, po trzydziestu latach, dżungla ze wspomnień zdawała się chwytać siedzącego naprzeciw Sharon człowieka za gardło.

– Oczywiście wkurwiło to trepów z góry, chociaż trudno było znaleźć jakiś racjonalny powód, dlaczego. Ale wtedy każdy był w coś zamieszany. Niektórzy przemycali narkotyki na cały świat, inni przerzucali racje żywnościowe na front. A ja? Także wywiozłem z Wietnamu trochę rzeczy, co oczywiście nie spodobało się Federalnemu Biuru ds. Alkoholu, Tytoniu i Broni. W każdym razie wyciągnęli tę sprawę razem z kilkoma innymi i postawili mnie przed sądem wojskowym za przemyt i czarnorynkowy handel. Dostałem dwadzieścia lat w Leavenworth. Zamknięto mnie mniej więcej w tym czasie, kiedy urodził się Mike. Po trzech latach złożyłem apelację i byłem wolny. – Zaśmiał się cicho na to wspomnienie, a Sharon zdała sobie sprawę, że to zaczyna działać bimber.

– Mogłem wtedy, właściwie powinienem był wrócić do domu.

Ale nie chciałem być synem marnotrawnym; nawet gdybym miał przerzucać świński gnój, chciałem wrócić dopiero wtedy, kiedy zostanę szefem gnojowników. Kumpel powiedział mi, gdzie potrzebują kogoś z moimi umiejętnościami i gdzie mogę spotkać kogoś ze starych znajomych. Federalnym by się to nie spodobało, ale, do diabła, im się nie podoba wszystko, nad czym nie mają bezpośredniej kontroli, a pozwalają na każde zło, które sami mogą kontrolować. I tak znowu zostałem żołnierzem. Tym razem po swojej własnej stronie. Wiesz, ja i moi kumple wygrywaliśmy cholerne bitwy, ale nigdy nie mogliśmy wygrać żadnej przeklętej wojny! Za każdym razem to znowu był Wietnam.

W Rodezji jeden zespół mojej jednostki, RSAS, zabił najwięcej w historii wrogów. Pięciu gości zmiotło cały pułk partyzantów!

Łup i nie ma! A i tak przegraliśmy tę przeklętą wojnę. Właśnie wtedy, po Rodezji, poczułem, że mam już dość. Zarabiałem wprawdzie na życie, ale nic z tego nie wynikało – za każdym razem przegrywaliśmy. Więc wróciłem do domu i zostałem farmerem, tak jak mój ojciec, jego ojciec

i ojciec jego ojca. I pewnego dnia, jeśli Bóg zechce, Mike też tutaj powróci i opuści to miejsce dopiero nogami do przodu.

Spojrzał na synową rozognionym wzrokiem, a ona zdała sobie sprawę, że wreszcie mówi do niej jak żołnierz do żołnierza, a nie jak do cywila w mundurze.

– Wiedz jedno, Sharon – a być może to ostatni raz, kiedy mam okazję doradzić coś młodemu oficerowi – trzeba bardziej uważać na przyjaciół niż na wrogów. Możesz stawiać opór wrogom, ale cholernie ciężko jest bronić się przed sojusznikami. – Potrząsnął głową, dolał sobie whisky, a ogień w jego duszy nagle przygasł.

– Tato?

– Tak, poruczniku? – O’Neal nie podniósł wzroku znad kubka z bimbrem.

– Cieszę się, że go zastrzeliłeś. Gdybyś tego nie zrobił, nie byłoby cię tu teraz z nami. – Uśmiechnęła się lekko. – Niezbadane są wyroki boskie.

– Hmm. Cóż, właściwie go nie zastrzeliłem. Użyłem noża.

Chciałem widzieć jego oczy. – Pokręcił głową i chlusnął resztką whisky do ognia, który rozbłysnął jak latarnia morska pośród nocy.

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 17:23 letniego czasu wschodniego USA, 23 maja 2004**

Prezydent nachylił się w fotelu, oglądając nagranie z Barwhon.

Obraz przedstawiał rozległy teren otoczony niebotycznymi drzewami i bagnami, na którym walał się gruz, strzepy ubrań i podarte namioty. Na pierwszym planie wyraźnie widać było rozerwane poliestrowe opakowania po racjach żywnościowych, w których odbijała się wszechobecna purpura barwońskiego nieba.

Komentarz reportera nie był potrzebny. Wcześniej pokazano zdjęcia sprzed tygodnia, zrobione podczas wizyty w centrum dowodzenia pierwszej dywizji piechoty. Tam, gdzie przedtem krzatali się żołnierze kwatermistrzostwa i urzędnicy brygady, teraz walał się tylko potrzaskany sprzęt i strzepy mundurów kamuflujących. Nigdzie nie było widać ani jednego ciała.

Błąd był całkiem banalny. Wycofanie batalionu z linii frontu, drobne spóźnienie zmienników, nieoczekiwany atak Posleenów. Na tyłach znalazła się nagle horda obcych odpowiadająca liczebnością dywizji. Podczas gdy oskrzydłone flankowe brygady dywizji walczyły o przetrwanie, Posleeni przeszli przez lekko uzbrojone i niedoszkolone oddziały zaplecza jak piła tarczowa przez balseę.

Nadal szacowano ostateczną liczbę poległych. Jak zawsze w przypadku walki z Posleenami, najdłuższa była lista zaginionych w akcji. W praktyce wszystkich można było uznać za zabitych. Wielu z nich stało się pożywieniem dla Posleenów, inni zginęli w bezkształtnej masie, jaką zrobiły z obcych przybyłe z odsieczą jednostki pancerzy wspomaganych.

Pancerze, tym razem batalion brytyjski, szły na czele idących z odsieczą dywizji. Nacierając z silnym wsparciem ogniowym, przebiły się przez centaurów i ocalały niedobitków amerykańskiej dywizji piechoty. Potem przy pomocy oddziałów francuskich wycięły resztę Posleenów w pień.

Mimo to straty były ogromne. Większość żołnierzy dywizji zaginęła, co oznaczało, że byli martwi. A przed zbliżającymi się wyborami prezydent nie mógł sobie pozwolić na krytykę spowodowaną taką porażką.

Wyłączył telewizor i odwrócił się do Sekretarza Obrony Narodowej.

– I co ty na to? – zapytał.

– To w sumie nie pierwszy raz... – zaczął Sekretarz, ale nie zdążył dokończyć zdania.

– Nie w tym roku. W pierwszym roku walk ponieśliśmy duże straty, ale to pierwsza poważna klęska w tym.

– Chińczycy właśnie dostali wycisk na planecie Irmansul, panie prezydencie – wtrącił się jego Doradca do spraw Bezpieczeństwa Narodowego. Były dowódca piechoty potarł nos. Przez pierwszy tydzień działalności w administracji powiedział, co miał do powiedzenia. Teraz czekał na efekty.

– Ale nie siły NATO! – warknął prezydent. Pakt w zasadzie rozwiązano, ale tego terminu nadal używano na określenie jednostek pochodzących z krajów „Pierwszego Świata”. Siły NATO otrzymywały od Galaksjan o wiele większe fundusze niż armie innych części świata: dywizja NATO kosztowała Galaksjan dwanaście razy więcej niż dywizja Chińczyków. – Irmansul dostało tyle, za ile zapłaciło! Ale nas nie stać na takie straty. To się musi skończyć!

– To jest wojna, panie prezydencie – powiedział Sekretarz i spojrzawszy ukradkiem na Doradcę do spraw Bezpieczeństwa. – Czasem się wygrywa, a czasem przegrywa.

– Ja nigdy nie przegrywam, Robby – rzucił gniewnie prezydent. – I zaczynam się zastanawiać,

czy tak samo jest z naszymi dowódcami.

– Nie odpowiada panu obsada stanowisk dowódczych, panie prezydencie? – zapytał Sekretarz.

– Nie wiem – odparł z przekąsem prezydent. – A jak wam się wydaje? Oglądam w wiadomościach te wszystkie reportaże o problemach ze szkoleniem i dyscypliną, a potem aż mi dudni w uszach od sporów, czy bronić równin nadbrzeżnych. A teraz to. Nic dziwnego, że się zastanawiam, czy na odpowiednich miejscach są odpowiedni ludzie!

– Jest kilka problemów, które obecnie... – zaczął Sekretarz i znów nie skończył, – Nie chcę słyszeć o żadnych problemach! – nie wytrzymał prezydent. – Chcę wreszcie usłyszeć o efektach! Macie jakieś sugestie?

Sekretarz Obrony w końcu pojął, czego chce prezydent – głowy twórcy „programu obrony”. Zważywszy na rozpoczętą kampanię, chce zrzucić z siebie odpowiedzialność za klęskę na Barwhon i wskazać winnego. Najlepiej byłoby go znaleźć na odpowiednio wysokim szczeblu, tak, by opinia publiczna miała wrażenie, że administracja „coś w tej sprawie robi”. Sekretarz zrozumiał nagle, że nie powinien wyskakiwać z rezygnacją.

– Myślę, że musimy zastanowić się nad zmianami w Dowództwie Sił Lądowych – powiedział ostrożnie.

– Myślę, że musimy zastanowić się nad czymś więcej – powiedział prezydent. – Musimy zmienić wszystkich ludzi na stanowiskach wyższych dowódców i zreorganizować strukturę dowodzenia.

Doradca do spraw Bezpieczeństwa Narodowego ukrył uśmiech.

Faktycznie, ziarno trafiło na żyzny grunt.

\* \* \*

Na twarzy generała Jacka Hornera wykwitł szeroki, pozbawiony wesołości uśmiech. Słynny uśmiech, na który nabrało się już wielu jego podkomendnych.

– Co zrobił?!

Generał Jim Taylor, szef sztabu w Głównym Dowództwie Sił Lądowych, uśmiechnął się szeroko, nie przestając balansować na palcu nożem bojowym fairbairn.

– Wywalił dowódcę i jego zastępcę. – Jim Taylor nie żałował zastępcy dowódcy. Miał już do czynienia z wieloma żołnierzami piechoty morskiej, a tego uważał za zwykłego cywila w czapce marines. – I całkowicie zmienił strukturę dowodzenia. Najwyższy Dowódca został szefem szkolenia, wywiadu, logistyki i tak dalej.

Włącznie z Dowództwem Zaopatrzenia Baz Obronnych.

– DowArKon. – Drugi generał westchnął zrezygnowany. Przynajmniej jego stanowisko wreszcie nazwano po imieniu. Od czasu, gdy dwa lata temu wykonał swoje zadanie w filii piechoty Zarządu Technologii Galaktycznych, zajmował stanowisko w DowArKon.

Przyniosło mu to sporo frustracji. Nie tylko dlatego, że marnowało się w ten sposób jego doświadczenie bojowe, ale także dlatego, że ponosił odpowiedzialność za bazy, nad którymi nie miał właściwie kontroli. Był „właścicielem” baz i „dowodził” ich obsadą, ale nie był zwierzchnikiem jednostek w nich stacjonujących. A jednostki te w dużej części składały się z rebeliantów, więc prawie codziennie wybuchały zamieszki. Koszty usuwania skutków tych zamieszek pokrywano z jego budżetu. Patrzył więc, jak jego wspaniale zapowiadająca się kariera wali się teraz w gruzy z powodu cudzych przewinień.

– Właśnie, że nie – powiedział generał Taylor. – Dowództwo Armii Kontynentalnej to największa zmiana. Bezpośrednio pod Najwyższym Dowódcą będą dwa stanowiska: DowArKon

i Dowództwo Korpusu Ekspedycyjnego. Dowódca DowArKon będzie bezpośrednio dowodził wszystkimi rodzajami sił zbrojnych w kontynentalnych Stanach Zjednoczonych.

Siwy generał, do którego zwracał się Taylor, gwałtownie poderwał się z fotela i wbił w niego lodowate spojrzenie błękitnych oczu.

– Żartujesz?!

– Nie – powiedział Taylor, szczerząc się w uśmiechu. – Chcę ci jeszcze coś powiedzieć, zanim sam o to zapytasz. Tak, Jack, zatrzymasz swoje stanowisko. Mówię to jako nowy Najwyższy Dowódca – dodał i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Generał Jack Horner usiadł z powrotem w fotelu i na jego zazwyczaj ponurej twarzy pojawił się rzadko tam widywany, prawdziwy uśmiech.

– Gratuluję. Jezu, jednak Bóg istnieje.

Taylor wzruszył ramionami i rzucił nożem w korkową tarczę ze zdjęciem Jar-Jar Binksa.

– Ale są też inne problemy. Chciał znowu wrócić do dawnego planu, ale chyba wybiłem mu to z głowy. Musimy za to utrzymać wojska na równinach nadbrzeżnych podczas głównej inwazji.

– Aha – powiedział Horner i znowu słabo się uśmiechnął. – Super.

– Tak. Prezydent ma w tym swój cel: opinia publiczna protestuje przeciwko całkowitej utracie równin. Zniszczyłoby to kraj, gdybyśmy wycofali się w Appalachy i Góry Skaliste, oddając wszystkie główne miasta...

– Niezły tekst – przerwał mu Horner. – Zamierzasz kandydować do Kongresu?

– Uważaj, co mówisz, partnerze. – Taylor uśmiechnął się ostrzegawczo. – Nie, nie zamierzam, ale to prawda.

– Sir – powiedział oficjalnie Horner – nie ma możliwości obrony równin.

– Nie zrozum mnie źle, Jack. Wiem o tym i nie zamierzam marnować naszych chłopaków, próbując to zrobić. I prezydentowi też na to nie pozwolę. Musimy jednak wymyślić plan obrony niektórych kluczowych miast.

– Których? – Generał Horner zmarszczył czoło. – To jeszcze jakoś przeżyję, jeśli tylko nie będziemy musieli za bardzo rozciągać linii.

– Cóż, to jeszcze ustalimy. Ale obiecałem, że w pierwszej kolejności będziemy bronić historycznych miast.

Horner kiwnął głową.

– Wiesz, już się w to kiedyś bawiłem. Obrona centralnej części wszystkich głównych miast. Ale tego nie da się zrobić w warunkach pełnego zaludnienia.

– To samo mu powiedziałem. Zaplanujemy ewakuację wszystkich mieszkańców, z wyjątkiem żołnierzy i niezbędnych cywilów. Nie zostaną żadne dzieci.

Horner przytaknął i znowu zmarszczył czoło.

– Dobrze. To właściwie będzie nawet lepszy plan obrony.

Taylor kiwnął głową z ponurym uśmiechem.

– Miasta częściowo odciągną wroga od górskich fortyfikacji.

– Poza tym zatrzyma to część Posleenów w tych miejscach, do których mogą dosięgnąć nasze odnowione pancerniki – zauważył Horner. – Do końca tygodnia sporządzę listę miast wytypowanych do obrony. Na pewno będzie wśród nich Norfolk, Dystrykt Kolumbia, San Francisco i Nowy Jork.

– Dobra. I zacznij się zastanawiać nad sposobem ewakuacji obrońców, gdyby zrobiło się za gorąco. Będą musieli się przygotować na pięcioletnią obronę bez wsparcia z zewnątrz. Ale jeśli Posleeni wedrą się wcześniej, musimy mieć plan ucieczki.

– To jeszcze jedno zadanie dla jednostek pancerzy wspomaganych – powiedział Horner. Znał

już nazwisko człowieka, który napisze tę część planu. Zawsze trzeba dzwonić do eksperta.



**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 06:05 letniego czasu wschodniego USA, 28 maja 2004**

– Dzień dobry, panie profesorze!

Wielebny doktor Nathan O'Reilly, kierownik Wydziału Archeologii i Historii Starożytnej Reagan podniósł wzrok znad ekranu komputera i oczy mu się zaświeciły. Młoda kobieta stojąca w progu była nie tylko jedną z jego ulubionych byłych studentek, ale też wielką plotkarą. A ponieważ w swojej nowej pracy często słyszała plotki, które go interesowały, zawsze z przyjemnością się z nią widywał.

– Kari! Wejdz – powiedział wstając i odsuwając dla niej fotel. – Kawy?

– O, nie! – zaprotestowała. – Nie mogłabym wypić ani kropli więcej. Pracowałam całą noc i zaraz idę do łóżka!

– Od kiedy to Biuro Protokołów Białego Domu pracuje na nocną zmianę? – zdziwił się O'Reilly. Wypił łyk kawy i spojrzał na cezowo-kwarcowy zegar na ścianie. Wśród dziwacznej kolekcji starożytnych alembików, zabytków archeologicznych i starych książek zegar wyglądał jak reaktor jądrowy w rzymskim Koloseum.

Był prezentem od innego byłego studenta. Nowomianowany wiceadmirał Floty Federacyjnej wręczył go swojemu staremu mentorowi i zażartował, że profesor będzie teraz wiedział, który mamy wiek. Zegar wskazywał, że Kari wraca do domu tuż po szóstej rano.

O'Reilly z doświadczenia wiedział, że Kari, poza tym, że była ładna i bardzo bystra, była też trochę leniwa. Profesor nigdy by się nie spodziewał, że jest zdolna przepracować całą noc.

– Och! – zawołała, odrzucając z twarzy niesforny kosmyk włosów. – To takie ekscytujące! Tirianin Lord Dol Nok przyjeżdża z oficjalną wizytą! I na samym początku przyjedzie właśnie tutaj!

– Kari, Kari – próbował ją uciszyć profesor – uspokój się, skarbie. „Właśnie tutaj” to znaczy na Uniwersytet George'a Masona czy do Waszyngtonu?

– Do Waszyngtonu! Zamierza spotkać się na szczycie z prezydentem Edwardsem i sfinalizować sprzedaż ciężkiej broni dla centrów obrony planetarnej w Stanach Zjednoczonych!

Profesor pokręcił głową. Kari była cudowną dziewczyną, ale było za wcześnie, by aż tak się entuzjasmować.

– To wspaniała wiadomość. Ale czemu pracowałaś całą noc?

– Och – westchnęła teatralnie – spotkanie odbędzie się dopiero za kilka miesięcy, ale protokoły umów z Wielkim Tirianinem są strasznie skomplikowane. Wcześniej w Białym Domu sądzono, że jedyne protokoły tego rodzaju sporządzali Chińczycy. Ale to nie jest prawda. Udało mi się przekonująco wykazać, że istnieje podobieństwo do znanych egipskich motywów...

O'Reilly przechylił się do przodu i skupił na dziewczynie całą swoją uwagę. Chociaż z pozoru Kari sprawiała wrażenie głupiej blondynki, była jedną z najbystrzejszych młodych dziewcząt, które miał zaszczyt nauczać. Odznaczała się większą nawet niż on sam zdolnością dostrzegania wzajemnych oddziaływań dawnych społeczeństw. Gdyby jeszcze nie była taką papłą i miała choć minimalne pojęcie o tym, co dzieje się dookoła niej, byłaby idealnym kandydatem do Societe.

Pokiwał głową, kiedy zauważyła zadziwiającą zgodność protokołów sądowych z epoki minojskiej i protokołów Darhelów. Profesor był świadom tego podobieństwa, a nawet zwrócił jej na to uwagę podczas ostatniej wizyty. W przeciwieństwie do Kari wiedział, skąd biorą się te zbieżności. Protokoły minojskich sądów wzorowano na protokołach egipskich i fenickich. Odkąd

został członkiem Societe, to, co miał do powiedzenia o imperium Majów, Egipcie i Fenicji, nie nadawało się do umieszczenia w podręcznikach. I właśnie to bolało go najbardziej.

– W każdym razie – zakończyła swój wywód Kari – musimy całkowicie zmienić plan. Przysięgam, ci idioci z Departamentu Stanu myślą, że Darhelowie to tylko dziwnie wyglądający Chińczycy albo coś w tym rodzaju! Nie mają pojęcia, jak z nimi postępować. Niech pan sobie wyobrazi, że chcieli serwować pieczeń wołową wegetarianom!

– Departament Stanu jest zazwyczaj bardziej kompetentny – zaśmiał się profesor. – Ciekawe, czy zajmowali się już wcześniej zwyczajami Darhelów?

Wiedział, że tak. Kari nie była jedyną byłą studentką, która od czasu do czasu wpadała do niego na pogawędkę.

– Nie wiem, który matoł przygotował menu – odpowiedziała – ale na szczęście udało się to naprawić. Wcześniej najwyraźniej przeoczono tę sprawę.

– Widzę, że dobrze ci idzie – powiedział z uśmiechem profesor.

– Och, nie wiem – westchnęła, a jej zazwyczaj uśmiechnięta twarz spochmurniała. – Jaki to ma sens? I tak będziemy mieli piekło na ziemi, niezależnie od tego, jak dobrze sporządzę protokoły.

– Wszyscy musimy robić swoje. – Profesor uśmiechnął się pocieszająco – Pomyśl o tych biednych ludziach, którzy harują w fabrykach, czy chociaż sklepach całodobowych. Ty przynajmniej pracujesz w Białym Domu.

– Hmm. – Kari zmarszczyła czoło w zamyśleniu. – Ale ostatnio czuję, że powinnam robić coś więcej.

– Na przykład?

– Lany zaproponował mi stanowisko w swoim sztabie.

– Chcesz się zaciągnąć do Floty? – zapytał profesor, zaskoczony.

– Nie zaciągnąć. Zostać oficerem. Potrzebują oficerów, którzy mogliby być łącznikami z Indowami i Darhelami.

Przez chwilę patrzył na nią ponuro. Jeśli Kari opuści Biały Dom, on straci dobre źródło informacji, ale i ona będzie się czuła jak ryba wyjęta z wody. Nie miała pojęcia, jak bardzo wojskowe życie różni się od tego, które do tej pory znała.

– Kari – zapytał ostrożnie – powtórz, po co ten przyjeżdża z wizytą Tirianin?

Uniosła brew i przekrzywiła głowę.

– Jest pewien problem z ciężką bronią grawitacyjną dla centrów obrony planetarnej. Galaksjanie nie zdążą wyprodukować przed inwazją planowanej ilości. Poza tym nowy plan obrony miast będzie wymagał więcej broni, niż szacował Pentagon. Tirianin przyjeżdża, żeby ostatecznie ustalić ilość uzbrojenia nie tylko dla Stanów Zjednoczonych, ale i dla całego świata.

– Hmm – mruknął profesor, kiwając głową. – Myślisz, że Tirianin byłby bardziej przychylnie nastawiony do prośby Stanów Zjednoczonych o więcej broni, gdyby prezydent uściśnił mu dłoń i udał się z nim na obiad, na którym podano by pieczeń?

– Och! – Kari spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Twarz starszego mężczyzny rozjaśnił zachęcający uśmiech. Kari pomyślała, że kiedy profesor uśmiecha się w ten sposób, wygląda na młodszego o trzydzieści lat. Nadal miał najbardziej zielone oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Zastanawiała się przez chwilę, jaki był za czasów młodości. Wiedziała, że późno wybrał swój obecny zawód i że miał płomiennorude włosy, zanim osiwił. Pewnie był niezłym podrywaczem.

– Zamierzasz przyjąć propozycję pracy we Flocie? – zapytał.

– Nie – pokręciła głową. – Pańska logika jest jak zwykle doskonała. – Odwzajemniła uśmiech.

– A pan?

Tym razem on wyglądał na zakłopotanego.

– Cóż, ministerstwo nie uznało za konieczne przywrócić do służby byłego młodszego oficera, niezależnie od jego późniejszych osiągnięć.

Kari pokręciła głową.

– Idioci. Mogliby wysłać pana do wywiadu Floty. Rozumie pan Galaksjan i Posleenów lepiej, niż ktokolwiek w wojsku.

Twarz profesora nie zdradziła przerażenia, jakie wywołała w nim ta uwaga. Wydawało mu się, że starannie ukrywa fakt posiadania znacznej wiedzy na temat galaksjańskich „sojuszników” i ich domniemanych wrogów. Najwyraźniej nie był dość ostrożny.

– Cóż, wydaje mi się, że wiedza o ludzkości, jej wadach i zaletach jest wystarczającą podstawą do wyciągania wniosków o naszych sprzymierzeńcach i wrogach. W końcu nie różnimy się od nich aż tak bardzo.

Kari przytaknęła i ziewnęła.

– Och – zawołała i zakryła usta ręką. – Przepraszam!

– Nic nie szkodzi, moja droga – powiedział profesor i puścił do niej oko. – Chyba musisz się przespać.

Kari wstała, a profesor pożegnał ją staroświeckim ukłonem.

Dziewczyna zatrzymała się w otwartych drzwiach.

– Będę bardzo zajęta przez jakiś czas, więc nie będę mogła się z panem spotykać. Proszę na siebie uważać, profesorze.

– Ty też, moja droga. Ty też. Zdecydowanie powinnaś na siebie uważać.

Usiadł i wrócił do analizy widocznych na ekranie tabliczek pokrytych pismem sanskryckim, ale w jego głowie kłębiły się różne myśli. Zaczął nucić piosenkę, dawno zapomnianą i śpiewaną już tylko przez dzieci w przedszkolu.

– „Jankes pojechał do miasta na swoim kucyku...”

**Fort Indiantown Gap, Pensylwania, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 10:23 letniego czasu wschodniego USA, 6 czerwca 2004**

– Czy on kiedykolwiek odpuszcza? – zapytała porucznik Nightingale, wchodząc na zadaszony ganek kwatery głównej kompanii.

Wysoka i chuda jak chart zastępca dowódcy została właśnie obsobaczona przez O’Neala. Zatrzymała się na chwilę w cieniu, żeby zapanować nad sobą przed powrotem do żołnierzy.

– Nie wydaje mi się – odpowiedział porucznik Arnold, towarzysz jej niedoli. Wysoki, łysiejący trzydziestoletni dowódca plutonu wsparcia pokręcił głową.

Do chwili przybycia drugiej fali poborowych pełnił funkcję zastępcy dowódcy kompanii Bravo. Doskonale wiedział, jakie wymagania stawia ich dowódca. Przyzwyczyił się do nich. Teri miała z tym kłopoty.

Według kapitana, przewinienia dwojga poruczników były wprost niezliczone.

Zadaniem zastępcy dowódcy było dopilnowanie prawidłowego funkcjonowania jednostki oraz nauczenie się dowodzenia kompanią. O’Neal jednak powierzył „ustawienie” kompanii swojemu niezwykle kompetentnemu starszemu sierżantowi i oczekiwał, że Nightingale będzie tak samo umiejętnie dowodzić kompanią w walce, jak on. Jak dotąd nic z tego nie wyszło.

Nie potrafiła dostosować swojego stylu dowodzenia do wymogów oddziałów bojowych. Uprzejmość, która zjednała jej techników z dowodzonej przez nią wcześniej kompanii wywiadowczej, przez żołnierzy piechoty była odbierana jako oznaka słabości. Poza tym Nightingale wydawała się nie mieć zmysłu taktycznego. Nie ulegało wątpliwości, że w praktycznych działaniach jest nowicjuszem. Kapitan O’Neal postawił sprawę jasno: porucznik miała dostać w swoje ręce jego kompanię i musiała umieć sobie z tym poradzić.

W przypadku Arnolda problemem była nowa broń i związana z nią taktyka. Musiał się oswoić z zasięgami ognia i manewrami, których nigdy wcześniej nie brał pod uwagę. Jednocześnie nadzorował szkolenie żołnierzy w użyciu broni, o której dotąd nawet nie śnili.

Wojsko wyciągnęło wnioski z walk na Diess i Barwhon; plutony pancerzy wspomaganym posiadały teraz tak niesamowitą siłę ognia, że żartobliwie nazywano je Ponurymi Żniwiarzami.

Początkowo wyposażone były w automatyczne moździerze kaliber 75 mm i terawatowe lasery. Działania na Diess pokazały, że wbudowane w pancerz granatniki są lepsze od automatycznych moździerzy na krótszych dystansach, a lasery są zbyt duże i niewygodne do dźwigania przy gwałtownych manewrach formacji stosowanych w jednostkach pancerzy. Wycofano więc moździerze i lasery, a na ich miejsce pojawiła się duża różnorodność broni specjalnej, przeznaczonej do montowania na pancerzu. Spośród tej broni dowódca plutonu miał wybrać taką, która będzie najbardziej skuteczna podczas planowanej misji. Ponieważ żadna akcja nigdy nie poszła tak, jak za planowano, najczęściej wybór okazywał się nietrafiony.

Jeśli misja polegała na udzieleniu pośredniego wsparcia ogniowego, dowódca plutonu najczęściej wybierał osobiste multimoździerze – ulepszone granatniki. Do każdego pancerza wspomaganego dołączano cztery: po jednym na ramię i po jednym na rękę. Strzelały granatami kaliber 60 mm z ogromną dokładnością na odległość do pięciu mil, jednocześnie dając możliwość wyboru jednego z czternastu typów amunicji.

Podstawowym typem granatu był odłamkowo-burzący, który mógł zostać nastawiony na detonację zbliżeniową, uderzeniową lub detonację z opóźnieniem. Pozostałe typy reprezentowały

coraz wyższe poziomy zaawansowania, od „ulepszonej amunicji konwencjonalnej”, na przykład granatów kasetonowych po granaty z antymateria o promieniu rażenia większym niż zasięg mózdzierza. Każdy człowiek czy Posleen w strefie oddziaływania tego ładunku bez pancerza ochronnego zostałby po prostu usmażony. Na nieszczęście dla wszystkich zainteresowanych, ciężka broń zużywała zapas amunicji w pancerzu w ciągu zaledwie dwudziestu sekund. Ponurzy Żniwiarze żartowali, że każdy z nich potrzebuje co najmniej jednego plutonu piechoty do noszenia amunicji.

Jeśli misja przewidywała bliskie wsparcie ogniowe, mieli do wyboru – w zależności od odległości i liczby wspieranych celów – trzy oddzielne systemy broni. Najprostszy był zestaw superstrzelb z różną amunicją. Kolejne były bardziej skomplikowane.

Na każdym pancerzu jednak można było zamontować tylko jeden typ broni, więc dobór właściwej często decydował o wyniku starcia. „Stary” dopiero zaczynał opracowywać kilka chytrych manewrów z wykorzystaniem plutonu broni ciężkiej, wymagały one jednak, żeby jego dowódca czytał mu w myślach. Sprawa miała się nieco uprościć wraz ze sporządzeniem instrukcji taktycznej, na razie jednak najczęściej wybierano źle.

– Nie obchodzi mnie, co mówią inni – ciągnęła rozgniewana Nightingale. – Istnieje coś takiego, jak... Co to jest, do cholery?

– To chyba Indowy – odpowiedział poważnie Arnold.

Na placu apelowym przed budynkiem kwatery głównej słońce pensylwańskiego lata rozświetlało gnane wiatrem tumany kurzu. Zza wirujących kłębow wyłoniła się grupa krępych, zielonych humanoidów. Na pierwszy rzut oka przypominali gromadkę grubych dzieci.

Swoje ubarwienie zawdzięczali chlorofilowym symbiontom, porastającym ich skórę jak zielone futro. Z twarzy przypominali nietoperze, za to oczy – duże i okrągłe – nadawały im wygląd szczerych, prostodusznych istot, którymi w sumie byli. Na wózku antygravitacyjnym ciągnęli jakąś skrzynię.

– Nie, chodzi mi o to. Wygląda jak trumna – powiedziała Nightingale.

– Mała trumna – potwierdził Arnold. Żadne z nich nie widziało przedtem zapakowanego do transportu pancerza bojowego.

Na czele pochodu dziewięciu Indowy szedł osobnik wyróżniający się nieco większą liczbą ozdób, poza tym jednak niczym nie różniący się od pozostałych. Kiedy doszedł do chwiejnych, metalowych schodów kwatery głównej, zatrzymał się i uklonił, a idący za nim Indowy postawili skrzynię i zaczęli nerwowo przestępować z nogi na nogę.

– Czy to klan najznamienitszego Michaela O’Neala? – przetłumaczył pytanie przywódcy inteligentny przekaźnik. Dobywający się z niego głos był niezwykle wysoki, niemal wykraczający poza próg słyszalności.

Arnold trącił Nightingale łokciem.

– Tak – powiedziała – to ten klan. Jestem porucznik Nightingale, jego zastępca.

– Przynoszę dar od mojego mistrza, Aenaola z ludu Indowy – powiedział przywódca, ponownie się kłaniając. Pozostali Indowy postawili sarkofag pionowo i nacisnęli guzik. Skrzynia otworzyła się i ich oczom ukazał się mały pancerz wspomagany, wyraźnie różniący się od standardowego pancerza dowódczego.

Pierwszą rzeczą, na którą zwrócili uwagę oficerowie, były zdobienia. Pancerz był pokryty skomplikowanymi wzorami, na pierwszy rzut oka trójwymiarowymi, co było całkowicie niedopuszczalne w walce. Po uważnym przyjrzeniu się wzory okazały się być hologramami, w jakiś sposób wkomponowanymi w płaszczyzny zbroi. Ramiona i nogi pancerza zdobiły eleganckie płetwy, mogące służyć do oddawania ciepła; tej funkcji wyraźnie brakowało większości pancerzy wspomaganych. Hełm przypominał twarz jakiegoś demona albo przerażającego kosmicznego potwora

– miał spiczaste uszy i zwisające prawie na piersi kły. Na obu ramionach zamocowano podręczne sztylety, mnóstwo innej broni wyzierało z najmniej spodziewanych miejsc. Wyglądało na to, że otoczony pancierz mógł zacząć ostrzeliwać się jednocześnie na wszystkie strony. Kiedy wokół Indowy zaczęło się zbierać coraz więcej żołnierzy, w drzwiach kwatery głównej pojawił się starszy sierżant Pappas.

– Co się tu, do cholery... Co to? – zapytał wysoki, herkulesowej postury Samończyk. Był zdziwiony, co rzadko mu się zdarzało.

– Nowy pancierz dla kapitana, sierżancie – zaśmiał się Arnold. – Może go pan zawoła?

Chwilę później z budynku wyszedł Mike – ku uldze Indowy, coraz bardziej zaniepokojonych tłoczącymi się dookoła nich ludźmi.

Czuli się w ich otoczeniu tak, jak ludzie w obecności tygrysa. Treser może ci mówić, że to niegroźny pluszak, ale kiedy jesteś z nim w klatce, to po prostu cholernie wielki mięsożerca.

– Sierżancie, proszę zabrać stąd tych ludzi – powiedział Mike, błyskawicznie analizując sytuację. Wepchnął językiem pod policzek kulkę tytoniu do zucia i splunął w kurz dziedzińca.

– Co to ma być, jebany cyrk? – krzyknął Pappas, wypatrując jakiegokolwiek podoficera. – Plutonowy Stewart! Zabieraj stąd swoją drużynę, zanim wam, gałgany, znajdę jakieś zajęcie! Nie macie nic lepszego do roboty? Może chcecie posprzątać koszary?

Tłum rozpierchł się szybko i przed gankiem pozostali tylko kapitan, porucznicy i starszy sierżant.

– Indowy Aeloolu, taon, widzę cię – powiedział Mike, kłaniając się nieznacznie. Nie miał do czynienia z żadnym Indowy od czasu Diess, ale był na bieżąco ze stopniami wojskowymi w złożonej hierarchii Federacji. Ten Indowy był starszym rzemieślnikiem. Jako kapitan Sił Uderzeniowych Floty Mike był od niego starszy rangą o kilka stopni wojskowych, mimo że Indowy mógł dowodzić nawet kilkoma tysiącami swoich pobratymców. Indowy znajdowali się na samym dole federacyjnej piramidy.

O’Neal nie był pewien, ale przypuszczał, że starszy rzemieślnik jest nosicielem genów neutralnej płci. U Indowy takie osobniki miały dużą łatwość robienia kariery zawodowej, bo były tylko minimalnie zaangażowane w rodzenie dzieci, stanowiły też dużą siłę polityczną. Postawienie starszego rzemieślnika na czele ekipy technicznej wydawało się co najmniej dziwne. Mike spodziewałby się raczej niższej stopniem rzemieślniczki.

– Natchniony Lordzie O’Neal, widzę cię – odpowiedział Indowy.

– Natchniony Lordzie? – zdziwił się Mike. Był to tytuł Indowy równy wodzowi klanu. Mike nie słyszał, żeby kiedykolwiek nadano go komuś nie należącemu do Indowy. Nie przychodził mu do głowy ludzki odpowiednik tej rangi, ale rzadko zdarzało się, żeby na jakiejś planecie było dwóch Natchnionych Lordów, a na mniejszych planetach czasem nie było nawet jednego.

– Decyzją wszystkich klanów taki będzie twój tytuł między Indowy, od dziś aż po kres czasu. Nigdy bowiem nikt nie uczynił tak wiele dla tak licznych. Boleję, że nie mógł cię należnie powitać lord potężniejszy, niż moja skromna osoba.

– Rozumiem wasze problemy – powiedział Mike. I rzeczywiście je rozumiał. Darhelom na pewno nie spodobałby się ten przejaw niezależności Indowy. – Mimo to – ciągnął – sukces na Diess był wynikiem działań wielu z nas.

– Tak też wielokrotnie mówiłeś – zgodził się przywódca Indowy.

– Ale prowadząca do sukcesu strategia nie istniała, dopóki nie wskazałeś swoim dowódcom Drogi. Niezbędne do zwycięstwa siły zostały uwolnione dzięki czynom ludzi pod twoją komendą. Ostatecznego czynu, ocalenia rozproszonych obrońców przez samodzielne zniszczenie statku

dowodzenia, nie dokonał nikt inny, tylko ty. – Indowy zmarszczył policzki, co oznaczało potrząśnięcie głową. – Twa skromność zalicza się do najlepszych ludzkich cech, lecz jest fałszywa. Nie zaprzeczaj, jesteś Natchnionym Lordem, zarówno w myślach, jak i w czynach.

– Z uwagi na twoją nową godność – ciągnął – uznaliśmy za stosowne obdarować się symbolem naszej wdzięczności. Dobrowolnie, tak jak ty dobrowolnie poświęciłeś się dla naszych braci. – Wskazał teatralnym gestem na pancerz. – Zawarliśmy w nim wszystko, czego pragnąłeś i co dało się skonstruować.

– Źródło zasilania? – zapytał Mike, zerkając szybko na pancerz. Przesunął w ustach kulkę tytoniu, a na jego twarzy wykwitł uśmiech.

– Reaktor antymaterii drugiej klasy, dokładnie według twoich specyfikacji. Ekwiwalent pięciokilotonowej głowicy antymaterii, wystarczająco mały, żeby go zabezpieczyć przed prawie każdym uderzeniem. Taka sama głowica mogłaby zdetonować przy samym pancerzu i nie uszkodzić rdzenia energetycznego, tak dobrze jest chroniony.

– Pancerz? – spytał Mike, coraz bardziej podekscytowany.

– Sześćdziesięcimilimetrowa warstwa monomolekularnego stopu uranowo-krzemowego ze wzmocnieniem energetycznym.

Wzmocnienie energetyczne jest logarytmicznie sterowane przez sam pancerz w celu ochrony przed wszystkimi pociskami oprócz tych, które osiągają prędkość zbliżoną do prędkości światła. Kiedy kula zbliża się do kąta penetracji, energia odchylająca wzrasta logarytmicznie.

Mike zszedł powoli po schodach i pogładził ręką przód pancerza.

– Systemy bezwładności?

– Dwieście osiemdziesiąt g z pełną siłą nośną i napędem, siedem punktów kompensacji inercji. Przykro mi – powiedział Indowy i wzruszył ramionami w identyczny sposób, jak to robią ludzie.

– Tchpth mogli zrobić tylko tyle.

Mike uśmiechnął się zaciśniętymi ustami – wiedział, co dla Indowy oznacza widok obnażonych zębów – a oczy aż się zaświeciły.

– Powiedz Indowy, że przyjmuję ich dar z podziękowaniami.

– Przepraszam, sir? – wtrąciła Nightingale.

– Tak, poruczniku?

– Czy to legalne? To znaczy, czy prawo tego nie zabrania?

– Nie – odpowiedział krótko. Odwrócił się i wypluł kolejną porcję przeżutego tytoniu.

– A sprzeczność interesów, sir? A podarunki od zleceniobiorców?

Wiem, że mówią o tym pewne przepisy wojskowe, sir. – W jej głosie zabrzmiała nutka zniesmaczenia. O'Neal był dowódcą i mógł mieć tyle obrzydliwych nałogów, ile chciał, ale powinien mieć dość przyzwoitości, by się z nimi nie afiszować. W jej poprzedniej jednostce panowała zerowa tolerancja dla tytoniu.

– Żadne prawo Federacji tego nie zabrania, poruczniku. Żadne – powiedział mistrz Indowy. – Sprawdziliśmy to bardzo dokładnie i wszystko stoi w zgodzie z zasadami wynagradzania Sił Zbrojnych Federacji. Ponadto jest to sprzęt niezbędny do wykonywania funkcji kapitana, a więc nie podlega opodatkowaniu.

Grupa oficerów i podoficerów wymieniła spojrzenia. Indowy właśnie wręczyli ich kapitanowi pancerz wart prawie pół miliarda kredytów bez podatku. Dla porównania: młodszy rzemieślnik Indowy zarabiał niecałe pięć kredytów miesięcznie.

– Jeszcze raz wyrażam moje podziękowanie – powiedział Mike do Indowy.

– To drobnostka. Mój zespół zostanie tutaj, by dopasować pancerze twojego klan. Gwarantuję

ci, że nikt nie zrobi tego lepiej.

– Może wejdiesz do środka i porozmawiamy – zaproponował Mike i wskazał na kwaterę główną. – Jest kilka rzeczy, o których chciałbym porozmawiać z tak dobrym technikiem, jak ty.

– Dziękuję. A mój zespół?

– Sierzancie!

– Już się robi, sir. Łóżka dla Indowy. Jak rozumiem, osobny barak?

– Znowu czytacie w moich myślach.

– Tak jest, sir – powiedziała z uśmiechem opalona na brąz góra.

– Od tego są podoficerowie.



**Okręg Rabun, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 10:23 letniego czasu wschodniego USA, 17 czerwca 2004**

– Dobra, skarbie, przekręć ostrożnie krzywką o ćwierć obrotu.

Uważaj, żeby nie wypadła przy tym zawlecza.

– Czy tak? – zapytała Cally, marszcząc w skupieniu czoło.

– Właśnie tak. Czujesz opór zawlecзки? – Stary O’Neal siedział w cieniu drzewa i obserwował zmagania dziewczynki. Upały georgiańskiego lata sprawiał, że każdy skrawek cienia był błogosławieństwem. O’Neal żuł przez chwilę kawałek tytoniu redman, po czym przesunął go językiem na drugą stronę ust.

– Nie. – Cally zlizwała z wargi kroplą potu. – Nie ma żadnego oporu – powtórzyła i lekko poruszyła zawleczką.

– Dobra, wyciągnij ją ostrożnie. Nie ruszaj drutu detonatora i, do licha, jeśli poczujesz opór, przestań.

Cally ciągnęło do materiałów wybuchowych jak wilka do lasu.

Jak na ośmioletniego dzieciaka odznaczała się niewiarygodną koordynacją wzrokowo-manualną i ogromną odpornością na ból. Poza tym kompletnie się nie bała. Dopiero kiedy stary O’Neal wysadził w powietrze jedną ze swoich krów, postanowiła, że będzie bardziej ostrożna. Obecnie zajmowała się najbardziej zaawansowaną technologią: miną kierunkową claymore, odpalaną drutem-pułapką.

– Dobra – powiedział Dziadek, kontynuując lekcję. – Więc idziesz szlakiem...

– Nie, nie idę, bo szlak to śmier-tel-eeee...-na pu-łap-ka. – Zaakcentowała dobitnie każdą sylabę.

– Dobra, więc masz zły dzień.

– „Bądź szczególnie ostrożny, kiedy masz zły dzień, bo robisz wtedy więcej błędów, a nie mniej” – wyrecytowała.

– Dobra, więc twój cel idzie szlakiem.

O’Neal wypił łyk Gatorade i wskazał na jej menażkę.

– Posleen czy człowiek? – zapytała i wypła duży łyk wody. Woda w domu Dziadka O’Neala była najlepsza na całym świecie.

– Tym razem niech będzie człowiek.

– Dobrze – zgodziła się. Ludzie byli zasadniczo mądrzejsi od Posleenów – tak twierdzili Dziadek O’Neal i tata, a kto jak kto, oni się na tym znali. Jeśli umie się zabić człowieka, z Posleenami idzie o wiele łatwiej.

– I jest sprytny... – ciągnął Mike Senior i odwrócił się w bok, żeby splunąć. Strumień brązowego soku trafił drzemiącego na źdźble trawy pasikonika.

– Nie, nie jest – zaprotestowała i odłożyła menażkę. – Przecież idzie szlakiem.

– Czasem trzeba używać szlaku – powiedział Dziadek O’Neal.

– Ja nie mam zamiaru, trzymam się lasu.

– No dobrze, więc niezbyt sprytny ludzki cel idzie szlakiem.

– Dobra.

– Ale jest wystarczająco sprytny, żeby szukać drutów detonujących.

– Ma psy?

- Maca.
- Dobra.
- I widzi drut...
- Wymacuje.
- Jasne. I co robi?
- Niezbyt sprytny?
- Tak.
- „Zawsze przyjmij, że twój cel jest sprytniejszy od ciebie”.
- Może przestaniesz wreszcie cytować moje własne złote myśli i zajmiesz się ćwiczeniem?!

Przesunął tytoń z powrotem na drugą stronę ust i znowu splunął.

Jakiś żuk zaczął zakopywać się pod ziemię, sądząc, że zaczyna padać.

– Dobra – zgodziła się Cally. Skoro tak chciał to rozegrać...

– No więc co robi pan niezbyt sprytny?

– Przecina drut.

– Spróbuj.

– Mowy nie ma! Sam go przetnij. Nie wierzę, że to tylko mina treningowa!

– Dobra, wyciągnij spłonkę, a potem przetnij drut.

Cally podczołgała się do zakamuflowanej miny, ostrożnie sprawdzając drogę przed sobą długim źdźbłem trawy. Nigdy nie wiadomo, czy Dziadek nie zastawił jeszcze jakiejś pułapki. Obejrzała się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nie próbuje majstrować przy detonatorze, a potem wyjęła spłonkę.

Usłyszała za plecami serię ostrych trzasków; podpięte pod spłonkę miny szkoleniowe odpaliły jedna po drugiej. Gdyby były prawdziwe, stumetrowy odcinek pola zmieniłby się w ścianę ognia.

– Jaki morał wynika z dzisiejszej lekcji? – zapytał sucho Dziadek O’Neal, a grudka tytoniu do zucia poszerzyła jego uśmiech.

– Że jesteś wstrętnym fiutem, dziadku!

– I do tego uczę cię przeklinać.

– Hej! – krzyknęła oburzona, podnosząc do góry spłonkę. – Nawet nie jest prawdziwa.

– Jeszcze czego, myślisz, że pozwoliłbym ci na zabawę prawdziwą spłonką przyczepioną do detonatora – powiedział starszy mężczyzna. – Zejdź na ziemię. Obiecałem mamie zwrócić cię w jednym kawałku.

– Ale ty cały czas wyciągasz spłonki!

– Nie, kiedy je zabezpieczę. Jeśli nie mogę wysadzić miny, omijam ją. Zabawa uzbrojoną pułapką jest dla kretynów i dla wyjątkowych kretynów. Do których się zaliczasz?

– No dobra. Wystarczy na dziś?

– Wystarczy, ale chcę, żebyś jeszcze coś za mną powtórzyła. Nie będę...

– Nie będę...

– Próbować rozbierać... – Splunięcie.

– Próbować rozbierać...

– Żadnych ładunków...

– Żadnych ładunków...

– Tak mi dopomóż Bóg.

– Tak mi dopomóż Bóg.

– Amen. – Splunięcie.

– Amen.

– Chodź, postrzelamy z kapiszonów – powiedział z uśmiechem.

Cally dobrze radziła sobie z ładunkami, ale strzelanie z pistoletu było jej prawdziwą miłością.

– Dobra, ale tym razem chcę pięciopunktowe fory. – Sprawdziła Walthera w kaburze na plecach.

– Nie ma mowy. Starzeję się, powykręcał mnie artretyzm – zajęczał Dziadek i wyciągnął przed siebie trzęsącą się dłoń. – Myślę, że to ja powinienem mieć fory.

– Starzejesz się, dziadku; pamiętasz, co było w zeszłym tygodniu? Czternaście punktów przewagi na odległość dwudziestu metrów! Wiesz, jak to mówią, pamięć krótkoterminowa...

– Czy ty aby na pewno masz tylko osiem lat? – zapytał. Chwilę później spadająca masa śluzu i materii roślinnej powaliła na kolana przechodzącą obok mrówkę. Mrówka wygrzebała się spod niej oszołomiona, potrząsnęła głową i rozejrzała, po mrówczemu zdumiona hojnością niebios.

*Dla pogan serc, co ufnie czczą  
 Dymiący kij, w żelazie skroń,  
 Gdy wojów proch w pył broczy krwią,  
 A broniąc, Twą odrzuca broń,  
 Dla głupców mowy, pychy słów...  
 Twą łaskę, Panie, okaż znów.*

„Recessional”  
 Rudyard Kipling, 1897

**Fort Indiantown Gap, Pensylwania, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 22:37 letniego czasu wschodniego USA, 28 lipca 2004**

Druga drużyna Stewarta wybiegła naprzód i przywarła do ziemi, podczas gdy karabiny grawitacyjne jej członków przez cały czas namierzały i zasypywały ogniem atakujące ich wirtualne oddziały Posleenów. Tam, gdzie srebrne strumienie pędzących z prędkością podświetlną kropli dosięgały ściany nacierających obcych, potężne eksplozje wyszarpywały w niej głębokie wyrwy. Nieprzyjaciel odpowiadał gęstym gradem pocisków strzałkowych i hiperszybkich rakiet, z których większość, wystrzelona bez namierzania, padała daleko od celu. Ale mimo to miliony nadlatujących pocisków penetrujących czysto statystycznie musiały spowodować jakieś straty.

– Dziesięć-Dwadzieścia-Dwa, Dziesięć-Dwadzieścia-Dwa, wykonać! – powiedział Stewart spokojnym głosem, kiedy zgasła ikona reprezentująca szeregowego Simmonsa. Połowa drużyny wstrzymała ogień na krótką chwilę, potrzebną, by sięgnąć do zasobników przy boku i wyjąć z nich małe kulki. Żołnierze wyćwiczonymi ruchami zerwali osłonki, wcisnęli znajdujące się pod nimi przyciski, cisnęli kulki na prawo od siebie i znów zaczęli strzelać.

– Gotowe, Dziesięć-Alfa – powiedział dowódca drużyny Alfa, gdy drużyna Bravo wykonała ten sam manewr.

Kiedy Bravo wznowiła ogień, odpaliły ładunki drażące Alfę.

Żołnierze znowu wstrzymali ogień, wślizgnęli się do zaimprovizowanych wyrwanych w ziemi nor i wznowili ostrzał.

– Gotowe Dwadzieścia-Dwa, Alfa – krzyknął dowódca drużyny.

Chwilę później cały pluton był już pod osłoną.

\* \* \*

– Więc na tym polega pana instrukcja – powiedział pułkownik Hanson.

– Tak, sir – odpowiedział O’Neal, obserwując, jak drugi pluton przeprowadza natarcie pod ostrzałem. Pospieszna obrona zorganizowana przez drugą drużynę skutecznie zatrzymała Posleenów, nacierających wąskim przejściem między przełęczą i rzeką Manada, na potrzeby szkolenia o wiele szerszą, niż w rzeczywistości.

– Mamy jak dotąd około dwustu scenariuszy, dopasowanych poziomem trudności do sprawności kompanii w każdym z nich. Całość opiera się na czymś w rodzaju kawaleryjskich sygnałów dawanych przez trębacza. W tym wypadku drużyny wykonują DziesięćDwadzieściaDwa, czyli „szybko stworzyć pozycje strzeleckie i kryć się”. Chociaż w tym ćwiczeniu na wiele im się to nie

zda.

Mike przesunął tytoń pod policzek i splunął do kieszeni w biotycznej wyściółce hełmu. Ślina i tytoń zostały natychmiast pochłonięte przez system, tak samo jak wszystkie wydzieliny.

– Czy to test równych szans? – zapytał pułkownik Hanson, obserwując, jak drugi pluton kurczy się niczym kostka cukru w gorącej wodzie. Żałował, że nie może zapalić papierosa, ale w pancerzu było to cholernie trudne.

– Sądzę, że tak. Kiedy Nightingale zauważyła manewr oskrzydlający, było już za późno, żeby drugi pluton zajął optymalne pozycje, czyli z Posleenami sto metrów dalej w górę rzeki. Przesmyk ma tam tylko trzydzieści metrów szerokości, więc porucznik Fallon mógłby ich tam trzymać w nieskończoność. W tej chwili nie sądzą, żeby im się udało.

– A co pan by zrobił?

– Pewnie próbowałbym szturmować, stosując jakieś psychologiczne sztuczki, i zepchnąć ich z powrotem w przesmyk – powiedział O’Neal. Popatrzył na środek rzeki, a potem znów na walczących.

– To nie jest kwestia czasu. Niezależnie od tego, czy Posleeni przełamają obronę teraz, czy za trzy godziny, zmiotą obrońców na całej długości rzeki.

– Uda im się? – spytał pułkownik Hanson, poświęcając teraz więcej uwagi swojemu rozmówcy, niż właściwie już zakończonemu starciu.

– Według scenariusza, udaje się w niektórych wypadkach, zależnie od pewnej ilości czynników, na które testowani nie mają wpływu – odparł precyzyjnie O’Neal. Cały czas zastanawiał się, jak by to wyglądało w rzeczywistym świecie. Dostawał gęziej skórki za każdym razem, gdy wspominał Diess. Ryzyko, które podjął, było szaleństwem, i tylko niewiarygodne szczęście pozwoliło plutonowi przeżyć. Wszyscy nadal określali jego ocalenie jako „cudowne”. Mike zaś obawiał się, że zużył już nie tylko własny przydział szczęścia, ale też całej kompanii. Jeśli jego plany były złe, czekała ich masakra. A odpowiedzialność za to spocznie na jego barkach.

Obrócił w ustach bryłkę tytoniu i znów splunął.

– Posleeni mogą mieć słabego Wszechwładcę, mogą mieć za mało siły przebicia, drobne właściwości powierzchni pancerzy wpływają na penetrację i tak dalej. Ale kiedy sytuacja zaszła aż tak daleko, trzeba uderzać jak piekielny legion, a porucznik Fallon nie jest typem dowódcy piekielnego legionu.

– Więc porucznik Nightingale popełniła błąd dużo wcześniej?

– Tak, sir – odpowiedział z roztargnieniem Mike. Doświadczenie podpowiadało mu, że coś w tym scenariuszu nie gra.

– Prawie zawsze zostawiam pierwszy pluton w rezerwie, co wkurza pozostałe dwa plutony – ciągnął. – Ale Rogers jest w gorącej wodzie kąpany, więc kiedy wysyłam go do wsparcia albo błyskawicznego ataku, działa jak młot pneumatyczny.

Pierwszym plutonem dowodził wysoki, przystojny porucznik.

W normalnych okolicznościach dowodziłby plutonem wsparcia albo miał stanowisko w sztabie. Obowiązki podporucznika stawały się dla niego nie do zniesienia. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy Mike przesłał do góry jego cztery prośby o przeniesienie.

– Nightingale wierzy w równy przydział obowiązków. Próbuje jej to wybić z głowy. Liczy się tylko misja. Oddziały wybiera się tylko pod tym kątem, a nie pod kątem „sprawiedliwości”. W końcu doszedłem do wniosku, że potrzebna jej pomocna dłoń. Ale sam się z tego wycofałem, bo jestem zbyt wymagający. – Skrzywił się, przyznając do błędu.

– Ostatecznie sam przejąłem większość zadań, które wykonywał starszy sierżant, a jego

wyzaczyłem na jej instruktora. Spędzili ze sobą cholernie dużo czasu i porucznik zaczyna wreszcie chwytać. Sierżant Pappas jest pierwszorzędnym instruktorem. Ale mimo to nadal nie jestem całkiem zadowolony z jej umiejętności taktycznych.

– To wymaga czasu – zgodził się Hanson.

– Tak, sir. I mam nadzieję, że go mamy.

Mike sprawdził wykres przewidywanego rozwoju sytuacji i przesłał go do dowódcy. Wykres strat wyglądał jak górskie zbocze.

Dla Hansona, który osiągnął dojrzałość wojskową w kotle południowo-wschodniej Azji lat siedemdziesiątych, rzeczywistość wirtualna, w której szkoliła się jednostka, był cudem na miarę science fiction.

Miał już siedemdziesiąt lat, kiedy ponownie wezwano go do służby. Chociaż pracował w wojsku jeszcze długo po powrocie z Wietnamu, należał do oficerów, dla których komputery były czarną magią. Stosowane tutaj systemy różnił się jednak od nowoczesnych komputerów mniej więcej tak samo, jak ferrari od rydwana.

Kiedy przejął dowództwo od swojego doświadczonego poprzednika, nazwał swój przekaźnik obdarzony sztuczną inteligencją – dostarczony przez Galaksjan superkomputer wielkości paczki papierosów – „Małą Zołzą”. Używał go do wszelkiej oficjalnej korespondencji i kiedy już przyzwyczał się do jego irytującej dosłowności, uznał go za najlepszą sekretarkę, jaką kiedykolwiek miał. Jeśli chodzi o ćwiczenia, w których uczestniczył batalion, Mała Zołza lepiej orientowała się w rozmieszczeniu sił sojuszniczych i nieprzyjacielskich oraz wszystkich innych szczegółach, które składały się na pomyślną operację wojskową, niż jakikolwiek sztab. Nowoprzybyły oficer operacyjny sztabu i reszta oficerów batalionu przyzwyczała się do swoich przekaźników i sztab powoli osiągał poziom perfekcji, o jakim rzadko zdarza się nawet marzyć.

Na polu bitwy powstało nagle zamieszanie; druga drużyna opuściła swoją pozycję, a reszta ruszyła, by wesprzeć rozwinięte szyki frontu. Zmniejszona siła ognia pozwoliła Posleenom wolno ruszyć do przodu; padali setkami, ale godzili się na tą ofiarę, chcąc przetoczyć się przez pozycje ludzi. Tymczasem jednak niedobitki drugiej drużyny prześlizgnęły się obok reszty w kierunku prowadzącego do rzeki parowu. Jeden po drugim żołnierze znikali pod wodą.

– A niech mnie – szepnął Mike i przełączył się na mapę taktyczną, śledząc prącą pod prąd rzeki drugą drużynę. Uśmiechnął się i znowu splunął tytoniem.

– Co się dzieje? – zapytał pułkownik Hanson. – Dla mnie wygląda to na samobójczy atak. – Wcisnął kilka wirtualnych przycisków i przed oczami wyświetliła mu się trasa natarcia drużyny.

Jej dowódca, plutonowy Stewart, którego pułkownik spotkał pierwszego dnia w jednostce, poprowadził grupę ośmiu niedobitków korytem rzeki w kierunku wąskiego przesmyku, którego pluton nie mógł zająć.

– Niekoniecznie, sir. Nawet tych kilku niedobitków z drugiej drużyny może w sprzyjających okolicznościach zająć i przez jakiś czas utrzymać przesmyk. Może nawet wystarczająco długo, żeby reszta plutonu przypuściła atak i ich odciążyła. Cholera, nie sądziłem, że ten upierdliwy sukinsyn ma taki talent.

Mike patrzył, jak żołnierze drużyny formują szyk pod osłoną zielonego nurtu rzeki i rzucają się naprzód. Woda wzburzyła się i zakotłowała, na powierzchnię jednak wynurzyła się nie grupa pancerzy, lecz kłębiąca się masa robaków o szarych cielskach i paszczach pełnych kłów. Węże srebrnych błyskawic unicestwiły Wszechwładców, a robaki ściągnęły kilku wrzeszczących Posleenów w poźółkły nagle nurt rzeki. Powietrze aż zadrzało od złowrogiego ryku dudów i grzmotu bębnow.

– Czy to jest to, co myślą? – zapytał pułkownik Hanson. Jego uśmiech był niewidoczny pod hełmem. Zagrania dowódcy kompanii najwyraźniej udzieliły się któremuś z jej członków. Użycie przez O’Neala muzyki w bitwie stało się legendarne niemal z dnia na dzień.

– Jeśli myśli pan, że to orkiestra siedemdziesiątego ósmego pułku highlandersów Frasera grająca na dudach „Cumha na Cloinne”, to ma pan rację. Stewart znowu słuchał moich płyt.

– To pański pomysł?

– Nie, sir, ale teraz wiem, kto namieszał w głowie porucznikowi Fallonowi. Plutonowy Stewart.

Uśmiech dowódcy kompanii był niewidoczny, ale dowódca batalionu usłyszał wesołość w jego głosie.

– Pamięta go pan, sir.

– Mhm.

Dowódca batalionu oddalił ostatnio prośbę Kryminalnego Działu Śledczego Sił Lądowych o pozwolenie na zbadanie sprawy znikającego z bazy sprzętu. Jako powód podał niewystarczające poszlaki wskazujące na kompanię Bravo. W rzeczywistości jednak był pewien, że odpowiedzialny za to jest mały dowódca drugiego plutonu.

– Wie pan – powiedział – że kompania Bravo nie cieszyła się najlepszą reputacją, zanim objął pan nad nią dowództwo. Myślę, że powinien pan dopilnować, żeby znów na nie nie zasłużyła.

Mike nieznacznie kiwnął głową. Przed przybyciem sierżanta Pappasa i porucznika Arnolda kompania była ośrodkiem czarnego rynku w całej bazie. Łatwy dostęp do technologii, które wyprzedzały aktualny stan wiedzy o kilka stuleci, pozwalał byłemu starszemu sierżantowi na uzyskiwanie ogromnych dochodów. Stewart i jego drużyna – wraz z sierżantem i Arnoldem – przyczynili się wydatnie do rozwiązania tego problemu. Były starszy sierżant odbywał teraz karę w więzieniu wojskowym Floty na Tytanie. Więźniów wykorzystywano tam do pracy w otwartej przestrzeni kosmicznej, co uchodziło za szczególnie niebezpieczne.

– Wspomnę o tym na następnym zebraniu dowódców – powiedział krótko Mike. Wypłuł kolejną porcję tytoniowego soku i uśmiechnął się, kiedy zobaczył, jaki obrót przyjęła bitwa. Stewart bez wątpienia był podkomendnym, którego warto było mieć przy sobie. Szkoda, że był tylko dowódcą drużyny.

Ich Wszechwładcy nie żyli, z wody atakował mityczny potwór;

Posleeni nacierający przez przesmyk zawrócili, próbując przebić się z powrotem. Masa robaków wyciągnęła się na brzeg i zaczęła atakować w obie strony.

– W jaki sposób oni ich chwytają? – zapytał pułkownik Hanson na widok szamoczącego się, wciągane pod wodę centaury.

– Cóż, sir, tu mnie pan zagiął. Chyba, że przezbroili jakoś pancerze. – Mike przełączył się na wyższy poziom nadzoru, na kanały słabo rozumiane nawet przez inteligentne przekaźniki, a co dopiero ludzi.

O’Neal zajmował się projektowaniem pancerzy od samego początku i walczył w nich od czasu pierwszej potyczki na Diess. Wiedział o możliwościach tej broni więcej, niż ktokolwiek w całej Federacji. Zanim uległ zniszczeniu, jego ostatni pancerz miał za sobą więcej godzin akcji, niż dowolne dwa w całej Federacji. Oddany całym sercem misji, Mike wykorzystywał praktycznie każdą godzinę dnia, a i znaczną część nocy, na ćwiczenia w pancerzu. O ile Hansonowi było wiadomo, Mike nie prowadził życia towarzyskiego i spotykał się z innymi oficerami batalionu tylko w sprawach służbowych.

Zresztą w bazie nie było warunków do oddawania się rozrywkom. Obóz w Indiantown Gap nie oferował przebywającym tam jednostkom niemal żadnych udogodnień. Kluby dla żołnierzy były

zajęte przez członków jednostek aktywujących, a Annville, jedyna cywilna miejscowość, do której można było dotrzeć bez samochodu, była tak samo przepelniona żołnierzami. Ponadto w celu obniżenia kosztów szkolenia jednostka mogła ćwiczyć dwadzieścia cztery godziny na dobę siedem dni w tygodniu, gdyby zaszła taka potrzeba.

Pułkownik korzystał z tej możliwości, więc odkąd zakończono fazę przygotowawczą, batalion odbywał manewry prawie codziennie.

– Już wiem – powiedział Mike, który całkowicie zagłębił się w elektronicznym świecie – Wiem, jak oni to robią. Łapią centaury chwytakami próżniowymi. Może im się udać.

– Przekazniki na to poszły – powiedział pułkownik, puszcżając mimo uszu brak „sir” w wypowiedzi O’Neala.

– Nie wiem, czy im się to uda, sam nigdy nie próbowałem – ciągnął kapitan nieobecny tonem. – To dziwne...

Nagle odkrył przyczynę swojego niepokoju.

– Co?

– Posleeni działają z tylko osiemdziesięcioprocentową wydajnością.

– Co to znaczy?

– Cóż, można dostosować scenariusze walki do poziomu umiejętności użytkownika. To tak jak poziom trudności gry komputerowej. Nie można przecież od razu rzucić na głęboką wodę żołnierzy odbywających podstawowe szkolenie; straciliby motywację, gdyby cały czas przegrywali. Należy więc odpowiednio określić poziom trudności.

– A jaki poziom ma ten scenariusz? – zapytał dowódca batalionu. Czasem przerażała go masa rzeczy, o których nie miał pojęcia i o których nie było mowy w żadnym podręczniku. Z wyjątkiem kilku ludzi, takich jak ten kapitan, nikt nie znał się na pancerzach wspomaganych. Pułkownik zastanawiał się, jak w ogóle mogą się przygotować do walki bataliony, które nie mają swojego O’Neala.

– Ustawiłem go na sto procent – odparł kapitan. – To są wyszkoleni żołnierze, a w każdej chwili możemy spodziewać się prawdziwego najazdu. Problem ze scenariuszami na niższych poziomach trudności polega na tym, że nie oddają one realiów, a przecież my powinniśmy się szkolić w warunkach cięższych niż w rzeczywistości.

Te kilka miesięcy, odkąd Hanson przejął dowództwo nad batalionem, upłynęło tak szybko, że pułkownikowi aż trudno było w to uwierzyć. Główna fala Posleenów mogła nadejść już za pół roku, a lada dzień oczekiwano zwiadowczych dodekaedrów dowódczych.

A przecież przedtem żołnierze muszą przejść kilka testów.

Kapitan O’Neal jeszcze o tym nie wiedział, ale pułkownik Hanson zamierzał przeprowadzić końcowy egzamin w ramach Testu Gotowości Bojowej i Programu Oceny Sił Uderzeniowych Floty.

Postanowił poinformować o tym dowódców kompanii zaraz po tym ćwiczeniu. Tydzień po Teście nastąpi Przegląd Organizacyjnej Gotowości Bojowej, a potem inspekcja Głównego Inspektoratu Sił Uderzeniowych Floty.

Pułkownik był pewien, że dzięki kompetentnemu sztabowi i małemu trollowi, który stał obok niego, żołnierze przejdą śpiewająco wszystkie trzy testy. Jeśli zdadzą je za pierwszym razem, co zdarzało się rzadko nawet w przypadku innych, już gotowych do działania jednostek, wszyscy dostaną tygodniową przepustkę. O’Neal będzie musiał wyjść z pancerza i wziąć wolne, albo zostanie odeskortowany przez żandarmerię poza teren bazy. Hanson przygotował dla niego pewną małą niespodziankę. Coś, o co kapitan nigdy by nie poprosił, mimo że na to zasługiwał.

– Jest – ciągnął dowódca kompanii. – Hmm.



– Co? – Pułkownik został wyrwany z przyjemnego zamyślenia.

Niespodzianka, którą planował, wymagała udziału nieprzewidzianej ilości uczestników. Mike osłupieje.

– W podstawowym oprogramowaniu szkoleniowym jest linia kodu, która w różnych odstępach czasu obniża poziom trudności.

Odstępy są obliczane na podstawie około miliona linii logicznego spaghetti.

– Co to znaczy? – zapytał pułkownik, zastanawiając się, co wspólnego ma makaron z oprogramowaniem pancerzy wspomaganych.

– To znaczy, że ktoś majstrował przy kodzie – o nic takiego nie prosiłem. To mogli być tylko Darhelowie, to oni pisali oprogramowanie. Jest tu też protokół komunikacyjny. Zastanawiam się, czy to błąd, czy umyślnie wstawiona funkcja. Jeśli tak, to nie widzę w tym sensu, bo to może tylko obniżyć poziom przygotowania naszych jednostek.

– Co pan robi w tej sprawie? – spytał pułkownik, kiwając głową. Ciągle nie mógł się przyzwycząić do ograniczeń ruchowych, spowodowanych galaretowatą wyściółką pancerza.

– Zgłoszę to w GalTechu, może to był pomysł kóregoś z nowych członków – odparł O’Neal, wychodząc ze swojego programistycznego transu. – Chyba nic będziemy już używać tego oprogramowania, prawda, sir? – spytał ponuro.

– Nie – zgodził się dowódca batalionu. – Myślę, że czas szkolenia dobiegł końca.

Szkolenie drugiego plutonu rzeczywiście dobiegło już końca.

Druga drużyna całkowicie poległa, ale zanim padł ostatni żołnierz, pluton zdołał przedrzeć się do przesmyku i zająć przygotowane pozycje. Przy tak wąskim odcinku ważne było nie to, jak długo ludzie będą w stanie walczyć, ale jak długo nie zginą. Ta drobna różnica często była czynnikiem decydującym o wyniku bitwy. Ćwiczenie zakończyło się sukcesem – zadaniem kompanii było zająć wysunięte pozycje i utrzymać je do czasu przybycia „konwencjonalnych” posiłków. Kwestia, czy kiedykolwiek zostanie ona użyta w ten sposób, pozostawała otwarta.

– Czy wiadomo już, jaka będzie nasza rola, sir? – zapytał O’Neal, mając nadzieję, że dowódca batalionu wie o czymś, o czym on sam nie słyszał.

– Jeszcze nie, i to mnie martwi.

– Chciałbym, żeby Jack wziął się wreszcie do roboty. – Mike skrzywił się lekko, przesunął tytuł z jednej strony ust na drugą i splunął. Takie opieprzanie się było niepodobne do jego byłego szefa.

**Pentagon, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 15:23 letniego czasu wschodniego USA, 29 sierpnia 2004**

Jack Horner demonstrował właśnie wyraz twarzy, który był jego wizytówką: uprzejmy, niemal przyjazny uśmiech, który nie sięgał oczu. Generał, do którego skierowany był ten uśmiech, nie dał się nabrać; rozpoznał oznaki niebezpieczeństwa. Ale mimo to uznał za swój obowiązek dokończyć rozpoczęty wywód.

– Reasumując, generale, Dowództwo Armii Kontynentalnej niezmiennie trwa na stanowisku, że rozmieszczone w ten sposób siły będą taktycznie nie do utrzymania i logistycznie niemożliwe do zaopatrzenia. Zaprezentowany przez pana projekt rozlokowania siedemdziesięciu procent naszej siły bojowej i prawie osiemdziesięciu procent siły uderzeniowej na równinach nadbrzeżnych jest całkowicie nie do przyjęcia.

– Dla kogo? – zapytał sztywno generał Horner.

– Dla pańskiego sztabu, sir, i dla narodu, którego przysięgliśmy bronić – odpowiedział pompatycznie jego szef sztabu, generał porucznik Bangs.

– Wobec tego, generale, przyjmę pańską rezygnację, skoro tak bardzo pan się z tym nie zgadza.

– Słucham, generale? – Zaskoczony Bangs zbladł jak ściana.

– Wyraziłem się chyba jasno? – spytał retorycznie Horner.

Uśmiechnął się jak tygrys, ściągając wargi, a jego jasnoblękitne oczy stały się zimne jak lodowiec. – Przyjmę pańską rezygnację, jeśli moje decyzje budzą w panu tak silny sprzeciw. Bo ja mam rozkaz od prezydenta, żeby utrzymać równiny. Muszę tam umieścić większość naszych sił, bo właśnie tam skupi się atak Posleenów. Dwa miesiące temu przekazałem za pana pośrednictwem mojemu sztabowi, jak pan to trafnie określił, odpowiednie rozkazy. A pan przychodzi do mnie spóźniony o półtora miesiąca, ze znacznie przekroczonym budżetem i stanowczo twierdzi, że nie będzie wspierał mojego planu. Dobrze. Przyjmę pana rezygnację w ciągu godziny albo zwolnię pana dyscyplinarnie. Pański wybór. – I to wszystko po miesiącach politycznych przepychanek, żeby przekonać do planu krytycznie nastawionych oponentów. Hornera wciąż zdumiewało, jak wielu z nich bez słowa zaakceptowało „Plan Górski” i do tej pory całkowicie go popierało.

– Nie może mnie pan zwolnić dyscyplinarnie – powiedział generał Bangs, a jego rumiana twarz pokryła się potem. – Nie złamałem dyscypliny.

– Za niesubordynację można uznać pana cały wywód. Sprzeciwił się pan nie mnie, lecz bezpośredniej dyrektywie prezydenta.

Mogę pana wywalić niezależnie od tego, co pan sobie na ten temat wyobraża. Prezydent ma na głowie wypowiedzianą wojnę. Wszyscy pana przyjaciele w Kongresie mogą jedynie mieć nadzieję, że da sobie z tym radę. Nie będą zaprzętać sobie głowy problemami starego wiarusa. A teraz, w przeciwieństwie do niektórych, mam robotę do wykonania. Może pan odejść.

Kiedy wstrząśnięty generał porucznik Bangs opuścił pomieszczenie, Jack pokręcił głową. Od pół roku z trudem tolerował Bangsa i cieszył się, że wreszcie ma go z głowy. Oprócz szczególnie wysokich kwalifikacji do kategorii oficerskiej „idiota w czynnej służbie”, Bangs wyróżniał się też największą witalnością spośród wszystkich oficerów, jakich Jack kiedykolwiek znał. Należy przyznać, że rozmowy na temat kobiet były wspólną rozrywką wszystkich żołnierzy – najzwyczajniej wyraził się o tym J. E. B. Stuart:\*[\* (1833-1864) – generał Konfederacji Południa w wojnie secesyjnej.] „Żołnierz musi się pieprzyć, żeby dobrze walczyć” – ale starsi oficerowie nie powinni

tak otwarcie przechwalać się swoimi wyczynami poza małżeńskim łóżem.

Horner wrócił do przeglądania raportu na temat zaopatrzenia wojsk. Bangs miał właściwie rację, kiedy mówił, że plan jest nie do przyjęcia z punktu widzenia logistyki, ale on i reszta sztabu myśleli liniowo. Jack był tak samo przekonany o tym, że równin nie da się utrzymać, ale uważał, że ważne jest, w jaki sposób się je straci.

Początkowy plan wojny przypominał gigantyczną rozgrywkę w go. Ponieważ nie można było przewidzieć, gdzie pojawią się posleńskie lądowniki, siły należało równomiernie rozproszyć. Brano pod uwagę fakt, że Posleeni zniszczą część jednostek, ale na tej samej zasadzie powinno też dojść do sytuacji odwrotnych. Standardowe procedury rozgrywania bitew w otwartym terenie zakładały przewagę liczebną ludzi w stosunku co najmniej cztery do jednego, jednak w sprzyjających okolicznościach wojsko miało szansę odbić niektóre przyczółki.

Plan zakładał, że ocaleli z tych bitew połączą siły i zaczną usuwać Posleenów z zajętych przez nich terenów. Tak jak w go, ludzki oddział otoczony przez obcych był praktycznie stracony. Z drugiej strony, to samo odnosiło się do otoczonych jednostek Posleenów. Weź białe i czarne kamyki, rzuć je na planszę Ziemi i gra się zaczyna.

Plansza do gry w go nie uwzględnia jednak przeszkód terenowych. Pierwszą i największą stanowiły dla centaurów oceany. Posleeni byli stworzeniami prawie wyłącznie lądowymi. Choć byli mistrzami w pozyskiwaniu zasobów z lądu, od oceanów trzymali się z daleka. Dlatego też spadające po krzywej balistycznej lądowniki musiały być skierowane na masy kontynentalne.

Prosta mechanika tego manewru oznaczała, że inwazja skoncentruje się na zachodnich i wschodnich wybrzeżach – głównie na wschodnich.

Kiedy lądowniki dotrą na miejsce, najeźdźcy będą zmuszeni zmierzyć się z przeszkodami terenowymi rejonów lądowania. Posleeni budową przypominali konie, nie licząc ramion osadzonych na przednich, podwójnych barkach; do tego ich ciało odznaczało się dość dużą gęstością, więc nie pływali zbyt dobrze. Ponadto – z wyjątkiem Wszechwładców – nie używali do transportu planetarnego pojazdów antygravitacyjnych i zupełnie nie znali się na inżynierii wojskowej, dlatego każda naturalna przeszkoda terenowa i każde, nawet najlżejsze umocnienie obronne stanowiło dla nich poważny problem. Nie potrafili wspinać się na góry ani przepływać rzek, więc zatrzymać ich mógł nawet nastolatek z karabinkiem kaliber. 22.

Do tego nie lądowali w sposób przypadkowy. Nigdy nie zaobserwowano lądowników siadających na gęsto zabudowanych obszarach, takich jak centra dużych miast. Lądowali za to masowo wokół nich i nacierali od zewnątrz.

Pomimo oporu ze strony niektórych członków sztabu, w ciągu kilku miesięcy od czasu spotkania z Taylorem Jack Horner stworzył plan obrony wybrzeży. Jego przekąźnik, podobnie jak przekąźniki wybranych członków sztabu, pracował nad nim bezustannie, nawet podczas rozmowy z Bangsem.

Przedmieścia trzeba było spisać na straty, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Ewakuacja powinna się rozpocząć tuż przed pierwszym prawdziwym najazdem, ale nie wcześniej. I tak nikt nie wyjechałby aż do ostatniej chwili. Do tego między innymi zaprojektowano system szos międzystanowych – należało go wykorzystać.

Ludzie musieli zabrać ze sobą całą żywność i wszystkie zwierzęta hodowlane. Supermarkety zaopatrywały się na bieżąco, więc Posleeni mieli zdobyć w nich co najwyżej dwu-, trzydniowe racje żywnościowe. Reszta była w produkcji, bądź też zalegała w magazynach różnych agencji rolnych i sieci sklepów spożywczych.

Sztab generała zajmował się między innymi sporządzeniem listy wszystkich takich magazynów i uwzględnieniem ich w planie obrony wybrzeża. Wszystko, czego nie dało się wykorzystać, miało

być skonfiskowane lub zniszczone przed lądowaniem. Generał zamierzał zrobić wszystko, żeby Posleeni nie znaleźli po wylądowaniu ani grama żywności.

Centra miast były zupełnie inną sprawą. Plan przewidywał, że staną się one pułapkami ogniowymi, grobowcami Posleenów. Takie rozwiązanie sprawdziło się dobrze u generała Housemana na Diess i Jack zamierzał zastosować je w Ameryce. Oznaczało to jednocześnie, że polem walki staną się równiny, tak jak domagała się tego opinia publiczna.

Miasta należało więc ewakuować. Wokół nich, na przedmieściach, planowano rozmieszczenie baz ogniowych i wniesienie pierścieni umocnień. Domy towarowe i wieżowce miały zamienić się w bastiony, mogące wspierać bazy ogniowe. Całe miasto stałoby się w ten sposób gigantyczną ośmiornicą zniszczenia, oplatającą swymi mackami atakujących Posleenów.

Niektóre z głównych bulwarów, zwłaszcza te, które zapewniały dobre pole widzenia zewnętrznym fortem, miały zachować przepustowość, jednak z możliwością zamknięcia ich w razie potrzeby.

Takie zabójcze pola sprawdziły się na Diess i mogły zadziałać ponownie. Posleeni stłoczyliby się na nich, myśląc, że atakują, zamiast tego jednak dostając się pod ogień wszystkiego, co miasto miało w swoich arsenalach.

Zbudowanie fortec rozwiązywało też problemy logistyczne.

Można było zaopatrzyć je w zapasy wystarczające na pięcioletnie oblężenie, gdyby zacząć budować silosy i magazyny już teraz.

W przypadku ewakuacji miały zostać zniszczone wcześniej podłożonymi ładunkami. Gdyby zaś oblężenie miało potrwać dłużej, niż pięć lat, równie dobrze można było sobie od razu poderznąć gardło i mieć problem z głowy.

Jack wiedział, że miasta na równinach nadbrzeżnych w końcu padną, jeśli Flota nie zjawi się na czas. Ale osłabienie sił Posleenów pomogłoby Ameryce w drugiej fazie wojny.

Przewidywała ona wycofanie się w góry, gdyby utrzymanie jakiegoś miasta lub regionu stało się niemożliwe. Wojska ewakuowałyby się wcześniej zabezpieczonymi trasami ucieczki i w tych właśnie okolicznościach pancernze wspomagane miały się przydać najbardziej.

Zewnętrzne fortece miały być – w miarę możliwości – rozmieszczone najgęściej od strony najbliższej trasy ewakuacji. Gdyby obrona miasta stała się niemożliwa, ocaleli obrońcy mieli opuścić pozycje, zebrać się w ustalonych wcześniej punktach i wycofać do najbliższego schronienia. Przy jednoczesnym wsparciu bastionów i baz ogniowych poza miastem uciekinierzy mieli szansę przebić się przez otaczające siły Posleenów i ewakuować. Sprawę pościgu zostawiono jednostkom pancerni wspomaganych.

W niektórych przypadkach w ewakuacji mogłaby pomóc marynarka wojenna. Dotyczyło to szczególnie miast Florydy. W tym celu flota uruchamiała nie używane już od dawna okręty.

Spodziewano się, że po jakimś czasie większość miast i tak padnie. Ale przynajmniej atakujący Posleeni mieli połamać sobie na nich zęby, odciążając obrońców gór. Do chwili osiągnięcia gotowości bojowej przez Flotę głównym celem wojny było wyczerpanie wroga.

W pierwszej wersji plan górski zakładał całkowite wycofanie się w góry i oddanie miast Posleenom, co pozostawiłoby ogromne siły wroga praktycznie bez strat, a wszystkie zasoby miast do ich dyspozycji. W razie ataku na przełęcz Posleeni dysponowałiby świeżymi, gotowymi do walki siłami. Teraz miało być inaczej. Szturmujący góry obcy mieli być wyczerpani po długich oblężeniach i walkach o każdy metr kwadratowy miast.

W razie potrzeby istniała możliwość urządzania wycieczek przeciw oblegającym. Jack zamierzał jednak na razie zostawić tego asa w rękawie; w przeciwnym razie za trzy lata jakiś

politykier zaprzepaściłby wszystko, co wywalczyli, w jednym bezsensownym geście.

W górach i w głębi kontynentu sytuacja była nieco inna. W Appalachach i Górach Skalistych od dwóch lat przygotowywano nowe szlaki, a na całej ich długości aż do Wododziału Kontynentalnego budowano umocnienia. Na południowym wchodzie silne fortyfikacje rozmieszczono wzdłuż rzeki Tennessee, na terenach zarządzanych przez Zarząd Doliny Tennessee, gości, którzy znali się na dużych przedsięwzięciach. Oprócz tego na zewnętrznych stokach Pasma Błękitnego i Gór Skalistych zaczęto wznosić dwadzieścia siedem superfortec. Po ukończeniu miały kryć ogniem strategicznie rozmieszczone miasta i stworzyć parasol ochronny przeciw obcym okrętom nad całym krajem. Atakujący górskie umocnienia Posleeni na pewno posuwaliby się do przodu, ale generał wątpił, czy uda im się przebić.

W głębi lądu oczekiwano małej liczby lądowań. Posleńska metoda desantu – lądowanie dużych rojów centaurów w mniej lub bardziej przypadkowych miejscach – zmuszała ich do koncentracji na wybrzeżach. Podobnie jak tam, w głębi lądu zaczęto budowę umocnień i fortów. Jednak w przypadku środkowego zachodu fortyfikacje były większe, za to słabiej uzbrojone. Przewidywano, że tutejsze miasta nie zostaną ewakuowane i w razie ataku Posleeniów cywile będą potrzebowali schronienia. System wejść do schronów opracowywały firmy na co dzień zajmujące się parkami rozrywki; jego przepustowość sięgała kilku milionów osób na kilka godzin.

Fortece były słabiej uzbrojone z powodu ograniczonej liczby dostępnego wyposażenia. Jego przydział dla miast takich jak Pittsburgh, Minneapolis i Des Moines opierał się na szacunku prawdopodobieństwa ataku i możliwości otrzymania wsparcia z zewnątrz.

Fortece zaprojektowano na wzór tradycyjnych zamków obronnych i wyposażono w wychodzące na wszystkie strony strzelnice.

Po zamknięciu bram cywile – z których wielu włączono do lokalnych milicji – mieli zaopatrzyć się w broń z rozmieszczonych wzdłuż murów zbrojowni i zająć stanowiska strzeleckie. Było to konieczne rozwiązanie; fortece w głębi lądu obsadzono zaledwie jedną trzecią sił, którymi dysponowały wybrzeża. Poza tym ich mieszkańcy nie mogli liczyć na wsparcie jednostek pancerzy wspomaganych, którym wyznaczono inne zadania.

Posleeni nie lubili mrozów tak samo, jak ludzie, do tego gorzej je znosili, dlatego wybierali głównie umiarkowane i tropikalne strefy klimatyczne. Kanada więc mogła stawić czoła najazdowi własnymi siłami; północnej granicy kraju nie uważano za problem. Słabym punktem kontynentu był Meksyk.

Forsowano pogląd, że Ameryka powinna postawić wielki mur wzdłuż meksykańskiej granicy; niektórzy zresztą domagali się tego już od dawna. Dyskusja na ten temat pozostawała jednak czysto akademicka – kraj nie dysponował wystarczającą ilością surowców, by zrobić to przed inwazją. Posleeni, którzy wylądowali w Meksyku nie napotkaliby większego oporu i na pewno większość z nich chwilowo by tam została. Jakaś część jednak na pewno zwróciłaby się na północ; jak duża, można było się tylko domyślać.

Na nieszczęście służba graniczna od dawna podkreślała, że w południowo-zachodnich stanach nie ma prawie żadnych naturalnych barier terenowych. Bez stałych umocnień i wsparcia w tych warunkach poradzić sobie mogły jedynie pancerze wspomagane, dlatego właśnie jednostki te skierowano na południowy zachód USA.

Pod dowództwem Jacka Hornera zostały więc dwie dywizje pancerzy. Flota zostawiła w Ameryce jedenastą dywizję piechoty mobilnej, wcześniej jedenastą dywizją powietrznodesantową, która wślawiła się w walkach na Pacyfiku podczas drugiej wojny światowej, oraz trzy zespoły uderzeniowe w sile pułku: pięćset ósmy, pięćset dziewiąty i pięćset pięćdziesiąty

piąty pułk piechoty mobilnej.

Los walk zależał w dużej mierze od rozmieszczenia tych sił. Część z nich przeznaczono do obrony wybrzeży, szczególnie wschodniego z jego rozległymi równinami i trudniejszymi do utrzymania przełęczami, ale większość skierowano na południowy zachód.

Generał miał niewiele czasu na podjęcie decyzji i wiedział, że tylko jeden człowiek na Ziemi zna się na możliwościach pancerzy lepiej, niż on sam. Uznał więc, że czas zasięgnąć rady.

**Fort Indiantown Gap, Pensylwania, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 09:22 letniego czasu wschodniego USA, 5 września 2004**

Egzaminatorem był major piechoty morskiej, teraz piechoty mobilnej, z czwartej dywizji Sił Uderzeniowych Floty. Jego jednostka prowadziła właśnie zacięte walki na Barwhon. Ciemnoskóry twardeł o kanciastej szczęce wyglądał jak typowy marine z filmu, ale jego pancerz nosił ślady wielu uszkodzeń. Po walce z Posleenami zawsze zostawały rysy. Mimo że działające w wewnętrznych warstwach nanity usuwały z czasem wszystkie ubytki w pancerzu, pozostawały lekkie przebarwienia, łatwe do zauważenia dla wyszkolonego oka. Naprawione odpryski i rysy traktowano jak blizny, pamiątki świadczące o tym, że bywało się tu i tam. Nienaruszony pancerz, taki jak Mike'a, wskazywał, że albo przeszło się przez prawdziwe piekło, albo było dopiero rekrutem.

Egzaminator zachowywał kamienną twarz podczas całego testu.

Mike nie martwił się zbytnio o wyniki; był współtwórcą podręcznika i pilnował, żeby trzymano się go w każdej fazie ćwiczeń. Zastanawiał się jednak, co o tym wszystkim sądzi major.

Skończyli ćwiczenie – przygotowaną obronę kompanii – w chwili, gdy przez górskie granie przetoczyły się pierwsze podmuchy zimnego jesiennego frontu. Niebo zaczęło ciemnieć. Mike wskoczył na grzbiet wzgórza, dołączając do stojącego tam majora. Odkręcił błyszczące w popołudniowym słońcu molekularne zawory hełmu, zdjął go z głowy z sykiem warstw ochronnego żelu, po czym włożył pod pachę i pytająco uniósł brew.

– Scenariusz ułożono tak, żeby nie dało się wygrać – zaczął major, zdejmując hełm z takim samym, charakterystycznym mlaśnięciem. Jego opalenizna mogła pochodzić tylko z solarium. Większość żołnierzy jednostek pancerzy wspomaganych była blada jak płótno.

Strumień zimnego powietrza wyparł nagle duszny upał wczesnej jesieni, a wirujący podmuch poderwał w górę kurz i liście.

– Tak, sir, wiem – powiedział ostrożnie Mike. – Sam go pisałem.

– Z pewnością wie pan także, jak wygrać mimo to – stwierdził major. – Miał pan zamiar powiedzieć to jeszcze komuś?

Mike obserwował, jak z głowy majora pierzchają ostatnie nanity. Srebrna strużka wiła się w popołudniowym słońcu jak obdarzona inteligencją woda. Wydłużona kropla wyciągnęła się w powietrzu, wyczuła cel ucieczki pod sobą i wskoczyła do hełmu.

– To nie jest coś, czego można nauczyć, sir – przyznał O'Neal, marszcząc czoło. – To kwestia intuicji, przewidywania ruchów Posleenów i odpowiedniego reagowania podjednostkami, ostrożnego użycia artylerii i rozmieszczenia obserwatorów. Udaje mi się raz na dziesięć razy. Tym razem było dosyć łatwo i zastanawiam się, czy kontroler nie zmienił parametrów. Podczas ostatniej fazy ataku Posleeni działali... nietypowo. Byli jakby wystraszeni.

Splunął do hełmu. Brązowy sok rozbryztał się na wijącej się, szarej powierzchni i chwilę później zniknął, wchłonięty przez wyściółkę i wysłany w długą podróż, u kresu której miał się zamienić w racje żywnościowe.

Kolejny podmuch wiatru szarpnął żółknącymi brzożami, a gdzieś w oddali rozległ się trzask łamanych gałęzi. Przez dolinę przetoczyło się dudnienie grzmotu; na niebie nad dalekimi górskimi stokami zatańczyły błyskawice.

– Pierwsze uderzenie – stwierdził major i podniósł wzrok na pędzące chmury. Niebo stawało się coraz bardziej czarne.

– Słucham, sir? – krzyknął Mike, gdyż szum wiatru zagłuszał słowa majora.

– Pierwsze uderzenie – odkrzyknął major i z powrotem włożył hełm. Kiedy Mike przywrócił połączenie, zaczął mówić dalej. – Pierwsze uderzenie wiatru tuż przed burzą. – Niebo otworzyło swe podwoje i lunęło. Mike poczuł, że wstrząsnął nim nagle zimny dreszcz. – To często najsilniejszy podmuch podczas całej burzy.

– Zmiana zachowania Posleenów wynika z efektu przypadkowości, opartego na ich zachowaniach na Barwhon – ciągnął egzaminator. – Raz na jakiś czas istotnie są wystraszeni, jak pan to nazwał. Dobrze ćwiczenie – dodał.

– Dziękuję, sir, staramy się.

– Nie mógłbym was oblać, nawet gdybyście na to zasłużyli. – Czarną jak mahoń twarz skrywały dwa cale plastali i kolejne dwa wyściółki, ale Mike i tak wyczuł pod nimi gniewny grymas.

– Mam nadzieję, że nie zasłużyliśmy.

– Proszę się nie martwić, kapitanie, pańska kompania wydaje się dobrze przygotowana do inwazji – przyznał major. Od czasu Diess O’Neal zdobył reputację wspaniałego i pomysłowego taktyka, wręcz półboga walk w pancerzu wspomaganym. We Flocie wiele osób uważało, że to bzdury. Major przynajmniej zaczynał zmieniać zdanie.

Mike patrzył, jak jego kompania zbiera się w dolinie. Nagle przed oczami stanęło mu wspomnienie srebrnych błyskawic i rojów żółtych centaurów.

– Chciałbym, żeby tak było, sir. Bardzo chciałbym, żeby tak było.

– Kapitanie O’Neal – zaczął mu w uszach głoś dowódcy batalionu.

– Tak, sir?

– Proszę natychmiast zgłosić się w batalionie.

– Tak jest, sir. – Zasalutował majorowi. – Sir, muszę już iść.

– Zrozumiałem, kapitanie. – Major odpowiedział na salut. – Życzę powodzenia.

– I ja panu życzę powodzenia, sir – odpowiedział Mike i pognął w dół zbocza.

\* \* \*

Pułkownik stał obok pojazdu dowództwa – przerobionego hunwee, gdyż nie dostali jeszcze udoskonalonych wahadłowców bojowych. Uruchomienie ich produkcji wstrzymano, gdyż stwierdzono, że będą przestarzałe jeszcze przed jej ukończeniem. Wtedy okazało się, że jedna z galaktycznych ras, Himmici, posiada niewiarygodnie skuteczną technologię maskowania.

Himmici byli ciekawskim rodzajem tchórzy. Aczkolwiek ciekawość dla wielu okazała się pierwszym stopniem do piekła, żaden Himmit z jej powodu nie został do piekła zawleczony. Potrafili bowiem bardzo, ale to bardzo dobrze się ukrywać. To właśnie oni przeprowadzali rekonesanse na wielu posleeńskich planetach i nigdy nie dali się złapać. Ziemianie nie potrafili tego docenić, dopóki sami nie wysłali zwiadowców, którzy ponieśli druzgocącą klęskę. Jedna wzmianka z wynikłych z tego zajścia wielusetstronowych raportach spowodowała więcej zmian w wysiłku wojennym, niż cała misja.

Broń, którą posleeńscy Wszechwładcy montowali na swoich spodkach, miała zasięg kontynentalny i samonaprowadzanie. Mogli zniszczyć każde źródło zasilania w polu widzenia aż po horyzont. Tym samym wsparcie lotnicze wypadało od razu z każdego scenariusza.

Te same zespoły, które wcześniej zaprojektowały galaktyczny sprzęt dla Ziemian, na przykład pancerze wspomagane i kosmiczne okręty liniowe, stworzyły teraz projekt wahadłowca bojowego, ciężko opancerzonego, niewiarygodnie szybkiego i zaskakująco zwrotnego. Na Diess okazało się jednak, że mimo wszystko nie był odporny na rakiety Wszechwładców; spośród dziewięciu



wahadłowców bojowych, wysłanych jako wsparcie odciętemu plutonowi pancerzy wspomaganym ówczesnego porucznika O'Neala, ocalał tylko jeden.

Należało więc pomyśleć o systemach maskujących. Dzięki kombinacji technologii Ziemi i Himmitów miała powstać nowa generacja wahadłowców bojowych, nieco tylko lżej uzbrojonych i opancerzonych, za to jeszcze szybszych i zwrotniejszych. I co najważniejsze, niezwykle trudnych do namierzenia.

Dla ziemskiego sprzętu radiolokacyjnego miały mieć ujemny przekrój odbicia, a na detektorach Galaksjan pojawiały się tylko jako niewyraźne duchy; projektory wygładzały strefy turbulencji nawet przy prędkościach poddźwiękowych. Pierwszych prototypów użyto już na Barwhon, gdzie Ziemianie wciąż zaangażowani byli w desperacką walkę na bagnach. Chociaż poniesiono pewne straty, były one o wiele mniejsze, niż dawniej.

Dopóki jednak jednostki ziemskich Sił Uderzeniowych Floty nie miały wahadłowców, bataliony używały kombinacji nowoczesnego i futurystycznego sprzętu, jak na przykład przerobionego hunwee z zainstalowanym z tyłu galaktycznym komunikatorem i bojowym centrum planowania.

Pułkownik Hanson przybił piątkę z dowódcą kompanii Bravo.

Rozległ się metaliczny szczęk.

– Airborne, kapitanie! Cały czas szukają dziury w całym.

– Cóż, chyba powinienem był odpalić trzecią salwę ognia wspierającego trochę wcześniej – przyznał ponuro Mike. – Fala Posleenów, która się wtedy przebiła, spowodowała straty o trzy procent wyższe, niż powinna. Muszę koniecznie znaleźć kogoś, komu będę mógł powierzyć kierowanie ogniem.

– Chyba będę musiał za karę wysłać pana do łóżka bez kolacji! – roześmiał się dowódca batalionu. Wszystkie kompanie spisały się zgodnie z oczekiwaniami, ale ludzie O'Neala wprost na medal.

Kapitan przeszedł wszystkie oczekiwania. – Szczerze mówiąc nie sądzę, żeby ktoś zwrócił na to uwagę; ja też tego nie zauważyłem.

Nie wydaje mi się, żeby w ogóle można było powiedzieć cokolwiek złego o pana kompanii.

– A ja nie przypuszczałem, że można uzyskać maksimum punktów na Teście Gotowości Bojowej, sir – powiedział Mike.

– Chyba ustanowił pan nowy rekord. Ale nie dlatego pana tu wezwałem. – Dowódca batalionu pokazał wydruk przysłanych pocztą elektroniczną rozkazów. – Nightingale będzie musiała sama zająć się Testem i Generalnym Inspektorem. Pan otrzymał rozkaz stawienia się w DowArKonie. Głos pana, jak sądzę.

Mike przejrzał treść rozkazów. Wyraźnie poznawał styl Jacka Hornera.

– Tak, sir, rzeczywiście na to wygląda. Cóż, kompania lepsza już nie będzie. Kiedy mam jechać?

– Ma pan wieczorny lot z Harrisburga bezpośrednio do Waszyngtonu; jest pan już na liście pasażerów.

– Tak jest, sir. Pozwoli pan, że się odmelduję? – zapytał, salutując.

– Niech się pan wynosi, kapitanie – zaśmiał się pułkownik i odpowiedział na salut.

\* \* \*

Samolot był pełen wojskowych, planujących przesiadkę w Waszyngtonie. Mike pomyślał, że jeśli w pobliżu znalazłby się jakiś mężczyzna w wieku poborowym bez munduru, powinno się go zastrzelić, wypchać i postawić w muzeum jako niezwykle rzadki okaz.

Zaskoczyła go różnorodność mundurów. Chociaż większość stanowili żołnierze Gwardii

i oddziałów liniowych – łatwo rozpoznawalni po ich zasadniczo niezmiennych zielonych mundurach armii Stanów Zjednoczonych – byli też oficerowie i szefowie sztabów marynarki w czarnych uniformach, odziani w błękit żołnierze sił powietrznych i oficerowie Floty w czarnych mundurach z wysokimi kołnierzami i w beretach. Mike był jedynym na pokładzie żołnierzem w niebiesko-czerwonych barwach Sił Uderzeniowych Floty i miał wrażenie, że bardzo rzuca się w oczy. Cieszył się, że siedząca obok niego pasażerka, czterdziestokilkuletnia kobieta w stopniu kapitana Floty, albo go nie rozpoznawała, albo nie interesowało jej, kim jest.

Kiedy samolot wzbił się w powietrze, obsługa zaczęła roznosić napoje. Mike poprosił stewardesę o colę; kobieta przyjrzała mu się uważnie, ale nic nie powiedziała, najwyraźniej odrzucając myśl, że jej samolotem może lecieć Michael O’Neal. Kiedy jednak zaczęli już podchodzić do lądowania na Washington National, przykucnęła przy fotelu Mike’a.

– Przepraszam pana. Chciałabym o coś zapytać... – powiedziała niepewnie.

– Słucham? – Mike był w podłym nastroju. Mimo, że jego kompania była dobrze przygotowana do Generalnej Inspekcji, chciał być na miejscu i zająć się wszelkimi ewentualnymi niedociągnięciami.

Chciał, żeby jego kompania spisała się w czasie inspekcji tak samo dobrze, jak na Teście Gotowości. Martwił się, jak Nightingale poradzi sobie z „trudnymi dziećmi” kompanii, mimo tego, że miała do pomocy Pappasa. W takim nastroju nie miał ochoty na wymuszone uprzejmości, szczególnie dla stewardesy, która pewnie chciała otrzeć się o sławę.

Właśnie z tego powodu na jego mundurze nie było – wbrew przepisom-żadnych oznaczeń. Zazwyczaj nosił Oznaczenie Bojowe Piechoty zjedną gwiazdą, wskazujące, że uczestniczył w dwóch ważnych konfliktach, i naszywkę, tak rzadką, że mało kto ją znał, przedstawiającą połowę wybuchającej gwiazdy. Naszywkę zaprojektowano na potrzeby Floty dla tych osób, które znalazły się w podmuchu eksplozji nuklearnej. Projekt naszywki pizyjęto również w Siłach Lądowych, ale nieczęsto spotykało się jej żywego posiadacza.

– Czy pan jest tym Michaelem O’Nealem, który był na Diess i otrzymał Medal Honoru? – zapytało cicho stewardesa.

– Tak – warknął Mike. – Następne pytanie.

– Nie będzie więcej pytań – uśmiechnęła się szczerze kobieta. – Chciałam panu tylko podziękować. Mój brat służy w siódmym pułku kawalerii. Udało mu się wrócić spod Dantren tylko dzięki temu, że pański pluton pojawił się na czas. Dziękuję.

No, to zupełnie inna sprawa.

– Cholera, miło to słyszeć! Wie pani, rzadko się pamięta o udziale wojsk pancernych w tym całym zamieszaniu. Jednostki pani brata nabiły tych cholernych Posleenów na pał, jeszcze zanim się tam zjawiliśmy, a mimo to nikt nie mówi o ich zasługach. A co słyszać u brata? Przyznaję, że nie śledziłem ostatnio losów jednostek z Diess.

– Jego dywizja wróciła do Stanów. Należy teraz do jednostki Gwardii w Teksasie i przygotowuje się do dnia lądowania.

– Cóż, kiedy się pani z nim zobaczy, proszę mu życzyć ode mnie powodzenia – powiedział Mike z uśmiechem.

– Tak zrobię. Będzie zadowolony, że pana zaczepiłam.

– Pani też życzę powodzenia.

– Cóż, jestem z Missouri. Z tego, co mówią w wiadomościach, wynika, że nie zaatakują nas większe siły. Mam taką nadzieję, ale współczuję ludziom na wybrzeżu.

– Tak, większość moich ludzi będzie na równinach nadbrzeżnych.

Ale nigdzie nie będzie całkiem bezpiecznie, więc proszę postarać się o broń. Jeśli nagle otoczy was rój Posleenów, pewnie się pani nawet nie uda zabrać chociaż jednego ze sobą – powiedział brutalnie. – Ale jeśli będzie ich mniej, broń może uratować pani życie. Polecam strzelbę kaliber dwanaście. Kopie jak muł, ale trudno z niej spudłować z niewielkiej odległości, a na Posleena jeden strzał wystarczy. Może pani być w najbezpieczniejszym miejscu na ziemi, a i tak może tam spaść ładownik. Więc proszę postarać się o broń.

– Tak zrobię. Dziękuję.

– Powodzenia.

Kiedy stewardesa odeszła, siedząca obok kobieta w stopniu kapitana Floty podniosła wzrok znad dokumentów.

– Tak myślałam, że to pan, ale nie chciałam być nieuprzejma i pytać – powiedziała z silnym brytyjskim akcentem. Mike, który miał dobre ucho i spędził dużo czasu z Brytyjczykami, kiedy pracował nad programem pancerzy wspomaganych, domyślił się, że kapitan pochodzi ze środkowej Anglii.

– Tak, to ja, proszę pani. We własnej osobie.

– Leci pan do Waszyngtonu?

– Tak, proszę pani, najwyraźniej generał Taylor musi się mnie poradzić, jak dalej toczyć wojnę.

– Cóż, nie umiem wyobrazić sobie lepszego źródła informacji o pancerzach wspomaganych.

Wolno spytać o powód pańskiej zgrzyliwości, młody człowieku?

Mike westchnął i w tym momencie opuścił go gniew. Kapitan nie była przecież winna trapiących go problemów ani braku pewności siebie.

– Moja kompania przechodzi teraz Test Gotowości Operacyjnej i inspekcję biura Inspektora Generalnego. Wolałbym być teraz z nimi, niż odstawiać jakieś szopki w Waszyngtonie. Pomagałem im wiele w zeszłym roku i, za przeproszeniem, gównem to dało, więc nie jestem pewien, czy tym razem będzie inaczej.

– Więc naprawdę będzie pan mówił generałowi Taylorowi, jak prowadzić wojnę? – spytała ze śmiechem.

– Przypuszczam, że tak, proszę pani, przynajmniej jeśli chodzi o jednostki pancerzy wspomaganych. Dowódca DowArKonu i ja znamy się od dawna. Rozkazy nadeszły wprawdzie od DowArKonu w Fort Myer, ale mam się zgłosić w Pentagonie. Trudno zgadnąć, o co chodzi.

– Chyba powinien pan się cieszyć z szansy współdecydowania?

– powiedziała zdziwiona.

– Cóż, proszę pani, jest jeszcze problem różnicy między taktyką a strategią. Choć muszę przyznać, że jestem jednym z największych ekspertów w dziedzinie taktyki stosowania jednostek pancerzy wspomaganych, moje pojęcie o strategii jest raczej niewielkie.

– Proszę pamiętać – powiedziała – że sztuka strategii w ponad osiemdziesięciu procentach opiera się na logistyce. Jeśli podejdzie ich pan od strony logistyki, będą panu jeść z ręki.

– Logistyka?

– Logistyka.

– Dobra, dziękuję pani – powiedział z uśmiechem.

– Nie ma za co – zaśmiała się.

– Kapitan Michael O’Neal. – Mike wyciągnął rękę – Siły Uderzeniowe Floty.

– Kapitan April Weston. Flota Liniowa. Dowódca.

– O, ma pani własny statek? – zapytał zaciekawiony Mike. Bardzo niewiele okrętów przeznaczonych do obrony nadawało się do uruchomienia przed pierwszą falą inwazji. Dlatego

właśnie nadchodzące kilka lat zapowiadało się tak ciężko.

– Jeśli można go tak określić – powiedziała i skrzywiła się kwaśno. – To przerobiona galaktyczna fregata.

– Au. – Mike też się skrzywił. – Widziałem specyfikacje w GalTechu. Żadnego pancerza...

– Słabe uzbrojenie...

– Brak systemów rezerw...

– Ograniczona zdolność namierzania celu...

– Cóż – powiedział Mike i znowu się skrzywił – przynajmniej pancerze kosmiczne macie przystosowane do działań wojennych.

– Świetnie – powiedziała ze śmiechem. – Nie dość, że przez całą swoją karierę uczę się taktyki działań na morzu, to teraz muszę jeszcze nauczyć się oddychać w próżni.

– Jest pani w regularnych oddziałach? – zapytał Mike, zaskoczony.

– Właściwie byłam w rezerwie Królewskiej Marynarki Wojennej, dopóki nie awansowali mnie na kapitana i, psia krew, nie przenieśli do regularnych oddziałów. Dowodziłam ostatnio Sea Sprite, który, do pańskiej wiadomości, jest krążownikiem. A teraz wysyłają mnie w bezkresną głębię kosmosu i na kurs astrogacji. W moim wieku... – zakończyła, załamując ręce.

– Cóż – uśmiechnął się Mike – życzę więc powodzenia.

– Tak, będzie nam wszystkim bardzo potrzebne.

*Synowie Marii cierpią rzadko,  
gdyż dobra ujrzeli w swej schedzie blask;  
Synowie zaś Marty swoją czczą Matkę,  
gdyż w duszy jej ciepło,  
w sercu zaś brzask,  
Lecz cierpliwość gdy straciła raz,  
I zuchwałe jej słowo usłyszał Pan,  
Wpierw synów Marii wstąpi brać  
w wieczności świat, błogości stan.*

„Synowie Marty”  
RudyardKipling, 1907

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 23:17 letniego czasu wschodniego USA, 5 września 2004**

Z wyjątkiem tłumów ludzi w mundurach nic nie wskazywało na jakiegokolwiek zmiany w stolicy. Mike złapał autobus z lotniska; objechał całe miasto, zanim znalazł się blisko Pentagonu. Rzucił okiem na Washington Mall i ulice Georgetown, ku jego zaskoczeniu pełne tłumów zabawowiczów. Wreszcie zobaczył także mężczyzn ubranych po cywilnemu – ich praca była na tyle ważna, że nie można było ich poświęcić na armatnie mięso. Sądząc po wyglądzie, byli to głównie adwokaci i urzędnicy Kongresu. Może to i lepiej, pomyślał Mike. Bóg jeden raczy wiedzieć, w co by się przemienili, gdyby dać im mundury.

Rok wcześniej, podczas świętowania zwycięstw na Diess, Mike poznał wielu polityków i ich adiutantów, politycznych oficerów wojskowych i tym podobnych osobistości. Diess dała mu tak jasny pogląd na niebezpieczeństwo zbliżającej się nawałnicy, że czuł się trochę jak jednooki w kraju ślepców. Miał też sporo do czynienia z wyższymi szczeblami hierarchii wojskowej i musiał przyznać, że nie były to szczególnie udane kontakty.

Mike uważał, że jest delikatny, jeśli nie mówi komuś wprost, że ten ktoś nie jest w stanie znaleźć własnej dupy obiema rękami. Mimo to jednak wszyscy dobrze go zrozumieli. Kiedy porucznik – a wtedy był jeszcze porucznikiem – nawet porucznik z Medalem, w taki sposób zwraca się do oficerów służących dobre trzydzieści lat dłużej od niego, zawsze wychodzi z tej konfrontacji jako przegrany.

Według O’Neala problem polegał na tym, że wielu poznanych przez niego starszych oficerów, choć dobrych, czy nawet genialnych w walce z ludźmi, nie potrafiło poradzić sobie z fenomenem Posleenów. Pomimo patowej sytuacji na Barwhon i codziennych, olbrzymich strat, wciąż traktowali obcych jako po prostu ludzi z zacięciem samobójczym, na kształt Japończyków z okresu Drugiej Wojny Światowej.

A przewagi liczebnej nie traktowali poważnie. Myśleli w kategoriach systemów uzbrojenia, czołgów, transporterów opancerzonych i dopiero na końcu żołnierzy, ponieważ atakujące fala za falą hordy ludzi nie mogły się mierzyć z nowoczesną armią.

A przecież Posleeni nie tylko dysponowali niewiarygodną masą fanatycznych wojowników, gotowych ponieść ogromne straty, byleby tylko wykonać rozkaz; mieli też broń zdolną poradzić sobie

z ciężkimi wozami bojowymi. Wprawdzie broń zwykłych Posleenów nie miała celowników i strzelało się z niej „z biodra”, za to wielu z nich nosiło karabiny magnetyczne zdolne przebić boczny pancerz czołgu M-1 oraz wyrzutnie rakiet hiperszybkich, bez problemów radzące sobie z pancerzem przednim. Przywódcza kasta Wszechwładców dysponowała automatycznymi wyrzutniami rakiet hiperszybkich, działami laserowymi albo plazmowymi. Gruda plazmy z takiego działa, nawet jeśli tylko lekko drasnęła czołg, tak bardzo podnosiła temperaturę w jego wnętrzu, że załoga po prostu się w nim piekla.

Do starszych oficerów docierały jednak tylko informacje o zmasowanych atakach i broni bez celowników, więc uważali, że walka z obcymi będzie przypominać bitwy z epoki napoleońskiej. Byłaby to nawet prawda, gdyby nie Wszechwładcy i ich pojazdy. Starsi rangą dowódcy trwali w przekonaniu, że współczesna, dobrze wyszkolona i wyposażona armia po prostu zmasakruje takiego przeciwnika.

Mike akurat z tym się zgadzał; Posleenów rzeczywiście czeka rzeź. Ale w żaden sposób nie mógł wytłumaczyć dowództwu, że Posleeni nie liczą się z własnymi stratami. Atakowali taką masą, że mimo zniszczenia nawet dziewięćdziesięciu procent ich wojsk, i tak mieli jeszcze ogromną przewagę liczebną, a do tego sprzętową. Góra miała szybko przekonać się o błędności swojego rozumowania. Mike spodziewał się jednak, że w najbliższej przyszłości czeka ich codzienność krwawej jatki.

Autobus podjechał wreszcie do bocznego wejścia do Pentagonu, wypuścił umundurowanych pasażerów i przygotowywał się do zabrania kolejnych żołnierzy na lotnisko. Mike zastanawiał się, co oni wszyscy tu robią. Po co, cholera, trzydziestu kapitanów, majorów i pułkowników, z których większość nosi naramienniki Dystryktu Wojskowego Waszyngtonu, leci dokądś o dziesiątej wieczorem?

– To pewnie ich wkład w wysiłek wojenny – mruknął do siebie i ruszył zmęczonym krokiem do obstawionego przez żandarmerię wojskową wejścia.

Jego dzień zaczął się o trzeciej nad ranem; zdążył już przeżyć przygotowany atak, pospieszną obronę i przygotowaną obronę. Stoczył trzy „wspaniałe, mordercze bitwy” i uważał, że najwyższy czas iść spać.

– Mogę w czymś pomóc, kapitanie? – zapytał wyniosłym tonem porucznik żandarmerii, który zagroził mu drogę.

Mike zetknął się już z takim zachowaniem. Wielu żołnierzy Sił Lądowych i marynarki niechętnie odnosiło się do żołnierzy Sił Uderzeniowych Floty. Uważali, że te jednostki, głównie amerykańskie, które zostały przeniesione poza Stany Zjednoczone, nie bronią już bezpośrednio swojego kraju. A różnica w wysokości żołdu bynajmniej nie pomagała w zapobieganiu konfliktom.

Flota i Siły Uderzeniowe Floty były opłacane przez Federację i żołnierze otrzymywali żołd w federacyjnych kredytach. Federacja posiadała ustalone poziomy wynagrodzenia dla każdego rodzaju pracownika w swojej strukturze. Żołnierze i astronauty Floty oraz Sił Uderzeniowych także byli ujęci w tej hierarchii.

Dzięki jednemu z kruczków w prawie Federacji, wyjątkowo korzystnemu dla ludzi, wojskowi automatycznie awansowali w hierarchii kast. Prawo federacyjne uprawomocniało różnicowanie systemów prawnych dla różnych pozycji społecznych. To, co nielegalne dla Galaksjanina niskiej rangi, mogło być legalne dla tego z rangą wyższą.

Galaksjanie nie rozróżniali prawa wojskowego i cywilnego; większość działań wojskowych, takich jak odbieranie życia istotom inteligentnym, wymagało specjalnych zezwoleń. Te z kolei wymagały przynależności do odpowiednio wysokiej kasty. Tak więc żołnierzom najniższych stopni

przyznano rangę tak samo wysoką, jak młodszym mistrzom rzemieślników Indowy. Wyższe szarże wojskowe plasowały się zaś bardzo wysoko w ogólnej hierarchii społecznej Federacji.

Tak zbudowanej hierarchii odpowiadały właściwe dla niej galaksjańskie poziomy wynagrodzeń. Kapitan Sił Uderzeniowych Floty zarabiał tyle, co młodszy koordynator Darhelów, i prawie tyle samo, co generał dywizji w ziemskim wojsku. Z drugiej strony podniesienie podatków na czas wojny powodowało, że zabierano mu prawie osiemdziesiąt siedem procent dochodów. W ogólnej opinii było to słuszne z punktu widzenia funduszu wojennego. Mike słyszał też coś o zamiarze przyznania przez Federację premii za udział w walkach na Diess, co mogło jeszcze bardziej powiększyć nierówność płac. Tak czy inaczej struktura zarobków powodowała wiele spieć.

Problem ten miał szansę zniknąć dopiero po wojnie wraz ze stopniowym włączaniem jednostek Armii do Sił Uderzeniowych Floty.

Na razie jednak nie można było nic na to poradzić.

– Tak, może pan, poruczniku. Może mnie pan wpuścić. Mam się zgłosić do DowArKon.

– Przykro mi, kapitanie, najwyraźniej źle pan trafił. DowArKon ma swoją siedzibę w Fort Myer. Za około czterdzieści pięć minut ma pan autobus.

Mike wręczył rozmówcy kopię e-maila i dotknął palcem inteligentnego przekaźnika na nadgarstku.

– Jak pan widzi, rozkazy jasno nakazują mi się zgłosić do DowArKon w Pentagonie, a nie w Fort Myer.

– Kapitanie, ja tu tylko pilnuję wejścia. A to nie jest upoważnienie do wstępu do Pentagonu. – Strażnik nie wydawał się ani trochę zmartwiony zaistniałym problemem. – A jeżeli jeszcze nikt panu nie wyjaśnił takich rzeczy, proszę zapamiętać: jeśli jest napisane, żeby zgłosić się do dowódcy, to znaczy, że należy zameldować się u kogoś z dowództwa, a ten ktoś poinformuje samego dowódcę o pańskim przybyciu.

Na twarzy porucznika pojawił się złośliwy uśmieszek – taka prosta sprawa, a trzeba ją wyjaśniać jednej z szyszek Sił Uderzeniowych Floty.

Mike głąskał przez chwilę przekaźnik.

– A mógłby pan łaskawie spróbować się dowiedzieć, gdzie mam się udać?

– Nie wiem nawet, gdzie miałbym zacząć, kapitanie. Proponuję, żeby pan zadzwonił do DowArKonu – wskazał na szereg automatów telefonicznych wiszących przed wejściem.

– Już się robi. – Mike ściągnął przekaźnik z nadgarstka i umieścił go na głowie. Urządzenie automatycznie zmieniło się w zestaw mikrofonowo-słuchawkowy. – Shelly, połącz mnie z Jackiem, proszę.

– Tak jest, sir – zaćwierkał przekaźnik. – Generał Horner na linii – powiedział po chwili.

– Mike? – rozległ się przerywany trzaskami głos.

– Tak, sir.

– Gdzie jesteś? – zapytał generał Horner.

– Przy bocznym wejściu.

– Powiedz żandarmom, żeby jak najszybciej wpuścili cię do biura Głównego Dowódcy.

– Tak jest, sir. – Spojrzał na żandarma. – Dobra, poruczniku, Dowódca Armii Kontynentalnej każe mi iść jak najszybciej do biura Głównego Dowódcy. Co pan na to?

– Muszę mieć upoważnienie, żeby wpuścić pana do budynku, sir – powiedział żandarm, uznając widocznie słowa smarkacza z Sił Uderzeniowych Floty za błąd.

– Jack, on mówi, że jest mu potrzebne upoważnienie.

Kiedy Mike zwrócił się do Dowódcy Armii Kontynentalnej po imieniu i nie dostał za to ostrej

reprimendy, żandarm zbladł jak ściana. Najwyraźniej to jednak nie był blef.

– Podaj mu telefon – powiedział lodowatym głosem generał Horner.

Mike podał żandarmowi przekaźnik, a potem patrzył, jak porucznik mięknie i niemal wtapia się w beton. Po trzech „tak, sir” i jednym „nie, sir” oddał Mike’owi przekaźnik i skinął ręką na jednego z pozostałych strażników.

– Sierzancie Wilson, proszę zaprowadzić kapitana prosto do biura Głównego Dowódcy – powiedział cicho.

– Życzę miłego dnia. – Mike nonszalancko machnął ręką, na której z powrotem zapiął błyszczący czarny przekaźnik.

– Tak jest, sir.

Sukinsyny z tyłów, pomyślał sobie Mike.

\* \* \*

Chociaż Shelly mogła poprowadzić go przez labirynt prosto do biura, Mike był zadowolony z obecności sierżanta. Podoficer z lekkim uśmiechem poprowadził go najpierw do portierni, żeby odebrał tymczasową przepustkę, która dziwnym zbiegiem okoliczności już tam na niego czekała, a potem do pomieszczenia, które zajmowali wcześniej Szefowie Połączonych Sztabów.

Minęli wciąż ciężko pracujących urzędników i podeszli do biurka ostatniego strażnika portalu, podstarzałego czarnego chorążego, który miał taką minę, jakby zjadł na śniadanie gwoździe. Mike słyszał już o legendzie Sił Specjalnych – chorążym Kiddzie, który najwyraźniej uważał, że generał Taylor stale potrzebuje strażnika. Podobno on i generał znali się od bardzo dawna, od czasu nieprawdopodobnego wypadku z rozwścieczonym aligatorem i dwiema butelkami Jack Daniels w rolach głównych. Sierżant zatrzymał się przy strażniku i zsalutował.

– Panie chorąży Kidd, sierżant Wilson melduje się wraz z kapitanem Michaeliem O’Nealem, który przybył do Głównego Dowódcy.

Chorąży sztabowy Kidd oddał salut.

– Dziękuję, sierzancie. Możecie wracać na swój posterunek.

– Tak jest, sir. – Sierżant wykonał idealny zwrot w tył i odmaszerował.

– Chyba zepsułem mu cały dzień – powiedział kapitan O’Neal.

– Nie, wręcz przeciwnie. Ale temu porucznikowi przy wejściu na pewno. Tak przynajmniej słyszałem – powiedział Kidd i zachichotał złośliwie. – Naprawdę powiedział pan przy nim „Jack” do dowódcy DowArKon?

– A pan nigdy nie zwracał się do generała Taylora „Jim”? – zapytał z uśmiechem Mike.

– Nie, jeśli ktoś mógł to usłyszeć. – Chorąży wstał i spojrzał z góry na karłowatego kapitana. – Cholera, aleś pan niski – powiedział i wyciągnął ręką. – Chorąży Kidd. Dla pana – pan Kidd.

– Kapitan Michael O’Neal – powiedział Mike i jego dłoń utonęła w garści Kidda.

Kidd natychmiast przeszedł do gniotącego uścisku, który Mike przebił jeszcze silniejszym uchwytem, chociaż było to trudne, zważywszy na rozmiar dłoni Kidda. Mocowali się przez chwilę, dopóki na twarzy chorążego nie pojawił się wyraz bólu.

– W ramach specjalnych względów może mnie pan nazywać Mocarnym Maleństwem. – Mike powoli osłabił uścisk.

– Dobra – stęknął Kidd.

– Mogę już wejść? – Mike nadal ścisnął dłoń chorążego.

– A puści mnie pan, jak powiem, że tak?



\* \* \*

– Mike! – ucieszył się dowódca DowArKon i przeszedł przez całe biuro z wyciągniętą ręką. – Dobrze cię widzieć. Wyglądasz znacznie lepiej, niż ostatnim razem.

– Dziękuję, sir – powiedział Mike, niedbale salutując i ściskając dłoń generała Hornera. – Spóźnione gratulacje z okazji w pełni zasłużonego awansu. Przepraszam, że nie przyniosłem cygar, ale mi wyszły.

– Coraz trudniej dostać dobre cygara. – Generał Horner poprowadził go przez biuro w kierunku kanapy. Generał Taylor wstał i podszedł do biurka, żeby wyciągnąć stamtąd pudełko cygar.

– Proszę – podał pudełko Mike'owi. – Na koszt firmy. Jeden facet z Readiness lata co miesiąc do Guantanamo. Zważywszy na ciepłe stosunki, jakie teraz budujemy z Kubą, cygara nie stanowią żadnego problemu. Zawsze przywozi mi kilka pudełek.

Mike wyciągnął jedno z długich, czarnych cygar.

– Dziękuję, sir.

– Weź więcej. Postaram się wysłać ci całe pudełko, powinno dojść do niedzieli.

– „... a w sobotę łeb mu ścięli.” – zażartował Mike.

– Skąd takie wrażenie? – zapytał Horner.

– Cóż, obydwaj panowie jesteście fajni goście, ale musi być jakiś powód, dla częstujecie mnie cygarami w środku nocy – powiedział Mike z uśmiechem.

– Niezupełnie – zaśmiał się generał Taylor, zapalając cygaro. – I tak byśmy nie spali, a teraz jest tak samo dobra chwila, jak każda inna, żeby wyjaśnić ci cel twojej misji.

– To znaczy? – Mike wyjął swoje zippo i zaczął ćmić cygaro.

– Mike – zaczął generał Horner – jak wiesz, jak wszyscy wiedzą, plan obrony, znany jako górski, upadł. Prezydent i Kongres nie poparą projektu, w którym siły zbrojne nie będą chronić równin nadbrzeżnych, a szczególnie położonych tam miast. Prezydent rozumie, że nie możemy walczyć o każdy skrawek ziemi, ale nalega, żebyśmy bronili każdego większego miasta. Nadążasz?

– Tajest – powiedział Mike, uważnie przyglądając się płomieniowi na końcu swojego cygara. Kiedy zaczęło już odpowiednio dymić, zaciągnął się głęboko. Dobrze, pomyślał. – Dobra, szefie, to już wiemy: mamy bronić miast. Czy prezydent zdaje sobie sprawę, że to spowoduje prawdopodobnie więcej szkód niż gdybyśmy za jakieś dwa, trzy lata uderzyli przy pełnym wsparciu Floty i wykopali Posleenów z zajętych miast?

– Tak – odpowiedział Taylor.

– Aha.

– Stało się to tematem wielu reportaży prasowych. Widzę, że nie jesteś na bieżąco.

– Nie, sir, nie jestem – przyznał Mike. – Nie oglądam nawet wiadomości. Byłem zajęty przygotowaniem mojej kompanii do testów.

– Najwyraźniej dobrze ci poszło – zaśmiał się generał Taylor. – Dostałem e-mail z informacją, że prawdopodobnie jest jakiś błąd w oprogramowaniu do twoich ćwiczeń. Udało ci się uzyskać sto procent punktów w sytuacji ocenianej jako niemożliwa do wygrania. Zastanawiano się nawet, czy to nie ty grzebałeś w oprogramowaniu.

– Raczej nie, sir – uśmiechnął się Mike. – Wszyscy wiedzą, że oszukują tylko Siły Specjalne. Poszczyliło się nam; Wszechwładca wybrany przez program do ostatecznej potyczki okazał się leszczem i uciekł. Ale przede wszystkim pomogło nam to, że przerobiliśmy ten scenariusz kilkaset razy w rzeczywistości wirtualnej i na ćwiczeniach taktycznych bez udziału żołnierzy. W wolnym czasie bawię się tym dla przyjemności, sir. Inni dowódcy też powinni się tego nauczyć. Większość z nich nawet nie siada z dziećmi do Mario Brothers.

– Chcesz powiedzieć, że powinni częściej grać w gry wideo? – zapytał Główny Dowódca, zaskoczony takim swobodnym podejściem do sprawy.

– Tak sędzę, sir. – Mike gapił się w zamyśleniu na cygaro. Zmęczenie długim dniem i wszystkimi wcześniejszymi zajęciami sprawiło, że mówił więcej, niż sobie zaplanował przed spotkaniem z generałami. Nadal nie czuł się zbyt pewnie.

Przygotowanie swojej kompanii było zadaniem zupełnie jasnym, o właściwym stopniu skomplikowania. Przejście na poziom bardziej strategiczny było czymś zupełnie innym. Jednak jeżeli zdołał się czegokolwiek nauczyć w tej grze, to właśnie tego, by nigdy nie burzyć wrażenia pewności siebie. Czasami to była jedyna rzecz, która pozwalała przeciągnąć swoich ludzi przez największą zawieruchę. Nawet tu, gdzie definicja „swoich ludzi” zrobiła się okropnie szeroka.

– Ten sprzęt działa na zasadzie tworzenia środowiska gry wideo, scenariusze oparte są na wielu archetypach gier komputerowych – ciągnął Mike. – Gdyby dowódcy spędzali mniej czasu na wykonywaniu zadań należących do ich starszych sierżantów i wypełnianiu nikomu niepotrzebnych druków, a więcej w rzeczywistości wirtualnej, lepiej radziliby sobie w czasie bitew.

– Cóż – powiedział generał Horner – my, a mam tu na myśli generał Taylora, siebie i w mniejszym stopniu ciebie, musimy zdecydować, jak będzie wyglądała bitwa i jak ją stoczmy. Wyłuszcę ci zaraz w ogólnych zarysach, jak powinna wyglądać strategiczna i operacyjna misja jednostek panczerzy wspomaganych, a ty w ciągu najbliższych dwóch tygodni możliwie szczegółowo zaproponujesz, jak mamy to zrobić. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedział Mike i odchylił się do tyłu w fotelu.

Po chwili jednak zmienił pozycję. Wygodny fotel na sto procent by go uspił. Jeśli nie chciał zrobić z siebie błazna przed generałami, musiał trzymać się prosto.

Generał Horner spojrzał na sufit, jak gdyby czerpał pomysły z unoszącego się w górze dymu z cygar.

– Według rozkazów mamy zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, aby nie oddać miast Posleenom. Najpierw musimy sobie zdefiniować pojęcie „miasto”. Arbitralnie zdecydowaliśmy się bronić tylko samych centrów, bo prawdę mówiąc, nie widzimy sposobu obrony przedmieść.

Oczywiście obrona będzie miała pewną głębokość i powstaną jakieś umocnienia zewnętrzne, nie licząc fortyfikacji uzupełniających, ale przede wszystkim będziemy się starać bronić „śródmieść”. Tej części z drapaczami chmur, gdzie Posleeni i tak raczej nie wylądują.

Za miastami, w pobliżu obwodnic, zbudujemy nowoczesne fortece. Otoczmy je murami obronnymi i systemem fos oraz wyposażymy w dużą ilość konwencjonalnej siły ogniowej. Pozostawimy dowódcom fortec swobodę wyboru broni. Te fortece i fortyfikacje w centrum miast będą miały za zadanie złapanie Posleenów w krzyżowy ogień. Zewnętrzne fortece nazywamy koralowymi, bo przypominają rozrastający się koral.

Miasta i fortece koralowe będą miały wystarczająco dużo zapasów, żeby móc utrzymać się przez pięć lat, jeśli będzie to konieczne. Każda z fortec będzie w zasięgu obserwacji centrum obrony planetarnej. Ponieważ fortece są częścią planu działania tych centrów, nie musimy się za bardzo martwić, co się stanie, jeśli zaatakuje je lądowik albo statek dowodzenia. Jeśli Posleeni nie nadlecą w ogromnej masie, centra obrony planetarnej powinny sobie z nimi poradzić. Jeżeli sytuacja stanie się beznadziejna, obsada miejskich fortec może próbować ucieczki. W przypadku nadbrzeżnych miast stworzymy plany ewakuacji drogą morską.

– W jaki sposób, sir? – przerwał Mike. Jedną z jego niewielu słabości była potrzeba regularnego snu. Bez tego jego mózg zmieniał się w papkę; zrobił sobie wolne mniej więcej w chwili lądowania w Waszyngtonie. Mike nie był w nastroju do zabawy w zgadywanki. Zaciągnął się kolejną

porcją nikotyny w nadziei, że rozjaśni mu to w głowie.

– Częściowo łodziami podwodnymi. Przywracamy obecnie do łask łodzie z napędem jądrowym i pociskami balistycznymi, które nie poszły jeszcze na złom. Usuwamy całe uzbrojenie i rozbudowujemy systemy podtrzymywania życia. Do samej sekcji raket balistycznych można będzie upchnąć cały batalion, następnych do magazynu torped i tak dalej. Zastępujemy reaktor jądrowy kryształami mocy, żeby uciszyć protesty obrońców środowiska.

– Zupełnie jakby miało jeszcze zostać jakieś środowisko – parsknął śmiechem generał Taylor. Podszedł do kredensu i wydobyl trochę szkockiej whisky. – Kto się ze mną napije?

– Dla mnie wódka, czysta – powiedział generał Horner.

– Proszę o bourbona z lodem, sir. Dużo lodu – powiedział Mike.

– Nie bądź taki sztywny, kapitanie. Wszyscy tu jesteśmy starymi żołnierzami – odpowiedział mu Główny Dowódca.

– Tak jest, sir.

Wolałby co prawda kawę, ale nie odmawia się, kiedy Główny Dowódca proponuje drinka.

Generał Horner ciągnął dalej swój wywód.

– Marynarka też reaktywuje wszystkie pancerniki, które nie poszły jeszcze na żyletki. Ponieważ niektóre z nich służą jako muzea, a próbom złomowania ostatnich dwóch typu Iowa towarzyszył ryk protestu, okazuje się, że mamy ich osiem.

– Słyszałem o tym, sir – powiedział Mike. – Wytrzymają w starciu z bronią Posleenów?

– Cóż, ich pancerz burtowy, to jest część kadłuba powyżej linii wody, i większość pancerza mostka to trzydziesto-trzydziestopięciocentymetrowa warstwa litej stali. Wydawałoby się, że jest to za mało, żeby oprzeć się działom plazmowym, ale okazała się zaskakująco wytrzymała. Co więcej, dodano do niej trochę lekkich cerametalii, które zwiększają odporność na ogień laserowy i plazmowy o dwadzieścia pięć procent. Poradzą sobie nawet w niewielkiej odległości od wroga. A jaką mają siłę ognia! Każda z łodzi ma dziewięć dział kaliber czternaście albo szesnaście cali.

– Czy Iowa nie straciła jednego działa w wypadku? – Mike podrapał się w podbródek i pomyślał, że dobrze byłoby mieć taki statek na zawołanie.

– Tak – odpowiedział generał Taylor – ale w Granite City Steel w St. Louis budują nowe. Będzie gotowe za jakieś dziesięć miesięcy.

– Jednak w przypadku miast, których nie da się ewakuować drogą morską – ciągnął generał Horner – musimy mieć alternatywne rozwiązania.

– Jeśli chodzi o przebicie się przez oddziały atakujących Posleenów, sir – przerwał mu Mike – to nie widzę takiej możliwości. Mówimy o lekkiej piechocie, prawda? – Stłumił ziewnięcie i głęboko odetchnął, żeby dostarczyć trochę tlenu do oklapłego mózgu.

– Też, ale będzie ona posiadać dość własnego transportu, żeby szybko przemieścić całą dywizję. W przybliżeniu pułk piechoty zmotoryzowanej. Będzie tam też sporo piechoty zmechanizowanej, jednostek pancernych lub kawalerii pancерnej. Czołgi i transportery zostaną rozmieszczone na czołowych umocnieniach obronnych, gotowe do wycieczki, a żołnierze będą siedzieć w bunkrach. Jeśli zdecydują się na odwrót lub przebijanie się, będą mieć do dyspozycji ciężarówki i inne pojazdy, żeby wyprowadzić z miasta całe wojsko i cywilów. Za jednym zamachem.

– Dobra, zastanówmy się nad sytuacją konkretnego miasta, sir. – O’Neal znowu podrapał się w zamyśleniu w podbródek, próbując zmobilizować swój mózg. – Zobaczymy, czy dobrze zrozumiałem cały plan. Weźmy na przykład... Sacramento.

– Dobry wybór – powiedział generał Horner i odchylił się do tyłu w fotelu.

Mike postukał w swój przekaźnik. – Spis map. – Dotykał ikon na hologramie, aż znalazł

odpowiednią mapę. Znów ziewnął. – Wygląda na to, że z Sacramento do Placerville, gdzie – jak sądzę – będą najbliższe górskie umocnienia obronne, są jakieś dwie godziny jazdy samochodem. Jak mi idzie?

– Na razie dobrze – powiedział generał Horner po chwili namysłu.

– Panowie, to oznacza od sześciu do dziesięciu godzin walk, zanim można będzie dotrzeć do pierwszych linii obronnych – powiedział Mike i zaciągnął się dymem. Spojrzał na sufit i strząsnął popiół.

– Mniej więcej – zgodził się Taylor z za baru.

– Do tego przedzierając się przez chmarę Posleenów – powiedział Mike, wciąż wpatrując się w sufit.

– Tak – odpowiedzieli chórem generałowie.

– Nic z tego, panowie. – Mike zdecydowanie pokręcił głową.

– Na pewno? – Generał Taylor rozdał im drinki.

– Na pewno, sir. Proszą przypomnieć sobie Diess i Barwhon.

Pamięta pan francuską dywizję pancerną, którą Posleeni zaskoczyli podczas manewrów na Barwhon?

– Tak, trzecia dywizja kawalerii pancernej – powiedział generał Taylor.

– Troisième Armoire Chevalier – poprawił Mike. – Ile wytrzymali? Trzydzieści minut?

– Ale to było zaraz po wylądowaniu Posleenów, Mike. Mieli ogromną przewagę liczebną.

– Musimy przyjąć, że ewentualny odwrót zostanie wymuszony przez czynniki zewnętrzne. – O’Neal wypił łyk bourbona i uniósł brew, zdziwiony jego jakością. Chociaż trunek był w nieoznakowanej butelce, Mike rozpoznał po przyjemnym smaku destylarnię z Kentucky. Pewnie jakaś specjalna produkcja. Najwyraźniej urząd Głównego Dowódcy korzysta z różnych przywilejów nawet w dobie powszechnej oszczędności.

– Dobra, Mike, tu się z tobą zgodzą – przyznał szef DownArKonu. – Teraz założmy wsparcie piechoty mobilnej i wytyczenie trasy odwrotu tak, żeby wykorzystać osłonę terenu. Ile wsparcia potrzeba do ewakuowania niedobitków korpusu z Sacramento?

– Mówimy o wsparciu dla trzech albo czterech dywizji?

– Tak, a może nawet pięciu. Sacramento dostanie chyba pięć dywizji.

– Jezu, sir – Mike pokręcił głową. – Nie wydaje mi się, żeby pięć dywizji można było zaprowadzić do burdelu w niedzielę rano, a co dopiero przeprowadzić przez pięciogodziną bitwę z Posleenami na otwartej przestrzeni.

Generał Horner spojrział na Taylora i uniósł brew.

– Zgodzimy się z tym, generale?

Generał Taylor uśmiechnął się.

– Mam nadzieję, że sobie z tym poradzimy, kapitanie.

Mike parsknął śmiechem.

– Jakiej magicznej różdżki zamierza pan użyć, generale?

– Mike – powiedział ostrzegawczo Horner.

– Nie szkodzi – podniósł rękę generał Taylor. – On ma rację.

Sytuacja całkiem się popieprzyła. Potwierdza to każdy zasrany raport z Generalnej Inspekcji.

Odwrócił się do marszczącego czoło kapitana. Trudno było stwierdzić, czy O’Neal jest wściekły, ponieważ zawsze marszczył czoło.

– Nie ma żadnej magicznej różdżki. Dostajemy coraz więcej odmłodzonych żołnierzy. Kiedy wszyscy już będą na swoich stanowiskach, większość problemów zniknie. Oficerowie

i podoficerowie będą mogli dowodzić, a ustalone dyrektywy zaczną działać.

Mamy ponad pół roku, żeby wszystko naprawić. A większość dywizji, szczególnie tych słabszych, będzie walczyć na umocnionych pozycjach, więc nawet jeżeli ich obrona pęknie, sprawy nie powinny wymknąć się spod kontroli. Poza tym mamy jeszcze jednego asa w rękawie.

– Mike – przerwał mu Horner – czy pamiętasz, jak byliśmy w GalTechu i omawialiśmy kolejność powołań do wojska?

– Jasne. Najpierw żołnierze wsparcia bojowego. Zacząć od najwyższych stopni wojskowych, a potem zjeżdżać w dół hierarchii.

Na końcu żołnierze bez żadnego doświadczenia bojowego.

Mike uśmiechnął się lekko. To było zanim pojawiły się problemy z dostawami sprzętu Galaksjan, kiedy GalTech jawił się jako technologia zbawienia. Kiedy plany były doskonałe, a przyszłość różowa.

– Stare dobre czasy – mruknął.

Generał Taylor skinął głową i uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Takie były plany. Ale gdzieś po drodze wszystko się rozlało.

– Jeden z moich komputerowych geniuszów – Horner spojrzał na Taylora z wyrzutem – przyjrzał się algorytmowi, którego Departament do Spraw Personalnych używał dla celów mobilizacji. Bazował on na Raportach Oceny Oficerów i Podoficerów.

– O cholera – zaśmiał się Mike. Chociaż na podstawie tych raportów można było znaleźć dobrego żołnierza, nie uwzględniały różnicy między dobrym dowódcą a karierowiczem. Oryginalny plan zakładał wezwanie na początku samych najlepszych żołnierzy, którzy mogliby potem oddziaływać na kolejne grupy poborowych. Było jasne, że tak się nie stało.

– Tak więc – powiedział generał Taylor – kazaliśmy napisać program od początku...

– Moim ludziom – przerwał mu generał Horner.

– Zgadza się – ciągnął Taylor. – Teraz będzie się liczyć doświadczenie bojowe i medale za odwagę. Nazywamy to Programem Starego Żołnierza.

– O cholera – Mike zaśmiał się ponuro. – Nie bierzecie pod uwagę wieku?

Większość akt, które analizował program, pochodziła z czasów drugiej wojny światowej, Korei i Wietnamu. To rzeczywiście starzy żołnierze.

– Właśnie – odpowiedział Horner. – Programu nie używano przez kilka tygodni, żeby usunąć wszystkie błędy, ale już podczas konferencji rozpocznie się prawdziwa mobilizacja.

Taylor nieoczekiwanie wybuchnął śmiechem. Obaj pozostali oficerowie spojrzeli na niego zaskoczeni. Potem Horner domyślił się, co przemknęło generałowi przez głowę i wyszczerzył się w uśmiechu.

– O co chodzi? – zapytał Mike. Fakt, że coś zakłopotало jego byłego mentora, był dla kapitana jasny nawet pomimo zmęczenia.

– Było... – zaczął ostrożnie generał Horner.

– Kilka błędów – dokończył Taylor ze śmiechem. – Jego supergeniusze komputerowi zapomnieli, że pewnych osób, delikatnie mówiąc, nie należy obejmować mobilizacją. – Starszy dowódca zaniósł się gromkim śmiechem. – O Boże, zobacz tylko, jak on na mnie patrzy!

Horner zmarszczył czoło. Widać było, że ledwie powstrzymuje wybuch śmiechu.

– Komputer wyszukał wszystkich żyjących jeszcze wysokiej rangi oficerów z doświadczeniem bojowym. Doszliśmy do wniosku, że jeśli są jakieś błędy w programie, to lepiej, żeby błąd dotyczył starszych niż młodszych oficerów. Algorytm skonstruowano tak, aby ignorował doświadczenie bojowe, a jako istotny przyjmował stopień, z jakim odeszli ze służby.

– Chociaż w jednym przypadku nie miało to znaczenia – odpowiedział Taylor uprzejmie.

– Nadal nie rozumiem. – Mike patrzył to na Taylora, to na Hornera.

Horner zaśmiał się lekko.

– Zdajesz sobie chyba sprawę, że Zwierzchnik Sił Zbrojnych to stopień wojskowy?

– Aha – mruknął Mike. – Aha!

– No więc – Taylor zaniósł się śmiechem – program wezwał wszystkich żyjących prezydentów, którzy kiedykolwiek służyli w wojsku lub pełnili urząd w czasie wojny. Przydzielił im najwyższy stopień wojskowy generała armii i nakazał im niezwłocznie stawić się w Fort Myer celem odbycia służby.

– O Boże – zaśmiał się Mike. – No to nieźle.

– Dostałem kilka bardzo nieprzyjemnych telefonów z Secret Service – śmiał się Taylor. – Ale najzabawniejsze były rozmowy z samymi zainteresowanymi. Jeden z prezydentów chciał nawet wrócić do wojska w swojej początkowej randze.

– Zgodził się pan? – spytał Mike.

– Nie, choć mnie kusiło. Flocie potrzebny jest każdy pilot, ale to byłby polityczny koszmar. Mam nadzieję, że tylko żartował.

– W każdym razie – podjął już poważnie Horner – zaraz po konferencji program rusza na dobre. Mamy zamiar wezwać z wielką pompą wszystkich pozostających jeszcze w cywilu odznaczonych Medalem Honoru.

– O rany – powiedział cicho Mike.

Mimo że sam nosił Medal, uważał, że to inni laureaci są prawdziwymi bohaterami. Ilekroć bywał w ich towarzystwie, czuł się nieswojo. Nie zdawał sobie jeszcze sprawy, że większość odznaczonych myśli tak samo o pozostałych.

– Mamy nadzieję, że napływ „bohaterów” poprawi kondycję wojska – powiedział Taylor, wyciągnął nie wiadomo skąd nóż i odciął koniuszek swojego cygara. Nóż zniknął tak samo szybko, jak się pojawił, co wyglądało raczej na nawyk niż specjalny popis generała.

– Przywracamy też plan powrotu do struktury podziału na Gwardię Narodową, oddziały liniowe i oddziały uderzeniowe – ciągnął Główny Dowódca – który upadł razem z wieloma innymi pomysłami.

Zapalił cygaro srebrną zapalniczką z ledwie widoczną inskrypcją „Zwyciężają Odważni”, umieszczoną obok ozdobnego sztyletu i skrzydeł.

Zaciągnął się cygarem i wypuścił chmurę niebieskiego dymu.

– W tej chwili poza Siłami Uderzeniowymi Floty i Siłami Specjalnymi tylko żołnierze niektórych pułków kawalerii wykazują wysoką gotowość bojową. Zaczniemy plan tworzenia sił liniowych właśnie od nich. Jednostki te będą składały się głównie z ochotników i będą wspierać punkty obrony oraz samodzielnie atakować Posleenów. Będą ponosić olbrzymie straty, ale spodziewam się, że ochotników nie będzie brakowało.

– Tak więc większość „bohaterów” trafi do oddziałów liniowych – wyjaśnił Horner. – To dla nich odpowiednie miejsce, bo tam będzie najciężej.

– Proszę tylko nie zapominać – powiedział Mike – że nie wszyscy będą w doskonałej formie.

– Mówisz to z własnego doświadczenia, Mocarne Maleństwo? – zapytał Horner.

– Ja też miałem swoje gorsze dni, sir – przyznał cicho Mike. – A jeszcze częściej noce.

– Potrzebujesz przerwy, synu – powiedział Horner. Nie wyjawiał, że ma już pewien pomysł.

– Miałem już przerwę, sir – powiedział kwaśno Mike. – Pamięta pan? Byłem na Bond Tour.

– To nie była moja wina, i ty o tym wiesz – powiedział Horner. – Nie miałem wtedy absolutnie

żadnej możliwości wycofania żołnierzy.

Mike kiwnął głową i postanowił zmienić temat.

– Proszę powiedzieć, sir, skąd pochodzi sprzęt dla tych wszystkich dywizji zmechanizowanych i mobilnych?

– Od roku wytwarzaniem pancerzy zajmuje się Chrysler. Razem z General Motors produkują jak szaleni, synu – powiedział generał Taylor. – Nie tylko znacznie przekroczyli oczekiwaną skalę produkcji, ale także zamienili dwie fabryki w zachodniej Pensylwanii i Utah w zakłady produkujące M1, a cztery w fabryki bradleyów.

Fabryka Toyoty w Kentucky też wkrótce zajmie się produkcją uzbrojenia. Mamy po uszy nowoczesnego sprzętu. Brakuje nam jednak technologii GalTechu.

– Nawet Abrams nie powstrzyma Posleenów na długo – podjął generał Horner.

– Hmm. Czyli w kapeluszu nie ma już żadnych królików?

– Jak na przykład?

– Jak na przykład niezależne forty wzdłuż tras odwrotu? – zapytał Mike.

– Nie ma – powiedział szef DowArKonu. – Nie mamy aż takiej logistyki, nie mówiąc już o ludziach. Musimy skoncentrować się na miastach, a nie daleko posuniętym planowaniu odwrotu. Może damy radę stworzyć jakieś małe placówki – próbujemy zorganizować coś przy pomocy milicji – ale do czasu ewakuacji pewnie i tak zostaną już zmiecione. I w tym miejscu do akcji wkracza piechota mobilna.

Los obrońców był oczywisty, ale generał taktownie go nie skomentował.

– Oraz na południowym zachodzie – zauważył generał Taylor i strząsnął popiół z cygara.

– Oraz na południowym zachodzie – zgodził się Horner – gdzie będzie się popisywać jedenasta dywizja piechoty mobilnej. Użyjemy też ich jako wsparcia pierwszej fazy odwrotu do umocnień górskich oraz przede wszystkim do przypilnowania, by Posleeni nie przedarli się przez umocnienia w Appalachach. Chcielibyśmy, żebyś przyjrzał się planom konwencjonalnych bitew, nad którymi pracujemy i ustalił strefy, za które odpowiadałaby piechota mobilna.

– Do tych stref zostaną przydzielone jednostki nie mniejsze niż batalion – ciągnął Horner. – Dostępne będą pięćset ósmy, pięćset dziewiąty i pięćset pięćdziesiąty piąty pułk. Jedenasta dywizja zostanie użyta w całości, aby chronić „podbrzusze”.

– Będziemy mieli do dyspozycji wszystkie te jednostki? – Mimo że istniały plany zaopatrzenia wszystkich tych oddziałów w pancerze wspomagane, termin ich rozpoczęcia był ciągle odkładany. Tymczasem już wkrótce miały one zacząć ponosić straty i nowe pancerze będą zastępować te zniszczone.

– Musimy założyć, że tak – stwierdził Horner, ale jego ponury uśmiech zadawał kłam tym słowom. – Stworzyłem biuro i niewielki sztab oraz zdobyłem wszystkie potrzebne upoważnienia. I oczywiście masz jeszcze Michelle – generał Horner wskazał na inteligentny przekaźnik kapitana.

– Shelly – poprawił go Mike i stuknął palcem w bransoletę z czarnego inteliplastiku. – Michelle zginęła na Diess.

– Przepraszam – powiedział generał Horner i zignorował pytające spojrzenie generała Taylora – Shelly. Możesz opracować szczegóły, dysponując tylko tym?

– Mogę to zrobić nawet bez sztabu i biura, jeśli dane są w sieci.

– Są – powiedział Horner.

– W takim razie to żaden problem.

– Wstępne rozmieszczenie i standardowe plany operacyjne dla trzech pułków w bardzo zróżnicowanym terenie? – spytał generał Taylor. – Żaden problem?

– Tak, sir – odparł O’Neal ze zmęczonym uśmiechem. Pomyślał, że robota będzie koszmarna, ale da się ją wykonać. – W porównaniu z aktywacją wielopokoleniowej kompanii żołnierzy, poznających się z technologią rodem ze science fiction i skoszarowanych w miejscu, gdzie codziennie są jakieś zamieszki, to będzie bułka z masłem.

– Dobra – zaśmiał się generał Horner i wychylił jednym haustem resztę wódki. – Masz na to trzy tygodnie. Twoja kompania będzie na przepustce i ty też. Tak przy okazji, pułkownik Hanson prosił mnie, żebyś potraktował to jako rozkaz.

– Tak jest, sir. Przyda mi się trochę wolnego czasu.

– Zgadza się – powiedział Taylor. – Podobnie jak generał porucznik Left.

Mike popatrzył podejrzliwie na obu generałów.

– A co z tym wszystkim ma wspólnego Dowódca Sił Uderzeniowych Floty, który, jak mniemam, nadal przebywa w bezpiecznym miejscu na Tytanie?

– Cóż, Bob wydawał się najlepszym pośrednikiem w kontaktach z Flotą – powiedział Horner i zmarszczył czoło.

Mike strząsnął popiół z cygara i ściągnął brwi.

– A co ma z tym wspólnego Flota?

– Potrzebna nam była zgoda wiceadmirala Bledspetha – wyjaśnił Taylor.

– Zakładam, że ją pan otrzymał, sir – powiedział Mike, co raz bardziej podejrzliwy. – Pytanie brzmi, na co?

– Chcieliśmy, żeby Sharon też dostała przepustkę – powiedział Horner.

– I żeby mogła przylecieć na Ziemię – dodał Taylor. – To było najtrudniejsze.

Mike’owi opadła szczęka.

– Sharon na przepustce? – zapytał z niedowierzaniem. – Od kiedy?

– A którą mamy godzinę? – spytał Taylor i ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

Na twarzy Hornera zagościł rzadko spotykany prawdziwy uśmiech.

– Zamknij usta, Mike, bo ci mucha wpadnie. Powiedzmy, że masz wysoko postawionych przyjaciół. Albo, jeśli wolisz, potraktuj to jako nagrodę za maksymalną liczbę punktów w Teście Gotowości Bojowej.

– Sir – wymamrotał kapitan. – To wcale nie jest śmieszne. To nie w porządku wobec wszystkich tych, którzy mają żony albo mężów w odległych jednostkach! To najobrzydliwsza protekcja, jaką mogę sobie wyobrazić!

– Owszem – powiedział poważnie Taylor – ale większość żołnierzy nie ma takiego wkładu w działania wojenne jak ty i nie będzie miała na swoich barkach takiego ciężaru, jak ty i Sharon. No i w większości tych rodzin, wbrew łązawym reportażom w wiadomościach, jedno z rodziców zostaje w domu.

– Mike – powiedział równie poważnie Horner. – Sprawa jest już załatwiona. Wiedziałem, że tak zareagujesz, dlatego nawet cię nie pytałem. Przyjmij to jako prezent od przyjaciela albo rozkaz generała. Nie obchodzi mnie, co na ten temat myślisz. Sharon wychodzi na przepustkę tydzień przed tobą. Potem możecie spędzić tydzień razem. A potem będziesz miał tydzień dla siebie. I prawdopodobnie będzie to twój ostatni odpoczynek w ciągu najbliższych lat.

– Tak jest, sir – powiedział O’Neal, kiedy wreszcie otrząsnął się z oszołomienia.

Patrząc na to z drugiej strony, był to wspaniały prezent. Martwiło go tylko, że otrzymał go przez protekcję. W końcu jednak doszedł do wniosku, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

– Znikaj, Mocarne Maleństwo. Cieszę się, że mam cię pod ręką.

– Dobranoc, sir – powiedział Mike. Zatrzymał się w drzwiach. – I dziękuję – dodał.





**Czwarty punkt Lagrangea, Sol III 05:10 letniego czasu wschodniego USA, 10 września 2004**

... Chcę kucyka. Jej młodziutka twarz wykrzywiła się w niezadowolonym grymasie, ręce skrzyżowały się na piersiach, a w oczach stanęły łzy. Lekki wietrzyk letniego popołudnia ustał, a drzewa w tle sypały deszczem liści.

Przykro mi, skarbie, nie możesz mieć kucyka. Żadne z nas nie może.

Dlaczego?

Bo nie ma tu powietrza, którym by oddychał.

Kiedy tylko Sharon to powiedziała, zdała sobie sprawę, że naprawdę nie ma powietrza, i zaczęła się dusić.

Mamusi? – powiedziała mała dziewczynka, rozplątując się w ciemności. Wypadła ze śluzy i zaczęła znikać w otchłani kosmosu. Spadała i spadała, a wokół niej wirowały twarde jak diament gwiazdy. Mamusi! Mamo! Komandor O’Neal! Pani komandor!

Ma’am! Pani komandor!

Sharon poderwała się i uderzyła głową w koję nad sobą. Przez chwilę widziała jeszcze wirujące gwiazdy; prawie wrzasnęła, myśląc, że nie obudziła się z koszmaru. W końcu wzięła głęboki oddech i cicho wymamrotała ulubione przekleństwo swojego męża.

– Wszystko w porządku, ma’am? – zapytał bosman Michaels.

Kucał przy koi z filiżanką parującej herbaty w ręce. Jak zwykle ciężko było się przebić przez jego akcent mieszkańca środkowej Anglii.

– Dojdę do siebie, jak tylko znajdę sposób, żeby zabić porucznika Crowleya i usunąć stąd jego koję – zażartowała i spuściła nogi na podłogę. Musiała się pochylić, żeby uniknąć kolejnego uderzenia w głowę. Pomieszczenia przerobionego statku kurierskiego miały zaledwie sto osiemdziesiąt centymetrów wysokości. Upchnięcie w nich dwupoziomowej koi stanowiło nie lada wyczyn.

Pięć miesięcy temu powierzono jej stanowisko pierwszego oficera na Agincourt. W tym czasie musiała znosić aż trzech różnych kapitanów, których przydzielało jej Główne Dowództwo Floty.

Pierwszy z nich był w porządku; wcześniej służył na łodzi podwodnej i nauczył ją kilku sztuczek, które pomogły jej w dalszej służbie.

Pozostali dwaj nie umieli nawet dobrze dowodzić i zostali odwołani ze stanowiska. Ostatni był starym rosyjskim szowinistą, który obmacywał wszystkie kobiety na statku.

Doszło nawet do tego, że Sharon musiała interweniować, żeby oficerowi nie przydarzył się jakiś przykry „wypadek”. Załoga traktowała Sharon bardziej jak starszą siostrę niż pierwszego oficera i zaciekle jej broniła. Zanim kapitan opuścił pokład, poznał uroki trudnego życia na statku, takie jak na przykład zmiany ciśnienia w kabinie, toalety zwracające zawartość czy oświetlenie o stałej intensywności, ale zmiennej długości fali, raz czerwone, raz purpurowe, raz pozornie zgaszone, a innym razem intensywnie świecące w paśmie wysokiego ultrafioletu. Z poparzeniami od tych ostatnich nie poradziły sobie nawet jego nanity.

Ponieważ zupełnie zignorował Sharon, która otrzymała stanowisko pierwszego oficera z racji dużego doświadczenia w zakresie inżynierii astronautycznej, ponosił wyłączną winę za wszystkie awarie systemów na statku. On oczywiście widział to inaczej i zwał wszystko na Sharon. Ona z kolei prowadziła szczegółowe zapisy wszystkich spotkań, także przypadkowych.

Ostatnie dwa tygodnie były szczególnie... interesujące, choć nie należały do doświadczeń, które chciałyby jeszcze kiedyś powtórzyć.

Na szczęście nowy dowódca był już w drodze, a Rosjanin wracał do kraju barszczu.

– Niech się pani zastanowi, zanim pozbędzie się porucznika Crowleya, ma'am – odparł bosman.  
– Proszę pomyśleć, będzie pani musiała sama kierować tą cholerną balią.

Wzięła filiżankę i wypila łyk herbaty. Potarła czoło. Guz już zaczynał wyrastać. Guma piankowa znajdowała się na liście zamówień od czterech miesięcy. Czas wysłać kolejną prośbę w tej sprawie. Brakowało też filtrów powietrza i okręt śmierdział jak obora.

Szwankowały przednie osłony siłowe. I generator napędowy numer trzy. I około połowy wentylatorów systemu podtrzymywania życia, stąd śladowa nutka ozonu we wszechobecnym smrodzie obory. I wymienniki ciepła. Zważywszy na awarię urządzenia do odzyskiwania wody, filiżanka herbaty, którą piła Sharon, stanowiła jedną trzecią jej dziennej racji płynów. Ale teraz, kiedy wyjechał już Rosjanin, istniała szansa naprawy przynajmniej niektórych z tych rzeczy.

Jeśli tylko uda się wydebić części zamienne z bazy na Tytanie.

– Coś pilnego, o czym powinnam wiedzieć? – zapytała i sięgnęła po buteleczkę tylenolu. Kajuty zaprojektowano dla mierzących metr dwadzieścia Indowy. Przy wzroście stu osiemdziesięciu trzech centymetrów ledwie się w nich mieściła.

– Tak jest, ma'am – odparł poważnie bosman. – Przedni ekran w końcu zdechł.

– Cholera – mruknęła Sharon, połknęła garść acetaminofenowych tabletek i popiła je sporym łykiem gorzkiej herbaty.

Czaj, jak podoficer uparcie nazywał ten napój, był gęstym, prawie czarnym płynem, zapożyczonym z brytyjskiej marynarki. Sharon udało się wybić załodze z głowy wiele rzeczy, jak na przykład serwowanie jej na śniadanie marynowanych śledzi, ale nic nie mogła poradzić na herbatę. Trudno. Świństwo przynajmniej stawiało na nogi.

Ściągnęła koszulkę i włożyła nową, odrobinę świeższą. Michaels był starym pedałem, więc wcale go to nie speszyło.

W ciągu pierwszych kilku tygodni jej pobytu na pokładzie mieli kilka przypadków napastowania seksualnego i jedną próbę gwałtu.

Nie wszystkie kraje, z których pochodziła załoga, miały tradycje dotyczące kobiet służących we Flocie. Sharon mocno tępiła takie zachowania. Może nawet zbyt mocno. Zastanawiała się czasem, czy nie została na statku za karę za zamknięcie niedosłego gwałciciela na czternaście godzin w komorze mikrogravitacyjnej bez powietrza i w całkowitej ciemności. I bez łączności. Marynarza trzeba było potem przenieść do Sił Lądowych.

Włożyła zniszczone ubranie i wsunęła stopy w pokładowe obuwie. Wzięła jeszcze zestaw sprzętu awaryjnego, który stanowił ostatnią część wymaganego wyposażenia, i już mogła stawić czoła wyzwaniom nowego dnia. Już teraz było jej cholernie gorąco. Najwyraźniej znowu wysiadł zapasowy konwerter ciepła.

– Powinna pani wrzucić coś na ząb – powiedział z wyrzutem Michaels i podał jej talerz z grzankami.

Przechyliła głowę na bok w geście, który przejęła od męża, i uśmiechnęła się.

– Jesteś bosmanem, a nie kelnerem.

Michaels wzruszył ramionami.

– Kucharz jest cholernie zajęty, ma'am. Wiedziałem, że nic pani nie zje, jeśli nie będę nalegał.

Sharon wzięła jedną grzankę i odgryzła mały kęs. Pieczywo było suche i raczej niesmaczne. Na pokładzie brakowało mąki, a ostatnia dostawa świeżej żywności doszła prawie miesiąc temu.

Okręt bez końca patrolował bliską Ziemi przestrzeń kosmiczną.

Żywność i części zamiennie przywożono lekkimi frachtowcami i przeładowywano ręcznie.

Załoga ciągle walczyła z psującymi się systemami i nudnymi patrolami.

Sharon wiedziała, że są w identycznej sytuacji, jak inne fregaty.

Przerobione szybkie statki kurierskie tworzyły przednią straż Federacji, ale prawdę mówiąc, nie nadawały się do tego. Były stare – dosłownie wiekowe – i brakowało na nich wszystkiego tego, co powinno się znajdować na okręcie wojennym. Nie było systemów rezerw, łatwo wymienialnych części zapasowych, a systemy obronne też pozostawiały wiele do życzenia. Broń niemal nie nadawała się do użytku.

Sprawę pogarszał jeszcze fakt, iż każdy statek przez prawie pięćdziesiąt lat budowała ręcznie jedna rodzina Indowy. Dostosowywano go do indywidualnych potrzeb klienta, dlatego nie było żadnych części zamiennych. Nie były zresztą potrzebne, bo statki funkcjonowały bez zarzutu przez kilka stuleci, a potem po prostu wycofywano je z użytku.

Niestety większość okrętów, łącznie z Agincourt, była w służbie od początku wojny. Straty w działaniach wojennych całkowicie przytłaczały możliwości produkcyjne Federacji i brak jednostek stawał się coraz bardziej dotkliwy. Stare statki powinny zostać wycofane z użytku wiek temu, a mimo to nadal pełniły służbę na pierwszej linii. A technicy przydzieleni do Floty Indowy uczyli się teraz od Ziemiaków nowego słowa: prowizorka.

Sharon odgryzła kolejny kęs suchej grzanki i wypila łyk gorzkiej herbaty. Przypięła obdarzony sztuczną inteligencją przekaźnik do nadgarstka.

– Co nowego? – zapytała.

– Masz dwadzieścia siedem wiadomości w skrzynce e-mailowej – odpowiedział przekaźnik dźwięcznym barytonem.

– Ile w tym wyrazów głębokiego ubolewania od mechaników na Tytanie, do których wysłaliśmy prośbę o części zamiennie?

– Czternaście.

– Skasuj.

– Dobrze. Jest jeszcze pięć odmownych odpowiedzi na podania członków załogi o przeniesienie. Jeden e-mail w dość nieuprzejmy sposób poddaje w wątpliwość kompetencje dowództwa fregaty.

– Wyślij marynarzom kopie odpowiedzi, a tym od ostatniego emaila napisz, że mam ich w dupie. Dyplomatycznie. I prześlij podania jeszcze raz. Komuś wreszcie musi udać się stąd wyrwać.

– Już. Jest jeszcze sześć odpowiedzi na twoje prośby o lepszą żywność, i wszystkie sprowadzają się do polecenia, żebyście przestali narzekać.

– Dobra. Ponawiaj prośby, ale za każdym razem zwiększaj wymaganą ilość żywności aż do maksymalnej pojemności naszej ładowni. Rób to raz dziennie i przesyłaj kopię wszystkich listów do kwatery głównej Floty.

– Dobrze. Reszta to niemal wyłącznie śmieci. Aha, jest też wiadomość z Tytana, że został już przydzielony nowy dowódca i będzie tu dziś po południu.

– Ekstra – powiedział ironicznie Michaels. – Sama radość. Następny dowódca.

Problem polegał między innymi na tym, że dowódcy fregat byli kapitanami Floty. Stanowisko nadawało się raczej dla komandora porucznika albo nawet porucznika, ale fregaty były jedynym miejscem, gdzie członkowie marynarki mogli zgłębiać arkaną dowodzenia w przestrzeni. Ponieważ obowiązki przypisane do tego stanowiska były stosunkowo łatwe, starsi oficerowie, których

przydzielano do służby na takim statku, od samego początku uważali, że wiedzą dwa razy więcej niż inni oficerowie i załoga. Wielu z nich dowiedziało się, jak to jest oddychać próżnią.

– Może ten będzie inny – powiedziała Sharon. – Kto to jest? – zwróciła się do przekaznika.

– Kapitan April Weston – odpowiedziała maszyna.

Na dźwięk tego nazwiska Michaela aż zatkało.

– A niech mnie kule!

– Znasz ją? – spytała Sharon.

– Nigdy jej nie spotkałem. Ale słyszeli o niej wszyscy w cholernej Flocie Jej Królewskiej

Mości.

Sharon gestem zachęciła go do rozwinięcia tej myśli.

– Jest jedyną kobietą, która kiedykolwiek zastępowała admirała podczas działań wojennych.

Wśród marynarzy stała się niemal legendą. Jest spokrewniona ze strony matki z nieżyjącym już gościem o nazwisku Mountbatten.

Urwał i zastanowił się, jak to wytłumaczyć Amerykance.

– Słyszałam o nim – powiedziała sucho Sharon.

Najstarszy earl Mountbatten – ostami z rodu – był blisko spokrewniony z Rodziną Królewską. Służył jako oficer marynarki wojennej podczas drugiej wojny światowej. Wyróżnił się jako dowódca eskadry niszczycieli w wielu krwawych bitwach. Stworzył pierwsze w historii połączone grupy do zadań specjalnych. Po wojnie otrzymał tytuł earla Birmy i umiejętnie poprowadził ten kraj do niepodległości. Był bohaterem narodowym, dopóki nie zabiła go bomba podłożona przez irlandzkiego terrorystę.

– Więc jest spokrewniona z rodziną królewską?

– Dość daleko. – Michaels wzruszył ramionami. – Dla nas, Brytyjczyków, liczy się krew. Wie pani, co mam na myśli.

– Pokrewieństwo.

– Właśnie. Ta Weston to ktoś, kto jakby to potwierdza. To przysłowiowe jabłko, które nie padło daleko od cholernej jabłoni.

– Czy to dla nas dobrze? – zapytała ostrożnie Sharon.

– O tak – odparł Michaels. – Oczywiście, Mountbatten przeżył cztery okręty, a większość jego towarzyszy nie wróciła już do domu.

Niektórzy woleli wyskoczyć za burtę, niż z nim płynąć.

Sharon parsknęła śmiechem i pomyślała o byłym rosyjskim kapitanie.

– Zaryzykuję.

\* \* \*

Śluza zasyczała i kapitan Weston weszła do środka, nerwowo majstrując przy uchwytach hełmu ciśnieniowego. Denerwowało ją, że już na samym początku pobytu na pokładzie wykazała się brakiem kompetencji, ale ostatni raz miała na sobie pancerz wspomagany podczas zajęć wprowadzających w bazie na Tytanie.

Jeden ze stojących na baczność matów wystąpił z szeregu i pomógł jej odpiąć ostatni uparty zaczepek. Kapitan usłyszała ostry dźwięk gwizdka bosmana.

Ruszyła naprzód i odpowiedziała na salut atrakcyjnej brunetki w lekko przybrudzonej kombinezonie.

– Kapitan April Weston – powiedziała i wyciągnęła rulon papieru z zapieczętowanego futerału przy pasku.

Udało jej się to przećwiczyć na promie, więc zrobiła wszystko jak trzeba.

– „Niniejszym wydaję pani rozkaz niezwłocznego stawienia się na fregacie Floty Agincourt w celu objęcia dowodzenia” – przeczytała na głos. – „Podpisano: Hareki Arigara, wiceadmirał, szef Departamentu Osobowego Floty”. – Weston schowała papier i skinęła głową brunetce. – Przejmuję dowodzenie, ma’am.

– Zdaję dowodzenie, ma’am – odpowiedziała brunetka. – Sharon O’Neal, komandor porucznik. Jestem pani pierwszym oficerem.

Kapitan Weston kiwnęła głową i rozejrzała się po zebranej załodze. Była to dość mała grupka.

– Zdradzając swoją niewiedzę zapytam: czy to cała załoga? – zapytała, nieco niepewnie.

W normalnych warunkach większość załogi bez zadań wachtowych zjawiała się przy powitaniu. Służa mogła pomieścić większą ilość osób, ale było ich tu około dwudziestu. Znaczyło to, że liczebność załogi wynosiła około trzydziestu ludzi. Załoga morskiej fregaty liczyłaby stu. A na krążowniku, którym poprzednio dowodziła, było ich ponad tysiąc.

– Czterech żołnierzy pełni służbę w centrum taktycznym, ma’am – odpowiedziała Sharon. – Trzech jest w maszynowni, a jeszcze czterech w innych miejscach. Wśród członków załogi jest też sześciu Indowy. – Zawahała się. – Oni... raczej unikają większych grup ludzi.

Weston kiwnęła głową. O tym akurat ją uprzedzono.

– Rozumiem. – Rozejrzała się i podniosła głos. – Jestem pewna, że przez najbliższych kilka miesięcy będziemy wszyscy mieli okazję dobrze się poznać.

Mówiła tonem prawdziwego dowódcy, który jest przekonany, że to, co powiedział, zdarzy się na pewno, niezależnie od przeciwności losu. W porównaniu z gburowatym i aroganckim Rosjaninem, którego zastąpiła, była to podnosząca na duchu odmiana. I tak w zamierzeniu miało być.

Rozejrzała się po nędznym wnętrzu statku. Oświetlenie miało nieprzyjemną, ciemnoczerwoną barwę, a ściany ładowni pokrywała pajęczyna rys i pęknięć. Na szczęście było dosyć czysto. O okręt najwyraźniej dobrze dbano. Jednak jego wiek i kiepski stan techniczny od razu rzucały się w oczy. Kapitan się uśmiechnęła.

– Jestem pewna, że się zaprzyjaźnimy.

Załoga zaśmiała się niepewnie, a kapitan odwróciła się do swojego pierwszego oficera.

– Pani O’Neal, proszę mi wskazać drogę do mojego biura i weźmiemy się do roboty.

– Tak jest, ma’am – odpowiedziała Sharon. Nowy dowódca zobaczył swój okręt na własne oczy; zareagował lepiej, niż się spodziewała. – Pozwoli pani za mną.

\* \* \*

Biuro dowódcy okazało się ciasnym przedpokojem kwatery kapitańskiej. Było mniejsze niż to, które April miała do dyspozycji na pierwszym dowodzonym przez nią statku – tak się złożyło, że również fregacie – i bardzo źle ulokowane. Kwaterę kapitańską dzieliło bowiem od mostka blisko trzydzieści metrów labiryntu wyjątkowo niskich korytarzy. Ulokowanie tutaj biura dowódcy nie wchodziło w rachubę.

Kapitan odwróciła się do Sharon, która stała za nią na baczność, i machnęła ręką.

– To nie jest kwatera główna Floty, na miłość boską. Wystarczą zwykłe ukłony. – Uśmiechnęła się, żeby potwierdzić, że to był tylko żart. – Czy nie ma jakiegoś miejsca bliżej mostka, gdzie mogłabym wykonywać papierkową robotę?

Sharon pokręciła głową.

– Nie, ma’am, nie ma. Może pani nie uwierzyć, ale mostek i maszynownia są prawie że połączone w jedno, do tego dochodzi płatanina systemów podtrzymywania życia... Ta kwatera jest

najbliżej mostka. I nie da się nic zrobić, żeby umieścić pani biuro bliżej. Ja jestem w jeszcze gorszej sytuacji, dlatego po wyjeździe ostatniego dowódcy używałam pani kwatery.

Kapitan Weston kiwnęła głową.

– Cóż, w takim razie chyba będę musiała nauczyć się spieszyć. – Usiadła w fotelu przed stacją roboczą i spojrzała na Sharon stojącą w przepisowej pozycji na spocznij.

– Proszę usiąść – wskazała koję.

Sharon ostrożnie usiadła i położyła ręce na kolanach.

Próbowała sprawiać wrażenie spokojnej, ale nie ulegało wątpliwości, że jest zdenerwowana jak dziewczyna, która po raz pierwszy znalazła się w portowej dzielnicy. Weston w zamyśleniu pokiwała głową.

Sharon zaczęła się zastanawiać, co to miało oznaczać. Weston przypatrywała się jej uważnie przez prawie minutę. Jeśli myślała, że może wyczekać Sharon O'Neal, to grubo się myliła.

Spojrzenie kapitan budziło jednak niepokój. Miała bardzo ciemne, niemal czarne oczy. Patrzenie w nie przypominało zagłębienie w toń szkockiego jeziora – nie da się określić, jak jest głębokie. Wydawały się pochłaniać światło. Sharon niemal się wzdrygnęła, kiedy zdała sobie sprawę, że znalazła się pod ich hipnotyzującym urokiem.

– Komandor porucznik Sharon Jerzinsky O'Neal – powiedziała nowa kapitan i spojrzała z uśmiechem na swojego pierwszego oficera. – Jerzinsky?

Sharon wzruszyła ramionami.

– To polskie nazwisko, pani kapitan.

– Tak też myślałam. Politechnika Rensselaera, rok ukończenia 1991. Licencjat z inżynierii lotniczej. Z wyróżnieniem. Ukończony program szkolenia oficerów rezerwy marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Dlaczego?

Sharon znowu wzruszyła ramionami. Nie tego się spodziewała.

Była zaskoczona świetną pamięcią kapitan i zastanawiała się, jak daleko ta pamięć może sięgać.

– Zgłosiłam się do programu dla pieniędzy, pani kapitan. Nie było tego dużo, ale miałam także kilka stypendiów, więc mogłam mieć na boku tylko jedną robotę.

Celowo nie wyjaśniła, o jaką pracę chodziło. Pozowanie to nic złego, ale kilku zdjęć wolałaby nigdy nie oglądać w swoich oficjalnych aktach. Tak samo jak wzmianki o fakcie, że jednym z jej fakultetów był taniec.

Nowy dowódca skinął głową i mówił dalej.

– Awansowana na podporucznika, przeszkolenie w dziedzinie obsługi samolotów. Przydzielona na USS Carl Vinson. Cztery lata służby, trzy na Carl Vinson. Opuściła regularną służbę w 1995 roku. Dlaczego?

Sharon zastanawiała się, jak wyjaśnić zawodowemu oficerowi, że pomimo urzędowej walki z molestowaniem seksualnym lotniskowiec pływający po morzu przez sześć miesięcy, a czasem i dłużej, nie jest odpowiednim miejscem dla byłej modelki. Jak wyjaśnić upadek morale i dyscypliny w amerykańskiej armii. Jak wyjaśnić frustrację spowodowaną niemożnością wysyłania maszyn w powietrze z powodu braku części. Albo walkę o zawieszenie lotów tymi, których sprawność budziła poważne wątpliwości. Jak miała jej wreszcie powiedzieć, że pierwszy mąż wbił jej nóż w plecy, żeby tylko dostać więcej godzin latania. Że ten sukinsyn zostawił ją dla jakiejś małej, brązowej dupy. Indonezyjka była nawet miła, przepraszała. Ale to nie pomogło.

– Nie było powodu, żeby to dalej ciągnąć, ma'am – dała standardową, lakoniczną odpowiedź. – Nigdy nie marzyłam o karierze w marynarce.

Pomimo tak pochlebnych uwag w Raportach Oceny? zapytała Brytyjka i zacytowała. –

„Wykazuje dojrzałość i zdolności wykraczające poza jej wiek. Przy wyznaczaniu kolejnych stanowisk należy mieć na względzie rozwój jej kariery i ewentualną przyszłą wysoką, a nie tymczasowe zapotrzebowania kadrowe.” Raport „poparł z największą przyjemnością” dowódca lotniskowca. – Kapitan znowu spojrzała na Sharon. – To najlepsza ocena żołnierza, jaką dotąd czytałam. Więc dlaczego pani odeszła? Czekala panią wspaniała kariera.

Sharon rozłożyła ręce.

– Nigdy nie byłam karierowiczką, pani kapitan. Cieszę się, że komandor Jensen miał taką „wielką przyjemność” poprzeć raport, a kapitan Hughes zgodził się z jego opinią. Ale ja i tak nie chciałam robić kariery.

Nowy dowódca splótł dłonie z tyłu głowy i odchylił się w fotelu.

– Gówno prawda.

Sharon patrzyła na kapitan z kamienną twarzą.

– Możliwe, pani kapitan, ale nie mam obowiązku mówić nic więcej.

Kapitan Weston uniosła jedną brew.

– Kto raz się sparzy, już się nie waży?

Sharon uśmiechnęła się lekko.

– Raczej nie, ma’am.

– Dobra – kiwnęła głową pani oficer. – Dalej. Wróciła na studia, Instytut Techniczny w Georgii. Poznała Michaela O’Neala i wyszła za niego za mąż. – Urwała. – A tak przy okazji, przedwczoraj w samolocie spotkałam tego O’Neala, który zdobył medal na Diess. Sympatyczny facet. Rzeczywiście jest tak niski, jak wygląda w telewizji.

Sharon uśmiechnęła się lekko.

– Tak, rzeczywiście, ma’am. Ale dla mnie jest wystarczająco wysoki.

Po raz pierwszy w czasie całej rozmowy kapitan Weston oniemiała ze zdziwienia.

– Poważnie? To pani mąż?

Sharon uśmiechnęła się.

– Poważnie. Wiem, że nie jest zbyt wysoki...

Pani kapitan pokręciła głową i kontynuowała omawianie jej zawodowego życiorysu.

– Zrobiła pani magisterium z inżynierii lotniczej, specjalizacja ustalanie cykli przeglądu. Podjęła pracę w Lockheed-Martin w Atlancie, gdzie zajmowała się projektem F-22. Był to okres redukcji etatów, jestem zaskoczona, że panią przyjęli.

Uniosła brew, oczekując odpowiedzi.

– Ja też byłam zaskoczona – przyznała Sharon – ale oni kontynuowali pracę nad projektem, wierząc, że prędzej czy później Kongres ustąpi i kupi to przeklęte urządzenie. Jako osoba świeżo po studiach byłam tańszą siłą roboczą niż ludzie, których zwalniano. Nie byłam z tego specjalnie zadowolona, ale przyjąłam tę pracę.

– Została tam pani przez kolejne dwa lata. Właściwie dopóki nie powołano pani do wojska.

– Właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszeliśmy o Posleenach. – Sharon założyła nogę na nogę i splótła dłonie na kolanie. – Zaczęliśmy kombinować z wariantem F22 Peregrine. Wtedy wydawało się, że Peregrine jest odpowiedzią na nasze modlitwy. Teraz, kiedy przyjrzałam się bliżej informacjom na temat broni Posleenow, myślę, że to śmiertelna pułapka. Ale nikt mnie już nie słucha.

– Polemizowałabym z tym – odpowiedziała enigmatycznie kapitan Weston.

Odchyliła się w fotelu do tyłu i przeczeswała włosy palcami. Skrzywiła się, wyczuwając, że są przetłuszczone.

– Ci w komisji pani słuchali. A to byli przecież sami mężczyźni, w tym dwóch Rosjan.



Zastanawiała się pani, dlaczego ciągle tkwi na tym statku, podczas gdy inni oficerowie przechodzą przez niego jak gówno przez gęś?

Sharon parsknęła śmiechem, słysząc taki wulgaryzm w ustach poważnej pani oficer.

– Tak, pani kapitan, właściwie tak.

– Wracamy do „pani kapitan”? – Weston się roześmiała. – Jak pani sobie życzy. Czy zdaje sobie pani sprawę, że żaden z oficerów nie był tu wystarczająco długo, żeby napisać o pani raport?

– Tak, ma’am – odpowiedziała Sharon ostrożniej.

– Jedyne kapitan Stupanowicz próbował. Przesłał opinię o pani, chociaż dowodził statkiem jedynie sześćdziesiąt dni, podczas gdy wymagane minimum to sto osiemdziesiąt.

– Tak, ma’am – skrzywiła się Sharon. – Widziałam ten raport.

– Nie była to zbyt pochlebna opinia, jak słyszałam. Cóż, to jeden z tych świstków, które nigdy nie ujrzą światła dziennego.

Nawet jeśli istnieje gdzieś jakaś kopia, Flocie nie udało się jej znaleźć.

Sharon ściągnęła brwi.

– Nie rozumiem, dlaczego Flota miałaby zatajać istnienie tego raportu? Mogę zrozumieć odrzucenie go, ale zatuszowanie?

– Pani komandor – Weston pochyliła się do przodu i wbiła w Sharon spojrzenie swoich głębokich, czarnych oczu – ile systemów na tej krypie w tej chwili nie działa?

Sharon się skrzywiła.

– Siedemnaście mniejszych systemów i cztery główne, ma’am.

Z głównych systemów działają tylko podtrzymywanie życia i obronny. Włączone są też wszystkie systemy sterowania bronią i napędu.

– Wzruszyła ramionami. – Załoga dokonuje cudów, szczególnie Indowy, ale nie mamy części zamiennych. Może udałoby się dostać jakieś chociaż do wymienników ciepła i wentylatora numer sześć, gdyby kapitan Stupanowicz zadał sobie trud przesłania zamówienia! – skończyła ze złością.

Weston kiwnęła głową.

– Pani komandor, do obrony ziemi przydzielono siedemnaście fregat. Wie pani o tym?

– Tak, ma’am.

– Wie pani, ile z nich lata? – ciągnęła napastliwym tonem.

– Dwanaście, ma’am – powiedziała Sharon, zastanawiając się, dokąd zmierza ta rozmowa.

– A wie pani, ile z nich pracuje z jako taką wydajnością systemów broni i napędu? Dwóch systemów, które, jak pani słusznie zauważyła, są najważniejsze? – Machnęła ręką. – Ale tu gorąco! Wysiadły wymienniki, prawda?

– Nie, ma’am, nie wiem, ile jest takich statków, i tak, ma’am, wymienniki ciepła wysiadły – powiedziała Sharon. – Właściwie połowa...

Kapitan nie pozwoliła jej skończyć.

– Nie krytykuję pani pracy, pani komandor. Wręcz przeciwnie.

Mówię to po to, żeby była pani z siebie cholernie dumna! Brak działających wymienników ciepła może być przykry, ale nie tak bardzo, jak brak działających systemów obronnych! Wie pani, co mi powiedział admirał Bledspeth, który zna mnie od dziecka?

Sharon pokręciła głową, zastanawiając się, co też Dowódca Floty mógł powiedzieć o tej kupie złomu.

– Kazał mi zatrzymać moje cholerne komentarze dla siebie i słuchać komandor O’Neal, a wtedy być może zobaczę jeszcze kiedyś Ziemię. – Rozzłoszczona zaklęła. – To jest jedyna cholerna fregata okrążająca Ziemię, której wszystkie systemy bojowe działają i która ma całkowicie sprawny napęd!

A jeśli uważa pani, że Flota tego nie widzi, to nie jest pani aż tak bystra, jak o pani mówią.

– Jesteśmy jedynym okrętem, który jest mniej więcej gotowy do walki! – ciągnęła kapitan. – Jeśli niespodziewanie pojawią się Posleeni, myśliwce i pozostałe fregaty spróbują ich zatrzymać. Ale wszystkie inne fregaty albo wloką się na jednym reaktorze, albo nie mają systemów bojowych!

– Rany Boskie! – zawołała Sharon. – Więc mówi pani, że utknęłam tutaj, bo jestem dobra?

– Nie, pani komandor! – odpowiedziała stanowczo kapitan. – Dlatego, że jest pani niewiarygodnie dobra! A teraz będzie pani musiała jeszcze nauczyć cuchnącego morzem zasrańca z regularnych oddziałów marynarki, jak to się, u diabła, robi!

– O Boże! – zaśmiała się Sharon, rozbawiona trafnością tego określenia. W jej śmiechu pobrzmiwała nutka rozpaczki.

– A ja za to – powiedziała cicho kapitan – udzielę pani wszelkiego możliwego wsparcia. Może więc uda nam się zamienić tę krypę w coś innego niż tylko nędzną puszkę sardynek.

Sharon westchnęła.

– Cóż, ma'am, w takim razie najlepiej będzie, jeśli najpierw zapozna się pani z papierami.

– Nie z systemami? – zapytała pani kapitan. To był test. Kapitan mogła nauczyć się wszystkiego o systemach, ale w tej chwili znacznie ważniejsze było wydostanie z łańcucha zaopatrzenia niezbędnych części zapasowych.

– Nie, jeśli jakieś mają jeszcze działać za miesiąc – odpowiedziała Sharon. – Flota opiera się na elektronicznej robocie papierkowej. Mój inteligentny przekaźnik udzieli pani przekaźnikowi kilku lekcji. Zaczynając od pokręconego programu dostawy części zamiennych.

**Fort Indiantown Gap, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 14:27 letniego czasu wschodniego USA, 13 września 2004**

– Tak, Ampele? – Starszy sierżant Pappas podniósł wzrok na wyświetlony przez inteligentny przekaźnik wizerunek sierżanta operacyjnego. Właśnie próbował odrobić zaległości w papierkowej robocie, które narosły podczas jego urlopu. Stłumił rozdrażnienie; świeżo promowany młody sierżant znany był z tego, że nie marnuje niczyjego czasu.

– Sierżancie, mam informację z kancelarii batalionowej, że dostaniemy nowego starszego plutonowego.

– Mamy wystarczająco dużo żołnierzy – mruknął Pappas.

– Według kancelarii brakuje nam jednego, i teoretycznie mają rację.

– Jeśli chcą go wsadzić do drużyny Stewarta, to chyba jakieś żarty.

– Nie wiem, co innego mogliby z nim zrobić. Jest starszy stopniem od Stewarta, a wszystkimi innymi drużynami dowodzą już starsi plutonowi.

– Masz jego akta? I jak stoimy z awansowaniem Stewarta?

– Akta są jeszcze w drodze, ale ci z kancelarii zapewnia, że dostaniemy je do ręki, zanim ten nowy przyjedzie, a i on ma ze sobą wydruk. Nie ma mowy, żeby góra zgodziła się na Stewarta. Dopiero co skończył podstawowe szkolenie!

– Tak samo jak ty, a mimo to dostałeś swoje belki. Nieważne.

Kiedy ten nowy koleś przyjedzie, przyślij go do mnie.

– Tak jest.

\* \* \*

– Starszy plutonowy Duncan – powiedział nowy podoficer, kiedy stanął w drzwiach – zgłasza się na rozkaz u starszego sierżanta.

Duncan miał duże doświadczenie – rozpoczął właśnie dwunasty rok kariery wojskowej – i wiedział, że niezależnie od tego, co mówiła procedura, zazwyczaj nowo przybyły żołnierz nie od razu był przedstawiany swojemu starszemu sierżantowi albo dowódcy.

Ci ludzie mieli bardzo dużo obowiązków i bardzo napięte terminy.

Dlatego jeśli zaraz po przyjeździe dostało się rozkaz bezpośredniego zgłoszenia do jednego z nich, zazwyczaj oznaczało to kłopoty.

A on naprawdę chciał uniknąć kłopotów. Szczególnie ze strony tego wielkiego sukinsyna, który miał być teraz jego nowym sierżantem.

– Proszę wejść... Duncan, o ile dobrze usłyszałem. Krzesło jest tam. – Ernie Pappas, który ciągle myślał o sobie jako o Gunnym sierżancie, potrafił stwierdzić, kiedy ktoś jest zdenerwowany. I podejrzewał, że wie dlaczego. – Pewnie zastanawia się pan, dlaczego od razu tu pana wezwałem – ciągnął. – Chciałem wyjaśnić kilka spraw. Opowiedzieć o termitach w pana nowym domu, używając przenośni.

Pappas przyjrzał się szybko swojemu najnowszemu podoficerowi i odniósł mieszane wrażenia. Przede wszystkim facet nie był odmłodzony. Dobijał chyba trzydziestki. Miał umęczone spojrzenie, trochę jakby był w szoku, podobnie jak Stary pierwszego dnia po przyjeździe. Nosił też naszywkę, którą Pappas widział wcześniej tylko u kapitana, a która oznaczała, że podoficer brał udział w bitwie z użyciem broni nuklearnej. Niezależnie od tego, jak ciężko było na Barwhon, tę odznakę można było

otrzymać tylko za udział w jednym starciu. Wyciągnął rękę po wydruk akt osobowych, który podoficer ścisnął w dłoni.

– Diess? – zapytał cicho.

– Tak. I wróciłem właśnie z Barwhon – odpowiedział plutonowy. – Skąd pan wie?

– Widziałem już wcześniej taką naszywkę.

Pappas powstrzymał się od dalszych wyjaśnień i zaczął czytać akta. Pomiął wszystkie bzdury na początku – wypisane głównie na użytek komisji awansów – i przeszedł od razu do przebiegu kariery wojskowej. Po kilku minutach Pappas zamknął teczkę i uśmiechnął się.

– O co chodzi? – zapytał Duncan.

Jego nowy sierżant prawdopodobnie wyczytał z akt coś, co sprawiło, że zweryfikował swoje pierwsze wrażenie na jego temat. Najprawdopodobniej wzmiankę o artykule 15 sprzed Diess albo komentarz na temat ostatniego przydziału.

– Cóż, zabawimy się w starą grę o dobrej i złej wiadomości – powiedział Pappas z lekkim uśmiechem. – A zacznę od średniej.

Chciałbym, żeby pan wiedział, że sierżant dowodzący pańskim plutonem to kobieta. Sierżant Bogdanowicz przed reorganizacją sił zbrojnych była instruktorem w piechocie morskiej, a potem przeszła do Sił Uderzeniowych Floty. Jest bardzo kompetentna i doskonale prowadzi pluton. Wątpię, żeby miał pan z nią problemy, chyba że ma pan uprzedzenia do kobiet. Zależy mi na szczerej odpowiedzi, gdyż ewentualnie mogę zmienić obsadę stanowisk.

Jakbym miał odwagę o to poprosić, pomyślał Duncan.

– Nie, w porządku. Nie pracowałem nigdy z kobietą jako szefem, ale kobiety pojawiły się już w naszych jednostkach, kiedy opuszczałem Diess. Nie przeszkadzają mi, jeśli są dobrymi żołnierzami.

– Miał pan problemy z tymi, które nie były dobrymi żołnierzami? – zapytał ostrożnie sierżant.

– Sierżancie – powiedział Duncan i zmarszczył czoło – jeżeli któryś z moich ludzi rozryczy się jak dziecko, bo powiem mu, że spierdolił sprawę, to tak, będę miał z tym problem. Nie cackam się z mężczyznami i nie będą się cackał z kobietami. Tak, miałem mały problem na Diess, ale ta kobieta nie należała do moich ludzi.

W końcu stwierdziła, że Siły Uderzeniowe Floty to nie miejsce dla niej.

Pappas postanowił przyjąć to na wiarę. Słyszał o kilku nieprzyjemnych incydentach z udziałem kobiet, ale nigdy nie zdarzyło się to w kompanii Bravo. W Siłach Uderzeniowych Floty były jednostki wojskowe z krajów, w których istniała tradycja uczestniczenia kobiet w akcjach bojowych. Nie oznaczało to wcale przyzwolenia na kobiece słabości. Nie chodziło o to, że tak zwane kobiece podejście nie ma żadnych zalet, lecz o to, że nie sprawdza się w walce.

Flota zaczynała to sobie uświadamiać; jednostki amerykańskie o wiele wolniej, niż inne. Według Pappasa, kobiety żołnierze, takie jak Bogdanowicz czy Nightingale, musiały udowodnić, że nadają się na stanowiska wojskowe. W piechocie nie dostawało się niczego za darmo. A szczególnie wtedy, kiedy toczyła się wojna.

– Dobra. – Podrapał się długopisem w tył głowy. – A więc nie powinien pan mieć z tym problemów. A teraz naprawdę zła wiadomość. Zakończyliśmy już Program Oceny Gotowości Bojowej i uzyskaliśmy maksymalną ilość punktów, więc zrozumiałą rzeczą jest, że jestem dumny z moich młodszych stopniem dowódców, i nie chcę, aby coś się w tym względzie zmieniło.

Mam jedną drużynę, którą dowodzi plutonowy zamiast starszego plutonowego, ale jest tak wspaniała, że zastanawiam się, czy pana nie zakatrupić, żeby tylko utrzymać go na tym stanowisku. – Uśmiechnął się, żeby pokazać, że to tylko żart. – Niestety ma małe doświadczenie – praktycznie

dopiero co wyszedł z obozu dla rekrutów – więc pan musi przejąć dowództwo w tej drużynie.

– Cóż, sierżancie – Duncan ściągnął brwi – jestem leniwym człowiekiem. Chętnie pozwolę dowódcy zespołu Alpha prowadzić całą tę cholerną drużynę...

– Tak, tak, wierzę. W każdym razie myślę, że powinien pan wspierać Stewarta. Przyjechałem tu ze szkolenia podstawowego Floty w obozie McCall z nędznymi zaczątkami kompanii, a Stewart przyjechał ze mną. Proszę poczekać, aż będzie pan miał z nim do czynienia. Sam pan się przekona, że jest wyjątkowy. Na zakończenie uprzedzam, że wątpię, czy będę mógł coś zrobić, jeśli będzie pan miał jakieś problemy ze Stewartem. Albo z Bogdanowicz. Albo nawet ze mną.

– Dlaczego? – zapytał Duncan, wietrząc w tym jakiś podstęp.

– Wie pan, gdzie widziałem już tę naszywkę...?

\* \* \*

– Sierżancie Bogdanowicz – powiedział sierżant, kiedy wszedł do „Bagna” – poznajcie waszego nowego dowódcę drużyny, starszego plutonowego Duncana. Należał do plutonu Starego na Diess.

Natalie Bogdanowicz zawahała się przez chwilę, ale zaraz potem wyciągnęła rękę i mocno uściśniła dłoń Duncana.

– Witamy w wędrownym cyrku kapitana O’Neala.

Duncan zmierzył wzrokiem swojego nowego sierżanta plutonu i stwierdził, że jest pod ogromnym wrażeniem. Bogdanowicz była niską, dobrze zbudowaną kobietą o odważnych, błękitnych oczach i jasnych, spiętych w kok włosach. Dobre wrażenie psuł nieco lekko przekrzywiony w wyniku złamania nos. Ale energia i entuzjazm, którymi tryskała, szybko odwróciły jego uwagę od tego drobnego defektu. Siła jej uścisku przypominała mu O’Neala.

– Nie wiedziałem nawet, że awansował na kapitana, ale wcale mnie to nie dziwi.

– Zważywszy na wielkość Sił Uderzeniowych Floty – zauważył sierżant Pappas – musieli nam przydzielić kogoś, kto go znał na Diess. Nie mamy w końcu tak wielu jednostek.

– Cóż – odpowiedział Duncan – zostało nas tylko dwunastu, a trzech jest trwale niezdolnych do służby.

– Jak można zostać trwale niezdolnym do służby? – zapytał pierwszy sierżant. – Dzięki medycynie Galaksjan można teraz leczyć wszystko, co nie powoduje natychmiastowej śmierci.

– Psychika – powiedzieli jednocześnie Duncan i Bogdanowicz i spojrzeli na siebie, zaskoczeni.

– Boggle była na Barwhon – wyjaśnił Pappas.

Bogdanowicz kiwnęła głową.

– Są rzeczy, których nie da się wyleczyć.

– Tak – zgodził się cicho Duncan. – Chociaż wydaje mi się, że szeregowego Buckleya zwolnili dlatego, że nie mogli już dłużej słuchać jego opowieści.

Zaśmiał się ponuro.

– Kogo? – zapytał starszy sierżant.

– Mocarne Maleństwo o tym nie opowiadał? – spytał Duncan z uśmiechem.

Dwóch weteranów wojennych i Mocarne Maleństwo jako dowódca. Wyglądało na to, że przez jakiś czas będzie mógł czuć się jak w domu.

**Fort Myer, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 14:27 letniego czasu wschodniego USA, 13 września 2004**

– Praca, praca, ciągle praca, Mike dostanie z pracy kaca – powiedział generał Horner, zaglądając do ciasnego biura O’Neala. Za nim kręcił się jego młodszy adiutant, kapitan Jackson.

– Cóż, sir, życie nocne w Georgetown nie jest już takie jak dawniej.

Odkąd Mike otrzymał rozkaz sporządzenia rozpiski zadań dla jednostek pancerzy wspomaganych podczas zbliżającej się batalii, pracował szesnaście do dwudziestu godzin na dobę, siedem dni w tygodniu. Wolał pracować niż rozmyślać nad obecną sytuacją. Świat zmierzał do nieuniknionego spotkania z Posleenami, a społeczeństwo zaczęło powoli się rozpadać.

Kiedy w pełni zrozumiano znaczenie zbliżającej się inwazji, zaczęły się radykalne zmiany w gospodarce i życiu ludności. Siedemdziesiąt procent światowej populacji i osiemdziesiąt procent jej dóbr skupiało się w strefach przybrzeżnych równin. Tereny te miały wiele zalet, ale nie należała do nich na pewno łatwość obrony przed atakiem Posleenów.

W rozwijających się podziemnych osiedlach dla uchodźców z równin organizowano siedziby biznesu, fabryk i wszystkich innych potrzebnych społeczeństwu instytucji. Jednak nie powstawały one tak szybko, jak się spodziewano; lista firm i fabryk oczekujących na siedziby była bardzo długa.

Biznesmeni, firmy ubezpieczeniowe i zwykli obywatele często sami podejmowali decyzje. Obszary górskie, które w ostatnich dziesięcioleciach stopniowo wyludniały się z powodu migracji, teraz ponownie przeżywały okres rozkwitu.

Do upadłych zakładów przemysłowych w Bawarii i północno-wschodnich Stanach Zjednoczonych, szczególnie w Detroit i Pittsburghu, zaczęły napływać nowe maszyny, a GalTech i inne ziemskie zakłady przenosiły swoje siedziby w miejsca, których można było łatwo bronić.

Migracji ośrodków przemysłowych towarzyszyła migracja siły roboczej. Ogromna fala bezrobotnych oraz pracowników przenoszących się firm zalała Dolinę Ohio i środkowo-zachodnie Stany Zjednoczone, a w Europie Szwajcarię, Austrię i Bałkany. Słabiej rozwinięta infrastruktura i spory graniczne w Azji nie pozwalały na masowe migracje, takie jak w Stanach Zjednoczonych i Europie, ale znaczna część ludności i tak przeniosła się w Himalaje, Hindukusz i na Kaukaz.

W Japonii wszystkie zakłady pozostały na miejscu, a w licznych w tym kraju łańcuchach górskich budowano cywilne schrony. Doświadczenia, które Japończycy wynieśli z Drugiej Wojny Światowej i ich rozwinięta infrastruktura inżynierii budowlanej były im w tym bardzo pomocne.

Masowa migracja i związane z nią zaburzenia podaży i popytu na dobra, usługi i pracę powodowały w jednych rejonach niedostatek, a w innych nadprodukcję.

Wielu ludzi się bogaciło, oczywiście nie wszyscy z poszanowaniem prawa i zasad etyki, potem jednak często stawali przed problemem ulokowania swoich pieniędzy.

Pensje wypłacano raczej w walutach narodowych, niż w federacyjnych kredytach. Nie było pewności, czy banki przetrwają inwazję, dlatego ostrożni inwestorzy woleli lokować swoje pieniądze w galaksjańskim lub ziemskim banku z siedzibą w jakimś stosunkowo bezpiecznym miejscu. Przechowywano tam nie tylko pieniądze, lecz także cenne dzieła sztuki, kosztowności i wiele innych wartościowych rzeczy. Ziemskie banki dogadały się z galaksjańskimi i w ten sposób środki pieniężne oraz dobra materialne zaczęły stopniowo opuszczać Ziemię.

Wtedy jednak dało znać o sobie nieubłagane prawo popytu i podaży. Kiedy sprzedawano ziemskie waluty i kupowano kredyty federacyjne, kurs wymiany szedł w górę. Wraz z brakiem

nadziei pojawiło się mroczne widmo inflacji. Wyjątkiem były dwa kraje.

Szwajcaria otrzymała od Galaksjan poważne zabezpieczenie na wypadek utraty swoich funduszy, i to nie tylko ze względu na jej pozycję największego centrum finansów i handlu, ale także z uwagi na fakt, że siedemdziesiąt procent powierzchni tego kraju zajmowały góry. Szwajcarska partyzantka kilkakrotnie podejmowała walkę z wrogiem, i wszystkie co do jednej inwazje zostały z łatwością odparte.

Na rynku operacji bankowych pojawił się nowy gracz.

Tajemnicze, starożytne buddyjskie państwo Bhutan zostało na krótko podbite przez sąsiadujący z nim Bangladesz. Wizyta brytyjskiego batalionu panczerzy wspomaganych doprowadziła wszystko do pierwotnego stanu, a Bhutańczycy wyciągnęli nauki z tego zdarzenia.

Ponieważ religia zabraniała im stosowania przemocy, zatrudnili najemników. W ten sposób powstał pułk Gurkhów. Gurkhowie byli żołnierzami z gór Nepalu, o reputacji najlepszej na świecie lekkiej piechoty. Żeby im zapłacić, Bhutan otworzył kilka filii głównych banków w liczących tysiące lat, ogromnych kamiennych klasztorach. Banki, chronione teraz przez najlepszych na świecie żołnierzy, potężne mury i przeszkody terenowe, przed którymi ugiąłby się sam Hannibal, zostały zalane cennymi dziełami sztuki, klejnotami, metalami szlachetnymi i pieniędzmi. Nawet niewielki ułamek tych wpływów wystarczył na zakup najnowocześniejszego na Ziemi uzbrojenia dla Gurkhów. Gurkhowie i ich najemni oficerowie brytyjscy aż za bardzo się palili, aby wypróbować je w walce.

Inflacja, deflacja i niedostatek niszczyły świat, powodowały głód i choroby. Mimo to życie toczyło się dalej, wierząc w zwycięstwo.

– Słyszałem – powiedział Horner z uśmiechem – że podobno procent niezamężnych kobiet jest teraz wyższy niż kiedykolwiek.

– Ale...

– Wczorajem idziesz się rozerwać. Na pewno już skończyłeś.

– Skończyłem. – Mike wskazał na potężny stos wydruków na biurku. – To właśnie efekt mojej pracy.

– Dobra, w porządku – powiedział Horner, zadowolony, ale wcale nie zaskoczony.

I Mike pracował dla niego przez dwa lata, kiedy zarządzał zespołem GalTechu do spraw uzbrojenia piechoty, początkowo jako cywilny specjalista od spraw technologii, później jako jego adiutant.

Horner od razu zauważył, że młody oficer posiada zdolność niespotykanej koncentracji na wykonywanej pracy. Zdecydowało to o wybraniu go do tego zadania w równym stopniu, jak doświadczenie w dziedzinie panczerzy wspomaganych. Czas naglił. Lista osób, które mogły opracować strategię użycia jednostek panczerzy w Programie Fortec była bardzo krótka. Jeszcze krótsza była lista tych, którzy mogli to zrobić w ciągu zaledwie dwóch tygodni. Jedyne oficer, którego Jack znalazł na obu tych listach, siedział właśnie przed nim.

– Skoro jesteś gotowy na konferencję dowódców wszystkich rodzajów broni, nie ma powodu, żebyś nie przyszedł dziś wieczorem do klubu Fort Myer w eleganckim granatowym mundurze Floty.

– Cóż, sir – powiedział Mike z trochę tylko udawanym ziewnięciem – właściwie jest około trzydziestu powodów, poczynając od snu.

Jack nie zareagował na jego odmowę.

– Oprócz powitania wszystkich dowódców armii na oficjalnym rozpoczęciu Programu Fortec, wydamy specjalne przyjęcie, żeby uczcić wizytę nowego dowódcy francuskich sił lądowych. Pomyślałem, że może zechcesz przyjść.

– Cóż, sir, jak już powiedziałem...

– Nazywa się Crenaus.

– Dowódca Dewciemie Armore, sir?

Druga pancerna razem z dziesiątą dywizją grenadierów pancernych i niedobitkami brytyjskich, chińskich oraz amerykańskich jednostek pancernych została oswobodzona z posleeńskiego oblężenia megawieżowca Dantren na Diess przez pluton ówczesnego porucznika O’Neala. Pluton zburzył megawieżowce zajęte przez wroga i złamał natarcie posleeńskich wojowników ogniem zaporowym granatów z ładunkiem antymaterii. Francuski generał – bardzo szczupły człowiek na szczudłowatych nogach, uderzająco podobny do stracha na wróble z „Czarnoksiężnika z Oz” – był wówczas pod dużym wrażeniem wyczynów Mike’a. On natomiast był mile zaskoczony profesjonalizmem, z jakim generał utrzymał jednostkę w tak niewiarygodnie trudnej sytuacji. Dewciemie Armore wyszła z konfliktu z mniejszymi stratami, niż jakakolwiek inna jednostka spośród biorących udział w obronie ruchomej, głównie dlatego, że zachowała spójność, kiedy inne pękły jak szklanki. Do zachowania tej spójności najbardziej przyczynił się honorowy gość dzisiejszego przyjęcia.

– Ten sam. Kiedy usłyszał, że tu jesteś, uparł się, że musisz przyjść – powiedział Horner z rzadkim u niego prawdziwym uśmiechem.

– Tak jest, sir.

Mike przejrzał w pamięci zawartość swojej garderoby. Miał granatowy mundur galowy Floty i medale – na wszelki wypadek, gdyby ktoś domagał się ich przypięcia.

Do tej pory udawało mu się tego unikać, pomimo wyraźnych przepisów Sił Lądowych; twierdził, że nie jest oficerem tych sił i ich przepisy go nie obowiązują. Przykre zajścia z nadgorliwymi oficerami zandarmerii skończyły się, kiedy wydano specjalne rozporządzenie, określające pozycję Floty wobec Sił Lądowych. Mike nie robiłby z tego problemu, gdyby nie to, że inni członkowie Floty, przypisani do Pentagonu, mieli takie same kłopoty. Nienawidził spojrzeń, jakimi go obrzucano na widok jego Medalu Honoru. Ale, co tam, miał dzisiaj okazję spotkać się ze starymi towarzyszami.

– Przyjdę z największą przyjemnością, panie generale.

– Bylebyś tylko miał swoje medale. – Na twarzy Jacka pojawił się nie znoszący sprzeciwu uśmiech. – Medale, Mike, a nie baretki, i na dodatek wszystkie.

\* \* \*

– Za tych, których tu z nami nie ma. – Mike wznosił toast jako najmłodszy w grupie.

– Za tych, których nie ma – zawtórował podpity tłum tłoczący się wokół nowego francuskiego Głównego Dowódcy.

Salę klubu oficerów w Fort Myer wypełniali najznamienitsi przedstawiciele Dystryktu Wojskowego Waszyngtonu. Jasne światło zyrandoli odbijało się w złotych galonach i biżuterii. Klub był pełen generałów wszystkich stopni, a pułkownicy liczyli się niewiele więcej niż kelnerzy. Uwaga całej sali była jednak skierowana na jeden stolik. Kilku adiutantów i starszych podkomendnych krzątało się tu wokół czterech oficerów. Trzech z nich nosiło cztery generalskie gwiazdki, jeden był tylko kapitanem.

– Doprawdy, mon ami, niewiele brakowało, a toast byłby też za ciebie – powiedział honorowy gość, poufale klepiąc Mike’a po ramieniu.

– Cóż, z moich pierwszych podkomendnych rzeczywiście niewielu przeżyło.

Kiedy Mike wrócił z Diess, przez cały rok wożono go po Stanach Zjednoczonych jako rzecznika Biura Informacji Publicznych.

Podczas objazdów odbył wiele rozmów z wszelkiej maści starszymi oficerami. Był już prawie



pewien, że ciąży na nim Kłątwa Medalu i że odtąd jego jedyny kontakt z frontem będzie polegał tylko na rozmowach w telewizyjnym studiu. Na szczęście jednak przydzielono mu obecne dowództwo.

Zanim zaczęły się objazdy, Biuro Informacji Publicznych zażądało od niego zakupienia za ogromną sumę nowego galowego munduru Floty. Grupa projektantów i współpracujących z nimi oficerów wojskowych przeforsowała projekt munduru, który bardzo sprytnie łączył galaksjańską technologię i ziemską obsesję na punkcie wygody ubioru. Zwyczajny mundur dzienny – jedwabny uniform bojowy – był tak wygodny, jak tylko można było sobie wymarzyć. Szaleństwo na punkcie niewymuszonej elegancji i wygody nie objęło jednak granatowego munduru galowego.

Mundur ten podkreślał niektóre tradycje członków Sił Uderzeniowych Floty, ale wykorzystywał też styl futurystyczny. Długa, luźna, zapinana magnetycznie granatowa tunika miała podszewkę w kolorze ugrupowania sił zbrojnych, do którego należał właściciel; w przypadku Mike'a jasny błękit piechoty. Wokół pasa była przewiązana czerwona szarfa (w takim samym odcieniu, jakiego używała amerykańska piechota morska, artyleria, francuscy spadochroniarze i Armia Czerwona) ze złotą lamówką. Ramiona zdobiły złote pętle, których liczba wskazywała na stopień wojskowy, a spodnie – czerwone lampasy. Obrazu dopełniał zwykły amerykański beret w kolorze odpowiedniej gałęzi Sił Uderzeniowych Floty. Całość sugerowała, że wszyscy żołnierze piechoty należą do kontyngentu sił pokojowych ONZ, ale wrażenie to miało z czasem zniknąć.

W przypadku kapitana O'Neala ten koszmerek był dodatkowo ozdobiony imponującym zestawem medali. U większości obecnych na sali oficerów, których mundury zdobiły różne odmiany „sałatek owocowych”, widać było głównie odznaczenia niższej rangi – medale uznania i kolorowe wstążki typu „Ja tam byłem”, pokazujące, że ich właściciel był grzecznym chłopcem i robił to, co żołnierz robić powinien. U Mike'a przeważały odznaczenia wyższego rzędu.

Oprócz Medalu Honoru, przyznanego za samodzielne zniszczenie statku dowodzenia Posleenów na głównej linii oporu na Diess, Mike został osobno odznaczony za trzy inne akcje z tych czterdziestu ośmiu szalonych godzin, w ciągu których klęska zamieniła się w zwycięstwo. Była to Brązowa Gwiazda za przygotowanie zniszczenia Qualtren, którą przyznano pomimo pewnych niepożądanych skutków tego zdarzenia, druga Brązowa Gwiazda za wydostanie żołnierzy spod rumowiska, które powstało w wyniku tego wybuchu, oraz Srebrna Gwiazda za oswobodzenie dywizji grenadierów pancernych na Bulwarze Śmierci. Mike nie chciał żadnej z nich i upierał się, że zgodnie z tradycją powinny one składać się na jeden medal. Ale i tak przyszły w zestawie.

Oprócz Gwiazd i dwóch Purpurowych Serc, Mike'owi przyznano całą masę zagranicznych odznaczeń takich państw, jak Anglia i Chiny (pluton O'Neala uratował prawie trzy kompanie z chińskiego pułku). Na koniec dostał też prosty medal uznania, medal dobrego dowódcy i medal za udział w akcji Pustynna Burza.

W każdym innym towarzystwie taka kombinacja munduru i „sałatki owocowej” baretek wyglądałaby idiotycznie, jednak w tym nie specjalnie się wyróżniała.

W grupce oficerów skupionych wokół generała Crenausa znalazł się między innymi amerykański Główny Dowódca w mundurze galowym Sił Lądowych, weteran Słusznej Sprawy, Pustynnej Burzy, Monsunowego Gromu i wielu innych misji, których sam już nie pamiętał. W jego „sałatce owocowej” było również imponująco dużo protein, a mało tłuszczu. Generał Horner miał szczęście dowodzić we wszystkich trzech operacjach, ale nie dostał Purpurowego Serca, gdyż nie należał do tych żołnierzy, którzy zapominają się schylić, kiedy ktoś do nich strzela.

Generał Crenaus, ubrany we francuski mundur galowy – frak i wysoki cylinder – brał udział we wszystkich akcjach wojskowych, które Francuzom udało się przeprowadzić w ciągu ostatnich kilku dziesięcioleci. I chyba także w kilku, do których nie chcieli się przyznać.

– Najbardziej podoba mi się ten – powiedział dość bełkotliwie generał Taylor i wskazał na medal na piersi kapitana O’Neala. W ciągu całego wieczoru wypił półtora litra szkockiej. – Nie wiedziałem, że na Diess były z tobą Japonce.

Medal przypięty tuż nad symbolem piechoty bojowej wyglądał trochę jak wschodzące, złote słońce.

Generał Crenaus zaśmiał się ponuro.

– To nie jest nagroda za uratowanie tyłka jakiemuś Japońcowi, bon homme. To za to, że się tam było. Ja też taki mam.

– To nie jest medal za Diess – zauważył generał Horner. – Nasz medal sił ekspedycyjnych wygląda tak – dodał, wskazując na oliwkowo-czerwone odznaczenie.

– To nie za samą akcją na Diess, mon General – wtrącił się starszy adiutant generała Crenausa. – To jest dowód uznania Federacji za to, że było się w strefie podmuchu eksplozji nuklearnej.

– Oui, to całkowicie wina naszego młodego przyjaciela – zaśmiał się głośno francuski generał i wskazał kciukiem kapitana. – Jednak po namyśle doszedłem do wniosku, że nie mogę mieć do niego pretensji.

– Proszę bardzo, jak chcecie. – Mike odczuwał coraz wyraźniej działanie bourbona, którego wmuszał w niego generał. – Następnym razem sami będziecie ratować sobie tyłki, żabojady.

Generał Crenaus zaśmiał się gromko ku wyraźnej uldze siedzących wokół stolika oficerów.

– Żywię głęboką nadzieję, że drugi raz nie będzie już takiej potrzeby, mój młody capitaine.

Mike tymczasem wpatrywał się pijanym wzrokiem w medal Eksplodującej Gwiazdy.

– Wie pan, co w tym wszystkim jest najgorsze, sir? – zapytał, bujając się w tył i w przód; utrzymanie równowagi z pochyloną głową stawało się coraz trudniejsze.

– Co? – zapytał generał Horner, wychylił kieliszek absoluta i wziął kolejny od przechodzącego obok kelnera.

– Nic z tego nie pamiętam. Niektórzy naprawdę dużo wtedy przeżyli. Niektórzy żołnierze plutonu nie zdążyli znaleźć na czas schronienia i akurat byli na dachu, kiedy doszło do wybuchu. To dopiero była jazda!

– Jazda? – zdziwił się jeden z pułkowników.

Mike zwrócił się do oficera z wyrazem niedowierzania na twarzy.

– Jazda, sir, nie rozumie pan? Ściana ognia lecąca prosto na pana, a pan może tylko paść na ziemię i się zasłonić! To dopiero jazda!

Wyszczrzył się dziko, kiedy generałowie się roześmiali. Większość amerykańskich adiutantów, wszyscy w stopniu co najmniej majora, nosiła wyjątkowo mało medali za udział w walce. Nie byli pewni, czy agresywny kapitan na pewno żartuje.

Adiutant Crenausa także parsknął śmiechem; widział tego małego wicherzyciela w jego najlepszych i najgorszych chwilach i wiedział, że mówi prawdę. W Dewcieme Armore nazywano go „Małą Ryjówką”, ale wymawiano to z wielkim szacunkiem. Biorąc pod uwagę stosunek wagi do dzikości ryjówki są najgroźniejszymi i najbardziej zabójczymi istotami na ziemi. I nie znają strachu.

– Oui, może w pancerzu – wykrzyknął generał Crenaus. – Ale większość z nas ich nie miała i dla nas to było dość nieprzyjemne.

– Na pewno, sir – wybełkotał Mike. – Dlatego was ostrzegłem... trzydzieści sekund wcześniej.

– Dwadzieścia. Powiedziałaś trzydzieści, a zdetonowałaś ładunek po dwudziestu. Tak przy okazji merci beaucoup, to dopiero była niespodzianka!

– C’est la guerre. Vingt, trente, kto by tam liczył?

– My liczyliśmy, certainement. Jak wy to mówicie, z gazem do dechy. „Dix-neuf... „Łup! Flesz

Boga! – ciągnął generał z udawaną złością.

– Boże, co za maruda! – mruknął Mike i wypił kolejny łyk alkoholu.

Generał Crenaus także głośno się zaśmiał.

– Ale twój szeregowy Buckley na pewno nie uważał tego za dobrą, jak wy mówicie, jazdę.

– Tak, słyszałem o tym później. Myślałem, że tylko ja miałem zły dzień.

– Byłbyś uprzejmy opowiedzieć tę historię nam wszystkim? – zapytał generał Taylor i oparł się trochę za mocno o stolik.

– Oui, to fajna historia – zachęcał Mike’a generał Crenaus.

– No, opowiem, jeśli chcecie. Od czego by tu zacząć? – zamyślił się Mike i wypił łyk bourbona.

– Najlepiej od początku – stwierdził sucho generał Horner.

Kilkanaście kieliszków alkoholu najwyraźniej na niego nie podziałało. Mike słyszał już wcześniej, że alkohol idzie generałowi w nogi. Teraz sam się o tym przekonał.

– No więc Buckley był jednym z żołnierzy uwięzionych pod Qualtren. Musieliśmy wydostać się spod sterty gruzu za pomocą granatów; tej techniki nie polecam tym, którzy nie mają na sobie pancerza.

– Oui, w końcu to...

– ...ładunek antymaterii – dokończył Mike. – Właśnie. Każdy domyślił się, jak to zrobić, oprócz nieszczęsnego szeregowego Buckleya albo Lewusa, jak go później nazwaliśmy. Buckley wyciągnął granat i odsunął go tak daleko od siebie, jak tylko mógł, bo to przecież była...

– ...antymateria! – zawołali chórem generał Crenaus i jego adiutant.

– Właśnie. Więc Buckley wyciąga rękę jak najdalej, wpychają w rumowisko i naciska aktywator.

– Oui, oui! Po czym stwierdza, że nie może z powrotem wyciągnąć ręki! – krzyknął francuski generał, trzęsąc się ze śmiechu.

– Tak! Gruz przesunął się i jego ręka utknęła. Myślicie pewnie, że musiało go to boleć, co? Właściwie bolało tylko przez ułamek sekundy, gdyż systemy pancerza blokują nerwy, odcinają krążenie, oczyszczają i odkażają ranę, i wszystko to robią w ciągu ułamków sekund. Ale musicie sobie wyobrazić...

– To był dziesięciosekundowy zapalnik? – zapytał generał Horner z ponurą miną, która u niego oznaczała uśmiech.

– Tak, tak. Więc jak to...

– Dix, neuf, huit, sept... – zaczął odliczać Crenaus, płacząc ze śmiechu.

– Właśnie. Dziesięć, dziewięć... – przetłumaczył Mike – a potem...

– Bum! – krzyknął generał Taylor, wybuchając śmiechem.

– Właśnie. Człowiek zadaje sobie pytanie: „ale o co właściwie chodzi?”. Na szczęście to nie boli, bo inaczej nie byłoby takie śmieszne. Ma się tylko krótkie, ale niezapomniane wrażenie wyparowywania ręki.

– A co to ma wspólnego z wysadzeniem w powietrze statku dowodzenia Posleenów? – zapytał jeden ze stojących wokół adiutantów.

Mike wypił kolejny łyk bourbona.

– Otóż Lewus wydostał się na powierzchnię gruzu i wykonał swoją robotę tak przyzwoicie, jak tylko był w stanie lewą ręką. A kiedy statek dowodzenia wyleciał w powietrze, Buckley był jednym z tych żołnierzy, którzy poszli z sierżantem Greenem... – Mike urwał i uroczyście podniósł kieliszek. – Za nieobecnych...

– Za nieobecnych – powtórzyli chórem oficerowie.

– ...poszedł z sierżantem Alonisusem Greenem, aby odciągnąć uwagę załogi statku dowodzenia od głównej linii oporu, tak żebym mógł umieścić pieprzoną minę z ładunkiem antimaterii na jego burcie – dokończył Mike.

– Miała być zabawna puenta – powiedział generał Horner, kiedy cisza się przedłużała.

– Tak, sir. – Kapitan O’Neal wypił kolejny łyk alkoholu. – Więc przedostaję się przez systemy obronne, umieszczam minę i w znany wszystkim sposób udaję kawałek radioaktywnego odpadu...

– Dziesięć sekund za wcześnie, jeśli wolno mi dodać! – wykrzyknął generał Crenaus.

– O rany, niektórzy nie byliby szczęśliwi nawet wtedy, gdyby ich powiesić na złotym stryczku! Robię, co w ludzkiej mocy albo jeszcze więcej, a ten Francuzik potrafi tylko narzekać na przedwczesną detonację. Na czym skończyłem, panowie?

– Detonacja – odpowiedział bardzo młody adiutant w stopniu majora.

– Właśnie. No cóż, mina działa jak marzenie, z tym, że wywołuje pewne małe efekty uboczne...

– Jeszcze trzy metry, a zostałbym upieczony na befszytk! – krzyknął generał, wymachując rękami.

– Z całym szacunkiem: niech pan przestanie mi przerywać, panie generale. W każdym razie eksplozja jest porównywalna z wybuchem miny kosmicznej trzeciej klasy i powoduje niemiłe efekty uboczne, które na szczęście kierują się w stronę przeciwną do wyrzutni rakiet i pewnych niewdzięcznych Francuzów, których tu nie wymienię... – ciągnął kapitan O’Neal.

– Czyja mówię, że nie jestem wdzięczny? Generale Taylor, generale Horner, wzywam was obu na świadków. Nigdy nie powiedziałem, że nie jestem wdzięczny. Zdenerwowany? Odrobinę. Przestraszony? Merde, tak! Ale nie niewdzięczny, ty tchórzliwy karle!

– Ha, bocian się odezwał! W każdym razie wybuch wyrzucił wszystkie ścierwa ze statku dowodzenia, ale część statku nadal trzyma się kupy. Musiał to być niezły widok z pozycji wyrzutni rakiet.

Olbrzymi kawał kosmicznego krążownika zatacza piękny łuk balistyczny, jak w zwolnionym tempie – wyłożył zagadnienie kapitan O’Neal, żywo gestykulując obiema rękami. – Pamiętajcie, że to wszystko dzieje się po stosunkowo małym, ale dość dobrze widocznym wybuchu jądrowym...

– Jakież cztery kilotony – krzyknął generał Crenaus i wypił duży łyk koniaku – i to niecały kilometr od nas!

– Raczej trzy kilometry. W każdym razie statek unosi się na grzybie eksplozji nuklearnej, zatacza na niebie ogromny łuk i z gracją opada z powrotem na ziemię...

– Prosto na Buckleya – zahuczał generał Crenaus.

– ...prosto na szeregowego Buckleya. Był jednym z chłopaków, którzy znaleźli się na dachu w strefie podmuchu...

– Sacre Bleu! To ja byłem w strefie podmuchu!

– Was ledwie smagnęło w cieniu podmuchu!

– On to nazywa cieniem podmuchu! Co to był za huk! – krzyknął generał, zatykając rękami uszy.

– No... w każdym razie Buckley, przypięty butami grawitacyjnymi do jakiejś potężnej konstrukcji, cudem przeżył falę uderzeniową, potem impuls elektromagnetyczny, a w końcu falę ciepła... – Mike zrobił dramatyczną pauzę.

– I nie zabiło go to? – zapytał jeden z adiutantów, który domyślał się już zakończenia.

– W panczerzu? Nie, ale to był prawdziwy nokaut. Tym razem jednak zaczekał, aż ktoś przyjdzie, żeby go odkopać. W zasadzie nie miał innego wyjścia, bo znalazł się pięćdziesiąt pięter pod ziemią, przywalony gruzem z budynku i zniszczonym krążownikiem kosmicznym – zakończył kapitan O’Neal i zaśmiał się.

– Za szeregowego Buckleya! – zagrzmiął generał Crenaus i podniósł w górę swoją brandy.

– Za szeregowego Buckleya! – zawtórował mu kapitan O’Neal.

– I wszystkich innych nieszczęsnych kolegów, co noszą Maskę Diabła! – zakończył z goryczą.

– Tak, tak – zawołał generał Taylor. Na chwilę zapadła niezręczna cisza, po czym wszyscy unieśli kieliszki i wypili. – Więc tak nazywasz pancierz, Mike?

– A tak nie jest, sir? – zapytał kapitan O’Neal, bujając się w swoim krześle. – Mogę sobie żartować na temat odjazdu, ale to przecież pancierz znajduje się w podmuchu pieprzonej eksplozji nuklearnej.

Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Misja, nad którą pracuję od dwóch tygodni także polega na tym, że musimy dotrzeć tam, dokąd nikt inny nie zdoła, dokonać tego, czego nikt inny nie potrafi nikt inny i robić to, dopóki nie zginiemy.

Uderzy na nas pięciokrotnie więcej Posleenów niż zaatakowało Barwhon i Diess. Wszyscy jesteśmy tego świadomi. Będziemy zdani tylko na siebie, gdyż żadne statki nie przecisną się przez taką zaporę ogniową! Więc od chwili wylądowania Posleenów aż do momentu, w którym Flota będzie na tyle silna, żeby zniszczyć lądowniki, będziemy odcięci od dostaw z GalTechu. A to oznacza, że będzie dziesięciu małych żołnierzyków piechoty mobilnej... dziewięciu małych żołnierzyków... ośmiu małych żołnierzyków, aż wreszcie „zaśpiewamy na chwałę Pana, że nie ma już ani jednego z nas, bo jeden musiałby pić sam”. A moim zadaniem będzie zabrać kompanię w piekło wybuchów jądrowych, gazu i pocisków hiperszybkich, walczyć z Posleenami, którzy mają ponad tysiąckrotną przewagę, i bronić wszystkich innych oddziałów, które nie dysponują odpowiednim sprzętem.

– Tak, sir – zakończył Mike. – Ja zaprojektowałem pancierz i ja go wykonałem, żyję w nim i nazywam go Maską Diabła. A wszyscy, którzy ją noszą, to Przeklęci! – dodał cicho.

## Orbita okołosieżycowa, Sol III 22:30 letniego czasu wschodniego USA, 13 września 2004

– A niech to szlag!

Gdyby ktoś był obecny w kajucie, kiedy kapitan Weston odczytywała e-mail z kwatery głównej Floty na Tytanie, na pewno byłby pod wrażeniem jej zasobu przekleństw. Klęła przez bite pięć minut, ani razu się nie powtarzając. Potem umilkła gwałtownie, zdając sobie sprawę, że to tylko reakcja na stresy związane z nowym stanowiskiem.

Przez krótki okres czasu spędzony na okręcie udało jej się stwierdzić na pewno tylko jedno: że sytuacja jest o wiele gorsza, niż się spodziewała. Utrzymanie działających systemów wymagało nie tylko herkulesowego wysiłku jej pierwszego oficera, ale też prawdziwego szczęścia. W każdej chwili mogły przestać działać prowizorycznie naprawione urządzenia i połączenia. Potwierdziłoby to opinie jej przeciwników, że kapitan April Weston jest niekompetentna.

Wątpiła, żeby mogło to zepsuć jej karierę, ale na pewno byłoby okropnie nieprzyjemne.

Wszystko wskazywało jednak na to, że nie będzie musiała się tym zbytnio przejmować. Przy uszkodzonych dziobowych ekranach deflektorów statku każdy posłoneński pocisk, który przedarłby się przez systemy obronne, miałby wolną drogę. A wybuch pocisku jądrowego o mocy dwudziestu kiloton w bezpośredniej bliskości kadłuba rozwiałby wszelkie obawy o dalszy rozwój kariery.

Części zamienne musiały się prędzej czy później znaleźć. A reputacja pierwszego oficera pozwalała sądzić, że będzie potrafił wydębić je z Bazy na Tytanie i namówić Indowy do opuszczenia ich bezpiecznych kwatery, żeby je zainstalować. Dlatego rozkaz niezwłocznego wysłania Sharon na dwutygodniowy urlop nie był w tej chwili najlepszą nowiną.

Z drugiej jednak strony z pewnością potrzebowała odpoczynku.

Wprawdzie w ciągu ostatnich kilku dni ożywiła się nieco, ale wiedziała, że to chwilowe ożywienie; zejście na ląd na pewno dobrze by jej zrobiło.

April Weston nie zamierzała odbierać nikomu zasłużonej nagrody. Skoro wujaszek Al Bledspeth uważał, że to dobry pomysł, niech tak będzie. Ale jak tylko uda się jej dowiedzieć, kto pociągał w tej sprawie za sznurki, wypatroszy go żywcem. Nie znosiła, kiedy ktoś knuł coś za jej plecami.

\* \* \*

– Nathan!

Wielebny O'Reilly obejrzał się przez ramię, słysząc rozradowany okrzyk, i wstał na powitanie.

– Paul, jak się masz?

Niski, krępy i żwawy mężczyzna był ubrany w skrojony na miarę, elegancki jedwabny garnitur, przesywany purpurowymi i zielonymi nićmi. Uśmiechnął się do starego przyjaciela i mocno uściśnął mu dłoń.

– Dobrze, mój przyjacielu, dobrze.

Towarzyszył mu jakiś Indowy. Ponieważ Indowy obawiali się ludzi, rzadko można ich było spotkać w miejscu publicznym. Paul des Jardins wskazał na małego, zielonego obcego.

– Nathanie O'Reilly, z największą przyjemnością przedstawiam panu Aeloola z rasy Indowy.

O'Reilly wiedział, że Indowy nie uważają wzajemnego dotykania się za właściwe. Tak jak Japończycy, stosowali różnorodne ukłony w zależności od statusu rozmówcy. O'Reilly nie miał pojęcia, jaki był status Aeloola w hierarchii Galaksjan, więc zdecydował się na nieznaczne pochylenie głowy.

Nie miał też pewności co do płci Indowy. Występowały u nich samce, samice i osobniki o płci neutralnej. Trudno było ich od siebie odróżnić; Indowy nie posiadali zewnętrznych cech płciowych, takich jak genitalia czy piersi. A cechy drugorzędne, jak na przykład gładza skóra i zaokrąglone biodra, nie rzucały się w oczy. Po chwili namysłu O'Reilly wybrał neutralne formy zaimków. Samce i samice Indowy rzadko protestowały w przypadku pomyłki, natomiast osobniki neutralne zazwyczaj obruszały się na formy męskie lub żeńskie.

Indowy roztaczał wokół siebie aurę spokoju i opanowania, co rzadko im się zdarzało w towarzystwie ludzi. Ten nie odwracał nawet wzroku na widok ludzi jedzących mięso.

– Indowy Aeloolu, witam cię.

O'Reilly był wystarczająco pilnym studentem nauk galaksjańskich, żeby znać pozdrowienia obcych. Bardzo pilnym; władał trzema pozaziemskimi językami. Nadal nie miał pojęcia, dlaczego Paul osobiście odwiedził go w klubie. Zazwyczaj korzystali z pośredników. Było to bardzo ryzykowne i mogło narazić ich komórkę wykonawczą na niebezpieczeństwo. Lepiej, żeby Paul miał naprawdę ważny powód, by to zrobić.

– Proszę – wskazał na miejsce przy stole – usiądź.

– Cieszę się, że cię tu znalazłem, Nathanie – powiedział Paul i usiadł.

Jeden z kelnerów podszedł do stołu i zamienił wysokie krzesło na niższe, dostosowane do wielkości Indowy. Nathan nawet nie wiedział, że klub dysponuje takimi krzesłami. Century Club był jednym z najbardziej ekskluzywnych lokali w Waszyngtonie. Stołowała się tu najwyższej klasy klientela i najwyraźniej obsługa była przygotowana na przyjazd każdego rodzaju galaksjańskich gości.

– Indowy Aelool opuszcza wkrótce planetę i chciałem, żebyś go poznał.

– Tak wiele było do zrobienia – powiedział drobny Indowy łagodnym, wysokim głosem.

Wielebny O'Reilly zorientował się nagle, że Indowy mówi po angielsku, zamiast korzystać z translatora w inteligentnym przekładniku. Zaskoczyło go to. O ile wiedział, Indowy nie władali żadnymi obcymi językami. Wierzyli, że ich narządy mowy są w stanie artykułować ludzkich słów. Jakie jeszcze zdolności ukrywali?

– Mój zespół skończył właśnie uzbrajać w pancerze pierwszy batalion pięćset pięćdziesiątego piątego pułku Sił Uderzeniowych Floty i mam natychmiast wracać na Irmansul. Jednak mój drogi przyjaciel monsieur de Jardins nalegał, żebym się z tobą spotkał. Jak powiedział, „szczypta czasu ratuje z impasu”.

O'Reilly nie zwrócił uwagi na to tajemnicze stwierdzenie. Kiwnął tylko głową i wypił kolejny łyk słodkiego waszyngtońskiego beaujolais, które przyniósł wcześniej kelner. Jego umysł pracował na wysokich obrotach.

Najwyraźniej Paul albo ktoś wysoko postawiony w Bractwie uznał, że Indowy są najlepszą wtyczką u Galaksjan. Paul zaryzykował więc ujawnienie kontaktów O'Reilly'ego z Societe. Bractwo i Societe miały podobne cele, a O'Reilly, o ile wiedział, był między nimi jedynym pośrednikiem. Gdyby to spotkanie miało go zdradzić, ich prace cofnęłyby się o całą dekadę. Z drugiej jednak strony należało za wszelką cenę uzyskać dostęp do galaksjańskiej technologii, a działania obu grup hamowała niedostateczna możliwość obserwowania Galaksjan.

Indowy zawsze nalegali na spotkanie twarzą w twarz, zanim dochodziło do jakichkolwiek poważnych rozmów. Informacje, które O'Reilly zdobył podczas badań i wyczytał w aktach Societe pozwoliły mu zrozumieć, dlaczego tak się działo: Darhelowie zarządzali systemami elektronicznego przepływu informacji w Federacji Galaksjan od tysięcy lat. Zdawali więc sobie sprawę z możliwości tworzenia za pomocą tych systemów pewnych iluzji. Spotkanie twarzą w twarz było

jedynym sposobem potwierdzenia, że ma się do czynienia z prawdziwym człowiekiem.

Pomyślał, że ryzyko może się opłacić. Wkrótce i tak musiał rozstać się z Paulem; mieli korzystać z usług pośredników. Poza tym zawsze pozostawał jeszcze Internet.

– Cóż, Indowy Aeloolu, jeśli ten jankeski elegant uważa, że tak trzeba, to chyba muszę się z tym zgodzić.

Uśmiechnął się szeroko. Obnażone zęby były dla nerwowych Indowy symbolem drapieżcy, ale coś mu mówiło, że wobec tego osobnika może sobie na to pozwolić bez obaw.

– Zjesz ze mną obiad?

– Raczej nie – odpowiedział Indowy, a jego twarz zmarszczyła się w dziwnym grymasie. Dopiero po chwili Nathan zrozumiał, że była to próba naśladowania jego uśmiechu. Podobna do tej mina wyrażała u Indowy raczej dezaprobatę. – Muszę złapać statek. Ale może spotkamy się... innym razem.

Znowu ten dziwny grymas. Tym razem Aelool obnażył kilka dużych, szcurzych zębów.

Nathan zmarszczył nos, wciągnął górną wargę i zrobił zbieżnego zęza. Paul omal nie zakrztusił się winem, które podano mu chwilę wcześniej, ale Indowy powtórzył grymas i zaskrzeczał jak kot, któremu przytrzaśnięto drzwiami ogon. Wszyscy obecni na sali się obejrzeli.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – zapytał Indowy, przestając skrzeczeć. Okazało się, że ten dźwięk oznacza u Indowy śmiech, tak samo zaraźliwy i trudny do powstrzymania, jak u ludzi. – To była najlepsza „zgoda” w wykonaniu człowieka, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Jestem antropologiem – odpowiedział jezuita. – Nigdzie nie jest powiedziane, że „antropo-” musi odnosić się tylko do istot ludzkich. Powinieneś zobaczyć, jak robię darhelskie „zakłopotanie”. To dopiero widok.



**Fort Myer, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 07:10 letniego czasu  
wschodniego USA, 14 września 2004**

– Kac czy nie, zdaje pan raport dziś rano – powiedział kapitan Jackson, kiedy wszedł do ciasnej kwatery Mike’a.

Mike odwrócił się i spojrział na niego jednym okiem. Miał wrażenie, jakby w głowie dudnił mu żelazny tłok.

– Do pańskiej wiadomości: nigdy w życiu nie miewam kaca. A ten ból głowy, który wgniała mnie w kanapę, jest efektem zdenerwowania przed zdaniem raportu. Z pewnością nie wywołała go próba picia równo z oficerami, którzy mają o wiele większe doświadczenie w dziedzinie spożywania mocnych alkoholi.

– A nadwrażliwość na światło i przykry smak w ustach? – zapytał elegancko ubrany adiutant.

Mike zgadywał z dużym prawdopodobieństwem prawdy, że jego mundur nie pochodził z półki w sklepie oficerskim. Podobnie jak uniform Mike’a, był to zapewne produkt Brooks Brothers albo Halberdsa. Materiał był zdecydowanie lepszej niż zazwyczaj jakości, a mundur pasował jak ulał.

– Z tego samego powodu. Na szczęście za około trzy minuty zacznie działać GalMed, który przed chwilą wziąłem, i ból się skończy. Czemu zawdzięczam pańską wizytę, panie kapitanie?

– Właściwie – powiedział z uśmiechem kapitan Jackson – przewyższa mnie pan długością stażu w stopniu kapitana, panie kapitanie.

– To by wyjaśniało pańskie zakłopotane spojrzenie.

– Prawdę mówiąc, takie spojrzenie dostaje się wraz z pozycją adiutanta.

– Nie jest mi obce – skrzywił się Mike. – Byłem kiedyś adiutantem, ale dzięki Bogu krótko i nie pełniłem wszystkich obowiązków.

Byłem specjalistą pracującym dla programu GalTechu i chodziło o to, żeby mnie ukryć.

– Słyszałem też, że walczył pan o to zębami i pazurami.

– To prawda. Pozycja adiutanta wymaga sporych umiejętności dyplomatycznych, a ja, bez urazy, nie potrafię zbyt długo usiedzieć na kanapie.

– W przeciwieństwie do nas, żołnierzyków z West Point? – zapytał złośliwie adiutant. Na jego palcu przez chwilę zaśnił sygnet Akademii.

– Przyznam, że spotkałem tylko jednego miernego absolwenta West Point – wykręcił się Mike.

– Dzięki. – Kapitan zmarszczył czoło. – Chociaż mam niejasne przeczucie, że to nie jest pochwała akademii.

– Pytałem, czemu zawdzięczam pańską wizytę – przypomniał mu Mike.

– Generał przesyła wyrazy ubolewania. Nie będzie mógł spotkać się z panem przed zdaniem raportu, gdyż wypadły mu nagle inne ważne sprawy, ale zobaczy się z panem później.

– Proszę przekazać generałowi, że dziękuję, ale potrafię się odlać bez niczyjej pomocy.

– Widzę, że jest pan dzisiaj w bardzo nieprzyjemnym nastroju – stwierdził adiutant i zaśmiał się nerwowo.

– Tak. Coś jeszcze?

– Wydaje się panu, że ten zasrany medal zwalnia pana z obowiązku przestrzegania elementarnych zasad grzeczności?

– Nie. Byłem zbuntowanym sukinsynem, zanim jeszcze go dostałem. To wszystko?

Twarz kapitana Jacksona zmieniła się na chwilę.

– Nie. Mogę coś jeszcze powiedzieć?

– Słucham.

– Stanie pan dzisiaj przed grupą wysokich rangą oficerów pod przewodnictwem szefa DowArKonu i powie im pan, jak DowArKon – co w praktyce oznacza pana – wyobraża sobie użycie jednostek pancerzy wspomaganych. Jeśli pan umoczy, odbije się to negatywnie na moim szefie. Jednym z moich zadań jest niedopuszczenie do tego, dlatego przyszedłem sprawdzić, czy nadaje się pan do złożenia raportu. W tej chwili najchętniej zadzwoniłbym do generała Hornera i powiedział mu, że jego chłopiec jest zalany jeszcze bardziej niż wczoraj i nie może stanąć przed komisją.

– To byłoby poświadczenie nieprawdy, kapitanie – powiedział niedbale Mike i głośno siorbiąc napił się kawy. – Nie nauczyli was w West Point, że nieładnie jest donosić na kolegów?

– Mamy obowiązek meldowania o... nieodpowiednim zachowaniu. Odwołam prezentację, jeśli uznam, że nie jest pan w stanie odpowiadać kulturalnie na pytania. Proszę mi wierzyć, znam przepisy i wiem, jak się nimi posługiwać. Jeśli generał Horner pana nie odwoła, mogę zwrócić się do kogoś innego.

Mike uśmiechnął się spokojnie. Wyglądał przez chwilę jak budzący się z drzemki tygrys.

– Bardzo dobrze, kapitanie, mam następujące uwagi. Po pierwsze, mam już dosyć biurokratów. To właśnie ci zagrzebani w papierach zasrańcy z tyłów wysłali mnie do maszynki do mięsa na Diess i chcą powtórzyć to tutaj, na Ziemi. Jest pan więc najgorszą osobą, jaką mogli przysłać, żeby podnieść mnie na duchu. Skoro Jack o tym wie, to musi być jakiś test. A ja nie mam nastroju do testów, czego nie omieszkać mu powiedzieć, kiedy tylko go spotkam. Po drugie, będę składał najwyższym dowódcom amerykańskiej obrony narodowej raport na temat użycia jednostek pancerzy wspomaganych.

Jak sądzę, istnieje tylko jedna szansa na dziesięć, że w ogóle zwrócą uwagę na moje słowa, mimo że takie są zalecenia ich przełożonego. Bez wątpienia opracujemy plan strategiczno-logistyczny i jednostki pancerzy wspomaganych zostaną użyte albo jako mięso armatnie, albo ostatnia deska ratunku. W pierwszym przypadku zostaną pozbawione wsparcia artylerii i razem z konwencjonalnymi oddziałami rzucone Posleenom na pożarcie w otwartym polu. Będzie się od nich oczekiwać, że powstrzymają wroga wojska bez wsparcia na flankach i zaplecza logistycznego. W większości przypadków wypstrykają się z zasobów, zostaną otoczone i zniszczone.

Spotka to pewnie ze trzy bataliony w ciągu pierwszego miesiąca starć na wschodnim i zachodnim wybrzeżu. I będzie to całkowicie niezgodne z zalecaną doktryną. W drugim przypadku jednostki pancerzy wspomaganych wyśle się do piekła, gdzie mogą pomóc jedynie wybuchy jądrowe. Znowu będą na nieprzygotowanych pozycjach. Otrzymają rozkaz wytrwania tak długo, jak Spartanie pod Termopilami, a potem spotka je ten sam los. Wynika to również z faktu, że idące za nimi wojska albo będą nieskuteczne, albo boleśnie przecenione. Ten scenariusz będzie się powtarzał przez cały czas trwania inwazji. I znowu będzie to sprzeczne z zalecaną doktryną.

Tymczasem starsi oficerowie będą narzekać, że piechota mobilna marnotrawi fundusze, które przeznaczone na konwencjonalny sprzęt dałyby znacznie lepsze rezultaty. Ci, którzy najwięcej narzekają, będą najbardziej gardłować, kiedy jednostki pancerzy wspomaganych zostaną zniszczone z powodu ich niewłaściwego wykorzystania, i klęska ta będzie argumentem na rzecz słuszności ich wywodów. Oczywiście nikt nawet nie pomyśli o wysłaniu w to samo miejsce wojsk konwencjonalnych. A przez cały ten czas my, czyli jednostki pancerzy wspomaganych, będziemy patrzeć, jak zmniejsza się nasza liczebność na skutek braku posiłków. To będzie jak samobójstwo przy użyciu arszeniku: powolna śmierć w okrutnych męczarniach.

Kapitan Jackson pomyślał chwilę nad tą tyradą oficera Sił Uderzeniowych Floty.

- Ma pan więc okazję zmusić ich, żeby przejrzeni na oczy – powiedział w końcu.
- Kapitanie, czytał pan kiedyś „Kraj Ślepców”?
- Nie.
- Otóż jednooki bynajmniej nie został królem!

**Richmond, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 12:32 letniego czasu wschodniego USA, 19 września 2004**

– Jestem John Keene. – Wysoki, dystyngowany inżynier uścisnął dłoń sierżanta Zielonych Beretów, który przyjechał po niego na lotnisko.

– Sierżant Frank Mueller.

– Mogłem wziąć taksówkę – powiedział inżynier, kiedy szli przez lotnisko w Richmond.

Wokół kręciło się znacznie więcej palących, niż na jakimkolwiek lotnisku. Cały teren portu lotniczego był właściwie strefą dla palących, z wyjątkiem wydzielonych gdzieś pomieszczeń dla niepalących. Inżynier prawie poczuł ochotę na cygaro.

– Nie, nie mógł pan, żadne nie jeżdżą. A poza tym i tak nie byłem zbyt zajęty. Ma pan jakieś bagaże?

Keene wskazał na małą torbę i aktówkę, które trzymał w rękach.

– Jaką rolę pełnią w tym wszystkim Siły Specjalne? – zapytał.

– W projekcie obrony Richmond? – Mueller wziął od Keene’a torbę. – Niewielką. Wirginia ma swoją grupę do zadań specjalnych.

Przysłano nas do wsparcia programu szkoleniowego miejscowej obrony. Ale zajmuje się tym już grupa dwudziesta, więc dopóki nie ogłoszono Programu Fortec głównie siedzieliśmy na dupie, czekając, aż będziemy mogli wrócić do Atlanty. Miejskowy dowódca korpusu znał z dawnych czasów szefa naszego zespołu, więc zrobił nas czymś w rodzaju Generalnego Inspektoratu. Kiedy pojawia się jakiś problem, wysyłają nas, żebyśmy się nim zajęli. Na przykład kiedy trzeba odebrać z lotniska wybitnego specjalistę w dziedzinie inżynierii obronnej umocnień...

– Nie jestem aż takim specjalistą – powiedział skromnie inżynier.

Zanim przypadła mu w udziale praca nad projektem regionalnego centrum obrony północno-zachodniej Georgii, był szanowanym, ale niczym niewyróżniającym się inżynierem budownictwa w Atlancie, dosłownie jednym z tysięcy. Jednak w miarę postępu projektu jego nowatorskie pomysły, sugerujące niemalże konszachty z diabłem, wyniosły go na szczyt hierarchii „inżynierów obrony kontynentalnej”.

– Widziałem raporty centrum obrony planetarnej w Fort Mountain – powiedział Mueller. – Zgłosił pan więcej nowatorskich rozwiązań niż którykolwiek z siedmiu pracujących nad tym zagadnieniem inżynierów. To samo dotyczy Chattanooga. Richmond będzie potrzebować nowatorskich pomysłów, żeby przetrwać.

– Tak samo jak Atlanta, gdzie są teraz moja była żona i córka.

Rozumie pan więc, że wolałbym być tam.

– Wróci pan, i my także. Stacjonujemy właśnie w Atlancie. Ale w Richmond też mamy sprawy do załatwienia.

– W czym tkwi problem? – zapytał Keene i rozejrzał się po lotnisku.

Od razu zauważył, że teren jest płaski, co będzie działać na korzyść Posleenów. Ale, cholera, wszystkie lotniska są takie same.

– Teren albo właściwie brak terenu – powiedział Mueller, jakby czytał w myślach Keene’a. – Kiedy byłem analitykiem topograficznym, nazywaliśmy obszar wokół Richmond, z wyjątkiem rzeki James i kilku wzgórz, mikroterenem. Z wojskowego punktu widzenia jest tu płasko jak na patelni. Nie wiem, czemu w ogóle postanowiono bronić tego miasta.

– Polityka, historia i jego wielkość – odpowiedział inżynier. – Z tych samych powodów wybrano Atlantę, chociaż ma takie same problemy. Cholera, w Atlancie nie ma nawet porządnej rzeki. Posleeni mogą przekroczyć Chattahoochee w dowolnie wybranym miejscu. I co ja mam z tym zrobić? Nie mogę przecież przyprowadzić góry do Mahometa.

– Może się pan rozejrzy i coś wymyśli? – Mueller podszedł do samochodu, starego, białego forda taurusa zaparkowanego pod zakazem parkowania. Rzucił torbę inżyniera na tylne siedzenie, z przedniej szyby zdjął plaketkę z napisem „Agencja Planowania Obrony Richmond, Sprawa Służbowa”, po czym wyjął zza wycieraczki mandat i wrzucił go do schowka na rękawiczki, na stos innych.

– Ma pan dla mnie jeszcze jakieś informacje? – zapytał Keene i uśmiechnął się na widok tego małego przedstawienia.

– Zatrzymamy się w hotelu Crowne Plaza.

– Dobra, niech będzie.

– To nienajgorsze miejsce, z widokiem na rzekę James...

John zerknął na Muellera. Podczas krótkiego spaceru przez lotnisko wyczuł sierżanta i domyślał się, że ten do czegoś zmierza.

– Stosunkowo dobrze dojeżdża się stamtąd do ratusza, gdzie odbędzie się większość spotkań. Najważniejsze, że hotel znajduje się blisko Schockoe Bottom.

– Dlaczego to takie ważne?

Mueller i ruszył samochodem wzdłuż Williamsburg Avenue – Tam jest świetna piwiarnia...

Po raz pierwszy od dawna John serdecznie się roześmiał. Zerknął na prawie pustą ulicę, jakby obawiał się, że ktoś może usłyszeć ten wybuch radości i uznać, że taka wesołość jest nie na miejscu.

– Wam, żołnierzom, musi być łatwiej – stwierdził John.

– Słucham?

– Na pewno jesteście lepiej przygotowani psychicznie na to wszystko, niż cywile.

– O rany, ma pan mylne wyobrażenia. Nie można się przygotować na Posleenów.

– Ale mimo to jest pan w stanie z tego żartować.

– Rzeczywiście, mogę. Jeśli ktoś nie umie się śmiać z umierania, nie nadaje się do wojska. Więc chyba pod tym względem rzeczywiście jesteśmy lepiej przygotowani.

Jechali przez przedmieścia Richmond w stronę ledwie widocznego centrum. Mueller zrezygnował z jazdy przez rozwidlenie przy Government Road i skręcił w ładniejszą trasę, przez Stony Run koło pomnika Konfederacji. Za skrzyżowaniem z Main Street zaczynało się Schockoe Bottom. Po lewej stronie widać było opuszczone fabryki, a po prawej ogromne wzgórze.

– Nie nazwałbym tego mikroterenem. – Keene spojrzał na zalesione Wzgórze Libby, wznoszące się nad doliną rzeki James.

W pierwszym chłodzie jesieni zбочe mieniło się różnymi odcieniami brązu i żółci. – Tu jest o niebo lepiej, niż w Atlancie.

– Może i tak – odpowiedział Mueller – ale miasto nie leży na szczycie wzgórza, jak tam. Niech mnie diabli wezmą, jeśli można to jakoś wykorzystać.

– Może – zamyślił się inżynier – może pana wezmą.

– Ratusz i centrum są tam. – Mueller wskazał na prawo.

Gasnące promienie słońca oświetliły tłumy, które wyległy na ulicę po skończonym dniu pracy. Rozległa się muzyka i żołnierze dwudziestego drugiego pułku kawalerii, ubrani w mundury kamuflujące, ruszyli do tańca z pracownikami biur, tańca starożytnego, zanim jeszcze wymyślono ubrania. Samochód wspinał się lekko w górę, potem skręcił kilka razy w lewo i przeciął

jednokierunkową Cary Street. Kiedy zbliżyli się do hotelu, Keene znowu się rozejrzał.

– Tak, tu zdecydowanie są pewne szanse – szepnął.

Mueller ukrył delikatny, pozbawiony zdziwienia uśmiech.

**Fort Myer, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 16:50 letniego czasu wschodniego USA, 27 września 2004**

– Generale Olds. – O’Neal lekko skinął głową przed zbliżającym się dowódcą pierwszej armii.  
– Mam nadzieję, że podobała się panu konferencja.

Obowiązkowe przyjęcie kończące konferencję wszystkich rodzajów broni było dla dowódców i członków ich sztabu okazją do jeszcze jednego, ostatniego spotkania, na którym mogli omówić wszystkie kwestie pominięte w oficjalnych rozmowach.

W ciągu następnych kilku tygodni łączy komputerowe miały się grać od e-maili; wszyscy będą chcieli zapytać o sprawy, które nagle im się przypomniały, i wprowadzić zmiany w ustalonych planach. Przecież – jak wielokrotnie udowodniło to amerykańskie wojsko – otwarta i pełna komunikacja jest kluczem do skutecznych operacji wojskowych, a dezorientacja najszybszą drogą do klęski.

Dla Mike’a przyjęcie oznaczało jednak jeszcze jedną scysję ze starszymi oficerami, którzy – zdaniem O’Neala – byli idealną ilustracją zasady Petera.\*[\* Zasada głosząca, że pracownik awansuje na coraz wyższe miejsce w hierarchii, aż osiągnie poziom, na którym przestaje być kompetentny. Pracownik pozostaje na tym szczeblu, gdyż z uwagi na brak kompetencji nie zasługuje na dalszy awans.] Pocieszał się tylko, że kiedy spotkanie się skończy, weźmie sobie dwa tygodnie wolnego i pojedzie sprawdzić, jakie złe nawyki Cally przejęła od jego taty.

– O’Neal – powiedział wysoki, szczupły i wysportowany dowódca, kiwając głową w odpowiedzi na pozdrowienie. – Miałem nadzieję, że wyjaśni pan pewną sprawę. O ile się nie mylę, zaproponował pan DowArKonowi dyrektywę zakazującą użycia jednostek pancerzy wspomaganych w sytuacji, kiedy jakiś punkt Programu Fortec albo obrony górskiej padnie.

Mike szybko zastanowił się, czy w tym stwierdzeniu może kryć się jakaś pułapka.

– Tak, generale, zgadza się.

– Nawet, gdyby te jednostki miały pomóc przeżyć broniącym się jeszcze żołnierzom?

– Powtarzam, generale, że taki jest zamysł tej dyrektywy.

– Więc pan albo DowArKon w pana osobie uznajecie batalion pancerzy wspomaganych za równie ważny, jak jednostki uczestniczące w Programie Fortec, odpowiednik korpusu wyszkolonych żołnierzy? Około siedemdziesięciu tysięcy istnień ludzkich wobec sześciuset?

Mike ostrożnie zastanowił się nad odpowiedzią.

– Generale, rozumiem, że nie zgadza się pan z tym...

– Ma pan rację, kapitanie, i wyjaśniłem to, jak sędzę, wystarczająco dobrze generałowi Hornerowi. Nie ma żadnego wojskowego uzasadnienia dla takiego stanowiska, a jeśli Siły Uderzeniowe Floty uważa, że jej jednostki są zbyt dobre, żeby wspierać armię, to zastanawiam się, czy powinniśmy je finansować!

Ziemia daje tylko ułamek funduszy dla Sił Uderzeniowych Floty, generale, pomyślał Mike. Jak na standardy galaktyczne, jesteśmy niemal nędzarzami.

– Sprawa nie polega na braku chęci, generale, ale raczej na po wojskowemu chłodnej logice – stwierdził Mike.

Generała powołano ponownie do służby po jednej z najdłuższych karier wojskowych w dziejach armii Stanów Zjednoczonych; w jakiś sposób jednak udało mu się dojść do obecnego stanowiska nie biorąc udziału w żadnej prawdziwej bitwie. Ponadto pierwszy okres jego służby

w stopniu starszego oficera przypadł na czas redukcji etatów w wojsku, zakończony Monsunowym Gromem, kiedy to fizyczna sprawność i poprawność polityczna liczyły się o wiele bardziej, niż gotowość bojowa jednostki.

Generał brał udział zarówno w Pustynnej Burzy, jak i Monsunowym Gromie, ale tak się jakoś dziwnie złożyło, że nigdy nie wysłano go w strefę działań wojennych. Prawdopodobnie właśnie dlatego był jednym z oficerów, którzy winą za niepowodzenia Monsunowego Gromu obarczali żołnierzy, a nie plan działań i ogólną gotowość armii.

Mike nawet cieszył się na myśl o dniu, w którym generał wreszcie przejmie odpowiedzialność za prawdziwą operację wojskową i stanie w obliczu sytuacji, w której będzie tracił ludzi i teren szybciej, niż zdołają nadejść posiłki. Ale Mike współczuł też żołnierzom, którzy będą musieli unieść ten ciężar. Co ja mówię! To przecież ja jestem takim żołnierzem, pomyślał.

– Pozwoli pan, że zadam panu pytanie, sir.

– Proszę.

– Jestem pewien, że przejrzał pan raporty z Barwhon i Diess, sir.

Zauważył pan, że konwencjonalne wojska, kiedy ryzykują opuszczenie stałych umocnień obronnych niezmiennie ponoszą znaczące straty w ludziach, podczas gdy jednostki pancerzy wspomaganych mogą krążyć po okolicy praktycznie według uznania, a często potrafią stanąć do walki bez większych strat?

– Jestem świadom tego faktu, ale nie zgadzam się z wnioskiem, który pan z tego wyciąga: że jednostki pancerzy wspomaganych należy chronić, bo są jedyną manewrową siłą, która może zaatakować wroga. Poziom strat zależy przede wszystkim od ukształtowania terenu, a nie od taktyki, sprzętu i planów operacyjnych. Powierzchnia zarówno Barwhon, jak i Diess nie nadaje się na pole nowoczesnej, ruchomej bitwy. Bagna na Barwhon uniemożliwiają użycie czołgów, a megawieżowce na Diess użycie artylerii i skuteczne wsparcie logistyczne. W otwartym, a nawet mieszanym terenie, zmechanizowana kawaleria i siły pancerne będą mogły wciągnąć Posleenów w liczne pułapki ogniowe. Oto jak trzeba z nimi walczyć na równinach! Wszyscy mówią, że stracimy równiny, ale to bzdury! Kiedy tylko Posleeni znajdą się na równinach, na otwartym terenie, nasze kolumny wojsk pancernych i artyleria zjedzą ich żywcem. Program Fortec należałoby nazwać „Maginot Dwa Tysiące”. Nie sięgajmy po strategię, z którą z łatwością poradzili sobie żołnierze Wehrmachtu! Najwyraźniej nie wszyscy znają podstawowe fakty z historii wojskowości. A co do pancerzy: jedna dziesiąta wydatków na te puszki wystarczyłaby na zakup tysiąca wozów bojowych. Wyraziłem już swoją profesjonalną opinię na temat skuteczności konwencjonalnego sprzętu w zbliżającym się konflikcie.

Szczerze wątpię, żeby jeden batalion pancerzy wspomaganych był wart tyle samo, co pięć cholernych dywizji wyszkolonej i zaopatrzonej w sprzęt zmechanizowanej piechoty. Szczerze w to wątpię.

Pod koniec swojej tyrazy generał aż się zapienił.

– Cóż, generale... – powiedział Mike i urwał.

Doszedł do wniosku, że w żaden sposób nie może już bardziej zdenerwować tego oficera. Było oczywiste, że należy do tych, którzy odrzucają koncepcję Programu Fortec i GalTechu. Na szczęście Mike nie podlegał mu w hierarchii dowódczej, więc mógł zrobić wszystko, oprócz strzelenia tego nadętego palanta w nos, i nie ponieść za to żadnych konsekwencji.

– Cóż, generale – podjął – to pańska osobista opinia... a zna pan to powiedzenie o opiniach. – Uśmiechnął się zimno i odczekał, żeby obelga zdążyła dotrzeć do adresata. – Obawiam się, że jeszcze przed pierwszą inwazją obaj będziemy mieli wiele możliwości weryfikacji naszych



poglądów. Żywię głęboką nadzieję, że to pan ma rację; ogromnie ułatwiłoby mi to zadanie. A teraz wybaczy pan, ale spieszę się na samolot. Poruszono niebo i ziemię, żebym mógł spędzić tydzień z rodziną. A ja chciałbym mieć zarówno ziemię, jak i niebo po swojej stronie.

## **Big Pine Key, Floryda, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 14:22 letniego czasu wschodniego USA, 4 października 2004**

Florida Keys były krainą rodem ze Strefy Cienia.

Ostatnim razem, kiedy Mike jechał o pierwszej w nocy drogą krajową numer jeden – długim pasem asfaltu i betonu, który łączył paciorki wysepek jak nić w koralowym naszyjniku – ruch nadal był duży mimo późnej pory. Mike korzystał wtedy z wiosennej przerwy w nauce. Na drodze tłoczyły się trąbiące samochody i ciężarówki z odkrytymi przyczepami, a od Key Largo do Key West ludzie tłumnie oblegali sklepy i restauracje.

Mike patrzył, jak zbłąkany postrzępiony liść palmy przetacza się przez parking Piggly Wiggly, i myślał o tym, że świat znalazł się na zakręcie. Pasaż handlowy na Big Pine Key nigdy nie tętnił życiem, ale wysepki na północ stąd, gdzie kiedyś roiło się od wypoczywających emerytów i studentów, były teraz tak samo opuszczone. O’Nealowie jechali coraz dalej na południe w poszukiwaniu motelu albo chociaż stacji benzynowej. Zamiast tego przez całą drogę oglądali tylko zamknięte sklepy, opuszczone zakłady i dziczejące rezydencje. Po przekroczeniu Seven Mile Bridge wjechali do miasta duchów.

Cała wycieczka okazała się katastrofą. Szczególnie nieudana była wizyta u rodziców Sharon. Pomimo tego, że Mike zmierzył się z Posleenami w otwartej walce, o czym świadczyły jego blizny, rodzice Sharon odnosili się do jego opowieści z niedowierzaniem, które podzielała duża część społeczeństwa. W głębi serca święcie wierzyli, że zagrożenie jest wymysłem „rządu federalnego”, i nie pozostawiali żadnych wątpliwości co do swojego stanowiska.

Dla nich i im podobnych ziemia była płaska, słońce kręciło się dookoła niej, a inne światy nie istniały. Socjologowie nazywali to „społecznym wyparciem”. Kiedy teść Mike’a po raz trzeci ostrożnie, ale jasno zaprzeczył istnieniu Posleenów, Mike nazwał go kretynem.

Wreszcie Sharon skróciła wizytę i pojechali w kierunku wysepek Key. Miejsce to miało dla nich szczególne znaczenie. Spędzali tu krótkie wakacje w szkolnych czasach i wtedy właśnie po raz pierwszy coś do siebie poczuli. Kiedy los pozwolił im się później spotkać, ich wzajemna sympatia szybko rozkwitła, czego efektem były Michelle i Cally.

Teraz, kiedy pojawiła się możliwość wspólnego wyjazdu, od razu pomyśleli o Keys. Pokusa czterogwiazdkowych hoteli, basenów i nurkowania była nieodparta. Mike wiedział, że Cally bardzo się tu spodoba; będą inne dzieci, z którymi będzie się mogła pobawić, i czyste, zielone morze, w którym będzie mogła pływać. Do pełni szczęścia brakowało im tylko obecności Michelle. Ale on była przynajmniej bezpieczna w podróży na Adenast. Cokolwiek stanie się na Ziemi, przynajmniej jeden członek ich rodziny przeżyje.

Ale wakacje zdawały się właśnie dogorywać. Przejechali przez opuszczone wysepki, na próżno wypatrując noclegu. Albo chociaż stacji benzynowej, żeby zatankować samochód. Chewolettahoe sporo palił.

Mike wziął ze sobą narzędzia potrzebne do tankowania ze zbiorników w bazach wojskowych, ale bak nie miał dużej pojemności.

Nabrali paliwa w Fort Worth, na pomoc od Miami, i teraz nie mieli go dość, żeby dojechać do Key West, gdzie – Mike był pewien – mogliby zatankować w reaktywowanej bazie marynarki wojennej. Gdyby zawrócili, udałoby im się dotrzeć do Miami, ale to oznaczałoby koniec ich wycieczki.

Mike rzucił na podłogę bezużyteczną mapę i spojrzął na żonę.

Pomimo trudów wakacji wyglądała jak gwiazda niskobudżetowego filmu katastroficznego. Włosy miała w lekkim nieładzie, oczy lekko zasmucone, a twarz gładką i poważną. Sharon prawie nie opowiadała o swojej pracy we Flocie, ale Mike czuł, że nie ma tam lekko. Niepokoiło go to. Odchrząknął.

– Możemy zaryzykować i jechać dalej albo wracać.

Sharon kiwnęła głową i kolejny raz rozejrzała się po okolicy.

Krajobraz raczej nie zaskakiwał. Był to jeden z „szarych, prażących dni”, które na Florydzie od czasu do czasu się zdarzały. Zimny front przesunął się na północ, ale na niebie pozostały gęste chmury, zasłaniające słońce, lecz nie chroniące przed jego żarem. Efektem tego było rażące, rozproszone światło i suchy wiatr. Zupełnie jak w Kansas, tyle że tu rosły palmy i szumiał zielony ocean.

Sceneria pasowała do pogody. Pasaż składał się z typowe dla takiego miejsca lokali: sklepu spożywczego, kiosku z artykułami żelaznymi, zakładu medycyny niekonwencjonalnej i salonu fryzjerskiego. Urozmaiceniem w tym przypadku była nieduża restauracja, specjalizująca się w „kuchni Keys”. Obwieszczal to szyld, który teraz huśtał się w podmuchach suchego, gorącego wiatru.

Sharon spojrzała na ten sam liść palmy, który przyciągnął wcześniej uwagę Mike’a, i parsknęła śmiechem.

– Nie wygląda to dobrze, co? – zapytała.

Mike bez końca opowiadał jej o swojej kompanii. Chwalił podkomendnych, dowództwo i szkolenie. Co znaczyło, że jego sytuacja jest tak samo parszywa, jak jej. Wiedziała, że powinna z nim o tym porozmawiać; mógłby jej jakoś pomóc, bo przecież służył w Siłach Uderzeniowych o kilka lat dłużej. Ale to by zabrzmiało jak narzekanie, a Sharon nie chciała jeszcze pogarszać nastroju.

Wycieczka i bez tego zaczynała się jawić jako zupełna katastrofa.

Wizyta u jej rodziców w Orlando była nieprzyjemna z kilku powodów. Nie tylko dlatego, że denerwująco irracjonalnie upierali się przy swoich poglądach na kwestię Posleenów. Cally zwykle chadzała tam do parków rozrywki. Teraz wszystkie były zamknięte aż do odwołania. Dziewczynka dobrze to zniosła; pod wpływem dziadka wykształciła w sobie aż niezdrową umiejętność samokontroli i samoograniczania. Ale niemożność zaprowadzenia córki w jej ulubione miejsca sprawiała ból rodzicom. Wycieczka na wysepki znaczyła dla niej równie dużo, co dla Sharon i Mike’a.

A teraz to też stało pod znakiem zapytania. Największa naturalna pułapka na turystów wydawała się również „zamknięta do odwołania”. Alternatyw jakoś nie było widać.

– Musi tu być jakiś motel – powiedziała Sharon i wzięła do ręki inteligentny przekąznik.

– Sprawdziliśmy już strony internetowe – przypomniał jej Mike.

Galaksjańskie przekązniki obdarzone sztuczną inteligencją miały dostęp do sieci i potrafiły równie dobrze – albo nawet lepiej – co jakikolwiek interfejs stworzony przez człowieka wyszukiwać informacje. Ale nie umiały wyczarować im na zawołanie schronienia.

– Cholera, nie widzieliśmy tu żywej duszy, oprócz tej jednej kobiety pracującej w swoim ogrodzie na Largo. – Mike żałował teraz, że nie zapytali jej o drogę, ale wtedy nie mieli powodu się zatrzymywać.

– Przekąznik? – zagadnęła po chwili Sharon.

– Tak, komandor O’Neal?

Mike z rozbawieniem zauważył, że przekaźnik mówi barytonem.

Większość mężczyzn wolała kobiece głosy; kobiety najwyraźniej wybierały głosy męskie.

– Nie ma stron internetowych moteli w rejonie Marathon i Big Pine Key – stwierdziła Sharon. –

Czy to prawda?

– Zgadza się, ma'am. Były takie strony, ale teraz są nieaktywne albo podają, że dany hotel jest zamknięty. Najbliższy czynny hotel jest na Key West.

Sharon zamyśliła się na chwilę.

– Przekaznik, czy mogę skorzystać z jakichś innych źródeł informacji o oferowanych usługach noclegowych?

– Proszę uściślić źródła, ma'am. – Przekaznik wydawał się zdezorientowany.

– Och, raporty policyjne, artykuły w prasie...

– Zdjęcia satelitarne w podczerwieni – wtrącił Mike.

– Właśnie – kiwnęła głową Sharon. – Takie rzeczy.

– Komandor O'Neal, przypominam, że nie ma pani uprawnień do otwarcia zbiorów wywiadu cywilno-politycznego – stwierdził przekaznik.

Mike rozpoznał odpowiedź protokołu bezpieczeństwa.

Uśmiechnął się.

– Przekaznik, sprawdź moje uprawnienia i użyj najniższego poziomu tajności danych, żeby uzyskać wymagane informacje.

Przekaznik może nie prychnął z pogardą, ale był wyraźnie niezadowolony.

– Narodowa Agencja Techniczna – powiedział z sarkazmem – stwierdza, że na No-Name-Key jest mały obóz rybacki. Nic nie wskazuje na to, żeby ktoś korzystał w tej chwili z domków, ale kiedyś można było je wynająć. Powinny być wolne.

Mike popatrzył na mapę i znalazł No-Name-Key.

– To tuż obok – powiedział zaskoczony.

– Zgadza się – potwierdził przekaznik. – Dodatkowo mam informację, że właściciel zaniża w zeznaniach ilość złowionych ryb o około dwadzieścia procent, co stanowi pogwałcenie przepisów o podziale i magazynowaniu żywności Stanów Zjednoczonych F-S-B Jeden-Zero-Siedem-Pięć-Osiem-Kreska-Jeden-A.

Mike podrapał się w podbródek i zmarszczył czoło.

– To twoja własna analiza czy wyciągnąłeś to z akt?

– To moja własna analiza, kapitanie O'Neal – stwierdził przekaznik.

– Dobra, zablokuj ją dla wszystkich z dostępem do danych mniejszym od mojego i przypomnij mi w odpowiednim czasie, żebym przedyskutował z tobą sprawę źródeł informacji – rzucił Mike.

Niech go diabli wezmą, jeśli pozwoli kawałkowi galaksjańskiego złomu narobić kłopotów jakiemuś ciężko pracującemu rybakowi.

– Tak jest, panie kapitanie – rzucił w odpowiedzi przekaznik.

– No to wszystko jasne – powiedziała z uśmiechem Sharon.

– Mamo? – zapytała Cally z tylnego siedzenia.

– Tak?

– Myślisz, że będziemy mogli dostać coś do jedzenia?

Nie narzekała; to było zwykłe pytanie.

Sharon obróciła się i spojrzała na córkę. Cally patrzyła przez okno na opustoszały krajobraz i w zamyśleniu stukała palcami w kolano.

Jej twarz była poważna, ale oczy nieustannie penetrowały okolicę.

W poszukiwaniu zagrożenia albo celów, zrozumiała nagle Sharon.

Lekka bluza ośmiolatki podwinęła się i odsłoniła wciśnięty za pasek mały automatyczny pistolet. Sharon chciało się płakać. Czuli się, jakby czekająca Amerykę katastrofa już się zaczęła, a oni byli wędrowcami w jakimś postapokaliptycznym koszmarze. Sharon wzięła głęboki oddech i spróbowała się uspokoić. Winę za jej reakcję ponosił stres służby na Agincourt i fatalnie zakończona wizyta u rodziców. To minie. Musi minąć.

– Pewnie tak. Musi być jakieś miejsce, gdzie można coś dostać.

A jeśli nie, mamy przecież „racje podróżne” – powiedziała z uśmiechem. Podróżne racje żywnościowe zaproponował im Dziadek O’Neal, i był to dobry pomysł.

Dziadek O’Neal bardzo uważnie śledził rozwój sytuacji w Stanach Zjednoczonych. Zaprotestował, kiedy stwierdzili, że planują podróż na południe Florydy. Mieli wprawdzie dostęp do nieograniczonych zasobów paliwa dzięki narzędziom Mike’a, ale dziadek O’Neal wskazywał na inne problemy. Wspominając o jakichś bliżej niesprecyzowanych raportach na temat braku jakichkolwiek usług na południu Florydy zasugerował, że najlepszym rozwiązaniem byłoby pozostanie na jego farmie. Ponieważ Sharon i Mike mimo to upierali się przy pomysle wyjazdu, zmusił ich do zabrania ze sobą paru rzeczy. Ulegli, dochodząc do wniosku, że nic ich to nie kosztuje.

Dlatego obok koła zapasowego w bagażniku znajdował się teraz pięciogalonowy kanister benzyny i łopata, a także trzy skrzynki piwa i dwie różnych innych napojów. Oprócz tego wędzone i marynowane mięso, zapieczętowane pojemniki z mąką, pieczywo i suszone owoce. Gdyby wylądowali na bezludnej wyspie, mogliby żyć wygodnie przez miesiąc.

Oprócz jedzenia i napojów, dziadek O’Neal stanowczo doradzał zapakowanie „przedmiotów na handel”. Już sama myśl o wożeniu haczyków, nylonowych żyłek, spławików i przynęt na Keys była nedorzeczna. Rozglądając się po okolicy Mike po raz kolejny pobłogosławił teraz w myślach zapobiegliwość ojca. Stary spędził wiele lat w najgorszym piekle Trzeciego Świata, a wyglądało na to, że Keys podpada teraz pod tę kategorię. Nawet gdyby nikt nie chciał przyjąć kredytów federacyjnych jako zapłaty za zakwaterowanie i wyżywienie, Mike mógł założyć się o każde pieniądze, że komplet sześciu haczyków numer dwa otworzy im wszystkie drzwi.

– No dobrze, sprawdźmy to – powiedział, wrzucając bieg. Specjalnie rozjechał ciskany wiatrem liść palmy, chcąc dać odpór wywołanej ponurą okolicą depresji. Kiedy skręcili w prowadzącą do No-Name-Key boczną uliczkę, wiatr porwał kawałki zgniecionego liścia i rozwiął je na drodze. Potem zagwizdał w opuszczonych budynkach i stał ślady opon, które samochód pozostawił na wysypanym piaskiem parkingu.

**Fort Indiantown Gap, Pensylwania, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 14:00 letniego czasu wschodniego USA, 2 października 2004**

– Teri, masz wreszcie przestać rywalizować z podoficerami.

Ten Nightingale westchnęła ciężko, kiedy silne, pokryte oliwą palce Erniego Pappasa masowały napięte mięśnie jej pleców. Jego kciuki zataczały kręgi po obu stronach jej kręgosłupa, wygniatając z niej nagromadzony w ciągu całego dnia stres. Uwaga sierżanta sprawiła, że spróbowały się napiąć, ale porucznik opanowała się siłą woli. Nie warto było się złościć; sierżant miał rację.

– Wiem – powiedziała, wzdychając jeszcze raz. – Wiem. Ale byłam tak cholernie wściekła na Stewarta, że nie mogłam się powstrzymać.

– No i dostałaś po dupie – powiedział Pappas z brutalną szczerością. – Ale za to bardzo ładnej – dodał i klepnął Teri w pośladek.

Mały przydrożny hotelik tuż za Hummelstown był najbardziej oddalonym miejscem, do jakiego kochankowie mogli dotrzeć po pracy w bazie. Pappas był pewien, że niektórzy członkowie kompanii coś podejrzejają.

Stary zostawił listę zadań do przećwiczenia pod jego nieobecność – zadań, w których według niego jednostka nie była zbyt mocna. Kiedy wcześniej tego samego dnia ćwiczyli manewr okrążenia wojsk nieprzyjaciela, cały scenariusz się posypał. Posleeni zaatakowali bardziej zajadle niż zwykle i wykorzystali lukę między pierwszym a trzecim plutonem, okrążając kompanię.

Podczas późniejszej analizy akcji Stewart nieostrożnie zauważył, że właściwe użycie rezerwy mogłoby zlikwidować tę lukę i uratować cały manewr. Ponieśliby może więcej strat, niż przewidywała norma, ale ich sytuacja byłaby znacznie lepsza niż obecnie; uniknęliby totalnej klęski.

Była to rzucona w dobrej wierze uwaga młodego człowieka, który szybko stawał się wspaniałym taktykiem. Szkolenie wojskowe wyniosło jego talent na wyżyny geniuszu. Stewart wymienił też cztery inne proste rozwiązania, które mogłyby uratować tyłek kompanii.

Na sto procent wymyślił je w ogniu walki, a nie dopiero później, kiedy wszystko jeszcze raz dokładnie omawiano podczas musztry.

Starał się tylko pomóc, ale Nightingale, drugi oficer kompanii, odebrała to jako bezpośredni atak na siebie i odpowiedziała na niego bardzo ostro.

Kiedy zdesperowana porucznik – w obecności większości dowódców kompanii – skończyła opisywać, co sądzi o uwagach Stewarta, dodała kilka słów komentarza na temat jego pochodzenia – przypuszczalnie trafniejszych, niż sądziła – wykształcenia i prawdopodobnej przyszłości. Zanim zdała sobie sprawę z tego, co mówi, było już za późno.

Młody podoficer wstał i z kamienną twarzą bez słowa opuścił pokój. Nawet nie poprosił o pozwolenie odejścia, co było naruszeniem regulaminu wojskowego. Nikt jednak nie proponował, żeby został. Nikt też nie chciał, żeby go ukarano.

Komentarz Pappasa był bardzo zwięzły, treściwy i trafiał w sedno: „Poruczniku Nightingale, z całym należnym szacunkiem, postąpiła pani głupio”.

Rozmowa na temat sposobu naprawienia błędu skończyła się, podobnie jak w wielu innych przypadkach, w łóżku. Bieg wypadków zaskoczył ich oboje. Kiedy Nightingale po raz pierwszy położyła rękę na szyi Pappasa i z wahaniem przyciągnęła go ku sobie, sześćdziesięcioletni mózg Samończyka zalały hormony jego odmłodzonego, dwudziestoletniego ciała. Przez całe życie pozostawał wierny swojej żonie, dlatego obecna sytuacja była dla niego bardzo trudna. Dla

Nightingale natomiast połączenie prawie pięćdziesięcioletniego doświadczenia seksualnego i dwudziestoletniego ciała stanowiło ogromnie przyjemną niespodzianką. Pappas nie tylko znalazł najdziwniejsze sztuczki, ale miał także odpowiednią kondycję, żeby je zademonstrować.

Przesunął teraz palcem po jej wspaniałych plecach, po czym obrócił ją na plecy i przyciągnął ku sobie.

– Musisz się z tym uporać albo Stary zrobi z ciebie po powrocie makaron.

Delikatnie pieścił wewnętrzną stronę jej uda. Teri z sykiem wciągnęła powietrze i wygięła się w łuk.

– Wiem – powiedziała i sapnęła cicho. – Ale nie mogę sobie poradzić z...

Ucichła i zaczęła szybko wciągać powietrze przez nos. Jej nozdrza cudownie się rozszerzały i zwężały.

– Z...? – zapytał Pappas.

– Z... aaach... – jęknęła, kiedy przesunął dłoń delikatnie w bok.

Przestała próbować coś powiedzieć.

– Słuchasz mnie? – spytał.

Podciągnął się lekko do przodu. Dokowanie było szybkie i bezbłędne.

– Ummm – zamruczała. – Oczywiście.

Objęła go nogami.

– Przestań walczyć ze Stewartem i słuchaj go. Jest najlepszy z całej kompanii, oczywiście oprócz naszego staruszka.

– Dobrze – jęknęła, zaczynając kołysać się w przód i w tył.

– Mówię poważnie. – Pappas sapnął cicho, kiedy zacisnęły się dobrze wyćwiczone mięśnie.

Teraz to ona miała przewagę.

– Wynagrodzę to temu szczerowi – powiedziała Teri i popchnęła jego ramię, żeby przewrócić go na plecy. Potem wplotła palce w jego krótkie i gęste czarne włosy.

– Teraz uważaj.

\* \* \*

Duncan otworzył nożem bojowym nieoznakowaną butelkę piwa i bez słowa wręczył ją Stewartowi. Młodszy podoficer wpatrywał się bezmyślnie w ścianę małego pomieszczenia. Wypił łyk i dopiero potem przyjrzał się butelce.

– Cholera. – Podniósł wzrok na nowo przybyłego plutonowego.

– A już myślałem, że to tylko ja jestem bezczelny i kradnę browar naszego staruszka.

Coraz trudniej teraz było dostać piwo. Jęczmień i chmiel były rozdzielane według specjalnego przydziału. Łatwy dostęp dowódcy do tych zapasów był ściśle strzeżonym sekretem kompanii.

– Zrozumiałby – Duncan wyciągnął paczkę czerwonych marlboro i zapalił papierosa. – To dobry człowiek.

Zaciągnął się głęboko i wydmuchnął dym w kierunku sufitu.

– W odróżnieniu od niektórych nadętych dziwek, których tu nie wymienię – warknął młodszy podoficer i zacisnął obydwie pięści.

Dygotał z gniewu.

– Z których jedna właśnie daje dupy naszemu starszemu sierżantowi – zauważył Duncan z drwiącym uśmiechem.

Stewart potrząsnął głową.

– Nigdy nie przypuszczałem, że dożyję tego dnia.

– No, gość jest przystojny... – powiedział Duncan.

– Nie o to chodzi – przerwał mu Stewart i skrzywił się. – Mam na myśli, że sierżant pieprzy się z nią, a zawsze, cholera, był takim świętoszkiem!

Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że drugi podoficer się z niego nabija.

– No... – zamyślił się Duncan i wydmuchnął kolejną porcję dymu – Ja też nie wyrzuciłbym jej z łóżka.

– Ani ja. Trzeba przyznać. Cycki niczego sobie. Pierwsza klasa.

– Więc jak to jest – zapytał z uśmiechem Duncan – jesteś zły na sierżanta Pappasa za to, że pieprzy się z twoim Wrogiem Publicznym Numer Jeden, czy za to, że jemu dają, a tobie nie?

– Kto mówi, że mi nie dają? – najeżył się Stewart.

– Wiem, że Nightingale ci nie daje, chociaż to, jak się zrecie...

– Pieprz się – przerwał mu Stewart, powstrzymując śmiech.

– A Arnold przygwoździł już porucznik Slight, więc ona też odpada.

– No nie! – wykrzyknął Stewart i znowu się roześmiał. – Jezu!

Arnold i Slight? Jesteś pewien?

– Cóż, może on jej tylko demonstrował usta-usta...

– O, w życiu – zaśmiał się Stewart. Wreszcie odprężył się po kłótni z drugim oficerem kompanii. – A kiedy ty i sierżant Boggle zaczniecie robić świństwa?

Twarz Duncana przybrała wyraz najgłębszego smutku.

– Obawiam się, że nigdy. – Położył rękę na piersi w geście udawanej rozpacz. – Wydaje mi się, że sierżant Boggle wzdycha do porucznika Fallona!

Stewart zarechotał tak głośno, że z nosa pociekło mu piwo. Zakrztusił się. Bitwy między dowódcą drugiego plutonu a jego sierżantem były tak samo słynne, jak utarczki Stewarta z Nightingale.

Obraz Boggle Bogdanowicz i absolwenta West Point, splecionych w miłosnym uścisku, był tak samo nieprawdopodobny jak... pierwszego oficera i sierżanta Pappasa.

– Jezu – sapnął, kiedy wreszcie przestał się śmiać. – Nie myślisz chyba...

– No, jeszcze nie. – Duncan pochylił się do przodu, żeby zabrać mu piwo. – Skoro chcesz je marnować, wydmuchując przez nos...

– A więc – powiedział Stewart i stał piwo z krzesła – czyje nogi chciałbyś zarzucić sobie na ramiona?

– No, nie wiem. – Duncan oddał butelkę i zaczął czekać, aż Stewart znów się napije. – Myślałem o... Summerhour'rze.

Fontanna piwa znowu trysnęła na pokój. Summerhour był ponad dwumetrowym, niezbyt byстрыm i brzydkim mężczyzną, szeregowcem z sekcji ciężkiej broni. Stewart był pewien, że Duncan jest hetero, więc nie mógł wybrać nikogo gorszego.

Wytarł piwo, a potem zapłakane od śmiechu oczy.

– Myślisz, że staruszek wie? – zapytał trzeźwo.

Duncan pokręcił głową.

– Wszyscy myślą, że jestem jakimś ekspertem od kapitana O'Neala. A ja spędziłem z nim tylko kilka dni. Wy trenujecie z nim od ponad roku. Sam sobie odpowiedz.

Stewart się zastanowił.

– Pewnie tak. Nigdy nie widziałem, żeby coś go zaskoczyło.

– A ja widziałem – przyznał Duncan. – Ale tylko wtedy, kiedy wróg spieprzy mu cały plan bitwy. Wtedy się wścieka. Strasznie. – Pokręcił głową i wypił piwo do ostatniej kropli. – Nie



chciałbyś go widzieć, kiedy jest wściekły.

**No-Name-Key, Floryda, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 14:40 letniego czasu  
wschodniego USA, 2 października 2004**

Mike usilnie starał się zachować spokój.

– Sir, rozumiem, że nie prowadzi pan już hotelu. Mogę nawet zrozumieć, że nie lubi pan turystów. Ale mam ze sobą żonę i córkę i musimy gdzieś przenocować.

Mężczyzna za ladą miał pięćdziesiąt parę lat; długie, siwiejące włosy spiął w kucyk. Patrząc z góry na niskiego, potężnie zbudowanego żołnierza i z niesmakiem marszczył nos.

– Słuchaj, koleś, masz rację. Nie prowadzę już hotelu. Nie ma już turystów. Jakim cudem, do diabła, ty jeszcze się tu kręcisz, kiedy cała reszta siedzi w bazach wojskowych?

Mike załamał ręce.

– Skorzystałem ze wszystkich możliwych kruczków prawnych. To chciał pan usłyszeć?

W rzeczywistości to za jego plecami skorzystano ze wszystkich kruczków prawnych.

Twarz właściciela zmieniła się.

– Słuchaj...

– Harry – powiedziała jakaś kobieta z mieszczącego się z tyłu biura – uspokój się.

Obóz rybacki No-Name-Key składał się z ośmiu starych, drewnianych, wypłowiałych na słońcu bungalowów, przystani na kilku chwiejnych palach, zupełnie nowej trzydziestometrowej chłodni z pustaków oraz recepcji – jednopiętrowego drewnianego budynku tuż przy małym porcie. Wewnątrz pierścienia budynków znajdował się mały parking w kształcie muszli ostrygi. Stały tam pojazdy najprzeróżniejszych typów, głównie ciężarówki z odkrytą przyczepą.

Ich maski pokrywały grubą warstwą kurzu i liście palm. Gdzieś zza chłodni dobiegał warkot starego dieslowskiego generatora, a silny południowo-zachodni wiatr przynosił ciężki odór ryb i gnijących glonów.

Recepcja pełniła zarazem rolę sklepiku. W przedniej części znajdowały się artykuły spożywcze, z tyłu trzymano sprzęt wędkarski i żywe przynęty. Z jednej strony lady stała kasa sklepowa i lodówka. Po drugiej stronie znajdowały się drzwi z szyldem „Wstęp wzbroniony”. To właśnie zza tych drzwi dobiegał kobiecy głos.

Obie części sklepu świeciły pustkami. Wszystkie pojemniki na przynęty były puste, tak samo jak półki i stojaki na sprzęt. Podobnie było w części spożywczej. Stało tam tylko kilka słoików masła orzechowego i parę litrowych słoików na sprzedaż. Chociaż sklep był pusty, najwyraźniej nadal o niego dbano. Regały obłożono folią, żeby nie paskudziły ich muchy, a podłogę niedawno umyto.

Mężczyzna stojący przy staroświeckiej kasie sklepowej przewrócił tylko oczami i wyjrzał przez okno, a do pomieszczenia weszła kobieta. Była po czterdziestce i przypominała O’Nealowi sierżant Bogdanowicz. Miała długie blond włosy, spięte w opadający na plecy kucyk; nosiła podniszczone spodnie i wiejską bluzkę. Miała też najciemniejszą opaleniznę, jaką Mike kiedykolwiek widział. Na jej twarzy gościł uśmiech.

– Proszę wybaczyć mojemu mężowi. – Wślizgnęła się za ladę i bezceremonialnym szturchnięciem biodrem odepchnęła małżonka. – To świetny materiał na pustelnika.

– Przepraszam, że się narzucam... – zaczął Mike.

– Wcale się pan nie narzuca – odpowiedziała uśmiechnięta właścicielka. – Harry miał na myśli, że prawie niczego już nie mamy. A co do stanu kwater...

– To ruina – parsknął Harry. – Od roku nie mieliśmy żadnego gościa. Tylko w jednym domu dach nie przecieka. – Zamyślił się. – No, może w dwóch.

– I właśnie te oferujemy – stwierdziła właścicielka z uśmiechem.

– Zużyliśmy większość pościeli! – zaprotestował Harry.

– A więc będziemy improwizować.

– Nie ma prądu! – zagrział właściciel.

– Jest generator – uśmiechnęła się blondynka.

– Jest potrzebny do lodu!

– Ci państwo to nasi goście!

– Nie mamy paliwa dla gości!

– Coś się wymyśli.

– Nie ma jedzenia!

– Bzdury. Mamy ryby, homara, kraba... – Zwróciła się do Mike, który z rozbawieniem obserwował tę rodzinną kłótnię. – Nikt z pańskiej rodziny nie jest uczulony na skorupiaki?

– Nie. – Mike zaśmiał się. – Pozwólcie państwo, że coś powiem.

Po pierwsze, nie potrzebujemy prądu. Jesteśmy przygotowani na to, żeby obozować pod namiotem, więc mamy latarki. Po drugie, mamy własne śpiwory, więc nie potrzebujemy pościeli. Jakikolwiek łóżko jest lepsze niż podłoga, a dach nad głową jest lepszy od namiotu.

Chcemy spędzić kilka dni na Florida Keys i może trochę ponurkować i połowić ryby.

Mike zwrócił się teraz do właściciela, który sprawiał wrażenie, że chce zaprotestować.

– Chciałbym wyjaśnić kilka spraw. Otóż możemy zapłacić, i to dobrze. Jeśli nie przyjmuje pan kredytów federacyjnych, przywieźliśmy sprzęt, którego podobno tu brakuje. Zauważyłem, że ma pan puste półki, a ja mam pięćdziesięć – i dwudziestopięcioletni zwój włókna nylonowego, splotki i przynęty, pięć masek do nurkowania i dwa opakowania haczyków.

Usta właściciela powoli otwierały się ze zdziwienia. Mike kontynuował.

– Mamy też „racje żywnościowe”, więc doskonale sobie poradzimy.

Przeniósł wzrok na właścicielkę. Para wymieniła spojrzenia, a Harry wzruszył ramionami.

– Witamy w obozie rybackim No-Name-Key – powiedziała z uśmiechem właścicielka.

O’Neal odwzajemnił uśmiech.

– Proszę mi mówić Mike.

Domek był mały, stary i cuchnął pleśnią; na Florida Keys był to zapach powszechny tak samo, jak komary. Kiedy otworzyli drzwi, kameleon przerwał pościg za jakimś mrówkopodobnym owadem.

Domek był wyposażony w dwa łóżka dla dorosłych i dostawkę dla Cally. Całość podzielono na dwie części: od strony parkingu znajdowały się pokój dzienny, kuchnia i jadalnia, a z tyłu, bliżej zatoczki, mieściły się sypialnia i łazienka.

Meble najwyraźniej pochodziły z lat sześćdziesiątych. Popękane krzesła, oświetlone teraz gasnącymi promieniami słońca, wykonano ze stalowych rurek i obito plastikiem. Błaty stołów i podłoga były pokryte tak zniszczonym linoleum, że trudno było rozpoznać pokrywające je wzory. Mike zerknął na niefunkcjonalną kuchenkę, telewizor i lodówkę. W oknie sypialni po klimatyzacji pozostały tylko ślady, na szczęście jednak pod rozłożystymi palmami i dębami wiał stosunkowo chłodny wiatr. Mieli bieżącą wodę, ale właścicielka – Karen – zaznaczyła, że obowiązuje jej ścisłe dozowanie i raczej nie należy jej pić. Na miejscu dostępna była niewielka ilość importowanej wody mineralnej w butelkach, ale główne źródło wody pitnej stanowił destylator przy chłodni.

Chłodnia okazała się centrum życia miejscowej społeczności, o czym Mike przekonał się, kiedy opuścił kwaterę o zmierzchu.

Uciekając przed chmurą komarów, szybko popędził przez parking do grupki ludzi zebranych na osłoniętej werandzie. Okazało się, że właśnie oporzadzają swój całodzienny połów.

Gdyby nie czapki baseballówki, jarząca się żarówka latarni i ich współczesne ubrania, scena mogłaby pochodzić z dowolnej epoki ostatniego tysiąclecia. Mężczyźni i kobiety stojący przy stołach rozmawiali i śmiali się, pracując przy swoim morskim żniwie.

Jak rozróżniali swój połów, pozostawało tajemnicą. Na jednym wspólnym stole leżały kauczukowe worki. Wyciągano z nich ryby, niektóre jeszcze żywe, i przesuwno je po stole do wolnego w danej chwili członka grupy, który patroszył je filetował.

Szybkość i sprawność pracy rybaków zrobiła na Mike'u ogromne wrażenie. Ich metoda patroszenia różniła się od tej, do której był przyzwyczajony. On zwykle wkładał nóż w odbyt ryby i ciął aż do skrzel, a potem odcinał głowę i wyciągał wnętrzności razem z nią, bądź wywlekał je ręką i zostawiał głowę.

Tutaj patroszenie ryb, głównie lucjan i innych okoniowatych, polegało na rozcięciu gardła do skrzel, a potem brzucha do odbytu.

Następnie jednym, szybkim ruchem dłoni wyszarpywano wnętrzności i sięgano po następną rybę.

Filetowanie odbywało się jeszcze szybciej. Mięśnie ryby rozcinano od płetw odbytowych do kręgosłupa, potem wzdłuż niego; trzecie cięcie zostawiało płat skóry, trzymający się na ogonie. Jeden ruch noża usuwał z niego mięso. Potem rybę odwracano i robiono to samo z drugiej strony. Resztki wrzucano do wiadra; przydawały się do zastawiania pułapek i jako przynęty. Co jakiś czas rybacy przerywali patroszenie, ostrzyli noże i znów wracali do pracy.

Gotowe filety trafiały do stojącej na szczycie stołu balii, a tam grupka dzieci pod kierownictwem starszej dziewczyny sortowała ryby według gatunków, płukała je i obkładała lodem. Kiedy balia była pełna, zanoszono ją do chłodni.

Po kilku minutach przyglądania się Mike chwycił wolny nóż i rękawice i przyłączył się do rybaków. Początkowo próbował patroszyć ryby po swojemu, ale szybko przekonał się, że nie tylko zajmuje to więcej czasu, ale także pozostawia więcej trzewi w jamie brzusznej.

Otoczający go rybacy mówili z silnym, chropowatym akcentem, więc chwilami trudno mu było ich zrozumieć. Rozmowa dotyczyła właściwie tylko trzech tematów: pogody na następne dni (dość dobra), rybostanu (niezły) i cen ryb (niskie). Od jakiegoś czasu ceny wszystkich głównych gatunków ryb, nawet bardzo poszukiwanych strzępieli i lucjan, systematycznie spadały.

Potem Harry i rybak imieniem Bob wdali się w kłótnię na temat prądu. Bob uważał, że Harry żałuje im prądu na cosobotnie przyjęcie w No-Name-Key Pub, a Harry wskazywał na zgubne skutki nadmiernego zużycia paliwa.

Wreszcie wypatroszono ostatnią rybę i Mike ściągnął rękawice.

Rybak zwany Bobem zmierzył go wzrokiem od stóp do głów i rzucił mu rozciętą na pół cytrynę.

– Dobra, myjemy się i chodźmy do pubu.

Chór zgodnych pomruków Mike odebrał jako zaproszenie. W najgorszym wypadku ktoś mógł spróbować go wyrzucić. Powodzenia.

Twarde mydło domowej roboty i cytryna usunęły nieprzyjemny zapach ryb i grupka ludzi opuściła werandę ku uciesze komarów. Pub oświetlała zawieszona nad drzwiami lampa naftowa, ale prowadząca do niego ścieżka tonęła w gęstym mroku. Mike szedł między Harrym a Bobem i czuł się trochę tak, jakby miał eskortę.

– To miło z twojej strony, że nam pomogłeś – powiedział trochę sztywno Harry.

– Im więcej rąk do pracy, tym lepiej – odpowiedział Mike.

Przez jakiś czas szli w milczeniu.

– Jesteś w wojsku? – zapytał od niechcienia Bob.

– W Siłach Uderzeniowych Floty.

– A może jeszcze powiesz – powiedział Harry z drwiną – że byłeś w kosmosie i masz pierś pełną medali z Barwhon? Bujaj las, a nie nas.

– Był tu u nas taki jeden gość – wyjaśnił Bob – który powiedział, że jest z Komanda Foki w Bazie Powietrznej Homestead czy jakoś tak. Zajęły się nim gliny i okazało się, że zdezerterował z jednostki Gwardii w Missouri.

– Ale miał gadane... – dodał gorzko Harry.

– Orznął Harry'ego na niezłą sumkę. I wyżarł nam wszystkie zapasy – wyjaśnił Bob.

Mike zatrzymał się, a za nim stanęli także Harry i Bob. Sięgnął do przepastnej kieszeni marynarki i wyjął z portfela kartę. Była dobrze widoczna dzięki lekko świecącemu paskowi wokół krawędzi.

– Zapomniałeś poprosić mnie o dokumenty – powiedział Mike i wręczył kartę Bobowi zamiast Harry'emu.

Następnie nacisnął przełącznik na spodzie elektronicznego identyfikatora.

Ukazał się hologram Mike'a w przepisowej pozycji na spocznij, ubranego w jedwabny uniform, a komputerowy głos zaczął podawać jego dane. Nazwisko, stopień wojskowy, długość trwania służby, galaksjański numer identyfikacyjny, wzrost, wagę, płeć i wiek.

Karty identyfikacyjne były wykonane z tego samego ogniotrwałego materiału, co pancerze wspomagane, i nawet po ich uszkodzeniu można było użytkownika zidentyfikować.

Kiedy nagranie skończyło się, przez chwilę słychać było tylko brzęczenie komarów i lekkie podmuchy wiatru. Bob oddał Mike'owi identyfikator.

– Rzeczywiście jesteś z Sił Uderzeniowych Floty – powiedział obojętnie Harry. – Niech ci będzie.

– A moja żona jest pierwszym oficerem fregaty we Flocie – powiedział łagodnie Mike – i jeśli potraktujesz ją tak samo jak mnie, nakarmię cię twoją lewą ręką.

– On chyba nie żartuje – zaśmiał się Bob, widząc zakłopotanie właściciela sklepu.

– E, co tam – powiedział podstarzały hipis. – Już tak dawno nie jadłem czerwonego mięsa, że może wcale nie byłoby to takie złe.

– Faktycznie, sytuacja trochę się skomplikowała – zgodził się Mike.

## Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 19:37 letniego czasu wschodniego USA, 2 października 2004

Wielebny O'Reilly przyglądał się małemu urządzeniu elektronicznemu, które w zagadkowy sposób znalazło się w kieszeni jego sutanny. Wyglądało jak zwykła karta pamięci typu flash, ale nie było na niej oznaczeń producenta. Nie było też żadnych instrukcji. Wielebny włożył kartę do podłączonego do komputera czytnika.

Zbiór nosił etykietę „Dokumenty Religijne”. Pierwszy folder nazywał się „Rygweda”, drugi „Koran”, trzeci „Talmud”, a czwarty „Biblia Franklina”. Wielebny otworzył ostatni folder. Wewnątrz znajdował się pojedynczy plik o nazwie „Instaluj”. O'Reilly odetchnął głęboko i dwa razy na nim kliknął.

Pojawiło się pytanie o hasło. A on nie otrzymał żadnego hasła.

Istniało niebezpieczeństwo, że pierwsza zła odpowiedź spowoduje skasowanie zawartości folderu. Zaryzykował i wpisał „Wszyscy musimy trzymać się razem albo powieszą nas oddzielnie”. Komputer zaczął się instalować.

Albo karta miała większą pojemność, niż standardowe karty pamięci, albo plik poddano hiperkompresji, gdyż zaczął rozpakowywać się w ogromną masę plików. Gdyby wielebny musiał szybko zniszczyć dowody, pewnie nie byłby w stanie ich wszystkich znaleźć. Przestraszył się i już chciał wyciągnąć kartę z czytnika, kiedy nagle na ekranie pojawiło się okienko tekstowe.

– Witamy – głosił napis – w Studium Ludzkich Archetypów i Prehistorycznych Mitów Biblii Franklina.

Na pasku zadań pojawiła się ikona przedstawiająca małą niebieską planetę z telefonem. Kiedy wielebny najechał na ten symbol kursorem, ukazał się napis „Nowe Wiadomości”. O'Reilly kliknął.

– Wielebny O'Reilly – wyświetlił się napis w okienku tekstowym – jeśli nie chce pan, żeby ten program pozostał w pańskim komputerze, proszę użyć ikony deinstalacji na pulpicie. Deinstalacja usunie wszystkie pliki programu, wszystkie jego wiadomości i wszystkie ślady instalacji. Zajmie to niecałe piętnaście sekund przy obecnej konfiguracji systemu. Może pan też po prostu powiedzieć „Usuń Skrzynkę Poczтовую”. Poniżej podajemy najważniejsze wiadomości dla Towarzystwa Jezusowego. Tirianin Dol Ron jest w drodze na Ziemię. W pierwszej kolejności zatrzyma się w Stanach Zjednoczonych.

Poniżej wyświetliły się mniej więcej te same informacje, które wielebny usłyszał już od Kari. Były jednak pewne uzupełnienia.

Najwyraźniej Tirianina wybrano do ostatecznych negocjacji dlatego, że Ziemianie nie mogli go zabić.

Wiadomość zawierała szczegóły na temat zamówionych u Galaksjan systemów obronnych oraz broni i sprzętu dla Sił Uderzeniowych Floty. Rzeczywistą produkcję porównano na wykresie z planowaną. Całość sprowadzała się do jednego: ziemskie wojska miały dostać przed inwazją najwyżej połowę zamówionego sprzętu. Dla sił ekspedycyjnych jednak zaopatrzenia było dość. Siły te, jak uroczyście i wiążąco zaznaczono w umowie, miały pierwszeństwo.

Zważywszy na to, że Ameryka prosiła o więcej broni grawitacyjnej, niż miała dostać, spotkanie zapowiadało się nader ciekawie.

Ostatnia informacja dotyczyła dostawców podsystemów. Uwagę wielebnego zwrócił zwłaszcza jeden zapis. W dostawie materiałów dla systemów Floty i Obrony Ziemskiej uczestniczyło

wszystkich szesnaście darhelskich klanów. I wszystkie miały opóźnienie, jednak jeden klan, Tindar, o wiele większe, niż pozostałe.

O'Reilly zmrużył oczy i zastanowił się nad znaczeniem tej informacji. Listę poukładano według ujemnych wskaźników tempa produkcji. To musiała być jakaś wskazówka. Po chwili głębokiego namysłu wielebny wrócił do czytania głównej wiadomości.

– W chwili obecnej nie mamy żadnych sugestii ani próśb. Zainstalowane oprogramowanie zawiera kompletne plany dla licznych galaktycznych systemów wraz z opisami produkcji i użycia. Wszystkie wiadomości zostaną całkowicie wymazane pięć minut po ich przeczytaniu; nie pozostanie po nich żaden ślad w systemie. Karta pamięci wykasuje się za dwadzieścia sekund i rozpuści się, zanurzona w wodzie. Cieszymy się, że znów udało nam się nawiązać kontakt z naszymi ziemskimi towarzyszami.

Bane Sidhe.

**No-Name-Key, Floryda, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 09:22 letniego czasu wschodniego USA, 3 października 2004**

Mike'a obudziło przenośne radio, które przywieźli ze sobą. Zapowiadano właśnie cztery kolejne dni słonecznej pogody, a potem pierwszy tej jesieni zimny front. Huragan Janice przemieszczał się na północ od Bermudów, więc nie obawiano się, że uderzy w wybrzeże kontynentu. Dowództwo Sił Lądowych Stanów Zjednoczonych ostrzegało przed możliwością wcześniejszego lądowania Posleenów. Nowe prognozy przewidywały atak na małą skalę najpóźniej za dwa miesiące.

Mike prychnął i odrzucił poncho, w którym spał, wyrzucając przy tym w powietrze małą jaszczurkę. Gładka nylonowo-poliestrowa pościel była częścią wyposażenia kempingowego i jedyną rzeczą, z której usunięciem z inwentarza Sił Uderzeniowych Floty Mike się nie zgadzał. Chociaż rozumiał, że używane zamiast niej nowe pościelanie jest pod każdym względem lepsze, to jednak wolał stary, dobry poliester. Ponadto nowa pościel GalTechu była praktycznie niedostępna, podczas gdy fabryka w Południowej Karolinie, w której wyrabiano poliestrową bieliznę pościelową, pracowała na trzy zmiany i miała pełne magazyny. Ostatnio poncho stało się jednym z najbardziej poszukiwanych wyrobów i zostało zaliczone do kategorii „wyrób pierwszej potrzeby wojennej”. Nieźle, jak na namiastkę pościeli.

Mike potarł twarz i stwierdził, że od biedy nie musi się jeszcze golić. Ostatnio dosłownie zakochał się w jednym z produktów GalTechu – kremie depilacyjnym. Specyfik ten nie tylko usuwał włosy, ale także powstrzymywał ich wzrost przez miesiąc po użyciu. Oczywiście krem był dostępny jedynie w niewielkich ilościach, więc Mike oszczędzał go, używając czasami maszynki do golenia. Teraz krem akurat działał, przez następne kilka dni można się było więc nie golić.

Rozejrzał się po zapuszczonym pokoju, w którym aż roiło się od mrówek, po czym zrobił dwa kroki i znalazł się w łazience. Jego odbicie w wiszącym tam lustrze wyglądało jak oblicze trędowatego. Mike podniósł klapę sedesu i z uśmiechem zaczął czytać napis, który gospodyni umieściła na kartce na wysokości oczu.

Z powodu niedostatku wody nie należało jej spuszczać po sikaniu. Napis na kartce delikatnie stwierdzał: „Żółte górą, brązowe rurą”. Za sedesem stała butelka wybielacza, więc Mike ostrożnie odmierzył nakrętkę płynu i wlał go do muszli, żeby zneutralizować smród amoniaku.

Kiedy umył się pobieżnie i wyszedł z łazienki, Sharon właśnie wróciła do pokoju.

– Jak się pospieszysz, to może jeszcze zdążysz na śniadanie – powiedziała z uśmiechem i położyła na obitym linoleum stole bukiet tropikalnych kwiatów.

Mike się uśmiechnął.

– Niezupełnie tak to sobie zaplanowaliśmy, co?

– Ritz-Carlton to to nie jest – przyznała.

Zawsze, gdy przyjeżdżali na Florida Keys, dysponowali dosyć ograniczonymi budżetem. Tym razem cieszyli się na myśl o spędzeniu wakacji w najlepszych hotelach w Key Largo. Zarabiali teraz tyle, co generałowie przed wojną z Posleenami, a ponadto Mike miał jeszcze sporo pieniędzy z nagrody za Diess. Nagrody pieniężne wymyślono między innymi po to, żeby przyciągnąć ubogich Indowy do galaksjańskiej armii. Co prawda nie odniosło to pożądanego skutku, ale przepisów nigdy nie zmieniono.

We Flocie obowiązywały przepisy Federacji. Część z nich dotyczyła majątku przechwyconego



albo odzyskanego przez wojsko.

Sprzęt porzucony przez Posleenów, taki jak tysiące pozostawionych na Diess statków, należał do kategorii „dóbr przechwyconych” i przypadał tym wojskom, które go przejęły. Początkowo żołnierze, nie wiedząc o tym, pozostawiali tysiące międzyplanetarnych i międzygwiazdnych statków na powierzchni planety. Darhelski przedstawiciel wyjaśnił im więc, że są odpowiedzialni za ich usunięcie.

Wojsko protestowało, tłumacząc, że nie posiada niezbędnego do tego celu sprzętu, więc w końcu Darhelowie zgodzili się to zrobić sami.

Dowódca na Diess nie urodził się jednak wczoraj i postanowił wystawić statki na aukcję. Był zaskoczony jej wynikiem. Zarówno statki międzyplanetarne, jak i międzygwiazdne osiągnęły zawrotne ceny ze względu na koszty produkcji i wojenne straty. Do chwili obecnej wpływy ze sprzedaży niecałej ich połowy przewyższyły żołąd Federacji dla wszystkich wojsk NATO.

Federacyjne przepisy określały też według skomplikowanego schematu „podział” przychodu ze zdobyczy. Jeden z jego aspektów odwoływał się do „czynów niezwyklej natury”. Ponieważ było mało prawdopodobne, żeby którykolwiek z okrętów wpadł w ręce Ziemiaków bez pomocy O’Neala i jego plutonu, przypadł im procent ze sprzedaży każdego z nich.

Dochód Mike’a z nagród za zeszły rok przewyższał produkt krajowy brutto większości ziemskich krajów. Ale okazało się, że na Florida Keys nie ma to żadnego znaczenia.

– Gdzie jest śniadanie? – zapytał Mike, zakładając obszyte mnóstwem kieszeni spodnie safari i lekką, bawełnianą koszulkę, posiadającą ich jeszcze więcej. Źle się bez nich czuł.

– W pubie – odparła Sharon i wstawiła kwiaty do wody. – Miejscowi najwyraźniej sprzedają jajka od kur z ferm mających wybieg.

Moje było trochę... różowawe.

Mike się skrzywił. Otwierał właśnie usta, żeby to skomentować, kiedy od strony portu dobiegł ich jakiś pisk.

Zanim Sharon zdążyła się poruszyć, Mike był już na zewnątrz z desert eaglem w ręku. Kiedy wybiegła za nim na dwór, zobaczyła, jak opuszcza trzymaną oburącz broń i śmieje się zmieszany. Dotarło do niej, że pisk ich córki jest okrzykiem radości i zaskoczenia.

Dopiero po chwili rozpoznała odpowiadający mu szczebiot.

Cally, w towarzystwie Karen, właścicielki obozu, kuciała na pomoście i ochlapywała wodą delfina. Mały butlonos odpowiadał terkotaniem na jej każdy okrzyk; Cally najwyraźniej bawiła się, jak nigdy w życiu.

Mike wsunął gigantyczny pistolet za pasek spodni i wszedł na pomost. Słyszając skrzypienie desek, Karen obejrzała się przez ramię i uśmiechnęła.

– Dzień dobry, śpiochy – powiedziała i wstała.

Delfin zaprotestował, ale machnęła tylko ręką i rzuciła mu parę kawałków ryby. Butlonos schwycił je i zajął się czarowaniem Cally, mając nadzieję na więcej.

– Oswojony delfin. – Sharon zmrużyła oczy przed jasnym słońcem poranka. – Normalnie chyba się tak nie zachowują?

– Nie – powiedziała Karen. – Byłam trenerem Shirlie.

Sharon zaskoczona uniosła brwi.

– Gdzie? W Sea World?

– Nie. To było w Instytucie Badań nad Ssakami Morskimi w Marathon. Tak naprawdę tylko tresowane delfiny przyciągały tam turystów, ale ja nigdy nie miałam nic przeciwko temu. Przez lata pracowałam jako trener w Sea World i wierzę, że odwaliliśmy tam kawał dobrej roboty. Robienie

gwiazd ze ssaków morskich pozwalało chronić je przed o wiele gorszymi rzeczami, które mogłyby im się przytrafić. Cholera, gdyby nie takie miejsca jak Sea World, nikt nie przejmowałby się delfinami i orkami.

– Więc dlaczego tu się znalazłaś?

– Cóż, kiedy zabrakło turystów, dostaliśmy z Narodowego Urzędu Rybołówstwa Morskiego polecenie wypuszczenia wszystkich naszych podopiecznych. Doszli do wniosku, że skoro nie mogą już stworzyć odpowiednich warunków dla trzymanyh w niewoli ssaków, należy je wypuścić.

Mike się oburzył.

– To wariactwo! Nie można tak po prostu wypuścićzymanego w niewoli zwierzęcia i spodziewać, że przeżyje!

– Oczywiście, że nie można – powiedziała Karen i uśmiechnęła się smutno. – Właśnie to im powiedziałam, podobnie jak kilkadziesiąciu innym trenerów. Najbardziej wkurzyło mnie to, że nie udało się tego rozdmuchać w prasie. Urząd po prostu wydał cholerne postanowienie, a prasa miała to gdzieś.

– Niech zgadnę. To „nie było warte reportażu”?

– Właśnie. – Karen kiwnęła głową. – Spotykałam się wtedy z Harrym, więc zamiast wrócić na północ – pochodzę z Chicago – zostałam u niego. Shirlye i cztery inne delfiny w pewnym sensie przyplęły tu za mną – dodała z szelmowskim uśmiechem.

– Śladem z okruszków chleba? – spytała Sharon, patrząc, jak Cally bez obawy poklepuje trzystukilowego morskiego ssaka.

– Mniej więcej. Kiedyś wypływaliśmy łodzią i zabieraliśmy je, żeby popływały w otwartym morzu. – Karen wskazała zadbany kuter, zacumowany przy budynku recepcji. Mike był pewien, że ostatnio go nie używano. – Po prostu kazałam im płynąć za mną.

– Co stało się z resztą? – zapytał Mike. – Był przecież nie tylko Sea World, ale też Oceanarium w Miami i jedno w St. Augustine...

– Sea World po prostu zabrał zwierzęta nad morze i wypuścił u ujścia Śródlądowej Drogi Wodnej. Nie wiem, co się stało z delfinami i morświnami, ale znaleziono później co najmniej jednego martwego samca orki. Oceanaria zrobiły to samo.

– Cholera – zaklął Mike.

Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. Nagle przyszła mu do głowy pewna myśl.

– No a co z...

– Ogrodami zoologicznymi? – dokończyła Karen. – I parkami dla zwierząt?

– Właśnie – wtrąciła Sharon. – Co z nimi? Mówili w wiadomościach, że zoo w Atlancie może zatrzymać tylko goryle.

– Na Florydzie jest kilka dużych parków, które przyjęły część zwierząt – powiedziała Karen. – Roślinożerne żyją w parkach i jakoś sobie radzą. Większość mięsożerców trzeba było uspić. Podobnie jak wszystkie inne zwierzęta, których nie można było zamknąć w rezerwatach.

– To nie w porządku – stwierdził Mike. – Mamy zobowiązania wobec tych zwierząt! Nie prosiły się, żeby je zamykać w zoo!

– Nie tylko ty tak uważasz – powiedziała smutno Karen. – Pisaliśmy do Kongresu, do prezydenta, do wszystkich. Ale wszystkie odpowiedzi były podobne. Skoro brakuje żywności dla ludzi, jak możemy nakarmić zwierzęta?

– Tatusiu, zejdź na ziemię. – Cally przetoczyła się na plecy i skoczyła na równe nogi najbardziej gibkim ruchem, jaki Mike kiedykolwiek widział. – Kiedy skopiesz tyłki Posleenom, możemy znowu je zebrać i uratować, co się da. Do tego czasu musimy skupić się na walce. – Pomacała się po boku.

– Cholera. Zapomniałam pistoletu.

– Nie popisuj się – zaśmiał się Mike. – Chyba masz rację, kotku.

Ale i tak mnie to wkurza.

– Wrażliwiec. – Sharon z uśmiechem klepnęła go w ramię.

Karen z rozbawieniem obserwowała całą scenkę, po czym zwróciła się do Cally.

– Chcesz popływać z Shirliem?

– Jasne! – roześmiała się dziewczynka. – Będzie ekstra!

– Więc idź założyć kostium – poleciała Karen i uśmiechnęła się, kiedy Cally odbiegła. – Harry i ja nie uważamy, żeby dzieci to był dobry pomysł – stwierdziła, nie patrząc na Sharon i Mike’a, kiedy Cally zniknęła za rogiem.

Mike się skrzywił.

– Potrafię to zrozumieć.

– Ona naprawdę nosi przy sobie pistolet? – zapytała ostrożnie Karen.

– A ty nie? – prychnął Mike. – Tak. I umie się nim posługiwać.

Wie też wszystko o zasadach bezpiecznego użycia broni. Nie martw się o Cally; Dziadek zamienia ją w eksperta od przeżycia.

– Nasza druga córka jest poza planetą – powiedziała cicho Sharon. Patrzyła na delfina, krążącego po małym porcie. – Mogę się do was przyłączyć?

– Jasne! Im nas więcej, tym weselej. Chłopcy zjawią się pewnie około dziesiątej, kiedy skończą połów. A ty? Przyłączysz się? – zwróciła się do Mike’a.

– Może później. Chyba spróbuję obłaskawić Harry’ego. Mam kilka skrzynek haczyków.

Karen westchnęła z ulgą.

– Byłoby świetnie. Nie masz pojęcia, jak źle nam szło ostatnio.

– Tak – odpowiedział z goryczą Mike – mamy za co dziękować Posleenom.

\* \* \*

Mike położył na ladzie pudełko haczyków i uśmiechnął się.

– Mam jeszcze jedno w samochodzie. I parę innych rzeczy. Mam też puszkę kawy, ale nie mogę dać ci całej.

Harry lekko się uśmiechnął.

– Widzę, że wiesz, jak robić sobie przyjaciół. – Otworzył pudełko i wyciągnął jedno opakowanie haczyków.

– Robiliśmy je z gwoździ i dzieliliśmy przynęty. Ale, wierz mi albo nie, kawę mamy.

Mike sięgnął do tylnej kieszeni spodni i wyciągnął piersiówkę.

– Ale tego pewnie nie. – Wypił łyk i podał flaszkę Harry’emu. – Podzielę się w zamian za trochę informacji.

Harry ostrożnie przyjrzał się przezroczystemu płynowi.

– Jest trochę za wcześnie – powiedział, po czym wypił łyk. Skrzywił się i zakasłał. – A niech to! Jezu, co to jest?!

– Whisky domowej roboty z Georgii – roześmiał się Mike. – Najlepsza. A teraz powiedz, co tu się, do diabła, dzieje?

\* \* \*

Mike nigdy jeszcze nie jadł omletu z mięsem skrzydelników.

Musiał przyznać, że nie był zły, choć trudno mu było przyzwycząić się do samej myśli. Zebrał

resztki z talerza i wytarł ręce podaną mu serwetką. Na wysepce rzeczywiście była kawa. Smakowała lepiej niż ta z puszki, którą przywiózł ze sobą. Wypił kolejny łyk wyśmienitego napoju i odchrząknął.

– Więc wyjaśnijmy to sobie jeszcze raz. Paliwo jest ściśle racjonowane. Tak jest zresztą wszędzie. Ilość paliwa do łodzi zależy od wielkości połowów. Im więcej ryb łowi dana łódź, tym więcej paliwa dostaje.

– Jak dotąd wszystko się zgadza – powiedział Harry i też wypił łyk kawy.

– Prądu nie ma na wysepkach już od miesiący. Więc potrzebny jest generator, żeby destylować wodę i produkować lód. A paliwo dla chłodni pochodzi z przydziału paliwa dla łodzi?

– Właśnie.

– A ceny ryb spadają co miesiąc razem z porcjami paliwa?

– Tak. Za miesiąc może nam już nie wystarczyć paliwa do łodzi i produkcji lodu jednocześnie. Jeśli nie będziemy mogli przechowywać ryb do czasu przyjazdu ciężarówek, to będzie nasz koniec.

– A co z odłowem, który ukrywasz? – zapytał ostrożnie Mike.

Harry nie dał się zaskoczyć.

– Jakim odłowem? – zapytał spokojnie.

Mike zaśmiał się i wskazał przekaźnik na swoim nadgarstku.

– Mój przekaźnik zanalizował zdjęcia satelitarne tego miejsca z ostatniego roku. Stwierdził, że ukrywasz ponad dwadzieścia procent produkcji.

Harry się skrzywił.

– Te zapasy nie są właściwie... dostępne.

– Może więc powinieneś je udostępnić – powiedział cicho Mike.

Harry westchnął.

– Gdybyśmy to zrobili, przestałoby się nam opłacać ryzykować życie i pracować. – Urwał i zamyślił się na chwilę. – Zapasy składają się nie tylko z ryb. To suszone skrzydelniki i ogony homarów.

Skorupiaki i tym podobne. Łatwiej je przewozić.

– Po diabła ci to wszystko? – zapytał Mike.

– Częściowo na handel wymienny. – Harry uniósł do góry kubek z kawą. – Mamy tu drobnych handlarzy, którzy prowadzą interesy na wyspach i stałym lądzie. Sprzedają suszone skrzydelniki, które wolno się psują, na targu na Florydzie. W Miami dostają towar, którego nie można nabyć na przykład na Kubie, a stamtąd przywożą nam rum i kawę.

– Część zapasów zjadają delfiny. Często same zdobywają żywność, ale nadal uzupełniamy ich dietę. A na boku załatwiamy interesy z handlarzem. – Harry się skrzywił. – Cholerny złodziej.

– Jest aż tak źle?

– Połowę towaru, który nam zabiera, sprzedaje po czarnorynkowych cenach. Na przykład ma dwa worki mąki kukurydzianej, ale oficjalnie sprzedaje tylko jeden, a potem drugi idzie na sprzedaż po maksymalnej cenie.

– Cholera – Mike zmarszczył czoło silniej niż zwykle – nie tak to powinno wyglądać.

– Nie mamy dość paliwa, żeby raz w tygodniu jechać do Miami, nawet raz w miesiącu. Jesteśmy uzależnieni od tego oficjalnego handlarza i wolnych kupców. Ale w ich przypadku to już zupełny czarny rynek.

– A z każdym miesiącem ceny towarów rosną, a ryb spadają?

– Właśnie – potwierdził Harry. Skrzywił się, jakby ugryzł cytrynę.

Mike się zamyślił. Już poprzedniej nocy wpadł na pewien pomysł, ale dopiero teraz się skryształizował.

– Pozwól, że o coś zapytam, Harry. Co się stanie, jeśli chłódnia nie będzie działać?

– Jak to? Generator musi działać, żeby można było mrozić ryby.

Poza tym destylator jest naszym jedynym źródłem świeżej wody.

– A gdybyś nie miał paliwa do generatora? Co wtedy?

– No, to byłby koniec zabawy – przyznał Harry. – Myśleliśmy już o napędzie wiatrowym albo czymś takim. Wtedy nie byłoby problemu. Do diabła, mam nawet ukryty samochód na prąd. Moglibyśmy naładować akumulator z zapasowych baterii, pojechać do Miami i przywieźć przynajmniej część potrzebnych nam rzeczy. – Pokręcił głową zrezygnowany. – Ale nie mamy silnika wiatrowego, a nie można go teraz kupić. Nawet gdybyśmy mieli pieniądze. Nie mówiąc już o tym, że pierwszy większy sztorm rozerwałby wiatrak na strzępy.

Harry się uśmiechnął.

– Na szczęście nie jest aż tak źle. Nie mamy tu najazdu Wikingów. Przynajmniej na razie.

Mike odpowiedział mu uśmiechem.

– Kto jest twoim elektrykiem?

Harry uniósł ze zdziwieniem brwi.

– Dlaczego mnie o to wszystko wypytyujesz?

– Zaraz do tego dojdę – uspokoił go Mike. – Sam zajmujesz się instalacją?

– Nie. Zajmuje się tym jeden człowiek z łodzi Boba Frencha.

– Dobra. Będziemy więc musieli poczekać, aż Bob wróci, żeby to zainstalować, ale pozwól, że już teraz pokażę ci, co mam ze sobą.

\* \* \*

Dobry dzień, pomyślał Bob French, kiedy płynął łodzią w kierunku No-Name-Key. Świat może i zmierzał ku zagładzie, ale brak turystów i paliwa oraz ograniczenie połowów na handel zmniejszyło obciążenie środowiska i ekosystemy zaczęły się odradzać. Ławice ryb znacznie zwiększyły swoją liczebność już w pierwszym roku przygotowań do wojny. Wyniki połowów były wręcz fenomenalne.

W miejscach, gdzie kiedyś Bobowi z trudem udawało się złapać porządnego lucjana, teraz kręciły się ich tuziny. Więcierze na homary błyskawicznie wypełniały się langustami, a czasem zaplątywał się w nich prawdziwy potwór – olbrzymi homar, jakiego nie widziano na Florida Keys od lat sześćdziesiątych. Bob zawsze uważał opowieści o ogromnych ławicach śledzi i sardynek, dochodzących do kilku kilometrów kwadratowych powierzchni, za zwykłe bajki starych rybaków. W tym roku zobaczył jedną z nich na własne oczy.

Tego dnia jego łódź była wypełniona aż po krawędź nadburcia gigantycznymi strzępielami i lucjanami. Niestety z miesiąca na miesiąc ceny ryb, nawet najbardziej poszukiwanych gatunków, spadały. Oficjalna spółka handlowa płaciła w dolcach wojennych albo – w najlepszym razie – w kredytach federacyjnych. Dolary wojenne celowo poddawano inflacji, i koszty wszystkiego rosły tak samo szybko, jak spadały ceny ryb. Miało być odwrotnie, ale nie było.

Bob, tak jak wszyscy rybacy przypuszczał, że to wynik jakiegoś nieporozumienia, więc pewnego dnia wykorzystał swoją żelazną rezerwę kartek na benzynę i pojechał do Miami ze skargą. Po dwóch dniach włóczenia się od departamentu do departamentu Urzędu Rybołówstwa Morskiego musiał w końcu wrócić do pracy.

I tak był w lepszym położeniu niż inni rybacy. Jego łódź należała do większych i była w dobrym stanie. Dwóch członków jego załogi straciło swoje kutry, gdyż nie mogli spłacić kredytów. Bob niewiele mógł zapłacić załodze – płacił głównie rybami albo sprzętem – ale zawsze było to coś. Członkowie tej małej społeczności trzymali się razem, więc nikt nie głodował, ale też nikt, nawet

Bob i Harry, nie miał dużo.

Nie wiadomo było, co się stanie, kiedy rozpocznie się inwazja.

Ale Bob na razie nie chciał o tym myśleć. Dzisiaj trzeba było wypatroszyć całą łódź ryb, a ich zamrożenie zmniejszy już i tak niewielkie zasoby paliwa. Kiedy zbliżył się do portu, od razu poprawił mu się humor. Do przystani zawinął bowiem John Samuels.

Nazywali Samuela „Uczciwym Johnem” z przekory. Ten handlarz przewoził swoją osiemnastometrową łodzią małe ładunki towarów między Miami a Kubą. Skupował towary na lewo i sprzedawał je po cenach niższych, niż obowiązywały na czarnym rynku.

Był praktycznie ich jedynym dostawcą alkoholu i tytoniu.

Handlarz siedział na przystani razem z Harrym i przybyszem z Sił Uderzeniowych Floty. Karłowaty mięśniak rzeczywiście był oficerem Floty; jego prezentacja galaksjańskiej technologii zrobiła na nich poprzedniej nocy duże wrażenie. Kiedyś oglądali nagranie z Barwhon i Diess – walka z Posleenami to było prawdziwe piekło.

Bob nie zazdrościł małemu, marszczącemu czoło sukinsynowi jego pracy.

Przybysz najwyraźniej znalazł z Harrym wspólny język. Kiedy łódź Boba wykonała ostatni skręt w stronę portu, ich śmiech przebił się przez cichy terkot diesla. Bob zgasił silnik i łódź podryfowała do nabrzeża; trzeba było oszczędzać każdą kroplę paliwa. Harry i Uczciwy John złapali rzucone cumy, a przybysz wrzucił do wody niedopałek cygara. O ile Bob się nie mylił, było to jedno z hawańskich panatellasów Johna. Żołnierz szybko pozyskiwał sobie ludzi.

– Jak połów? – zapytał John i uściśnął dłoń kapitana, kiedy ten zeskoczył na brzeg.

– Mam ryb jak cholera – odpowiedział gorzko Bob. – Tylko ile ja za nie dostanę?

– Głowa do góry, Bob. – Harry szeroko się uśmiechnął. – Mamy nowych kupców.

Rybak w osłupieniu przenosił spojrzenie z jednej roześmianej twarzy na drugą.

– Jak to?

– FBI zrobiło właśnie nalot na biura twoich kupców, Urzędu Przydziału Żywności Miami i Urzędu Rybołówstwa Morskiego – odpowiedział za nich przybysz.

– Dlaczego, do cholery, mieliby to zrobić? – zapytał zaskoczony Bob. – I w jaki sposób tak szybko się o tym dowiedzieliście?

Na zwykle ponurej twarzy przybysza pojawił się lekki uśmiech.

– Mają obowiązek przeprowadzić śledztwo na każdy oficjalny wniosek galaksjańskiego oficera, a wszyscy oficerowie Floty są także oficerami śledczymi. Poparcie wniosku przez Dowódcę Armii Kontynentalnej dodało im tylko skrzydeł.

– Ta czarna skrzynka na jego nadgarstku to komunikator – wyjaśnił ze śmiechem Harry. – Właśnie dzwonili do niego z FBI. Powiedzieli, że był to najbardziej udana akcja przeciwko czarnemu rynkowi, jaki wykonali od początku mobilizacji. To będzie sensacja na skalę całego kraju.

– Przez jakiś czas będzie jeszcze burdel – ostrzegł go Uczciwy John. – Muszą najpierw znaleźć nowych ludzi, którzy nie podlegają kubańskiej mafii. – Pokręcił głową. – A to nie będzie łatwe. Kubańczycy przyzwyczaili się już, że mogą się szarogęsić w całej południowej Florydzie. Jeden najazd tego nie zmienia.

– Zgłóście się do współpracy. – powiedział oficer Floty. – Cały majątek tych przedsiębiorstw został zajęty. Zwróćcie się do FBI, żeby powierzono go wam do czasu zakończenia śledztwa. Może jako ofiary ich działalności dostaniecie go na zawsze. Zdobądźcie potrzebne materiały i przeróbcie waszą łódź na magazyn, żebyście nie musieli korzystać z pośrednictwa Miami.

– Potrzebujemy prądu – powiedział Bob. – Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby silnik dieslowski napędzał aż tak duży generator.

Nawet jeśli będziemy współpracować z całym archipelagiem Keys...

– No cóż, jeśli o to chodzi... – Przybysz wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu, a John i Harry głośno się zaśmiali.

Tymczasem załoga łodzi rozpoczęła wyładunek, więc czterej mężczyźni przyłączyli się do pracy. Bob spojrzał na Harry'ego.

– Co ja takiego śmiesznego powiedziałem? – zapytał i dźwignął pięćdziesięciokilową balię ryb, żeby ją podać oficerowi Sił Uderzeniowych Floty.

Krępy karzeł przejął ją bez wysiłku i przeniósł na drugą stronę przystani. Był znacznie silniejszy, niż możnaby sądzić po jego wyglądzie.

– Mike ma dla nas mały prezent – odpowiedział z szerokim uśmiechem Harry.

– Na wakacjach szukałem między innymi miejsc, gdzie możnaby zainstalować skrzynki energetyczne – wyjaśnił Mike. – Chcemy umieścić źródła zasilania na całych równinach nadbrzeżnych, żeby później móc ładować pancerze wspomagane, które utkną za linią wroga.

Na Diess okazało się, że najbardziej upierdliwe jest szukanie źródła mocy. Dlatego teraz mam ze sobą trzy generatory antymaterii. Dysponują taką mocą, że można przez cały rok zasilać małe miasteczko.

Wzruszył ramionami i znowu się uśmiechnął.

– A niech mnie – powiedział kapitan i podał Mike'owi kolejną balię ryb. – Dzięki.

– Cóż, każda jednostka wojskowa, która będzie ich potrzebować, ma pierwszeństwo – dodał Mike. – W zasadzie nie powinniście się do nich podłączać, ale skoro nie macie tu sieci elektrycznej, tej energii nie będzie zużywał cały archipelag. – Znowu wzruszył ramionami i zmarszczył czoło. – W całej tej popieprzonej sytuacji przynajmniej to mogę dla was zrobić. Ale nie przesadzajcie z poborem mocy. To jak ogromna bateria, i kiedy się wyczerpie, nadaje się już tylko do wyrzucenia.

– Dzięki przynajmniej za to. – Harry wyniósł na brzeg ostatnią balię. Trzech członków załogi ładowało już balie na wózki transportowe, żeby przewieźć ryby do chłodni. – To znaczy, że nie musimy marnować paliwa na produkcję prądu i łodzie mogą dłużej pływać. Do diabła, mamy antenę satelitarną i możemy teraz podłączyć telewizję w pubie, żeby wysłuchać wiadomości.

– Dobrze by było znowu móc obejrzeć wiadomości – powiedział z uśmiechem Bob. – Cholera, możemy używać telefonu! – roześmiał się. – A nawet faksu...

– ...i komórek... – dodał Harry.

Elektroniczne urządzenia, z którymi dorastali, były dla nich od jakiegoś czasu całkowicie niedostępne.

– Cieszcie się tym, dopóki możecie – powiedział ponuro Mike. – Pierwsza poważna inwazja zniszczy satelity, a wraz z nimi odbiór telewizji.

– Tak – odpowiedział Bob – to prawda. Ale od cholernie dawna mogliśmy słuchać tylko radia. Chciałbym cię o coś zapytać, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Strzelaj – powiedział ostrożnie Mike.

– Mówiłeś, że byłeś na Diess?

– Zgadza się.

– W radiu mówili o tym gościu, który dostał Medal. Podobno wysadziło go w wybuchu jądrowym i przeżył. Jak to naprawdę było?

\* \* \*

Sharon zapiszczała i przekręciła się w wodzie, kiedy Herman szturchnął ją w pośladki. Karen zaśmiała się i klepnęła delfina w bok, kiedy przepływał obok niej.

– Musisz na niego uważać. Nieprzypadkowo nazwaliśmy go Herman Hesse.\*[(1877-1962) – szwajcarski laureat nagrody Nobla w dziedzinie literatury, którego dzieła poruszają temat dwoistości ludzkiej egzystencji i odosobnienia artysty].

Wszystkie trzy przez większość dnia pływały z wielkimi ssakami morskimi u wybrzeży wysepki po stronie Zatoki Florydzkiej.

Cally mocno trzymała się Shirlie, która ważyła dwieście trzydzieści kilogramów i była najcięższa z całej czwórki. Pozostałe trzy delfiny – Herman, który przyłgnał do Sharon, Charlie Brown i Ted – były samcami. Ted popłynął gdzieś po południu na kilka godzin, ale reszta została z nimi.

Basen dawał schronienie rzadkim gatunkom morskich organizmów, które można było wymieniać na drogie towary. Zebrano tu siedem gatunków ukwiałów, kilkanaście gatunków jeżowców, dwa typy homarów i kilka innych zwierząt. Sharon patrzyła, jak Cally nurkuje na małym delfinie na dno basenu. Na głębokości około pięciu metrów ośmiolatka zaczęła plądrować rafę. Zanim się wynurzyła, aby zaczerpnąć powietrza, w jej torbie z kawałka sieci znalazła się gąbka, krab pająkowaty i jeżowiec.

– Jest cudownie – powiedziała Sharon, lekko odgarniając wodę i obracając się tak, żeby mieć na oku Hermana – ale czuję się już zmęczona.

Karen się uśmiechnęła.

– Trochę się to różni od tego, co zwykle robisz, co?

– Troszkę – przyznała Sharon.

Widziała, że delfin próbuje podplłynąć do niej od tyłu.

– Czym się zajmujesz? – spytała Karen.

Do ich dzisiejszej wyprawy przygotowała się bardzo starannie.

Zapakowała lekki posiłek składający się z zimnej sałatki z homara, owoców i świeżej wody. Sharon wzięła koszulkę i dopilnowała, żeby Cally zrobiła to samo. Prażące słońce południowej Florydy mogłoby ich poparzyć. Sharon nasmarowała Cally kremem do opalania.

Siebie nie musiała, gdyż te same nanity, które chroniły żołnierzy Floty przed skutkami promieniowania, radziły sobie tak samo dobrze z oparzeniami słonecznymi.

Sharon patrzyła, jak Cally szykuje się do kolejnej wyprawy do podwodnej rafy. Sama była zbyt zmęczona, żeby nawet myśleć o nurkowaniu, ale energiczna dziewczynka wydawała się tak samo żwawa, jak na początku wyprawy.

– Jestem pierwszym oficerem na fregacie – odpowiedziała, patrząc, jak córka chwytając przechodzącego obok szerokogłowego kraba.

Zwierzęta te ceniono w krajach Orientu jako afrodyzjaki, dlatego u kupców osiągały bardzo wysokie ceny.

– Co to znaczy? Co konkretnie robisz? – zainteresowała się Karen.

Nigdy nie spotkała człowieka, który był w kosmosie.

Sharon w pierwszej chwili nie wiedziała, jak jej to wytłumaczyć. Jak wyjaśnić ciągły niepokój o to, który niezbędny system zaraz wysiądzie i jak statek i ona poradzą sobie, kiedy nadejdzie czas bitwy?

– Głównie czekam, aż skończy się powietrze – powiedziała w końcu i uśmiechnęła się.

Karen zrozumiała, że na razie nie może oczekiwać bardziej wyczerpującej odpowiedzi, więc tylko kiwnęła głową.

– Musimy już wracać.

Wrzuciła prawie pełną sieć do chłodziarki w pontonie. Wyciągnęła uprząż i mrugnęła do Sharon.



– Jak myślisz, czy jeśli zakolyszesz biodrami, uda ci się zwabić tu Hermana?

\* \* \*

Mike wypił kolejny łyk piwa i dmuchnął dymem z cygara. Niebo ciemniało, a słynna purpura karaibskich wieczorów powoli znikąca. Dziewczyn nie było przez cały dzień i nadchodziła pora ich powrotu.

– Jeśli to nie raj – powiedział Mike do handlarza – to jest to coś bardzo zbliżonego do rajy.

– Rzeczywiście niewiele różni się od rajy – przyznał Uczciwy John. – Pod wieloma względami żyje się tu lepiej. A przynajmniej wolniej. Tyle tylko że albo pływasz, albo toniesz, i to czasem dosłownie.

– A co robi Straż Przybrzeżna? – zapytał ze śmiechem Mike.

John też się zaśmiał.

– Ma trzymać w szachu piratów, ale wielu jej członków przydzielono do jakoby ważniejszych zadań, więc Straż nie jest już taka sprawna.

– Straciłeś wiele łodzi?

– Kilka wpadło w ręce piratów. Przynajmniej na to wygląda.

Łodzie po prostu znikają na spokojnym morzu. Handlarze stale prowadzą wojnę z tymi sukinsynami Martinellitosa, którzy chcą kontrolować cały tutejszy handel.

Handlarz zmarszczył czoło i spojrzał na swoją łódź, jakby chciał się upewnić, że nic jej nie grozi.

– Masz z nimi duży kłopot?

Handlarz parsknął śmiechem i pokręcił głową.

– Nie... już nie.

Najwyraźniej nie chciał więcej mówić na ten temat.

– Inny problem polega na tym, że wiele łodzi się psuje; pływają dłużej, niż powinny. Poza tym handlarze nie są prawdziwymi żeglarzami, którzy wiedzieliby, jak nawigować za pomocą wiatru i gwiazd.

Kiedy więc tracą GPS, naprawdę się gubią. Jeden chciał popłynąć tylko z Los Pinos do Key West. Odcinek ma może dwieście mil.

Głupi skurwiel wylądował aż koło Bermudów. Bez masztów, bez słodkiej wody, na wpół obłąkany. Nigdy nie zrozumie, jak, u diabła, można minąć Bahamy i ich nie zauważyć. – Kapitan wciągnął do płuc dym z cygara. – Przecież nie mógł być aż tak nawalony.

Cholera, i on chce jeszcze wrócić na morze.

Mike zaśmiał się ponuro. Sam miał własną listę dokumentnie spieprzonych akcji, poczynając od działań wojsk ekspedycyjnych na Diess.

– Nie rozumiem, jak mogło do tego dojść. – Zatoczył koło ręką, w której trzymał butelkę. – Gdzie się wszyscy, u licha, podziali? Rozumiem turystów, ale emeryci?

Na całej Florydzie mieszkało wielu emerytów. Niektórzy wprawdzie zostali wezwani do wojska, ale to był tylko mały procent. Gdzie podziła się reszta?

– To się działo stopniowo – zaczął mu tłumaczyć Uczciwy John.

– Nie tylko tu, ale na całej Florydzie. Najpierw zaczęło ubywać turystów. Później każdy, kto tylko potrafił utrzymać młotek albo obsługiwać prasę, nie obcinając sobie przy tym palców, ruszał na północ w poszukiwaniu pracy. Właśnie wtedy Urząd Rybołówstwa przywrócił połowy sieciowe na wodach Florydy i niektórzy próbowali się tym zająć. Kiedy odkryli, jakie to trudne, większość z nich też wyjechała. A potem wojsko wchłonęło wszystkich młodych ludzi.

Uśmiechnął się i zaciągnął cygarem.

– Sam miałem zostać wezwany do wojska – zaśmiał się. – Ale wolny handlarz jest „ważnym ogniwem produkcji wojennej” – co nie wymagało nawet większych nacisków na pewnego kongresmana – więc przekonałem komendę uzupełnień, że nie warto robić ze mnie nafaszerowanego prochami starszego żołnierza. W każdym razie zanim się zorientowaliśmy, liczba mieszkańców Florida Keys spadła poniżej dwudziestu tysięcy. To byli głównie emeryci. Domy spokojnej starości i centra opieki zaczynały mieć problemy z pielęgowaniem swoich podopiecznych, bo po prostu brakowało obsady. Przejście huraganu Eloise było świetnym pretekstem do ewakuowania emerytów, którym nie można było „zapewnić dostatecznej opieki”. Dlatego na Key West zostali tylko rybacy i ich rodziny.

Federalne prawo głosi, że elektrownie Florydy muszą dostarczać nam energię. Ale po przejściu Eloise przepis ten „zawieszono na czas nieokreślony”, bo, jak powiedzieli, brakuje części zamiennych.

To było w zeszłym roku. I tak właśnie – zakończył – doszło do tego, do czego doszło.

Wciągnął w płuca kolejną porcję dymu z cygara i napił się whisky, którą przywiózł Mike.

– Zaszło mi w gardle. Od wieków tak dużo nie gadałem.

Mike w zamyśleniu zaciągnął się dymem z cygara. Whisky dziadka O’Neala miała łagodny smak, więc handlarz pił ją duszkiem, jak wodę. Ale w końcu alkohol musiał zacząć na niego działać.

– Nie rozumiem jeszcze jednego – zastanowił się Mike. – Gdzie ich wywieźli? Mam na myśli emerytów.

– Niektórzy pojechali w głąb półwyspu. Wielu trafiło do wielkich, podziemnych miast, które teraz budują – powiedział John. Zaciągnął się po raz ostatni i wrzucił niedopałek do wody. – Wojna ma jedną zaletę. Nie tylko spadła cena marychy, ale i gliniarze ze Straży Przybrzeżnej przymykają oczy, jeśli masz przy sobie działkę.

– To szaleństwo – stwierdził Mike.

– Czemu? – zaśmiał się John. – Muszą zająć się prawdziwą wojną, a nie „wojną narkotykową”.

– Nie – odpowiedział Mike z nutą zniecierpliwienia w głosie – mówię o podziemnych miastach. Jeszcze nie zostały ukończone. Nie wydaje mi się, żeby już mogły przyjąć dziesiątki tysięcy staruszków! Kto się tam nimi zajmie, do diabła?

– Nie mam pojęcia. – Uczciwy John poklepał się po kieszeniach.

– Cholera – mruknął i wstał. – Pójdę na łódź, skończył mi się tytoń.

Zrobił krok naprzód i wpadł do wody. Wypłynął na powierzchnię, wymachując gwałtownie rękami, i rozejrzał się wokół.

– Gdzie są te cholerne delfiny, kiedy człowiek ich potrzebuje? – wybełkotał.

Mike spojrzał w stronę chylącego się ku zachodowi słońca i uśmiechnął się.

– Radujcie się, albowiem zbawienie jest bliskie – zażartował i wskazał na morze, gdzie pojawiła się właśnie grupa ludzi i morskich ssaków.

– Hej, Herman! – krzyknął Uczciwy John. – Podaj płetwę staremu pijakowi, kolego! – Chwycił zwisającą z pomostu linę, spojrzał w górę i uśmiechnął się do Mike’a. – I pomyśleć, że mógłbym być teraz w komendzie uzupełnień.

Mike przytaknął odrobinę ironicznie.

– Przyznaję, że nie byłby to raczej najlepszy pomysł.

**Pentagon, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 13:28 letniego czasu wschodniego USA, 3 października 2004**

– Cóż, generale – powiedział generał Horner, w charakterystyczny sposób marszcząc czoło – zastanawiam się, czy to aby na pewno był dobry pomysł.

Generał Taylor rozejrzał się po komendzie uzupełnień, zastanawiając się nad tym samym.

Krótko po wprowadzeniu zmian w strukturach dowódczych jeden z komputerowych fachowców generała Hornera zauważył, że w programie mobilizacji popełniono błąd. Każdy, kto poważnie zajmował się współczesną wojskowością, wie, że istnieją dwa zasadnicze typy oficerów; wojownicy i żołnierze od papierkowej roboty. Tylko niektórzy oficerowie, a wśród nich Jack Horner, osiągnęli wybitne rezultaty w obu dziedzinach. Ale tacy zdarzali się niezmiernie rzadko.

Większość była bardzo dobra albo w jednym, albo w drugim.

Walcząca armia potrzebowała wojowników, ale nie rezygnowała też z gryzipiórków. Armia napoleońska rozwiązała swoje problemy logistyczne tylko dzięki ciągłemu przepływowi informacji w łańcuchu dowodzenia. Dzięki ludziom, którzy woleli podejmować decyzje na podstawie arkuszy danych, a nie map w terenie.

Ale biurokracja jest jak żywopłot: piękna, kiedy się o nią dba, i brzydka, kiedy jest zaniedbana. Wojsko składające się z samych wojowników staje się kupą złomu, jeśli wojownicy zaniedbują papierkową robotę, zaś wojsko pełne gryzipiórków tworzy na papierze imperia, które nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Wcześniejsza polityka kadrowa, zdaniem zarówno generała Hornera, jak i generała Taylora, spowodowała, że na każdym szczeblu znalazło się wystarczająco wielu biurokratów. Teraz wojsko potrzebowało przede wszystkim dobrych przywódców i wojowników.

Jednak pierwszy nabór był... wielkim niewypałem.

\* \* \*

– O co w tym wszystkim chodzi?

Pytanie zadał wysoki, szczupły mężczyzna, który niedawno skończył siedemdziesiątkę. Siedzący naprzeciwko niego człowiek wydawał mu się znajomy, ale nie mógł sobie przypomnieć, skąd zna tę twarz.

Zagadnięty wciągnął mocno powietrze z aparatu tlenowego umieszczonego w nosie i sapnął.

– Dostałem Medal w Holandii.

Odpowiedź wywołała atak kaszlu, który zaraz przeszedł w śmiech.

Śmiech, a zaraz potem znowu kaszel spowodowały, że mężczyzna aż posiniał.

– Wszystko w porządku? – spytał ten drugi.

– Jasne – odpowiedział gruźlik, kiedy złapał oddech. – Żeby tylko ta cholerna ceremonia zbytnio się nie przeciągnęła. A pan co tu robi? Nie pamiętam pana z żadnego spotkania.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak oskarżenie. Grupa składała się głównie z laureatów Medalu Honoru. Chory na rozedmę płuc były spadochroniarz znał ich wszystkich i potrafił wymienić z pamięci zawartość ich akt, łącznie z datami odbywania służby. Nie zawsze potrafił powiedzieć, co jadł dzisiaj na śniadanie, ale za to był bezbłędny w sprawach dotyczących jego wojskowych towarzyszy.

– Tak się jakoś złożyło – odpowiedział wysoki były podpułkownik.

Nigdy nie myślał, że znowu założy mundur Sił Lądowych. Do diabła, na wysokich szczeblach woleliby, żeby wyciągnął kopyta.

Jeśli ci ludzie mają kierować jego przydziałem, równie dobrze można przyjąć, że już jest martwy.

Były spadochroniarz z czasów drugiej wojny światowej tylko zacharczał i znowu skupił się na wygłaszanym przemówieniu. Nagle zorientował się, że przemawiającym jest Murzyn. Świat stanął na głowie!

– Co to za czarnuch? – zapytał i zakasłał z wysiłku. Potrzęsnał butlą, żeby dostarczyć do płuc większą ilość życiodajnego tlenu, ale niewiele to pomogło.

Jego rozmówca tylko się zaśmiał.

– Na zakończenie – powiedział generał Taylor – wyjaśnię, na jakich zasadach odbędzie się przydział do poszczególnych jednostek. Większość z was zapewne myśli: „Cholera, mam przecież Medal, więc nie odważą się posłać mnie na śmierć.” Mogę wam na to odpowiedzieć tylko w ten sposób”. Przykro mi. To jest prawdziwa wojna. Nie możemy sobie pozwolić na kierowanie wojowników do papierkowej roboty. Możecie się zatem spodziewać, że umieścimy was w pierwszych szeregach i będziemy przerzucać z frontu na front jako oddziały wsparcia awaryjnego. Będziecie zawsze w największym ogniu wojny. Ale dacie sobie radę. Spieprzyliście wiele akcji, żeby dostać odznaczenia, które nosicie teraz na piersi. – Ostatnie stwierdzenie wywołało ogólną wesołość. – Gdybym sam musiał iść na wojnę, nie wyobrażam sobie lepszej grupy u mojego boku albo pod moją komendą. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla moich żołnierzy. Wiele złego dzieje się w Siłach Lądowych w całej Ameryce – zakończył. – Naszym zadaniem jest to zmienić. I zrobimy to.

**No-Name-Key, Floryda, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 20:22 letniego czasu  
wschodniego USA, 3 października 2004**

Harty z wielkim namaszczeniem nacisnął włącznik. W delektującym się alkoholem i zakąskami tłumie rozległ się pomruk zadowolenia, kiedy trzynastocalowy telewizor ożył i na ekranie pojawiły się wieczorne wiadomości sieci CBS.

Harry skłonił się nisko i podszedł do stolika na końcu baru, przy którym ożywioną dyskusję prowadzili Mike i Uczciwy John.

Cotygodniowe przyjęcie rozkręciło się na dobre. W jednym rogu sali bawiła się młodzież z całego regionu środkowych Florida Keys.

Na środku pomieszczenia stał stół zastawiony jedzeniem przyniesionym przez mieszkańców. Większość potraw stanowiły przyrządzone na różne sposoby skrzydelniki. Na zewnątrz pieczono na grillu danie główne: olbrzymie strzępiele, pokrojone w plasterki tuńczyki kalifornijskie o żółtych płetwach i trzy wiadra ogonów homara.

Mike i jego rodzina mieli swój udział w tak obfitym połowiu.

Uczciwy John wypożyczył Mike'owi do końca ich pobytu łódź, i kuter codziennie wypływał na morze. Mike wracał obładowany homarami i różnymi gatunkami ryb, a Sharon, Cally i Karen razem z delfinami zbierały przybrzeżne stworzenia. Chociaż O'Neal zamierzał spędzać jak najwięcej czasu z rodziną, jego żonę i córkę ciągnęło do raf koralowych i zabaw z butlonosami, on sam zaś wolał żeglować, łowić ryby i nurkować na głębokim morzu.

Doświadczony kapitan udowodnił, że niekoniecznie trzeba mieć „kuter na tuńczyki”, żeby łowić te ryby, kiedy trafili na ogromną ich ławicę. Mike był zachwycony, czując potężne brania tych pasiastych, żarłocznych morskich potworów; John i jego współpracownik z Keys cieszyli się z połowu. Świeże tuńczyki były na rynku cennym towarem.

Mike wzbudził także pewien podziw dla swoich umiejętności nurkowania – głównie za sprawą małego, eksperymentalnego zestawu do oddychania z GalTechu. Aparat pobierał tlen i azot z wody. Butla miała niewielkie rozmiary, ale jej zawartość była tak silnie skompresowana, że starczała nawet na kilka dni. Zestaw działał do głębokości trzydziestu sześciu metrów, i dzięki jego niewielkim rozmiarom Mike miał wrażenie, jakby nurkował bez sprzętu.

Mógł pod pływać do zwykle płochliwych kolorowych wargaczy i strzępieli, nie niepokojąc ich bąbelkami powietrza. A jeśli mimo to czmychały, i tak zwykle udawało mu się je dogonić; jego krępe ciało i gigantyczne płetwy umożliwiały mu niewiarygodnie szybki atak.

Udawało mu się czasem nawet upolować młodego tuńczyka, zaciekawionego dziwnym, podobnym do foki stworzeniem. Najwspanialszym trofeum Mike'a okazał się trzynastokilogramowy okaz żółtopłetwej ryby.

Mike'owi udało się wreszcie odciągnąć Cally od delfinów i zabrać ją na całodzienną wyprawę wędkarską. Kiedy płynęli wzdłuż wstęgi wodorostów, zahaczyła wielkiego dorado; niewiele brakowało, a wciągnąłby ją do wody. Jeśli była jeszcze obrażona na ojca za to, że oderwał ją od zabawy z butlonosami, zapomniała o tym natychmiast, widząc mieniącą się wszystkimi kolorami tęczy rybę, szamoczącą się w kilwatterze łodzi i z upiornym gwizdem wybierającą żyłkę z kołowrotka.

Mike, Sharon i Cally spędzali większość wieczorów w pubie, jedząc złowione ryby i rozmawiając z Harrym, Bobem, Uczciwym Johnem i Karen na temat usłyszanych w radiu

wiadomości. Już o ósmej Cally była tak zmęczona, że Mike musiał ją zaność do łóżka. Później albo rozmowa toczyła się dalej, albo Mike i Sharon szli do swojego pokoju i przypominali sobie czasy swoich pierwszych wspólnych wyjazdów.

Przez dwa ostatnie wieczory jedynym tematem wiadomości była wojna. Wieści nie były dobre. Hurraoptymizm po Diess został zdławiony przez informacje o rozpoczęciu kampanii na Irmansul, gdzie Posleeni natychmiast uzyskali przewagę nad większością azjatyckich oddziałów. W pierwszym tygodniu walk trzecia armia Chińczyków poniosła ponad stutysięczne straty w ludziach. Spodziewano się, że Darhelowie wezwą na pomoc europejskie posiłki. Europejczycy i Amerykanie ponieśli przerażające straty w walce z Posleeni na Barwhon i Diess, ale precyzyjna koordynacja współdziałania pozwoliła uniknąć rzezi, która spotkała siły chińskie i południowoazjatyckie.

W trakcie dyskusji Mike – a ku rozbawieniu wszystkich również i Cally – zauważył, że najlepsze jednostki rozlokowano na Barwhon, a nie na Ziemi. W barwhońskich oddziałach duży odsetek stanowili weterani, do tego wojska te zostały najlepiej przygotowane do walki z kosmicznymi centaurami. W porównaniu z nimi stan pozostawionych na Ziemi jednostek był poniżej krytyki. Sformowano je z drugorzędnych żołnierzy z Francji, Niemiec i Stanów Zjednoczonych, i wcale nie były lepsze niż azjatyckie jednostki.

Rozbicie pierwszych wojsk ekspedycyjnych i późniejsza niespodziewana rzeź na Barwhon pozbawiły NATO większości wyszkolonych oddziałów. Odmłodzeni oficerowie i podoficerowie z czasem mieli uzupełnić powstałe braki kadrowe, ale obecnie, dopóki reformy wprowadzone przez Hornera i Taylora nie przynosiły efektów, jednostki broniące kraju równie dobrze mogłyby cofnąć się do etapu podstawowego szkolenia.

Wszystko to było wyjątkowo trudno wyjaśnić mieszkańcom przystani.

– Chwilunia – powiedział zaczepnie lekko podchmielony żeglarz – przecież to są żołnierze, no nie?

– Jasne, John – stwierdził O’Neal – ale żołnierka to nie tylko strzelanie z karabinu. Wojna polega przede wszystkim na wysłaniu strzelających i całego ich zaplecza tam, gdzie jest wróg. Bo przecież nawet Posleeni nie są wszędzie.

– A dlaczego tak trudno ich znaleźć? – spytał Harry. – Będą gdzieś tam – powiedział, wskazując ogólnie w kierunku Zatoki Florydzkiej.

– Znajdziesz ich – odpowiedział ponuro Mike – albo oni znajdą ciebie. Ale żeby regularne wojska przetrwały, muszą się okopać.

Rozumiesz?

– Nie – przyznał Harry. – Ale biorę na wiarę.

Mike zaciągnął się dymem z cygara i zastanowił, jak mu to wytłumaczyć.

– Dobra. Idziesz na wojnę. Masz jednostrzałowy pistolet. Ci drudzy wystawiają pięćdziesięciu gości z karabinami maszynowymi.

Co zrobisz?

Harry przez chwilę drapał się w głowę.

– Chyba zastrzelę gościa, który mnie tam posłał.

– Właśnie – zgodził się Mike. – Ale jeśli jesteś schowany za murami, zdążysz przeładować broń i jeszcze kogoś zabić, mam rację? Cholera, może nawet uda ci się przeżyć.

John wypił łyk zaprawionego cytryną rumu.

– Zgadza się.

– Tak więc trzeba walczyć na przygotowanych pozycjach. Albo musisz mieć tylu ludzi, żeby obsadzić duży front, albo wiedzieć, gdzie pojawiają się Posleeni. A musisz zdawać sobie sprawę, że

mogą w każdej chwili spaść z nieba w każdym dowolnym miejscu.

– Wietnamczycy mieli wszędzie małe baterie artylerii przeciwlotniczej – powiedział Uczciwy John i beknął. – Dlaczego my tak nie możemy?

Mike uniósł brew.

– Technologia. Wietnamczycy dostali działa przeciwlotnicze od Rosjan. Rosjanie mieli mnóstwo fabryk i sprzętu. A my dopiero musimy nauczyć Galaksjan nie tylko tego, co mają produkować, ale i jak mają to robić na skalę masową. Tymczasem w zasadzie mamy do czynienia z produkcją superchałupniczą. Nie mamy dość broni, żeby unieszkodliwić lądowiki Posleenów.

– I musimy uderzyć ich na ziemi – wtrąciła Cally, pojawiając się nie wiadomo skąd po naleśnik ze skrzydełnikami. – Dopóki nie dadzą nam prawdziwego statku i nie dostaniemy więcej dział grawitacyjnych klasy dziewięć, mamy przesrane.

Włożyła do ust porcję jedzenia i wróciła do zabawy w kacie.

– A ty twierdzisz, że jeśli zaatakujemy ich na lądzie, dostaniemy po dupie – powiedział Uczciwy John. Uśmiechnął się przebiegle. – Założę się, że można im dokopać, nie używając taktyk, które poszły w odstawkę po Belleau Wood. – Wypił łyk rumu i wyciągnął skręta.

– Powinniśmy podkraść się do nich od tyłu.

– A potem co? – zapytał z zaciekawieniem Mike. Uczciwy John zawsze rozmawiał tylko o rybach i morzu, kilka razy o wojsku, ale teraz po raz pierwszy ujawnił jakąś głębszą wiedzę – jakby nagle zerwał z twarzy maskę i zawołał „A-ha!”.

– Zaatakować konwoje z ukrycia? Zniszczyć magazyny z zaopatrzeniem? Porwać ich kadrę?

Mike pokręcił głową.

– Na Barwhon przekonaliśmy się, że Posleeni prawie wcale nie stosują konwojów i nie mają magazynów zaopatrzeniowych poza statkami. A te są bardzo dobrze bronione. Poza tym większość celów jest poza zasięgiem artylerii. Właśnie dlatego kilka uniwersytetów pracuje obecnie nad sposobem zwiększenia jej zasięgu. – Mike zaciągnął się dymem z cygara. – Posleeni nie przejmują się, jeśli zniszczeniu ulegną ich lądowiki. Nie wycofują wtedy żołnierzy z frontu, tylko używają miejscowych sił. Generalnie ponoszą więc niewielkie straty, co potwierdził wielozadaniowy zespół komandosów, który wysłaliśmy na Barwhon przed wojskami ekspedycyjnymi.

– Więc mamy po prostu, jak to nazwałeś, „przypaść do ziemi i wytrzymać”? – zapytała cicho Karen.

– Obawiam się, że tak – powiedziała Sharon. – Flota dopiero się tworzy. Nie wiem nawet, czy można to jakoś przyspieszyć. Kiedy zbudujemy prawdziwą flotę, będziemy bezpieczni. Ale do tego czasu musimy walczyć na powierzchni planety.

– Próbowaliśmy wojny manewrowej. – Mike wypił łyk piwa. – Francuzi zastosowali ją kilka razy na Barwhon, ale nie udało się.

– Bo to byli Francuzi – stwierdził złośliwie Harry.

Mike prychnął.

– Tylko nie mów tego przy generale Crenausie. Oni też odczuli skutki naszych działań na Diess, ale na szczęście dopiero wtedy, kiedy i tak już „poszli w rozsypkę”. Nasze M-1 to w porównaniu z bronią Posleenów tylko cynowy garnek. Nie widzę sposobu, żeby walczyć z nimi w otwartym polu.

– No – zaśmiał się lekko podpity John – ale wysp nie atakują.

– Zgadza się, nie atakują – przyznał Mike.

– Więc wysadzimy Seven Mile Bridge i będziemy bezpieczni. – John mocno zaciągnął się dymem.

– Ale będziemy także odcięci od świata – powiedziała cicho Karen.

– A przecież wystarczyło, że zamknęli klinikę w Marathon, i straciliśmy dwóch ludzi – powiedział Harry. – Tom Robins zmarł na zapalenie wyrostka robaczkowego, a Janey Weaver na szkarlatynę. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli pojawiłaby się tu epidemia.

– W przypadku epidemii rząd na pewno pomoże – powiedziała Karen.

Mike pociągnął piwo z kufła, żeby ukryć uśmiech, ale John nie zachował się tak dyplomatycznie.

– Rząd? – roześmiał się. – Jaki rząd? Ten, który pozwolił zadomowić się tutaj kubańskiej mafii? Ten, który nie chciał nam naprawić linii? Czy może ten, który ustala niskie ceny na nasze towary i tak wysokie podatki, że nie możemy niczego zaoszczędzić?

Harry uniósł ręce, żeby powstrzymać dalszą kłótnię.

– Wystarczy! – powiedział. – Na razie mamy prąd, nikt nie choruje, zdjęto nam z pleców pijawki i mamy co jeść. Zastanówmy się lepiej, które mosty powinniśmy spalić.

John spojrzał na Karen i uśmiechnął się krzywo.

– Wybacz, skarbie, jestem pijany.

– I upalony. – Podniosła dymiącego skręta i sama się zaciągnęła.

– Cholera – powiedziała, kaszląc – nic dziwnego.

John też się roześmiał i uniósł kufel do góry.

– Najlepszego! Kuba ma nie tylko dobre cygara!

– A tak przy okazji – powiedział Mike zadowolony, że może zmienić temat – za ile odstąpiłbyś kilka skrzynek cygar i rumu?

John zastanowił się przez chwilę.

– Zwykle nie targuję się, kiedy mam pełną łódź towaru – zaśmiał się. – Ale co tam. Ile masz tej whisky?

– Dwie skrzynki likieru, whisky i brandy muszkatołowej w litrowych butelkach. Mam też kilka skrzynek piwa, trochę wędzonego i peklowanego mięsa dzika i jelenia. Poza tym mam pięciogalonowy kanister z benzyną. Mogę ci dać benzynę, ale chcę kanister z powrotem albo inny na zamianę.

– No, mogę dać ci za to pudełko cygar – powiedział Uczciwy John.

Twarz Mike’a rozjaśnił uśmiech.

– Teraz już wiem, dlaczego nazywają cię Uczciwym Johnem.

– Mike – Sharon uśmiechnęła się słodko – pozwól mi się potargować.

John odłożył skręta. – Uuu, zabrzmiało groźnie.

– Wspominałam już, że przez pół roku byłam oficerem zaopatrzenia? – zapytała i pochyliła się do przodu. – Zastanawiam się, czy miejscowe władze wiedzą dokładnie, co przewozisz swoją łodzią...



**No-Name-Key, Floryda, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 08:32 letniego czasu wschodniego USA, 5 października 2004**

Mike ostrożnie postawił ostatnią skrzynkę ręcznie zawijanych imperialsów. Cygara były związane sznurkiem w pęczki po pięćdziesiąt sztuk. Skrzynki z cygarami i beczułki rumu tworzyły spory stos.

Uczciwy John potarł twarz dłonią i skrzywił się.

– Chryste, chyba nie powinienem się targować po pijanemu.

– I nigdy nie graj z nią w pokera – poradził Mike. – Oskubie cię do czysta.

– Już to zrobiła – jęknął handlarz.

– Nie przesadzaj – powiedziała Karen. – Wiesz jak dobrze sprzeda się w Hawanie ten zaprawiony winem jelen? Nie mówiąc już o muszkatołowej brandy. Zbijesz na tym fortunę.

Handlarz tylko się uśmiechnął.

– To była dobra wizyta, moi drodzy – powiedział. – Uważajcie na siebie. Nie szarżujcie.

Mike spojrział na handlarza ze ściągniętymi brwiami.

– Mówiłeś, że jaki masz stopień? – zapytał.

– Starszy mat.

Poklepał się po kieszeniach kwiecistej koszuli i wyciągnął cygaro i zapalki. Gwałtownie potarł zapalkę kciukiem i przypalił cygaro.

– Dlaczego pytasz?

– „Nie szarżujcie” to nie jest wyrażenie z marynarki – odpowiedział Mike.

– Musiałem gdzieś to usłyszeć – wyjaśnił handlarz.

– A nie mówiłeś przypadkiem, że dopiero niedawno dostałeś kartę powołania?

– Będzie ze dwa tygodnie temu – potwierdził ostrożnie John. – A bo co?

– Tak tylko pytałem – odpowiedział Mike z uśmiechem. – Większość kart wysłano w zeszłym roku. Znam tylko jedną grupę, którą wezwano w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

– O czy wy mówicie? – zapytała Sharon i zmarszczyła czoło.

– O niczym. – Mike zamknął bagażnik.

– Trzymajcie się. – Harry uściskał Sharon. – Uważajcie na siebie, dobrze?

– Będziemy.

– Odzywajcie się co jakiś czas – pożegnała ich z uśmiechem Karen. – Herman z przyjemnością posłucha o waszych przygodach.

– Jasne. – Cally uściskała kobietę. – Na pewno do niego napiszę.

– Nie lubię ckliwych pożegnań. I muszę złapać przyptływ. – John uściskał Sharon i Cally i pomachał do Mike’a. – Powiedz temu sukinsynowi Kiddowi, że pozdrawia go Toksyna.

– Powiem – przyrzekł z uśmiechem Mike.

– I przekaz Taylorowi, że może mnie pocałować w moją wielką, tłustą dupę.

– Dobra – zaśmiał się Mike.

– Trzymaj się, wężu – zakończył John i odszedł w kierunku przystani.

Zaczął wołać dwóch brakujących członków załogi, ale po chwili namysłu wskoczył do łódki, odcumował i zaczął wiosłować w kierunku wyjścia z portu.

Kiedy wypływał już na pełne morze, dwóch półnagich facetów ściganych przez dwie również niekompletnie ubrane kobiety wybiegło z bungalowu i puściło się pędem wzdłuż wybrzeża za

oddalającą się łódką.

– Mamo, co te panie krzyczą? – zapytała niewinnie Cally.

– Chyba „Do zobaczenia, kochanie” – odpowiedziała Sharon i popchnęła ją lekko na oparcie tylnego siedzenia.

– Ach tak – powiedziała Cally. – Bo wiesz, to brzmiało raczej jak „A gdzie forsa, wy dranie?”.

Mike zaśmiał się i uściskał dłoń Harry’ego.

– Dziękujemy za gościnę.

– Polecam się na przyszłość – odpowiedział Harry. – Na koszt firmy.

Mike kiwnął głową i uśmiechnął się, po czym wsiadł do chevroleta. Odwrócił się do Sharon i wzruszył ramionami.

– Gotowa na długą podróż?

– Jasne. Ale tym razem nie zaglądamy do moich rodziców.

– Jeśli o mnie chodzi, nie ma problemu. Wpadniemy po drodze do Mayport, może uda ci się złapać tam autobus. Wtedy Cally i ja pojedziemy z powrotem do mojego taty. Złapię coś w Atlancie albo w Greenville.

– Dobra. – Uśmiechnęła się smutno. – A więc to nasza ostatnia noc?

– Tak – potwierdził – nasza ostatnia noc. Do następnego razu.

Sharon kiwnęła głową. Oczywiście będzie następny raz. Żeby spędzili razem ten tydzień, musiało interweniować najwyższe dowództwo. Oboje znajdują się teraz w największym ogniu walki. Ale będzie następny raz. Mike zapalił silnik i ruszyli, każde głęboko zatopione w swoich myślach.

## Orbita geosynchroniczna, Sol III 14:44 letniego czasu wschodniego USA, 9 października 2004

– Wstąp do Floty i zobacz wszechświat, tak, Takagi? – zamyślił się po raz nie wiadomo który porucznik Mike Stinson, kiedy patrzył przez okno kabiny pilota na wirujące gwiazdy.

– Tak, przyjacielu. Chociaż raz nie kłamali.

Kapitan Takao Takagi był jednym z najlepszych pilotów myśliwców w Japońskich Siłach Samoobrony, kiedy skorzystał z możliwości transferu do Sił Myśliwskich Sił Uderzeniowych Floty. Wiedział, że bez okrętów liniowych myśliwce nie poradzą sobie z okrętami Posleenów. Zdawał sobie sprawę, że ma znikome szansę, żeby jeszcze raz ujrzeć ośnieżone szczyty Honsiu. Ale pamiętał też słowa starożytnej mantry, które każdy japoński żołnierz, lotnik i marynarz nosił głęboko w sercu: Obowiązek jest cięższy niż góry, śmierć jest lżejsza niż piórko.

Ktoś musi stawić czoła Posleenom, zanim wylądują na Ziemi.

Dopóki siły ciężkie Floty nie będą gotowe, zadanie to muszą wykonać przerobione fregaty Federacji i schodzące prosto z taśmy produkcyjnej kosmiczne myśliwce. Jeśli ma umrzeć w dniu, w którym nadlecą Posleeni, trudno, niech tak będzie, byle tylko mógł zabrać ze sobą ofiarę dla przodków.

Pierwsze trzy eskadry myśliwców z Kosmicznego Patrolu Bojowego odbywały rekonesans w niewielkiej odległości od Ziemi. Lada dzień należało się spodziewać pierwszych posleenińskich zwiadowców. Kosmiczny Patrol Bojowy miał ich zatrzymać, kiedy tylko wyjdą z hiperprzestrzeni i ruszą w stronę Ziemi.

Ziemianom były znane dwie formy transportu hiperprzestrzennego: „transport dolinowy” i „tunelekwantowe”.

Do niedawna Federacja stosowała wyłącznie „transport dolinowy”, oparty na teorii kwantów, którą po raz pierwszy przedstawiono w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku. Wzdłuż drogi od gwiazdy do gwiazdy ciągnęła się „dolina” albo „korytarz”, którym statki podróżowały z prędkością znacznie przewyższającą prędkość światła. Można też było używać „tuneli kwantowych” na zewnątrz korytarzy, ale taka podróż przebiegała wolniej i wymagała większych nakładów energii.

Z wojskowego punktu widzenia problem polegał na tym, że wejścia do „dolin” były zlokalizowane dosyć daleko od planet. Statek potrzebował wielu godzin, a czasem nawet i dni, żeby przebyć drogę od zamieszkaną planetę do wejścia do „dolin”. Lecąc przez „dolinę” statek wywoływał drgania harmoniczne wykrywalne poza „wymiarom hiperprzestrzennym”, natomiast statki wewnątrz „dolin” nie miały żadnego kontaktu z resztą wszechświata. Chociaż Posleeni na razie nie urządzali zasadzek w kosmosie, należało się liczyć z taką możliwością. Dlatego Flota szukała innych rozwiązań niż „transport dolinowy”.

Posleeni korzystali z „tuneli kwantowych”. Umożliwiało im to wykonywanie mniejszych skoków wewnątrz układów planetarnych, dzięki czemu statki mogły niepostrzeżenie pojawiać się blisko celu. Jednak „tunelowanie” miało też wady: było powolne i bardzo kosztowne. Podróż z Diess na Ziemię metodą „dolinową” trwała pół roku, natomiast użycie „tuneli” wymagało prawie dwa razy więcej czasu i siedmiokrotnie większych nakładów energii. Poza tym statki wychodziły z hiperprzestrzeni po różnych torach i z małą prędkością. Mimo to jednak Posleeni korzystali właśnie z tej metody, być może dlatego, że nie byli świadomi istnienia „korytarzy” między gwiazdami.

Ziemianie liczyli na to, że dzięki niewielkiej prędkości wyjścia dodekaedrów dowodzenia albo

bojowych z „tuneli” myśliwce szybkiego reagowania i fregaty z nieco silniejszym uzbrojeniem będą w stanie zapobiec ich wylądowaniu.

Tymczasem piloci pierwszego, dziewiątego i pięćdziesiątego piątego międzyplanetarnego dywizjonu myśliwców podziwiali świat, który rozpościerał się pod nimi. Pozycje patrolu znajdowały się tuż za orbitą geosynchroniczną – wystarczająco blisko, żeby przeszkodzić Posleenom w wylądowaniu, ale też dość daleko, by uniknąć złomu krążącego wokół planety – więc piloci cały czas mieli błękitny glob w zasięgu wzroku. Kiedy Takao obrócił myśliwiec, żeby jeszcze raz spojrzeć na planetę, linia terminatora dotarła właśnie do Atlantyku.

Eskadra była tuż przed nim – utrzymywała się na niskiej geosynchronicznej orbicie – i kapitan doskonale widział amerykańskie wybrzeże. Po serii zimnych frontów, które nadchodziły w ciągu ostatnich dwóch tygodni, w kraju wyjątkowo wcześnie zapanowała jesień.

Takao spędził trochę czasu w Bazie Sił Powietrznych Andrews, trenując tam na amerykańskich myśliwcach F-15. Teraz wyobrażał sobie, jak wielu ludzi wybiera się w ten weekend w góry albo na plażę. Następnego urlopu spodziewał się wprawdzie dopiero za kilka miesięcy, ale już teraz planował, że może pojedzie właśnie tam, zamiast...

\* \* \*

– Dalej, Sally! – zawołał Duży Tom Sunday, kiedy jego córka podeszła do bazy. – Uważaj na piłkę!

Na dźwięk jego gromkiego głosu odwróciła się niejedna głowa.

Siedzący obok Mały Tom wyszczerzył zęby w głupawym uśmiechu, kiedy zobaczył, że Wendy Cummings patrzy w ich stronę. Ona uśmiechnęła się jednak bez większego zainteresowania i spojrzała z powrotem na drugą stronę trybun. Siedział tam Ted Kendal, otoczony wianuszkami młodych dziewczyn w jej wieku, skazanych przez rodziców na oglądanie niedzielnego meczu softballa ligi szkół podstawowych.

Tommy skupił się z powrotem na grze. W chwilach takich jak ta sława jego ojca zdawała się spadać na niego jak lawina błota po ulewnych deszczach, tak samo niepowstrzymanie i tak samo niszczycielsko. Jego ojciec był kiedyś gwiazdą futbolu i uganiały się za nim wszystkie dziewczyny. Jego ojciec nigdy nie musiał się martwić, że nie ma co robić w sobotni wieczór. Jego ojciec był durniem.

Mały Tom zdjął okulary i wytarł je o koszulę. Zapięły go oczy, za co obwinił silny, północny wiatr. Otarł je ukradkiem, kiedy z powrotem zakładał okulary. To tylko wiatr. Niepotrzebnie się jednak krył. Kiedy zerknął na boisko, Wendy była już daleko.

Powoli i ostrożnie Wendy zbliżała się do tłumu zgromadzonego wokół Teda Kendalla. Jeszcze tydzień temu zdawało się, że nic go nie rozdzieli z Morgen Breddel. Klasyczny miłosny układ – król i królowa klasy: prowadząca zespołu cheerleaderek i główny napastnik drużyny futbolowej. Od czasu ich spektakularnego zerwania podczas zajęć w czytelnicy rozgorzała zaciekle walka o względy obojga. Morgen przyłgnęła do największego rywala Teda, głównego skrzydłowego drużyny, Wally’ego Parra, a Teda najwyraźniej przestało interesować towarzystwo dziewczyn.

Większość uczniów sądziła, że czeka, aż Morgen do niego wróci. Wcześniej czy później musiała odkryć, że Wally jest szybki nie tylko na boisku. Oprócz sławy dobrego głównego napastnika, Ted cieszył się opinią ogólnie fajnego gościa. Jak przekonało się już zbyt wiele dziewczyn, nie można było tego samego powiedzieć o Wallym.

Wendy gruntownie wszystko przemyślała, zanim zdecydowała się wejść w tłum wokół Teda. Po kilku niezbyt przyjemnych randkach z obrońcami była zniechęcona do graczy futbolowych, ale może

Ted będzie inny. Powtórzyła w myślach tekst zagajenia i zbliżyła się, kołysząc biodrami.

\* \* \*

Mały Tom zerknął na Wendy, kiedy podeszła do grupki dziewczyn i odwrócił wzrok, bo oczy zapiekły go od słońca, odbijającego się od jej długich blond włosów. Moznaby pomyśleć, że w końcu zrozumie. Znowu zdjął okulary i przetarł oczy.

– Co ci jest, Tom, do cholery? – zapytał go ojciec.

– Nic, tato.

– Pyłki?

– Nie, tylko słońce. Powiniennem być zabrać okulary przeciwsłoneczne.

– No ja myślę. Tyle kosztowały, że zatrzymałyby chyba śrut z posleńskiej strzelby.

– Tak – powiedział Mały Tom z ledwie słyszalnym westchnieniem politowania dla ojcowskiej ignorancji – tylko gorzej z resztą twarzy.

Ojciec zaśmiał się i znowu zaczął wykrzykiwać wskazówki dla jego siostry. Chociaż miała dopiero dziewięć lat, była już gwiazdą sportu i mogła przyczynić się do tego, że ojciec przestanie się wstydić, że ma syna – zapaleńca komputerowego. Duży Tom odruchowo pomacał glocka za paskiem spodni, kiedy cienka warstwa chmur przesłoniła słońce.

– Mogą nadlecieć w każdej chwili – mruknął.

– Tak, w każdej chwili – zgodził się Mały Tom. Znowu westchnął i przewrócił oczami. – Tato, mogę już iść do domu?

– Nie. Musimy zostać i wesprzeć Sally.

– Tato, Sally ma pewności siebie za nas troje. Wie, że ją wspieramy. Mam pracę domową i muszę jeszcze potrenować grę, żeby móc dostać się na turniej w przyszłym tygodniu. Kiedy mam to zrobić?

– Po meczu – odpowiedział ojciec i zmarszczył czoło.

– Po meczu zabierasz Sally i jej przyjaciół na lody – odpowiedział Mały Tom z nieubłaganą logiką, która zawsze przysparzała mu kłopotów. – Będiesz oczekiwał, że ja też wezmę w tym udział.

Potem porozwozisz przyjaciół Sally do domu. Wrócimy do domu około dziewiątej wieczorem, a przecież obowiązuje mnie wyłączenie światła o dziesiątej. Powtarzam...

– Tommy! – warknął Duży Tom.

– Mam się zamknąć.

– Mniej więcej. Albo grzecznie okażesz teraz wsparcie siostrze, albo możesz pożegnać się z tym cholernym turniejem.

Mały Tom wziął głęboki wdech.

– Tak jest, sir!

– A tak w ogóle, kiedy jest ten turniej? – zapytał ojciec.

– W następną sobotę, od trzeciej po południu.

– Masz wtedy uczestniczyć w ćwiczeniach Młodzieżowej Milicji!

– Komendant Jordan mnie zwolnił – powiedział Mały Tom i znowu przewrócił oczami. – Wyrosłem już z milicji, tato. Poza tym turniej zaliczają jako ćwiczenie taktyczne do wstępnego przeszkolenia wojskowego.

– A kto to powiedział? – zapytał Duży Tom i parsknął z pogardą dla tak niedorzecznego pomysłu. Tak jakby siedzenie przed komputerem i granie w jakieś gry można było uznać za prawdziwy trening bojowy.

– Flota – wyjaśnił Tommy. – Zaliczają wygraną w „Dolinie Śmierci” do wstępnego

przeszkolenia.

– No, ale ja nie. Musisz wiedzieć, na czym polega prawdziwa walka, a nie jakieś wirtualne bajeczki. Pójdiesz na ćwiczenia Młodzieżowej Milicji.

– Tato!

– Powiedziałem.

– Dobra, nie to kurwa nie – wściekł się Tommy. – W takim razie po co mam dalej oglądać te pierdoły, Wielki Wszechwiedzący Mistrzu Sztuk Wojennych?

– Licz się ze słowami, smarkaczu!

– Tato, jesteś pieprzonym dinozaurem! – wybuchnął wreszcie nastolatek. – Za cholere nie będę w Siłach Lądowych! Pójdę do Sił Uderzeniowych Floty albo nigdzie! A Młodzieżowej Milicji nie zalicza się jako wstępne przeszkolenie Floty! Wiem, że nie pasuję do obrazu twojego wymarzonego syna, ale nie pozwolę, żebyś spieprzył moje szansę na przydział do Floty!

– Lepiej się uspokój i zwracaj się grzeczniej do ojca, bo dostaniesz szlaban na resztę roku szkolnego!

Mały Tom spojrzał ojcu prosto w oczy i już wiedział, że stary nie ustąpi. Pozostali rodzice słyszeli całą rozmowę; to była kwestia dumy, a tej ojciec miał aż za dużo. Tommy zazgrzytał zębami, próbując się opanować.

– Ktoś mnie podwiezie do domu – warknął do ojca. – Będę ćwiczył strzelanie do celu przez kilka godzin. I nie zamierzam chybiać.

– Wynoś się – rzucił ochryple ojciec i odwrócił się od syna.

Tommy wyszedł z tłumu i zaczął rozglądać się za kimś, kto mógłby go podwieźć do domu. Wtedy zauważył, jak trener przeciwnej drużyny wbiega na boisko i kieruje się prosto do sędziego.

\* \* \*

Wendy spokojnie czekała, aż Ted rozgrzeje się w swojej opowieści. Aż do czasu zerwania z Morgen był najcichszym ze wszystkich graczy. Jego skromność malała jednak wraz ze wzrostem zainteresowania ze strony dziewcząt, a ponieważ nie miał wiele do powiedzenia na jakikolwiek temat oprócz futbolu, rozmowy zawsze dotyczyły ostatnich meczów.

– I wtedy podałem do Wally’ego, a on pobiegł...

– Trzydzieści metrów i zdobył przyłożenie – przerwała mu Wendy.

– Tak – powiedział osłupiały.

– Przeciwnik miał przewagę ponad siedmiu punktów, więc zdecydowałeś się na podwójny punkt zamiast próby przyłożenia prosto z pola.

– No tak.

– Więc podałeś do Johny’ego Granta. – Wendy odgarnęła z czoła blond włosy – Ale zastanawiałam się wtedy nad jedną sprawą...

– Tak?

– Wydawało mi się, że Jerry Washington nie był kryty, a ty musiałeś rzucić przez obrońców, żeby podać do Johny’ego. Dlaczego nie podałeś do Jerry’ego?

– Wiesz – powiedział, rozgoryczony – Wally, ten wielki sukinsyn, stał mi na drodze i nie widziałem, co jest za nim. Każdy mnie potem o to pytał, zwłaszcza Jeny. Był naprawdę wkurzony.

– Musisz coś z tym zrobić. To wyjaśnia, dlaczego cię przechwycili w następnym rozegraniu. – Wendy znowu odgarnęła włosy.

Uważała je za swój największy atut i uznała, że ten subtelny gest może jej pomóc.

– A co – roześmiał się – piszesz artykuł do gazetki?

– Nie. Sądzisz, że potrzebujemy lepszego działu sportowego?

– Więc – zaczął – moim zdaniem...

– Co ten pajac robi? – zapytała nagle jedna z dziewczyn, na widok trenera przeciwnej drużyny, wbiegającego na boisko.

\* \* \*

– Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam, sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam, jeszcze raz, jeszcze raz, nieeech żyyyje nam!

– Hau, hau!

Chór męskich, kobiecych i psich głosów rozbrzmiewał w całym Budynku Bezpieczeństwa Publicznego we Fredericksburgu.

Tłum uśmiechniętych osób w kombinezonach i wypchanych kamizelkami kuloodpornymi mundurach zebrał się wokół stołu konferencyjnego, żeby uczcić trzydziestolecie służby komendant straży pożarnej.

– Przemowa! Przemowa! – krzyknął znany dowcipniś z końca sali.

– Prze-mo-wa, prze-mo-wa!

– Dobra! Dobra! – powiedziała kobieta o lekko posiwiałych włosach i podeszła do szczytu stołu. Na jej granatowym, obwieszonym odznaczeniami stroju widniała przypięta nad lewą piersią plakietka z nazwiskiem Wilson. Jedna strona jej twarzy i dłoń nosiły ślady przeszczepionej po oparzeniach skóry. Elektryzującego spojrzenia jej błękitnych oczu nie przyćmiły ani jednak ani wiek, ani troski.

Rozejrzała się po tłumie młodych twarzy i nagle roześmiała się.

– Opowiem wam – zaczęła starczym głosem, grożąc im palcem i mlaskając gumą do żucia – o starych, dobrych czasach – mlask, mlask – kiedy musieliśmy nosić wodę z rzeki...

Na dźwięk słów słyszanych już z tysiąc razy grupa strażaków i policjantów zaniósła się gromkim śmiechem.

– A teraz poważnie – ciągnęła już normalnym głosem. – Chcę powiedzieć, że ostatnie trzydzieści lat przeżyłam pełną parą. Nie wiem, w jaki sposób ludzie, którzy nie lubią swojej pracy, w ogóle mogą rano wstawać z łóżka. Każdego dnia budzę się i zrywam jeszcze bardziej gotowa do pracy, niż poprzedniego.

Dyplomatycznie nie wspomniała, że praca zniszczyła jej dwa małżeństwa i pozbawiła kontaktu z dziećmi. Wszystko miało swoje dobre i złe strony, a ona godziła się ze swoim losem.

– To właśnie dzięki wam, poprzedniemu i, mam nadzieję, także następnemu pokoleniu, ten zawód jest tak wyjątkowy. Dzięki wam i dzięki możliwości robienia czegoś dobrego każdego dnia. Jeśli można spędzić dzień lepiej, niż ratując komuś życie – czy to walcząc z ogniem, czy z przestępczością – mnie nic na ten temat nie wiadomo. Pewnego dnia, już niedługo, jak przypuszczam, nie będę mogła wspinać się po drabinie, nosić butli ani trzymać węża. To, co po sobie pozostawię, jest właśnie tu, w tym pokoju. – Wśród zebranych rozległy się chlipnięcia, więc kobieta postanowiła skończyć wystąpienie, zanim zrobi się zbyt sentymentalnie.

– Chciałabym, żebyście myśleli o tym każdego dnia. Nie ma nic ważniejszego niż ratowanie ludzkiego życia, i cokolwiek musielibyście zrobić, czy to w ogniu, czy wśród eksplozji, jest tego warte.

Nic nie może się z tym równać.

Kiedy rozległy się oklaski, drzwi na korytarz otworzyły się z trzaskiem i do środka wpadła dyspozytorka.

Jedna z zawodniczek drużyny przeciwnej szła za trenerem, dźwigając boomboxa prawie tak wielkiego, jak ona sama. Jakaś dziewczyna szarpała za rękę swojego ojca, podając mu słuchawki walkmana. Po pierwszych kilku słowach trenera sędzia zarządził przerwę w meczu i zgłosił radio na fuli.

– ...to nie ćwiczenia, to komunikat Wojskowego Systemu Ostrzegania. Wykryto posleńskie statki, wychodzące z hiperprzestrzeni w bezpośredniej bliskości Ziemi...

Wszyscy zebrani odruchowo spojrzeli w górę. W tym samym momencie na krystalicznie czystym niebie rozbłysło białe światło – nuklearna eksplozja, oznaczająca miejsce przynajmniej jednego starcia w przestrzeni. Tommy spojrzął na ojca i kiedy ich oczy się spotkały, obaj obejrzeli się za siebie. Kiedy zdali sobie z tego sprawę, skrzywili się. Przez chwilę wydawało się, że na nowo połączyło ich coś, czego nie czuli od lat. Potem Duży Tom pobiegł na boisko, żeby zabrać córkę, a Tommy ruszył do samochodu.

\* \* \*

– ...Ogłaszam alarm dla planety Ziemia. Istnieje duże prawdopodobieństwo wylądowania wroga w waszym sąsiedztwie. Wszyscy żołnierze mają natychmiast stawić się w swoich jednostkach.

Wszystkie przebywające w powietrzu samoloty mają wylądować na najbliższym wolnym lotnisku. Stanowczo zaleca się, by obywatele bez przydzielonych obowiązków wojskowych niezwłocznie udali się do domów i pozostali tam aż do czasu dokładnego ustalenia obszarów lądowania wroga. Zarządza się natychmiastowe zamknięcie wszystkich zakładów pracy, z wyjątkiem niezbędnych punktów usługowych, takich jak sklepy spożywcze i stacje benzynowe. Prosimy śledzić wiadomości telewizyjne i radiowe. Bieżące informacje na lokalnych Stacjach Prognozy Pogody...

Wendy zaszokowana słuchała komunikatu. Tłumek wokół Teda przerzedził się, kiedy dziewczęta zaczęły szukać swoich rodziców.

Wendy została najdłużej i jeszcze przez chwilę patrzyła na Teda, po czym pomachała mu ręką na pożegnanie i odeszła.

\* \* \*

– ...Zaleca się, by obywatele nie korzystali z dróg krajowych, które przeznaczono dla ruchu oddziałów wojskowych. W przypadku zarządzenia ewakuacji prosimy poruszać się wytyczonymi szlakami ewakuacyjnymi. Za chwilę nadamy przemówienie prezydenta.

Dyspozytorka trzymała nad głową przenośny odbiornik radiowy.

Kiedy zaczęto powtarzać komunikat, komendant Wilson rozejrzała się wokół i powiedziała krótko:

– Wiecie, co robić. Czas wziąć się do roboty.

\* \* \*

Góra czarnego metalu pojawiła się wśród krótkiego błysku wylądowania plazmy w odległości niecałych sześciuset kilometrów; w skali kosmicznej była to jak walka w zwarcu. Zanim Takagi i Stinson zdążyli rozpocząć manewr uniku, działo plazmowe zdmuchnęło Stinsona z nieba. Takagi chwycił drążek sterowy, obrócił się, zwiększył ciąg i nacisnął aktywator Młota. Następna fala plazmy przeleciała niecałe trzydzieści metrów od jego maszyny.

Myśliwce zaprojektowane przez Zespół Lotniczy GalTechu były najbardziej zaawansowanymi technicznie statkami kosmicznymi, jakie kiedykolwiek zbudowano. Ponieważ Posleeni czasami potrafili zakłócać pracę radaru i ponieważ Galaksjanie upierali się, że kontrolą ognia nie mogą



zarządzać tylko automaty, w kokpicie musiał być człowiek. Oznaczało to, że okręty musiały nie tylko dysponować imponującymi systemami obronnymi, ale także wykonywać niemożliwe dla pierwszych projektantów manewry.

Główną bronią Posleenów przeciwko myśliwcom był system terawatowych laserów albo działa plazmowe podobnej mocy. Według galaksjańskich raportów z Barwhon i Diess Posleeni dysponowali doskonałymi systemami wykrywania i określania współrzędnych celu. Wiele wskazywało na to, że przewyższają pod tym względem Federację. Ponadto, ponieważ wiązka ich lasera poruszała się z prędkością światła, a promień plazmowy tylko niewiele wolniej, jedynie przy skrajnie dużych odległościach można było jeszcze myśleć o wykonaniu uniku, gdyż w innym przypadku czas dzielący wystrzał i trafienie był prawie zerowy.

Jednak każdy system bojowy, nawet Posleenów, po wykryciu celu potrzebował chwili na uruchomienie czujników naprowadzających.

Właśnie na tę chwilę liczyli Ziemianie. Myśliwce wyposażono więc w urządzenia zakłócające, mylące posleeńskie systemy namierzania. Przede wszystkim jednak myśliwce były niewiarygodnie zwrotne, więc mogły uchylić się, zanim posleeński system namierzy cel i odda strzał. Musiały również poruszać się z szybkością bliską prędkości światła.

We wszystkich statkach kosmicznych montowano kontrolery bezwładności, dzięki którym znaczne przyspieszenia statków nie powodowały zmiężdżenia załogi. Po miesiącach badań galaksjańscy naukowcy – filozofowie, podobni do krabów członkowie rasy Tchpth, stworzyli system stabilizacji bezwładności, który potrafił skompensować skutki ciężenia sześćset razy większego od ziemskiej grawitacji. Nadal jednak aktualny był problem uzyskania jak największego przyspieszenia.

Federacja stosowała dotychczas pole kompensujące, które nie powodowało powstania sił bezwładności wewnątrz statku. Chociaż był to bardzo wydajny system, miał też pewne ograniczenia.

Ziemscy członkowie zespołu projektującego przestawili szereg uwag na temat reakcyjnej i bezreakcyjnej siły ciągu i użyteczności niektórych materiałów stosowanych przez Galaksjan. Narodził się wówczas pomysł dopalacza na antymaterię. Antyprotony i wodę wtryskiwano do komory naporowej w stosunku trzy do jednego.

Kiedy ujemne protony stykały się z wodą, powstawały siły, które wykorzystywano do stworzenia ciągu. Większe stężenie antymaterii tworzyło dopalacz, nadający nowe znaczenie określeniu „Młot”.

Myśliwce space falcon mogły wykonywać manewr, do którego były zdolne wyłącznie operujące zmiennym ciągiem harriery.

Manewr ten wymyślił przypadkowo jeden z pilotów myśliwców podczas pojedynku jeden na jednego z F-16, uważanym w takich starciach za najlepszy na świecie. Młody pilot, nieobeznany jeszcze z harrierami, przez pomyłkę ustawił wszystkie wektory ciągu w przeciwnych do siebie kierunkach. Na szczęście znajdował się wystarczająco wysoko nad ziemią, by w krótkim czasie naprawić swój błąd.

Niespodziewanie dla siebie momentalnie zmienił kierunek lotu o sto osiemdziesiąt stopni i poleciał prosto na szybko zbliżający się F-16. Odpalił rakiety i zanurkował, dzięki czemu nie tylko uniknął powietrznej kolizji, ale też „zabił” zaskoczony i przerażony przeciwnika. Kiedy ustalono wreszcie, co właściwie zrobił i manewr udało się z sukcesem i bezpiecznie powtórzyć, wprowadzono go do regulaminu walki powietrznej dla harrierów. Od tej pory piloci innych samolotów zaczęli omijać pilotowane przez na wpół samobójczych marines harriery szerokim łukiem.

Space falcon F-2000 także potrafił wykonywać ten manewr. Użycie silników odrzutowych

i dopalaczy na antymaterię powodowało, że myśliwiec niemal natychmiast mógł zmienić kierunek lotu. Takao Takagi, który znalazł się nagle tuż obok posleeńskiej kuli bojowej, momentalnie użył wszystkich znanych mu sztuczek.

Obrócił myśliwiec dziobem do tyłu i odpalił silniki odrzutowe na antymaterię. Prawie jednocześnie uruchomił dopalacze. Użycie Młota było aktem desperacji, biorąc pod uwagę niskie prędkości względne, i wymagało nadzwyczajnych umiejętności. Jeżeli statek miał wektor prędkości albo przyspieszenia odwrotny niż wyrzucana z silników masa antymaterii, systemy statku przejmowały dodatkowe działanie przyspieszające antymaterii. Chociaż powstałe siły bezwładności były duże, system antyinercyjny potrafił je skompensować. Statek uzyskiwał wtedy skrajnie wysokie przyspieszenie.

Jednak kiedy wektor przyspieszenia był równy wektorowi przyspieszenia antymaterii – jak przy locie tyłem – istniało ryzyko nie tylko przeładowania kompensatorów bezwładności, a w konsekwencji zgniecenia pilota, ale też dotknięcia samego statku przez nie przetworzoną antymaterię, co mogłoby mieć katastrofalne skutki.

Przez chwilę pilot był poddawany ciężeniu ponad sześćdziesięciokrotnie większemu od ziemskiej grawitacji. Takie ciężenie natychmiast zabiłoby większość ludzi, ale odpowiednie przeszkolenie pilotów dawało im niewielką szansę przeżycia. Dla Takao Takagiego była to chwila, której miał nie zapomnieć do końca życia. Kiedy tylko wyszedł z chwilowego szoku, wystrzelił salwę lanc antymaterii. Małe, „inteligentne” pociski wielkości konwencjonalnej rakiety średniego zasięgu typu powietrze-powietrze posiadały układ penetracyjny, który pozwalał im przedostawać się do wnętrza posleeńskich lądowisk i niszczyć je albo przynajmniej poważnie uszkadzać.

Pilot zobaczył kulę bojową, która pojawiła się na wprost jego myśliwca. Odebrał też meldunki o innych rozsianych w przestrzeni zagrożeniach. Jego kula znalazła się na kursie oddalającym od Ziemi i o ciężale manewrowała już z powrotem na orbitę.

Była tak gigantyczna, że myśliwiec, zbliżony wielkością do bombowca z okresu drugiej wojny światowej, wyglądał przy niej jak mucha. Składała się z tysięcy małych statków i wypuszczała we wszystkich kierunkach pociski, kule plazmy i wiązki lasera. Kiedy Posleeni ruszyli na Ziemię, najwyraźniej postanowili zniszczyć wszystko. Nic nie mogło umknąć przed ich gniewem. Satelity rozbłyskiwały i ginęły jak ćmy w płomieniu, gdy plazma i wiązki lasera trafiały w ich kruche konstrukcje. Rodząca się Międzynarodowa Stacja Kosmiczna, odważne przedsięwzięcie chwilowo zarzucone na rzecz bardziej naglących prac w głębokim kosmosie, posłużyła za cel dla pocisku z ładunkiem antymaterii. Kawałki kosmicznego złomu, sektory statków orbitalnych oraz odrzucone powłoki i uszkodzone satelity, które zagrażały przestrzeń okołoziemską od lat sześćdziesiątych, zostały przez pozaziemskie kolosy usunięte z orbity.

Dziesiątki małych, szybkich pojazdów desantowych wchodziły w atmosferę, bombardując miasta i bazy wojskowe na całym świecie. Cztery z nich zniszczyły wielkie piramidy w Kairze, a sześć innych skierowało się na pustkowia środkowoamerykańskiej dżungli. Wybuchy odpowiadające eksplozji bomby atomowej o mocy dziesięciu kiloton były widoczne jako małe białe punkty na powierzchni planety.

Po kilku godzinach, dłużących się jak dni, Takao zużył wszystkie lance antymaterii i mógł już tylko zasypywać kulę gradem ognia z podwójnego terawatowego działła laserowego. W miarę zbliżania się do atmosfery kula dzieliła się na mniejsze statki: lądowiska i dodekaedry dowodzenia.

Takao musiał przerwać walkę. Myśliwce space falcon były przeznaczone tylko do lotów w kosmosie. Lekko aerodynamiczne i pozbawione osłon cieplnych, spaliłyby się przy wejściu w atmosferę z prędkością bojową.

Zawiedziony pilot zawrócił do Bazy Księżycowej, oglądając czarną kulę w tylnych kamerach. Widział, jak dzieli się na śmierny rój statków, kierujących się w stronę Pacyfiku i jego ukochanych ojczystych wysp.

**Pentagon, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 17:49 letniego czasu wschodniego USA, 9 października 2004**

– Mówi Bob Argent z siedziby Pentagonu. – Znany reporter miał ponurą minę. Stał w niczym nie wyróżniającym się korytarzu, a w tle widać było spieszące we wszystkich kierunkach postacie w zielonych, granatowych i czarnych mundurach. – Chociaż nie do końca można zgodzić się ze stwierdzeniem, że wojsko Stanów Zjednoczonych zostało zaskoczone posleńskim lądowaniem, prawdą jest, że Posleeni przybyli w większej liczbie i wcześniej, niż się ich spodziewano. W miarę rozwoju wypadków będziemy na żywo przekazywać najświeższe doniesienia z Pentagonu, z Dowództwa Armii Kontynentalnej, gdzie zaprzęgnięto do pracy najnowocześniejszy projektor lądowań, który pozwoli ustalić prawdopodobne rejony nalotów. Podobno zostaną one ostatecznie określone dopiero na pół godziny przed lądowaniem. W ciągu najbliższej godziny spodziewana jest krótka konferencja prasowa z udziałem Dowódcy Armii Kontynentalnej. Omówi on plan obrony i poda liczbę ofiar pierwszego bombardowania. Na żywo z Pentagonu, Bob Argent.

\* \* \*

Kiedy w radiu podano komunikat o pojawieniu się wroga, Shari Reilly zdjęła fartuch, podała go kierownikowi i wyszła z ciastkarni Waffle House, nie oglądając się nawet za siebie. Jeśli miał coś przeciwko temu, mógł jej wysłać czek. Klienci i tak wychodzili, mało kto płacił. Shari chciała być dobrze przygotowana do tej chwili, ale po zapłaceniu za lekarstwa, opłaceniu rachunków, czynszu i kupieniu jedzenia zostało jej niewiele pieniędzy. Miała w portmonetce trzydzieści dolarów i gdyby to było konieczne, zamierzała wystawiać чеки bez pokrycia. Teraz musiała odebrać dzieci.

Wszystko jedno, gdzie wylądują obcy, i tak zapanuje chaos, więc nie wolno za szybko rozstawać się z gotówką. Ale jeśli miała wyjechać z miasta, potrzebowała trochę rzeczy. Niemowlę – Susy nie była już w zasadzie niemowlęciem, miała dwa latka i była prawie tak duża, jak Kelly, ale nadal chodziła w pieluszkach – i mały Billy chorowali, więc będzie musiała kupić dla nich lekarstwa. Będą potrzebowali prowiantu, baterii i trochę butelkowanej wody. Kiedy odbierze dzieciaki, pójdzie do Wal-Martu albo Targetu, jak wszyscy inni mieszkańcy Fredericksburga.

Podeszła do swojego szarego, powgniatanego grand am, rocznik 1991, wyblakła piękność w wyblakłym ubraniu, z gładkimi włosami wysuwającymi się spod siatki na głowie, wsiadła i przekręciła kluczyk w stacyjce. Po kilku nieudanych próbach samochód wreszcie zapalił. Shari ruszyła wzdłuż drogi stanowej numer 3. Zastanawiała się, czy najpierw pójść na zakupy, czy po dzieci, ale nagle poczuła, że w obliczu zbliżającego się niebezpieczeństwa musi je mieć przy sobie.

Opiekunka chciała zatrzymać dzieci, kiedy Shari będzie na zakupach, ale jakoś zdołała je zabrać i ruszyła z powrotem w stronę centrum handlowego. Kiedy wyjechała na drogę stanową, korek samochodowy sięgał aż na trasę krajową numer 1.

Zawróciła, okrążyła sznur samochodów osobowych i odkrytych ciężarówek i skręciła w Guard Armory, gdzie znalazła stację benzynową. Kiedy nałała do pełna i podeszła do okienka, żeby zapłacić, zdobyła się na odwagę i wyciągnęła książeczkę czekową. Korzystała już z tej stacji i znała pana Ramani od trzech lat. Wiedziała, że się nie zgodzi, ale mimo to zapytała:

– Przyjmie pan czek?

Pan Ramani popatrzył na nią z najbardziej obojętnym wyrazem twarzy, jaki kiedykolwiek widziała u tego czarnego jak węgiel człowieka, po czym kiwnął głową.

– Niech pani wpisze późniejszą datę.

– Co?

– Późniejszą datę. A potem niech pani do mnie zadzwoni, kiedy będę mógł wziąć pieniądze.

Wyciągnął swoją wizytówkę i wcisnął jej w dłoń.

W oczach stanęły jej łzy, ale opanowała się i wypisała szybko czek.

– Proszę na siebie uważać – powiedział Hindus.

– Dobrze. Pan też – odpowiedziała. – Bóg zapłać – dodała szybko.

– Dziękuję, i oby twój dobry bóg prowadził panią i pani dzieci – powiedział i skinął na stojącego za nią mężczyznę. – Gotówką albo kartą!

– Dlaczego? – zapytał zdumiony klient i odłożył książeczkę.

– Bo pan ma pieniądze. Proszę zapłacić.

Shari wyszła na zewnątrz, z trudem powstrzymując się od płaczu, wsiadła do samochodu i włączyła się do ruchu.

\* \* \*

Podpułkownik Frank Robertson, dowódca dwieście dwudziestego dziewiątego batalionu saperów (lekkich, „Saperzy Przodem!”) Sił Lądowych Stanów Zjednoczonych, stał u szczytu stołu konferencyjnego w przepisowej pozycji „spocznij”. Kiedy tylko przyjechał do kwatery głównej we Fredericksburgu, tego samego popołudnia, wydał rozkaz wyniesienia z sali krzeseł, bo „i tak nikt nie będzie miał czasu, żeby usiąść”.

– W porządku, panowie – powiedział do zebranych w sali członków sztabu i dowódców kompanii – ćwiczyliśmy to wiele razy. Przyleciało ich więcej, niż się spodziewaliśmy, ale to w zasadzie nie robi nam wielkiej różnicy. Mamy pełne wyposażenie i amunicję wraz z niezbędnymi ładunkami wybuchowymi, a zanim otrzymamy informację na temat prawdopodobnych stref lądowań, powinna tu już dotrzeć większość naszych żołnierzy.

Nie dotyczyło to dowódcy kompanii Alfa oraz dowódcy saperów dywizji. Obaj byli poza miastem w sprawach służbowych; nie było szans, żeby zdążyli wrócić przed wylądowaniem Posleenów.

– W zasadzie istnieją tylko dwie możliwości: albo znajdziemy się w strefie lądowania, albo nie. Jeśli nie będziemy w tej strefie, podejmiemy walkę przeciwko rozproszonym wojskom wroga, dopóki nie przybędą posiłki wystarczające do odparcia ich najazdu.

Chcę, żeby wszystkie kompanie były w pełni wyposażone i gotowe do wymarszu, kiedy tylko otrzymają rozkaz. Macie plany wysadzenia każdego mostu w Wirginii oraz pierwszo-, drugo- i trzeciorzędnych celów. Zgodnie z rozkazami, jeśli Posleeni wylądują w regionie, za który odpowiadamy, czyli w środkowej Wirginii, przygotowujemy do zburzenia wszystkie mosty na drogach wyjazdowych z zaatakowanej strefy. Nie wolno wam, powtarzam: nie wolno wam wysadzać żadnego mostu bez bezpośredniego rozkazu, chyba że Posleeni znajdą się w zasięgu kontaktu, czyli poniżej tysiąca metrów od was.

Urwał i najwyraźniej zastanawiał się, jak sformułować następną myśl.

– Sądzę, że jeśli nawet o tym nie rozmawialiście, to na pewno przyszło wam to do głowy. Może się zdarzyć, i pewnie się zdarzy, że na niektórych mostach... będą uchodźcy, kiedy Posleeni pojawią się w zasięgu kontaktu. Wszyscy oglądaliście wiadomości i oficjalne doniesienia z Barwhon i Diess, i wiecie, co Posleeni potrafią.

Może was kusić, żeby przepuścić uchodźców i wysadzić most dopiero, kiedy wejdą na niego Posleeni. Panowie, uprzedzam: postawię przed sądem wojskowym każdego, kto to zrobi. Nie ma tu

miejsca na sentymenty. Wysadźcie most, kiedy tylko Posleeni zbliżą się do was na odległość pięciuset metrów. Nie możemy pozwolić sobie na ryzyko przejścia przez nich choćby jednego mostu. Czy to jasne? – Rozległ się pomruk potwierdzenia. – Bardzo dobrze, czy są jakieś pytania?

Podniosła się tylko jedna ręka dowódcy saperów dywizji. Był świeżym absolwentem Uniwersytetu Wirginii i finansowanej przez państwo Szkoły Oficerskiej, z której pochodziła większość tutejszych oficerów.

– Tak, poruczniku Young?

– A jeśli zostaniemy odcięci, sir?

Dowódca popatrzył na stojących wokół żołnierzy. Z większością z nich pracował razem od lat, i zastanawiał się, jak długo jeszcze będą spotykać się w tym samym składzie.

– Cóż, poruczniku, w takim wypadku będziemy musieli zginąć, a wraz z nami wszyscy, których kochamy. Wszystko, co możemy zrobić, to zabrać ze sobą do piekła jak najwięcej Posleenów.

Mueller od samego rana woził milczącego inżyniera po mieście. Objechali Fan i miasteczko uniwersyteckie, a wczesnym popołudniem południowe Richmond z jego niepowtarzalną mieszaniną zapachów petrochemii, zakładów papierniczych i przetwórci tytoniu. Teraz, kiedy zbliżał się wieczór, Mueller namówił go na wypad do Schockoe Bortom. Po krótkiej wizycie w tej dzielnicy zamierzał pojechać na Wzgórze Libby i pokazać gościowi panoramę Richmond.

Inżynier jednak kazał mu skręcić w Ulicę Dwunastą i jechać nią aż do Byrd. Po przyprawiającej o zawrót głowy serii zakrętów i trzech postojach, żeby zerknąć na mapę Instytutu Geodezji USA, zatrzymali się przy tunelu Schockoe Slip – pod kamiennym łukiem mostu, który łączył kiedyś miasto z Kanałem Kanawaha. Teraz prowadził on między dwoma nowoczesnymi kompleksami biurowców, otaczającymi dziewiętnastowieczne budynki.

– Coś pan wymyślił? – zapytał Mueller, kiedy inżynier znowu spojrzał na plan. Bardzo szczegółowe mapy, które dostarczył im Departament Inżynierii, piętrzyły się na tylnym siedzeniu rządowego sedana.

Keene mruknął coś pod nosem, po czym wysiadł z samochodu i zaczął się wspinać po kamiennych schodach prowadzących z Canal Street do Schockoe Slip. Zatrzymał się na szczycie i spojrzał w dół. Mueller popatrzył w tym samym kierunku, i chociaż zauważył kilka dobrych stanowisk dla małych jednostek, nie dostrzegł niczego, co mogłoby aż tak zainteresować słynnego na cały kraj inżyniera umocnień obronnych.

Oficjalnie żaden z głównych inżynierów ani przedstawiciele miasta nie mógł przybyć na oględziny terenu. Plan strategii obrony Richmond właściwie nie istniał, dlatego Dowództwo Armii Kontynentalnej przysłało tutaj Johna Keene'a. Uwagę dowódcy saperów trzeciej armii zwróciły zaproponowane przez niego rozwiązania wykorzystania rzeźby terenu przy budowie umocnień na rzece Tennessee.

Pomimo entuzjastycznego przyjęcia go przez dowódcę dwunastego korpusu, któremu powierzono zadanie obrony Richmond i południowej Wirginii, inni inżynierowie nie byli aż tak zadowoleni z wizyty Keene'a. Każdy z nich miał własną koncepcję obrony, co było główną przyczyną kłopotów z szybkim stworzeniem jednolitego planu.

Pułkownik Bob Braggly, dowódca brygady saperskiej korpusu, wolał zamienić Wzgórze Libby i Mosby w ogromną bazę ogniową i oddać Posleenom centrum Richmond. Miejski inżynier natomiast, licząc na wojskowe wsparcie dla Programu Fortec, odmówił oddania wrogowi nawet centymetra kwadratowego terenów miejskich, skłaniając się raczej ku koncepcji budowy murów obronnych wokół całego miasta.

Wezwano różne zespoły inżynieryjne, które miały przerwać ten impas. Zamiast tego każdy z nich

zapropował własną wizję albo skrytykował inne, stając tym samym po jednej ze stron konfliktu.

Dowódca korpusu uważał, że dostępnymi siłami nie da się obronić długich murów wokół miasta. Ale jeden z jego podkomendnych, dowódca dwudziestej dziewiątej dywizji piechoty, zignorował to i przekazał pierwszej armii stanowisko sztabu popierające wzniesienie murów. Tylko John Keene, niezależna osoba polecona przez dowództwo krajowe, mógł rozwiązać ten konflikt.

Keene jeszcze raz spojrzął na mapę, po czym przeszedł pod budynkiem Martin Agency i znalazł się na wysepce w pobliżu Schockoe Slip. Mueller nigdy nie korzystał z tego przejścia. Zorientował się, gdzie są, dopiero wtedy, kiedy zobaczył piwiarnię Richbrau. To był długi dzień i Mueller właśnie zastanawiał się, jak delikatnie zwrócić inżynierowi uwagę, że może czas już kończyć, kiedy Keene wreszcie się odezwał.

– Myślę o Diess.

– Ja też – stwierdził Mueller. – Ale dzisiaj gorąco jak na październik.

W rzeczywistości było dosyć chłodno, ale sierżant chciał dać do zrozumienia, że dobrze by im zrobił zimny Ole Nick. Jednak Keene sprawiał wrażenie, jakby stracił kontakt z rzeczywistością.

– Mam pana zagadywać – zapytał Mueller – czy zamknąć się i słuchać?

Keene w milczeniu spojrzął na fontannę pośrodku wysepki.

– Kapitanie Morgan, naprawdę mi przykro z powodu tego, co panu zrobimy – mruknął do siebie. Potem odwrócił się do Muellera i wskazał kciukiem na drugą stronę ulicy. – Czas na piwko, sierżancie.

Kiedy usiedli w półmroku piwiarni, Keene nagle się ożywił. Wypił łyk piwa i stuknął palcem w mapę.

– Niech mi pan powie, jak się zabija Posleenów?

– Nie wiem. – Mueller czekał, aż Keene powie coś więcej, gdyż zdawał sobie sprawę, że inżynier po prostu go sprawdza.

– Najlepiej zatrzymać ich tam, gdzie przewagę daje rzeźba terenu, sztuczna lub naturalna. Nadaża pan? – odezwał się Keene.

– Tak.

– Na Diess Ziemianie zamienili bulwary w doliny zniszczenia.

W Tennessee wykorzystaliśmy do tego mury i tunele. Najpierw trzeba wodzić ich za nos, a potem zapędzić do zagrody i ostrzelać z karabinów, dział maszynowych i artylerii.

– Tutaj się nie uda – sprzeciwił się Mueller. – Wieżowce są zbyt niskie, a odległości za małe. Poza tym najpierw wściekłyby się miejski inżynier, potem jego kumpel gubernator i jeszcze dowódca dwudziestej dziewiątej dywizji piechoty, a na końcu sam prezydent.

– A poświęciliby Schockoe Bortom? – zapytał spokojnie Keene.

Mueller zastanowił się nad tym przez chwilę.

– Możliwe – odpowiedział w końcu. – Możliwe.

Teren był na wpół opustoszały; znajdowało się tu tylko kilka zakładów i barów zaopatrujących miejscowych żołnierzy w alkohol.

– Na wszystkich planetach, które Posleeni najechali w ciągu ostatnich stu pięćdziesięciu lat, wszystkie dobra i środki produkcji mieściły się w megawieżowcach – powiedział Keene. – Fabryki Galaksjan także znajdują się w wieżowcach, więc Posleeni na pewno będą chcieli je zdobyć, zwłaszcza że są stosunkowo małe. Z którejkolwiek więc strony Richmond wylądają, ruszą na centrum miasta.

Richmond powinno do tego czasu zostać ewakuowane. Miejski inżynier może psioczyć, ile chce, ale DowArKon przeznaczył centrum miasta na strefę obrony. A więc zwabimy Posleenów do

Schockoe Bortom. Inżynier będzie musiał, po pierwsze, sprawić, żeby Posleeni dotarli właśnie do Schockoe Bortom, a po drugie, żeby nie mogli się już stamtąd wydostać.

– Posleeni wchodzą... – zaczął z uśmiechem Mueller.

– ...ale nie wychodzą. Rozumiemy się? Chciałbym jeszcze po drodze przyjrzeć się tym wzgórzom.

– To Wzgórze Libby – następny punkt w planie zwiedzania miasta.

– Ale przedtem chciałbym obejrzeć dokładnie Bortom. Można by tu stworzyć parę pozycji bezpośredniego ostrzału. Myślałem o strzelaniu zza rzeki.

– A czemu nie skorzystamy z wałów przeciwpowodziowych? – zapytał Mueller. – Mogą się wprawdzie przerwać, ale przecież można by je wzmocnić.

– Jakich wałów przeciwpowodziowych? – zapytał zdziwiony inżynier.

\* \* \*

John Keene zmierzył wzrokiem wysoki na dziewięć metrów i na kilometr długi wał przeciwpowodziowy i roześmiał się jak dziecko.

– O rany – wskazał na widoczne na ścianie oznaczenie Korpusu Saperów: zamek z dwoma wieżami – Posleeni zniechęcą jeszcze ten znak.

Przez następne dwie godziny krążyli z Muellerem między umocnieniami, Schockoe Bortom i przyległymi terenami. W końcu znaleźli się w parku Mosby na wzgórzu o tej samej nazwie, gdzie grupka przedszkolaków bawiła się pod czujnym okiem wychowawców.

– Moglibyśmy obsadzić zbocze tymi pokracczymi, strzelającymi rurami...

– Ma pan na myśli moździerz? – zapytał ze śmiechem Mueller.

– Właśnie, moździerz. Wie pan, że mają większą zdolność rażenia niż o wiele większe działa? – ciągnął z ożywieniem Keene.

– Tak, wiem.

– To dlatego, że nie potrzebują tak ciężkiej osłony.

– Wiem, proszę pana.

– Dobra. A więc zablokujemy z tej strony wyjście, burząc opuszczone fabryki i sypiąc gruz na zbocze.

– Jasne. – Mueller naszkicował plan za pomocą przekaźnika.

– Z drugiej strony wybudujemy mur łączący umocnienia przeciwpowodziowe i Ethyl Corporation Hill. Mur będzie się ciągnął dalej wokół miasta, głównie wzdłuż Canal i Dwunastej do Trzynastej, a potem ulicami aż do 95.

– Świetnie – stwierdził Mueller.

– Dlaczego świetnie?

– Bo ominie Richbrau.

– Właśnie – zaśmiał się Keene. – Nie pomyślałem o tym.

– Inaczej musielibyśmy zmienić przebieg muru.

– Zgadza się – zaśmiał się znowu Keene i zamyślił na chwilę.

– A dlaczego jesteśmy w Crownie Plaża, a nie w Barkley Hotel?

To przecież tuż przy Richbrau.

– Ze względu na twardzieli.

– Co?

– Cyberpunk. Byli tam pierwsi. Jedna z zasad Sił Specjalnych głosi: nigdy nie mieszaj cyberpunków z komandosami, nie uda się...



– A co, u licha, robią cyberpunkci w Richmond?

– ...i nigdy nie pytaj cyberpunków, co tutaj robią.

– Aha. – Keene pokręcił głową i znowu zajął się pracą. – A więc plan obrony miasta przedstawia się następująco. Bronimy obszaru od 95 do końca Franklin. Blokada wszystkich wejść do miasta. Bezpośredni ostrzał ze wszystkich budynków. Dalej wzdłuż Trzynastej, potem do Dwunastej przy Cary i aż do Byrd. Stara elektrownia zostaje na zewnątrz muru. Budynek Rezerw Federalnych i Riverfront Plaża – wewnątrz. Umocnienia obronne aż do Belvedere Street, potem w dół do rzeki i jedyne kawałka muru, który trzeba będzie zbudować. Z którejkolwiek strony przyjdą Posleeni, zastaną wszystkie drogi do Schockoe Bortom otwarte, a wszystkie pozostałe zamknięte. Trzeba ustawić żołnierzy na tyłach muru i napchać nimi wieżowce, a potem kazać im ostrzelać otoczony murem obszar. Artylerię i moździerze umieścimy na wzgórzach. Jeśli Posleeni będą tylko po stronie północnej, możemy ustawić artylerię na południe od rzeki James i strzelać do nich przez cały dzień. Boże – John urwał na chwilę, a oczy zapłonęły mu niemal żywym ogniem – to będzie cudowne.

– Proszę tylko pamiętać – ostrzegł go Mueller – że żaden plan nie sprawdza się w konfrontacji z wrogiem.

– Jak to? – zapytał zaskoczony Keene.

– Nie powiedzieli panu o tym w Tennessee?

– Nie. Co pan ma na myśli?

– To taki wojskowy aksjomat. – Mueller obserwował, jak na ulicach zaczyna się popołudniowy ruch. – Druga strona też chce wygrać, więc stara się pomieszać nam szyki. Poza tym mogą zajść nieprzewidziane wydarzenia, jak na przykład zmiany w rozkazach albo zła łączność, tak jak to było w przypadku Szarży Picketta.\*[\* (1825-1875) – amerykański generał walczący w wojnie secesyjnej po stronie konfederatów. Stracił trzy czwarte swoich żołnierzy w nieudanej bitwie pod Gettysburgiem w 1863 r.] Lee powiedział: „Nie szturmuje”, a przekazano wiadomość: „Szturmuje”. W ogniu walki czasami podejmuje się błędne decyzje.

– W każdym razie na wypadek, gdyby coś poszło źle, tworzy się też plany alternatywne. Można wtedy podczas akcji na bieżąco wprowadzać zmiany. Oprócz tego trzeba mieć jeszcze plan IDD.

– Plan IDD?

– Plan „Idź do diabła”. Wykorzystuje się go, kiedy zawiodą wszystkie inne plany. Można go też nazwać „Walka do ostatniej kropli krwi”.

– Aha.

– Więc jaki jest pana plan IDD?

– Nie wiem – powiedział Keene, kontemplując krajobraz w dole – nie umiem planować na wypadek klęski.

– A więc ktoś pieprzył jak potłuczony, kiedy mówił, że jest pan ekspertem w dziedzinie obrony. Kłaniają się wojskowe powiedzenia: „Oczekuj zwycięstwa, ale przygotuj się na klęskę” i „Kto w niepewnym polu manewruje, w śmiertelnym polu walczy”.

– Jedyne powiedzenia, jakie znałem przed włączeniem się do programu obrony planetarnej, brzmiały: „Nigdy nie zgłaszaj się na ochotnika” i „Nigdy nie daj się wciągnąć w wojnę lądową w Azji”.

– No to teraz zna pan – Mueller policzył na palcach i uśmiechnął się – jeszcze trzy inne.

Keene zaśmiał się, a w tym momencie zaćwierkał przekaźnik Muellera.

– Sierzancie Mueller.

– Tak? – spytał Mueller z uśmiechem.

– Pięć posleńskich kul bojowych wyszło właśnie z hiperprzestrzeni na orbicie okołoziemskiej. Obrona ziemską przewiduje możliwość wylądowania Posleenów w ciągu najwyżej trzech godzin.

Ton głosu był tak obojętny, że upłynęła dłuższa chwila, zanim nowina dotarła do ich świadomości.

– Co?!

Mueller poczuł, jak oblewa go zimny pot. Spojrzał w górę i drgnął, widząc, jak na bezchmurnym niebie rozblęsnęło światło. Wybuch reaktora antymaterii był doskonale widoczny nawet w jasnym świetle słońca.

– Pięć posleńskich kul bojowych wyszło właśnie z hiperprzestrzeni na orbicie okołoziemskiej. Obrona ziemską przewiduje możliwość wylądowania Posleenów w ciągu najwyżej trzech godzin – powtórzył przekąźnik.

Mueller spojrzał na Keene'a, który nadal wpatrywał się w nieboskłon ponad miastem, i wywołał przekąźnik.

– Tak, sierżancie Mueller?

– Skontaktuj się ze starszym sierżantem sztabowym Mosovichem.

Powiedz mu, żeby kazał dowódcy korpusu zaprzestać układania projektów obrony. Chyba mamy świetny pomysł.

– Już rozumiem, o co chodzi z tymi awaryjnymi planami – powiedział Keene. – Chyba powinienem zacząć się zastanawiać nad planem IDD.

**Pentagon, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 18:20 letniego czasu wschodniego USA, 9 października 2004**

– Mają państwo wszystko, co trzeba? – zapytał generał Horner, podchodząc do stołu konferencyjnego.

Spotkanie ogłoszono jako konferencję prasową, ale agencje prasowe w rzadkim przypływie zdrowego rozsądku zgodziły się, żeby w Centrum Armii Kontynentalnej był tylko jeden przedstawiciel każdego typu mediów.

Do czasu zakończenia budowy centrum obrony planetarnej w Błękitnym Paśmie głównym ośrodkiem obrony Stanów Zjednoczonych miał być Pentagon. Napelniało to Jacka Hornera niepokojem; bywał już w pierwszej linii walki i nie przeszkadzało mu to, ale nie było to dobre miejsce do dowodzenia bitwą na skalę kontynentalną.

Przekaznik pomagał, jak mógł, ale i tak nie będzie łatwo, gdyby Posleeni zaczęli deptać im po piętach. A w świetle ostatniego doniesienia wydawało się to bardzo prawdopodobne.

– Cóż, sir, w zasadzie nie przekazano nam żadnej innej informacji oprócz pierwszego ostrzeżenia – odpowiedział Argent jako nieoficjalny rzecznik dziennikarzy.

Chociaż inni przedstawiciele mediów także współpracowali z Pentagonem, żaden z nich nie miał doświadczenia Argenta ani jego nazwiska. Kamerzysta, też stary „pentagonowiec”, delikatnie skierował kamerę na generała.

– Rozumiem – powiedział Horner, zaciskając usta w gniewie.

Polecił przecież, aby Biuro Informacji Publicznej Pentagonu zajęło się sprawnym przepływem informacji!

– Przydzielę państwu podpułkownika Tremonta, mojego starszego adiutanta. – Wskazał na szczupłego, ciemnoskórego podpułkownika, który mu towarzyszył. – Pomoże państwu ominąć wszelkie procedury, które ewentualnie staną wam na drodze. Uznaliśmy, że możecie podać do wiadomości publicznej wszystko, co tu usłyszycie.

Daję wam stuprocentowy dostęp do informacji, które dotyczą obszaru moich kompetencji. Jeśli ktoś miałby jakieś wątpliwości, może zgłosić się bezpośrednio do mnie.

Argent aż osłupiał ze zdziwienia.

– Dziękuję, sir. Jest pan pewien?

– Tak miało być od samego początku, może mi pan wierzyć albo nie. Chcę porozumiewać się nie tylko z żołnierzami, ale także z obywatelami Stanów Zjednoczonych. Moim zadaniem, moim obowiązkiem jest chronić ich i informować o niebezpieczeństwie. Najlepiej za państwa pośrednictwem – wskazał na ekipę telewizyjną – i państwa kolegów z radia. – Wskazał na przedstawicieli radia ABC.

– Proszę mi wybaczyć – teraz zwrócił się do dziennikarzy z gazet i fotografów – ale was to dotyczy w mniejszym stopniu.

Jego stwierdzenie wywołało wybuch śmiechu.

– Więc możemy zaczynać? – spytał Bob.

– A co, jeszcze nie zaczęliśmy?

– No... – zawiesił głos Argent.

Nie miał dotąd wiele do czynienia z dowódcą Armii Kontynentalnej, ale wyczuł, że jego uśmiech nie oznacza niczego dobrego.

– Czy pański kamerzysta nie filmował wszystkiego? – zapytał krótko Horner. – Idiotę pan ze mnie robi? Przecież widzę, że wszyscy notują.

– Właściwie ma pan rację – przyznał Argent. – W takim razie, generale Horner, minęła godzina, odkąd Posleeni opuścili hiperprzestrzeń. Co się w tym czasie działo?

– Doszło do kilku bitew kosmicznych z patrolami myśliwców i przebrojonymi fregatami. Posleeni przybyli uzbrojeni lepiej, niż Przypuszczaliśmy i jest ich więcej, niż wynikało z galaksjańskich danych i naszych doświadczeń z Barwhon i Diess. Pojawili się wyjątkowo blisko Ziemi, niebezpiecznie blisko. Uniemożliwiło to Flocie zaatakowanie ich liczącymi się siłami. Wylądują na powierzchni Ziemi prawie nie osłabieni, podczas kiedy my straciliśmy w walce wiele myśliwców i fregat. Muszę jednak przyznać, że członkowie Floty wykonali kawał dobrej roboty, zważywszy na tak znaczną przewagę sił wroga.

– Czy moglibyśmy zobaczyć jakieś nagranie? – zapytał jeden z radiowców.

– Zaraz je dostaniemy z centrum operacyjnego. Chociaż udzieliłem pozwolenia na pełen dostęp do informacji, muszę też dodać, że mamy tu robotę do zrobienia i musimy ją wykonać najlepiej, jak umiemy. Czy to jasne?

– Tak – odpowiedzieli reporterzy, zastanawiając się, o co mu chodzi.

– Nie będę odciągał teraz moich ludzi od ich obowiązków, więc sami pójdziemy do CIC. Wszyscy są tam bardzo zajęci, pracują w wielkim skupieniu, więc proszę zachowywać się spokojnie i nie przeszkadzać im. To taka jakby biblioteka wojskowa. Żadnych hałasów, zdjęć z fleszem ani świateł kamer. – Przeszywał ich przez chwilę bazyliżkowym spojrzeniem. – Jeśli ktokolwiek zachowa się w CIC niewłaściwie, każę żołnierzowi w pancerzu wspomaganym wyprowadzić was z budynku, zastrzelić i wrzucić do Potomacu.

Reporterzy byli pewni, że generał posłużył się tylko przenośnią, ale kiedy popatrzyli uważnie na jego ponurą twarz i zimne oczy, ogarnęły ich wątpliwości.

– Później zostawię was z grupą naszych techników, którzy spróbują zintegrować wasze systemy z naszymi. Chcę, żebyście dowiedzieli się, gdzie wylądują Posleeni, w tym samym czasie, kiedy ja się o tym dowiem. Ale nie przeszkadzajcie nam w pracy. Czy to jasne?

– Jasne – odpowiedzieli zgodnym chórem dziennikarze.

Zazwyczaj uporczywie drążyli temat albo zaskakiwali rozmówców trudnymi pytaniami, co było niezawodnym sposobem na uzyskanie wspaniałego materiału dziennikarskiego. Ale tym razem czuli, że nie powinni tego robić. Mieli bowiem do czynienia z ludźmi, którzy mogli uratować życie nie tylko im, ale też ich rodzinom i wszystkim, których kochali.

Horner i jego adiutant poprowadzili ich krótkim korytarzem do strzeżonego przez żandarmów dużego, ciemnego pomieszczenia, zastawionego ziemską i galaksjańską maszyną. Na wprost drzwi wisiała mapa z zaznaczonymi na kolorowo pięcioma możliwymi rejonami lądowania. Te tereny, na których prawdopodobieństwo najazdu było mniejsze, zaznaczono na żółto, a tam, gdzie większe – na pomarańczowo i czerwono. Główne rejony spodziewanego ataku znajdowały się na Atlantyku, Pacyfiku, w południowo-wschodniej Azji i Indiach, w środkowej Azji i Afryce. Operator kamery zaczął filmować, niezbyt pewny, czy zdjęcia będą wystarczająco wyraźne, żeby pokazać je na antenie.

Rejony lądowań były bardzo rozległe. Na przykład rejon atlantycki rozpościerał się od Chicago po Berlin, a afrykański nakładał się na południowo-wschodnioazjatycki. Rejon Pacyfiku samym skrajem stykał się z rejonem południowo-wschodniej Azji w pobliżu Filipin. Wszystkie pięć rejonów niemal całkowicie zakrywało północną półkulę.

– Cała zakryta – szepnął reporter z Atlanta Journal Constitution.

– Na tym ekranie są tory satelitów – stwierdził szeptem podpułkownik Tremont. – Tory zielone to działające jeszcze satelity i urządzenia wojskowe, a niebieskie to urządzenia cywilne.

– Nasz sygnał rozchodzi się tylko dzięki wybranym naziemnym łączom do operatorów sieci kablowych i przez Internet – szepnęła producentka CNN. – Pagery oraz telefonia komórkowa i stacjonarna w zasadzie nie działają.

– Tego ekranu oczywiście nie używa się do planowania operacji taktycznych – wyjaśnił pułkownik Tremont. – Ale przydaje się jako mapa pogładowa.

– Pułkowniku – zapytał cicho Argent – czy strata satelitów wpłynie negatywnie na jakość ognia artyleryjskiego, pracę dowództwa i kontrolę działań wojennych? Rozumiem, że przy tworzeniu planów bojowych korzystano głównie z satelitarnych systemów określania położenia.

– Tak rzeczywiście może się stać, ale trzeba jeszcze pamiętać o Służbie Badań Geologicznych Stanów Zjednoczonych. Wojskowy i cywilny personel umieścił w całym kraju znaczniki terenowe, na większości obszarów w odstępnie najwyższej kilometra od siebie.

Położenie i wysokość nad poziomem morza tych znaczników wprowadzono do uniwersalnej bazy danych. Teraz, kiedy tylko dana jednostka artylerii ustawi się na odpowiedniej pozycji, po prostu znajdzie odległość w pionie i poziomie do najbliższej znacznika terenowego i wprowadzi te dane do systemu. W odpowiedzi otrzyma swoje położenie z dokładnością co do milimetra. Inne jednostki stosują podobny, chociaż nieco mniej dokładny system. Straty są więc duże, ale znaczniki terenowe skutecznie zastąpią GPS.

– A co z namierzaniem celu? Czy to też nie opierało się na GPS?

– To samo dotyczy namierzania celu. Obserwator ustala odległość do najbliższego znacznika i do celu, po czym wysyła nie przetworzone dane do komputerowego systemu namierzania. Wszystko to można zrobić zwykłym laserowym układem określania odległości. System namierzania wykona obliczenia i wyda odpowiednim jednostkom rozkaz otwarcia ognia. Wszystko to jest całkowicie zautomatyzowane.

– Uda nam się? – zapytał reporter Journal Constitution.

– To dobre pytanie.

– Mówił pan coś o integracji sprzętu, generale – zagadnęła producentka.

– Oczywiście, proszę pozwolić, że przedstawię: major George Nix.

Generał Horner skinął na drobnego majora w okularach, a ten pospiesznie opuścił swoje stanowisko przed jednym z ekranów i zbliżył się do nich.

– Major Nix przyjechał z Dowództwa Kosmicznego i jest naszym oficerem od systemów taktycznych. Dbą o to, żeby wszystkie systemy były spójne i działały. Przedstawiam państwu jeszcze pułkownika Forda. Pułkownik Ford – nazywamy go oficerem operacyjnym – nadzoruje wydawanie decyzji taktycznych o ruchach wojsk. Majorze Nix, czy mógłby pan dać dziennikarzom dostęp do anteny i jakoś podłączyć ich kamery? Chcę, żeby wszyscy w Stanach Zjednoczonych mieli natychmiastowy dostęp do naszych danych.

– Tak, sir, spodziewaliśmy się tego. – Zwrócił się do jednego z techników wizyjnych. – Chodź ze mną.

Nix wraz z technikiem opuścili pomieszczenie, a reporterzy poszli za nimi, robiąc notatki na temat panującej w pomieszczeniu atmosfery. Major poprowadził ich korytarzem do dobrze oświetlonego wnętrza, gdzie przed ekranem klóciło się dwóch kaprali i lekko otyły sierżant.

Na widok dziennikarzy kaprale pospiesznie opuścili pomieszczenie, a sierżant zajął się panelami konfiguracyjnymi.

– Proszę państwa, będziecie mieli więcej możliwości niż się spodziewaliście, ale mniej niż

jesteście do tego przyzwyczajeni. Mamy tu dwa stanowiska dla dziennikarzy z prasy i radia, z których będą państwo mogli przysyłać przez Internet informacje do waszej kwatery głównej, ABC, w formacie RealAudio. Z sieci korzysta teraz mniej osób niż w zwykły dzień roboczy, więc powinni państwo szybko uzyskać połączenie. Konsole są wyposażone w prosty interfejs graficzny użytkownika. Kliknięcie prawym przyciskiem myszy na obszarze mapy powoduje zmniejszenie jej skali aż do rozmiaru kwadratu o boku dziewięciuset sześćdziesięciu pięciu kilometrów.

To nie jest mapa polityczna. Stworzono ją na podstawie zdjęć satelitarnych, więc przydałoby się, żeby ktoś znał się na geografii.

– Sierżancie – zapytała producentka CNN – czy można utworzyć drugie połączenie foniczne z CNN?

– Tak, jeśli ktoś ma tam Interphone albo NetMeeting.

– A w jaki sposób?

Sierżant podszedł do konsoli i nacisnął klawiaturę.

– Jaki jest ich URL?

W ciągu kilku minut sierżanci i kaprale, którzy przekierowali wcześniej internetowe linie typu T-3, żeby zwiększyć dostępną dla komputerów szerokość pasma przenoszenia, skonfigurowali wszystkie zapasowe konsole CIC, aby ułatwić mediom pracę. Reporterom z wrażenia odjęło mowę.

– Sierżancie – powiedziała producentka CNN, kiedy skończyła przygotowywać się do następnej rundy raportów – jeśli będzie pan potrzebował pracy, kiedy to wszystko się skończy, proszę się do mnie zgłosić.

– Pomyślę o tym, kiedy to się skończy.

Pytanie, kiedy do tego dojdzie i czy ktokolwiek z nich będzie wtedy jeszcze żył, zawisło między nimi nie wypowiedziane.

– No, teraz możemy już tylko czekać – powiedział Argent, obserwując, jak na monitorze zmniejszają się spodziewane rejony lądowania.

– Gdzie jest punkt zborny żołnierzy ponownie wezwanych do służby? – zapytał operator, patrząc na własny monitor, żeby się upewnić, czy wiadomość została odebrana.

– W Atlancie.

– Biedacy.

\* \* \*

– Trzymaj się, skarbie. – Mike założył górę swojego jedwabnego uniformu.

– Ty też się trzymaj, tatku.

– Słuchaj się dziadka, dobrze? I bądź grzeczna.

– Dobrze, tatku. Kiedy przyjdą Posleeni, dopadniemy kilku, a potem uciekniemy i się schowamy.

– A potem ja przyjdę i was uwolnię – obiecał.

– Dobrze. – Skrzywiła się, próbując powstrzymać się od płaczu.

– Uważaj na siebie, synu – powiedział ojciec i podał mu pękatą flaszkę na drogę.

– Na pewno będę uważał. Za bardzo boli, jak postrzelą.

– Daleka droga przed tobą.

– Za daleka. Posleeni zdążą już wylądować, zanim dotrę do Południowej Karoliny.

Spojrzał na flaszkę, wzruszył ramionami i wypił haust. Ognisty płyn przyjemnie spłynął mu do żołądka. Mike zakręcił butelkę i włożył ją do torby.

– Którędy jedziesz?

– Chcesz wiedzieć, czy będę na trasie lądowań?

– Właśnie. Dwudziesta czwarta dywizja ochotnicza Tennessee jest na trasie jako rezerwa Działu Tennessee, a cała pięćdziesiąta trzecia dywizja piechoty pilnuje Rabun Gap. Więc chyba nic nam nie grozi. Ale ty jedziesz w stronę Pensylwanii. Przez równiny czy przez góry?

– Jeszcze nie wiem. Przez równiny byłoby szybciej, ale Shelly twierdzi, że jest to teren możliwych lądowań, więc...

– Więc którą?

– Przez góry – zdecydował Mike. – Krajową 81. Lepiej stać w korkach niż dać się zaskoczyć Posleenom.

– Chcesz go? – W rękę starego człowieka nagle pojawił się Glock kaliber 9 mm.

– Nie. Już się spakowałem. A propos. – Sięgnął do torby i wyjął elegancko rzeźbione drewniane pudełko w kolorze bladej purpury.

Podał je Cally. – To chyba dobry moment, żebym dał ci prezent urodzinowy.

Otwarcie okrągłego, podobnego do labiryntu zamka sprawiało jej kłopot. Wprawdzie po pociągnięciu za któryś fragment labiryntu zamek obracał się wokół osi, ale mimo to pudełko pozostawało zamknięte.

– To pudełko-układanka Indowy. Niestety nie mam czasu czekać, aż sobie z nią poradzisz. Patrz.

Unióśł jednocześnie trzy fragmenty zamknięcia i przekręcił je, dopóki nie połączyły się w coś przypominającego wielogłowego smoka. Zamek otworzył się i uniosło się wieko, a z wnętrza wypełził wąż i rozpoczął swój taniec. Ziejący ogniem hologram tańczył nad otwartym pudełkiem, a Cally wzdychała z zachwytu.

– Nadal dostaję prezenty od klanów Indowy w podzięce za Diess.

Większość z nich przekazuję żołnierzom i ich rodzinom, ale temu nie mogłem się oprzeć.

W pudełku, zawinięty w lśniący jedwab, leżał pistolet i dwa magazynki.

– Mam w samochodzie skrzynię amunicji. To jest broń impulsowa, która strzela kulami z ładunkiem elektrycznym. Każdy ładunek jest dość silny, żeby powalić słonia. W magazynku jest dwadzieścia pięć kul. Wprawna ręką można trafić w cel z około dziewięćdziesięciu metrów. – Wyjął magazynek z kieszeni. – A to jest magazynek amunicji ćwiczebnej. Żeby z niego skorzystać, trzeba naładować wmontowany w broń kondensator. – Zwrócił się do Mike’a Seniora. – Ładuje się przy 220 woltach.

– W porządku.

– Dzięki, tatau. – Cally wzięła broń i zważyła ją w rękę. – Jest bardzo lekki.

– Bo zaprojektowano go dla Indowy. Jest wykonany z lekkich polimerów borowych. Ta broń zabije każdego Posleena – w przeciwieństwie do twojego Walthera.

Mały pistolet wprawdzie stale się zacinał, ale był jednym z niewielu na świecie, które pasowały do małej dłoni Cally. Ponieważ Posleenom trudno było zrobić krzywdę małą kulą kaliber .380, o małej prędkości początkowej, dziadek O’Neal wypełniał pociski rtęcią. Posleen, który oberwałby taką kulą, może by nie zginął, ale na pewno poczułby, że coś go popieściło.

Cally ostrożnie obejrzała broń.

– Jak się wyjmuje magazynek i gdzie jest ten przeklęty bezpiecznik?

Mike roześmiał się i wyciągnął dysk komputerowy.

– Tu jest instrukcja, przeczytaj ją w laptopie. Na razie musisz mi wierzyć, że nie jest naładowany.

– Dzięki, tatau – roześmiała się i odłożyła pistolet do pudełka. – Jesteś super.

– Poćwicz trochę. Wiem, że dobrze ci idzie z tą zabawką Jamesa Bonda, ale ta jest mocniejsza i bardziej pasuje do twojej ręki. Wolałbym, żebyś się z nią zapoznała na wypadek, gdybyś musiała

jej użyć.

– Dobra.

Zmierzył jej włosy i pomyślał, że jej matka musiała być do niej bardzo podobna, kiedy była w jej wieku.

– Uważaj na siebie, dobrze, złotko?

– Dobrze.

Znowu w jej oczach stanęły łzy, a radość z podarunku ustąpiła miejsca niepokoju.

– I słuchaj dziadka.

– Już to mówiłeś.

– Przykro mi, że nie pojechaliśmy do bazy, żebyś mogła zobaczyć moją jednostkę.

– Nie szkodzi, zrobimy to, kiedy skopiesz Posleenom dupę i wyślesz ich z powrotem w kosmos.

Mike Junior popatrzył z wyrzutem na ojca, ale ten tylko wzruszył ramionami bez cienia wyrzutów sumienia.

– Co wolisz: małą damę czy małego wojownika?

Mike objął Cally i podniósł ją do góry.

– Do zobaczenia, złotko.

Wtuliła się w jego ramiona, powstrzymując szloch.

Postawił ją na ziemi, chwycił torbę i ruszył do drzwi.

Cally i dziadek zesli za nim po schodach i stanęli przed domem.

Mike wziął skrzynię pocisków impulsowych z przedniego siedzenia samochodu i podał ją ojcu. Wrzucił do środka pojazdu torbę i po raz ostatni wziął córkę w ramiona.

– Co zrobisz, jak tutaj wylądują?

– Strzełę, ucieknę i się schowam.

– Dobra.

– Nie martw się o nas, tатku, ty będziesz miał więcej kłopotów.

– Martwisz się o mnie, złotko? – zapytał Mike, szczerze zaskoczony.

Dziewczynka się rozplakała.

– Och, złotko – uśmiechnął się – nie przejmuj się mną.

Założył wojkulary, osadził sobie na głowie komunikator i uśmiechnął się ponuro.

– W końcu sprowadziłem Posleenów tu, gdzie chciałem. Oni jeszcze tego nie wiedzą, ale niedługo dostaną niezły wycisk.

Rozejrzał się po polach, wśród których dorastał, i zastanowił się na tym, co właśnie powiedział. Jego kompania była dobrze wyszkolona i gotowa do walki. Mogło się udać. Żołnierze w to wierzyli.

Wierzył w to także dowódca batalionu i sztab. Pułk był o tym przekonany na mur.

Gdyby tylko jeszcze on sam mógł nabrać takiej pewności.

\* \* \*

Mueller, podobnie jak Mosovich, Ersin i Keene, miał zdziwioną minę. Zaproponowany przez Keene'a plan obrony miasta nie spotkał się z aprobatą burmistrza ani inżyniera miejskiego.

– Sądziłeś, że wymyśli pan jakieś kompromisowe rozwiązanie, panie Keene, a nie nowy plan zniszczenia miasta – warknął burmistrz i huknął pięścią w stół.

– Nie mam zamiaru zniszczyć miasta, panie burmistrzu, tylko mały jego fragment.

Pański plan w ogóle nie uwzględnia obrony przedmieścia – zauważył miejski inżynier, kiedy przyjrzał się szczegółowej mapce wydrukowanej przez przekąźnik Muellera.



– Program Fortec też nie przewiduje obrony większej części miasta – przerwał mu inżynier korpusu – na co wskazywaliśmy już wiele razy.

Dowódca korpusu nieznacznym gestem dłoni polecił mu się zamknąć, nie chcąc dopuścić do kłótni.

– Ta ognista pułapka w Schockoe Bortom trochę przypomina Program Fortec, ale dostępne materiały wystarczą tylko na jedną zewnętrzną fortecę – ciągnął inżynier miejski – zamiast proponowanych kilku.

– Tak, ale za to wykorzystamy warunki terenowe – zauważył Keene. – To jest naprawdę jedyne miasto, gdzie mamy do dyspozycji dwie doskonałe pozycje dla naszych oddziałów i tym samym możliwość wzięcia Posleenów w krzyżowy ogień. A zewnętrzna forteca może udzielić wsparcia ogniowego, gdyby wojska zostały zmuszone do odwrotu w stronę Newport News.

– A co z resztą miasta? Co z południowym Richmond? Naszym głównym okręgiem przemysłowym?

Dowódca korpusu znowu uciszył pułkownika Braggly’ego gestem dłoni, aby Keene mógł odpowiedzieć.

– Nie da się go obronić. Z wyjątkiem kilku łagodnych wzniesień, tylko rzeka James stwarza tam dogodne warunki terenowe. Możliwe są cztery scenariusze rozwoju wypadków, panowie – ciągnął Keene niewzruszonym tonem – i trzeba sobie wyraźnie powiedzieć, na czym one polegają. Sierżancie Mueller, jaki jest najlepszy możliwy scenariusz dla Richmond?

– Posleeni wylądują za osłaniającymi przeszkodami terenowymi i obszarem, na którym mogliby stanowić bezpośrednie zagrożenie.

– Zgadza się – potwierdził Keene. – W takim wypadku kilka dni później nasz korpus mógłby wyruszyć tam, gdzie będzie bardziej potrzebny.

– Co? – wykrzyknął burmistrz. – Po jaką cholere?

– Aby ratować potrzebujących, panie burmistrzu – odpowiedział spokojnie dowódca korpusu. – Mam nadzieję, że inne korpusy zrobiłyby to samo dla nas. Jestem nawet pewien, że by to zrobiły. Oczywiście, jeśli Posleeni wylądują w Kalifornii, nigdzie nie pójdziemy.

– Myślałem o lądowaniu na przykład na południe od Broad River albo na północ od Potomacu – dodał Keene. – A teraz, starszy sierżancie Ersin, jaki jest najgorszy scenariusz?

– Wylądują prosto na nas.

Jego pokryta bliznami twarz wciąż miała kamienny wyraz, a oczy wpatrywały się w dal.

– W takim wypadku – powiedział Keene z prawie niezauważalnym błyskiem w oku – wprowadzimy w życie nasz plan IDD.

– Nasz co? – zapytał inżynier miejski.

– Nasz plan „Idź do diabła” – wyjaśnił Mosovich z twarzą tak samo kamienną jak Ersin.

– Plan, który stosujemy, kiedy wszystkie inne zawiodą – dodał dowódca korpusu i pokiwał głową z uznaniem dla cywilnego inżyniera.

– „Plan śmiertelnego pola”, jak się go czasem określa – wtrącił milczący dotąd szef sztabu.

– Nasz plan „Wdepnęliśmy w gówno” – nie pozostawił żadnych wątpliwości Keene – będzie polegał na zniszczeniu miasta, panie burmistrzu. Zostawimy Posleenom tylko dymiące zgliszcza. Zaminujemy i wysadzimy w powietrze każdy budynek, do którego się zbliżą. Nie zostawimy ani jednego okrucha żywności, a odchodząc usuniemy nawet ciała zabitych. Zlikwidujemy jak najwięcej Posleenów, ale przede wszystkim pokażemy im, że walka z Ziemianami to śmierć, głód i ból.

Rozejrzał się po pokoju i spostrzegł, że po raz pierwszy wszyscy się z nim zgadzają.

– A już na pewno walka z mieszkańcami Wirginii – dodał inżynier miejski z bladym, smutnym

uśmiechem.

– Niech będzie, sir. Ja jestem z Wielkiego Stanu Georgia, sami zobaczycie – powiedział z charakterystycznym dla tego regionu akcentem, czym wywołał mały wybuch wesołości. – Ale to jest najgorszy scenariusz. Są jeszcze dwa; czy ktoś spróbuje zgadnąć, jakie?

– Wylądują albo na północ, albo na południe od James, ale nie prosto na nas – powiedział dowódca korpusu.

– Właśnie. Jeśli wylądują na południe od James, proponuję wycofać się na drugi brzeg i czekać na wsparcie. Możemy pomajstrować trochę przy mostach i murze przeciwpowodziowym po tej stronie rzeki, żeby narobić im szkód, ale zasadniczo najlepiej po prostu czekać i strzelać do nich z artylerii. Jeśli wylądują po północnej stronie rzeki, będziemy mogli wprowadzić w życie nasz plan pułapki ogniowej. Oczywiście jeśli już teraz zaczniemy przygotowania.

– Powiedział pan, że nasz plan się powiedzie, jeśli wylądują między Potomakiem i James. A jeśli wylądują na północ od Fredericksburga? – powiedział miejski inżynier. – Nie sądzę, żeby udało mi się uzyskać zgodę właścicieli na wyburzenie budynków.

– Nie potrzebujemy jej – rzucił inżynier korpusu. – Należy to do niezbędnych prac obronnych w czasie wojny. Mamy prawo do zajęcia posiadłości.

– Sprawa będzie się ciągnąć potem w sądzie przez całe lata – lamentował burmistrz.

– Mogą ubiegać się o sprawiedliwe odszkodowanie – powiedział dowódca korpusu – i na tym sprawa się kończy.

– Właśnie – potwierdził Keene – właściciel posiadłości nie ma nic do gadania, jeśli na jego terenie trzeba wybudować niezbędne umocnienia obronne, zatwierdzone przez odpowiedzialnego za dany region dowódcę, czyli w tym wypadku generała Keetona. – Wskazał na dowódcę korpusu siedzącego u szczytu stołu. – Może nawet wydać takie zarządzenie, od którego nie przysługuje odwołanie ani teraz, ani później.

– Z drugiej jednak strony – zauważył generał Keeton i zmarszczył czoło – będzie nam potrzebna pomoc całej cywilnej ludności.

Nie możemy pozwolić sobie na zatargi z miastem, a już na pewno nie z jego przedstawicielami. – Wskazał na burmistrza i inżyniera. – Będzie nam potrzebne panów całkowite i jednomyślne poparcie.

– Naprawdę musimy zniszczyć Schockoe Bottom? – zapytał smutno burmistrz. – Nie wygląda wprawdzie najlepiej i jest tam duża przestępczość, ale to miejsce o historycznym znaczeniu.

– Panie burmistrzu – powiedział łagodnie Mueller – dziś lub jutro zacznie się zupełnie nowy rozdział w historii Richmond. Nie wiadomo tylko, czy ktoś przeżyje, by to opisać.

Burmistrz spojrział bezradnie na miejskiego inżyniera.

– Nadal uważam, że moglibyśmy otoczyć sztańcami całe miasto.

– Można to było zrobić wcześniej – odpowiedział Keene – ale teraz nie mamy już na to czasu. W Programie Fortec nie przewiduje się utrzymania miasta jako całości. Chodzi raczej o dokopanie Posleenom i ocalenie historycznego centrum.

Dowódca korpusu kiwnął głową.

– Zgadza się. Panie burmistrzu? Panie inżynierze? Potrzebne nam panów czynne wsparcie. Czy panowie są z nami?

– Tak, tak. – Burmistrz spojrział na inżyniera miejskiego, który też pokiwał głową w milczeniu. – Tak, jesteśmy z wami.

– W porządku. – Dowódca korpusu zwrócił się teraz do szefa korpuśnych saperów. – Proszę wdrożyć plan pana Keene'a. Może pan wprowadzić pewne modyfikacje, ale proszę trzymać się

głównych założeń.

– Jak go nazwiemy? – spytał szef sztabu.

– Może „Operacja rzeźnia”? – zażartował Mueller.

– Właściwie – powiedział dowódca korpusu, który już nie pierwszy raz organizował obronę przeciwpancerną – wolę „Operację Big Horn”[\* Aluzja do walk z Indianami w paśmie Big Horn w stanie Wyoming.]

Wojskowi zaśmiali się, ale cywile raczej wyglądali na zakłopotanych.

– Dlaczego Big Horn? – zapytał wreszcie burmistrz.

– Bo najpierw trzeba ich zwabić w potrzask... – zaczął Mueller.

– A potem rozgnieść na miazgę – dokończył Ersin, a jego oczy były zimne jak u rekina.

\* \* \*

– Proszę państwa – sierżant Folsom zajrzał do pokoju – to może was zainteresować. Komputery zaraz wskażą ostateczne rejony lądowania Posleenów.

Przez ostatnią godzinę reporterzy podawali informacje na żywo, ale właściwie zawierały one stale te same treści. Argent poderwał się z miejsca i stanął przed amerykańską flagą, którą przyniesiono z sąsiedniego biura generała. Przygotowywał się do występu w wiadomościach. Technik po raz kolejny sprawdził dane z komputera.

Rejony lądowań przestały się stykać, a atlantycki, z wyjątkiem wydłużonego końca, który nadawał mu wygląd przecinka, prawie całkowicie odsunął się od wybrzeży Europy. Wyglądało na to, że ten atak Europejczyków ominie.

– Trzy, dwa, jeden...

– Właśnie otrzymaliśmy doniesienie, że za chwilę komputery systemu obrony wyznaczą ostateczne cele ataku Posleenów. Jak już wielokrotnie informowaliśmy, dopóki kule bojowe Posleenów nie znajdą się na trajektorii wejścia w atmosferę, obszary ich lądowania pozostają nieznane. Jak doniesiono nam z Palo Alto, wróg zajął jedną orbitę planety i znalazł się pod ostrzałem myśliwców Floty. – Na znak producentki pospieszenie skończył. – Przełączamy się teraz na bezpośredni obraz z komputerów obrony...

\* \* \*

Pułkownik Robertson pochylił się w stronę telewizora w kwaterze starszych oficerów i zaciągnął się dymem z fajki...

\* \* \*

Mały Tommy Sunday przestał pakować sprzęt wojskowy do plecaka i odwrócił się w stronę radia...

\* \* \*

Porucznik Young przestał obsesyjnie przeglądać plany wyburzania...

\* \* \*

Generał Keeton odwrócił się od burmistrza i spojrział na telewizor...

\* \* \*

Na całym świecie ludzie przerwali swoje zajęcia i czekali, aż Amerykańskie Dowództwo

Obrony albo Kwatera Główna Armii Rosyjskiej, albo Kwatera Główna Japońskich Sił Obrony, albo Kwatera Główna Chińskiej Armii Czerwonej przypieczętuje ich los, czy to zły, czy też dobry.

– Pokażemy teraz obraz rejonów lądowania w Ameryce – ciągnął chłodno Argent. – Będę państwa informował na bieżąco o innych strefach, i kiedy tylko zostaną określone ostateczne punkty ataku, znowu pokazemy większą mapę. W tej chwili z całą pewnością możemy stwierdzić, że istnieją znikome, czy wręcz zerowe szanse wylądowania Posleenów w Australii, Południowej Ameryce, Ameryce Środkowej, Europie i Rosji. Mało prawdopodobne jest również ich wylądowanie w środkowozachodnich Stanach Zjednoczonych. Głównymi celami wydają się natomiast zachodnia Afryka, Indie i Bangladesz, północne wybrzeża Chin, wschodnie Stany Zjednoczone i okolice Uzbekistanu i Turkmenistanu. Rejony lądowań są określane coraz bardziej precyzyjnie. Rejon amerykański koncentruje się na wschodnim wybrzeżu między Filadelfią a... terenami środkowej Południowej Karoliny.

Rejon zmniejszył się gwałtownie i przybrał jednolitą, złowrogo czerwoną barwę.

– Kieruje się teraz nad Waszyngton... – dziennikarz ciągnął z coraz większym napięciem w głosie; czuł, że żołądek podchodzi mu do gardła...

– Przesuwa się na południe... Richmond, Wirginia... Na północ i... Waszyngton...

W końcu elipsa oznaczająca ten region zatrzymała się pośrodku rzeki i zaczęła pulsować złowieszczym szkarłatem. Argent ucichł na chwilę, przerażony obrazem widocznym na konsoli.

– Celem – urwał na moment, żeby się opanować – celem ataku Posleenów, panie i panowie, jest Fredericksburg w Wirginii.

*Wysłali nas w bój, dali proch, dali broń,  
 By wrota, co szturmowi wyważy ich dłoń,  
 Królewski saper im nagiął wpierw,  
 Królewski saper, Anglii syn,  
 Który stopień i żołd ma saperski!  
 Dziś na froncie mąż jeden orężnie wciąż trwa,  
 Konnica zaś tylko trud koni swych zna,  
 Królewski saper ich wspiera znój,  
 Królewski saper, Anglii syn,  
 Który stopień i żołd ma saperski!  
 Już dziś artyleria opuszcza ten kraj,  
 Lecz my wciąż walczymy o triumfu nasz raj,  
 Królewski saper to nasz jest fach,  
 Królewski saper, Anglii syn,  
 Który stopień i żołd ma saperski!*

– Fragment: „Saperzy”  
 Rudyard Kipling, 1896

### **Fredericksburg, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 19:50 letniego czasu wschodniego USA, 9 października 2004**

– Cywile są już w drodze, pułkownik – powiedział oficer zaopatrzenia, członek sekcji logistyki. Przejął zadania Departamentu Spraw Cywilnych i Rodzin, ponieważ nie miał żadnych innych obowiązków. Cały sprzęt i amunicję już rozproszono, a nie planowano kolejnych dostaw.

– To dobrze – stwierdził dowódca kompanii Charlie – bo Posleeni wylądują za jakieś piętnaście, dwadzieścia minut.

– Dane telemetryczne wskazują, że pojawią się w wielu różnych miejscach – powiedział pułkownik Robertson. – Prawdopodobna strefa lądowania rozciąga się od Potomaku w Maryland do hrabstwa Spotsylwania. Najwyraźniej chcą zaatakować sam Fredericksburg, natomiast teren w bezpośrednim otoczeniu miasta pozostanie wolny. Kapitanie Avery – zwrócił się oficera zaopatrzenia – proszę zebrać dzieci poniżej szesnastego roku życia, które kierują się z rodzicami do miasta. I niech pan każe wszystkim wziąć się do roboty.

– A co mają robić? – spytał zaopatrzeniowiec.

– Niech przygotują nasz plan „Idź do diabła”. Kapitanie Brown – Robertson zwrócił się teraz do dowódcy kompanii Charlie – proszę zacząć rozmieszczać żołnierzy w okopach wokół miasta i dalej, aż do między stanówki.

– Tak jest, sir – powiedział dowódca kompanii i zapisał polecenia w swoim zielonym notesie.

– Avery, niech ktoś zadzwoni do stacji radiowej i powie im, żeby nadali komunikat, że wszyscy z ciężkim sprzętem mają się zebrać na...

– Parkingu Mary Washington College – dokończył drugi oficer kompanii.

Wraz z oficerem operacyjnym wzięli mapę taktyczną od dwóch uaktualniających ją szeregowych i zaczęli szkicować plan bitwy. Szef sztabu i dowódca kompanii pracowali razem od lat, jak to się

często zdarza w jednostkach Gwardii Narodowej. Potrafili niemalże czytać sobie nawzajem w myślach.

Robertson był tu nowy, ale zdążył już zauważyć, że oddział dysponował wyjątkowo dobrze zorganizowanym sztabem, jak na tymczasową jednostkę. Dowódcy świetnie ze sobą współpracowali. Jeśli udałoby się utrzymać takie tempo i nie dopuścić do upadku morale, centaurowate bydlaki miała spotkać niemiła niespodzianka.

– I niech wszyscy oprócz walczących skierują się do centrum miasta. Proszę skoordynować ich pracę wraz z Departamentem Bezpieczeństwa Publicznego. Kompania Bravo...

– Zaminuje most Chatham... – powiedział kapitan Avery, dowódca kompanii Bravo, patrząc na mapę na ścianie.

– I jeszcze most kolejowy i Jeff Davis, ale most na międzystanowej 95 nie, bo jest za daleko – dodał dowódca.

– Rozejrzę się wśród cywilów. Jeśli będą wiedzieli, co trzeba robić, uzbroję ich.

– Zgadza się, mamy mało żołnierzy.

Wielu wojskowych postanowiło zostać w domu zamiast stawić się na wezwanie.

– Niektórzy maruderzy na pewno się pojawią – stwierdził Avery – bo i tak nie ma gdzie uciekać.

– Ani gdzie się ukryć – dodał ponuro Brown, dowódca kompanii Charlie, myśląc o żonie i dwóch synach, przebywających teraz w mieście.

– Panowie – powiedział pułkownik, który miał szczęście, że jego dzieci były już dorosłe i mieszkały daleko stąd. – Wielu z was ma żony i dzieci w mieście. Nie pora, żeby biec im na pomoc, chociaż osobiście bardzo chciałbym wam na to pozwolić. Ale za chwilę wylądują Posleeni i znajdziemy się wewnątrz pierścienia oblężenia. Jak już mówiłem porucznikowi Youngowi – skinął na dowódcę saperów dywizji – musimy powstrzymać marsz wroga, zadając mu jak najwięcej strat, aby śmierć naszych bliskich była szybka i względnie bezbolesna. Powinniśmy też zastanowić się, jak zniszczyć możliwie najwięcej magazynów żywności, zanim dopadną nas Posleeni. Głowa do góry, prowadźcie żołnierzy i wykonujcie dobrze waszą misję. Możemy stawić czoła wrogowi tylko na polu walki, z uniesioną głową i bronią w ręku – zakończył. – A teraz wynoście się i do roboty.

Kiedy dwaj dowódcy kompanii opuszczali pomieszczenie wraz ze sztabem, porucznik Young zatrzymał na chwilę dowódcę batalionu.

– O co chodzi, poruczniku? W ogóle się pan nie odzywał.

– Myślałem o tym, co pan powiedział na pierwszej odprawie na temat śmierci nas wszystkich i naszych bliskich.

– I tak będzie – warknął pułkownik. Potem jego głos złagodniał.

– Do czego pan zmierza?

– Właśnie do tego, sir. Czy tak musi być?

– Nie ma gdzie uciec, synu, a wojska przebywające na zewnątrz pierścienia oblężenia nie przyjdą nam z pomocą.

– Ale za dwa, trzy tygodnie, może trochę dłużej, zajmiemy – my, czyli Stany Zjednoczone – z powrotem te tereny. Mamy dość ładunków wybuchowych, żeby zniszczyć każdy most w Wirginii.

– Nie wytrzymamy dwóch, trzech tygodni oblężenia przez cztery miliony Posleenów, mając tylko mały batalion saperów bez ciężkiego sprzętu.

– Sir, ja rozumiem, że nasza śmierć jest nieunikniona, pogodziłem się z tym, ale co z naszymi rodzinami? – zapytał zamyślony dowódca saperów dywizji. Zaczął szybko mrugać oczami, ukrytymi za grubymi szklami okularów.

- Poruczniku...
- Mam! – Młodszy oficer strzelił palcami.
- Co?

– Zastanawiałem się nad... Niech pan posłucha, sir... Cholera, ale to skomplikowane.  
– Chwileczkę, synu, o czym ty mówisz?

Dowódca saperów dywizji myślał jeszcze przez chwilę, po czym ożywił się, jakby znalazł ostatni brakujący kawałek układanki. – Dobra, sir, już wiem. W przeciwieństwie do większości pańskich oficerów, pochodzę stąd. W szkole średniej interesowałem się historią Fredericksburga. Dowiedziałem się między innymi, że pod miastem biegały całkowicie zapomniane tunele, które łączą się z suterrenami bloków. Jeśli ukryjemy w tych tunelach kobiety i dzieci, Posleeni i tak ich znajdą, zgadza się?

– Chwileczkę, kto jeszcze wie o tych tunelach? Nigdy o nich nie słyszałem! Gdzie one są i czy są wystarczająco duże? – zapytał zaskoczony dowódca batalionu.

– Nie wiem dokładnie, ale na pewno ktoś to wie – odpowiedział porucznik. – Używano ich w dziewiętnastym wieku, podobno do przenoszenia towarów z łodzi. Nawet miejscowi o nich nie wiedzą, ale jestem pewien, że ktoś z zakładu wodociągów albo miejskiej inżynierii będzie wiedział, gdzie one są. Muszą to wiedzieć.

– To nie problem – powiedział pułkownik. – Ale Posleeni i tak ich tam wywęszą.

– Dlatego musimy im wmówić, że we Fredericksburgu nic dla nich już nie zostało.

– Ale jak to zrobić?

– Olbrzymią eksplozją – odpowiedział zaaferowany młodszy oficer. – Byłoby świetnie, gdybyśmy mieli do tego broń jądrową.

– Ale nie mamy.

– Zaraz za miastem jest destylarnia ropy naftowej Quarles, sir.

Wypełnimy kilka budynków gazem ziemnym i wysadzimy je w powietrze. Co pan powie na bombę paliwowo-powietrzna?

Pułkownik wyciągnął fajkę i zaczął w zamyśleniu pykać. Bomba paliwowo-powietrzna była niewiele gorszą bronią od głowicy nuklearnej. Podczas Pustynnej Burzy siły powietrzne Stanów Zjednoczonych zrzuciły przetłumaczone na arabski ulotki, w których zawiadamiano, że określonego dnia Amerykanie zrzucą taką bombę na tereny kontrolowane przez Iracką Gwardię Republikańską.

Broń miała zniszczyć wszelkie życie na obszarze dwóch kilometrów kwadratowych i wywołać poważne straty w promieniu trzech.

Zalecano więc całkowitą ewakuację wszystkich żołnierzy, żeby uniknąć niepotrzebnych strat w ludziach.

Oczywiście Saddam Hussein nie uwierzył, że taka broń w ogóle istnieje. W wyniku wybuchu bomby półtora batalionu żołnierzy, czyli ponad osiemset istnień ludzkich, zniknęło z powierzchni ziemi w ułamku sekundy. Rzecznik sił powietrznych natychmiast zorganizował konferencję prasową, żeby obalić zarzuty Saddama, jakoby Ameryka pierwsza użyła broni masowego rażenia.

Następnego dnia siły powietrzne Stanów Zjednoczonych ponownie zrzuciły ulotki zawiadamiające o planowanym wybuchu bomby paliwowo-powietrznej. Ta bomba nie spowodowała już żadnych ofiar, tylko pozostawiła szeroki na trzy mile pas gołej ziemi, który bez trudu można było zająć. Mówiono jednak o przynajmniej trzech irackich oficerach, którzy stracili życie, próbując powstrzymać swoich żołnierzy przed ucieczką z obszaru działania broni.

– Co powiem na bombę paliwowo-powietrzna? – powtórzył zamyślony pułkownik.

– Właśnie, sir.

– Powiem: zastanówmy się nad tym. Więc ukrylibyśmy w tunelach kobiety i dzieci, a potem detonowali ładunek paliwowo-powietrzny?

– Tak jest, sir – odpowiedział podekscytowany porucznik.

– A potem co?

– Bomba zabije wielu Posleenów, a ponadto będą myśleli, że wszystko w mieście zostało zniszczone, więc odejdą.

– A kobiety i dzieci wygrzebią się wtedy spod zburzonych budynków? Wie pan może przypadkiem, w jaki sposób zbudowano te tunele?

– Niestety nie, sir – odpowiedział porucznik.

To było dobre pytanie. Jeżeli tunele mają słabą konstrukcję, mogą się zawalić po przejściu fali uderzeniowej i zasypać tych ludzi, których miały uratować.

– A jaka jest spójność struktury ścian i ich wytrzymałość?

– Tego także nie wiem, sir – powiedział zupełnie zbity z tropu cywilny inżynier.

– Cóż, ja też nie – zamyślił się dowódca. – Najwyraźniej nie znamy odpowiedzi na wszystkie pytania. Ale wydaje mi się, że nasi posleeni przyjaciele nigdy nie czytali Sun Tzu.

Młody saper kiwnął głową.

– „Zepchnij wrogów na pozycje, skąd nie ma ucieczki, a zginą, nawet nie zarządzwszy odwrotu”.

– „W niebezpiecznym polu wynajduj fortele, lecz w śmiertelnym polu walcz” – dodał dowódca batalionu.

Do pokoju konferencyjnego zajrzał starszy sierżant sztabowy.

– Sir, przyszła komendant straży pożarnej z grupą gliniarzy i strażaków i pyta, czy mogą jakoś nam pomóc.

– Odeślij ich do oficera operacyjnego...

– Sierżancie, pułkowniku! – krzyknął nagle kierowca pułkownika, wpadając do pokoju. – Muszą panowie wyjść i to zobaczyć.

\* \* \*

Kiedy Shari w końcu wydostała się z Targetu, wydawało jej się, że minęły godziny, a ona ma tylko połowę potrzebnych jej rzeczy.

Przynajmniej tym razem pieniądze nie były problemem. Koncern Target i Federalna Agencja Zarządzania Kryzysowego oferowały wszystko w sklepach za darmo. Jedynym problemem było tylko dotarcie do półek sklepowych.

Najwyraźniej cały Fredericksburg przybył na Central Square.

Dwa razy zgubiła w zamieszaniu Billy'ego, a kiedy przedzierała się przez tłumy ludzi, ktoś co chwila wyszarpywał jej towary z koszyka.

W końcu doszła do wniosku, że to, co zdołała uchronić, musi jej wystarczyć. Wszystkie jej zdobycze mieściły się w czterech torbach na zakupy; trzy niosła sama, a jedną taszczył Billy. Dwa pudełka produktów mącznych, pieluchy, ścierki, trochę wody i soku w butelkach, kilka baterii. Niewiele, zważywszy, z jakim trudem to zdobyła.

Słyszała, że Posleeni kierują się na Fredericksburg. Kiedy torowała sobie drogę przez masy ludzi w kierunku stojącego w oddali samochodu, gwar wokół niej nagle ucichł, a tłum zatrzymał się i wszyscy spojrzeli w górę.

\* \* \*



Na wschodzie niebo płonęło. Setki rozżarzonych do czerwoności i ściśniętych w gigantyczną kulę ładowników opadały na obszar Wirginii. W świetle popołudniowego słońca wydawało się, że wełniste chmury i zmierzchające modre niebo przyozdabia ognisty diadem śmierci.

Wszyscy patrzyli jak zahipnotyzowani. Kula rosła i rosła, aż w ciągu kilku chwil zajęła cały wschodni horyzont. Potem zmieniła się w pierścień, a z pierścienia powstał gorejący mur ognia, który przygasał, kiedy ładowniki zwolniły poniżej prędkości orbitalnych.

Można już było odróżnić pojedyncze dwunastościenne bryły statków dowodzenia, otoczonych przez chroniące je ładowniki. Chwilę później w zgromadzony tłum uderzył naddźwiękowy grom.

Łoskot był tak silny, że ludzkie ucho nie mogło go wytrzymać.

Ludzie na parkingu rzucili się z krzykiem na kolana. Wielu z nich momentalnie ogłuchło.

\* \* \*

Shari wrzasnęła tak jak wszyscy i zakryła uszy dłońmi, a Billy padł na ziemię, wijąc się z bólu. Po dłuższej chwili Shari chwyciła dzieci i przemagając cierpienie ruszyła w stronę stojącej niedaleko ciężarówki, gubiąc po drodze z trudem zdobyte pakunki.

Tłum wokół wpadł w panikę. Jedni próbowali wrócić do sklepu, drudzy biegli do swoich samochodów, jeszcze inni, tak jak Shari, tłoczyli się pod osłoną nieruchomych pojazdów. Ktoś zaczął na oślep strzelać w niebo. Przygarnęła do siebie krzyczące z bólu i strachu dzieci. W uszach wściekle jej dzwoniło. Wśród huku wystrzałów spanikowany tłum przelewał się to w jedną, to w drugą stronę.

Nad centrum handlowym, wolno i majestatycznie niczym sterowiec na lekkim wietrze przeleciał ładownik. Osiadł łagodnie na wzgórzu Salem Church. Wrażenie lekkości, jakie robił statek wielkości piętnastopiętrowego budynku zniknęło, kiedy osiadł na ziemi.

Potworny huk zatrzęsł okolicą. Od strony parkingu z ładownika opadła piętnastometrowa rampa. Chwilę potem runął po niej żółty strumień Posleenów.

Wszyscy ci, którzy mieli przy sobie broń, skierowali ją w stronę masy centaurów i otworzyli ogień.

Shari złapała za rękę Billy'ego i Kelly, podniosła niemowlę i ruszyła w stronę miasta.

Po prostu wstała i poszła. Tak jak wtedy, kiedy Rorie upił się i zupełnie mu odbiło. Gliny nie raz kazały jej uciekać, ale ona zostawała. Zawsze uważała, że będzie wiedziała, kiedy nadejdzie na to czas. I kiedy nadszedł, okazało się, że wcale nie było to takie trudne. Wystarczyło tylko zabrać dzieci, wyjść z domu, wsiąść do samochodu i odjechać. Może później będzie czas wrócić i zabrać rzeczy. A może nie. Chodzi tylko o to, żeby uciec cało.

Wystarczy odejść i iść przed siebie. Chociaż ze wszystkich stron słychać trzask wystrzałów, a nad głową świszczą kule. Chociaż w jeepie przed tobą nagle pojawia się krecha wielkich dziur, a stojący za nim i ostrzeliwujący się policjant leci do tyłu w rozbryzgu wnętrzości.

Trzeba iść i nie oglądać się za siebie, chociaż tłum próbuje wyrwać ci dzieci szybciej, niż jakikolwiek sąd, a jazgot głosów obcych i huk ich karabinów jest coraz bliżej.

**Richmond, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 20:25 letniego czasu wschodniego USA, 9 października 2004**

– Kompanie saperskie trzydziestej szóstej, czterdziestej dziewiątej i sto piątej dywizji zmechanizowanych jadą tu międzystanową numer 95 – powiedział oficer operacyjny dwunastego korpusu, kiedy spojrział w swój notes. – Pozostałe dywizje przejdą przez James i zburzą za sobą most. To tyle, jeśli chodzi o Fort A. P. Hill. Cywilów już tam nie ma.

Likwidowano tymczasową kwaterę główną, którą dwunasty korpus założył w budynku Pierwszej Unii. Posleeni zajmowali już tereny na północ od James, więc i ten obszar mógł szybko wpaść w ich ręce.

Zebranie odbywało się we wspianiałej czteropoziomowej sali konferencyjnej. Obecni byli członkowie sztabu, dowódca, kilku oficerów operacyjnych i wywiadu, główni dowódcy miejscowych wojsk i wszędobylscy przedstawiciele Sił Specjalnych.

– Moi chłopcy są gotowi do akcji – powiedział pułkownik Walter Abrahamson, dowódca pierwszego szwadronu dwudziestej drugiej dywizji kawalerii, jednostki kawalerii pancernej przydzielonej do obrony Richmond i przyległych terenów.

Dowódca był wysoki i szeroki w barach jak pancerne bestie z jego jednostki. Zakrzywiony nos i melancholijne spojrzenie zdradzały jego pochodzenie. Ponury, nieprzenikniony wyraz twarzy powodował, że mówiono, iż wygląda jak biblijna plaga szykująca się, by runąć na wrogów jego ludu. W jego lewym uchu połyskiwał, całkowicie wbrew przepisom, złoty kolczyk z gwiazdą Dawida.

– Niestety – stwierdził dowódca korpusu – nie mamy dla was żadnych przygotowanych zadań.

– W takim razie proszę pozwolić nam odegrać naszą zwykłą rolę – uśmiechnął się pewny siebie dowódca kawalerii. – Rolę oczu i uszu.

– On ma rację – powiedział oficer wywiadu korpusu. – Jesteśmy praktycznie ślepi, bo wszelka łączność z Fredericksburgiem została zerwana. Komunikacja bezprzewodowa jest zakłócana, a jakieś dwadzieścia minut temu straciliśmy ostatni słup telefoniczny. W terenie krążą wysłannicy szeryfa hrabstwa Spotsylwania, ale oni zdołali nam tylko przekazać, gdzie nie ma Posleenów.

Nadal natomiast nie wiemy dokładnie, gdzie są. Musimy się tego dowiedzieć.

– Sir – powiedział sierżant Mueller – moglibyśmy zrobić więcej.

Możemy zaatakować.

– Czyżby? – spytała nieufna pani oficer wywiadu i planowania.

– Kawaleria ma bradleye i hunwee, które Posleeni otwierają jak puszkę konserw.

– Tak, ma'am, jeśli znajdą się na widoku. Ale miesiąc temu przespacerowałem się na północ i południe wzdłuż drogi numer 95 i trochę powęszyłem. Tuż za Fredericksburgiem jest diabelnie płasko, ale znalazłem kilka miejsc, skąd można by strzelać z góry. Ustawimy się na odpowiedniej pozycji i będziemy strzelać z maksymalnej odległości ataku, która dla dział dwudziestek piątek wynosi... ile?

Dwa tysiące metrów? – zwrócił się do dowódcy kawalerii.

– Coś koło tego.

– No więc damy salwę i chodu! – ciągnął Mueller. – Będzie to wymagało nieco wsparcia saperskiego, ale chyba wystarczy tylko kilka buldożerów. W ten sposób będziemy mieli wroga na oku, no i spowolnimy jego marsz.

– Możecie ponieść straty w ludziach – dowódca korpusu zwrócił się do dowódcy batalionu – a tych kilku Posleenów, których zabijecie, to i tak kropla w morzu ich głównych sił. Czy mimo to chcecie ich zaatakować?

– Tak, sir – odpowiedział oficer kawalerii z entuzjazmem – to jest zadanie dla kawalerii. Moi chłopcy są zwarci i gotowi do akcji.

– Bardzo dobrze. Sierzancie Mueller, pan i sierżant Ersin pojedziecie drogą – rozkazał dowódca korpusu. – Rozmówcie się przedtem z szefem saperów korpusu. Niech wam przydzielą cywilny sprzęt budowlany.

– Tak jest, sir – powiedział cicho Ersin.

– Pułkowniku – dowódca korpusu zwrócił się teraz do Abrahamsona – mamy do dyspozycji baterię samobieżnych sto pięćdziesiątek piątek. To nowy model, reaver. Proszę je zabrać ze sobą. Kiedy nadejdzie więcej wojsk, wyślemy jednostki szybkie jako posiłki dla was; reszta będzie się okopywać na wzgórzach Mosby i Libby. Niech szef wsparcia ogniowego koordynuje działania artylerii korpusu, skoro jesteście praktycznie odcięci od reszty dwudziestej drugiej dywizji.

Generał broni uśmiechnął się ponuro.

– Na koniec, pułkowniku, pamiętajcie, że nie wolno wam dopuścić do bezpośredniego ataku na waszą jednostkę. Jasne?

– Przy czterech milionach Posleenów? – zaśmiał się pułkownik kawalerii i odgarnął z czoła gęste, czarne włosy. – Generale, nazywam się Walter Jacob Abrahamson, a nie George Armstrong Custer.\*[\* (1839-1876) – młody amerykański generał. Jego wojska zostały rozgromione przez wojowników Siuksów i Czejenów w dolinie Little Big Horn].

– I proszę pouczyć swoich ludzi, żeby nie próbowali wchodzić do opuszczonych domów i zakładów pracy. Wygląda na to, że wykonamy plan „Spalonej Ziemi”.

\* \* \*

Parker Williamson zamknął drzwi frontowe, odgradzając się od widoku posleńskiego ładownika, który zgniótł dom Hawke'ów na końcu Bourne Street, i zaciągnął zasłony. Spojrzał na żonę. Po jej twarzy spływały strumienie łez.

– No – westchnął – chyba wyciągnęliśmy najkrótszą słomkę.

Do pokoju weszła ich córka.

– Będzie jeszcze grzmieć, mamusiu? – zapytała czterolatka, rozmazując łzy na policzkach.

– Nie, skarbie. – Jan Williamson wzięła na ręce dwuletniego synka, który także przydreptał z płaczem do pokoju. – Niczego już nie będziemy słyszeć.

Parker zamknął drzwi na klucz i podszedł do czerwonego panelu skrywającego standardowy domowy system bezpieczeństwa.

Otworzył drzwiczki. Nad klawiaturą z przyciskami zamigotało żółte światło i system zaczął pikać.

– Federalny Domowy System Samozniszczenia, tryb pierwszy aktywny. Wykryto emanacje Posleenów, sekwencja predestrukcyjna zatwierdzona. Podaj kod autoryzacji poleceń.

Parker wpisał kod i wcisnął przycisk zatwierdzenia.

– Imię i nazwisko?

– Parker Williamson.

– Proszę podać wymagany przez prawo federalne drugi kod autoryzacji.

Jan podeszła i wpisała drugą sekwencję znaków.

– Imię i nazwisko?

– Jan Williamson.

– Jan Williamson, czy zgadza się pani na rozpoczęcie procedur trybu pierwszego Federalnego Domowego Systemu Samozniszczenia? Zaznaczam, że system sygnalizuje emanacje Posleenów w najbliższym sąsiedztwie.

– Zgadza się.

Nastąpiła chwila przerwy, w czasie której panel sprawdzał, czy ich głosy odpowiadają zapisanym wzorcom. Światelko przybrało czerwoną barwę i w tej samej chwili włączył się domowy system bezpieczeństwa.

– System detekcji intruzów uruchomiony, sekwencja samozniszczenia aktywna. – W tym momencie w suterenie ich domu zaczęły się mieszać dwa środki chemiczne, oddzielnie zupełnie nieszkodliwe. – System uruchomi sekwencję samozniszczenia, jeśli do domu wejdzie ktoś nie upoważniony... Niech Bóg ma was w swojej opiece.

– Chodź, skarbie – Jan Williamson wzięła córkę na ręce i zamknęła w silnym uścisku – poczytamy sobie „Piotrusia Pana”...

\* \* \*

Generał broni Arkady Simosin, dowódca dziesiątego korpusu, odpowiedzialnego za obronę pomocnej Wirginii i Marylandu, żartobliwie nazywanego „Armią Potomacu”, spojrzawszy na gigantyczną plamę czerwieni na południe od jego wojsk.

– Niech dwudziesta dziewiąta wycofa swoje bataliony pancerne – powiedział do zastępcy do spraw operacyjnych i wskazał na ekran taktyczny. – Wsunęli je za daleko. Niech opuszczą Belvoir i Quantico i skierują się na północ od Potomacu. Tam będzie nasza linia obrony.

– Sir, dzwoniłem już do generała Bernarda. Powiedział, że przyjmie taki rozkaz tylko bezpośrednio od pana, i zamierza zaatakować skrzydło Posleenów, żeby odciągnąć ich od Fredericksburga.

– Co? – spytał z niedowierzaniem generał.

– Właśnie skończyłem z nim rozmawiać przez telefon.

– Wezwij go znowu.

Generał westchnął zirytowany, kiedy uzyskano połączenie.

– Generale Bernard?

– Słucham, generale?

– Zdaje się, że mój zastępca do spraw operacyjnych powiedział wam, żebyście wycofali swoje oddziały. Chciałbym wiedzieć, dlaczego odmówiliście.

– Wydaje mi się, że mogę nacisnąć na Posleenów i część z nich odciągnąć od Fredericksburga, a może nawet pozwolić dwięście dwudziestą dziewiątą na zorganizowanie ucieczki z pierścienia oblężenia.

Generał Simosin uważał generała Bernarda za doskonały przykład oficera, z którym nie da się już nic zrobić: aktywny i głupi.

Generał Bernard nie szczędził wysiłków, aby uzyskać przydział na stanowisko szefa sztabu – najwyższe wojskowe stanowisko dowódcze w Gwardii Narodowej Wirginii – jeszcze przed zagrożeniem najazdem Posleenów. Odmłodzenie wielu starszych oficerów, w tym również Simosina, skutecznie przeszkodziło mu w realizacji jego planów. Według generała Bernarda, to właśnie program odmładzania był przyczyną tego, że nie awansował na generała porucznika.

Prawda była taka, że poważnie zastanawiano się nad dyscyplinarnym wydaleniem go z wojska. Był chronicznie niesubordynowany, popełniał poważne błędy taktyczne i odmówił poddania swoich

jednostek pod komendę dziesiątego albo dwunastego korpusu.

Zamiast tego nalegał, żeby pozostały rozproszone w małych grupach po całym stanie.

Teraz znowu chciał popełnić błąd i wysłać żołnierzy na pewną rzeź. Niestety generał Simosin wiedział, że jeśli spróbuje wywrzeć na niego nacisk, ten idiota zgłosi się do dowódcy pierwszej armii i wymusi na nim odwołanie rozkazu. Gorzej niż na wojnie secesyjnej! No cóż, trudno.

– Generale, rozkazuję wam zawrócić wojska na drugi brzeg Potomacu. Nie uda nam się zatrzymać Posleenów, jeśli nie wykorzystamy tej naturalnej przeszkody, a ja nie zamierzam tracić żołnierzy w bezsensownej demonstracji siły. To jest rozkaz, niewykonanie go spowoduje pana aresztowanie.

– Cholera, generale, zdaje pan sobie sprawę, że to oznacza utratę Alexandrii, Pentagonu i Cmentarza Arlington? Nie mówiąc już o tysiącach amerykańskich obywateli we Fredericksburgu!

– I o lotnisku Washington National i Fort Belvoir. Umiem czytać mapę. I jestem w tej chwili na tym obszarze, jeśli wolno mi dodać.

Jestem w pełni tego świadom, podobnie jak dowódca Armii Kontynentalnej. Właśnie w tej chwili ewakuuje on ludzi z tego terenu.

– Możemy ich zatrzymać! To nie jest Barwhon ani Diess; możemy stawić im czoła i zadać duże straty. Proszę mi tylko dać jedną brygadę czterdziestej pierwszej dywizji, a zatrzymam ich jeszcze przed Quantico.

– Wydałem wam rozkaz odwrotu. Nie poślę żołnierzy na pewną śmierć. Generale, macie zawrócić oddziały, i to już. Odmowa będzie oznaczać niewykonanie bezpośredniego rozkazu w walce. To moje ostatnie słowo.

Mimo narastającego napięcia Simosin próbował mówić spokojnie.

– No cóż, skoro to pańskie ostatnie słowo, generale, niech będzie.

– Więc wycofajcie żołnierzy! Wyrażę się jaśniej: nie wolno wam atakować Posleenów bez bezpośrednich rozkazów ode mnie albo generała Keetona. Czy to jasne?

– Tak. Skontaktuję się z panem po wycofaniu wojsk.

– Bardzo dobrze. Zaczynjcie od razu. – Odwrócił się do członków sztabu, którzy przysłuchiwali się tej rozmowie.

– A jak... przebiega ewakuacja? – Generał Simosin zwrócił się do przedstawicielki Federalnej Agencji Zarządzania Kryzysowego.

– Dosyć dobrze, zważywszy na okoliczności – odpowiedziała. – Otworzyliśmy drogi do Waszyngtonu dla ciężkich pojazdów i kierujemy uchodźców za miasto. Do rana powinniśmy zakończyć ewakuację większości terenów północnej Wirginii. Pomogłoby nam otworzenie kilku dróg, z których nie korzysta wojsko. Wiem, że są przeznaczone do celów obronnych, ale pańskie oddziały nie używają ich często. Wystarczyłby nam jeden szlak dla wojska i jeden awaryjny.

Generał zwrócił się do zastępcy do spraw operacyjnych.

– Czy spodziewamy się dużego wzrostu natężenia ruchu?

– Nie, konwoje wycofują się z Belvoir i Quantico równomiernym strumieniem, tak jak to zaplanowaliśmy. Jeden batalion potrzebuje mniej więcej godziny, żeby przejechać. Nie powinno się to zmienić. Większość z nich kieruje się do Dystryktu Kolumbia, ale kilka wysłaliśmy wzdłuż Prince William Parkway do Manassas. Martwią mnie tylko cywilne pojazdy wjeżdżające na wojskowe szlaki.

– Wydadź rozkaz zatrzymania wszelkimi dostępnymi środkami każdego cywilnego pojazdu, który pojawi się na drodze wojska.

Niech wyświetlą rozkaz na tablicach świetlnych nad drogami. Potem przekaż Agencji nie

używane szlaki. Coś jeszcze?

– Nie, na razie sobie radzimy – odpowiedziała przedstawicielka Agencji – ale kiedy Posleeni dojdą na odległość kontaktu, możemy mieć problemy.

– Potrzebni są wam żołnierze?

– Trochę by się przydało. Najlepiej żandarmerii wojskowej.

– Operacyjny, co ty na to?

– Trzysta dwudziesty piąty batalion żandarmerii do pani usług, ma'am.

– Dziękuję – odpowiedziała przedstawicielka Agencji – to powinno nam wystarczyć.

– Proszę więc ewakuować cywilów, a my spróbujemy spowolnić marsz tych centaurowarych drani. – Generał Simosin otarł twarz i spojrzał na wyświetloną mapę.

– Nie chcę, żeby nawet kawaleria znalazła się w zasięgu kontaktu. Posleeni posuwają się za szybko i są zbyt silni. Wykonamy co do joty plan obrony i potem wycofamy wszystkie wojska za Potomac.

Poinformowałem o tym pierwszą armię i DowArKon. A co mogą zrobić saperzy, żeby opóźnić nadejście wroga?

Brygada saperska korpusu znajdowała się akurat w Fort Leonard Wood i przeprowadzała ćwiczenia saperskie na dużą skalę. Czas ćwiczeń wybrano doskonale. Doskonale nieodpowiednio.

– Kompanie saperskie czterdziestej pierwszej i dziewięćdziesiątej piątej dywizji chyba powinny im towarzyszyć, skoro trzeba będzie się okopać – powiedział zastępca szefa sztabu do spraw operacyjnych.

– Więc z których usług skorzystamy? – zapytał jeszcze raz dowódca.

– Wezwałem Fort Belvoir – powiedział jeden z oficerów operacyjnych – a ponieważ reaktywowali tam program Pięćdziesiąt Dwa Echo, mają mnóstwo instruktorów i żołnierzy przeszkolonych w dziedzinie inżynierii pola walki. Są także oficerowie przechodzący podstawowe i zaawansowane szkolenie...

– „I przy wtórze tonów Dixie ruszyli w bój kadeci” – zacytował Simosin. – Dobra, zaczynamy. Gdzie ich rozmieścimy?

– Pierwszą poważniejszą przeszkodę terenową Posleeni napotkają przy ujściu Occoquan... – powiedział oficer wywiadu korpusu.

\* \* \*

Podporucznik William P. Ryan, który nie ukończył jeszcze podstawowego szkolenia oficerów, niewiele wiedział o inżynierii pola walki. A jeszcze mniej znał się na samej walce. Ale chciał się tego nauczyć, mimo że z takiej lekcji raczej nie wychodziło się żywym.

Jedno spojrzenie na żałosny strumień uchodźców, prących na północ międzystanową 95 wystarczyło, żeby chciał zrobić dla nich wszystko, co w jego mocy.

Większość jego kolegów pod czujnym nadzorem instruktorów zakładała ładunki pod mostami na międzystanówkach 95 i 1, nad rzeką Occoquan. Starszy instruktor stwierdził, że Ryan zapowiada się na tyle dobrze, iż można go wysłać z samodzielną misją zniszczenia mostu. I oto teraz jego pluton pod okiem doświadczonego sierżanta instruktora zaminowywał most 123. Pluton składał się z przechodzących szkolenie bojowe żołnierzy wraz z ich instruktorami musztrowymi i młodszymi instruktorami technicznymi. Zadanie cięcia betonu przy moście przypadło w udziale bardziej doświadczonym podoficerom instruktorom.

Ryan przeszedł przez urocze małe miasteczko Occoquan i przedostał się nad drugą stronę rzeki, żeby ocenić, jak Posleeni będą widzieć most z odległych grzbietów gór. Miasteczko przycupnęło na

południowym brzegu rzeki, w miejscu, gdzie przepływała między dwoma grzbietami wzgórz. Ich geologia dała początek wodospadom, które przyczyniły się do powstania miasteczka i które później połączono z zaporą Occoquan. Zapora z kolei tworzyła zbiornik wodny, ciągnący się przez ponad trzydzieści kilometrów w kierunku Manassas.

Ryan stał tuż poniżej Rockledge Manor i obserwował mały most dla pieszych, przerzucony przez rzekę tuż przy zakładzie wodociągowym. Pomyślał, że trzeba będzie przysłać tu drużynę i też go zaminować. Zapora to już jednak inna sprawa.

Gdyby ją rozwalili, Bóg jeden raczy wiedzieć, w którym miejscu Posleeni przekroczyliby Occoquan. Sprawdził mapę i doszedł do wniosku, że byłoby to gdzieś koło Yates Ford Road, w połowie drogi, którą musieliby przebyć, gdyby zapora ocalała. Ale Posleeni mogliby też przejść przez samą zaporę. Nie byłoby ich wielu, ale trzeba udaremnić każdą próbę wtargnięcia. Pozostał jeszcze problem starszej, częściowo już zatopionej tamy. Ryan nie był pewien, jak go rozwiązać, więc postanowił przekazać sprawę przełożonym.

Kiedy wracał przez opuszczone miasteczko, ogarnęło go dziwne uczucie smutku. Pamiętał wspaniałe dni, zanim ktokolwiek jeszcze wymówił słowo Posleeni, zanim Ziemia usłyszała o czekającej ją inwazji. Nawet wtedy, gdy Ameryka szykowała się już do wojny, świat był piękny.

Teraz, kiedy zbliżał się do miejsca, w którym saperzy pod jego komendą przygotowywali się do zniszczenia głównej cywilnej konstrukcji w mieście, czuł, że nastął prawdziwy koniec złotej ery. I tylko Bóg wie, jak to wszystko się skończy.

\* \* \*

– Panie i panowie – zagrzmiało z głośnika – proszę zachować spokój.

Tłum zebrany za Budynkiem Bezpieczeństwa Publicznego we Fredericksburgu składał się głównie z kobiet i dzieci. Wszystkie wozy policyjne i karetki wyjechały w teren, więc na parkingu było dużo miejsca. Ludzie zdawali sobie sprawę, iż przychodząc tutaj tylko opóźniali to, co było nieuniknione.

– Pracujemy nad ewakuowaniem was stąd – mówił jeden z pozostałych na stanowisku strażaków – ale proszę zachować spokój.

– Co on gada? – powiedział do siebie znudzony Mały Tom Sunday. – Cześć, Wendy.

Wendy Cummings odwróciła się. Mały Tom stał za nią z plecakiem na plecach i torbą przy nodze. Miał na sobie jakiś dziwaczny płaszcz, który sięgał mu prawie do kolan, czarny hełm żołnierski i sportowe okulary przeciwsłoneczne. Wydała zirytowane westchnienie. Jeśli była jakaś osoba, z którą za nic w świecie nie chciałaby spędzić ostatnich godzin życia, to był nią właśnie Mały Tommy Sunday. Ale postanowiła być uprzejma.

– Cześć, Tommy. Co to jest? – zapytała wskazując na jego ubranie.

– Pancierz osobisty – odparł znudzonym tonem. – Nie powstrzyma wprawdzie pocisków z ich karabinów, ale chroni przed śrutem i odłamkami bomb.

Wendy ze zdziwienia otworzyła szeroko oczy – rozpoznała pancierz z programu „Prawdziwa policja”. Ubrani w podobne ochraniacze policjanci, do których strzelano z bardzo małej odległości, rzeczywiście przeżywali.

– Masz ich więcej?

Tommy schylił się sztywno, żeby poszperać w torbie.

– Nie mam już klasy pierwszej, ale mam ochraniacze i kamizelkę z kevlaru.

Wyciągnął ją z torby i zerknął na biust Wendy.

– Może będzie pasować – stwierdził z powątpiewaniem.

– Rany! – wykrztusiła. – Co ty tu nosisz?

W gęstniejącym mroku w torbie błysnął śmiercionośny sprzęt.

Wendy rozpoznała broń maszynową i coś, co wyglądało jak granaty.

Ukończyła wprawdzie szkolny kurs przetrwania, ale tylko dlatego, że był obowiązkowy. Ponieważ nie wymagano później zdania żadnego egzaminu, na zajęciach odrabiała pracę domową z innych przedmiotów albo pisała liściki do koleżanek.

– Różne rzeczy – burknął i szybko zamknął torbę.

– Czy... mogłabym pożyczyć jakąś broń? – spytała, próbując zapiąć kamizelkę.

– A co byś z nią robiła? – zapytał ironicznie, zapinając rzepy pod jej ramionami.

– Wypróbowała. – Po raz pierwszy od lat spojrzała mu w oczy.

Nagle zdała sobie sprawę, że jest o wiele wyższy, niż myślała, o wiele wyższy nawet od niej. To ją zaskoczyło. Zawsze był dla niej po prostu Małym Tommym. Tak bardzo nie rzucał się w oczy, że aż wydawał się niski.

– Powinnaś była wypróbować już parę lat temu – burknął.

Sięgnął znowu do torby i wyciągnął krótki, czarny pistolet w kaburze.

– Używałaś kiedyś tego? – spytał retorycznie, po czym gwałtownie wysunął magazynek i odciągnął suwadło, żeby wyrzucić kulę z zamka. Złapał pocisk kaliber 9 mm w powietrzu jak pstrąg łowiący muchę.

– Nie, nigdy – odpowiedziała, nagle onieśmielona jego umiejętnościami.

Podniósł magazynek.

– To jest paliwo, a tankuje się w ten sposób. – Wsunął magazynek z powrotem do komory. – Jest zatankowany, kiedy słyhać szcęknięcie. Zapala się w ten sposób. – Przesunął suwadło z powrotem. – A to – powiedział, kładąc palec na spuście i kierując broń w niebo – jest pedał gazu. Kierujesz tak: patrzysz przez tylny celownik na przedni celowniki. Ustaw biały punkt na przednim pośrodku litery V na tylnym, a potem naciśnij bardzo powoli pedał gazu. Oto kurs nauki jazdy glockiem Toma Sundaya.

Schował broń do kabury i wręczył jej.

– No to cześć – powiedział i z łatwością dźwignął wypchaną torbę.

– Dokąd idziesz?

Patrzył na nią przez chwilę, przechylając głowę na bok.

– To – skinął brodą w stronę jej koszulki – nosi się w zasadzie pod ubraniem. Idę gdzieś na Charles albo Princess Annę Street, skąd jest dobry widok. – Przerzucił pasek torby przez ramię. – Wypalę całą paczkę marlboro i zaczekam, aż Posleeni wychylą główkę zza krzaka. A potem zamierzam umrzeć.

Wendy bezwiednie wygładziła kamizelkę, a w międzyczasie dokonała szybkiej rewizji swoich poglądów.

– Mogę iść z tobą? Może przydam się do przeładowywania albo czegoś takiego...

– Szczerze wątpię, żeby był czas na przeładowywanie – odpowiedział – ale bardzo ucieszyłaby mnie twoja obecność. A teraz rozejrzyjmy się za jakimś dobrym miejscem na Charles Street.

– Może „U Wortha”? – zaproponowała.

\* \* \*

Bili Worth siedział spokojnie na tyłach swojego sklepu, a stojący obok niego żeliwny piec chronił go przed ostatnimi podmuchami wieczornego chłodu. W przedniej części sklepu unosiła się delikatna woń starych książek i wspaniałych antyków. Był to zapach jego domu.



Spędzał – jak sądził – ostatnie chwile życia, studiując stare wydanie „Moll Flanders”, które zawierało kilka fragmentów zazwyczaj nie publikowanych za czasów Defoe, i sącąc cote d’azur rocznik ‘57, za które dał w zeszłym roku prototyp colta peacemakera.

Nagle zadzwieczał dzwonek przy drzwiach i weszła para klientów.

– Proszę się nie krępować i rozejrzeć po sklepie, panowie – powiedział do dwóch żołnierzy, oficerów, jeśli można było wierzyć jego „Mundurom i Insygniom Sił Zbrojnych Stanów Zjednoczonych”. – Wolałbym jednak niczego dziś nie sprzedawać. Postanowiłem zatrzymać całą kolekcję antyków na lepsze czasy.

Zaśmiał się z dowcipu, który najwyraźniej żołnierzy nie rozśmieszył.

– Witam, panie Worth, to ja, Kenny Young – odezwał się młodszy żołnierz.

– Ach tak, młody pan Young – powiedział i znowu zaśmiał się pod nosem. – Do twarzy panu w mundurze. Sądziłem, że studiuje pan inżynierię.

– Jestem w wojskach inżynieryjnych.

– Brawo! Gdzie stacjonujecie?

Tutaj, panie Worth. Miejskowa jednostka Gwardii to właśnie my, saperzy – porucznik Young uśmiechnął się lekko. Powszechnie znany był fakt, że Bili Worth od lat nie postawił stopy w odległości większej niż pięć czy dziesięć przecznic od części miasta znanej jako „stary Fredericksburg”.

– Gdzieś wzdłuż drogi numer 3? – zapytał z zaciekawieniem właściciel sklepu.

– Tak, jakąś milę stąd.

– Czemu zawdzięczam pańską wizytę w ten wyjątkowo nieprzyjemny wieczór?

– Potrzebujemy informacji o tunelach w tym mieście. Powiedziano nam, że pan może coś o nich wiedzieć.

– Cóż, w zasadzie powinni panowie pomówić z Ralphem Kodgerem... – stwierdził miejscowy historyk.

– Ale on... – zaczął porucznik.

– Nie żyje. Tak, to był swego czasu wielki historyk. Albo może z Bobem Baileyem... – ciągnął Worth.

– ...który...

– ...przeniósł się do Kansas. Widzę, że rzeczywiście mogli panowie przyjść z tym tylko do mnie.

– Wie pan coś o nich? Gdzie są wejścia? – zapytał saper.

– Jak są zbudowane? – zapytał drugi żołnierz.

– A z kim mam przyjemność, sir? – spytał uprzejmie Bili.

– Kapitan Brown, dowódca kompanii Charlie. Chcemy ukryć część kobiet i dzieci w tunelach, a potem wysadzić w powietrze... w zasadzie całe miasto. Zastanawialiśmy się nad schronem z lat pięćdziesiątych, ale tu chyba nie ma takiego. Więc zostały nam tunele.

Chyba że pan wie coś o schronie.

– Zaiste, to śmiałe przedsięwzięcie. – Worth podszedł do biurka, które stało w centrum jego królestwa. – Czy mógłbym zadać parę pytań?

– Byle szybko – rzucił niecierpliwie dowódca.

– Jak one miałyby przeżyć? – spytał właściciel sklepu. – Te kobiety i dzieci? Bez powietrza, jedzenia i wody? Poza tym nie będzie tam dość miejsca, jak przypuszczam.

Pogrzebał w górnej szufladzie biurka i wy dobył coś, co przypominało arkusz pergaminu.

– Sanitariusze zastosują zastrzyki hibemacyjne, które potrafią wprowadzić człowieka w stan utajonego życia na całe miesiące – powiedział podekscytowany porucznik. – Jest ich całe mnóstwo

w Budynku Bezpieczeństwa Publicznego.

– A jak panowie zamierzają wysadzić w powietrze miasto? – zapytał pan Worth i zaczął coś gryzmolić na arkuszu.

– Chcemy wypełnić kilka budynków gazem ziemnym – odpowiedział kapitan Brown. – To na pewno załatwi tych centaurowatych drani. A teraz przepraszam, ale jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, musimy jak najszybciej znaleźć jakieś schronienie dla kobiet i dzieci.

– Powinien pan chyba zastanowić się nad moją stacją pomp – zauważył Worth i dalej coś szkicował.

– Potrzeba nam coś większego niż stacja pomp – powiedział kapitan, sądząc, że chodzi o budynek osłaniający przydomową studnię. – Ale dziękuję za radę. Idziemy, poruczniku.

– Chwileczkę. – Właściciel sklepu szybko skończył szkicować i podniósł do góry rysunek. – Czy wystarczyłoby coś takiego? Dwukondygnacyjna podziemna stacja pomp dla zakładu przemysłowego. Grube na metr betonowe ściany. Długość piętnaście metrów, a szerokość dziesięć. Dwa poziomy pod ziemią.

– Jezu – szepnął kapitan Brown i chwycił arkusz – gdzie to jest?

– Przy rzece – zaśmiał się Worth.

– To pańskie?

– Tak, kupiłem ją przed kilku laty i naprawiłem – wyjaśnił właściciel sklepu.

– Po co? – spytał kapitan Brown z nietypową u niego ciekawością.

– Cóż – westchnął Bili Worth – stamtąd roztacza się taki cudowny widok na rzekę... Kapitanie, jeśli użyczę tego rajskiego miejsca na potrzeby pańskiego planu, czy będę mógł wybrać budynki, które pan wysadzi w powietrze?

\* \* \*

– Jest pan pewien, kapitanie? – zapytał pierwszy sierżant kompanii Charlie, kiedy drugi i trzeci pluton zebrały się na parkingu przed budynkiem administracji Fredericksburga. Siedmiopiętrowy ceglany blok z lat siedemdziesiątych wyglądał wyjątkowo szkaradnie na tle otaczających go miłych dla oka siedemnasto i osiemnastowiecznych budynków, które przeważały w centrum miasta.

– To był jedyny warunek pana Wortha, a poza tym to naprawdę najlepszy budynek na nasze potrzeby – odpowiedział kapitan. – Jest przestronny, dość blisko stacji pomp i muszę przyznać, choć nie ma to żadnego znaczenia, że to jeden z najbrzydszych budynków, jakie kiedykolwiek widziałem.

Odwrócił się do zebranych żołnierzy i podniósł głos, żeby przekrzyczeć hałas zbliżających się naczip.

– Panowie, upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Podczas kiedy część z was przygotowuje bunkier dla kobiet i dzieci, pozostali zgotują Posleenom przyjęcie, jakiego te sukinsyny nigdy nie zapomną. Znaleźliśmy przemysłową stację pomp, która dostarczała kiedyś wodę do młyna. Jest częściowo ukryta pod ziemią i ma grube na metr betonowe ściany. Drugi pluton wraz z nadjeżdżającymi budowniczymi zasypie stację pomp gruzem i ziemią i przygotowuje wnętrza. Trzeba całkowicie przebudować wejście. Zobaczycie, co mam na myśli, kiedy znajdziecie się w środku. Ściągamy wam tu do pomocy cały dostępny sprzęt budowlany. Kiedy wprowadzimy do środka kobiety i dzieci, zburzymy wieżę i zablokujemy wejście.

Ponieważ jest mało czasu, niech szef policji zorganizuje losowanie kolejności wejścia, ale tylko dla dzieci poniżej szesnastego roku życia i ich matek. Jest jednak pewien problem. Jeśli po prostu zakopimy cywilów pod ziemią, Posleeni wywęszą ich i dopadną jak mrówkojady ścigające termity. Musimy zrobić spore zamieszanie i stworzyć wrażenie, że we Fredericksburgu nic już nie zostało.

W tym celu zamienimy ten budynek – wskazał kciukiem na monstrum za swoimi plecami – w gigantyczną bombę paliwowo-powietrzną. Ciężarówka przywiozą z destylarni Quarles propan. Ale najpierw trzeba budynek przygotować. Niech trzeci pluton wywali dziury w podłogach, żeby zwiększyć obieg powietrza wewnątrz budynku. Przed wyjściem upewnijcie się, że wszystkie wewnętrzne drzwi są otwarte. Potem starszy sierżant podłoży ładunki. Kiedy skończycie, co powinno nastąpić za niecałe czterdzieści pięć minut, zajmijcie się pracą w bunkrze albo przygotowaniem umocnień w mieście.

Popatrzył na nadjeżdżający sznur buldożerów i koparek.

– Ufam, że razem z tymi panami zbudujecie bunkier nie do zdobycia. Weźcie się zaraz do roboty.

– Potem wskazał na stojące u wejścia do budynku skrzynie C-4. – A wy idźcie wywalać dziury. Załóżcie hełmy, bo może ktoś będzie wysadzać sufit akurat nad wami.

– Sir – mruknął starszy sierżant, kiedy pluton ruszył w stronę budynku, chwytając po drodze ładunki wybuchowe i kaski – to na pewno pociągnie za sobą ofiary.

– Sierzancie, są takie chwile, kiedy trzeba podjąć ryzyko. Nie mam pojęcia, ile czasu nam jeszcze zostało, ale wątpię, by było go dużo.

\* \* \*

– Musimy spowolnić ich marsz – zauważył zdesperowany oficer operacyjny sztabu. – Charlie zaczyna dopiero pracę przy bunkrze i w budynku. Zabierze im to co najmniej godzinę.

– Więcej – stwierdziła komendant straży pożarnej. – Tyle czasu potrzeba na samo napompowanie budynku gazem.

Główną drogą wjazdową do miasta zbliżał się dodekaedr B, który przełamał linię oporu i zniszczył większość budynków przy Central Square. Ziemianie dysponowali tylko garstką milicji i policji przeciw ponad sześciu tysiącom centaurów.

– Musimy ich jakoś zająć do czasu, aż bunkier i budynek będą gotowe – stwierdził dowódca batalionu. – Przydałoby się coś w rodzaju smoka, którego jednostki pancerzy wspomaganym użyły na Diess.

– Jedyna rzecz, której boi się każde zwierzę – powiedziała pokryta bliznami komendant – to ogień.

– Co pani ma na myśli? – zapytał dowódca.

– Gdybyśmy mieli miotacze ognia... – zaczął oficer operacyjny sztabu, i nagle, w tej samej chwili, co komendant, przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

– Jeny – zwrócił się do oficera łączności – połącz się z rafinerią Quarles i powiedz im, żeby przywieźli nam trochę łatwopalnych materiałów. Jakies cysterny z benzyną albo naftą. Jakiegokolwiek łatwopalne płyny.

– Lepiej naftę. Ja w tym czasie pójdę po wozy strażackie – powiedziała komendant.

\* \* \*

– Pułkowniku!

– Tak, sierzancie?

Pułkownik Robertson był śmiertelnie zmęczony i zastanawiał się, jaką to nową katastrofę chce mu obwieścić sierżant.

– Sir, podłożono już wszystkie ładunki, a została nam jeszcze ponad tona różnego typu amunicji.

– No i dobrze, możemy to wysadzić, kiedy pojawią się Posleeni.

– Tak jest, sir, możemy, ale skład amunicji jest niedaleko od zbrojowni...

– I uważa pan, że zna lepsze miejsce dla amunicji, niż skład amunicji.

– Tak, sir. Przecież skład z założenia powinien wytrzymać eksplozję – powiedział sierżant z chytrym uśmiechem.

– Cóż, sierżancie, dlaczego po prostu nie zajmie się pan tą kwestią?

Pułkownik odwzajemnił uśmiech. Dobrzy podkomendni to naprawdę wielki skarb.

– Tak jest, sir!

\* \* \*

Shari weszła w tłum na tyłach Budynku Bezpieczeństwa Publicznego i ostrożnie postawiła na ziemi Kelly i Susie. Billy puścił jej spódnicę i usiadł, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w dal.

Osunęła się ciężko na trawę tuż obok niego, a dwie dziewczynki usadowiły się na jej kolanach. Susie pojękiwała cicho z powodu bąbli na stopach. Podeszła do nich jakaś kobieta.

– Czy jest pani na liście do losowania? – zapytała.

Shari patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami. Minęła długa chwila, zanim pytanie do niej dotarło.

– Co?

– Wrzuciła pani swoje nazwisko do koszyka do losowania?

– Losowania? – wyszeptała; z przerażenia i braku wody zaschło jej w ustach i w gardle.

W końcu kobieta pojęła, że Shari jest w szoku.

– Wszystko w porządku?

Shari zaczęła się cicho śmiać, a potem wybuchnęła płaczem.

Każdy krok z parkingu aż do okopów wojska na międzystanowej był ostatni. Kilka razy Posleeni byli tuż przy niej, ale zwabiał ich jakiś bardziej interesujący cel. Kiedy Shari musiała wziąć na ręce Susie, zwalniając jeszcze bardziej, ogarnęła ją pewność, że jej dzieci umrą. A sądząc po dobiegających z tyłu odgłosach, czekająca je śmierć była najgorszą z możliwych.

Marsz przez miasto był jak koszmarny sen, w którym człowieka gonią potwory, a on wie, że lada chwila dopadną go i zabiją. Ale to nie był sen; to była straszna rzeczywistość.

Kobieta przywołała do płaczącej Shari jednego z krzątających się wokół strażaków. Ratownik podszedł z przygotowanym zastrzykiem hibernacyjnym.

Jakaś sanitariuszka chwyciła Shari za ramiona.

– Musisz wziąć się w garść. Jesteś nam potrzebna, potrzebujemy wszystkich matek. Jesteś Shari Reilly, tak?

Shari kiwnęła głową, wciąż nie mogąc powstrzymać płaczu.

Dziewczynki też zaczęły cicho popłakiwać, a Billy siedział i tylko się kiwał, wpatrzony w gęstniejący mrok.

– Przyszłaś z Central Parku?

Shari pokiwała głową, próbując złapać oddech.

– Musisz poczekać, aż wywołają twoje nazwisko. Najgorsze masz już za sobą. Zajmiemy się tobą i twoimi dziećmi. Teraz obejrzą stopę twojej córki.

Podczas kiedy sanitariuszka opatrywała nogę Susie, Shari powoli dochodziła do siebie.

– To normalna reakcja – próbowała ją pocieszać sanitariuszka. – Jesteś w szoku. Jezu, wszyscy jesteśmy w szoku! Ale ty przyszłaś tutaj z...

– Z piekła – dokończył Billy.

Shari przytuliła syna do siebie.

– Wszystko w porządku, skarbie?

– Ja... ja...

– Już dobrze, skarbie, jesteśmy bezpieczni.

– Nie, nie jesteśmy, mamó. Nie kłam.

– Synku – powiedziała stanowczo sanitariuszka – saperzy budują dla was bezpieczne schronienie, a my zrobimy wszystko, co w naszej mocy, żeby odciągnąć uwagę Posleenów i was uratować.

– Myślisz, że się wam uda? – zapytała Shari, z trudem łapiąc oddech między spazmami płaczu.

– Nie mogę niczego obiecać – powiedziała szczerze sanitariuszka – ale będziemy się starać.

– Przepraszam. – Jakaś kobieta wyłoniła się z ciemności. – Ktoś mi powiedział, że pani była w centrum handlowym w Spotsylwaniu.

– Jej głos załamał się na moment. – Może widziała pani mężczyznę jadącego – urwała – ciemnozielonym...

– Mój mąż był wysoki...

– Widziała pani...

Wokół niej rósł krąg kobiet rozpaczliwie wypytyjących o swoich najbliższych, ale sanitariuszka wstała i zasłoniła ją jak rozjuszona lwica.

– Słuchajcie, ludzie. Wiem, że martwicie się o... o wasze rodziny, waszych mężów, ale ta pani dość już przeżyła...

– Nie – powiedziała Shari drżącym głosem – muszę to powiedzieć, muszę... Za mną nie było już nikogo. Nikogo. Przykro mi...

– Znowu zaczęła cicho płakać. – Nie mogłam nic zrobić. Ja po prostu musiałam iść dalej, rozumiecie? Musiałam ratować dzieci, musiałam iść, cały czas iść... Była tam mała dziewczynka... ale nie chciała iść ze mną, a ja niosłam dzieci... nie mogłam, nie mogłam!

– Cicho – szepnęła sanitariuszka i pogładziła jej włosy. – Już dobrze, wszystko w porządku. Nie można było nic zrobić...

– Musieliśmy iść – zaśmiał się histerycznie Billy. – Szliśmy i szliśmy, i ani razu nie spojrzeliśmy za siebie. Nie wolno patrzeć w tył, trzeba tylko iść i iść...

Nagle zaczął krzyczeć.

Sanitariuszka pochyliła się i przycisnęła mu do karku strzykawkę. Już po chwili spał spokojnie.

– Co to było? – krzyknęła Sari i zerwała się na równe nogi.

– Cicho, to tylko zastrzyk hibernacyjny. Będzie teraz spokojnie spał. Musieliśmy uśpić w ten sposób bardzo wielu ludzi.

Szukające mężów żony zniknęły w ciemnościach, a inna sanitariuszka przyniosła im pościel i zupe.

– Umieszczę cię na liście do losowania – powiedziała. – Saperzy wkrótce zaczną zapełniać bunkier.

– Ciekawe, jak im idzie na międzystanowej? – spytała sanitariuszka.

\* \* \*

Sylwetka cysterny na estakadzie rozbłysła, oświetlona łuną tysięcy galonów płonącej nafty, ropy i benzyny, kiedy w polu widzenia pojawiły się hordy Posleenów. Wóz strażacki bezustannie pompował strumień mieszaniny łatwopalnych płynów. Po drugiej stronie Plank Road na swoją kolej czekał drugi. Olbrzymi miotacz płomieni wykazywał się co chwila niesamowitym zasięgiem; Posleeni bezskutecznie próbowali przedrzeć się przez zaporę ognia. Za każdym razem strażacy

zlewali ich dokładnie paliwem, a potem kierowali jego strumień na najbliższe skupisko płomieni. Atakujący węglili się w wybuchu, a masakra trwała dalej. Za wozami strażackimi stała kolejka odpowiednio od siebie oddalonych cystern.

– Niech mnie cholera, jeśli to nie działa, pani komendant – powiedział pułkownik Robertson z uznaniem.

– Tak, panie pułkowniku. Pomagają też te dziury, które zrobili pańscy chłopcy.

Wskazała na duże kratery na pasie trawy między pasmami ruchu, które zmuszały Posleenów do nadłożenia drogi prawie o kilometr. Wybuchy i strzały wskazywały miejsca potyczek na flankach.

Posleeni nie napierali frontalnie i wydawało się, że na razie nie mają na to ochoty.

– To niesamowite. Chyba jeszcze nie uformowali szyku – powiedział pułkownik – bo podchodzą tylko pojedynczo. Nadciągają z południa przez Jeff Davis i Tidewater Trail. Będziemy musieli opuścić tę pozycję, zanim skończy się nam mieszanka zapalająca.

– Dobra, wycofamy się na pański rozkaz. – Komendant starła z policzka płat sadzy.

Smród palonych ciał Posleenów przypominał swąd palonej gumy.

Dym był tak gęsty, że trzeba było założyć maski tlenowe, zwłaszcza że nie było wiadomo, jakie zawiera toksyny.

– Do wycofania jeszcze daleko – stwierdził z ponurym uśmiechem pułkownik, kiedy kolejna grupa centaurów przypuściła atak na płomienie.

Strażacy niemal zrobili sobie z tego zabawę; dopuszczali wroga blisko, a potem odcinali mu odwrót, oblewali łatwopalną mieszanką i podpalali. Nawet Wszechwładcy nie potrafili znaleźć źródła tych straszliwych strumieni paliwa.

– Chciałbym, żeby ktoś tu panią zastąpił – powiedział pułkownik Robertson – żebyśmy mogli wspólnie przyjrzeć się wybuchowi bomby paliwowo-powietrznej. Mam nadzieję, że nie wybuchnie, zanim zdążymy wypełnić budynek gazem.

– Nie ma sprawy, pułkowniku. Gdzie pan będzie?

– Mam umówione spotkanie przy arsenale. Chodzi o zgotowanie Posleenom przyjęcia.

Starsza pani strażak uśmiechnęła się.

– Cóż, nalej ponczu, a goście na pewno się zlecą.

– A więc czekam na William Street.

– Dobra. Witamy w historycznym Fredericksburgu.

\* \* \*

– Chyba przenieśli się już poza William Street – powiedział Mały Tommy i skręcił w Princess Anne Street. – Pewnie do Fauquier albo Hawk.

Szli w wieczornym mroku ulicą Princess Anne, a pod stopami chrzęściło im szkło z powybijanych witryn sklepowych. Wszystkie sklepy w dzielnicy poważnie ucierpiały od uderzenia naddźwiękowego gromu towarzyszącego lądowaniu Posleenów.

– Zastanawiałem się... – zaczął nieśmiało. – Nie chcesz spróbować szczęścia w losowaniu o miejsce w bunkrze?

– Skończyłam już szesnaście lat – odpowiedziała Wendy – i nie jestem matką.

– Ale... może być więcej miejsca, mogą wziąć, wiesz, innych.

Cholera, szkoda, że ja nie mogę schować się w jakiejś dziurze.

– Ale nie schowałbyś się, gdybyś mógł?

Tommy zastanowił się.

– Nie, pewnie nie, zanim nie... zrobiłbym czegoś dobrego. A wtedy byłoby już za późno.

– Skąd ty to wszystko masz? – wskazała pancerną kamizelkę i torby. – Znam paru chłopców z Młodzieżowej Milicji, ale oni nie są tak dobrze przygotowani.

– Cóż, mój stary najbardziej w życiu żałuje, że przyjął stypendium w Clemson, żeby grać w futbol, zamiast w West Point, żeby bawić się w wojsko. Potem został zawodowcem, a to ostatecznie przekreśliło szansę wstąpienia do wojska. Przenieśli go do rezerwy.

Wiesz, ta cała sprawa z Posleenami to największa radość, jaka go spotkała w życiu. Wreszcie może być żołnierzem. Próbował się nawet zaciągnąć, ale się nie nadawał, bo nie odbywał wcześniej służby. No i jeszcze te jego kolana...

– W każdym razie zdecydował, zanim jeszcze usłyszeliśmy o Posleenach, że będę następnym Hannibalem...

– Kim? – Wendy zakasłała, kiedy przez ulicę przetoczył się gęsty kłęb dymu.

– ...kolejnym Robertem E. Lee\*[(1807-1870) – amerykański generał walczący w wojnie secesyjnej po stronie konfederatów. Odniósł zwycięstwa nad rzeką Buli Run w 1862 r., pod Fredericksburgiem w 1862 r. i pod Chancellorsville w 1863 r., zanim poddał się generałowi Ulyssesowi S. Grantowi pod Appomattox w 1865 r.]. – wyjaśnił Tommy.

– Aha.

– Kiedy większość dzieci trenowała grę w t-ball, ja uczyłem się być żołnierzem. Wyobraź sobie, że mój stary dał mi na ósme urodziny pistolet. A ja prosiłem o komputer.

– No właśnie – odpowiedziała Wendy – ja myślałam, że jesteś komputerowcem, a nie wojskowym świrem.

– Wojskowym świrem, a to dobre – powiedział gorzko. – Jestem komputerowcem, zająłem jedenaste miejsce w kraju w rozgrywkach w „Dolinie Śmierci”. Miałem nawet szansę odnieść zwycięstwo w ciągu najbliższych pięciu tygodni. Piszę programy komputerowe, odkąd w ogóle nauczyłem się pisać. Komputery to moje życie. Mimo że mój stary wie o tym, wymaga, żebym tyle samo czasu poświęcał na szkolenie wojskowe, ile spędzam przed komputerem. Byłem najmłodszym członkiem Młodzieżowej Milicji, ale w zasadzie wycofałem się po dwóch latach, bo znacznie wyprzedziłem całą resztę tych opóźnionych kretynów. Poza tym nie miałbym czasu na komputery. Podnoszenie ciężarów zalicza się do przeszkolenia wojskowego, a ponieważ wyciskam znacznie więcej niż sam ważę, ojciec chciał, żebym zapisał się do drużyny ciężarowców. Wtedy powiedziałem mu, żeby się wypchał. Gdybym był sportowcem, musiałbym wybierać między strzelnicą i komputerem, a wiem, do czego zmuszałby mnie ojciec.

Wzruszył ramionami.

– No to – powiedziała ostrożnie Wendy, kiedy zatrzymali się przy aptece Goolrick’s na rogu George Street – chyba właśnie nadeszła twoja chwila.

– Raczej chwila mojego starego. On gdzieś tam jest, przyczajony w okopach, i czeka, aż pojawią się Posleeni. To jest całe jego życie.

– Pieprzony łajdak – podjął po chwili. – To przez niego tu siedzę i obliczam azymuty nie gorzej od porucznika piechoty, tak jakby to miało na coś mi się przydać.

Wzruszył ramionami i rozejrzał się.

– A może Alesia’s Antiques? – wskazał na drugą stronę ulicy. – Stamtąd dobrze będzie strzelać i w razie czego można przenieść się do Bank Museum. Moglibyśmy przeżyć nawet ze trzy minuty – skończył ze śmiechem.

– Ja też myślałam o Alesia’s – odpowiedziała zamyślona Wendy – kiedy zapytałeś, czy nie chciałabym iść do bunkra.

\* \* \*

– Jezu – powiedział Tommy, kiedy pręt zbrojeniowy przebił ceglana ścianę starego schronu – naprawdę tu jest. Skąd o tym wiedziałaś?

– Cóż, twoją miłością są komputery i wojsko. A moją historia i badania terenowe.

Wetknął głowę do wnętrza zatęchłego tunelu i poświecił wokół latarką maglite.

– Jest wysoki na półtora do dwóch metrów. Cegła, sucha ziemia na dole. Wspaniały. Po co je budowano?

– Nie wiadomo. Nie ma o nich żadnych zapisków, ale pochodzą co najmniej z osiemnastego wieku. Najprawdopodobniej przenoszono wtedy towary z portu. Ulice nie były wtedy wyasfaltowane i podczas deszczu robiło się straszne błoto. Bardziej romantyczna wersja głosi, że służyły przemytnikom. Nielegalny jedwab i herbata, takie tam rzeczy. A niektórzy mówią, że zbudowali je niewolnicy, żeby zorganizować ucieczkę. Możliwe też, że służyły jako kryjówki dla ruchu Underground Railroad, ale to nie oni je zbudowali; pochodzą z wcześniejszej epoki.

Tom spojrzał na dziewczynę widoczną w nikłym świetle dochodzącym z sutereny sklepu z antykami.

– Chyba nie tylko ja dziś zaskakuję ludzi.

– Chłopaki zazwyczaj prawią mi komplementy na temat mojej inteligencji, kiedy chcą mnie splewić – powiedziała i zmarszczyła czoło.

– Może zadawałaś się z niewłaściwymi chłopakami.

– Pewnie tak. Słuchaj – powiedziała, wyciągając glocka – to nie na wiele się przyda w walce z Posleenami. Masz coś cięższego?

– Tak, masz rację. Problem polega jednak na tym, że reszta jest trochę bardziej skomplikowana.

– Wskazał na plecak i torby. – Otwórz i zacznij wszystko wyjmować. Musimy to posegregować.

Po kilku minutach torby zostały opróżnione, a ich zawartość elegancko ułożona w stosy. Wszedł z tego całkiem imponujący arsenał.

– Nie będziemy potrzebować jednej trzeciej tych rzeczy, ale wolę być dobrze przygotowany.

– Zauważyłam – powiedziała i podniosła jeden z karabinów szturmowych. – Co to jest?

– To galil kaliber. 308. Dobra broń przeciw Posleenom. Chcesz wypróbować?

– Dobra, wygląda na prostszą niż ta.

Druga broń najwyraźniej miała więcej niż jedną lufę.

– To mój skarb. To AIW, karabin kaliber 7,62 z dwudziestomilimetrowym granatnikiem pod lufą. Magazynek na trzydzieści naboju do karabinu i pięć do granatnika. Celownik laserowy.

– Ja wezmę ten. – Dziewczyna podniosła galila. – Jest naładowany?

– Nie. – Wziął broń do ręki i zademonstrował jej podstawowe zasady ładowania, strzelania, przeładowania i zabezpieczania. – Galil też ma celownik laserowy, ale jest w niskiej podczerwieni, więc widać go tylko przez optyczny wizjer na broni.

Zabezpieczył broń i wręczył jej.

– Jest pusta. Skieruj broń na przeciwległą ścianę i popatrz przez okular. – Pomógł jej przybrać właściwą pozycję strzelecką. – Widzisz plamkę?

– Tak, jest na miejscu.

– Weź głęboki wdech – powiedział i z przyjemnością popatrzył na efekt widoczny nawet pod pancerną koszulką – wypuść powietrze i delikatnie naciśnij spust... – po czym parsknął śmiechem.

– Nie śmieć się ze mnie!

– To nie z ciebie się śmiałem – powiedział i znowu parsknął. – Przypomniałem sobie słowa, którymi zwykle kończy się ten instruktaż.



– Jakie słowa? – spytała zakłopotana.

– „Wypuść powietrze i delikatnie naciśnij spust, jakbyś ścisnął cycek”. Rozumiesz, właśnie to mnie rozbawiło.

– Obrzydlistwo.

– Chciałem ci tego nie mówić! Ale sama chciałaś!

– Myślałby kto, że wiesz, jak się ścisną cycki! – Urwała i zakryła usta ręką, kiedy zdała sobie sprawę, co palnęła.

– Dzięki – uśmiechnął się ponuro – wielkie dzięki. Skoro tak cię to interesuje, to wiem więcej o delikatnym ścisnaniu cyzków, niż ty.

– Akurat. Nie wydaje mi się, żebyś umówił się z dziewczyną, odkąd zerwałeś z Kathy Smetzer w piątej klasie!

– Jezu, ty chyba piszesz moją biografię, co?

– To małe miasto – odpowiedziała wymijająco.

– To prawda. No, do twojej wiadomości: mój tata miał trochę inne, niż wszyscy, wyobrażenie na temat letnich obozów...

Upłynęła chwila, zanim dotarł do niej sens jego słów.

– Jasne, letni obóz.

– Jeździłem na koedukacyjny obóz szkoleniowy w Montanie, organizowany przez Narodowy Związek Milicji Ochotniczych.

Wprawdzie nie zachęca się tam do seksu, ale prowadzona jest edukacja seksualna pod hasłem „tak to się robi, chłopcy i dziewczynki”. I nie ma żadnych ograniczeń, oprócz obopólnej zgody. Rozumiesz?

– Żartujesz.

– Chciałabyś. Najlepszą partią na tym obozie jest ten, kto najlepiej strzela, najlepiej walczy wręcz albo jest najlepszy w podchodach. A ja zazwyczaj plasuję się gdzieś blisko czołówki. I wiesz, że wszystkie dziewczyny są w naprawdę niezłej formie.

– Ty rzeczywiście nie żartujesz.

– Nie.

– Więc wracając do sedna rozmowy – czy dziewczęta na tym obozie mówią „delikatnie jak cycek”?

– Niektóre tak – powiedział i uśmiechnął się ciepło, najwyraźniej mając na myśli jakieś miłe wspomnienie – ale większość mówi „delikatnie jak fiutek”.

**Fredericksburg, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 00:14 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

Kenallai, Kessentai Oolfondai z Gemalada Oolt' Po'os' sądził, że po podbiciu pięciu światów i tylu bitwach, że nawet najniżsi wasale przysłani przez Sieć dla mistrza zwiadowców dotarli do ostatniego stadium orna'adar, widział już wszystko.

– Ile oolt'os stracił Aarnadaha?

Parsknął ze zdumienia i zahażał tenarem tam i z powrotem nad skrajem drogi krajowej numer 1. Z północy dobiegał odległy pomruk wystrzałów, a lekki wiatr niósł swąd spalenizny. Dom po przeciwnej stronie ulicy wyglądał jak wydłubany przez jakiegoś olbrzyma krater.

– Został mu jeszcze tylko jeden oolt – odpowiedział Ardan'aath, jego najbliższy Kessentai.

Byli towarzyszami od lat i Kenallai ufał radom starego oolt'ondai.

Grzebień Kenallaia nastroszył się.

– Wylądował z pełnym Oolt' Po'os, czyż nie?

– Tak, oolt'ondai. I wylądowali w miejscu najbogatszym w łupy, koło składu zapasów thresh. W tej chwili pozostała tylko garstka domów, bo wiele z nich zostało zniszczonych przez nasze oolt'os w czasie wchodzenia do nich. Niektóre wybuchały prosto w nasze pyski. Ledwie udało nam się złapać trochę thresh, a sporo łupów, które zostały z tyłu, uległo zniszczeniu.

– Muszę go wezwać. – Starszy mistrz bitewny złowrogo napuszył grzebień. – Ten po trzykroć przeklęty pisklak mógł się tego spodziewać, po co odepchnął nas przy lądowaniu?!

– Powiedz to Sieci – chrząknął Ardan'aath. – Został usunięty ze Ścieżki, gdy odszedł z Oolt' Po'os. Jeden strzał, prosto w grzebień.

– Cóż to za opętana przez Alld'nt planeta! – zadziwił się na głos Kenallai.

– Chyba mam na to odpowiedź, mój edas'antai – wtrącił jeden z Wszech władców wezwanych na naradę wojenną.

Odwrócił się do swojego eson'antai, Kenalluriala. Aardan'aath jeszcze do końca mu nie ufał. Dopiero niedawno awansowano go z mistrza zwiadowców na najniższy stopień mistrza bitewnego, a głowę miał pełną dziwnych pomysłów. Tam, gdzie Kessentai mógł zawrzeć bliskie sojusze, takie jak Kenallai z Ardan'aathem, jego Ścieżka była Ścieżką gniewu. W ogniu bitwy liczył się dla niego tylko Zew Krwi. Zaufanie do edas'antai można mieć swoją drogą, ale zbieranie grupy podobnie myślących Kessentai, daleko idące sojusze i zalecanie „myślenia tak, jak myśli przeciwnik” nie było tym, co nakazywała Ścieżka.

Dlatego wielu innych mistrzów bitewnych opowiadało się za zdegradowaniem go do statusu mistrza zwiadowców, żeby jeszcze trochę dojrzał. Jeszcze kilka bitew w pierwszym szeregu, a jego słabe sojusze rozpadną się w ogniu edan, jego „sprzymierzeńcy” będą walczyć ze sobą, by zająć jak najlepsze tereny, a on sam zrozumie, jak bardzo się mylił.

Mimo jego wad Kenallai zatrzymał go u swego boku, czy to z powodu więzów krwi, czy też dla spodziewanych zasług młodego mistrza bitewnego.

Inni oolt'ondai spojrzeli zdziwieni, kiedy młody mistrz bitewny podniósł wzrok znad interfejsu Sieci.

– Znalazłem informacje o thresh.

– Ja też szukałem i nie było niczego – parsknął Ardan'aath. – Tylko chaotyczne zapiski o świecie słabo rozwiniętej technologii, gotowym do podboju. Mieliśmy szczęście przybyć przed

główną falą. Obłowimy się ziemią i łupami!

Wśród zebranych Wszechwładców rozległy się radosne okrzyki.

Posleeńska Sieć Danych była dżunglą słabo posortowanych informacji. Ponieważ brakowało robotów informacyjnych i mechanizmów indeksujących, dane, które liczyły tysiące lat, miały taki sam priorytet jak nowsze informacje. Żegluga wśród skał i mielizn Sieci była sztuką, którą lubiło niewielu Kessentai, i dlatego większość z nich rzadko korzystała z systemu. Sieć zapewniała lokalną łączność, rozprawiała łupy pochodzące z podboju, a czasem wzywała posiłki, ale jako źródło informacji pozostawiała wiele do życzenia.

– Podobne thresh zaczęło pojawiać się w ostatnim tar. Na Aradan 5 skutecznie odepchnęli naszą inwazję.

– Co?! – wrzasnął Ardan'aath. – Po'oslena'ar nigdy nie ponieśli klęski!

– Poneśli na Aradan 5 – stwierdził cicho Kenallai. – Garstka tych, którzy ocaleli, jest z dnia na dzień spychana coraz dalej.

– Zwróć uwagę na dane o ich fizjologii – ciągnął Kenallurial. – Nie są to mutacje zielonych, mimo pewnych zewnętrznych podobieństw, ani też chudych. To zupełnie nowy gatunek.

Inni Kessentai także zaczęli studiować dane, znalezione przez młodego mistrza bitewnego.

– Ale te raporty nie wspominają o domostwach thresh – zauważył Oolt'pos' Kessentai.

Dowódca brygady potrząsnął grzebieniem z niepokojem i gniewem. Dane z innych planet także były niepokojące.

– Nie, edas'antai, rzeczywiście nie wspominają.

– Jakże stąd wnioski?

– Sądzę, że wyładowaliśmy w ich ojczystym świecie.

– A więc wsadziliśmy nasze esonal w gniazdo grat – stwierdził dowódca brygady.

– Powinniśmy ich zniszczyć niczym abat – powiedział Ardan'aath, wypuszczając powietrze z głośnym parsknięciem. – Czym jest dla nas garstka threshl – Spytaj Aarnadahe – mruknął Kenallai. – Nasi zwiadowcy prą naprzód z południa i wkrótce będą tu z nami Sammadar i niedobitki wojsk Aarnadahy.

Spojrzał na obraz zbliżających się do miasta Posleenów i plamy wykrytych wojsk wroga. Posleeni, zupełnie jak mrówki, przemieszczali się szlakami przetartymi przez zwiadowców. Każdy teren, którego nie omiotły promienie czujników Wszechwładcy, był dla nich nieznanym terytorium.

– Zmiażdżymy ich w naszych szponach i ruszemy po lepszą zdobycz na północ. To dopiero początek. Poślijcie wojska większym traktem za oolt Aarnadahy – ciągnął Kenallai.

– Moi zwiadowcy donoszą, że czeka ich starcie ze zorganizowanymi wojskami – zauważył jeden z oolfondai.

– Ruszajmy więc naprzód, by przyjrzeć się thresh. I miejmy nadzieje, że to nie threshkreen.

– A przede wszystkim, że to nie metalowi threshkreen – mruknął Kenallurial, kiedy przeglądał informacje ze świata zwanego Diess.

Powiedział to tak cicho, żeby nie usłyszał go Ardan'aath.

Kenallai napuszył grzebień na znak potwierdzenia.

– Uda się, sierzancie? – spytał porucznik Kevin Ray, kiedy szykował ostatniego claymore'a.

– To zależy od tego, co pan przez to rozumie, sir – odparł sierżant Arthur Van Tri.

Jego euroazjatyckie rysy rozjaśnił szeroki uśmiech skierowany do porucznika, który zameldował się w jednostce dopiero przed tygodniem.

– Jeśli ma pan na myśli uratowanie nam życia, to nie. Jeśli chodzi o zabicie tej całej cholernej

czeready Posleenów, to owszem.

Grupa złożona z saperów i cywilów tłoczyła się w suterenie Kościoła Zgromadzenia Bożego we Fredericksburgu. Wysoko w ścianie wybito otwór, przez który sierżant Tri, przycupnięty na drabinie, mógł od czasu do czasu wyglądać.

– Mam tylko nadzieję, że oni nie wiedzą, że na słupach ogrodzeniowych zazwyczaj jest ogrodzenie – ciągnął, wpatrując się w ciemność przez celownik noktowizyjny.

– A ja mam nadzieję, że nie wiedzą, że na słupach ogrodzeniowych zazwyczaj nie ma bomb – zaśmiał się jeden z cywilów. – Żebyście tylko zbudowali ten bunkier na czas.

– Proszę się nie martwić, panie Sunday – powiedział porucznik Ray. – Poradzimy sobie. Najpierw go wykopujemy, a potem w nim umrzemy, co, sierżancie Tri?

– Tak mawiają Morskie Pszczółki, saperzy piechoty morskiej, sir – westchnął sierżant.

– Czy nie powinniśmy się wycofać, sierżancie? – ciągnął porucznik. – Moglibyśmy przygotować kolejną zasadzkę.

Z dumą pokazał efekt swojej pracy z miną claymore. Po jednej stronie klakier był już przymocowany do zapalnika.

– Tyle, że kończą się nam ładunki, sir.

– Hej, sierżancie, pamiętaj: zawsze zachowaj jedną kulę dla siebie!

– Echo 39, tu Tango 39, odbiór.

Sierżant Tri podniósł mikrofon radia. PRC-77 był prawdziwym zabytkiem, ale nadal niezłe się spisywał.

– Tango 39, tu Echo 39, odbiór.

– Echo 39, zaraz zaczynamy. Pozycja Lafayette i Old Greenwich, odbiór.

– Przyjąłem, Tango 39, rozumiem. Pozycja Lafayette i Old Greenwich, odbiór. U nas wciąż brak aktywności.

– Potwierdzam, Echo 39. Tu Tango 39, miło się z tobą pracowało, stary druhu.

Sierżantowi Tri oczy zaszyły mgłą.

– Przyjąłem, Tango 39. Do zobaczenia w piekle, Hillbilly. Tu Echo 39, koniec.

Sierżant Tri przetarł oczy i znów wyjrzał przez otwór.

– Chyba wypowiedziałem to w złą godzinę – stwierdził. – Możecie już szykować broń.

Mieszany oddział cywilów i wojskowych uniósł strzelby i ruszył w stronę wyciętych w ścianie otworów.

Drogą truchtała falanga centaurów. Ich krokodyle łby obracały się na boki, w nocnym powietrzu wietrząc zdobycz. Daleko z tyłu prowadził swój spodek Wszechwładca, łatwo rozpoznawalny po większej sylwetce i grzebieniastej głowie.

Sierżant Tri nie ościagał się z użyciem swojej AIW, a i wśród cywilów było kilku porządnych strzelców, którzy ruszyli na dach, żeby zająć się Posleenami.

Chociaż posleński system naprowadzania potrafił wykryć każdego, nawet najlepiej ukrytego snajpera, zdarzało się, że w ogólnym zamęcie bitwy ulegał przeciążeniu. Sprytni snajperzy czekali więc z otworzeniem ognia, aż walka rozpocznie się na dobre. Sierżant Tri właściwie nie spodziewał się problemów z Wszechwładcą, bo wcześniej spędzili całą godzinę na drodze Jeff Devis, przygotowując Posleenom ogniste przyjęcie.

Droga prowadziła prosto jak strzała od miejsca, gdzie stykała się z drogą krajową 95 na południu miasta, aż do mostu ponad rzeką Rappahanock na północy. Od szkoły średniej imienia Waltera Granta aż do kościoła po obu stronach drogi ciągnęły się szczerze pola.

Batalion nadal miał sporo C-4, ale zupełnie skończyły im się już claymore'y. Żołnierze

poradzili sobie z tym bez trudu. Po drodze z miasta zatrzymali się w sklepie z narzędziami, gdzie kupili kilka rodzajów naboju, skrzynie z gwoździami i taśmę izolacyjną.

Do skrzyni z gwoździami przytwierdzili taśmą małe ładunki C4, po czym porozmieszczali takie pakunki na dachach budynków, drzewach, znakach drogowych, skrzynkach pocztowych, samochodach, a nawet na sznurach do rozwieszania bielizny. Chociaż do takich celów zalecano gwoździe trzycalowe, sierżant Tri wołał gwoździe papowe o szerszych i bardziej płaskich główkach, które zwykle padają szpikulcem do góry. W ten sposób gwóźdź, nawet gdyby nie trafił Posleena, zadałby ból temu, który na niego nadepnie.

– Czy to opóźni ich marsz? – spytał Duży Tom Sunday.

– Nie.

– To po diabła to robimy?

– Bo wcale nie chodzi o zwolnienie tempa ich marszu, panie Sunday – powiedział spokojnie Tri, nie spuszczać z oka nadciągających wrogów. – To ma ich pozabijać.

– Aha. A co z tymi, którzy idą za nimi?

– Cóż, zmarnują trochę czasu na przebrnięcie przez stosy ciał lub obejście ich bokiem.

Duży Tom Sunday uśmiechnął się i ruszył w stronę drabiny.

\* \* \*

Anarlarata, mistrz zwiadowców Po'oslena'ar, obracał głowę na wszystkie strony i delikatnymi dotknięciami szponów łagodnie przesuwiał tenar na boki. Wprawdzie ostrzeżono go, że inne grupy poniosły straszliwe straty, ale on do tej pory napotkał niewielki opór.

Kilku thresh rozpoczęło walkę, ale szybko ich zniszczyli. Niektórych nawet złapali. Zważywszy na to wszystko, nie miał pojęcia, czym wytłumaczyć to złowrózne gniecenie w dołku. Może po prostu nie przywykł jeszcze do tego nowego thresh.

Jego oolt podeszło teraz do budynku, w którym – według czujników – czaili się częściowo uzbrojeni thresh. Pomyślał o rozdzieleniu oolt i zaatakowaniu budynku z dwóch stron, ale stwierdził, że szkoda zachodu. Pośle naprzód kilka oolfos, żeby zmniejszyć straty, gdyby budowla nagle wybuchła tak jak inne.

Ci thresh naprawdę mają dziwne zwyczaje, pomyślał. Nad drogą i co kilka metrów na ziemi widać było jakieś przedmioty...

\* \* \*

Sierżant Tri poczekał, aż kilku posleńskich wojowników zbliży się do drzwi kościoła, po czym skinął na porucznika Lee.

Lee przytknął przewody do akumulatora i przez mrok pogrążonego w ciszy kościoła pomknęła niebieska iskra.

Usłyszeli ponad trzysta wybuchów prowizorycznych min kierunkowych rozmieszczonych na około czterystumetrowym odcinku drogi. Każda mina sypnęła ponad setką lecących o wiele szybciej niż kule pocisków, i tysiące śmiertelnych ładunków gwoździ rozerwały Posleenów na strzępy.

Spodek Wszechwładcy zniknął w srebrzystym rozbłysku ognia, gdy detonowały ogniwa zasilania. W tej krótkiej chwili zginęła ponad setka Posleenów i oddział milicji włączył się do bitwy o Concord Heights.

\* \* \*

– Pułkownik – powiedział oficer operacyjny sztabu – porucznik Ray melduje o starciu z Posleenami. Ich przednie szeregi weszły prosto w zasadzkę, ale tylne nadal prą naprzód. Porucznik uważa, że nie zdoła dłużej utrzymać pozycji.

Pułkownik Robertson patrzył na ludzi spieszących do zbrojowni i wychodzących z niej. Stos pośrodku pomieszczenia przybierał znaczące rozmiary. – Trzeba ich wycofać. Jaka jest sytuacja na drodze krajowej?

– Główne wojska Posleenów zasadniczo zostały zniszczone, ale od północy i południa nadciągają nowe posiłki. Nasi żołnierze utrzymają się tam jeszcze przez kwadrans.

– To lepiej niż mieliśmy prawo oczekiwać. A bunkier?

– Prawie pełny.

– Bogu dzięki. Powiedz sierżantowi, że to ostatni załadunek.

– Komu przypadnie zaszczyt?

– Myślą, że zostawią to sierżantowi. My musimy iść do miasta.

Kiedy przechodzili koło wejścia do zbrojowni, pułkownik spojrzął na umieszczony na drzwiach frontowych zamek o dwóch wieżach i zaśmiał się ponuro.

– Mam nadzieję, że ci dranie mają dość inteligencji, żeby rozpoznawać insygnia.

– Dlaczego?

– Pomyśl tylko, jak znienawidzą ten symbol.

\* \* \*

– Zrobię kolację z tych opętanych przez Alld'nt threshkreen! Kenallai opuścił spodek i brnął przez leżące na drodze zwłoki, żeby przyjrzeć się bliżej skutkom rzezi. Nad polem bitwy wciąż wisiał obłok pyłu i dymu, a rozplątane ciała jego posleeńskich towarzyszy parowały w chłodzie nocnego powietrza.

– Co to mogło być, do dziewiętnastu Msdr?!?

– To, mój eson'antai – powiedział Kenallurial i wskazał na duże, ubrane na zielono thresh. Nie nadawało się na racje żywnościowe, gdyż wybuch pozbawił je niektórych przednich części. Kenallurial oderwał strzep zielonego stroju.

– Spójrz na ten symbol. Wszyscy thresh odziani na szaro i zielono noszą różne symbole. Wielu nie potrafimy jeszcze rozszyfrować, ale ten już znamy. Tłumaczy się go mniej więcej jako „przywódca techników wojskowych”. Inni, którzy noszą strzelby, są przywódcami wojowników.

– Technicy wojskowi? – zakpił Ardan'aath. – Cóż to za brednie!

Co wojna ma wspólnego z naprawiaczami? Wojna jest dla wojowników, a nie dla próżniaków z materiałami wybuchowymi zamiast broni! Pokaż mi tych ze strzelbami, a przyniosę ci ich na ostrzu miecza!

Obrócił spodek i popędził w stronę swojego atakującego oolfondar.

Kenallai wziął podany mu strzep ubrania i obrócił czubek sterczących wież do góry.

– To chyba jakaś budowla.

– Tak, eson'antai. To może być ich kwatera główna. I chociaż potrafią świetnie budować, są też, jak widzisz, mistrzami niszczenia. – Zatoczył szeroki łuk ręką.

– Czy ci technicy wojskowi mają swoją nazwę?

– Tak, mówiąo nich „wojska inżynieryjne” albo „saperzy”.

Kenallurial ledwie wymówił tak trudne wyrazy.

– Saperzy – powtarzał Kenallai. – Mam nadzieję, że już nigdy o nich nie usłyszymy.

\* \* \*

Kolejka kobiet i dzieci oczekujących przed bunkrem przesuwiała się po kilka kroków do przodu jeszcze wtedy, gdy pułkownik Robertson przechodził pod mostem kolejowym nad Sophia Street.

Kiedy zbliżył się do stacji pomp, zauważył, że porucznik Young prowadzi ożywioną rozmowę z ubranym po cywilnemu budowniczym. Dopływ prądu do miasta został odcięty, co oznaczało również brak zasilania ulicznych latarni, ale na placu budowy ustawiono lampy łukowe i ciemność nie przeszkadzała w pracy buldożerom i koparkom. Wzgórze przy Frederick Street naprzeciwko stacji kolejowej zostało zrównane z ziemią, a ulicy praktycznie już nie było. Nie było też śladu stojących tu wcześniej domów ani szkoły Montessori. W ich miejsce pojawił się urwisty brzeg rzeki Rappahanock.

Stacja pomp była niskim, betonowym budynkiem o wymiarach około piętnaście na dziewięć metrów, zwieńczonym wysokim na sześć metrów silosem. Niższą część częściowo pokrywały rzeczne osady. Wąskie schody prowadziły na szczyt silosu, gdzie niegdyś znajdowało się przeszklone ze wszystkich stron pomieszczenie, zwane „pokojem z czarownicym widokiem na rzekę”. Z boku widniały drugie, szersze drzwi, nad którymi umocowany był dźwig.

Właśnie za tymi drzwiami ukrywano zapasowy sprzęt, kiedy stacja jeszcze działała.

Nanoszone na niższy budynek błoto, zwane nadkładem, sięgało prawie do samych drzwi. Właśnie w tej części bunkra przebywali cywile. Wąskie schody zastąpiono szerszą rampą ze stali konstrukcyjnej. Pułkownik Robertson patrzył, jak wojskowi zakładają ładunki wybuchowe, mające zniszczyć rampę, kiedy wszyscy będą już bezpieczni w bunkrze. Otwory na ładunki wybuchowe wywiercono także wokół drzwi bunkra.

Pułkownik Robertson czekał cierpliwie, aż młody porucznik zakończy rozmowę. Nagle zachciało mu się spać. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że już od ponad sześciu godzin skutecznie powstrzymują marsz centaurów. Nowa fala Posleenów przekroczyła już drogę międzystanową 95, przełamała obronę na Jeff Devis i parła wzdłuż Tidewater Trail.

Porucznik Young odwrócił się gwałtownie i niemal wpadł na stojącego za nim pułkownika. Podczas tego piekielnego wieczoru zgubił gdzieś okulary i teraz ledwie mógł rozpoznać swojego przełożonego.

– Dobry wieczór, sir – zsalutował. – Mam przyjemność poinformować, że jest dość miejsca dla wszystkich kobiet i dzieci.

Spojrzał na sznur zapłakanych dzieci i wyczerpanych kobiet, wspinających się po rampie do bunkra.

Jeszcze kilkanaście godzin temu te dzieci były pogodne i beztraskie, a teraz, w obliczu nadciągającej inwazji, drżały w chłódzie i mroku, oczekując w każdej chwili nadejścia bestii.

– Oby tylko nam się udało.

– Uda się – zapewnił swojego rozmówcę pułkownik.

W głowie kłębiły mu się wprawdzie czarne myśli, ale było już za późno, żeby zgłaszać jakiegokolwiek wątpliwości. Nie było wyboru między tym planem a lepszym, można było wybierać tylko między tym planem a żadnym.

– Cóż, nawet jeśli się nie uda, sir, oni i tak się o tym nie dowiedzą.

– Chce pan ich wszystkich zahibernować?

– Wszystkich oprócz kilku trzeźwo myślących kobiet. Gdyby się okazało, że popełniliśmy jakiś błąd, ktoś będzie mógł go naprawić i uratować innych.

– Ma pan na myśli zaproszenie ognia albo coś w tym rodzaju?

– Tak, albo na przykład reakcję uczuleniową na hibernację. Chłopaki z Bezpieczeństwa Publicznego i rafinerii Quarles świetnie się spisali. Bunkier został przystosowany do dwutygodniowego pobytu. Po tym czasie, zgodnie ze wskazówkami, czuwające matki zahibernują się same w oczekiwaniu na ratunek.

- Sir – powiedział operator radiowy pułkownika Robertsona – drugi oficer na linii.
  - Uniform 51, tu Uniform 83, odbiór.
  - Tu Uniform 51, odbiór.
  - Uniform 51, mamy przebiecie do Sunken Road i Kenmore House. Przewidywane wejście na teren starego miasta za pięć, powtarzam, za pięć minut, odbiór.
  - Przyjąłem, Uniform 82. Jestem z Uniform 49 przy Punkcie Delta. Plan Jackson prawie wykonany. Koordynujcie z... – Zapomniał sygnału wywoławczego kompanii Charlie. – Koordynujcie z Charlie 6, odbiór.
  - Przyjąłem, Uniform 51, tu Uniform 82. – Przez chwilę było cicho, po czym radio zatrzeszczało ostatni raz. – Miło było cię znać, Frank.
  - Nawzajem, Ricky. Bóg na pewno rozpozna swoich.
  - Potwierdzam, bez odbioru.
- Pułkownik Robertson oddał mikrofon oficerowi łączności.
- Musimy ich popędzić – wskazał na malejącą kolejkę kobiet i dzieci.
  - Tak jest, sir. Muszę zorganizować więcej nadkładu, ale jeśli pan uważa, że należy popędzić cywilów, cóż, tym też możemy się zająć.
- Pułkownik zaśmiał się.
- Szkoda, że nie mamy żadnego wsparcia. Przydałoby się teraz odwrócić uwagę wroga.



**Baza Powietrzna Andrews, Marylami, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 03:23 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

– Oto nasz plan – powiedziała podpułkownik Augusta Sherman, dowódca dwudziestej drugiej taktycznej eskadry myśliwców.

Poczekalnia dla pilotów była wyłożona dźwiękoszczelnym materiałem. Była to spuścizna czasów, kiedy latały jeszcze myśliwce i samoloty zaopatrzeniowe; wygłuszenie redukowało ryk ich silników do głuchego dudnienia. Po wstrzymaniu na całym świecie lotów panowała tu teraz pełna grozy cisza, w której głos dowódcy eskadry brzmiał jak odgłos kamienia wpadającego w przepastną studnię.

– Wiemy, że Posleeni są we Fredericksburgu i wokół miasta – ciągnęła – ale nie mamy żadnych szczegółów na temat ich liczby, siły czy lokalizacji. Kiowy kawalerii powietrznej ustaliły trasę dostępu, przekradając się z czujnikami tuż nad czubkami drzew. Na wypadek, gdybyście zapomnieli, przypominam, że lot w polu widzenia lądowników jest zdecydowanie niewskazany.

Pokazała na mapie trasę przelotu kawalerii.

– W zasadzie przez cały czas lecieli wzdłuż rzeki Rappahanock.

Na północ od Fort A. P. Hill natknęli się na znaczne siły Posleenów i automatyczne systemy naprowadzania Wszechwładcy dały im niezłego łupnia.

Rozejrzała się po zebranych w pomieszczeniu pilotach eskadry.

Przed przybyciem Galaksjan amerykański sprzęt wojskowy był szczytem osiągnięć technologicznych, a wyposażenie F-22E było prawdziwym cudem techniki. Wraz z przyjściem Galaksjan i powstaniem Sił Powietrznych Floty najlepsi na świecie piloci myśliwców zostali wysłani w kosmos. Flota potrzebowała ich tak wielu, że brano niemal każdego, kto miał chociaż minimalne doświadczenia albo nawet tylko duże ambicje.

Na Ziemi pozostała więc tylko zgraja nieudaczników. Był tu między innymi Kerman, któremu zawieszono licencję pilota, kiedy wbił się w budynek samolotem do opylania roślin i wykryto u niego 2,5 promila alkoholu we krwi; śledczy powtórzył badanie, bo nie mógł uwierzyć, że w takim stanie można w ogóle wystartować. Był porucznik Wordly, który w powietrzu jedną ręką ścisnął drążek sterowy, a drugą torebkę na rzygowiny. Był też Jefferson Washington Jones, do dwudziestego piątego roku życia półanalfabeta, który odbył swój pierwszy samodzielny lot w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat, na ćwiczebnym odrzutowcu.

I była dowodząca eskadrą, która dostała po wycieczce poza atmosferę takiej agorafobii, że nie mogła już latać na wysokości powyżej trzystu metrów.

Na szczęście wszyscy bardzo chcieli spisać się jak najlepiej; poza tym mieli samolot, który sam się pilotował.

– Próbowali wysłać bezzałogowe predatory, ale też zostały zniszczone. Władze mają nadzieję, że duże prędkości dadzą nam pewne szansę przetrwania.

Wypiła łyk kawy, żeby sprawić wrażenie opanowanej, i znowu rozejrzała się po sali. Większość pilotów słuchała, nie robiąc żadnych notatek. Podczas misji często nie starcza czasu na oddech, a co dopiero na czytanie notatek.

Zobaczyła, że Kerman wziął arkusz papieru i zaczął go składać, cicho gwizdząc przez zęby.

– Przykro mi, Wordly, ale lecimy nisko przy ziemi – powiedziała Sherman, co wzbudziło ogólną wesołość. – Ustawcie mechanizm dostosowania wysokości do ukształtowania terenu na TWARDY.

Polecimy pojedynczo. Kiedy stracimy jeden samolot, leci następny.

Wysłanie wszystkich razem to samobójstwo. Żadne dostępne dane nie wskazują, żeby udało nam się przeciążyć posleenkie systemy naprowadzania.

Kerman zaczął Auguście przeszkadzać. Origami, nad którym pracował, szeleściło, a poza tym bezskutecznie próbowała sobie przypomnieć, gdzie słyszała piosenkę, którą gwizdał.

– Zdobędziemy dokładne informacje o zajętych przez Posleenów terenach, albo wszyscy zginiemy. Wybór należy do was. Będziemy cały czas monitorować wasze sensory, ale poza tym lecimy na ślepo. Możemy polegać tylko na noktowizorach i lidarach na podczerwień, żeby uniknąć kolizji z przeszkodami terenowymi. Pamiętajcie, że możemy dostarczyć wojsku potrzebnych informacji wywiadowczych tylko pod warunkiem, że uda nam się przeżyć.

Ktoś z sali zaśmiał się na te słowa. Augusta pomyślała, że to pewnie Kerman, który najwyraźniej skończył już robić swoje origami.

Wiedziała, że przeżycie misji jest mało prawdopodobne. Mimo że wszyscy piloci złożyli przysięgę, zamierzała dać im szansę na wycofanie się.

– Kiedy tylko znajdziemy się nad rejonem Fredericksburga, zamierzam pójść na całość i uaktywnić wszystkie sensory, żeby dowiedzieć się jak najwięcej.

W sali zapadła grobowa cisza.

– Zważywszy na zagrożenie i na to, że jesteśmy zmuszeni uaktywnić sensory, osobiście nie wierzę, że komukolwiek z nas uda się wrócić. Dlatego każdy, kto chce zrezygnować, może to teraz zrobić.

Urwała i czekała, aż ktoś się podniesie, ale o dziwo, nikt tego nie zrobił. Wbiła wzrok w Kermana, ale starszy pilot tylko się uśmiechnął i gwizdał dalej.

– Dobra, z wyjątkiem pierwszego lotu będziemy ciągnąć losy, żeby ustalić kolejność. Aha, lecimy z ładunkiem bomb jak do ataku naziemnego. Jeśli znajdziecie jakiś cel, nie ma powodu, żebyście drania nie zdjęli.

– A komu przypadnie pierwszy lot? – zapytał Kerman, założył ciemne okulary lotnicze i szybkim ruchem rozwinął origami do jego pełnych rozmiarów. Najwyraźniej uważał, że jemu, jako lotnikowi z największym doświadczeniem należy się ten zaszczyt.

– A jak pan myśli, kapitanie Kerman?

Ostatni pilot wyszedł z sali. Na podłodze, poruszane podmuchem klimatyzatora, zostało origami – papierowy grzyb atomowego wybuchu.

Przy ponad tysiącu dwustu węzłach drzewa po obu stronach rzeki zlewały się w szarą, migającą masą. Mechanizm dostosowania lotu był ustawiony na TWARDY, co oznaczało, że liczył się jedynie samolot, a nie człowiek. Wyposażono go w sterowanie wektorem ciągu, możliwość osiągnięcia prędkości dźwięku bez dopalaczy i nader wytrzymałą konstrukcję, więc pułkownik Sherman co jakiś czas uderzało przeciążenie ponad szesnastu g. Pomiędzy chwilami, gdy przed oczami robiło jej się to szaro, to czerwono od przeciążeń, dostrzegała z boku srebrne smugi i drżące plamy czerwieni. Początkowo uznała to za złudzenie optyczne spowodowane kolejnymi udarami, ale później zdała sobie sprawę, z czym naprawdę ma do czynienia.

– Baza, tu Tigershark i – wysapała. – Macie odczyty o pożarze, odbiór?

– Potwierdzam, Tigershark 1. Trzymacie kurs?

– Nie, Baza, zniżam lot. Cholera!

Urwała.

– Przepraszam, Baza – podjęła po chwili. – Wyniosło mnie przy Rufin'sPond.

– Trzymaj kurs, Tigershark. Minęliście miejsce, gdzie nasze kiowa dostały w dupę.

– Przyjęłam, Baza. Znowu widzę pożar. – Wpisała polecenie dla kamery wizyjnej o wysokiej czułości. – Na drodze numer 17 widzę Posleenów. Idą na miasto. Fredericksburg musi się trzymać.

Rzeczywiście masy centaurów kierowały się na północ między – stanówką 17. Systemy naprowadzania Wszechwładców były na szczęście blokowane przez drzewa; plazma, pociski strzałkowe i lasery zatrzymywały się w ich koronach, dzięki czemu peregrine cały czas cudem unikał zniszczenia.

– Zbliżam się do Fredericksburga – ciągnęła. – Widzę smugi pocisków, najwyraźniej jeszcze tam walczą. Zostawię ich teraz. Nie chcę nikogo zabić falą naddźwiękową.

Samolot wykonał silny skręt nad drogą numer 17, co spowodowało przeciążenie aż dwudziestokrotnie przekraczające ziemską grawitację. Pułkownik Sherman straciła na chwilę przytomność.

Przeciążenie nie spowodowało jednak całkowitego odpływu krwi z mózgu, który piloci nazywają „tchórzliwym kurczakiem”. Po chwili znowu mogła działać. W tym czasie samolot przebył dalsze trzy mile i zbliżył się do Concord Heights.

– Jest ich pełno także na drodze krajowej numer 1. Chyba wypierają ludzi z powrotem do miasta. Kieruję się nad zjazd na drogę numer 95 i uaktywniam systemy.

Czuła, że to będzie ostatnie zadanie w jej karierze. Kiedy znajdzie się nad zjazdem z drogi krajowej numer 95 na drogę stanową numer 3, będzie w otwartym terenie, a to oznacza śmiertelną pułapkę. Pomyślała, że teraz już wie, jak czuli się japońscy kamikadze.

Przestawiła kilka przełączników kontrolujących uzbrojenie.

F-22E Peregrine dysponował przyrządami, o których projektantom oryginalnego F-22 nawet się nie śniło. Myśliwiec był zaprojektowany w czasach GPS-u; ewentualny system namierzania celów naziemnych również bazowałby właśnie na nim.

Kiedy jednak projektanci zrozumieli, że nie będzie żadnych satelitów, z których możnaby korzystać, musieli wymyślić coś innego. Ostatecznie wrócili do trzech starych, ale sprawdzonych technologii.

Po pierwsze, peregrine mógł dokładnie ustalić swoją pozycję na podstawie sterowania inercyjnego. System notował punkt startu, zwany punktem początkowym, po czym na podstawie pomiarów wektorów ruchu, które wykonywały bardzo czułe urządzenia, mógł z dużą dokładnością ustalić obecne położenie samolotu. Była to technologia z lat sześćdziesiątych, ale dzięki komputerom, bardziej zaawansowanemu oprogramowaniu i czujnikom stopień dokładności znacznie przewyższał wszystkie poprzednie systemy. Były jednak i wady – im dalej samolot odlatywał od miejsca startu, tym większe było prawdopodobieństwo błędu.

Po drugie, załoga samolotu mogła wprowadzać do komputerowej mapy dane dotyczące ukształtowania terenu. System ten początkowo stworzono dla wolniejszych pocisków samosterujących dalekiego zasięgu Tomahawk, ale przy współpracy z nowoczesnymi komputerami potrafił on dokonywać odczytów terenu nawet przy tysiącu dwustu węzłach. Pozwalało to na uniezależnienie danych z systemu sterowania inercyjnego od odległości od punktu początkowego.

Po trzecie wreszcie, samolot mógł dosyć dobrze ustalić swoje położenie dzięki impulsowemu systemowi radionawigacji dalekiego zasięgu.

Kiedy więc pułkownik Sherman skierowała wszystkie bomby kasetowe na wschód od zjazdu drogi numer 95 na drogę numer 3, mogła być pewna, że właśnie tam wylądują. Ona musiała tylko przeżyć na tyle długo, żeby wydać polecenie wystrzelenia pocisków i upewnić się, że CBU-58s trafią w Posleenów, a nie obrońców miasta.

Samolot wykonał ostry skręt w lewo i zniżył lot, kiedy nagle doszło do potężnej eksplozji po

jego tylnej, prawej stronie. Szarpnięta falą uderzeniową Sherman pomyślała najpierw, że spuściła ładunek za wcześnie, i w zupełnie niewłaściwym momencie obejrzała się za siebie. Kiedy spojrzała znów do przodu, rozległ się sygnał ostrzegawczy. Peregrine wyleciał znad lasu na zachód od Fredericksburga.

U zbiegu obu tras kłębiło się ogromne morze centaurów. Nacierające z południa i pomocy siły spotkały się tu i dziesiątkami tysięcy parły w stronę miasta. W tej masie były też tysiące Wszechwładców. Kiedy myśliwiec pułkownik Sherman wleciał na otwartą przestrzeń jak rakieta, wszyscy natychmiast obrócili się w jego stronę.

Zanim zdążyła nacisnąć przycisk odpalania, setki promieni lasera i dział plazmowych rozerwały jej maszynę na strzępy. Supernowoczesny myśliwiec zniknął w eksplozji włókien węglowych, paliwa i części, zanim jednak to się stało, czujniki i radary zdążyły przesłać do kontroli naziemnej ostatni pakiet danych.

\* \* \*

– Trudny cel jak dla turystycznej atrakcji, sir – powiedziała techniczka, w podnieceniu dźgając palcem ekran monitora.

– Zgadza się – przytaknęła kapitan, oglądając się przez ramię. – Wezwij ich. Powiedz, że mogą grzać, ile fabryka dała. Tam nie ma żadnych ludzi.

\* \* \*

– Ogień ciągły!

O zachodzie słońca wiatr ucichł i Potomac stał się gładki jak powierzchnia stołu. Okręt zarzucił już kotwicę; wielkie działa obróciły się w wieżyczkach na zachód.

– Ładuj M-Jeden-Cztery-Cztery!

Luki amunicyjne wież otworzyły się, by przyjąć długie, zielone pociski.

– Wysokość dwanaście-pięćdziesiąt, pięć kaset.

Lufy podniosły się powoli, a młodzi marynarze płci obojga, tak samo jak ich dziadowie ponad sześćdziesiąt lat wcześniej, wstawili ciężkie, dwudziestokilogramowe kasety prochu na dosyłacze pocisków.

– Światło ostrzegawcze włączone.

Wszyscy członkowie załogi otworzyli usta i zakryli dłońmi uszy.

– Ognia!

Odremontowany USS North Carolina – jeden z siedmiu pozostałych na świecie pancerników, wyprowadzony z portu w Wilmington, gdzie spędził prawie pół wieku jako stanowy pomnik – zadrżał, kiedy z jego szesnastocalowych dział po raz pierwszy od sześćdziesięciu lat wystrzeliły płomienie.

**Fredericksburg, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 04:56 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

– Jezu Chryste! – Porucznik Young zasłonił uszy rękami. – Co to, kurwa, było?!

– To musiał być peregrine, który doleciał aż tutaj. – Pułkownik Robertson potrząsnął głową, żeby pozbyć się dzwonięcia w uszach.

Ledwie jego słuch zaczął wracać do normy po posleeńskim lądowaniu, ziemski myśliwiec znowu go nadwerężył. – Z pewnością to był odrzutowiec.

Matki stojące w kolejce, skoncentrowane tylko na tym, by dostać się do schronu, zupełnie nie zwracały uwagi na skargi i płacz swoich dzieci. Zdeterminowane, z niewielką pomocą stojących w pobliżu obrońców, wspinały się z nimi po rampie. Zostało ich ledwie pięćdziesiąt, ale kolejka zaczęła zwalniać.

Porucznik Young popatrzył w kierunku, z którego nadlatywał myśliwiec, i w tym momencie doszło do straszliwej eksplozji. Owiała ich fala wysokiego ciśnienia, a ponad drzewami w oddali rozbłysła ogromna kula ognia. Przez chwilę w mieście zrobiło się widno jak w dzień, po czym karmazynowo-pomarańczowy blask przygasł.

Ułamek sekundy później doszło do kolejnego wybuchu na północnym zachodzie.

– No to chyba po myśliwcu – powiedział porucznik Young. – Mamy wsparcie z głowy.

– Ten pierwszy to chyba był arsenał – poprawił go pułkownik Robertson. – Drugi to prawdopodobnie myśliwiec. Ale jeśli zdążył przesłać dane do bazy, to może dostaniemy wsparcie artylerii. I być może myśliwców, bo w Andrews jest ich cała eskadra.

– Nie wydaje mi się, żeby to ich spowolniło – powiedział ponuro porucznik.

– Pewnie nie – zgodził się dowódca.

Jego jednostka wykonała swoje zadanie z nawiązką. Kiedy trzeba będzie umrzeć, będą przynajmniej wiedzieli, że nie mogli nic więcej zrobić.

– Chyba trzeba popędzić cywilów.

– Dobra, sir. Pójdę do Budynku Administracji i zobaczę, jak im idzie.

– Powodzenia, poruczniku.

Młody oficer wyprostował się i przepisowo zasalutował. Stary dowódca uroczyście odpowiedział na salut. Bez słowa odwrócili się i odeszli, każdy w swoją stronę.

\* \* \*

Ted Kendall trzymał w ręku strzelbę, z którą nie był nawet dobrze obeznany. Prowadzeni przez krępego faceta z arsenału Gwardii Narodowej kierowali się w stronę odgłosów strzelaniny, żeby spróbować zatrzymać Posleenów. Było to ich kolejne zadanie po spędzeniu prawie trzech godzin na przygotowywaniu bunkra dla kobiet i dzieci. Zatrzymał się na widok znajomej postaci trzymającej w ręce duży kawał papieru plakatowego.

– Morgen, skarbie – powiedział głosem ochryplym od przekazywania poleceń w czasie prac w bunkrze – co ty tu robisz?

Morgen Bredell należała do zespołu cheerleaderek, odkąd skończyła osiem lat. Teraz chciała, tak samo jak wszyscy, zrobić coś pożytecznego.

– Robię znak – powiedziała i sięgnęła po ceglasczerwona farbę. – Kiedy dotrą tu Posleeni, chyba powinni zobaczyć ten znak, nie sądzisz? – Zaczęła płakać, malując powoli zarys budynku

z dwiema wieżami.

– Tak, skarbie, tak – zapewnił. – Kocham cię, Morgen.

– Ja też cię kocham, Ted. Przepraszam, że zrobiłam ci wtedy awanturę.

– Ja też, skarbie. Powodzenia.

Nawet nie podniosła na niego wzroku. – Tobie też.

– To szaleństwo – mruknęła Wendy, kiedy ustawili kolejny antyczny mebel na szczycie sterty pod wybitym oknem.

– Śmierć jest lżejsza niż piórko, obowiązek jest cięższy niż meble – zażartował Tommy i otrzepał dłonie z kurzu.

– Czy mógłbyś przestać cytować mistrza Zen? – rzuciła ze złością.

– A czy ty mogłabyś postarać się o lepszy humor w ostatnich minutach naszego życia? – odpowiedział z ponurym uśmiechem.

– Przepraszam, ale jeszcze nie mogę w to wszystko uwierzyć!

– Nie chodzi o mnie, chodzi mi o ciebie. Przestań się złościć, to będzie ci trochę lżej.

– To rzeczywiście wspaniały sposób na spędzenie ostatnich godzin życia – parsknęła ironicznie i zaczęła przysuwać stół do okna.

– Cały czas kołaczę mi się po głowie stara, dobra rada, żeby nie umierać jako dziewica.

Kiwnął głową, położył poduszkę na stole... i zmarł.

– Czekał, czy to znaczy...?

– Tak.

– Żartujesz.

– Nie.

– A...?

– Cała drużyna futbolistów?

– No właśnie.

– Żaden z nich nie chciał się przyznać pozostałym, że tylko ich kokietowałam dla zabawy.

– Naprawdę? – roześmiał się.

– Pieprz się. Wcale ich nie oszukiwałam. Mówiłam im wszystkim otwarcie, że nie jestem dziewczyną, która wskoczy im do łóżka. Ale im się wydawało, że zdołają namówić mnie do zmiany zdania. Teraz żałuję, że byłam taka nieprzystępna.

– No... – Tommy ustawił przy drzwiach claymore'a przygotowanego do zdalnego zdetonowania.

– Chętnie pomógłbym ci rozwiązać twój problem, ale zważywszy na sytuację, lepiej będzie, jak zajmujemy się czymś innym.

– Więc co robimy? – Położyła na stole galila skierowanego lufą w okno.

– Plan zakłada, że kilka razy strzelimy ku chwale ojczyzny, pryśniemy przez tylne drzwi do Alesia's i ustawimy się na pozycji strzeleckiej. Zgadza się?

– Tak.

– Problem polega jednak na tym, że możemy nie mieć dość czasu na dotarcie do Alesia's. Voilf, oto claymore. Gotowy do zdalnego zdetonowania, skierowany frontem w stronę nadchodzącego wroga. Aby ją detonować – wyciągnął z kieszeni klakier – zaczepia się to tutaj, przekręca trzy razy i BUM!

– Aha, dobra. Więc kiedy to wysadzimy?

– Kiedy dotrzemy do Alesia's. Poprowadzę tam linę detonatora, i kiedy tylko wejdziemy w drzwi, zdetonuję ładunek. To powinno ich zatrzymać na co najmniej kilka minut. Potem wystrzelimy parę kul i zbiegniemy do sutereny, żeby się schować w tunelu. Przy odrobinie szczęścia

zgubią nasz ślad, kiedy wysadzę drugą minę, którą ustawiłem w Alesia's.

– Dlaczego przekręca się trzy razy? – zapytała i wyciągnęła rękę po urządzenie.

– Dla pewności.

Nagle rozległ się potężny huk. Oboje odrobinę zbyt późno zatkali uszy.

– Cholera jasna! – krzyknął Tommy, kiedy usłyszeli drugą i trzecią eksplozję.

– Co to było? – Wendy przekrzyzczała dzwonienie w uszach.

– Pierwszy huk to na pewno naddźwiękowy grom, odrzutowiec.

To musiał być peregrine.

– Pere... co?

– Wersja myśliwca stealth typu rapier, przystosowana do ataków naziemnych.

– Aha – powiedziała, nie rozumiejąc z tego ani słowa.

– Ale nie wiem, co to było – te dwa pozostałe wybuchy.

– Czyżby już wysadzili Budynek Administracji?

– Nie. Jeśli nie uda nam się skryć w schronie, zanim to zrobią, nie będziemy się musieli nawet zastanawiać, co to było. Po prostu już nas nie będzie. A poza tym te wybuchy były z innej strony. Jeden z nich to pewnie myśliwiec trafiony plazmą.

– A jeśli to był myśliwiec, czy to znaczy, że pomoc jest w drodze?

– Nie. Myślę, że to F-22. To jedyny samolot, który mógł dotrzeć aż tutaj. Posleeni są mistrzami w zestrzeliwaniu celów powietrznych.

– O cholera.

Popatrzył przez okno.

– A więc czekamy. Mówią, że to zawsze najgorsze.

– Nawet gorsze od bycia rannym? To mnie naprawdę przeraża.

– Tak, mnie też.

– Ciebie? Przecież ty się niczego nie boisz.

– Owszem, boję się. Boję się na przykład, że będę przytomny, kiedy przyjdą po mnie centaury.

Albo że wezmą mnie żywego. Słyszałaś o ich zagrodach?

– Tak. Mnie to też przeraża. Jeśli...

– Dobra. Nie mówmy o tym.

– Wiesz, co chciałam powiedzieć?

– No, pewnie chodziło ci o stare powiedzenie „Jeśli mieliby mnie wziąć żywcem...”. Moja odpowiedź brzmi „Nie ma sprawy”.

– Dzięki. A ty?

– Byłbym wdzięczny... – powiedział i urwał.

Nad miastem zadudniły szesnastocalowe, dwutonowe pociski.

Ich grzmot mógłby zagłuszyć nawet pociąg kursujący po piekle.

Punkt kulminacyjny stanowił dźwięk podobny do wystrzałów miliona petard.

– A niech mnie! – krzyknął Tommy. – To ICM!

– Co?!

Pociski, każdy rozmiaru volkswagena, zaczęły się otwierać i uwalniać subamunicję. Każdy ładunek, wielkości mniej więcej piłki baseballowej, był zbudowany jak cebula. Wewnętrzna kulę z materiału wybuchowego otaczały warstwy białego fosforu i drutu z karbowanej stali. Kiedy pociski obracały się w powietrzu, siła bezwładności uruchamiała mechanizm napinający. Po około siedmiuset obrotach pocisk był uzbrojony. Detonacja następowała chwilę po upadku.

Pociski opadły szerokimi wachlarzami; odbiły się od ziemi i eksplodowały

z charakterystycznym trzaskiem wybuchającej petardy.

Wzdłuż i wszerz autostrady grunt rozjarzył się na biało.

Broń zaprojektowano tak, aby wybuch następował mniej więcej na wysokości głowy przeciętnego człowieka – a teraz tysiące takich pocisków eksplodowały w masie Posleenów, zmierzających w kierunku Fredericksburga. Wybuchy odrzucały centaury na boki, rozrywały ich żółte ciała, ale największe spustoszenie siały szrapnele.

Każdy pocisk wypuszczał tysiące drobnych kawałków metalu, które cięły powietrze szybciej niż kula karabinowa, a razem z nimi leciał płonący fosfor.

Tysiące wojowników zginęły wraz z prowadzącymi ich Wszzechwładcami. Ci, którzy nie zostali zabici od razu, odnieśli okropne rany i umierali w straszliwych męczarniach, bo fosfor nie gasł nawet, gdy wbijał się w ciało.

Pierwsza salwa wyeliminowała niedobitki brygady Aarnadahy, która przebiła się wcześniej przez ulice handlowe i została zdziesiątkowana przy zjeździe na drogę numer 95. Oddział ten na swoje nieszczęście zatrzymał się obok zniszczonej cysterny destylarni Quarles, żeby się przegrupować. Tutaj właśnie został zmyty przez falę zniszczenia. Zaraz potem rozległa się kolejna salwa, jeszcze jedna i jeszcze jedna...

\* \* \*

– Co to? – spytała komendant Wilson, ściągając z głowy nomexowy kaptur.

– Artyleria – odpowiedział starszy sierżant kompanii Charlie, nie podnosząc wzroku znad obwodu, który właśnie instalował. – Nie wiem tylko, skąd, u diabła, się tu wzięła. To duże pociski, co najmniej sto pięćdziesiątki piątki, po huku sądząc nawet większe.

– Bo tak jest – powiedział porucznik Young, włączając się do rozmowy po wyjściu z bunkra. – To chyba jeden z tych odrestaurowanych pancerników.

– Cholera – zaśmiał się podoficer – pieprzone szesnastocalowe ICM zrobią z Posleenów grzanki.

– Tak – uśmiechnął się ponuro porucznik Young. – Skurwiele poczują, jak ich popieszczą!

\* \* \*

– Zmiana planów, chłopaki – powiedział kapitan Kerman na kanale eskadry. – Fredericksburg nadal się trzyma. Wchodzimy jako wsparcie dla ostrzału z North Carolina. Ustawcie radiostacje na 9632 i 98-47. To namiary jednostki saperskiej we Fredericksburgu.

Mogą próbować nawiązać z wami kontakt. Jeśli im się uda, nie odpowiadajcie, bo szkoda na to czasu, tylko odeślijcie ich do nas.

Jednym z celów lotu jest zebranie danych. Nie wiemy dokładnie, gdzie kończą się szeregi Posleenów, a zaczynają nasi, więc będziemy atakować skrzyżowanie dróg. Ostrzał z pancernika zrobił już swoje, więc może uda nam się to przeżyć. Jeśli tak będzie, wróćcie do bazy po paliwo i amunicję. Trasa lotów jest w komputerze; możecie ją modyfikować wedle uznania.

Urwał, zastanawiając się, co jeszcze powiedzieć, a eskadra zmieniła szyk ósemkowy na szereg i pomknęła w stronę ufortyfikowanego miasta.

– Sir – zapytał nagle porucznik Wordly – a co z tymi szesnastocalowymi pociskami? Czy nie powinniśmy uważać, żeby nie znaleźć się na ich linii ognia?

Kerman zastanowił się, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– Coś panu powiem, poruczniku. Jeśli zderzy się pan z jednym z tych pocisków, będzie pan mógł złożyć oficjalną skargę.



Kilku pilotów parsknęło śmiechem.

– A teraz – zakończył – chyba już czas zająć się historycznym Fredericksburgiem.

**Fredericksburg, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 05:24 letniego czasy wschodniego USA, 10 października 2004**

– Majorze, pokonali przeszkody na Sunken Road – powiedział biegacz, typ dobrze zbudowanego futbolisty; miał bąble na rękach i twarz moką od broczącej z rany na głowie krwi.

Major Witherspoon powiódł wzrokiem po leżących w kościele prezbiteriańskim zabitych i rannych. Ciała leżały w nie ogrzewanej kruchcie, a sanitariusze zajmowali się opatrywaniem rannych. Potem spojrział przez okna na zachód. Widać tam było falę Posleenów, nieubłaganie pracującą naprzód przez stosy zniszczonych ciężarówek i samochodów osobowych. Wszystko to oświetlała luna dogasającej, przewróconej cysterny, zamienionej przez kierowcę w samobójczą bombę.

– Boże – zaśmiał się – jak ja lubię, kiedy plan się udaje. – Odwrócił się do jednego z żołnierzy. – Niech pierwszy pluton i partyzanci wycofają się i skierują z powrotem na południe. Od tej chwili mogą robić, co uważają za słuszne, byleby tylko nie znaleźli się między Posleenami a Budynkiem Administracji. Te same rozkazy dotyczą drugiego i trzeciego plutonu.

– Tak jest, sir. – Łzy szeregowca mieszały się teraz z krwią na jego twarzy. – Szkoda, że nie mogliśmy zrobić nic więcej.

– Kiedy robisz wszystko, co w twojej mocy, nie ma czego żałować, synu. Zatrzymaliśmy ich przez całą noc; dłużej, niż ekspedycja na Diess. Żałować trzeba tylko wtedy, kiedy nie da się z siebie wszystkiego.

– Tak jest, sir.

– Powodzenia.

– Dziękuję, sir.

Ted Kendall uniósł swoją AIW i odmaszerował w ciemność nocy.

\* \* \*

– Proszę pani – pułkownik Robertson podał pakunek ostatniej wchodzącej do bunkra kobiecie – proszę to zabrać i postawić w bunkrze, ale nie majstrować przy tym. To mina-pułapka na wypadek, gdyby Posleeni próbowali otworzyć bunkier.

Shari zakłopotana zastanawiała się, jak ma wziąć pakunek, trzymając na rękach Kelly.

– Ja to zaniosę, sir-powiedział strażak, który trzymał Billy'ego.

– I upewnię się, że jest w bezpiecznym miejscu.

– Jest tu także nagranie planu obrony i barwy jednostki. Rozumie pan, flaga.

Strażak kiwnął głową, a jego oczy lekko się zaszkliły.

– Tak jest, sir.

– No – powiedział pułkownik Robertson i wziął karabin – będzie lepiej, jeśli się państwo pospieszą. – Zerknął przez ramię na nagły rozbłysk ognia na zachodzie. – Niedługo będzie po wszystkim.

Shari zbiegła szybko w dół po stromych schodach. Stopnie były z perforowanej stali, śliskie od naniesionego błota.

Minęła pierwszy poziom, gdzie saperzy i cywilni pracownicy spawali ostatnie stalowe płyty, i znalazła się w suterenie. Wokół niej wznosiły się betonowe ściany, ociekające skroploną parą z oddechów stłoczonych tu ludzi i jasno oświetlone licznymi lampami łukowymi.

Po obu stronach wejścia gorączkowo uwijali się saperzy, ustawiając stemple i wzmacniając

ściany. Kobieta strażak wzięła od Shari śpiące dziecko i zaprowadziła ją do następnej komory.

Po lewej stronie, wzdłuż ściany ciągnęły się zamknięte zawory pomp. Piętnastometrowa, betonowa piwnica przypominała grobowiec; w świetle lamp na kaskach sanitariuszy zahibernowane kobiety i dzieci wyglądały jak trupy. Na widok ich zwiotczonych kończyn, otwartych ust i wybałuszonych oczu Shari zatrzymała się przerażona, ale stojący za drzwiami strażak, przyzwyczajony do takich reakcji, delikatnie, acz stanowczo wciągnął ją do środka.

– Oni tylko śpią, słowo daję – powiedział z grymasem, który zapewne miał być uśmiechem. – To tylko zastrzyk hibernujący sprawił, że tak wyglądają.

Shari odskoczyła, przyciągając do siebie Susie.

– Niech pani sprawdzi ich puls, jeśli pani chce – dodał strażak, który przyniósł Billy’ego.

Shari pochyliła się i przyłożyła palce do szyi leżącej najbliżej kobiety, czterdziestoparoletniej, ubranej, jakby szła do pracy w banku. Po dłuższej chwili wyczuła delikatnie pulsujące tętno.

Kobieta strażak, która przyprowadziła tu Shari, delikatnie odciągnęła od niej opierającą się Susie i ją także uspiła.

– Jeszcze będziesz mi wdzięczna – szepnęła.

– Carrie! – zwołał strażak stojący w drzwiach i rozłożył ramiona.

Kobieta objęła go i poklepała po plecach.

– Hej, trzymajcie się jakoś.

– Dobrze. Powodzenia.

– Dzięki.

Strażak schylił głowę i zniknął w niskim przejściu.

Carrie pożegnała się w ten sam sposób z drugim strażakiem.

Potem jakiś cywil w kasku podniósł stalową płytę i wyszedł za strażakami. Dwie kobiety zostały same wśród stosów uspiionych ciał.

– No – powiedziała strażak – wygląda na to, że wyciągnęła pani najkrótszą słomkę.

– Co? – Shari rozglądała się za miejscem, w którym mogłaby się położyć, nie dotykając ciał.

– Postanowiono, że na każdym poziomie będzie czuwało kilku ludzi. Będziemy więc miały przyjemność zobaczyć, kto nas znajdzie jako pierwszy.

Dźwięk przypominający uderzenia kropel deszczu o dach oznajmił, że zaczęto właśnie zasypywać bunkier ziemią – grzebać ich żywcem.

\* \* \*

Kiedy rozległ się pierwszy odgłos wystrzału zza wzgórza, gdzie znajdowało się stanowisko dowodzenia saperów, Wendy udało się rozpoznać piosenkę, którą Tommy gwizdał pod nosem. Wykonująca ją piosenkarka przechodziła właśnie kryzys wieku średniego, a sama piosenka opowiadała o jej związku z mężczyzną na tyle młodszym, że mógłby być jej synem.

– Czy wy, chłopcy, kiedykolwiek myślicie o czymś innym? – zapytała ze złością Wendy.

– Wiesz, robiono kiedyś badania – Tommy spokojnie patrzył w kierunku odległej batalii – i psychologowie stwierdzili, że nastoletni chłopiec myśli o seksie średnio co piętnaście sekund. Jest nawet taki stary dowcip, jak dwóch chłopaków zastanawia się, o czym mają myśleć w ciągu pozostałych czternastu sekund.

Wendy się roześmiała.

– Poza tym – ciągnął Tommy – przemoc i seks nierozzerwalnie łączą się ze sobą, przynajmniej u mężczyzn. Podczas seksu i walki wydzielają się podobne endorfiny i hormony, i pobudzają te same obszary mózgu. Jedno ma tendencję do wyzwiania drugiego. Nie mów mi, że nie myślisz dzisiaj

o seksie częściej niż zazwyczaj.

Wendy zastanowiła się.

– Może masz rację. Więc dlaczego tak się dzieje?

– Nie wiem, jest wiele teorii na ten temat. Darwiniści mówią o reakcji przetrwania, filozofowie wskazują na kontrreakcję na śmierć. Zagadka Matki Natury. Ciężko zgadnąć. – W oddali zadudniła kolejna salwa pocisków. – Cholera, szkoda, że nie mamy łączności z tym pancernikiem.

– Dlaczego?

– Moglibyśmy sprowadzić ogień bliżej i naprawdę utrudnić Posleenom życie.

Nagle zagrzmiała seria straszliwych uderzeń. Pomieszczenie zadrżało, a z sufitu posypał się tynk.

– Chyba myśliwce wróciły – powiedziała Wendy i wytrząsnęła tynk z włosów.

\* \* \*

– Eskadra Peregrine, eskadra Peregrine, tu Tango Pięć Uniform Osiem Dwa, odbiór.

– Tigershark Pięć, możesz mówić, Uniform – odpowiedział kapitan Jones, kiedy jego myśliwiec przemknął nad Rappahanock. – Kontrola naziemna słucha.

– Eskadra Peregrine. Zrzućcie wszystko, co macie, na skrzyżowanie Williams Street i Kenmore, powtarzam: Williams i Kenmore, odbiór.

– Przyjąłem, Uniform. – Jones szybko zerknął na mapę terenu, ale nie udało mu się znaleźć wskazanego skrzyżowania. – Przekażcie to Muzeum, my lecimy nad zjazd.

– Przyjąłem, Peregrine... Życzymy szczęścia.

– Shark Pięć.

Wprawdzie Jefferson Washington Jones zdobył zaledwie średnie wykształcenie, podczas gdy większość pilotów myśliwców była po studiach, miał za to za sobą lata doświadczeń i wiedział, że nie ma czegoś takiego, jak sytuacja bez wyjścia. Zawsze potrafił coś wymyślić, a obecna sytuacja nie była wyjątkiem.

Trasy lotów w komputerach peregrine przebiegały nad zjazdem z międzystanówki 95 na stanową 3, ale Jones przeprogramował swój komputer. Wyłączył system śledzenia terenu i obniżył pułap lotu.

Jeśli po drodze nie napotka nieoczekiwanych przeszkód, może uda mu się nie uderzyć w ziemię.

Ale komputerowi nie spodobało się to przeprogramowanie.

– Wprowadzone parametry lotu grożą zniszczeniem samolotu zaćwierkał seksowny kontrakt należący do standardowego wyposażenia serii Rapier – ponieważ wymagają wyłączenia systemów ostrzegawczych.

– No to je wyłącz.

Komputerowi pewnie wydało się to samobójstwem.

– Potwierdź parametry lotu. Naciśnij trzy razy „ustaw”.

Nacisnął.

– Ostatnie ostrzeżenie: wprowadzone parametry lotu grożą zniszczeniem samolotu. Jesteś pewien, że nie chcesz niczego zmienić?

Naciśnij trzy razy „ustaw” dla potwierdzenia, w przeciwnym razie wciśnij „zaniechaj”.

Znowu trzy razy nacisnął „ustaw”. Na szczęście to nie system miał ostatnie słowo.

– To i tak samobójcza misja – mruknął.

Kiedy przelatywał nad starą dzielnicą handlową, włączył tryb śledzenia celu. Samolot przemknął z hukiem nad Szpitalem Mary Washington, a Jones pomyślał o przebywających tam pacjentach.

Chwilę potem, kiedy w stronę jego maszyny z ziemi wystrzeliły smugi laserów i plazmy, mógł już myśleć tylko o tym, żeby uciekać.

Myśliwiec zanurkował, kryjąc się przed ostrzałem. Kiedy zbliżył się do zjazdu drogi, pilot nagle zdał sobie sprawę, że nie wziął poprawki na drzewa.

Masywny samolot aż się zatrząsł, kiedy jego spód otarł się o wierzchołki rosnących wokół zjazdu dębów. W dole, w świetle księżyca i łuny pożarów, rozciągało się pobojuwisko, pełne martwych i rannych Posleenów.

Tysiące, dziesiątki tysięcy centaurów pokonały całe lata świetlne tylko po to, żeby teraz wyzionąć ducha pod gradem szesnastocalowych pocisków.

– Huraaa! – krzyknął Herman na częstotliwości radiowej eskadry, a inni piloci zawtórowali mu na widok rzezi, jakiej dokonał ostrzał z pancernika.

Myśliwiec Jonesa wykonał ostry skręt na północ. Komora zbrojeniowa otworzyła się, wypuszczając CBU-52. Bomba kasetowa natychmiast rozpadła się na dwieście mniejszych pocisków, które runęły w dół, siejąc spustoszenie wśród i tak już zdziesiątkowanych przez ostrzał z pancernika Posleenów.

Kiedy samolot wykonał bezpiecznie wszystkie zaprogramowane niskopułapowe manewry, Jones zauważył na południu błyski, które wskazywały, że inni członkowie eskadry mieli mniej szczęścia. Minał linię drzew po północno-wschodniej stronie zjazdu – ścigany przez wiązki ognia laserowego – i wrócił do trybu śledzenia terenu. Teraz musiał już tylko pokonać niebezpieczeństwa czyhające na niego w drodze do Manassas, i już będzie bezpieczny w domu. Aż do następnej misji.

**Rzeka Potomac, koło Potomac Creek, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 05:48 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

Obraz z bocznych kamer wszystkich peregrine został przesłany do North Carolina, wraz z rozkazem ostrzału skrzyżowania Williams i Kenmore. Kapitan rozkazał przełączyć obraz z kamer na zamknięty system telewizyjny, podczas gdy oficerowie taktyczni pracowali nad mapami.

– Dobra, Williams to droga stanowa numer 3, ale gdzie, do cholery, jest Kenmore? – zapytał zniecierpliwiony oficer do spraw wywiadu.

Na standardowych mapach taktycznych nie było nazw ulic, ponieważ nigdy nie używano ich jako punktu odniesienia przy wzywaniu ognia wspierającego.

– Musi być gdzieś dalej w głębi miasta – stwierdził główny oficer artylerii. Komandor porucznik odwrócił się do swojego głównego ogniowego. – Skierujcie tam ogień i zwiększcie obszar ostrzału.

Weźcie na cel wszystkie główne skrzyżowania po drodze do miasta, jedna bateria na każde skrzyżowanie.

Chorąży marynarki zaczął wstukiwać polecenia do komputera, a oficerowie znowu zajęli się mapami. Nagle jeden z techników łączności przy stacji roboczej aż podskoczył na krześle.

– Sir, czy mogę coś powiedzieć?

Oficer odwrócił się do niego zirytowany.

– O co chodzi?

– Chyba wiem, skąd wziąć mapę Fredericksburga, sir.

– Skąd?

– Z Internetu. Mam w szafce laptopa. Mogę się podłączyć do Internetu i ściągnąć mapę.

– Cholera – powiedział oficer wywiadu – to dobry pomysł, dlaczego ja na to wpadłem? A może przesłać zlecenie do Agencji Kartografii Wojskowej?

– Chyba Expedia będzie szybsza, sir – powiedział z przekonaniem technik.

– Mamy nadal dostęp do Internetu? – zapytał oficer artylerii.

– Posleeni zniszczyli wszystkie standardowe systemy wokół nas – powiedział oficer łączności – ale może uda się skorzystać z krótkofalowej transmisji. A o co chodzi?

– Potrzebujemy mapy na gwałt – wyjaśnił oficer artylerii. – Pański technik uważa, że można ją ściągnąć z Internetu, jeśli tylko podłączy się laptopa.

– To doskonały pomysł. Proszę przynieść laptopa.

– Tak jest, sir – powiedział technik i wybiegł za drzwi.

– Jak możemy się połączyć?

– Przez Norfolk. Moi technicy zajmą się tym.

– Dobra.

– No, niedługo będziemy mieli towarzystwo – powiedział oficer wywiadu, patrząc na uaktualnioną mapę rozmieszczenia wojsk.

W bezpośrednim sąsiedztwie zauważył czerwone oznaczenia wskazujące Posleenów. Peregrine znajdowały się w odległości pięciu mil od statku.

– Będzie ciekawie.

Jak wszystkich innych członków załogi, zaczynał go już nudzić ostrzał tylko na odległość. Nie potrafił sobie nawet wyobrazić, jak to znoszą artylerzyści.

- Tylko przez chwilę – zaśmiał się koordynator ostrzału.
  - Żeby tylko wszyscy weszli do wody i dali się ochrzcić – powiedział oficer artylerii.
  - Chciałbyś – zaśmiał się oficer wywiadu.
- Przyjęcie, jakie szykowała im North Carolina, Posleenom nie miało prawa się spodobać.

\* \* \*

To było najnudniejsze zajęcie na pokładzie. Technik – obserwator, który był nazywany oczami i uszami okrętu, obserwował bezpośrednie sąsiedztwo pancernika. Ponieważ środowisko, do działań w którym przystosowano okręt było skrajnie wrogie, zajęcia, które tradycyjnie wykonywano na świeżym powietrzu, przesyconym zapachem soli i morza, teraz trzeba było wykonywać w ciasnym, klimatyzowanym pomieszczeniu.

Zamiast oglądać przez lornetkę wylaniające się od czasu do czasu z wody morświny, technik bezustannie patrzył w dwadzieścia monitorów. Pięć szeregów, cztery rzędy, numer od sześćdziesięciu do siedemdziesięciu dziewięciu, z góry na dół, z dołu do góry, każdy nieparzysty ekran, każdy parzysty ekran, tam i z powrotem... i tak bez przerwy, przez osiem długich godzin.

A po okresie odpoczynku, który za każdym razem wydawał mu się coraz krótszy, znowu wracał do monitorów, z których każdy pokazywał ten sam obraz brzegu Potomacu.

Kiedy po raz pierwszy płynęli w górę rzeki, z lasu wysypali się cywile. Niektórzy mieli własne łódki, ale większość stała na brzegu, czekając na ratunek. Zabrały ich zespoły łodziowe albo piechota morska, i teraz tłoczyli się w forkasztelu, czekając na powrót do portu. Ale od tamtego czasu linia brzegowa była pogrążona w niezmaconej ciszy.

Technik otworzył właśnie puszkę pepsi i wypił pierwszy łyk, kiedy zza drzew przy Marlboro Point Road wyłonił się centaur i natychmiast otworzył ogień z karabinu.

Lekkie kule nie dosięgły nawet statku, który stał na kotwicy prawie milę od brzegu, tak samo jak nie drasnęły go następne wystrzały z dział.

Obserwator przypadł do swojego stanowiska i włączył mikrofon.

– Zgłaszam Posleenów, monitor sześćdziesiąt osiem, od sterburty na trawersie.

– Zgłaszam Posleenów, monitor dziewięćdziesiąt, od bakburty – odezwała się kobieta pełniąca służbę przy monitorach po przeciwnej stronie pomieszczenia.

Nagle kadłub zadźwięczał, kiedy w nawęgloną stal mostka uderzyły z impetem pierwsze hiperszybkie pociski.

– Zgłaszam Posleenów, monitor siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt pięć, sześćdziesiąt dziewięć... Zgłaszam Posleenów, wszystkie monitory.

– Centrum Bojowe, tu kontrola obserwacyjna – zawołał przez interkom bosman nadzorujący pracę w pomieszczeniu. – Są ich tysiące.

\* \* \*

– Włączcie pełny tryb automatyczny na wszystkich pociskach Termopile i Mark 49, uruchomcie system obrony strefowej – rozkazał kapitan i przesunął obraz na monitorze wzdłuż pełnego Posleenów wybrzeża.

Oficer systemów obrony podniósł zasłonę i przekręcił kluczyk, powodując przestawienie obrony bliskiego zasięgu na pełny tryb automatyczny.

System obrony bliskiego zasięgu, zwany Phalanx, powstał w latach siedemdziesiątych. Skomplikowany system naprowadzania radarowego uzupełniono później szybkostrzelnym działkiem gatling.

Całość wyglądała jak mały robot. Stożkowate działa sterujące na pokładach okrętów ochrzczono „R2D2”. Kiedy marynarka stanęła przed zadaniem walki z Posleenami, stosowana dotychczas broń, podobnie jak większość sprzętu, okazała się przestarzała.

Ale sprytni chłopcy z Dowództwa Systemów Morskich Marynarki, którzy odkryli stosunkowo dużą wytrzymałość pancerników z czasów drugiej wojny światowej na broń naziemną Posleenów, zauważyli jeszcze jedną prawidłowość. Posleeni byli trudni do wykrycia dla systemów obronnych tylko wtedy, kiedy nie strzelali. Dlatego stożkowatą białą czaszę radaru zastąpiono ciężką wieżyczką abramsa i systemem naprowadzania z Hummera-25. Na wieżycze umieszczono czujniki podczerwieni.

Kiedy posleeni Wszechwładcy w swoich spodkach dotarli na brzeg rzeki, natychmiast otworzyli ogień z ciężkich dział. Lasery, pociski hiperszybkie i plazmowe ryły głębokie wyrwy w pancieru pancernika, a czasem nawet przebijały się do magazynów statku.

Liniowcem wstrząsnęły potężne eksplozje.

Spod pokładu statku wyłoniły się wieżyczki Termopile – ochrzczone tak na pamiątkę słynnej bitwy w starożytnej Grecji – a wykrywacze ciepła na podczerwień natychmiast zaczęły znajdować cele. Był to całkowicie zautomatyzowany proces: każde działo wyszukiwało plamy ciepła w przypisanym sobie obszarze, dwukrotnie sprawdzało systemy bezpieczeństwa, po czym oddawało strzał.

Co piąty z dziesięciomilimetrowych wolframowych penetratorów był smugowy, a ich następstwo w serii było tak bliskie, że łączyły się w jeden nieprzerwany strumień, przypominający pomarańczową wiązkę lasera, wyszukujący zuchwalców, którzy odważyli się rzucić wyzwanie pancernikowi Marynarki. Działa plazmowe i laserowe Posleenów za każdym strzałem zdradzały się błyskami, wyraźnie widocznymi w podczerwieni, bo ich sygnatury termiczne wyróżniały się w zimnym powietrzu nocy. Sześć wieżyczek na każdej burcie automatycznie wybrało cele w swoich kątach ostrzału i zajęło się nimi z największą możliwą starannością. Każdy czujnik podczerwieni otrzymywał zwrotne informacje z wieżyczek i dane z komputerów pokładowych. Te z kolei zajmowały się celowaniem z pięciocalowych dział artylerii średniej, ładowanych amunicją rozpryskową. Algorytm wymagał minimalnej ilości strzałów oddanych przez wieżyczki w konkretne punkty celowania, bo dopiero w takich miejscach istniało siedemdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo rażenia znacznej ilości Posleenów. Zanim jednak ciężkie działa weszły do akcji, broń Wszechwładców zaczęła cichnąć jedna po drugiej.

– Przewidywalność trafienia na sześćdziesiąt sześć procent – zarządził kapitan, kiwając się tam i z powrotem w swoim fotelu.

– Już się robi – powiedział technik i wpisał polecenie.

Dwanaście pięciocalowych podwójnych wież natychmiast odpaliło pociski rozpryskowe.

– Bosko – szepnął obserwator, oglądając rzeź centaurów.

Powoli zaczynało już brakować celów. Odpowiedzią na każdy strzał Wszechwładcy albo jednego z taszczących wyrzutnie raket wojowników była nawała ognia. Potem do rzeki zbliżyli się Wszechwładcy z tylnych szeregów i polecili swoim kompaniom skierować ogień na drugorzędne działa, które dziesiątkowały ich oddziały. Ale i to nie pomogło, trup nadal słał się gęsto.

\* \* \*

Althanara był mistrzem zwiadowców i wiedział, kiedy stoi twarzą w twarz z klęską. Skinął na oolt i zawrócił.

– Dokąd idziesz, ty tchórze! – krzyknął Stenarnatta, mistrz bitewny. – Sieć zmieni cię



w Kestaina, jeśli w tej chwili nie wrócisz!

– Giń sam, jeśli taka twoja wola – warknął i wskazał na strzelby, które niosła jego oolt. – Ta splugawiona przez abat broń jest bezużyteczna!

– Dobrze – warknął mistrz bitewny – uciekaj, Kestainie!

Mistrz zwiadowców odwrócił się plecami do idącego na pewną śmierć mistrza bitewnego i nakazał swojej kompanii odwrót.

– Straciliśmy dwadzieścia pięć procent widoczności na monitorach od strony bakburty i tylko piętnaście procent od sterburty – stwierdził oficer systemów obrony. – Ogólna wydajność drugorzędnych systemów spadła o dwanaście procent; mamy kilku zabitych w wieży piątej.

– Jak dotąd, dobrze nam idzie – powiedział pierwszy oficer.

– Sir – przerwał technik regionalnej komunikacji alarmowej – wiadomość z DowArKon!

\* \* \*

Althanara obejrzał skomplikowany pulpit sterowniczy statku.

Zazwyczaj urządzenia pracowały automatycznie, mimo że kilku Kessentai potrafiło je obsługiwać. On jednak dopiero co wyszedł z gniazda i była to jego pierwsza walka. Miał nadzieję, że Sieć odniesie zwycięstwo w tej okropnej bitwie i wszystkie długie jego kompanii zostaną umorzone. Może dostanie nawet parę sztuk dobrej broni z tego cholernego pola bitwy.

Wprowadził polecenie do przeklętego przez Alld'nt sprzętu i nastroszył grzebień.

– Niechaj demony obdarzą mnie szczęściem.

\* \* \*

Centrum obrony planetarnej w Wirginii było wystawione na działania operacyjne jak kopalnia odkrywkowa. Plan budowy zakładał pokrycie centrum betonem, stałą i ziemią po zainstalowaniu odpowiedniego sprzętu.

Ale broń nie dotarła na czas i wszystko się opóźniło. Centrum obrony, które miało być ukończone w ciągu miesiąca, było szeroko otwarte od góry i wyposażone tylko w jedno z zaplanowanych dziewięciu dział.

Ponieważ w tej sytuacji żołnierze byli niemal bezbroni, otrzymali wyraźny rozkaz, żeby nie atakować centaurów podczas ich lądowania. Należało tylko mieć nadzieję, że skierowane przeciwko nim operacje powietrzne Posleenów nie spowodują takich strat, jak w innych centrach obrony na świecie.

Dowództwo Europejskich Fortec, połączona jednostka operacyjna z siedzibą we Francji i w Niemczech, postanowiło zaatakować Posleenów już w momencie ich pierwszego lądowania. Potężne umocnienia stworzono na bazie fortyfikacji, które oba kraje wznosiły będąc jeszcze wrogami. Linia fortet, wynik wieloletnich wysiłków milionów ludzi, została zniesiona już przez pierwszą falę ataku. W czasie pierwszej i drugiej wojny światowej fortece wytrzymywały wielodniowy, konwencjonalny ostrzał, ale broń kinetyczna o mocy dwudziestu kiloton otwierała je jak puszki konserw. Chiny i Indie też zaatakowały z nieprzygotowanych fortet, co dało podobny skutek. W ciągu jednego dnia ponad połowa centrów obrony planetarnej została całkowicie zniszczona. Spośród supermocarstw tylko Stany Zjednoczone i Japonia powstrzymały się od ataków.

Kiedy posleeńskie lądowiki uruchomiły systemy antygravitacyjne, centrum dowodzenia fortet, zlokalizowane na najniższej kondygnacji, natychmiast wykryło emanację.

– Pojawienie się lądownika, Okręg Westmoreland, Wirginia – zgłosiła technik, przyglądając się odczytom.

Ostatnia ramka wykresu zamrugała i pokazała dane.

– Według komputera to standardowy lądownik, a nie statek dowodzenia.

– Przyjąłem – powiedział dowódca operacyjny w stopniu pułkownika, po czym przesłał informację do Dowództwa Armii Kontynentalnej z prośbą o zezwolenie na atak. Odpowiedź otrzymał prawie natychmiast.

– Broń wolna. Powtarzam: broń wolna.

Stumilimetrowe działo grawitacyjne było całkowicie zautomatyzowane i nie wymagało obsługi przez załogę. Mimo to zawsze przydzielano do niego trzyosobową grupę techników, którzy dokonywali ewentualnych napraw albo obsadzali stanowisko strzeleckie, jeśli zawiodła centralna kontrola ognia. Dowództwo nalegało na zaprojektowanie lokalnego systemu kontroli, ale zdaniem obsady działa był on równie niezbędny, co wrzód na tyłku. Gdyby wysiadła centralna kontrola, trafienie w cokolwiek byłoby już i tak tylko kwestią szczęścia.

Projekt całkowicie odrzucał konwencjonalne koncepcje użycia artylerii przeciwlotniczej, jako że oczekiwano walki z krążownikami kosmicznymi, a nie lekkimi samolotami.

Zamiast wysyłać w powietrze, jak większość broni przeciwlotniczej, grad wybuchowych pocisków, działo strzelało kawałkami zubożonego uranu, przyspieszanymi w dwudziestometrowej lufie do trzech dziesiątych prędkości światła. Takie pociski o średnicy stu milimetrów i długości dwóch metrów bez trudu przebijały statek dowodzenia Posleenów. Oprócz ogromnej energii kinetycznej, jaka wyzwalała się w czasie uderzenia, podczas lotu pocisków powstawała fala relatywistyczna i eksplozja promieni gamma i Roentgena, dość potężna, by ugotować wszystko wewnątrz statków na miękko.

Ale z centrum obrony sterczała tylko jedna lufa działa zamiast planowanych dziewięciu. Forteca nie była także osłonięta masą betonu i stali, ani też otoczona umocnieniami.

Członkowie trzyosobowej załogi doszli więc do wniosku, że znają o wiele lepsze i bezpieczniejsze miejsca, skąd można by obserwować przebieg walk na południowym wschodzie. Wybiegli na zewnątrz, chwytając po drodze dopasowane do kombinezonów hełmy. Bez nich radiacja przy wystrzale upiekłaby im mózgi.

Lądownik właśnie wylaniał się zza horyzontu, co sygnalizowały zarówno dostarczone przez Galaksjan czujniki, jak i rozsiane po okolicznych wzgórzach radary.

– Cel namierzony – stwierdził technik kontroli.

– Otworzyć ogień – zarządził dowódca operacyjny.

Jego głos był spokojny i prawie znudzony, jak przystało na porządnie wystraszonego dowódcę.

Technik wcisnął przycisk odpalania.

Działo zadrżało i wypuściło pierwszy pocisk.

\* \* \*

Althanara ominął tarasujące drogę drzewa. Zaczął obracać statek, żeby ustawić do strzału główne działo plazmowe, a w tym czasie drugorzędne działa i lasery otworzyły ogień do unoszącego się na wodzie PO'osol. Wielki ziemski okręt strzelał bez przerwy. Thresh najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z zagrożenia. Jednostka zakołysała się, wstrząsana trafieniami dział plazmowych i laserów.

Poczekajcie tylko, pomyślał Althanara, aż namierzy was nasza wyrzutnia rakiet hiperszybkich.

\* \* \*

– Sir – krzyknął oficer kontroli uszkodzeń – straciliśmy wieżyczki numer trzy, pięć i siedem.

Wysiadły cztery z sześciu Termopil, a główną wieżę C przyspawało do pokładu!

Kapitan wachlował się notesem i kłął. Temperatura na mostku wzrosła o piętnaście stopni, a przez grube na stopę ściany mostka dochodziły jęki palonych ofiar.

– Co to było, do cholery?!

– Ładownik, sir. – Oficer systemów obronnych wskazał na ekran.

– Wzniósł się na napędzie antygravitacyjnym i strzela do nas z drugorzędnych dział.

W tym momencie rozległa się kolejna seria eksplozji, a potem potężny huk.

Kapitan złapał za oparcie fotela dowódczego, kiedy statek zakołysał się na falach wywołanych wybuchem. Wyraźnie usłyszał głuchy odgłos uderzenia kadłuba o dno rzeki. Oznaczało to, że statek zanurzył się co najmniej sześć metrów.

– Co się stało, do cholery?

– Mamy dziurę! – powiedział oficer kontroli uszkodzeń, wściekle bębniąc w przyciski, żeby uzyskać więcej danych. – Pocisk przeszedł przez statek na wylot! Straciliśmy trzeci kocioł, silnik numer dwa, dwa magazyny pięciocalówek i – Jezu – lazaret!

Kapitan odwrócił się do oficera systemów obrony.

– Widać go?

– Tak, sir – oficer wskazał na ekran – ale...

– To strzelajcie!

– Tak jest, sir. – Oficer wstukiwał polecenia tak szybko, jak tylko umiał.

Działające jeszcze Termopile wraz z pięciocalowymi wieżyczkami zaczęły obracać lufy w niebo.

Nagle siedząca przy komputerze technik łączności poderwała się na równe nogi i z laptopem w ręce pobiegła do centrum kontroli głównego działła. Odepchnęła z drogi innego technika, wyrwała wtyczkę komputera i podłączyła ją do swojego laptopa. Zajęła fotel przy stanowisku i zaczęła ładować program.

– No, dalej, dalej, sukinsynu – popędzała komputer.

Jeszcze nigdy zwykły DOS-owski program nie ładował się tak długo.

\* \* \*

– Yahai! – krzyknął Althanara, kiedy statek zachwiał się na wodzie. Kiedy trafimy w magazyny, będzie po wszystkim, pomyślał.

Jednak kiedy kolejny pocisk hiperszybki jeszcze się ładował, okręt zaczął się odgryzać.

\* \* \*

– Co robisz, dziewczyno? – krzyknął oficer artylerii. Technik wyłączyła jego główne działła. – Albo może powinienem zapytać, dlaczego to robisz?! – syknął.

– Próbuję ratować nasz tyłek, sir.

Na ekranie komputera zamrugało światełko i technik wcisnęła enter. Wszystkie sześć dział wystrzeliło w jeden punkt.

\* \* \*

Althanara uniósł już ręce w geście triumfu, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że ogień na statku wcale nie musi oznaczać trafienia. Nie miał jednak czasu, żeby panikować. Zanim półtonowe pociski ze statku pokonały połowę trasy do celu, z drugiej strony, z odległego centrum obrony planetarnej, nadleciał pocisk uranowy.

Przeszył statek Althanary od dołu i wyszedł górą. Po drodze zniszczył konwerter materii na antimaterię i kanistry antimaterii.

Rosnąca kula wybuchu jądrowego rozniosła lądownik, zdeintegrowała nadlatujące pociski z dział pancernika, a fala uderzeniowa i impuls termiczny spaliły wszystkich Posleenów przebywających w pobliżu statku na popiół.

Incydent ten wywołał później długotrwałą debatę. Zarówno w salach konferencyjnych, jak i w ulicznych barach roztrząsano kwestię, czy lądownik został zniszczony przez pocisk centrum obrony planetarnej, czy przez pociski z pancernika. W końcu zdecydowano, że zniszczenia zostały spowodowane przez działa pancernika.

W ślad za tym pojawiły się medale, wyróżnienia i korzystne kontrakty. To wszystko jednak wydarzyło się znacznie później. Teraz liczył się tylko skutek całej akcji – fala uderzeniowa, która dotarła w końcu także do pancernika.

Potęgę pancerników złamały testy bomby wodorowej na atolu Bikini. Tamtego poranka całą ich flotę zatopiła pojedyncza eksplozja. Wybuch lądownika nie miał jednak takiej mocy; poza tym lądownik był nieco dalej.

Zniszczenia były ogromne, ale nie katastrofalne. Fala ognia wdarła się przez wyrwy w poszyciu statku, ale zatrzymała ją grodzie broniące dostępu do zalanych wodą sektorów. Kilka magazynów wyleciało w powietrze, zginęła garstka ludzi z zespołu kontroli uszkodzeń, a statek wyszarpnęło z jednej kotwicy. Z przedziurawionych grodzi maszynowni buchał dym i płomień. Ale pancernik nie zatonął.

North Carolina miał już na dzisiaj dosyć. Podniósł drugą kotwicę i skierował się na południowy wschód. Nadal jednak w samym środku walki pozostało centrum obrony planetarnej.

\* \* \*

Sten'lonoral nastroszył grzebień. Świat w dole płonął w ogniu wojny, czego dowodziły widoczne nawet z kosmosu błyski eksplozji nuklearnych i bombardowań kinetycznych.

Jego oolt'ondai właśnie przekraczał ogromne morze i kierował się w stronę kontynentu, stopniowo schodząc z orbity, kiedy zadzwieczał rzadko używany czujnik.

– Na powierzchni planety wykryto broń, mogącą zagrozić naszym okrętom – stwierdził bezpłciowy głos. – Proszę o zezwolenie na atak.

Sten'lonoral sprawdził odczyty. Wszystko to było dla niego strasznie zagmatwane, ale nie chciał zdradzić się z tym temu nadętemu, przekłętemu przez Alld'nt kawałkowi złomu.

– Dobrze, udzielam zezwolenia na atak.

System wysłał sygnał do zewnętrznego lądownika z wyrzutnią rakiet kinetycznych. Ogromna platforma wystrzeliła masywny pocisk hiperszybki.

Pocisk kinetyczny wzniósł się czubkiem do góry, po czym zanurkował w kierunku powierzchni planety. Wbudowany napęd przyspieszył go do sporego ułamka prędkości światła i wyłączył się. Przy takiej prędkości celowanie było zbyteczne.

– Sir! – krzyknął technik, kiedy wszyscy w centrum obrony planetarnej zaczęli już sobie gratulować zwycięstwa. – Pocisk kinetyczny!

Wszyscy spojrzeli na ekran czujnika. Tylko na to starczyło im czasu.

\* \* \*

Głowica była masywna, ale nie zawierała ładunków wybuchowych; cała jej moc tkwiła w energii kinetycznej wyzwalanej podczas zetknięcia z celem. Spadła prosto na słabo osłonięte

centrum kontroli, a jej energia potencjalna zmieniła się w świetlną i ciepłą.

Ze stożkowego zagłębienia na szczycie wzgórza buchnął ogień.

Widok był przerażający, ale zarazem wspaniały. Zaraz potem pojawił się grzyb eksplozji, i łatwo można było odgadnąć, jaki los spotkał biedaków w centrum dowodzenia.

**Biały Dom, Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 05:58  
letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

– Czy Missouri jest już w drodze? – zapytał prezydent.

– Tak, sir – odpowiedział sekretarz obrony, zaglądając w dokumenty. – I Massachusetts. Missouri będzie na miejscu w ciągu dwóch godzin; płynie już w górę rzeki. Massachusetts jest dopiero koło Nowego Jorku i nie dotrze na miejsce w ciągu najbliższych dwunastu godzin.

– A co z centrami obrony planetarnej?

– W zasadzie ich już nie ma, panie prezydencie. Jesteśmy w trudnej sytuacji, gdyż każdy atak na lądownik kosztuje nas utratę centrum obrony planetarnej. Razem z High Knob straciliśmy już cztery. Ale jeśli pozwolimy lądownikom swobodnie latać, powyrzynają nas.

– A co z Fredericksburgiem?

– Wciąż się trzyma, ale to nie potrwa długo – powiedział Sekretarz Obrony. – Straciliśmy wszystkie peregrine, więc mamy ograniczone możliwości rekonesansu i wezwania wsparcia ogniowego.

Sądzę, że kiedy skończą z Fredericksburgiem, skierują się na północ i południe.

– Jak rozumiem, my nawet nie będziemy próbować ich zatrzymać między James a Potomakiem? – spytał nieco zdenerwowany prezydent.

– Tak, sir. Jeśli chodzi o pancerniki, to mamy ogromne straty.

North Carolina nie będzie zdolny do akcji przez najbliższe kilka miesięcy. A atak na otwartym terenie z pospiesznie wzniesionymi umocnieniami? Wojska nadal nie są gotowe do manewrów w otwartym polu. Musimy wycofać się za przeszkody terenowe, tak jak planowaliśmy, i strzelać do nich z artylerii. To jedyny sposób na Posleenów. W Richmond planują zmasowany ostrzał, ale oni mają do tego odpowiedni teren, a Waszyngton nie ma. Wycofamy się więc za linię umocnień, a Posleeni niech sobie na nich łamią zęby. Potem zaatakujemy zniecka i wybijemy tych, którzy przeżyją. Mimo wszystko cieszę się, że odrestaurowaliśmy te pancerniki.

– A co z dodekaedrami D? – zapytał prezydent.

– Generał Horner pozwolił centrom obrony planetarnej na ostrzał posleńskich statków teraz, kiedy nie mamy już do dyspozycji głównych wojsk. Centra nie są wprawdzie całkiem gotowe, każde z nich ma bowiem tylko kilka ciężkich dział grawitacyjnych, ale powinny zestrzelić wszystkie lądowniki, które pojawią się na obszarze między górami a morzem. W Maryland jest pewien problem z ukształtowaniem terenu, ale nie sądzę, żeby Posleeni umieli go skutecznie wykorzystać. Centra obrony planetarnej nadal mają wyraźne rozkazy, żeby nie atakować w momencie samego lądowania. Nie chcemy, żeby spotkało je to samo, co w Europie.

– Maryland... – powtórzył zamyślony prezydent.

– Siły dwudziestej dziewiątej dywizji zostały rozbite, ale dziesiąty korpus wysłał dodatkową dywizję, co powinno załatwić sprawę. Jeśli nie, to pierwsza armia wydała już rozkaz, żeby wszystkie korpusy Wschodniego Wybrzeża wysłały swoje wojska do Wirginii. W Maryland Posleeni nigdzie się nie ruszą, panie prezydencie.

– A w Wirginii...

– W Wirginii mamy inny kłopot. Kiedy tylko zbierzemy wystarczające siły po przeciwnej stronie Potomacu i James, zaczniemy odbijać Wirginię. Myślę, że powinniśmy prowadzić wojnę przy użyciu artylerii. Według doniesień obserwatorów, artyleria jest bardzo skuteczna w przypadku

Posleenów. Są oni wręcz podręcznikowym przykładem wojsk na odsłoniętej pozycji, a to ulubiony cel artylerzysty. Problem polega jednak na tym, że w końcu będziemy musieli ich zaatakować piechotą. A wtedy wolałbym, żeby atak piechoty był skoordynowany z działaniami artylerii. Atak na łapu-capu byłby bez sensu, sir. Nie wolno nam zaprzepaścić szansy na sukces.

Prezydent pokiwał głową w zamyśleniu.

– Jody – zwrócił się do rzecznika prasowego – a co mówią media?

– Jak dotąd na froncie nie ma żadnych reporterów. Było kilka ostrych protestów, kiedy wojsko nie wpuściło ich na drogi krajowe, ale na szczęście nie zrobiono z tego afery. Dziennikarze mają tylko nagrania z frontu, które my im dajemy.

Prezydent kiwnął głową i zaczął wiercić się na krześle, jakby mu było niewygodnie. Znowu spojrzął na ekran.

– Generale Taylor, proszę wyrazić swoją opinię w kwestii programu obrony.

Taylor zamarł z otwartymi ustami. Rysująca się przed nimi przyszłość nie wyglądała najlepiej, ale doszedł do wniosku, że będzie całkowicie szczerzy.

– Myślę, że to kupa gówna, panie prezydencie.

– Dlaczego?

– Jego autorzy całkowicie ignorują doświadczenia, jakie wyniesiono z dotychczasowych wojen. Są przekonani, że Posleenów można pokonać w otwartym terenie przy użyciu wojsk pancernych i zmechanizowanych. A przecież już się przekonaliśmy, że Posleeni potrafią poruszać się prawie tak samo szybko jak wojska pancerne i zmechanizowane, a manewrują jeszcze lepiej. Wprawdzie używają głównie broni bez celowników, ale dzięki zmasowanemu ostrzałowi i systemom bojowym Wszechwładców mogą zniszczyć pojazdy wojsk zmechanizowanych w promieniu tysiąca metrów. Jeśli żołnierze są na przygotowanych pozycjach – ale nie w fortcach, tylko w okopach – standardowe jednostki armii mają przewagę nad Posleenami jak dziesięć do jednego. Wynika to z teorii gier i obserwacji walk na Barwhon. Jednak podczas głównej inwazji siły Posleenów będą miały przewagę sto do jednego. A tylko około pięciu dywizji z północnej Wirginii będzie miało czas, żeby się okopać.

Zbudują prowizoryczne bunkry i trochę zasieków, lokalnie rozłożą claymore'y, trochę Skaczących Betty i M-833. Obecnie na dywizję składa się około szesnastu tysięcy żołnierzy, z czego około siedmiu tysięcy rzeczywiście strzela do wroga.

– Znam te wszystkie liczby, generale – mruknął prezydent.

– Tak, sir, zna pan, ale prawdę powiedziawszy, ani pan, ani generał Olds nie wykonaliście najprostszyc obliczeń.

– Wcale nie mówiłem, że rozmawiałem z generałem Oldsem.

– Ale to on jest najstarszym stopniem zwolennikiem programu obrony i liczy się na waszyngtońskiej scenie – odparł gniewnie generał. – Wiem, że konsultował się pan z nim podczas kampanii wyborczej, ponieważ jako czynny oficer mógł pociągać za odpowiednie sznurki. Czy wyraziłem się jasno, panie prezydencie?

– Proszę mówić dalej – wycedził prezydent przez zaciśnięte zęby.

– Chciałbym tylko, żeby wykonał pan proste obliczenia. Jeśli wszystko będzie w porządku, sam stanę się najzagorzalszym zwolennikiem programu obrony, o jakim kiedykolwiek pan słyszał. Jest pan gotów, sir?

– Niech pannie będzie złośliwy, panie generale.

Główny Dowódca wpatrywał się przez dłuższą chwilę w zwierzchnika sił zbrojnych. – Oto liczby. Jest pięć dywizji. Pięć.

Założmy, że nie ma z nimi absolutnie żadnych problemów i wszystkie są na miejscu. Posleenów są cztery miliony! Przypuśćmy, że się rozdziela i część z nich skieruje się na północ. Możemy założyć, że tak będzie, prawda, sir?

– Tak – odpowiedział sztywno prezydent.

– Zostają dwa miliony Posleenów i pięć tysięcy czterystu strzelających na jedną dywizję. Liczę tu całą piechotę, kawalerię i artylerię. Pięć razy pięć tysięcy czterysta równa się dwadzieścia siedem tysięcy. Przekątnik, ile razy mieści się dwadzieścia siedem tysięcy w dwóch milionach?

– Siedemdziesiąt cztery – odpowiedział obdarzony sztuczną inteligencją przekątnik.

– A więc każdy strzelający musi zabić, nie zranić, ale zabić siedemdziesięciu czterech Posleenów, żeby plan obrony zadziałał. To się nie uda nawet przy zmasowanym wsparciu artylerii. Jeśli Posleeni będą chcieli wybić nasze dywizje, proste obliczenia wskazują, że tracą około ćwierć miliona żołnierzy. Brzmi to wspaniale, dopóki człowiek sobie nie uzmysłowi, że to tylko jakieś dziesięć procent ich sił! Jeśli mi pan powie, w jaki sposób pięć dywizji może powstrzymać dwa miliony Posleenów, z największą przyjemnością wykonam wszystkie rozkazy, które pan wyda. Jeśli jednak nie wie pan, proszę tylko zastanowić się nad tym, jak strata osiemdziesięciu tysięcy żołnierzy wpłynie na morale narodu amerykańskiego – zakończył cicho.

– Dlaczego osiemdziesięciu tysięcy? – zapytał Sekretarz Obrony. – Powiedział pan, że jest dwadzieścia siedem tysięcy żołnierzy.

– W dywizji jest szesnaście tysięcy mężczyzn i kobiet, panie sekretarzu. Zważywszy na sieć naszych dróg i szybkość przemieszczania się naszych dywizji, szacuję, że zniszczonych zostanie osiemdziesiąt do stu procent korpusów.

– Nie wydaje się panu, że nie docenia pan naszych jednostek pancernych i artylerii, generale? – spytał prezydent.

– Panie prezydencie, trzymilimetrowe pociski z karabinów Posleenów bez trudu przechodzą wzdłuż przez transporter typu Bradley, a takie karabiny posiada jeden na dziesięciu z nich. Jeden na dwudziestu jest uzbrojony w automatyczną wyrzutnię rakiet hiperszybkich, które są w stanie roznieść czołg Abrams od czoła. To, że Posleeni w masie nie celują nie znaczy, że ich broń nie posiada celowników. Proszę nie zapominać, że te obliczenia nie uwzględniają Wszechwładców, których broń ma automatyczny system naprowadzania i jest tak dokładna, że można jej używać przeciw samolotom stealth. W masie wrogów będzie około pięciu tysięcy Wszechwładców. To prawie dywizja samych Wszechwładców. A jeden Wszechwładca to tak jak pięciu żołnierzy, nawet jeśli tylko się broni, a nie atakuje.

– Myślałem, że można ich zająć się nimi przy pomocy snajperów – stwierdził Sekretarz Obrony.

– Tylko przy ataku z zaskoczenia, sir, a Wszechwładcy nie są tak głupi. Większość z nich stosuje losowo dobierane uniki, dzięki czemu piekielnie trudno ich trafić, a poza tym każdy snajper ma do zestrzelenia równocześnie kilka, nawet cztery do pięciu, celów.

– A artyleria? – zapytał prezydent.

– To wprawdzie nasz najsilniejszy punkt – przyznał rozwścieczony generał – ale artyleria tylko powoduje straty, a nie zabija.

A Posleeni są bardziej wytrzymali na zranienie niż ludzie. Chciałbym, żeby się pan nad czymś zastanowił, panie prezydencie. Na nagraniu, które właśnie obejrzelismy, było widać mnóstwo zabitych przez pociski z pancernika, które są najskuteczniejszą bronią w naszym arsenale. Przekątnik, czy policzyłeś zabitych w akcji pancernika?

– Tak.

– Ilu ich było?



– Osiem tysięcy plus minus cztery procent.

– Jaka to część ogólnej siły Posleenów?

– Szesnaście setnych procenta albo jeden i sześć dziesiątych promila.

– A więc mniej niż jeden procent, panie prezydencie i panie Sekretarzu, właściwie niewiele ponad jedną dziesiątą procenta.

Zobaczył, że obaj są zszokowani.

– Proszę się tak nie dziwić. Musimy zabić jeszcze blisko tysiąc razy tyle Posleenów. Pancernik North Carolina odniósł wiele uszkodzeń, więc powstaje pytanie, skąd weźmiemy tyle pancerników, ile potrzeba?!

– Więc mówi pan, że artyleria ich nie zatrzyma? – zapytał prezydent.

– Sir, wszystko wskazuje na to, że Posleeni ani się nie wycofują, ani nawet nie zatrzymują pod ostrzałem. Po prostu brną dalej, głupie sukinsyny. Pozostaje więc tylko ich zabić, zanim oni nas pokonają. Artyleria może ich powstrzymać tylko wyjątkowo silnym ogniem, co nie jest możliwe, bo po prostu nie mamy dość dział.

Przekonaliśmy się na Barwhon, że ogień artyleryjski unieszkodliwia może trzydzieści procent atakujących Posleenów, a pozostałe siedemdziesiąt procent uderza w nasze umocnienia obronne jak tsunami. Przekażnik, ile to będzie w tym przypadku?

– Milion trzysta siedemdziesiąt dwa tysiące plus minus sześć procent, zakładając rozpoznany udział sił rozproszonych i zabezpieczających tyły armii.

– Ilu Wszechwładców?

– Trzy tysiące czterystu trzydziestu plus minus dziesięć procent.

– Liczba Posleenów przypadających na jednego strzelca?

– Pięćdziesiąt jeden plus minus dziesięć procent.

– Widzi pan więc, że to wcale nie przypomina walki z ludźmi, sir – podsumował Główny Dowódca. – Musimy stworzyć stałe umocnienia i zebrać ogromną liczbę żołnierzy. Gdybyśmy mieli czas, wysłałbym kilka jednostek szybkich ze wsparciem logistycznym i samobiezną artylerią, żeby opóźnić nadejście wroga. Ale w obecnej sytuacji najlepiej będzie, jeśli ufortyfikujemy Occoquan, zaminujemy drogi i wycofamy się aż za Potomac. Kiedy będziemy już mieć całą pierwszą armię na północnym brzegu Potomacu i dotrze do nas jedenasta dywizja pancerzy wspomaganych, i jeśli uzyskamy wsparcie inżynieryjne w postaci kontenerów z zasiekami i cementem, możemy znowu ruszyć do północnej Wirginii. Użyjemy tam pułapek ogniowych, żeby zmniejszyć liczebność Posleenów, i wtedy wysłanie regularnych oddziałów nie będzie już samobójstwem.

Jednostki pancerzy wystawimy na sam przód, a jeśli natkną się na bardzo silne wojska wroga, wycofają się do fortyfikacji, które my do tej pory wzniesiemy. Taki jest mój plan, sir, i sądzę, że jest dobry. Problem polega tylko na tym, że musimy stracić Cmentarz Arlington, ale, na Boga, odbijemy go! – zakończył Główny Dowódca.

– Nie wycofacie się z Richmond? – zapytał Sekretarz Stanu.

– Nie, sir. – Przekażnik dowódcy usłuźnie wyświetlił odpowiednią mapę na ekranie wizyjnym wielkości ściany. – Mamy zupełnie inny plan. Richmond łatwiej będzie ewakuować przez James; mają tam mniej ludzi i podobną infrastrukturę dróg jak południowy Dystrykt Kolumbia i Arlington. Punkt, którego broni generał Keeton, jest usytuowany w dobrym miejscu i ma jasno wytyczone trasy odwrotu. Samo Richmond ma lepsze warunki terenowe niż Arlington i kilka budowli, które umożliwią nam wykonanie planu obrony. Na przykład baza ogniowa, którą budują, jest jądrem zewnętrznej fortecy, tak jak to zakładaliśmy w Programie Fortec, i pomieści prawie cały korpus artylerii i dywizyjne baterie artylerii. Ze Wzgórza Libby można względnie bezkarnie strzelać do

Posleenów, gdyż nie uda im się wspiąć na szczyt w obliczu zmasowanego ostrzału. Niestety Cmentarz Arlington nie leży na tak stromym zboczu, a mamy za mało czasu, aby to zmienić. Przejrzałem plan generała Keetona, kiedy DowArKon ogłosił swoje wsparcie, i uważam, że nie ma w nim błędów taktycznych i operacyjnych. Generał Keeton przewiduje, że prędzej czy później straci Richmond. Tak naprawdę chodzi o to, żeby dać Posleenom porządny wycisk. Fortyfikacje zatrzymają wroga i pozwolą na zmasowany atak artylerii, co wyrządzi Posleenom większe szkody niż starcie w otwartym polu. – Wskazał na ekran wizyjny, na którym – w miarę jak przekaźnik śledził ruchy wojsk dwunastego korpusu – zapalały się ikony kolejnych batalionów. – W ten sposób możemy schwytać Posleenów w pułapkę krzyżowego ognia.

Jeśli uda się ukończyć budowę wszystkich umocnień przed ich nadejściem, przypuszczam, że Schockoe Bottom może stać się cmentarzyskiem Posleenów.

– Czy nie można tego samego zrobić w Waszyngtonie? – zapytał Sekretarz Obrony.

– Nie będzie łatwo, sir. Jak już mówiłem, tak naprawdę nadaje się do tego tylko Arlington Hill, chociaż zbocze i tak jest za mało strome. W Waszyngtonie nie ma żadnych innych przeszkód terenowych, takich jak wały przeciwpowodziowe, odpowiednie nasypy drogowe albo dolinne kanały.

Prezydent kiwnął głową.

– Generale, pańska ocena sytuacji jest bardzo realistyczna.

– Ale nie zmienia to pańskiego zdania ani trochę, prawda, sir?

– Dzięki panu jestem świadom zagrożeń, które – przyznaję – pewne osoby przeoczyły. Pozwoli pan, że o coś spytam, skoro to chwila całkowitej szczerości. Co pan myśli o generałach Simosinie i Oldsie jako prowadzących plan obrony północnej Wirginii?

Generał Taylor zastanowił się przez chwilę.

– Generał Simosin jest jednym z najlepszych generałów kierujących jednostkami ciężkimi, takimi jak dziesiąty korpus. Jeśli powiemy mu, żeby skoncentrował obronę na południe od Potomacu, myślę, że wykona swoją robotę najlepiej na świecie. Sądzę, że będzie walczył aż do końca, chyba że otrzymałby pisemny rozkaz prezydenta o przerwaniu walki. Nie chciałbym, żeby padł ofiarą politycznej nagonki, jeśli doczołga się z powrotem z tak małą liczbą żołnierzy, że nie będzie miał kto pogrzebać zmarłych.

– A co będzie, jeśli to pan padnie ofiarą politycznej nagonki?

– Nie powinno być na mnie większej nagonki, jeśli umieści pan w swoim wystąpieniu takie sformułowanie, jak „wbrew opinii moich najstarszych stopniem doradców wojskowych” – odpowiedział Taylor z nikłym uśmiechem. – Poza tym, szczerze powiedziawszy, niewiele mnie to obchodzi. Ja martwię się o żołnierzy z dziesiątego korpusu, których trzeba będzie poświęcić, a nie o skutki polityczne.

Na twarzy prezydenta pojawił się gniewny grymas.

– A co z generałem Oldsem?

– Cóż, jeśli będzie za bardzo przeszkadzał Arkady’emu, wyślę chorążego Kidda do Nowego Jorku z rozkazem usunięcia go. Mówię to śmiertelnie poważnie, panie prezydencie.

Prezydent odchylił się w fotelu i przyjrzał dowódcy, stukając lekko palcem wskazującym w policzek.

– A więc jest pan stanowczo przeciwny wdrożeniu planu obrony?

– Uważam, że to pieprzony koszmar, sir.

Prezydent kiwnął głową.

– Generale, doceniam pańską bezpośredniość, może mi pan wierzyć lub nie. Może wyraził się

pan zbyt ostro, ale ja szanuję pańską szczerłość. A teraz proszę pozwolić, że powiem panu coś o skutkach politycznych, o „nagonce”, jak pan to ujął.

Prezydent odchylił się wygodnie w fotelu, złożył dłonie w kształt piramidy i wbił w oficera bazyliżkowate spojrzenie błękitnych oczu.

– Polityczny skutek będzie wtedy, kiedy administracja oznajmi amerykańskiej opinii publicznej, że zamierza oddać w ręce wroga większość historycznych miast w kraju i że są to nieuniknione straty podczas wojny. Polityczny skutek będzie wtedy, kiedy politycy zignorują żądania swoich wyborców, a także wtedy, gdy politycy tak bardzo uwierzą w swoje własne przemyślenia i uwagi doradców, że zapomną, co podpowiada nam historia. Ale ja nie zamierzam zrobić żadnej z tych rzeczy.

Edwards pochylił się do przodu i stuknął w czarny blat stołu.

W pokoju zrobiło się zupełnie cicho.

– Żołnierze w tych dywizjach to amerykańscy obywatele, ich rodziny i bliscy to też amerykańscy obywatele. Ci ludzie dali mi mandat, abym bronił Stanów Zjednoczonych do ostatniego tchu.

I oświadczam, generale, że mam zamiar to zrobić.

– Tak jest, sir – odpowiedział ponuro generał.

– Nie z powodu jakichś rozgrywek politycznych, ale dlatego, że obywatele Stanów Zjednoczonych chcą, żebyśmy bronili ich miast i miasteczek.

– Tak jest, sir.

– Czy zastosuje się pan do wszystkich moich dyrektyw?

– Tak, panie prezydencie – odpowiedział Główny Dowódca i wyprostował się. – Zawsze wykonuję rozkazy, nawet kiedy mam duże obiekcje. To mój obowiązek.

– Bardzo dobrze. Oto moje zalecenia. Siły Lądowe Stanów Zjednoczonych będą walczyć przeciw Posleenom na północy Wirginii.

Obronę zorganizujemy na południe od Potomacu, a wszystkie dostępne wojska będą na razie bronić obszaru Bazy Morskiej Quantico i przyległych terenów. Wydam ten rozkaz na piśmie i zwrócą się do narodu, aby przedstawić mój punkt widzenia. Mam obowiązek bronić narodu. Czy pan rozumie moje zalecenia?

– Tak, sir. Jaki jest najważniejszy cel obrony, poza utrzymaniem północnej Wirginii?

– Chodzi o to, żeby nie stracić ani cala ziemi, a szczególnie Arlingtonu, ale obrona powinna sięgać jak najdalej. Na początek większość dziesiątego korpusu zgromadzimy na południe od Occoquan.

Czy to dla pana jasne?

– Tak, sir, wewnątrz i wokół Quantico.

– Bardzo dobrze, generale. Winston Churchill powiedział kiedyś „Wojna jest zbyt ważnym przedsięwzięciem, żeby zostawić ją generałom”. Niezupełnie się z tym zgadzam, chociaż przyznam, że jestem za cywilną kontrolą nad wojskiem. Powodzenia i niech Bóg ma nas wszystkich w swojej opiece, szczególnie te biedne duszyczki we Fredericksburgu.

Kiedy generał opuścił Pokój Sytuacyjny, prezydent spojrział na wciąż kipiącego gniewem Sekretarza Obrony.

– Generał Taylor chyba rzeczywiście niewiele obiecuje sobie po planie obrony?

– Chyba nie, panie prezydencie, chyba nie – wycedził przez zaciśnięte zęby sekretarz. – Nie mogę uwierzyć, że pozwolił mu pan mówić do siebie w ten sposób.

Edwards kiwnął głową.

– Jest dość popularny i pod jego komendą szala zwycięstwa może przechylić się na naszą stronę.

- Więc twierdzi pan, że musimy słuchać tych idiotyzmów, które wygaduje?  
Prezydent odchylił się do tyłu i mocno złapał za poręcz fotela.
- Twierdzę, że lepiej, żeby pański przyjaciel Olds wiedział, co mówi.

**Fredericksburg, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 06:14 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

Kolejna fala wybuchów szarpnęła wzgórzem, gdy nadleciały szesnastocalowe pociski kasetowe. Tommy podniósł swoją AIW.

– Dobra, powtórzmy to jeszcze raz.

– Wystrzelimy stąd kilka razy – powiedziała ze znużeniem Wendy – a potem wycofamy się do Alesia's.

– Ty idziesz pierwsza, a ja odpowiadam na ewentualny ogień, jaki w tym czasie mogą do nas otworzyć Posleeni. Dałbym ci pancerz, ale nie wydaje mi się, żebyś mogła w nim wystarczająco szybko biegać.

Wendy popatrzyła na kamizelkę ochraniającą ją od ramion aż po kolana.

– Mnie też się tak wydaje. W Alesia's detonujemy claymore'a wskazała na leżącą pośrodku pokoju minę. – Kiedy zaatakują Alesia's, uciekniemy do sutereny, a potem do tunelu. Zabezpieczymy otwór wejściowy łomem i detonujemy minę, kiedy tylko Posleeni wejdą w drzwi.

– Dobra. To wystarczy.

Ze stanowiska po przeciwległej stronie skrzyżowania odezwał się seria karabin maszynowy. W odpowiedzi nadleciał rój pocisków strzałkowych i ściana budynku roziskrzyła się rykoszetami. M-60 kaszlnął raz, drugi, a potem umilkł na zawsze, uciszony pociskiem hiperszybkim. Eksplozja kinetyczna spowodowała falę uderzeniową, od której zapało im dech w piersiach.

– O Boże. – Wendy zakasłała od chmury pyłu, która przetoczyła się przez ulicę, i odłożyła strzelbę na poduszkę.

– Czas zatańczyć – szepnął Tommy, przyłożył AIW do ramienia i przełączył tryb prowadzenia ognia na granatnik.

Kiedy na skrzyżowaniu Charles Street i George Street pojawił się pierwszy szereg posleńskiej falangi, powitała go istna burza ognia. Wendy, korzystając z celownika laserowego, strzelała krótkimi seriami zaskakująco celnie jak na początkującego żołnierza.

Jednocześnie po drugiej stronie ulicy para młodych milicjantów strzelała ogniem pojedynczym z wiekowych M-14. Prawdziwe straty spowodowało jednak pięć dwudziestomilimetrowych granatów, którymi Tommy Sunday wyciął Posleenów na całym skrzyżowaniu.

Przenosząc ogień z jednego skraju wąskiej George Street do drugiego, usypał górę martwych i rannych centaurów, na chwilę zatrzymując nadciągających prześladowców. Niestety ich kolejny szereg zdołał się już zorientować, skąd pochodzi ostrzał.

Grad wolframowo-stalowych pocisków strzałkowych uderzył teraz w witryny, przez które strzelało dwoje nastolatków, a w pomieszczeniu aż zaświstało od rykoszetów. Tommy przywarł do podłogi i przeturlał się z dala od okien.

– Biegiem! – wrzasnął i skoczył w stronę tylnych drzwi sklepu, zapominając zasłonić Wendy swoim pancerzem.

Wendy rzuciła się ku drzwiom, ale zachwiała się, kiedy prawa noga odmówiła jej posłuszeństwa. Spojrzała w dół i zobaczyła na łydce ranę od odbitego rykoszetem pocisku strzałkowego. Podparła się galilem i pokuśtykała do drzwi.

Tommy wyrzwał na zewnątrz, powiódł karabinem w prawo i w lewo i zmienił magazynek granatnika.

– Idziemy! – wrzasnął przez dobiegający zewsząd huk wystrzałów.

Kiedy zorientował się, że dziewczyna go nie goni, obejrzał się za siebie.

– Poradzę sobie – zawołała Wendy, potykając się o jakąś przeszkodę, ale łzy bólu zaćmiły jej wzrok. Nagle pogrążyła się w ciemności.

Na krótką chwilę Tommy jakby zamarł, w myślach rozważając decyzję. Opuścił rękę ku kaburze kryjącej desert eagle'a, ale zmienił zdanie, przełożył karabin do lewej ręki i przerzucił Wendy przez ramię. Kiedy fala pocisków przeorała frontowe drzwi sklepu, puścił się biegiem do Alesia's Antiques.

\* \* \*

Bili Worth leżał wśród gruzów zawalonego antykwariatu; napady kaszlu powodowały kolejne paroksyzmy bólu. Ciężka drewniana krowka przygniatająca mu nogi i jego ogólny stan wskazywały, że nie będzie mógł odpowiednio godnie powitać dżentelmenów z innej planety.

Cokolwiek sądziłby na ten temat Jean Paul Sartre, nie zawsze można zmieniać swoje przeznaczenie. Skoro jest mu pisane właśnie tak przyjąć odwiedzających Fredericksburg turystów, to niech tak będzie.

Z rosnącego uczucia słabości i powiększającej się plamy krwi na piersi wnosił, że pewnie i tak nie przywita przybyszów osobiście.

Chcąc odwrócić uwagę od tych rozważań, rozejrzał się wokół, żeby zorientować się, co zostało z jego antykwariatu. Zaintrygowała go leżąca nieopodal książka, więc przyciągnął ją do siebie, zaciskając z bólu zęby. Nie od razu rozpoznał okładkę, więc otworzył książkę na stronie tytułowej.

– Wielkie nieba – wyszeptał zaskoczony – oryginalny Copperfield! Gdzieś ty się ukrywał, młody człowieku?

I w ten oto sposób słowa Dickensa niczym przyjaciele przyniosły mu ukojenie, póki ciemność nie przysłoniła mu wzroku...

\* \* \*

– Tommy? – Wendy odzyskała przytomność i poczuła, jak czyjaś dłoń zatyka jej usta.

– Ciii! – szepnął chłopak.

Gdzieś w górze trwała walka. Głuche dudnienie świadczyło o odległych wybuchach.

Rozpoznała tunel i ze wstydem uzmysłowiła sobie, że Tommy musiał ją nieść aż tutaj. Czowała się już lepiej. Pomacała ranną nogę.

– Zrobiłem miejscowe znieczulenie – szepnął Tommy. – Byłaś w szoku.

– Przepraszam.

– W porządku, niektórym to się zdarza. – Wepchnął jej jakiś przedmiot do ręki. – To iniektor hibernacyjny. Trzymaj go przy sobie. Jeśli nas pogrziebie, kiedy detonuję claymore'a albo detonuję Dużą, wstrzyknij to. Może wytrzymasz do czasu, aż nas wykopią.

– Dobra, a ty?

– Ja też mam. Jeśli stracę przytomność pod gruzami, zahibernuj mnie, a ja zrobię to samo z tobą. Teraz trzymaj się. – Uniósł klakier ostatniej miny i szybko go ścisnął.

Rozległ się straszliwy huk eksplozji. Osłona ich kryjówek zadzwoniła, kiedy trafiły w nią ciężkie odłamki skał, a potem zapadła cisza.

– Ustawiłem jeszcze kilka ładunków, kiedy cię tu przyniosłem – szepnął. – Zwaliły parter na suterrenę i zabarykadowały nas tutaj.

Urwał na chwilę.

– Teraz musimy czekać i sprawdzić, czy przeżyjemy Dużą.

\* \* \*

Żelbetonowy dach stacji pomp zapadł się po detonacji podłożonych ładunków do środka; na wysokość czterech stóp spiętrzyły się na nim nowe warstwy ziemi. Pułkownik Robertson, jego oficer łączności, dwóch saperów i cywilny obserwator czekali teraz na swojej pozycji bojowej, aż Posleeni albo wybuch bomby paliwowo-powietrznej raz na zawsze położy kres ich walce.

Pułkownik Robertson wpatrywał się we wstające słońce. Jeden saper stał na czatach, a drugi razem z operatorem łączności i cywilem grał w pokera. Ptaki dawały poranny koncert. Gdyby nie fakt, że mieli zginąć, byłby to przepiękny, jasny poranek, dający nadzieję na wspaniały jesienny dzień. Szkoda, że mieli tego nie doczekać.

\* \* \*

Major Witherspoon leżał wśród poległych na stanowisku dowodzenia, z głową przestreloną pociskiem karabinu magnetycznego, a Posleeni dobijali się do drzwi kościoła. Ranni i sanitariusze ściskali broń i czekali w ciszy. Mieli wrażenie, że wokół zbierają się duchy w niebieskich, szarych i kamuflujących mundurach; czekały, aż dołączą do nich nowi towarzysze.

\* \* \*

Komendant Wilson stała na parterze budynku Administracji z aparatem tlenowym na twarzy. U jej stóp leżał zapalnik, a w dłoni trzymała klamrowy detonator. Ostrożnie przełożyła go do drugiej ręki, uważając, żeby nie zamknąć obwodu. Kątem oka spostrzegła w drzwiach jakiś ruch.

\* \* \*

Kerman, Wordly i Jones wiedzieli, że Posleeni znajdują się na wschód od międzystanowej numer 95. Pozwolono im trzymać się z daleka od skrzyżowania; zamierzali nie wychylać się spod osłony drzew. Kiedy gnali wśród świtu, przechyły samolotu, przeciążenia i trasa lotu wydawały im się znajome jak codzienna podróż do pracy. Przecięli Rappahanock i skręcili w górę doliny, w kierunku szybko zbliżającego się miasta.

– Zrzućcie ładunek – powiedział Kerman.

– Tigershark Pięć.

– Trzy.

Rozdzielili się i z trzech różnych stron zrzucili na Prince Edward Street napalm, wykonując manewr przejścia tak, że nie powstydziliby się go nawet Gromowładni. Kerman nigdzie nie dostrzegł żadnych pocisków smugowych, chociaż Posleeni wciąż do czegoś strzelali.

– Kontrola naziemna, Tigershark Dwa. Brak oznak życia we Fredericksburgu.

– Powtarzam Dwa. Potwierdzam. Jeszcze jeden przelot, odbiór.

Trzy samoloty wykonały skręt nad Belmont Manor wyciągając piętnaście g i ściągając na siebie sporadyczny ogień nieprzyjaciela, po czym nadleciały nad miasto od strony wstającego słońca.

\* \* \*

– „Panie, zabierz mnie nad rzekę...” – zanuciła szeptem Morgen, siedząc na brzegu Rappahanock i czekając, kiedy wzejdzie słońce.

Zobaczyła na tle słonecznej tarczy kilka szybko zbliżających się punkcików-„... i obmyj mnie krwią baranka”.

\* \* \*

Nawet posleenscy wojownicy byli w stanie się uczyć. Teraz uczyli się, że otwieranie drzwi w tym przeklętym przez demony mieście to najlepszy sposób, żeby nie przekazać swoich genów następnemu pokoleniu. To była pierwsza kompania, albo raczej jej niedobitki, która dotarła do jedyne go w mieście wysokiego budynku – kwatery głównej wojskowych techników.

Słyszeli już raporty i widzieli efekty starcia, ruiny budynków wszędzie dookoła. Chociaż więc nie potrafili przeczytać słów „Witamy w historycznym Fredericksburgu, siedzibie dwieście dwudziestego dziewiątego batalionu saperów”, widniejących na papierowym proporcu, który łopotał nad drzwiami, wiedzieli już, że koślawy zamek o dwóch wieżach nie wróży nic dobrego, tak samo jak czaszka ze skrzyżowanymi piszczelami nie wróży niczego dobrego ludziom.

Kiedy trzydziestu niedobitków, ocalałych z czterystuosobowej kompanii podeszło do drzwi, zwolnili ostrożnie. Jak dotąd na każdym kroku napotykali opór, każdy budynek był zaminowany. A to była największa budowla w mieście, a mimo to nikt jej nie bronił.

Zajrzeli przez ocienione okna i zobaczyli wewnątrz jakąś postać.

Ich Wszechwładca przezornie pozostawał przez cały czas po drugiej stronie ulicy. Na jego rozkaz przywódca wojowników wystąpił naprzód i otworzył drzwi.

\* \* \*

Komendant Wilson była niemal zadowolona. Mordercza noc wreszcie dobiegła końca. Do tej pory robiła wszystko, co można, żeby ratować ludzkie życie, a teraz po raz pierwszy i zarazem ostatni miała komuś życie odebrać. Przede wszystkim Posleenom, ale nie tylko. Także wielu ludziom. A ona czuła w głębi duszy, że wszyscy są braćmi. Miała tylko nadzieję, że ludzie są tak samo jak ona przygotowani na koniec tej drugiej nocy i tak samo zadowoleni, że wreszcie zaczną się dla nich nowa, dłuższa ale – jeśli wierzyć nadziei – spokojniejsza.

– Panowie – zwróciła się do Posleenów, którzy wlewali się przez drzwi wejściowe – witamy w historycznym Fredericksburgu!

I upuściła detonator na ziemię.

\* \* \*

W odstępach czasu tak krótkich, jak byli w stanie uzyskać doświadczeni saperzy, wybuchło sześćdziesiąt umieszczonych przy oknach stugramowych ładunków C-4. Wybuchy jednocześnie zapaliły płynny propan, który wciąż pompowano do wnętrza, i zapewniły dopływ tlenu, który miał podtrzymać reakcję.

W ciągu ułamka sekundy w siedmiokondygnacyjnym budynku wyleciały wszystkie okna, a powietrze w promieniu trzech przecnic zostało przez reagujący propan wyssane niemal do całkowitej próżni. W miarę jak propan pochłaniał tlen, wciągane powietrze podtrzymywało skoncentrowaną reakcję wysokoenergetyczną, dopóki ostatnia cząsteczka gazu nie została zużyta. Wtedy podgrzane do niewiarygodnej temperatury powietrze wybuchło na zewnątrz z siłą niepowstrzymanego kataklizmu.

Dla Morgen Bredell i pułkownika Robertsona – i dla wszystkich ludzi i Posleenów przebywających w historycznym centrum Fredericksburga – nastąpiła chwila zapierającej dech w piersi ciszy, po czym huraganowy podmuch pognał w stronę centrum miasta i rozległo się ogłuszające wycie. Zaraz potem nadeszła ciemność i fala uderzeniowa, zmiatająca wszystko na swojej drodze.



– Wybuch jądrowy! – krzyknął Jones na widok jasnej jak słońce kuli ognia i odruchowo wykonał myśliwcem ostry skręt w prawo.

Kerman gwałtownie skręcił w lewo. Wordly’emu pozostało już tylko dźwignięcie samolotu, więc szarpnął drążek do siebie, fundując sobie dwadzieścia g przy dziewięciuset węzłach.

Jego myśliwiec został natychmiast zaatakowany przez wszystkie lądowniki, dodekaedry D i spodki Wszechwładców od Marlboro Point aż po Spotsylwanię. Wybuchająca maszyna śmignęła w górę niczym Wezuwiusz – jasny, trójkątny fajerwerk akcentu, na tle wybuchającego miasta.

Fala uderzeniowa rozeszła się na boki, zmiotła budynek Bezpieczeństwa Publicznego i historyczne centrum, a potem zniszczyła most Chatham, wyrwała szyny z torów i wyrzuciła je w powietrze.

Wendy krzyknęła, kiedy ziemia zadrżała i podrzuciła ją gwałtownie jak nie ujeżdżony koń, a wokół spadł deszcz pyłu i odłamków cegły. Tommy osłonił jej głowę ręką, a jego pancerz uratował jej życie, kiedy spadł na nich kawał gruzu wielkości melona. Wendy przytknęła do uda iniektor hibernacyjny...

Shari i oficer straży poczuli tylko odległe drżenie. Tony ziemi przykrywającej stację pomp niemal całkowicie stłumiły wstrząsy.

Przestali na chwilę grać w karty i zmówiły modlitwę, po czym kolejny raz otarły łzy i znowu zajęły się grą.

Jones włączył dopalacze, kiedy tylko ustawił się dupą do źródła podmuchu. Siła bezwładności wcisnęła go w siedzenie, kiedy myśliwiec gwałtownie przyspieszył do maksymalnej prędkości. Samolot zaczął gwałtownie kiwać się na boki, kiedy maszynę dogoniła fala uderzeniowa. Kiedy w końcu drżenie ustało, pilot zmniejszył prędkość i ponownie skierował maszyną w stronę miasta.

Albo raczej w stronę tego, co kiedyś było miastem. W promieniu pięciuset metrów od wysokiego budynku wszystko zostało zmiecione z powierzchni ziemi. Po budynkach, które przetrwały tyle bombardowań podczas wojny secesyjnej, pozostały jedynie kamienie węgielne. Ocalał tylko kawałek dźwigu na południe od nasypu kolejowego.

Droga, na którą piloci zrzucili wcześniej napalm, została doszczętnie wymieciona, ale kiedy Jones przemknął nad miastem, z osłoniętej doliny rozległo się kilka wystrzałów. Skręcił ostro na pomoc, żeby uniknąć otwartej przestrzeni, i wezwał bazę.

- Kontrola naziemna, tu Tigershark Pięć, odbiór.
- Tigershark, tu Ziemia.
- Macie obraz, odbiór?
- Potwierdzam, Tigershark. Wracaj do bazy, Tigershark.
- Tigershark Pięć.
- I Dwa – dodał nieoczekiwanie Kerman.

Ostatni żyjący członkowie eskadry Peregrine skręcili na północ i ruszyli w kierunku Bazy Powietrznej Andrews.

\* \* \*

- Wszystko w porządku? – Tommy usiadł, strzepując z siebie odłamki cegieł, betonu i piach. Włączył przenośną lampę fluorescencyjną.
- Żyję – powiedziała Wendy i też strzepnęła gruz z nóg. Odsunęła kamień, który leżał obok niej.
- Jezu – Tommy oświetlił nie naruszony łuk architektoniczny nad nimi i zasypane końce tunelu – nie wierzę, że wytrzymał.

Ściągnął hełm i energicznie podrapał się w głowę, po czym wyskoczył z pancerza.

– A co będzie, jak znajdą nas Posleeni? – zapytała Wendy i wskazała na pancerz. Tommy odpiął boczne klamry i rozłożył go płasko na ziemi.

Następnie strzepnął z pancerza odłamki cegły i kamieni i wyciągnął się na nim z rękami splecionymi pod głową.

– Jeśli po tym wszystkim przyjdą tu Posleeni, to mogą mnie po prostu zjeść.

Wendy zaśmiała się i krzywiąc się z powodu bólu stłuczonych żeber, także położyła się na pancerzu i oparła głowę na piersi chłopca.

Po kilku chwilach oboje poczuli, jak zaczyna ich opuszczać napięcie całego tego dnia.

Tommy powoli zasypiał. Kiedyś, w przyszłości – i to pewnie wiele razy – pomyśli o tym wszystkim, co było mu tak bliskie i drogie, a zostało zniszczone. Ale teraz najważniejsze było, że przez chwilę panował spokój, nawet jeśli był to tylko spokój umarłych.

Nagle poczuł, jak czyjeś palce wsuwają się pod jego koszulę.

Zamarł, a wtedy jeden z palców zaczął bawić się włoskami wokół jego pępka. Wendy pochyliła się nad nim tak, że piersiami dotykała jego torsu, i przystawiła twarz do jego ucha.

– Tommy Sundayu – szepnęła i musnęła językiem jego ucho – jeśli natychmiast nie ściągniesz spodni, trzepnę cię twoim własnym glockiem.

**Droga międzystanowa 95 koło drogi stanowej 639, Wirginia, Stany Zjednoczone, Sol III  
06:29 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

We wczesnych godzinach porannych na umocnieniach obronnych w Richmond ustała wszelka praca. Z oddali dobiegały stłumione odgłosy wybuchów, a uwagę wszystkich przyciągały oglądane na ekranach przenośnych telewizorów transmisje z Dowództwa Armii Kontynentalnej. Wraz z pierwszymi promieniami słońca grzmot eksplozji paliwowo-powietrznej i jej widok w telewizji przełamały urok; zmęczeni żołnierze kawalerii i cywile wrócili do przygotowywania pozycji bojowych przy drodze krajowej numer 95. Tymczasem zespoły kobiet i nastolatków ustawiały wzdłuż drogi claymore'y i inne miny. Posleenów czekało gorące przyjęcie.

– Przyłóżmy się do tego, chłopcy i dziewczynki – powiedział sierżant Mueller – niedługo nasza kolej.

\* \* \*

– Jesteśmy gotowi?

– Tak, panie prezydencie. Oczywiście zważywszy na porę dnia i problemy z przekazem, nie mamy zbyt wielu słuchaczy.

– Będzie musiało wystarczyć. – Prezydent odwrócił się do Sekretarza Obrony. – Jak wygląda sytuacja dziesiątego korpusu?

– Zawrócili z powrotem do Quantico. Jest trochę zamieszania, ale myślę, że z czasem to się unormuje.

– Oby. A co z dziewiątym korpusem?

– Kieruje się w stronę Manassas. Cała pierwsza armia, z wyjątkiem pięćdziesiątej piątej dywizji pancerniej, która atakuje lądowisk w Maine, idzie do północnej Wirginii.

– W Maine i gdzie jeszcze?

– W Arkansas, Kalifornii i Oregonie zanotowano co najmniej jedno lądowanie grupy bojowej – odpowiedziała przedstawicielka FEMA, patrząc w notatki. – Kilka innych stanów miało do czynienia z pojedynczymi lądownikami. Ale tylko Fredericksburg został zaatakowany przez całą kulę. Nie licząc Fredericksburga i obszarów, o których nie mamy pełnych raportów, straty w ludności cywilnej wynoszą około piętnastu tysięcy. Większość w bezpośrednim sąsiedztwie miejsc lądowania.

Trudna sytuacja przerodziła się w prawdziwą katastrofę, kiedy dziesiąty korpus musiał zamknąć drogę krajową numer 95 i Belway, żeby zawrócić. Większość tras ewakuacyjnych po obu stronach głównych dróg otwarto już dla ruchu, ale samochody utknęły na całej ich długości w gigantycznych korkach. Miliony Wirginijczyków szło pieszo w kierunku mostów na Potomacu.

– Piętnaście tysięcy – powtórzył prezydent i skrzywił się. – Wspaniale. Nie ma to jak powiedzieć prezydentowi, że stracił piętnaście tysięcy amerykańskich cywilów.

– I prawie całkowicie niezastąpiony batalion saperów. I miasto, sir – dodał Sekretarz Obrony. – I wszystko pokazano w ogólnokrajowej telewizji. Teraz lepiej?

– Nie. – Prezydent odwrócił się do charakteryzatorki. – Już koniec?

– Jeszcze chwilkę, panie prezydencie. Musi pan dobrze wyglądać.

– To będzie trudne. – Prezydent spojrzał na tekst przemówienia.

Nie było najlepsze, ale będzie musiało wystarczyć, zważywszy na czas, jakim dysponował piszący.

– Musi pan dobrze wyglądać, panie prezydencie – potwierdził szef sztabu. – Odpowiedni wygląd jest teraz bardzo ważny. Nie może pan sprawiać wrażenia zmartwionego albo wręcz załamanego. To byłby zły sygnał.

– Czy ktoś mógłby mi powiedzieć coś nowego? Już mam dosyć tego ciągłego upominania.

– Dzwonił dowódca jedenastej dywizji piechoty mobilnej – powiedział Sekretarz Obrony, kiedy przeczytał wydruk e-maila z DowArKonu. – Jako główny reprezentant Floty prosił, żebyśmy wstrzymali się z użyciem trzeciego batalionu pięćset pięćdziesiątego piątego pułku. Zaproponował zamiast niego pierwszy batalion.

– Podał jakiś powód? – Prezydent był wyraźnie zakłopotany.

– Czy dlatego, że są teraz na przepustce, a ich dowódca utknął w Kalifornii?

– Cóż, panie prezydencie – powiedział Sekretarz – zaznaczył tylko, że są świetnie wyszkoleni i przeszli pomyślnie wszystkie testy, w przeciwieństwie do trzeciego batalionu. Trzeci batalion tylko w połowie przebrnął przez początkowy cykl szkolenia, sir, i nie miał jeszcze Testu Gotowości Bojowej.

– Więc czemu generał Olds sprowadził ich aż z Kalifornii, zamiast od razu użyć pierwszego batalionu? – spytał prezydent. – Czy to właśnie nie ten batalion jest mu oficjalnie przypisany?

Widać było, że to pytanie jest dla Sekretarza Obrony bardzo niewygodne.

– Chyba musi pan o to zapytać samego generała Oldsa, sir.

– Nie pytam Oldsa, Robby. Pytam Sekretarza Obrony! Czy to znowu sprawa hierarchii dowódczej?

– Nie chciałbym zgadywać, panie prezydencie.

– Proszę zgadywać – rzucił prezydent, zmęczony jego wykrętami.

– Myślę, że to może być raczej sprawa stosunku generała Oldsa do oficerów pierwszego batalionu niż ich gotowości – odezwał się głos z tyłu.

Prezydent gwałtownie odwrócił się i spojrzał na milczącego dotąd generała brygady – jego adiutanta. Zazwyczaj zachowywał swoje zdanie dla siebie, więc prezydent był zaskoczony, że tym razem się odezwał.

– Czemu pan tak sądzi?

– Byłem obecny na konferencji dotyczącej Programu Fortec, panie prezydencie – odpowiedział generał. Jego twarz wyglądała jak wyrzeźbiona w mahoniu. – Generał Olds kilka razy otwarcie wyraził brak zaufania do koncepcji pancerzy wspomaganych, a w szczególności do niektórych oficerów batalionu.

– Czy powiedział, o których oficerów chodzi? – spytał prezydent.

– W zasadzie nie, jedynie wspomniał o Michaelu O’Nealu, który przedstawiał raport na temat pancerzy wspomaganych.

– To ten, co zdobył Medal Honoru? – zdziwił się prezydent. – Czy wyjaśnił, co ma przeciwko niemu?

– Proszę pozwolić, panie prezydencie, że jeszcze raz podkreślę, iż generał odniósł się z rezerwą do programu pancerzy wspomaganych i kilku oficerów z batalionu włączonego do jego armii. Nie powiedział wprost, że czuje szczególną niechęć do kapitana O’Neala, ale można to było wywnioskować z jego wypowiedzi.

Prezydent spojrzał na Sekretarza Obrony.

– To pański przyjaciel. Mógłby pan to wyjaśnić?

Sekretarz posłał adiutantowi wściekłe spojrzenie, które generał odwzajemnił nawet bez mrugnięcia okiem. Dowodził Szkołą Snajperów Sił Specjalnych i potrafił zmusić rozmówcę do

spuszczenia wzroku.

– Jim Olds jest doświadczonym i zaprawionym w walce oficerem, który ma wyraźnie określone zdanie na temat pewnych spraw – zaczął wyjaśniać Sekretarz Obrony. – Dotyczy to między innymi funkcjonowania korpusu oficerów w armii, sposobu prowadzenia wojny i dysponowania funduszami. Z wieloma jego opiniami nie zgadza się większość oficerów oddziałów pancerzy wspomaganych.

– Zważywszy na to, wątpię, żeby generał Olds był szczególnie zadowolony z pomysłu, by jedną z kompanii pod jego komendą, która do tego pochłania o wiele więcej funduszy, niż pozostałe, dowodził żołnierz, który jeszcze niedawno był w stopniu sierżanta.

Albo z roli, jaką ten były sierżant pełnił w procesie przygotowania i szkolenia tej jednostki.

\* \* \*

Mike przejechał przez pas zieleni między jezdniami, wyprowadził samochód z rowu i nagle znalazł się przed maską pięciotonowej ciężarówki. Pojazd zahamował z głośnym piskiem opon i dźwiękiem klaksonu, ale Mike już znowu był na właściwym pasie ruchu, podskakując na koleinach i lawirując między ciężarówkami i autobusami. Sprawiał wrażenie, jakby całe życie jeździł tylko krętą, górską drogą. Odkąd przekroczył granicę stanu Wirginia, ruch uliczny był coraz większy.

Spojrzał na zawieszoną w górze tablicę, pokazującą ruchy jednostek we wschodnich Stanach Zjednoczonych, i skrzywił się.

– Kapitanie O’Neal – zaczął przekaźnik – rozmowa od podpułkownika Hansona...

– O’Neal?

– Tak, sir?

– Stoi pan w korku, jak widzę.

Pułkownik coraz lepiej potrafił wyciągać z przekaźnika informacje.

– Tak, sir.

– Ja utknąłem w Los Angeles. Mam pociąg za około pół godziny...

– Shelly, pokaż mapę operacji taktycznych na kontynencie. – Mike spojrzał na hologram. Zielone i czerwone strefy były rozsiane po całym terytorium Stanów Zjednoczonych. – Powrót zajmie panu co najmniej kilka dni, sir. Chyba że szesnasta dywizja kawalerii zdoła uporać się z wrogiem w Kansas.

– Zwłaszcza, że samoloty w ogóle nie latają. W głębi kontynentu miało miejsce kilka pojedynczych lądowań, a wie pan, że wystarczy tylko jeden lądownik w niewłaściwym miejscu.

– Zgadza się, sir.

– A panu ile zajmie dotarcie na miejsce?

Mike dostrzegł, że zbliża się do kolejnego punktu kontrolnego żandarmerii, a lufa działka stojącego tam Hummera-25 już wycelowała w jego pędzący samochód.

– W tym tempie prawie tyle samo, sir. Ale zobaczę, co da się zrobić.

– Cóż, rozmawiałem z majorem Givensem, i jeśli ani ja, ani major Rutherford nie wrócimy na czas, dowództwo w batalionie przejmie oficer operacyjny. A jak pan myśli, komu powierzyłem to stanowisko?

Mike wstrzymał się od skomentowania zdolności Nightingale.

– Widział pan, jak dziesiąty korpus przygotowuje się do obrony?

– Tak, przepięknie. Ciekawe, co się tam teraz dzieje.

– Nie wiem, sir. Muszę porozmawiać z żandarmami, żeby przepuścili mnie przez punkt kontrolny.

Zaczął zwalniać, kiedy dowódca żandarmów wysiadł z hunwee.

– Dobra, powodzenia. Nie wiem, czy to coś pomoże, ale rozkazują panu jak najszybciej dotrzeć

do jednostki. Przy użyciu wszelkich środków, jakie uzna pan za konieczne.

– Tak jest, sir. Cóż, ja również życzę panu powodzenia.

– Dzięki. Koniec.

– Shelly, połącz mnie z sierżantem Pappasem.

– Sierżant Pappas oddalił się od swojego przekaźnika. Jego przekaźnik jest u niego w biurze. Mike, który praktycznie nigdzie nie ruszał się bez przekaźnika, zdziwiony wzruszył ramionami.

– Dobra, połącz mnie z porucznik Nightingale.

– Porucznik Nightingale także oddaliła się od swojego przekaźnika.

– Co to, u diabła, ma znaczyć? – zniecierpliwiał się dowódca. – Czy w ogóle ktoś jest w pobliżu swojego przekaźnika?

– Porucznik Arnold jest osiągalny.

– Dobra, połącz mnie z Timem.

Po chwili zgłosił się przywódca plutonu bojowego.

– Kapitan O’Neal?

– Tak, Tim. Słuchaj, utknąłem w korku na drodze krajowej numer 81. Nie wiem, jak długo to jeszcze potrwa. Powiedz mojemu zastępcy, że potrzebna mi ocena Nightingale. Jeśli nie nadaje się do tej pracy, niech powie majorowi Givensowi, że to moja opinia. Nie dbam o to, czy porucznik Nightingale nadal będzie formalnie sprawować dowództwo, ale chcę, żeby to Gunny Pappas prowadził ten cyrk. Jasne?

– Tak, sir.

– Nie wie pan, gdzie on się podziewa? Nie ma go w pobliżu przekaźnika.

– Dokładnie nie wiem. Zobaczę, czy uda mi się go namierzyć.

– Dobra. Poruszę niebo i ziemię, żeby jak najszybciej wrócić, ale nie wiem, czy mi się uda.

– Tak jest, sir. Proszę na siebie uważać.

– Dobrze. Koniec. Kapralu – powiedział O’Neal, odsuwając szybę i pokazując żandarmowi swój identyfikator – nazywam się O’Neal, Siły Uderzeniowe Floty...

– Rodacy, Amerykanie...

Prezydent osobiście nie cierpiał tego sformułowania, ale tylko takie nadawało się na tę okazję. Patrzył w ekran z tekstem przemówienia i starał się uciszyć potok myśli. Wiedział, że kraj zapłaci straszliwą cenę, ale tego wymagał obowiązek i honor.

– ...wszyscy byliśmy tej nocy świadkami strasznych wydarzeń.

W ciągu dwunastu godzin tysiące Amerykanów straciło życie, a jedno z najważniejszych w naszej historii miast zostało zmiecione z powierzchni Ziemi. Wzywam was, Amerykanie, abyście dzielnie stawili czoła temu wyzwaniu, tak jak zawsze w naszej wspaniałej historii – z honorem, odwagą i poczuciem obowiązku wobec całej ludzkości. Ponieważ Posleeni dotarli tutaj wcześniej, niż oczekiwano i mają na niektórych obszarach przytłaczającą przewagę, plan obrony nakazuje wycofać się za James i Potomac na północ i południe i w Appalachy na zachodzie, aż do chwili, gdy zgromadzimy dostateczne siły wojska, żeby pokonać wroga w bitwie na równinach. To jest świetny plan, który, tak jak wszystkie plany amerykańskich generałów, ma na względzie dobro zarówno żołnierzy, jak i cywilów. Zdecydowano się na ewakuację cywilów i obecnie trwa ona w Manassas, Arlington i Alexandrii.

Urwał na chwilę, ale nie dla podkreślenia dramatyzmu sytuacji, tylko żeby zebrać się na odwagę przed wygłoszeniem dalszego ciągu przemówienia.

W całym kraju Amerykanie przy odbiornikach radiowych i telewizorach czekali na dalszy ciąg

przemówienia prezydenta.

– Niestety czasem decyzja słuszna z punktu widzenia strategii wojskowej może nie być najlepsza dla kraju i jego obywateli. W historii popełniono już wiele takich błędów, dlatego właśnie wojsko w Stanach Zjednoczonych i praktycznie w każdym kraju Zachodu znajduje się pod cywilną kontrolą. Gdybyśmy wybrali słuszną z wojskowego punktu widzenia drogę, użylibyśmy broni nuklearnej w Korei. Słuszną z wojskowego punktu widzenia była niemiecka kontrofensywa w Ardenach. Właściwe decyzje wojskowych niemal spowodowały przegraną w pierwszej i drugiej wojnie światowej. Zdecydowałem się więc działać niejako wbrew stanowisku armii. Nakazałem dziesiątemu korpusowi sił lądowych i korpusowi Północnej Wirginii zająć pozycje obronne na południe od rzeki Occoquan, w sąsiedztwie Bazy Morskiej Quantico. Ich zadaniem jest zatrzymanie posleńskiej inwazji na Alexandrię, Arlington i Waszyngton.

Oprócz tego żołnierze dziewiątego korpusu oraz korpusów Pensylwanii i New Jersey powinni zająć pozycje na południe od Manassas w Wirginii, które to miejsce jest nam tak dobrze znane. W niektórych częściach kraju więcej skojarzeń budzi nazwa „Bull Run”[\* strumień w północno-wschodniej Wirginii koło Manassas na południe od Waszyngtonu, gdzie rozegrały się dwie ważne bitwy wojny secesyjnej: 21 lipca 1861 r. i 29/30 sierpnia 1862 r., obydwie zakończone zwycięstwem konfederatów]. To miejsce znaczące w historii wojen. Podjąłem takie decyzje pomimo stanowczego sprzeciwu moich najstarszych stopniem dowódców, ponieważ wierzę, że tego właśnie pragnie naród amerykański, i ponieważ uważam, że decyzja wojskowa nie uwzględnia jednego istotnego aspektu. Po raz pierwszy od prawie dwustu lat obca armia wkroczyła na terytorium Stanów Zjednoczonych. – W tym prostym stwierdzeniu zabrzmiała wściekłość, ale twarz prezydenta nie zmieniła się ani trochę. – I to mi się wcale nie podoba. Chcę, aby do tych... istot dotarł jasny komunikat. Atak na Stany Zjednoczone to dopraszanie się kłopotów. Tego, kto wylądował na naszych wybrzeżach, czeka tylko ból i śmierć! Nagranie z Fredericksburga jasno pokazuje, co Amerykanie, mimo zaskoczenia przez przytłaczające masy wroga, mogą zrobić z tymi stworami na własnej ziemi. Jako wasz prezydent nie mogę po prostu poddać północnej Wirginii i spojrzeć spokojnie w lustro następnego ranka. Podjąłem tę decyzję, mimo iż wiem, że oznacza śmierć wielu żołnierzy, którzy przysięgali służyć ojczyźnie. Żołnierzom na polu walki mogę powiedzieć tylko jedno. Słuchajcie rozkazów, dbajcie o swoich towarzyszy i walczcie o tę ziemię. Człowiek, który idzie do boju w słusznej sprawie, może pokonać wszystkie przeszkody. Powodzenia. Usypcie z ich ścierwa kopce.

\* \* \*

Mueller patrzył, jak techniczka z wdziękiem podłącza kolejne przewody do ładunku wybuchowego.

– Ile jeszcze musimy odrutować? – zapytała. Jej dłonie poruszały się w pełnym gracji pośpiechu, zamierając w krótkich pauzach, gdy zaciskała kolejne połączenie.

– Odrutowaliśmy już prawie wszystko, a saperzy rozłożyli wszystkie ładunki. Wciąż jeszcze kładziemy claymore’y, ale skończymy, zanim będziesz gotowa.

– Szkoda, że nie mamy więcej sprzętu z Pyronics – powiedziała niecierpliwie. – Nie znoszę tej wojskowej tandety.

– Hej, MILSPEC to materiał światowej klasy!

– Takie bajki możesz opowiadać amatorom, synku. Znam wszystkie typy detonatorów na świecie i stawiam pięć do dziesięciu, że jedna ze spłonek zawiedzie, kiedy sprawdzę system. Te przeklęte wojskowe spłonki są piekielnie wrażliwe.

– Dobra, stawiam dziesięć dołców, że się mylisz.

– To tylko takie wyrażenie. Nie piję, nie przeklinam i nie zakładam się. I bez tego mam wystarczająco ciekawe życie.

– A co zwykle robisz?

– Cóż, kiedyś żyłam z wyburzania budynków, a ostatnio zajmuję się rozbiórką domów. – Podłączyła ostatni obwód i przystawiła miernik. – Czy jesteś pewny, że nie zepsuli czegoś w spłonkach?

– Nie do końca.

– Dobra odpowiedź. Chciałam tylko sprawdzić, czy masz pojęcie. – Wstała i wyprostowała plecy, masując krzyż. – Wolę pracować przy stole.

– Wszyscy ponosimy jakieś ofiary na rzecz wojny.

– Jasne. Ja na przykład zrezygnowałam z czekolady. Pójdę teraz przygotować obwód. Zostań tu i pilnuj, żeby nikt nie dotykał mechanizmu. Nie lubię, kiedy kręcą się tu amatorzy.

– Myślałem, że jestem jednym z nich.

– Tak, ale w ten sposób muszę się martwić tylko o jednego.

– Zróbmy inaczej. Dowodzę „amatorami”, czyli cywilami, i nie powinienem tkwić teraz w tym miejscu, więc może sprowadzę tu kogoś, kto na pewno niczego nie dotknie i nie popełni żadnego błędu, bo wykonuje tylko najprostsze polecenia.

– Niech będzie.

Mueller wrócił po kilku chwilach z żołnierzem kawalerii, który zabezpieczał plac budowy. Z powodu osłony bradleyów i hunwee rozwiniętej pięć mil dalej, przy drodze, Mueller był osobiście przekonany, że Posleeni zostaną zauważeni na długo przed tym, zanim wejdą w zasadzkę. Ale standardowe procedury wojskowe zostały opracowane właśnie na wypadek rozlicznych sytuacji, gdy ludzie byli osobiście przekonani o tym czy o tamtym, a całkowicie się mylili. Czyli – pomimo czyjegokolwiek osobistego przekonania – ludzie pułkownika Abrahamsona osłaniali wszystkie miejsca przygotowywanych zasadzek.

To miejsce zasadzki było najbardziej oddalone od Richmond i najprawdopodobniej pierwsze, w którym dwunasty korpus miał nawiązać kontakt z wrogiem. Akurat tu, przy drodze 656 warunki do zastawienia pułapki – z wykorzystaniem ognia wozów pancernych, prowadzonego z dużej odległości – były doskonałe. Droga prowadziła tutaj przez przełęcz wcinającą się w pasmo niskich pagórków.

Po jednej stronie drogi i wzdłuż pasa między jezdniami przez pół mili ciągnęły się drzewa, wśród których przepływał płytki strumyk.

Po obu stronach drogi wykopano długi na pięćdziesiąt metrów rów, w którym ze skierowanymi na północ lufami dwudziestopięciomilimetrowych działek przyczał się pluton pojazdów kawalerii.

Mogli z tego miejsca strzelać mając osłonięte kadłuby, bezpieczni od ostrzału, dopóki Posleeni nie podejść zbyt blisko. Gdyby kawalerzyści zaczęli ponosić straty, mogli się wycofać pod osłoną niskich pagórków.

Drogę między drzewami natomiast naszpikowano dwoma tysiącami claymore’ów.

Każda mina w postaci wąskiego pudełka z cienkimi „nóżkami” na spodzie i wypustkami na zapalniki na wierzchu nosiła – zdaniem większości wojskowych zabawny – napis „przodem do wroga”. Kierunkowa mina przeciwpiechotna składała się z pół kilograma materiału wybuchowego C-B i siedmiuset pięćdziesięciu małych metalowych kulek łożyskowych. Podczas detonacji kulki wylatywały na zewnątrz, rozrywając wszystko na swojej drodze. W odległości pięćdziesięciu metrów, określanej jako maksymalnie efektywna, mina tworzyła strefę śmierci szeroką na trzydzieści metrów. A w tym wypadku szerokość obu pasów drogi wraz z poboczem wynosiła właśnie pięćdziesiąt metrów. Claymore’y ustawiono w odległości dwóch metrów od siebie, po obu stronach



dwustupięćdziesięciometrowego odcinka drogi. W wyniku połączonej łańcuchowo detonacji w powietrzu miało znaleźć się prawie półtora miliona kulek, które będą się poruszać szybciej niż pociski karabinowe.

– Starszy kapralu Rossi – powiedział Mueller – to jest Amanda Hunt, główny ekspert od materiałów wybuchowych, zajmujący się claymore’ami.

– Ma’am – żołnierz kiwnął głową i machnął ręką w okolicach hełmu; wiedział, że nie powinien salutować, ale chciał jakoś pokazać szacunek.

– Panna Hunt pójdzie teraz sprawdzić obwody detonacyjne. – Mueller wskazał na mechanizm. – To jest główny detonator zasadzki. Panna Hunt sprawdzi między innymi, czy nie odłączono któregoś z zapalników. Otrzymuje pan niniejszym rozkaz pozostania na tym stanowisku dopóty, dopóki panna Hunt osobiście pana nie zwolni, rozumiano?

– Tak jest, sierżancie.

– Omówiłem to z pańskim dowódcą drużyny i dowódcą plutonu.

Nie wydaje mi się, żeby do tego doszło, ale gdyby nas zaatakowano, zanim wróci panna Hunt, musi pan zniszczyć mechanizm obwodów. Nie wolno panu podejmować prób użycia go ani pozwolić na to nikomu innemu, nawet dowódcy plutonu czy któremuś z saperów. Zrozumiano?

– Tak jest, sierżancie, zrozumiano. Dlaczego?

Mueller uśmiechnął się.

– Bo akurat mogę być w zasięgu rażenia i nie chcę, żeby jakiś idiota wysadził dwa tysiące min tylko dlatego, że zobaczył przebiegającego przez drogę konia. Jest pan ukryty za nasypem, więc może pan spokojnie czekać, aż wróci Amanda. Proszę zostać tu tak długo, aż pana zwolni. Zrozumiano?

– Zrozumiano.

– Proszę powtórzyć.

– Mam nie dopuścić do obwodów nikogo oprócz panny Hunt i pozostać na stanowisku tak długo, dopóki panna Hunt i tylko ona nie zwolni mnie osobiście. Rozkaz będzie mnie obowiązywać aż do wycofania się mojego plutonu, a wtedy mam zniszczyć mechanizm i dołączyć do swoich.

– Dobra. – Najwyraźniej jednak Hunt nadal miała duże wątpliwości. – Lepiej, żeby pański szef wyczekał tak długo, jak tylko może, jeżeli nie wróce.

Kiedy odjechała w odkrytej ciężarówce, Mueller spojrzał kapralowi prosto w oczy.

– Więc jak długo tu zostaniesz?

– Dopóki ona nie wróci albo nie zaroi się tu od Posleenów. Wezmę radio z transporterą. W razie czego będę mógł wezwać artylerię.

– Dobra.

Mueller popatrzył na oddalających się cywilnych techników. Wykonali już swoją pracę i kierowali się do miejsca następnej zasadzki.

– Są jakieś wiadomości od zwiadowców?

Zwiadowca kawalerii wyciągnął z przepastnej kieszeni na udzie jakieś urządzenie i powcisnął kilka przycisków. Urządzenie wyglądało jak stary model telefonów komórkowych, z powodu swoich rozmiarów często nazywanych „cegłami”. Ciekłokrystaliczny Wyświetlacz zamrugał, kiedy żołnierz szukał właściwej opcji, i w końcu pokazał dane.

– Nie, Posleeni, których obserwują, nadal stoją wokół lądownika. Jest tam jeden Wszechwładca.

– To dobrze – powiedział Mueller. – Co to jest?

– Nie zna pan tego? – spytał zaskoczony zwiadowca.

Mueller uniósł nadgarstek z owiniętym wokół niego jak cietika bransoletka przekaźnikiem.

– Ja używam przekaźnika.

– To kombinacja IVIS i ANCD – Międzypojazdowego Systemu Komunikacyjnego i Urządzenia Kryptograficznego Wojsk Lądowych i Marynarki.

– A więc to lokalizator rozmieszczenia jednostek i jednocześnie książka kodów?

– Tak. Pozycja każdego użytkownika jest przekazywana do pojazdów dowodzenia, które zbierają dane i przekazują je dalej. Więc kiedy chcę wezwać pancernik, szukam tylko... jak on się nazywał?

– North Carolina.

– Właśnie. – Zwiadowca przycisnął kilka guzików i skrzywił się – Do diabła, nie chce mi przekazać informacji z marynarki. Po cholere właściwie używamy takich zabezpieczeń, skoro Posleeni nie wiedzą nawet, co to wywiad? – zapytał retorycznie.

– Skąd urządzenie pobiera dane o własnym położeniu?

– Bazuje na odczytach z innych pojazdów i rozsianych po całym kraju znaczników położenia. Mijaliśmy jeden po drodze tutaj. System naprowadzania pokazuje nasze położenie mniej więcej tu, gdzie jesteśmy – przy przełęczu, więc najwyraźniej działa. – Znowu wcisnął jakiś przycisk. – Cholera, nie mogę połączyć się z marynarką.

– Możesz wezwać artylerię? – upewnił się podoficer Sił Specjalnych.

– Tak, jeśli, jak to się mówi, zajdzie taka potrzeba. Mam jednak nadzieję, że nie będę musiał. A jak to działa? – wskazał na przekaźnik Muellera.

– Prawie tak samo, tylko jest trochę łatwiejszy w obsłudze. – Mueller uniósł nadgarstek. – Przekażnik, pokaż schemat pola bitwy w promieniu pięciu mil. – Przed dwoma żołnierzami natychmiast pojawił się trójwymiarowy hologram pola bitwy.

Żołnierz pokręcił głową.

– To po co mnie pan pytał?

– Prawdę mówiąc, spodziewałem się usłyszeć coś w rodzaju „Słyszałem przez radio...” Nie wiedziałem, że zaraz wyciągniesz takie ustrojstwo.

Żołnierz uśmiechnął się.

– Uwielbiam ten aparat.

– Jaki rozkaz mają zwiadowcy? – spytał Mueller. – Pozostać poza zasięgiem wzroku?

– Tak. Nie zamierzają wtykać żadnych członków gdzie nie trzeba, stary. Najlepszy sposób skłonienia Posleenów, żeby za tobą poszli, to ich zaatakować.

– Tak, to trochę jak prowadzenie świni – zaświtało Muellerowi w głowie.

– Co? – spytał kapral.

– Najlepszy sposób, żeby poprowadzić świnię, to dać jej prztyczka w nos – uśmiechnął się zamyślony podoficer.

– Aha. No więc dopóki pułkownik nie wyda innego rozkazu, pozostajemy poza zasięgiem wzroku wroga.

– Tak chyba będzie najlepiej.

– Pan powinien coś o tym wiedzieć.

– Czemu? – spytał ostrożnie Mueller.

– Czy to nie drużyna Sił Specjalnych dostała cięgi na Barwhon?

– Właściwie to był łączony zespół komandosów: część z Sił Specjalnych, część z piechoty morskiej, a jeden z Komanda Foki.

– Wetknęli wszystko co mieli w obóz Posleenów, zabili kilku Wszechwładców i dostali w tyłek, co? – spytał rozbawiony kapral.

- Mniej więcej.
- I chyba nie chcemy, żeby to się powtórzyło, sierżancie?
- My też tego nie chcemy – stwierdził ponuro Mueller.
- To po co było to wszystko?

– Dostaliśmy rozkaz schwywania kilku Posleenów do eksperymentów medycznych. Niezbyt nam się to podobało, a skutki jeszcze mniej. Straciliśmy dwie legendy wydziału operacji specjalnych – Sandrę Ellsworthy i Arthura Tunga – a kiedy doczłapaliśmy się z powrotem do himmickiego statku, byliśmy jedną nogą w grobie z powodu wycieńczenia i niedoboru witamin.

– Chwileczkę, czy to „my” oznacza, że pan był w tym zespole?

– Ja, Ersin i Mosovich. Tylko my przeżyliśmy.

– Jezu, przykro mi. Ja, no wie pan...

– Nie wiedziałeś. W porządku. A do obozu Posleenów poszliśmy tylko dlatego, że takie były rozkazy. Najgorsze, że cała ta misja nie miała sensu. Chcieli Posleena, aby prowadzić badania, a kiedy wróciliśmy ze zdobyczą, okazało się, że mają już kupę Posleenów złapanych na Diess w całości i zamrożonych w kawałkach. Sprawa była całkowicie popieprzona.

Mueller urwał i spochmurniał, kiedy przypomniał sobie, jakie mogą być skutki niekompetentnych rozkazów. Generał, który wpadł wtedy na tak wspaniały pomysł, nigdy nawet o tym nie wspominał, nie przeprosił ani jednym słowem. Po prostu wręczył im medale i poklepał ich po ramieniu, a sam dostał kolejną gwiazdkę.

– W każdym razie zgadzam się z pomysłem pozostawienia zwiadowców poza zasięgiem wzroku.

– Spojrzał na drogę. – Przekąźnik, jak przebiega instalowanie ładunków?

– Saperzy zgłaszają ukończenie instalowania claymore’ów, ciągnięcia kabli sterujących i umieszczania gotowych do podłączenia spłonek. Na rozkaz panny Hunt mogą zacząć przyłączać obwody.

– Dobra, powiedz porucznikowi saperów, żeby cywile wsiedli do autobusów i pojechali do następnego miejsca zasadzki. Dowieźli tam już claymore’y?

– W tej chwili je wyładowują, ale dostaliśmy tylko siedemset min, bo resztę skierowano do umocnień przy drogach numer 1 i 301. Jeśli będzie na to czas, doślą więcej, kiedy dotrze dostawa z fabryki.

Podobno zapasy magazynowe topnieją im tam tak szybko, jak szybko są w stanieje wywozić.

– Gdzie jest Ersin?

– Starszy sierżant Ersin jest w grupie zwiadowców.

– Cholera, przekaz mu, żeby był ostrożny.

\* \* \*

Mark Ersin wyostrzył obraz w swojej konwencjonalnej lornetce i cicho westchnął. On i jego zwiadowcy kawalerii nosili kamuflaki, obwieszane luźnymi paskami materiału, dzięki czemu byli prawie niewidoczni pod karłowatą sosną, pod którą przycupnęli. Ale Ellsworthy miała na sobie taki sam, kiedy oberwała. W konfrontacji z posleńskimi czujnikami kamuflak stawał się tylko zwykłym strojem chroniącym przed zimnem.

Wszechwładca i około trzydziestu wojowników zostali w tyle, najwyraźniej jako ochrona lądownika. Było ich o wiele mniej, niż spodziewano się po tej klasie oddziału. Ersin niepokoił się, gdzie może ukrywać się reszta.

Lądownik stał w miejscu, gdzie wcześniej była farma tytoniu. Spod jednej jego krawędzi wystawał zmiażdżony traktor.

Wkrótce po przybyciu zwiadowców Wszechwładca i wojownicy objęli wartę, i z wyjątkiem pojawienia się małego czołgu antygravitacyjnego – który stanął na drodze krajowej – nic się nie działo.

– Trzy Pięć Echo Dwa Jeden, tu Dziesięć Osiem Bravo Jeden Siedem, zweryfikuj Whisky Tango, odbiór – powiedział ktoś przez radio.

– Co?

– Powtarzam, Trzy Pięć Echo Dwa Jeden, tu Dziesięć Osiem Bravo Jeden Siedem, zweryfikuj Whisky Tango, odbiór – powtórzył ten sam głos.

– Przekażnik, kto to powiedział? – szepnął Ersin.

– Starszy sierżancie Ersin, identyfikuję Centrum Kierowania Ogniem dwudziestej dziewiątej dywizji piechoty.

– Co? Bezpośrednio? – Na twarzy podoficera pojawił się wyraz zdumienia, a nos zadrgał mu jak u szczura wietrzącego ser.

– Tak jest, starszy sierżancie.

– Co z weryfikacją?

– Mam tu ANCD – szepnął jeden z kawalerzystów i wyciągnął z kieszeni na udzie pudełko.

– Proszę się nie trudzić – powiedział Ersin.

– Weryfikacja brzmi Mike.

Ersin wprowadził dane do zestawu podręcznego.

– Dziewięć Osiem Bravo Jeden Siedem, tu Trzy Pięć Echo Dwa Jeden. Weryfikacja Mike, odbiór.

– Echo Dwa Jeden, wzywam wsparcie ogniowe, odbiór.

– Co? Powtórz, Bravo Jeden Siedem.

– Echo Dwa Jeden, masz wroga w zasięgu wzroku?

– Potwierdzam, odbiór.

– Potrzebuję wsparcia ogniowego, odbiór.

Ersin głęboko odetchnął.

– Bravo Jeden Siedem, tu Echo Dwa Jeden, brak wrogów, powtarzam: brak wrogów. Na przyszłość używajcie innego kanału.

Odbiór.

– Echo Dwa Jeden, tu Bravo Pięć Dziewięć, odbiór.

– Dobra, przekaznik, kto to jest? – rzucił ze złością Ersin.

– Dowódca artylerii dywizyjnej.

– Cholera. – Zastanowił się przez chwilę, po czym wcisnął przycisk. – Bravo Pięć Dziewięć, tu Echo Dwa Jeden. Żadnego ostrzału.

Powtarzam, z rozkazu korpusu nie prowadzić ostrzału. Wyoście się z mojego kanału. Odbiór.

– Echo Dwa Jeden, tu Bravo Pięć Dziewięć. To rozkaz. Naprowadzaj ogień, powtarzam: naprowadzaj ogień. Odbiór.

– Przekażnik, połącz się natychmiast z korpusem i prześlij zapis tej transmisji z omówieniem. Natychmiast. Bravo Pięć Dziewięć, podaj elektroniczną weryfikację i łącze. Przekażnik, nie przyjmuj połączenia.

– Muszę. Bravo Pięć Dziewięć jest starszy stopniem.

– Niezupełnie, przecież nas przeniesiono do Sił Uderzeniowych Floty.

– Pański zespół nie został jeszcze oficjalnie przeniesiony.

– Dobra, a co z hierarchią dowodzenia? Podpadam pod DowArKon, a nie pod korpus, ale

zgodnie z rozkazami korpusu mamy nie strzelać.

– Ostatni rozkaz starszego stopniem oficera odwołuje wszystkie poprzednie. Mówią o tym ogólne przepisy Sił Lądowych Jeden Kreska Jeden Zero Pięć. Łącze potwierdzone, pozycje Posleenów przekazane. – Przez krótką chwilę było cicho. – Ostrzał stopięćdziesiątekpiątek w drodze. Wasza pozycja także została odnotowana.

– Cholera jasna! Połączyłeś się z korpusem?

– Nie mogę uzyskać połączenia z powodu przeciążenia łączy.

Materiał został przesłany jako e-mail i czeka w kolejce.

– Połącz mnie ze starszym sierżantem sztabowym Mosovichem – warknął do upartej maszyny w momencie, kiedy na niebie zawyły nadlatujące pociski.

\* \* \*

– Co zrobił?! – krzyknął zwykle opanowany dowódca dwunastego korpusu.

– Generał Bernard rozkazał artylerii ostrzelać pozycje Posleenów koło drogi stanowej 639.

Oficer operacyjny korpusu miał taką minę, jakby wypił właśnie szklanekę czegoś, co miało być wodą, a okazało się wyjątkowo kwaśną lemoniadą. W pewnym sensie tak się właśnie stało.

– Wyślij prokuratora korpusu do kwatery głównej dwudziestej dziewiątej dywizji piechoty. Każ mu aresztować generała Bernarda za niesubordynację i niewykonanie bezpośrednich rozkazów. Niech generał Craig przejmie dowództwo.

– Craig nie jest z Gwardii, sir.

– Pieprzę to. To jest ostatnie zadanie, jakie pozwalam wykonać temu cholernemu dowództwu i sztabowi dywizji. Niech George dobierze się do tyłków tych idiotów. Połącz się z artylerią dywizji i powiedz im, że odwołuję rozkaz. Zwolnij dowódcę i każ mu się tu zgłosić, a do czasu wydania ostatecznej dyspozycji zastąp go pierwszym oficerem. Niech lepiej już zacznie sobie szukać nowego miejsca, bo nie widzę żadnych argumentów przemawiających za jego pozostaniem w dowództwie.

– Tak jest, sir.

– Połącz mnie z pułkownikiem Abrahamsonem. Musi wiedzieć, że możemy wcześniej zacząć rozgrywkę.

*Śmierć wśród obcych ziem i krew trzydziestu ów przyniósł dzień...  
 Nie, nie było dwudziestu, gdy nasz front wyruszał w bój...  
 Lecz, Chryste! Pierwsze wnet szeregi wycięły nas w pień,  
 To był nasz żołd za wszystkich ten znój!  
 Grób nas czekał już przed bojem – mowa walk nie znana nam;  
 I nasze serca każdy rozkaz tylko prośbą zwą.  
 Tak, każdy bębna ton pouczał, mówić chciał coś nam,  
 Za naukę przyszło własną płacić krwią!  
 I orkiestry głos nie zagra nic, Nie zaśpiewa chóru cień;  
 Lepsza śmierć niż mój czyn, umrzeć chcę, miast tak żyć,  
 Ślepym być, nim wstał ów dzień!*

– Fragment: „Ów dzień”  
 Rudyard Kipling

**Oale City, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 07:28 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

– Czy ktoś wie, co tu się, kurwa, dzieje? – spytał retorycznie starszy kapral Keren.

– Słyszałeś wiadomości, to zamknij się i kop – odpowiedział spokojnie plutonowy Herd, mimo że tak jak wszyscy, czuł się trochę niepewnie.

Pięćdziesiąta dywizja piechoty była nową jednostką. Jej barw nie używano od czasu drugiej wojny światowej, kiedy pełniła służbę na Pacyfiku. Niemal wzięła udział w bitwie pod Leyte, heroicznie pełniła służbę w działaniach oczyszczających na Tarawie. Przeznaczona do inwazji, niewiele brakowało, a zaatakowałyby japońskie wybrzeża, po czym zniknęła z kart historii amerykańskiej armii aż do czasu obecnego zagrożenia.

Na stan osobowy tej jednostki składali się w dużej części oficerowie i żołnierze, których inne jednostki z radością się pozbyły. Byli niestety jedynym, jeśli nie liczyć skromnej liczby odmłodzonych, wzorem do naśladowania dla młodych rekrutów. Wśród tego tłumu wybijało się kilku oficerów i podoficerów, ale często tylko dlatego, że byli średniakami w oceanie kompletnej niekompetencji.

Na tym tle wyróżniał się pluton moździerzy kompani Alfa pierwszego batalionu czterysta pięćdziesiątego drugiego pułku pięćdziesiątej dywizji piechoty.

Starszy kapral Keren wcześniej był plutonowym, a wkrótce zapewne miał znów stać się szeregowym, ale degradacja nie miała nic wspólnego z jego umiejętnościami obsługi moździerzy. Miał po prostu drobny problem z piciem i zwyczaj mówienia oficerom, jak jego zdaniem ich matki zarabiała na życie. Nie miało to jednak znaczenia na polu walki. W dodatku był i tak lepszy od wielu innych szeregowców, z których kilku miało inteligencję na poziomie goryla.

Sierzant plutonu poświęcił ostatnie piętnaście lat na podnoszenie swoich kwalifikacji w zakresie obróbki metalu w sklepie z maszynami, a dowódca plutonu dopiero niedawno skończył Szkołę Oficerską Gwardii Narodowej Armii Pensylwanii i wkrótce z pewnością zacznie się golić.

Udało im się w oddziale rozwinąć poczucie wspólnoty, której bardzo brakowało w innych jednostkach dywizji, i utrzymać je mimo sporadycznie wybuchających awantur. Nawet ćwiczyli razem, kiedy reszta batalionu olewała wszystko albo urywała się z koszar bez przepustki. Nie

wiadomo było, co powodowało, że trzymali się razem. Czy sarkastyczny pogląd Kerena na ich szansę w prawdziwej walce, czy dbałość sierżanta plutonu o ich wszystkie potrzeby osobiste i wyposażenie, czy też szczeniacki zapał dowódcy plutonu – zbyt zaraźliwy, by go ignorować, i zbyt przydatny, by go tępić. To prawda, musieli nadrobić trochę zaległości w szkoleniu, ale i tak byli najlepsi w całej Pieprzonej Pięćdziesiątej.

Niestety obecna sytuacja zaskoczyła nawet tę jednostkę weteranów.

Najpierw mieli problem z nieobecnością prawie połowy oficerów batalionu i piętnastu żołnierzy z kompanii Alfa, którzy samowolnie oddalili się ze stanowiska. Szaleńczo zerwano ich na nogi i pogoniono do transporterów, mimo, że brakowało połowy oficerów, a w samej kompanii Alfa piętnastu ludzi było nieobecnych bez usprawiedliwienia. Potem kazano przygotować się do obrony, tylko po to, by potem stało się jasne, że znaleźli się na zbyt wysuniętej pozycji. Później z kolei nadeszły rozkazy przemieszczenia się na pozycje na północ od Potomacu, co generalnie wszystkim pasowało. Ostatnie rozkazy spadły na nich jak grom z jasnego nieba.

Aż do tej chwili przemarsze odbywały się nadspodziewanie gładko. Co prawda od czasu do czasu jakaś jednostka gubiła się albo grzęzła w korku na drodze zablokowanej cywilnymi pojazdami, a kilku oddziałom skończyło się paliwo, gdy nie odnalazły ich cysterny kwatermistrzostwa. Brakowało też niskopodwoziowych ciągników, używanych do transportu gaśnicowych wozów bojowych, więc dywizja musiała przemieszczać się własnym sumptem, na bwp Bradley i czołgach. Wiele z nich popsuło się po drodze, gdyż niektóre jednostki od miesięcy nie przechodziły przeglądów technicznych.

Ale zasadniczo, zważywszy na okoliczności, aż do momentu otrzymania rozkazu powrotu na poprzednie stanowiska bojowe, wszystko szło niemal jak po maśle.

Przemieszczenie korpusu przypomina nieco przemieszczenie dużej rodziny. Wyjaśnienie takiej-to-a-takiej jednostce, że ma udać się do wskazanego punktu i powtarzanie tego do bólu nie pomoże.

Oddział z pewnością nie będzie miał dość paliwa, aby wykonać przemieszczenie, nawet tak proste jak z Alexandrii do Quantico – a to tylko czterdziestopięciominutowa przejażdżka samochodem w ładny dzień. A przekazanie oddziałom, że mają udać się tutaj lub tam, przy skupieniu setek jednostek wraz ze służbami na małym obszarze oznacza, że tysiące pojazdów spróbuje wyjechać na te same drogi w tym samym czasie. Podczas gdy ze zwykłym ruchem cywilnym tego typu można sobie poradzić, zgrupowania wojska źle znoszą takie rzeczy, zwłaszcza, gdy są niezgrane. Każdy pojazd będzie po prostu podążał za pojazdem jadącym przed nim, a dowódcy w takich pojazdach rzadko zerkają na mapy. Przemieszczanie oddziałów daje w rezultacie jednostki posiadające dodatkowe pojazdy, oraz takie, które pojazdów nie będą mieć w ogóle.

Kiedy robi się to jak mamusia i tatuś, którzy po prostu idą do samochodu po wydaniu pocięchom polecenia, by spakowały się i wsiadły do auta, jest to pewna recepta na katastrofę. W normalnym ruchu albo nawet w planowanej sytuacji wyjątkowej każda jednostka otrzymuje koordynaty celu, trasę marszu i szacunkowy czas przybycia. Dodatkowo wyznacza się punkty tankowania, przezbrojenia i rozdziału żywności. Dowódcy przesyłają te informacje w dół łańcucha dowodzenia, a ich podwładni przekazują je do kierowców i dowódców pojazdów. Warunkiem podstawowym jest, aby każdy kierowca i dowódca transportera wiedział, dokąd jedzie, jaką trasą i gdzie zaplanowano przystanki. (Chociaż trzeba przyznać, że zawsze znajdzie się około dziesięciu procent takich, którzy „nie zostali poinformowani”). Następnie oddział rusza w trasę i wszyscy, oprócz kierowców, oficerów, starszych podoficerów i nadgorliwych młodszych podoficerów, zasypiają. Na miejscu zadaniem nadgorliwych młodszych podoficerów jest obudzenie wszystkich. W ten sposób zdobywają zasługi, które pewnego dnia pozwolą im zostać starszymi podoficerami.

Kiedy prezydent wydał korpusowi rozkaz wymarszu, wszyscy oficerowie, od Głównego Dowódcy aż po dowódców kompanii, czuli, że efektem tego będzie całkowity chaos. I mieli rację. Sztab nie miał czasu na przygotowanie jednostek, a ponieważ były one zasadniczo zwrócone tyłem do nowego kierunku marszu, noc zmieniła się w przedstawienie rodem z domu wariatów.

Pluton otrzymał właśnie raport, że jedynie niecałe siedemdziesiąt procent pojazdów pięćdziesiątej dywizji piechoty dotarło do właściwego miejsca zgrupowania. Gdyby ruszyli tam od razu ze swoich koszar w Quantico, mieliby do przejechania pięć mil.

Korpus, nie mając czasu na określenie dokładnej trasy marszu każdej jednostki, był zmuszony wydawać podporządkowanym sobie dywizjom jedynie ogólne rozkazy, a te przekazywały je później swoim jednostkom. Oczywiście ze zmiennym powodzeniem.

Z powodu prostych błędów wynikających z tego, że niedouczeni łącznościowcy próbowali skorzystać ze skomplikowanych urządzeń szyfrujących i dekodek, do dowódców batalionów dotarły rozkazy przemieszczenia ich jednostek w różne miejsca rozsiane po całej mapie. Niektórzy otrzymali nawet rozkaz opuszczenia obszaru kontynentalnych Stanów Zjednoczonych. Kilku dowódców przekazało te najwyraźniej błędne polecenia dowódcom brygad, a tylko niektórzy z nich próbowali połączyć się z dywizją, żeby wyjaśnić powstałe nieporozumienia.

Do tego wszystkiego zmieniły się protokoły komunikacyjne korpusu, których nie przekazano wszystkim jednostkom, więc nagle okazało się, że jedna połowa korpusu nie ma łączności z drugą.

Pluton moździerzy miał we właściwym miejscu, według dowódcy, trzy z pięciu wozów bojowych. Po kilkakrotnej zmianie częstotliwości radiostacji PRC-2000 udało im się w końcu nawiązać kontakt z kompanią; oficer łączności kompanii także przeskakiwał ze starych częstotliwości na nowe i poszukiwał swoich jednostek.

Uzyskane informacje początkowo nieco podniosły wszystkich na duchu. Byli mniej więcej we właściwym miejscu, tak samo jak niektóre z plutonów liniowych kompanii. Dowódca kompanii wydawał się święcie przekonany, że „wkrótce”, zdoła skontaktować się z batalionem. Jednak prośba o zatankowanie i przygotowanie czegoś do zjedzenia spotkała się z niepokojącą odpowiedzią „wrócimy do tego”.

Teraz członkowie plutonu byli zupełnie pewni, że między nimi a Posleenami znajduje się masa własnej piechoty, nie wątpili też, że Posleeni wiedząc o ich obecności i o żołnierzach na przedpolu przygotowali się do swojej pierwszej bitwy. Musieli więc szybko przygotować się do otwarcia ognia, co według standardu Sił Lądowych powinno zająć najwyżej dwanaście minut. Keren tymczasem kopał już od pół godziny i czekał, aż dowódca wyda rozkaz do rozmieszczenia moździerzy.

– Wiesz, lubię porucznika Lepera. To znaczy... – Keren wyrzucił kolejną łopatę ziemi z okopu, który drążył obok stanowiska moździerza. W zasadzie nie potrzebował schronu, gdyby jednak musiał zmienić zdanie, odbyłoby się to zapewne w dużym pośpiechu. Większość żołnierzy w plutonie uznała go za idiotę.

– Przymknij się, Keren. – Plutonowy Herd wiedział, że ma najlepszego celowniczego w całym batalionie, może nawet dywizji, ale wiedział także, że musi na niego bardzo uważać.

– Serio, to miły gość i bardzo się stara... – ciągnął kapral.

Wyrzucił z dołu kolejną saperkę ziemi i rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy kogoś nianie trafił. Nikogo. Cholera.

– A co? – parsknęła Sheila Reed, amunicyjny i kierowca ciężarówki. – Wydaje ci się, że zrobiłbyś to lepiej?

– Cholera, wiem, że zrobiłbym to lepiej – odpowiedział Keren, odrzucając kolejną saperkę



ziemi.

Podmuch wiatru dmuchnął pyłem na resztę załogi. Czekoladową twarz kaprala wykrzywił uśmiech, kiedy dobiegły go ich złorzeczenia.

– To idź i zrób – powiedział Tom Riley, pomocnik celowniczego.

– Kurwa, nie mogę, tam jest plutonowy Ford. Wiesz, jaki z niego drań.

– Pieprzyć Forda – powiedział nagle Herd. – Umie kierować ogniem, ale to potrafi każdy, kto tylko wie, jak wstukiwać numerki.

Naprawdę sądzisz, że potrafiłbyś rozstawić moździerz?

– Nawet stąd widzę, jaki mają problem. – Keren odrzucił na bok saperkę i otrzepał dłonie z ziemi. – Nie potrafią ustawić mechanizmu poziomującego. Tego nie robi się tak, jak w stowudziestkach, gdzie trzeba poziomować tylko po bokach. Tutaj poziomuje się naokoło.

Wychylił się z dołu i spojrzał na dowódcę drużyny.

– Powiedz Fordowi, że jeśli ma problem, to niech go ze mną przedyskutuje.

Plutonowy Herd wiedział, że kapral może mieć rację. Zgłosił się do wojska dużo wcześniej, zanim ktokolwiek usłyszał o inwazji, i służył już od sześciu lat. Skoro mówi, że potrafi rozmieścić broń, to znaczy, że potrafił.

Keren odwinął rękawy i założył czapkę. Co prawda przepisy nakazywały noszenie kevlarowego hełmu przez cały czas przebywania w polu, ale jego hełm był w wozie bojowym – gdzie służył głównie jako ochrona przed uderzeniem w głowę – i właśnie tam miał zostać. Większość plutonu nosiła czapki bojowego munduru kamuflującego, więc specjalista niczym się nie wyróżniał. Ci, którzy nie mieli na sobie mundurów kamuflujących, nosili polowe kapelusze z rondem albo chodzili z odkrytą głową. Kevlarowe hełmy nosili tylko porucznik Leper i plutonowy Ford. Z drugiej strony szelek z pistoletem w kaburze, ANCD, manierką i racjami żywności w kieszeni, Keren nie zdejmował nigdy.

– Dobra, Ognik – zwrócił się do Rileya jego ksywą – przygotuj się do rozstawienia tego drania.

Kiedy kapral zbliżył się do plutonowego Forda, ten odwrócił się i spojrzał na niego.

– Niepotrzebna nam twoja pomoc, Keren. Spadaj.

– Plutonowy Herd powiedział, że bym tu podszedł i zobaczył, czy mogę się na coś przydać.

– Plutonowy Ford – polecił porucznik Leper – może przeszedłby się pan i sprawdził, czy uda się znowu nawiązać łączność z centrum operacji taktycznych batalionu.

Ford zmierzył kaprala wściekłym spojrzeniem i odmaszerował w stronę transportera, mieszczącego Centrum Kierowania Ogniem.

– Kapralu, najwyraźniej mam pewne kłopoty z wypoziomowaniem tego draństwa. Wiele razy obserwowałem starszego plutonowego Simmonsa przy pracy i sądziłem, że to potrafię, ale...

– Rozumiem, sir – odpowiedział taktownie Keren – to naprawdę nie jest takie łatwe. – Chwyć pokrętła wyrównawcze i wycentrował je, po czym spojrzał w wizjer i przestawił ciężką podpórkę trójnoga. Potem obiema rękami zaczął kręcić jednocześnie wszystkimi trzema pokrętłami.

– Kierunek ognia to dwa tysiące osiemset, zgadza się, sir? – spytał.

– Tak, dwa tysiące osiemset milisekund – odpowiedział zmieszany porucznik i spojrzał mu przez ramię, żeby się upewnić, czy pęcherzyk powietrza w poziomicy rzeczywiście jest wycentrowany. Ku jego zaskoczeniu był. – Jak do diabła udało ci się zrobić to tak szybko?

– W ten sam sposób, jak pan wślizguje się do Carnegie Hall – Specjalista ustawił mechanizm na dwa tysiące osiemset milisekund i obrócił go w kierunku namiaru.

– Moździerz Dwa, celuj w punkt namiaru! – krzyknął.

– Moździerz Dwa, punkt celowania zidentyfikowany! – odpowiedział Riley.

Celowniczy z drugiego transportera poderwał się z ziemi, gdzie drzemał, i zanurkował do pojazdu. Chwilę później wystawił głowę przez właz.

– Odchylenie jeden-siedem jeden siedem pięć! Dość blisko.

– Odchylenie jeden-siedem jeden siedem pięć!

Keren skierował wzrok na drugi wóz bojowy i odczytał namiary.

– Moździerz Trzy!

– Tu Moździerz Trzy!

– Celuj w punkt namiaru!

– Punkt celowania zidentyfikowany!

– Odchylenie jeden-dziewięć jeden jeden osiem!

– Odchylenie jeden-dziewięć jeden jeden osiem!

Zaczekał, aż obsługa pozostałych moździerzy odpowie, zadowolony, że pomocnik celowniczego w jego transporterze jest szybszy od celowniczego z trzeciego wozu, po czym powtórzył tę procedurę jeszcze dwukrotnie dla każdego moździerza, póki nie zostały ustawione równolegle.

– Udało się. Możemy się przekonać, czy są dobrze ustawione, strzelając z nich jednocześnie, sir. Bardziej precyzyjnie nie umiem ich już ustawić.

– To niesamowite. Jak udało ci się tak szybko ustawić pęcherzyk w poziomie? – Oficer wciąż był pod wrażeniem pokazu umiejętności.

– Starszy sierżant mojego plutonu nauczył mnie tej sztuczki, sir.

Jeśli pęcherzyk wygląda, jakby miał zamiar ruszyć w jedną stronę, należy jednocześnie chwycić dwa pokrętła. Przekręcić jedno, by popchnąć pęcherzyk, a drugim ruszyć w przeciwną stronę. Należy patrzeć na całość na wprost, a nie z góry. Dzięki temu nie będzie pan gonił wzrokiem za pęcherzykiem.

– Zapamiętam. Dzięki.

– Bez urazy, sir, ale trzeba było szybko je ustawić.

– Wiem. Myślę, że kompania rzeczywiście będzie nas tym razem potrzebować.

Młody porucznik najwyraźniej starał się nie sprawiać wrażenia przestraszonego. Uczono go, że nie wygląda to dobrze, i zapewniano, że w sytuacji takiej jak ta na pewno wywoła to panikę wśród żołnierzy. Tak bardzo starał się nie wyglądać na przestraszonego, że zamiast tego wyglądał na przerażonego.

Kerenowi zrobiło się żal biednego dzieciaka.

– Sir, jesteśmy trzy kilometry za frontem, a przed nami siedzi batalion twardych sukinsynów z pierwszej linii. Czym się tu martwić?

– Aż tak to po mnie widać?

– Jak cholera. Życzy pan sobie rady, sir?

– Nie, ale pewnie i tak mi jej udzielisz.

Keren roześmiał się.

– Inaczej nie byłbym kapralem. Proszę wrócić do transportera Centrum Kierowania Ogniem. Niech pan powie plutonowemu Fordowi – który jest dupkiem, o czym każdy wie – żeby sprawdził wozy bojowe i upewnił się, czy wszystkie karabiny maszynowe kaliber .50 zostały wyczyszczone i naoliwione, i skontrolował zapowietrzenie. Proszę tymczasem siedzieć spokojnie i studiować mapę, którą na pewno zna pan już na pamięć. Niech pan nie chodzi nerwowo w kółko i nie popija wody. Może pan nawet udawać, że śpi. Potem niech pan kilka razy przejrzy podręcznik.

– I to ma podnieść żołnierzy na duchu? – uśmiechnął się porucznik.

– Nie, ale lepiej niech nie widzą, jak biega pan co kwadrans do kibla, sir – odpowiedział

kapral. – Nowicjusze i, cholera, nawet plutonowi trzęsą portkami. Mogliby pójść za pana przykładem i zająć się jakąś pracą, żeby odwrócić uwagę od niebezpieczeństwa. Proszę się zachowywać tak, jakby to były tylko kolejne ćwiczenia w miły, pogodny dzień.

– Dobra rada. Więc czemu, u diabła, nadal jesteś tylko kapralem?

– Nie słyszał pan o tym, sir?

. – Nie.

– Powiedziałem mojemu ostatniemu dowódcy plutonu, że jego matka była dziwką, która urodziła go w publicznej toalecie i zapomniała spuścić wodę. – Przez chwilę wyglądał na zmieszanego. – Byłem wtedy trochę pijany. Ale swoją drogą dowódca był dupkiem – zakończył, jakby to całkowicie wyjaśniało całe zdarzenie.

– Założę się, że był.

– Przyjąłem. Bez odbioru.

Kapitan Robert Brantley ostrożnie odwiesił mikrofon na widelki, włożył na głowę kevlarowy hełm, dopiął pasek, po czym chwycił karabin maszynowy i sprawdził komorę. Upewnił się, że jest pusta i wspiął się po skrzynkach amunicji, żeby wydostać się z bradleya na zewnątrz. Kiedy tylko stanął na miękkiej ściółce lasu, przywołał energicznym gestem swojego starszego sierżanta.

Czekając na niego patrzył na okopującą się kompanię. Rozkaz był jasny i nie podlegał dyskusji. Dwuosobowe pozycje bojowe, nakładające się pola ostrzału, pozycje broni maszynowej M-60E z dodatkową osłoną, wały obronne z worków z piaskiem. Jak na razie wszystko było w najlepszym porządku.

– Jak idzie? – spytał, kiedy zbliżył się do niego sierżant.

Starszy sierżant został dopiero niedawno przeniesiony do tej jednostki. Był to ogromny facet, z tak rozwiniętym mięśniem piwnym, że jeszcze kilka lat temu w ogóle nie przyjęto by go do wojska.

Dowódca kompanii zaakceptowałby to jednak bez słowa – armie funkcjonowały całe wieki, nie składając się ze szczupłych atletów – gdyby okazał się on dobrym podoficerem. Niestety, nie okazał się.

Był miłym, cichym prostaczkiem, który doszedł do obecnej rangi najwyraźniej dzięki temu, że trafiał na przełożonych, którym pasował miły, cichy prostaczek w roli podoficera. Kapitan Brantley zastanawiał się, jak mogło do tego dojść w oddziałach przygotowywanych do walki z pierwszą falą najazdu Posleenów. W oddziałach, które opuścił dziesięć lat temu, zazwyczaj pozbywano się takich osobników w okolicach stopnia plutonowego.

– Dobrze, sir – odpowiedział starszy sierżant i niedbale zsalutował.

Obciągnął pomarszczoną koszulę munduru polowego, próbując jednocześnie zapiąć pas oporządzenia, co tylko jeszcze bardziej uwydatniło jego brzuch.

– Pierwszy pluton ma już większość swoich ludzi, ale nadal nie mamy łączności z trzecim i nie widać ani śladu kompanii Bravo, więc nikt nie osłania drugiego plutonu z lewej.

– No to ładnie. Moździerze są już gotowe, żeby udzielić wsparcia, ale są tylko dwa. Jak wygląda sprawa z przygotowaniem pozycji? I co z ciepłym posiłkiem?

– No, pierwszy pluton nie zajął jeszcze swoich pozycji. Nie mogę połączyć się z zastępcą, więc nic jeszcze nie wiem o żywności.

Kapitan Brantley powstrzymał się od westchnienia. Przypomniawszy sobie starszego sierżanta w kompanii, którą ostatnio dowodził. Podoficer – jeden z ostatnich, którzy służyli w Wietnamie – potrafił namierzyć sekcję zaopatrzenia niezależnie od tego, jak bardzo się zgubili, a jeśli mu się to nie udawało, dostarczał żołnierzom pizzę.

I to śmigłowcem, jeśli trzeba. Już w czasach Wellingtona, jeśli nie Gustawa Adolfa,\*[\* (1594-1632) – król Szwecji (Gustaw II), uczestnik wojny trzydziestoletniej.] dostrzeżono ogromną wagę dobrego posiłku przed bitwą. Brantley nie był więc szczególnie zadowolony, że idzie na wojnę tylko z częścią swojej kompanii, odsłoniętym lewym skrzydłem i na dodatek z żołnierzami, którzy mają tylko paczkowaną żywność polową i prowiant, który sami sobie zapakowali.

– Dobra, przy drodze krajowej jest McDonald's. Weź hunwee dowódcy i przywieź sto dwadzieścia hamburgerów i trzydzieści cheeseburgerów. – Wyciągnął portfel i wręczył pierwszemu sierżantowi pieniądze. – Spróbuj zapłacić czekiem, jeśli przyjmą. Jeśli będzie nieczynne, obsłuż się sam. Niech pojedzie z tobą starszy kapral Forrier.

Skinął na żołnierza od łączności, który przechadzał się znudzony po rampie bradleya. Chłopak robił wrażenie, jakby czekał na coś do roboty.

– Jeśli nie będzie tam nic ciepłego do jedzenia, rozejrzyj się, znajdź delikatesy, restaurację, cokolwiek. Jasne?

– Tak jest, sir. – Starszy sierżant wyglądał na zmieszanego. – Nie chciałbym pana zostawiać, kapitanie. Nie wiemy, kiedy zaatakują.

– Więc postaraj się wrócić z dobrym żarciem, zanim to nastąpi.

I bądź ze mną w kontakcie radiowym, żebym mógł cię sprowadzić, kiedy będziesz mi potrzebny.

– Tak jest, sir. Może zastępca będzie miał trochę jedzenia.

– Może. Ruszajcie, sierżancie.

Podoficer znowu zasalutował i skierował się do hunwee. Trzeba przyznać, że jeśli dostał jasne instrukcje, wykonywał je najlepiej, jak umiał. Kiedy problem był już z głowy, kapitan Brantley zobaczył, jak przez sosnowy las nadjeżdża hummer dowódcy batalionu.

Wysoki, muskularny oficer wyskoczył z samochodu, zanim jeszcze pojazd całkowicie się zatrzymał, i podszedł szybkim krokiem do czekającego dowódcy kompanii. Chociaż podpułkownik Hartman wyglądał na dwudziestolatka, był już po sześćdziesiątce i jako dowódca batalionu pierwszej dywizji piechoty odszedł w stan spoczynku na początku lat osiemdziesiątych. Ten rzetelny, zawodowy oficer dopiero przed czterema miesiącami objął dowództwo batalionu i pilnie pracował nad tym, żeby osiągnąć poziom wyszkolenia, z którego mógłby być dumny. Niestety Posleeni najwyraźniej nie zamierzali dać mu dość czasu na rozwiązanie wszystkich problemów jednostki.

Zbliżając się do dowódcy kompanii Alfa – jedyne go dobrego dowódcy pod jego komendą – zastanawiał się, jak przekazać mu złe wieści.

– Pułkowniku – kapitan Brantley skinął głową – zaproponowałbym panu kubek gorącej kawy, ale najwyraźniej rozminęliśmy się z sekcją zaopatrzenia.

– To nie jest niestety nasz jedyny problem – stwierdził dowódca batalionu z wymuszonym uśmiechem. – Przejdźmy się.

Oficerowie oddalili się od jednostki tak, aby nikt nie mógł ich usłyszeć. Pułkownik na wszelki wypadek ustawił Brantleya tyłem do żołnierzy. Żeby nie widzieli jego twarzy, kiedy usłyszy nowiny.

– Nie mam dobrych wiadomości – powiedział bez ogródek pułkownik. – Żadnych. Mam za to na pęczki złych. Wiem, że Bravo nie osłania waszego lewego skrzydła, bo kompanii Bravo właściwie nie ma. Z bradleyów w ich rejonie operacyjnym da się sformować pluton, pozostałe zgubiły się albo gdzieś się ukrywają. Może znajdziemy jeszcze parę oddziałów, które po prostu zabłądziły, ale większość uciekła. Po prostu uciekła, zanim jeszcze rozpoczęła się ta przeklęta bitwa.

Pułkownik starał się, aby uczucie wstydu i złości nie odbiło się na jego twarzy. Nawet stąd dostrzegał ukradkowe spojrzenia okopujących się żołnierzy, a nie miał zamiaru zdradzić im, w jakie szambo wdepnęli.

– Wasz pierwszy pluton wmieszał się w dwudziestą pierwszą dywizję kawalerii, więc zostali aż do odwołania przydzieleni jako wsparcie kawalerii.

– O, w mordę. – Dowódca kompanii starał się nie dopuścić do wybuchu wzbierającego w nim histerycznego śmiechu. – Jezu, mamy przesrane.

– Kolumny kwatermistrzowskie batalionu – łącznie z zapasami żywności, sekcją zaopatrzenia, amunicją, jednostkami remontowymi i logistycznymi – jakimś sposobem dotarły na Prince William Parkway i są już w połowie drogi do Manassas. Właśnie tam jest wasze śniadanie.

– Chciałbym zwinąć manatki i ruszyć za nimi. I to razem z całą kompanią.

– W to akurat nie wątpię – odpowiedział oschle dowódca batalionu. – Widziałem już parę całkiem spieprzonych na poligonie manewrów, ale ten jest najgorszy.

– To nie poligon, sir. – Dowódca kompanii Alfa nie mógł się zdobyć nawet na cień humoru. Wstrząsnął nim zimny dreszcz i zaschło mu w ustach. – A kompania Charlie?

– Mniej więcej tak jak wy, jeśli chodzi o skuteczność, z tym że kapitan Lanceman zaginał.

Obojętny wyraz twarzy dowódcy zdawał się wskazywać, że raczej nie jest zmartwiony nieobecnością kapitana.

– Przekazałem dowództwo drugiemu oficerowi, porucznikowi Sinestre, i on ma teraz większość kompanii, ale brakuje mu sekcji mózdzierzy. Posłałem mu mózdzierze Bravo, a wam przekazuję żołnierzy tej kompanii jako wasz trzeci pluton. Są jednak jeszcze inne problemy.

– Jakie, sir?

– Nie mamy też nikogo na prawym skrzydle.

– A gdzie jest drugi batalion? – spytał zaszokowany dowódca kompanii.

– Gdzieś koło naszej sekcji zaopatrzenia, czyli trzydzieści mil stąd, koło Manassas. Dostali rozkaz okopania się właśnie tam. Cała brygada kręci się wokół jak kurczak bez głowy, więc zamierzam rozciągnąć batalion szerzej. Trzeci batalion osłania nasze lewe skrzydło, ale na prawym skrzydle nie mamy nikogo. Wysłałem zwiadowców na poszukiwanie trzydziestej trzeciej dywizji, która powinna być gdzieś w pobliżu, a może znajdą nawet czterdziestą czwartą.

Co prawda IVIS twierdzi, że nie ma nikogo między naszą pozycją a Potomakiem, ale jakoś w to nie wierzę. Ktoś musi być koło drogi krajowej!

\* \* \*

– Niech mi pan to powie jeszcze raz. – Arkady Simosin czuł się jak żywy trup. Chociaż dowodził już wielokrotnie – poczynając od plutonu czołgów, a na wielu korpusach kończąc – nigdy jeszcze nie widział tak straszliwego bałaganu, jak tej nocy. Korpus miał całkowicie pomieszane jednostki, kierunki marszu i zadania. Teraz zebrał się jego sztab, żeby przekazać mu złe wieści.

– Jak pan wie, sir, plan bojowy korpusu przewidywał, że czterdziesta pierwsza dywizja zajmie pozycje między Potomakiem a zjazdem z międzystanówki 95 na drogę numer 1, trzydziesta trzecia dywizja zgromadzi się w rejonie tych dróg, a pięćdziesiąta zajmie pozycje na zachód od dróg z osłoną kawalerii na zachodzie i dziewiętnastą pancerną w rezerwie. Zakładaliśmy bowiem, że Posleeni ruszą wzdłuż zjazdu w kierunku Alexandrii.

– Proszę mi powiedzieć coś, o czym jeszcze nie wiem – warknął generał. – Mówiliście, że czterdziestej pierwszej nie ma na miejscu.

– Właśnie, sir. Tylko dwudziesta pierwsza i pięćdziesiąta dywizja są na właściwej drodze wschód-zachód. Czterdziesta pierwsza jest siedem mil z tyłu, a trzydziesta trzecia w odległości czterech mil od właściwych pozycji. Kolumny zaopatrzeniowe są już w drodze do jednostek bojowych. Obecnie mamy trzy dywizje, które zamiast właściwego rozmieszczenia zgrupowane są

w eszelonach, co aż się prosi o...

– Klęskę. – Arkady skrzywił się i zerknął na ekran komputera. – Ale komputer twierdzi tylko, że nie dysponujemy pełną siłą.

– Komputer wskazuje tylko, że część każdej jednostki jest we właściwym miejscu. Ale niestety większa część każdej dywizji jest tam, gdzie panu mówiłem, sir. To znaczy tam, gdzie mieli się znaleźć zgodnie z rozkazami, lub tam, gdzie sami postanowili rozmieścić swoje siły.

Simosin zmusił swój zmęczony umysł do wysiłku.

– Wezwij dwudziestą pierwszą. Powiedz im, że mają zostać na miejscu. Jeśli pojawią się Posleeni, niech nie angażują się na pełną skalę, tylko postarają się opóźnić ich marsz. Niech pięćdziesiąta dywizja przemieści się do linii, na której obecnie rozlokowana jest trzydziesta trzecia. Niech czterdziesta pierwsza przesunie się do tej linii. Niech jak najwięcej jednostek w szyku bojowym jak najszybciej znajdzie się na tej linii.

– W ten sposób znajdziemy się prawie na Prince William, generale – zauważył zastępca szefa sztabu do spraw operacyjnych. – Daleko na północ od miejsca, którego chciał bronić prezydent.

– Na północ czy południe od Prince William?

– Na południe, sir.

– Dobrze, prezydent będzie musiał to jakoś przełknąć. Jeśli będziemy mieli drogę za plecami, pozwoli nam to na przesyłanie posiłków w tę i z powrotem, jeśli okaże się to konieczne. Proszę przemieścić artylerię korpusu na północ od Occoquan; będą mogli udzielić bliskiego wsparcia. I przenieść tam także wszystkie elementy logistyki, oprócz amunicji i żywności. Niech dowódcy dywizji sami oceniają, gdzie chcą umieścić artylerię. Powinni wiedzieć, że jeśli będzie ona na północ od drogi, to znajdzie się poza zasięgiem Posleenów, kiedy zburzymy mosty.

– A jak idą prace na mostach?

– Są już okablowane, zaminowane i gotowe do wysadzenia, generale – powiedział dowódca saperów dziewięćdziesiątej piątej dywizji piechoty. – Wysadzą je, kiedy ostatnie jednostki przejdą na południową stronę, a uchodźcy będą już po stronie północnej, albo kiedy Posleeni znajdą się na odległość kontaktu.

– Cóż, musimy zrobić wszystko, by tak się nie stało. Na razie zajmijcie się rozmieszczeniem jednostek. Nadal mamy jeszcze czas, żeby wszystko naprawić, chłopaki; musimy tylko zakasać rękawy.

**Niedaleko Ladysmith, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 09:12 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

Ogień artylerii dwudziestej dziewiątej dywizji piechoty przypominał poruszone gniazdo szerszeni. Szerszenie zaczęły powoli, pojedynczo wychodzić i rozglądać się wokół, jakby chciały sprawdzić, co trafiło w ich dom.

Ersin trzymał się kurczowo uchwytu pod dachem i siedzenia przed sobą, kiedy hunwee po raz piąty oderwał się od ziemi, tym razem z głośnym pluskiem opadając w koryto strumienia. Woda gwałtownie chlusnęła na maskę pojazdu. Nad Ersinem terkotało dwudziestopięciomilimetrowe działko. Kiedy zastanawiał się, czy strzelec faktycznie łudzi się, że trafi w cokolwiek z ciągle podskakującego samochodu, operator działka chrząknął z satysfakcją.

– Lepiej trzymaj nas kołami na ziemi, Tom! – kanonier przekrzyczał warkot silnika, kiedy pojazd wyjechał ze strumienia. – Dostałem jednego Wszechwładcę.

Spojrzał na siedzącego obok starszego sierżanta Sił Specjalnych i zaśmiał się.

– Wiedziałem, że pewnego dnia okaże się, że cały ten czas, który spędziłem przy grze w „Dolinę Śmierci”, nie poszedł na marne!

Ersin zerknął za siebie i zobaczył, jak drzewa z tyłu rozpadają się od posleńskiego ostrzału. Hunwee skręcił w unik tak ostro, że ręka ześlizgnęła się sierżantowi z uchwytu i z impetem wpadł na celowniczego. Szeroki rozstaw kół i nowoczesny napęd pozwalały na wykonywanie manewrów, które wyróciłyby na dach każdą zwykłą terenówkę.

– Przepraszam! – krzyknął sierżant i z wysiłkiem wrócił na swoje miejsce.

– Nie szkodzi, sierżancie. – Kanonier wskazał czteropunktowe pasy, które trzymały go w miejscu. – Właśnie dlatego wymieniliśmy tu pasy. – Spojrzał na monitor. – Nie mamy niczego w zasięgu wzroku.

– Jeszcze kilometr do drogi krajowej! – dowódca załogi krzyknął przez warkot diesla. – Powiedziałem im, że nadjeżdżamy!

– Żeby tylko przepuścili nas przez nasze linie! – Ersin stuknął w przekaźnik. – Przekażnik, połącz mnie z sierżantem Muellerem.

– Połączenie nawiązane, sierżancie Ersin.

– Mueller?

– Tak, Ersin. Rozumiem, że mamy towarzystwo.

– Jak wam idzie?

– Podpinamy detonatory najszybciej, jak potrafimy.

– Cóż, wróg jest jakiś kilometr-półtora od waszej pozycji. Pospieszcie się.

– Przyjąłem. Trzeba ich utrzymać z dala od drogi krajowej numer 1.

– A niby jak, u diabła, mamy to zrobić?

– Wiesz, jak się prowadzi świnię? – zapytał Mueller.

– Nie wiem.

Mueller mu wyjaśnił.

Starszy sierżant w odpowiedzi uśmiechnął się i zerknął przez tylne okno samochodu. Posleenom na pewno nie spodoba się przyjęcie, jakie zgotuje im dwunasty korpus.

– Jest pan pewien, sierżancie? – zapytał celowniczy bradleya, obracając wyrzutnię TOW.

– Nie, ale takie mamy rozkazy. Edwards – zwrócił się do kierowcy – bądź gotowa do akcji, kiedy otrzymasz rozkaz.

– W porządku, sierżancie – powiedziała kobieta kierująca bojowym wozem piechoty i nerwowo przesunęła przepustnicę.

– A teraz, Irvine, masz... john mngu – ...odpalić raketę w bok. Wiem.

– W ten sposób, miejmy nadzieję, lądownik nie zacznie strzelać do nas od razu. Kiedy Posleeni skręcą na nas, pociągniemy ich za sobą drogą numer 632.

– A co będzie, jeśli załatwią nas od razu?

– Wóz Cztery namierzy ogień z ziemi i zajmie się nim. Nam, co prawda, niewiele to da.

– Mam rodzinę w Richmond – szepnął celowniczy. – Cel – dodał, kiedy obiekt znalazł się w polu widzenia celownika.

– Jasne.

Dowódca pojazdu spojrział przez peryskop. Wyrzutnia TOW była wycelowana w pole tytoniu. Przy odrobinie szczęścia celowniczy powinien dać radę skrócić kierowanym przewodowo pociskiem raketowym i skierować go prosto w lądownik, zanim odezwą się systemy obronne przeciwnika. Prostsze rozwiązanie, strzał wprost w lądownik, doświadczalnie zweryfikowano na Barwhon jako samobójstwo. Teraz, zgodnie z planem, Posleeni powinni wysłać swoje siły w pościg za bradleyem. I ścigać go, gdy będzie uciekał drogą krajową.

Ponieważ bwp znajdował się w odległości prawie trzech tysięcy metrów od lądownika, musieli się obawiać jedynie systemów obronnych lądownika i broni zamontowanej na pojazdach Wszechwładców. Nie znaczyło to bynajmniej, że jakoś znacząco rosła ich szansa na przetrwanie.

Gdyby plan się powiódł, Posleeni mieli zostać wystawieni na flankowy ogień snajperów jednostek kawalerii, rozproszonych po lasach i polach w okolicy, a żołnierze przygotowujący zasadzki zyskaliby więcej czasu.

– Potwierdzam, cel zidentyfikowany. Ognia!

– Człowieku – wyszeptał ochryple strzelec, dotykając przycisku odpalania. – Naprawdę wolałbym, żeby do tej akcji wysłali Abramsa.

\* \* \*

Wojska Lądowe Stanów Zjednoczonych znalazły się w niecodziennej sytuacji braku wywiadu polowego, a przecież to wiedza o sile i zamiarach wroga w znacznej mierze decyduje o zwycięstwie. Całe lata przygotowań armii w erze przedposleenińskiej poświęcono na zapewnienie dowódcom niemal boskiej orientacji co do sytuacji na froncie. Satelity spoglądały z olimpijskich wyżyn swoich orbit, a bezzałogowe drony i samoloty zwiadowcze ze skomplikowanymi radarami i systemami wizyjnymi udzielały precyzyjnych i co chwila aktualizowanych informacji o ruchach wrogich oddziałów.

Przybycie Posleenów pokazało jednak, co to znaczy „zamęt wojny”.

Satelitów już nie było. Większość z nich przestała istnieć wraz z wejściem w atmosferę posleenińskich kul bitewnych, a reszta została zniszczona przez powietrzne systemy obronne lądowników.

Te same systemy stworzyły całkowicie wręcz nieprzenikalną barierę wokół wojsk Posleenów. Aby ich odnaleźć, niewielkie oddziały musiały wychodzić w pole i przemieszczać się tak długo, aż nawiązały kontakt. Był to powrót do starych, złych czasów. Do grup zwiadowczych i rozpoznania walką. Do określenia tego nader często używano wyrażenia „Mroczne Wiek”.



Taktyka walki Posleenów polegała na tym, że kiedy pojawiał się jakiś cel, natychmiast otwierali ogień, po czym ruszali w pościg za niedobitkami. Można było to wykorzystać i spróbować podprowadzić ich w kierunku umocnień obronnych... tyle, że umocnień jeszcze nie przygotowano. Cała koncepcja obrony opierała się więc na założeniu, że patrole piechoty lub kawalerii nawiążą kontakt z wrogiem, same nie będąc dostrzeżonymi.

Teraz patrole te zamieniały się w harcowników, co najczęściej kończyło się bardzo źle. Na północnym skraju terenu opanowanego przez Posleenów, w obszarze operacyjnym dziesiątego korpusu, pluton zwiadowczy z dwudziestej pierwszej dywizji kawalerii przekonał się na własnej skórze, jak szybko i brutalni potrafią być Posleeni.

Sekcja zwiadowcza na drodze międzystanowej numer 1 składała się z dwóch hunwee i dwóch bradleyów, przemieszczających się sekcjami. Najpierw odcinek trasy pokonywał hunwee, potem w jego ślady szedł bradley. Kiedy docierali na zaplanowaną pozycję, ruszała następna sekcja. Dwudziestopięciomilimetrowe działka cały czas przeczesywały teren w poszukiwaniu źródeł ciepła.

Kiedy bradley z drugiej sekcji jechał do kolejnego punktu, z bocznej drogi bez ostrzeżenia wynurzyła się kompania centaurów. Zanim rozstawiona sekcja zdążyła poinformować o pojawieniu się celu, czterystu posleńskich wojowników otworzyło ogień z odległości niecałych pięciuset metrów.

Jadący bradley został trafiony jako pierwszy, a trzymilimetrowe penetratory podziurawiły przedział desantowy. Wolframowe pociski po pokonaniu cienkiego magnezowego pancerza rozsiekaly siedzących w bwp żołnierzy. Trwało to jedną, przerażającą chwilę; w ciągu sekundy w bradleya wycelowały cztery posleńskie wyrzutnie rakiet hiperszybkich. Cztery poruszające się z szybkością trzech dziesiątych prędkości światła pociski prawie jednocześnie uderzyły w pojazd z takim impetem, że praktycznie nic z niego nie zostało.

Czołowy hunwee zniknął kilka sekund później, pochłonięty zmasowanym ogniem z jednomilimetrowych karabinów magnetycznych, a tylna sekcja, ostrzelana z blisko stu trzymilimetrowych karabinów i wyrzutni pocisków hiperszybkich, przetrwała tylko chwilę dłużej.

Cała bitwa zakończyła się, zanim jednostka zdążyła przekazać raport o nawiązaniu kontaktu, a nawet zanim którykolwiek z żołnierzy zdołał ruszyć się z miejsca.

Gęsty dym i trzask pocisków hiperszybkich nie uszły jednak uwadze kolejnej grupy zwiadowców. Kompania wsparcia, okopana tysiąc metrów z tyłu, pospiesznie przygotowała się do obrony i wysłała raport o nawiązaniu kontaktu. Ich pluton czołgów typu Abrams odjechał na tyły rozsypującego się centrum handlowego. Z krótkim, niemal niezauważalnym trzaskiem lufy studwudziestomilimetrowych dział wybiły ostatnie szklane witryny, a masywne wozy bojowe ukryły się w cieniu budynku.

\* \* \*

Arkady Simosin patrzył na główny ekran IVIS, na którym zaczęły pojawiać się pozycje Posleenów, i już wiedział, że są zgubieni. Pięćdziesiąta dywizja piechoty dopiero co dotarła na stanowiska obrony i zaczęła się okopywać. Wolniejsza czterdziesta pierwsza dywizja nawet nie była jeszcze w komplecie na miejscu.

Jedno spojrzenie na szybko niknące niebieskie strzałki spychanej w tył kawalerii wystarczyło, aby stwierdzić, że Posleeni przybywają na obiad i nie odejdą z pustymi rękami. Uderzył w przycisk na panelu kierowania.

– Artyleria korpusu... – zaczął mówić oficer, który się zgłosił, i nagle urwał, gdy zobaczył, z kim rozmawia. – Słucham, sir.

– Rozpocznijcie namierzanie miejsc nawiązania kontaktu, jakby były to prawdziwe prośby o wsparcie artyleryjskie. – powiedział szybko do oficera artylerii.

– Ale to tylko szacunkowe pozycje, generale – zaprotestował pułkownik.

– Tak, ale kiedy już otworzycie do nich ogień, na wszystkich tych drogach będzie gęsto od Posleenów. Czy działa pancerników sięgną aż tutaj?

Oficer spojrział gdzieś poza ekran na inny wyświetlacz.

– Tak, sir. Bez problemów sięgną do drogi krajowej i wzdłuż całego frontu kawalerii. Teraz mamy tylko Missouri; Massachusetts jest w drodze. Ale pancerniki nie są podłączone do sieci taktycznej, więc musimy im przekazywać namiary celu ustnie.

– To wystarczy. Dostarczcie im koordynaty. Chcę przyłożyć nadchodzącemu przeciwnikowi tak mocno, jak się da. Wykonać.

– Tak jest, sir – oficer stuknął w kilka przycisków – na rozkaz.

– Bez odbioru.

Generał przerwał połączenie i odchylił się do tyłu. Zmienił skalę IVIS, żeby przyjrzeć się całej północnej Wirginii, po czym wstukał kilka nowych komend. Batalion pancerzy wspomaganych dzieliło od celu jeszcze sześć godzin marszu. Zresztą generał był całkowicie pewien, że jeden batalion niczego nie zmieni.

Jedenasta dywizja piechoty mobilnej była ledwie o dziesięć godzin marszu stąd, ale była to dywizja tylko z nazwy. Miała ledwie półtorej brygady wyekwipowanych i nie do końca przeszkolonych żołnierzy.

Nacisnął kolejny przycisk i wywołał szefa sztabu.

– Rzeczywiście miałem kiepski pomysł.

– Tak, sir?

– Jak dotąd wszystkie przemieszczenia jednostek zakończyły się całkowitym niepowodzeniem, ale chyba musimy przygotować się do kolejnego manewru.

– Teraz, sir? – zapytał mocno zdziwiony szef sztabu.

Korpus jeszcze nie dotarł na swoje pozycje, a generał znowu chciał ruszać.

– Nie teraz. Powiedziałem, że mamy się przygotować. Może będziemy musieli rozpocząć wojnę manewrową. Jeśli tak się stanie, chcę być jak najlepiej przygotowany. Bitwa już trwa, a jej wynik zależy od dowódców kompanii. Niech sztab zacznie pracować nad planem przemieszczenia korpusu na oś północ-południe, na pomoc od Occoquan. Dziewiętnasta dywizja ruszy na zachód; tam zakotwiczą lewe skrzydło. Jeśli wróg zepchnie nas z pozycji, będziemy musieli skrócić w kierunku Manassas i zwolnić tempo ich natarcia na dziewiąty korpus.

– A co z czterdziestą pierwszą dywizją, generale? Będzie wisieć w próżni.

– Zaplanujcie jej działania na północnym skrzydle, ale zgadzam się, że będą mieli problem z zakończeniem manewru. Mogą wycofać się w kierunku mostów Occoquan albo, w ostateczności, dotrzeć do Potomaku, a my ich stamtąd zdunkierkujemy pod osłoną pancerników.

– Zakłada pan, że nie uda nam się zatrzymać wroga, sir.

– Zgadza się. Taktycznie rzecz biorąc nie jesteśmy w stanie na tyle długo utrzymać z nimi kontaktu bojowego, aby skutecznie wskazać cele artylerii, a przynajmniej nie udało nam się to do tej pory.

Sprawdzimy, co się stanie, gdy natrafiana przygotowane do obrony pozycje. Gdybyśmy mieli więcej czasu, więcej przestrzeni, żeby ich opóźnić, może udałoby się nam wygrać tradycyjnie. Teraz sądzę, że bez dobrych okopów, zasieków i bunkrów pokonają nas. Przekonamy się.

\* \* \*

- Celuj w punkt namiaru!
- Punkt celowania zidentyfikowany!

Zaginiony sierżant plutonu i Moździerz Jeden dołączyli do jednostki w trakcie przemarszu i Keren mógł znów zejść wszystkim z oczu. Porucznik radził sobie z kolejnym przemarszem i zebraniem brakujących pojazdów z godną podziwu łatwością. Najwyraźniej poczuł się jak młody koń, który aż do czasu pierwszej gonitwy nie miał szansy zabłysnąć. Ustawiał teraz moździerze korzystając ze wskazówek starszego plutonowego Simmons'a i robił to naprawdę dobrze. Moździerze zostały ustawione, zanim ktokolwiek się obejrzał, a żołnierze po wykonaniu zadania wskoczyli do transporterów, żeby sprawdzić swoje wyświetlacze IVIS.

Czerwone znaczniki wroga były rozsiane przed całym frontem dwudziestej pierwszej dywizji kawalerii, ledwie sześć mil dalej.

Z oddali dobiegał pomruk artylerii.

– Spójrz – powiedział Keren, przesuając obraz na ekranie na zachód – Oddziały przeciwnika szczelnie zapełniają sobą cały front dywizji, aż do samego skraju.

– I co z tego? – spytała Sheila.

– Wątpię, żeby ich linie kończyły się tam tylko dlatego, że to skraj dywizji – zaśmiał się Riley.

– He? – Sheila miała tylko siedemnaście lat i ledwie skończyła podstawowe szkolenie. Większość symboli na ekranie nadal była jej obca. – Posleeni zapewne obeszli flankę kawalerzystów. A tutaj – wyjaśnił plutonowy Herd i wskazał na znacznik jednostki poruszającej się na Gun Truck Road – widać ich reakcję.

– To tylko kompania – mruknął Keren.

– Są strasznie rozciągnięci, pokrywają front trzech dywizji – zauważył Herd. – Poza tym – wskazał na zgrupowania na głównych drogach, skupiając się na czołowych oddziałach dywizji kawalerii – tutaj trwa główne natarcie. Jeżeli uda się zepchnąć Posleeniów z dróg, to ich spowolni.

Odwrócił się w kierunku wozu bojowego i zaczął rozglądać się, szykując raport dotyczący paliwa i sprawności technicznej pojazdu.

Kiedy reszta drużyny oddaliła się, Keren został, żeby obserwować, jak kompania zwiadowców spieszy po krętych bocznych drogach w kierunku zagrożonego skrzydła dywizji. Zanim jeszcze pokonała połowę drogi, znacznik zmienił barwę na purpurową, co oznaczało kontakt z wrogiem, i szybko zniknął.

– Szlag!

– Co? – Plutonowy Herd poderwał się gwałtownie, uderzając głową w dach wozu.

– Cholera! Szlag by to trafił!

Podczas kiedy Herd przeklinał każdy kawałek metalu, sugerując, że zaprojektowano go tylko po to, żeby uprzykrzać życie żołnierzom piechoty, czerwone ikony wroga zaczęły pojawiać się na tyłach najdalej na zachód wysuniętego pułku dwudziestej pierwszej dywizji. Konwój tankujący spieszący z paliwem dla pojazdów obłązonej dywizji zaświecił na purpurowo i zgasł. Inne jednostki transportowe zaczęły meldować o kontakcie z wrogiem, a główna rezerwa dywizji ruszyła na zachód.

– Posleeni obeszli skrzydło kawalerii – powiedział Keren. – Musieli przełamać opór kompanii zabezpieczających i są teraz na naszych tyłach.

– Cholera. – Reed zwisał do góry nogami z dachu bwp i patrzył na ekran. – Lepiej przygotujmy się na bal, chłopcy i dziewczynki.

**Pentagon, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 10:24 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

– Mówi Bob Ardent z Dowództwa Armii Kontynentalnej. W odpowiedzi na samowolny ogień artylerii dwudziestej dziewiątej dywizji piechoty Posleeni wyroili się ze swoich pozycji wokół Fredericksburga jak mrówki z kopniętego mrowiska.

Reporter wyglądał jak żywy trup. Mimo charakterystyki widać było, że odpoczywał tyle samo, co żołnierze, o których mówił. W normalnych okolicznościach przysłano by mu zmiennika. Ale tym razem doświadczony dziennikarz nic sobie nie robił ze swojego zmęczenia. Był to reportaż stulecia, a on znajdował się w samym centrum wydarzeń.

– Rozmawiam z podpułkownikiem Guyem Tremontem, adiutantem generała Hornera, Dowódcy Armii Kontynentalnej. Pułkowniku, jak pan ocenia szansę dziesiątego korpusu, czy może utrzymać swoje pozycje?

– Cóż, Bob – odpowiedział pułkownik z ponurym uśmiechem – dziesiąty korpus dysponuje dużą siłą, i jeśli w ogóle jakiegokolwiek pięć dywizji może wykonać to zadanie, to tworzą one właśnie ten korpus. Tutaj, w DowArKonie, szczerze wierzymy w generała Simosina i wszyscy uważamy, że jest on najodpowiedniejszą osobą do dowodzenia obroną.

– A co z zamieszaniem w nocy? Jak rozumiem, wiele jednostek zaginęło?

– To zależy, co pan rozumie przez zaginięcie. – Pułkownik wzruszył ramionami. – Było wprawdzie trochę zamieszania, ale to się zdarza przy każdej nagłej zmianie planu. Dziesiąty korpus przewyciężył trudności i jest już gotów stawić czoła zagrożeniu.

– Czy to oznacza, że krytykuje pan decyzję prezydenta o nagłej zmianie planów obrony Potomacu?

– Nie, bynajmniej nie miałem takiego zamiaru. Prezydent jest Zwierzchnikiem Sił Zbrojnych i dla wojska jego słowo jest prawem.

Jeśli chce, żebyśmy prowadzili bliską obronę, tak zrobimy. Jeśli zechce, żebyśmy zorganizowali obronę w Pensylwanii, poprowadzimy ją właśnie tam.

– Więc sądzi pan, że dziesiąty korpus zdoła zatrzymać Posleenów?

– Na wojnie nic nie jest pewne, a już na pewno nie wtedy, kiedy zagrożenie pojawia się wcześniej, niż się spodziewano i nas zaskakuje. Dziesiąty korpus spisze się lepiej niż jakakolwiek inna jednostka. Jeśli im się nie uda i będą musieli się wycofać, mamy jeszcze drugiego asa w rękawie. Posleeni muszą się jeszcze przedrzeć przez dziewiąty korpus, który zajmuje pozycje koło zbiornika Occoquan. Jeden z tych dwóch korpusów powinien ich zatrzymać.

– Według danych IVIS, Posleeni zaczynają już okrążyć skrzydło kawalerii...

\* \* \*

Jack Horner kiwnął potakująco głową.

– Więc nadal jesteś za udostępnianiem mediom danych z IVIS? – spytał generał Taylor.

Dwaj generałowie dyskutowali na temat liczby i wyboru jednostek, które powinny zostać wysłane w rejon walk, a przez chwilę przysłuchiwali się także krótkiemu wywiadowi w telewizji.

– Tak, a kiedy dotrą tu jednostki pancerzy wspomaganych, zamierzam udostępnić sieciom telewizyjnym czterdzieści kanałów z pozwoleniem na edycję i dystrybucję nagrań z udziałem każdego dowódcy plutonu. Nie ma dowodów na to, że Posleeni wykorzystują system wywiadowczy, natomiast

uważam, że Amerykanie mają pełne prawo wiedzieć, co się dzieje.

– Cóż, prezydent się z tobą zgadza – stwierdził Taylor.

– Szkoda, że nie przekonałem go do wyboru bardziej odpowiednich miejsc obrony. – Uśmiech Hornera był całkowicie wyprany z wesołości. – Gdybyśmy się przemieścili tam, gdzie okopuje się teraz dziewiąty korpus, może by się nam udało. Zwłaszcza, że dziesiąty korpus jest już gotów, a dziewiąty jest w drugim pasie obrony.

Teraz obawiam się, że Posleeni połkną dziesiąty korpus, a potem ruszą po dokładkę z dziewiątego. Dziesiąty ma nieosłonięte prawe skrzydło.

– Powinien był wydłużyć swoje linie oddziałami rezerwowymi.

– Lepiej nie; zwróć uwagę, jak Arkady wykorzystuje rezerwy.

To może ocalić korpus. W którymś momencie Posleeni i tak obeszliby skrzydło korpusu, zgnieliby je, gdyby nie był ostrożny. A teraz dziewiętnasta dywizja maszeruje, by ich zatrzymać.

– Dobra, to bitwa Arkady'ego, niech on ją prowadzi. A jak wyglądają sprawy w Richmond?

\* \* \*

Szerokimi autostradami, w kierunku zarysów odległego miasta niezmordowanie ciągnęły na południe posleeńskie kompanie zwiadowców. Głowy wojowników obracały się na boki w poszukiwaniu potencjalnego zagrożenia. Zauważyli jednostkę thresh, ale była za daleko, żeby ją zaatakować, a jej tenar na gąsienicach, który w ciągu ostatnich kilku godzin sprawił im tyle kłopotów, znajdował się w odległości uniemożliwiającej otwarcie ognia. Dowodzący Wszechwładcy rozważali ostrzelanie go, ale postanowili zaczekać, aż kompanie znajdą się bliżej celu.

Jak dotąd nie spostrzegli ani śladu wojskowych techników z emblematem bliźniaczych wież, więc mogli odetchnąć z ulgą. Trudno było walczyć z szybkim i przebiegłym wrogiem, który strzela z ukrycia i znika w krzakach, ale jeszcze trudniej z wojskowymi technikami i ładunkami, które spadały z góry po krzywych balistycznych.

Wreszcie podeszli do thresh na tyle blisko, że zmasowany ostrzał mógł zniszczyć ich nienawidzony tenar. Wszechwładca dał rozkaz ataku.

\* \* \*

Kiedy zmasowany ogień karabinów magnetycznych i wyrzutni pocisków hiperszybkich zagwizdał nad przełęczą, dowódca plutonu kawalerii dał Muellerowi sygnał uniesionym w górę kciukiem i zanurkował do środka bradleya dowodzenia, pospiesznie zamykając za sobą właz.

Mueller sprawdził na monitorze miejsca zasadzki i postanowił rzucić Posleenom trochę więcej przynęty, którą mogliby się zadławić. Ich przednie kompanie, stanowiące poważne wyzwanie dla kawalerzystów, znalazły się już w strefie zasadzki, ale on czekał, aż wejdą w nią cięższe, tylne szeregi. Kierowca hunwee, pozostawiony sam sobie, włączył silnik, aby w każdej chwili móc uciec w bezpieczne miejsce.

Mueller skinął głową, gdy dwóch lecących równolegle Wszechwładców przeszło przez strefę zasadzki. Ich kompanie, atakujące kawalerię, kłusowały przed siebie najwyraźniej przekonane, że już wygrały bitwę. Mueller uśmiechnął się złowrogo i zamknął obwód odpalania.

Impuls pomknął z prędkością światła na przeciwległy kraniec półkilometrowej zasadzki, po czym nastąpiła prosta reakcja chemiczna.

Ponieważ Amanda Hunt i dowódca plutonu saperów byli pesymistami, na wszelki wypadek zastosowali trzy niezależne sposoby detonowania claymore'ów. Był to jeden z powodów, dla których

zorganizowanie zasadzki zajęło tak dużo czasu. Cała strefa była okablowana. Pierwszy claymore miał detonatory po obu stronach, jeden na fale radiowe, drugi kablowy, i był owinięty lontem detonacyjnym. Jedna linia lontu biegła do innego detonatora radiowego, druga tworzyła niezależną przewodową sekwencję detonacyjną, trzecia prowadziła do drugiego claymore'a w szeregu, a czwarta i zarazem ostatnia – do trzeciego. Dla każdej miny ustawiono tę samą sekwencję. Zapasowe druty na wszystkich ładunkach opóźniały bieg sygnału, tak, by pierwsza sekwencja połączenia łańcuchowego mogła wywołać detonację.

Okazało się, że zapasowe obwody nie były potrzebne, z wyjątkiem jednego miejsca po wschodniej stronie, gdzie zabłąkany dwudziestopięciomilimetrowy pocisk uszkodził kable detonatora, ale – co było dość zaskakujące – nie spowodował zdetonowania całości.

Dzięki profesjonalizmowi panny Hunt wszystko poszło jak w szwajcarskim zegarku.

Pierwszy claymore wybuchając podpalił lont, którym był owinięty. Lont przeniósł wybuch kilka metrów dalej do następnej miny, a ta eksplodowała i tak samo przekazała ogień dalej. Wśród huku eksplozji, brzęczych jak strzały największego na świecie karabinu maszynowego, prawie pięćsetmetry odcinek drogi zapłonął białym światłem, a powietrze zgęstniało od dymu i pyłu.

Kiedy kurz opadł, oczom żołnierzy ukazała się droga po obu stronach usłana martwymi i konającymi Posleenami. Wyglądało to jak monstrualna rzeźnia. W wielu przypadkach jedynie najlepsze techniki medycyny sądowej byłyby w stanie oddzielić części jednego centaury od drugiego. W ułamku sekundy ponad sześć tysięcy czterystu Posleenów, wojowników i Wszechwładców, zostało zmiecionych z powierzchni ziemi.

Przednie kompanie zatrzymały się, wstrząśnięte ogromem zniszczenia na ich tyłach i rozdarte między uczuciem uzasadnionego strachu przed tym, co może ich jeszcze czekać, a wiernością wobec Wszechwładców, którzy gnali ich naprzód. Kiedy tylko się zatrzymali, zaczęły spadać pierwsze pociski artyleryjskie.

Posleeni postępujący w falangach za zmiecionymi kompaniami również przystanęli, przerażeni widokiem monstrualnej rzezi, ale tylko na chwilę. Niektóre jednostki zaczęły od razu omijać organiczną blokadę, inne zaś zajęły się przenoszeniem ciał towarzyszy do najbliższego lądowiska, gdzie szczątki można było później przetworzyć. Posleeni bowiem niezłomie wyznawali zasadę, że nie należy niczego marnować.

Ich przednie kompanie puściły się kłusem przez pole ostrzału artylerii, próbując zmniejszyć odległość od wroga, ale ogień był za silny. Generał Keeton i jego sztab dobrze wykorzystali czas, który Posleeni spędzili we Fredericksburgu. Większość artylerii dywizyjnej i wszystkie jednostki samobieżnej artylerii korpusnej zostały przydzielone do wsparcia zasadzek, podczas gdy szykowano już dla nich stanowiska na Wzgórzach Libby i Mosby. W kierunku wroga pomknęło ponad sto pocisków artyleryjskich kaliber 155 mm, z których każdemu wyznaczono trzydziestometrową strefę skutecznego rażenia w obszarze o szerokości stu metrów i głębokości stu pięćdziesięciu.

Celny ostrzał z bradleyów i zmasowany atak artylerii spowodował, że pierwsze kompanie Posleenów zniknęły w ciągu kilku sekund, zanim jeszcze zbliżyły się do zwiadowców kawalerii na odległość pięciuset metrów.

Kawaleria także nie wyszła ze starcia bez szwanku. Działo plazmowe Wszechwładcy zniszczyło dwa bradleye, a pechowe trafienie serią pocisków hiperszybkich zmiażdżyło jeszcze jeden. Ale dobrze przygotowana zasadzka w ciągu niecałych pięciu minut pozbawiła życia ponad siedem tysięcy Posleenów. Zniszczone bwp zostały szybko zastąpione pojazdami z plutonu rezerwowego, a sanitariusze zajęli się rannymi.

Posleen galopem pokonuje kilometr w jakieś trzy minuty. Pozycje kawalerii znajdowały się

około półtora kilometra od czoła zasadzki, a ocalałe oddziały Posleenów miały do pokonania jeszcze dodatkowe pięćset metrów. Dowódca kawalerzystów poprosił o wydłużenie ognia artylerii w chwili, gdy kompanie centaurów ruszyły do szarży.

Przez pierwsze pięćset metrów obcy ślizgali się na zboczu pokrytym szczątkami ich braci. Śliski grunt spowolnił ich marsz przez strefę ostrzału i wydłużył czas wystawienia na ogień. Jednak już po kilku minutach posleeńskie jednostki bojowe dotarły do drogi i pognały w kierunku kawalerii.

Mimo zmasowanego ognia artylerii było jasne, że fala Posleenów się przedrze. Chociaż pierwsze szeregi centaurów topniały jak kostka cukru w wodzie, jednocześnie zza odległego zakrętu wyłaniało się coraz więcej obcych – nie kończąca się rzeka centaurów.

Kiedy bradleye i artyleria otworzyły ogień do szarżujących Posleenów, dowódca kompanii rozkazał rezerwie, by przygotowała się do odwrotu.

Mueller zerknął na nacierającą armię centaurów i stwierdził, że teraz najlepiej zajmie się nimi kawaleria. Podniósł z ziemi pulpit odpalania – on też święcie wierzył, że nic nie powinno się marnować – i wsiadł do czekającego hunwee. Kierowca ruszył z westchnieniem ulgi.

**Richmond, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 11:25 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

– Dobrze nam idzie – powiedział pułkownik Abrahamson, patrząc na szereg monitorów ustawionych w pokoju konferencyjnym R. J. Reynolds Corporation.

Ze względu na zagrożenie północnego brzegu James dowództwo korpusu przeniosło się na południe od rzeki, a korporacja Reynolds wspaniałomyślnie zaoferowała swój budynek. Fakt, że w ten sposób stał się najlepiej bronionym w całym południowym Richmond z pewnością nie miał z tym nic wspólnego.

Wbrew temu, czego można się było spodziewać, zaplecze logistyczne i informacyjne było w doskonałym stanie. Pracownicy administracji zostali natychmiast zaprzężeni do pracy nad tworzeniem od podstaw nowego planu obrony Richmond.

Johnowi Keene'owi udało się także pozyskać do współpracy pięciu głównych inżynierów związanych z poprzednim planem i przekonać ich do nowego. Mimo osobistych preferencji dostrzegali słuszość nowej koncepcji, a do tego byli świetnie obeznani z terenem.

Keene przydzielił każdemu z nich organizację konkretnego zadania i dodał do tego plakietkę z autoryzacją, by bez problemu uzyskali pomoc wszystkich, którzy mogliby być potrzebni. Jeden z oficerów sztabowych korpusu dostał niewdzięczne zadanie zarządzania rozdziałem materiałów. Siedział w tym samym kompleksie biurowym w Schockoe Circle, co Keene i Mueller, i koordynował przepływ strumienia ludzi, sprzętu i materiałów niezbędnych do różnych projektów.

Radiowy i telewizyjny apel o dostarczenie sprzętu budowlanego i wynurzeniowego spotkał się z ogromnym odzewem. W pięciu punktach zbiórki, zanim policja drogowa zdołała przygotować się do kierowania ruchem, natychmiast utworzyły się kolejki ładowarek, rozmaitych koparek i spychaczy.

Pojawiły się także betoniarki i wywrotki, a razem z nimi masa doświadczonych budowlańców i innych ludzi, którzy uznali, że czas zgłosić się na ochotnika. Ochotnicy, którzy zrobili dobre wrażenie na personelu cywilno-wojskowym, mieli za zadanie wszystko to spisać i posegregować. Już po kilku godzinach przyjmowanie sprzętu, ocena jego stanu i rozdzielanie szło gładko jak po maśle. Inżynierowie wezwali do pomocy firmy budowlane i przedstawili im naszkicowane plany wyrównania i rozkopania terenu.

W podobny sposób w szeregach wojska pojawiła się Amanda Hunt, na ochotnika uzbrajająca claymore'y, oraz cywilni przedsiębiorcy, którzy wykopali umocnienia na pozycjach kawalerii.

Budowano wały i stawiano mury, podsypywano długi na milę wał przeciwpowodziowy, ale najwięcej problemów stwarzało zburzenie trzech betonowych budynków fabrycznych przy James.

Najprościej byłoby fabryki zaminować i wysadzić je w powietrze.

Niestety wszyscy, którzy byli wyszkoleni do podobnych zadań, zajmowali się akurat wyburzaniem mostów na James albo organizowaniem zasadzek na drogach na pomocy. Pojawiła się propozycja odwołania cywilnych specjalistów przygotowujących zasadzki, kiedy młody oficer z dowództwa korpusu wpadł na pewien pomysł.

W mniej niż godzinę później brygada siedemdziesiątej piątej dywizji pancерnej przejechała przez most Mayo, a potem przez Schockoe Bottom. Ponieważ zdecydowano, że dwu – i trzypiętrowe budynki z cegły będą zbyt dobrze nadawały się na osłonę dla Posleenów, kierowcy nie przejmowali się skręcaniem w ulice.

Kiedy blisko stusiedemdziesięcotonowe czołgi M-1E przejechały się, dosłownie, po dzielnicy,



okazało się, że nie zostawiły na swojej drodze ani jednego stojącego budynku. Ocalało jedynie kilka barów, na wypadek, gdyby został w nich jeszcze jakiś alkohol.

Czołgi dotarły do betonowych fabryk i każdy z nich otrzymał namiary punktów do ostrzału. Teren wokół fabryk został ewakuowany i brygada mogła otworzyć ogień.

Do rozwalenia niższych kondygnacji użyto przeciwczołgowych pocisków HEAT, a do zniszczenia głównych elementów konstrukcji – przeciwpancernych pocisków penetrujących, tak zwanych „srebrnych kul”.

Pod gradem pocisków budynki runęły na ziemię jak ranne giganty.

Jedna z hal fabrycznych utrzymała spójność konstrukcyjną mimo zawalenia się dolnych pięter, ale i to nie było problemem. Rozstrzelano ją, a potem paradnie rozjechano. Zadowoleni z tak dobrego początku dnia żołnierze brygady udali się na miejsca postojów po drugiej stronie James, aby odpocząć przed czekającym ich wielkim przedstawieniem.

Wściekła praca trwała w mieście przez całą noc, a nowy dzień wstał nad Richmond zupełnie już odmienionym.

Mosty na drogach krajowych i głównych arteriach komunikacyjnych, górujące nad Schockoe Bottom, były teraz albo zaminowane i gotowe do wysadzenia, albo przebudowane tak, że przy pomocy dźwigów można było z nich ściągnąć nawierzchnię, pozostawiając Posleenom jedynie wąskie, betonowe dźwigary.

Pomysł ten powstał w nadziei, że można będzie w ten sposób uratować chociaż część mostów. Do wysadzenia przeznaczono ich ponad dwadzieścia, więc koszt odbudowania wszystkich po zakończeniu wojny miał być i tak olbrzymi. Posleeni mogli przejść po przebudowanym w ten sposób moście tylko pojedynczym szeregiem, co czyniło ich łatwym celem dla ziemskich obrońców.

Podsypano także pomocny wał przeciwpowodziowy, odwrócono zamki śluz przepustowych, żeby zamykały się od strony rzeki, a nadbrzeżną drogę wyrównano i wzmocniono, aby nadawała się do ruchu ciężkich pojazdów. Mayo Island została zamieniona w bunkier dowodzenia. To właśnie stąd dowódcy czterdziestej dziewiątej i sześćdziesiątej dywizji piechoty mieli kierować swoim wojskiem.

Na wyspie znajdowała się teraz rezerwa – brygada sześćdziesiątej dywizji piechoty – która miała w razie potrzeby wesprzeć osłabione szeregi obrońców wału. Mosty Mayo, zarówno na północy, jak i na południu wyspy, były również zaminowane i gotowe do wysadzenia.

We wschodniej części miasta, wzdłuż drogi międzystanowej numer 95, na drogowe nasypy obronne nawieziono gruz, dzięki czemu powstała niemożliwa do przebycia ściana. Dodatkowo przed nasypem rozłożono stalowe kątowniki, zespawane z zaostrzonymi prętami zbrojeniowymi, brzeszczoty pił i różne inne ostre metalowe przedmioty, po czym wszystko to owinięto jeszcze drutem kolczastym.

Wokół tej konstrukcji wzniesiono dodatkowo mury obronne, zza których jednostki piechoty i pancerzy wspomaganych mogły względnie bezpiecznie prowadzić ostrzał. Obawiano się, czy posleńskie karabiny magnetyczne i wyrzutnie rakiet hiperszybkich nie uszkodzą murów, ale za to była nadzieja, że większość jednomilimetrowych pocisków będzie się od nich odbijać.

Na miejscu były już dwie brygady siedemdziesiątej pierwszej dywizji, a jedna mogła w każdej chwili udzielić im wsparcia. Na całej długości trasy w najwyższych budynkach kryli się snajperzy z karabinami kaliber. 50. Ich zadaniem było rozprawienie się z Wszechwładcami, którzy próbowaliby przelecieć ponad zasiekami.

Wejście do miasta od północy zablokowano tysiącami sprowadzonych w tym celu samochodów. Budynki zamurowano albo zagrodzono betonowymi płytami, żeby Posleeni nie mogli szukać w nich

schronienia.

Drogi wylotowe z Schockoe Bortom zablokowano w ten sam sposób, a dodatkowo saperzy i bojowe wozy piechoty z czterdziestej ósmej dywizji piechoty przewróciły na Broad Street i Franklin Street wielokondygnacyjny budynek rządowy James Monroe. Wyburzenia nie udało się przeprowadzić zbyt precyzyjnie, więc gmach częściowo przysypał także sąsiedni budynek Głównego Laboratorium Śledczego.

Mimo uszkodzeń, w Laboratorium, gmachu Corporation Comission, budynku Ferguson i w przybudówce Departamentu Transportu roilo się od żołnierzy czterdziestej ósmej dywizji piechoty. Jednostka ta, mając stąd wspaniałą widok na Schockoe Bortom i miejsce bombardowania, miała za zadanie otworzyć ogień do Posleenów, kiedy tylko pojawią się w zasięgu wzroku, podczas gdy ich bojowe wozy piechoty miały strzec barykad. Wśród żołnierzy przebywających w Laboratorium krążył dowcip, że skoro na dole jest kostnica, nie trzeba ich będzie daleko nosić.

Wokół strefy Schockoe Bortom pospiesznie tworzone pozycje bojowe. Z fragmentów James Center, Banku First Union, Riverside Plaża, a nawet budynku Rezerw Federalnych budowano wokół centrum miasta mur. Ukryta za nim siedemdziesiąta trzecia dywizja piechoty miała zatrzymać Posleenów, pozwalając im zniszczyć do końca żołnierzom ulokowanym na wale przeciwpowodziowym.

Przy Rivenfort Plaza wał łączył się z nasypem. Spodziewano się, że miejsce to stanie się celem zmasowanych ataków, więc wzniesiono tam z pomocą czołgów siedemdziesiątej piątej dywizji pancernej potężną barykadę.

Główna rezerwa obrony, siedemdziesiąta piąta dywizja pancerna, zajęła pozycje w budynku Thyl Corporation, który wznosił się wysoko ponad wyspą i umożliwiał prowadzenie bezpośredniego ostrzału amunicją odłamkowo-burzącą. Jedyne zachowanego mostu dla pieszych, który łączył wyspę z brzegiem James, bronił batalion dwudziestej drugiej dywizji kawalerii. Chodziło o to, aby zwabić Posleenów na wyspę; w momencie przekraczania rzeki byliby wystawieni na ogień jak kaczki.

Oprócz osobistej broni, wozów bojowych i karabinów automatycznych, każdy zespół bojowy otrzymał karabin typu Protean. Zatwierdzono go zaledwie rok wcześniej; było to ukochane dziecko Hestera L. Jacobsa, znienawidzonego przez większość oficerów zaopatrzenia z Sił Lądowych.

Wojska lądowe zamierzały wprowadzić te karabiny do użycia razem z automatycznymi systemami bojowymi piechoty, ale na zamiarach się skończyło. W stylu, w jakim rozwijano każdą zaopiniowaną przez komitet broń lekką, pion zamówień ostatecznie sformułował założenia konstrukcyjne nowej autonomicznej broni maszynowej, przechodząc z oryginalnego pomysłu lekkiej, prostej broni automatycznej osadzonej na trójnogu do czegoś, co było właściwie małym czołgiem.

Jacobs, były sierżant piechoty morskiej, przypuścił więc atak na oficerów i podoficerów polowych piechoty i udało mu się nawet – wbrew przepisom – zademonstrować im swoją nową broń i uzyskać ich sugestie i komentarze na piśmie.

W krótkim czasie, uwzględniając te uwagi, Jacobs udoskonalił swój polowy system bojowy i zaczął nachodzić kongresmanów i senatorów, argumentując, że po pierwsze, jego system już działa, a po drugie, koszty jego funkcjonowania są znacznie niższe, niż systemu dopiero tworzonego przez główne korporacje.

Jego argumenty zaczęły w końcu trafiać tam, gdzie trzeba, i – w rzadkim przebłytku rozsądku – Kongres odrzucił biurokratyczne postępowanie wojskowej sekcji zaopatrzenia, nakazując przyjąć System Karabinów Bojowych Jacobsa.

Karabiny były ciężkie i niewygodne do niesienia, ale trzeba przyznać, że broń ta mogła

przechylić szalę zwycięstwa na stronę ludzi.

Składała się z karabinu maszynowego M-60F – najnowszej wersji wysłużonej broni automatycznej, która towarzyszyła żołnierzom jeszcze w Wietnamie – i łatwego do montażu automatycznego systemu strzeleckiego. Na system strzelecki składał się zmechanizowany trójnóg i system naprowadzania oparty na skanowaniu terenu, czyli laserowych zdjęciach strefy ostrzału. Kiedy jakiś obiekt przecinał omiatające teren wiązki podczerwonego lasera, karabin otwierał ogień. Broń taką można było wyprodukować trzykrotnie mniejszym kosztem i w pięciokrotnie krótszym czasie niż inne wersje broni. Już po niecałym roku można było zaopatrzyć w nią wszystkie wojska.

M-60F korzystał z najnowszej zdobyczy technologii w dziedzinie produkcji luf. Lufy te aktywnie odprowadzały ciepło, dlatego można było strzelać, dopóki tylko starczyło amunicji. Każdy zespół był wyposażony w „zasobnik bojowy”, czyli pudło wypełnione dwudziestoma pięcioma tysiącami pocisków kaliber 7,62 mm. Skrzynie były strasznie ciężkie – sto pocisków do M-60F waży trzy i pół kilo – ale za to zapewniały każdemu zespołowi trzykrotnie większą siłę rażenia. Ponadto można było je ze sobą łączyć i po opróżnieniu jednej ładować broń z drugiej. Krążył nawet dowcip, że jeśli zużyło się tylko dwie skrzynie, czyli pięćdziesiąt tysięcy sztuk amunicji, był to zły dzień i należało wziąć sobie za to jeden dzień wolnego.

W planie obrony Richmond duże znaczenie miały umocnienia obronne na wzgórzach Mosby i Libby.

Ich zbocza od strony James i Schockoe Bortom były bardzo strome, o wiele za strome dla Posleenów, za to północne i zachodnie stoki były znacznie łagodniejsze. Biegły tamtędy drogi prowadzące do domów na wzgórzach.

W wyniku przeprowadzonych prac zbocza stały się tak strome, że niemal pionowe. Wiele opuszczonych budynków zburzono i z pozyskanego gruzu zbudowano umocnienia i pozycje bojowe dla osłaniającej wojsko kawalerii. Kawaleria tymczasem instalowała przed swoimi pozycjami miny przeciwpiechotne i budowała zasieki z drutu kolczastego oraz rozpiętych na wysokości kolan płatańców. Wozy bojowe kawalerii stały daleko w tyle, w każdej chwili gotowe do wyjazdu.

Na zewnętrznych krańcach linii obrony czekała brygada kawalerii. Następny pierścień tworzyły dywizje piechoty i ciężkiej artylerii. Na wzgórzach ustawiono ponad sto dział kaliber 155 mm. Artyleria miała za zadanie między innymi osłaniać odkryte drogi, takie jak Broad Street, które biegły przez centrum Richmond, Schockoe Bortom i dalej w okolice Monrrose Heights.

Gdyby w jakimś momencie – a taka chwila po prostu musiała kiedyś nadejść – Posleeni ruszyli szarżą w górę ulicy, dostaliby się pod ogień baterii A i B ze sto dziewięćdziesiątego trzeciego pułku artylerii, okopanych i strzelających z minimalnej odległości pociskami rozpryskowymi. Gdyby mimo to udało im się jakoś przedrzeć, droga została zaminowana tak, aby po wysadzeniu ładunków powstał krater uniemożliwiający podejście.

Na wewnętrznym pierścieniu rozlokowano ponad połowę dywizyjnych moździerzów, przygotowanych do prowadzenia ostrzału z gąsienicowych transporterów. Ponieważ były one dla Posleenów zupełnie niewidoczne z każdego kąta, z jakiego centaury mogłyby prowadzić ogień, uznano, że można je zgrupować w ciasnych formacjach i przygotować do odskoczenia, gdyby pojawiła się taka konieczność. Uzupełniono je artylerią, jako że moździerze nie były zdolne do prowadzenia ognia na wprost. Za to ich pociski zawierały o wiele więcej materiału wybuchowego, niż amunicja zwykłej artylerii lufowej. Ponieważ granaty moździerzowe wystrzeliwuje się z gładkich luf, nie muszą być odporne na potężną siłę odśrodkową, działającą na szybko obracający się dla stabilizacji pocisk z działa.

Dlatego studwudziestomilimetrowy granat moździerzowy ma taką samą moc wybuchu, jak

stupięcdziesięciopięćmilimetrowy pocisk artyleryjski.

Moździerze, jak na swój rachityczny wygląd, potrafią całkiem efektownie się pokazać, a na wzgórzach ustawiono ich ponad setkę.

Ponadto transportery, na których je rozstawiono, w odróżnieniu od osłoniętych zwykłą blachą dział samobieźnych były opancerzone tak, aby wytrzymać bezpośredni kontakt z nieprzyjacielem. Obsługa moździerzy była wyszkolona i dobrze uzbrojona; salwa zmechanizowanego plutonu moździerzy miała dwukrotnie większą wagę niż w zwykłym plutonie liniowym, a do tego posiadał on tak samo autonomiczne systemy strzeleckie. Gdyby Posleeni przedarli się przez zewnętrzne linie obrony, pozycje kawalerzystów i prowadzony na wprost ogień samobieźnej artylerii, musieli jeszcze poradzić sobie z plutonem moździerzy, zanim zdołaliby położyć łapy na punkcie dowodzenia i składzie kwatermistrzowskim.

Wzgórza Libby i Mosby oraz Montrose Heights były najeżonymi artylerią fortcami, niecierpliwie oczekującymi przybycia centaurów. Jednostki przeciwnika w otwartym terenie to dla artylerii samo mięsko.

Podczas gdy na północy i wschodzie wzniesiono ciężkie umocnienia, zachodnia część miasta była praktycznie pozbawiona obrony; strzegły jej tylko rozproszone jednostki kawalerii. Plan obrony opierał się na założeniu, że Posleeni skierują się na wschód, do Schockoe Bottom. Wzdłuż dróg międzystanowych 95 i 1 rozstawiono zapory, które miały ich zniechęcić do marszu na zachód. Kiedy Posleeni podeszliby bliżej, wszystkie drogi na zachód miały zostać zniszczone potężnymi ładunkami wybuchowymi, które właśnie instalowano. Generał Keeton był wprawdzie przygotowany na pchnięcie do obrony tego kierunku siedemdziesiątej piątej pancerniej, ale tylko w sytuacji, gdyby pojawiły się w tym miejscu niewielkie siły wroga. W przeciwnym razie – gdyby Posleeni masowo skręcili na zachód – najlepszym planem obrony możnaby było się podetrzeć.

Alternatywny plan zakładał użycie całego wzgórza Libby do stworzenia nawałły ogniowej wzdłuż osi ataku Posleenów. Taka nawąła zabiłaby wielu Posleenów, ale nawet nie w przybliżeniu tylu, ilu padłoby, gdyby udało się ich zwabić w krzyżowy ogień. Przedyskutowano wiele, czasami zupełnie szalonych, planów zwabienia centaurów w najwłaściwszym kierunku. Na wypadek – nieuniknionego przecież – obejścia skrzydła korpusu opracowano dokładne i proste trasy odwrotu na południową stronę James, co ułatwiała silnie rozwinięta sieć dróg i duża liczba mostów. Każda jednostka miała własną trasę odwrotu, którą oznakowano odrębnym kolorem; żandarmeria drogowa pracowała przez całą noc, ustawiając odpowiednie oznakowania.

Kiedy główne punkty obrony były już przygotowane, załogi budowlane pospieszyły na południową stronę James. Całe południowe Richmond pokryły kratery i rowy; wielu ludzi opuściło enklawy dla uchodźców i włączyło się do prac.

Za południowym wałem przeciwpowodziowym ustawiono rusztowania i rampy dla żołnierzy piechoty, a nawet czołgów. W całym mieście pojawiły się okopy dla moździerzy i większe pozycje dla artylerii. W wielu miejscach burzono budynki, żeby oczyścić pola ostrzału i pozyskać materiał na umocnienia obronne.

Powstały trzy wielkie kręgi obrony, a każdy z nich wybijał się na tle zabudowy miasta. Keene wiedział, że miasto właśnie zapisywało nowe karty w swojej historii, ale także zmieniało swój charakter.

– Nie mogę uwierzyć, że idzie nam tak łatwo – powiedział dowódca korpusu.

Pułkownik Abrahamson podrapał się w głowę, zanim znowu włożył hełm.

– Po prostu wszystkie prace wykonują albo żołnierze, którzy odbyli w tym kierunku przeszkolenie, albo cywile, którzy mają duże doświadczenie i silną motywację. Sądzę, że nie

powinniśmy tu mieć większych problemów z odparciem ataku. Współczuję tylko chłopakom z dziesiątego korpusu.

– Tak, chciałbym mieć trochę więcej czasu na przygotowania, ale zawsze jest o jeden dzień za mało. Przygotowujemy się przecież do starcia rodem z pierwszej wojny światowej. Właściwie nawet sporo łatwiejszego, bo nie musimy się martwić o artylerię przeciwnika. Ale dywizje generała Simosina będą musiały sprostać wojnie błyskawicznej, a nie miały czasu się przygotować.

– Prezydent nie powinien był wydawać im rozkazu zajęcia aż tak wysuniętej pozycji, generale – stwierdził dowódca kawalerii ponurym głosem.

Dowódca korpusu skinął głową. Była to pierwsza jawna krytyka decyzji prezydenta.

– Możliwe. Chociaż rozkaz obrony pozycji przed Alexandrią miał poniekąd sens, to prezydent nie powinien był umieszczać wojsk tuż pod samym nosem Posleenów. – Westchnął. – Niech Bóg ma w opiece ich biedne dusze.

**Niedaleko Dale City, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 12:58 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

Zaczął się od terkotu autonomicznych systemów strzeleckich.

Posterunek obserwacyjny znajdował się w przepisowej odległości stu metrów od kompanii i w polu widzenia drugiego plutonu, ale – z powodu zmęczenia po całej nocy wielokrotnych zmian pozycji i okopywania się nie raz, ale cztery razy, kiedy to dywizja realizowała coraz to nowe rozkazy dyslokacji, a batalion obejmował coraz to różne strefy kontroli i przerzucał kompanię tam i z powrotem – dwuosobowy zespół zasnął. Żołnierzy obudził terkot ustawionego obok ich niewielkiego okopu autonomicznego karabinu i świst pocisków karabinów magnetycznych, które odpowiadały na ostrzał.

Na swoim stanowisku kapitan Brantley rzucił na wół zjedzonego hot-doga z chili, cebulą i przyprawami. Ku jego zaskoczeniu starszemu sierżantowi udało się wrócić z wystarczającą ilością jedzenia i sprzętem kuchennym, żeby nakarmić całą kompanię hot-dogami, hamburgerami i paskudną gotowaną fasolą z puszki. Po prawie dwóch dniach jedzenia wojskowych racji żywnościowych żołnierze zjedli wszystko tak szybko, że drużyna sierżanta musiała przygotować w dziesięciogalonowych kotłach dokładkę, a potem jeszcze jedną.

Dowódca był w szkole średniej bardzo dobry z historii. Wszystko wokół przypominało mu losy konfederackich i unijnych armii w latach wojny domowej. Podobne sceny wielokrotnie miały miejsce w lasach i na polach otaczających pozycje kompanii. Żołnierze wyrzucający saperkami ziemię z okopów, raz po raz wydobywali na światło dzienne kule typu Minnie z czasów wojny domowej, a wszędzie wokół wydawały się unosić duchy w szarych i niebieskich mundurach, dopingując do walki. Słyszał, jak grzechoczą wyciorami w lufach swoich widmowych karabinów i szepczą do ucha o strasznych scenach, które miały rozegrać się już niebawem.

Owinął się tymi szeptami jak pancerzem.

Spojrzał na cienką linię swoich żołnierzy – tę garstkę, jaką mógł objąć wzrokiem w sosnowym zagajniku – i poczuł, że ogarnia go rozpacz. Sytuacja wymagała obrony urzutowanej w głąb, bunkrów i zasieków, pasa ziemi niczyjej z oznaczonymi polami ostrzału. A oni dysponowali tylko nieliczną piechotą, głęboko okopaną, od czoła ubezpieczoną niewielką liczbą min i claymore'ów, wbrew zdrowemu rozsądkowi żywiąc nadzieję, że zdołają zatrzymać stukrotnie przewyższające ich liczbą siły.

Jedynym pocieszeniem było wsparcie artylerii. Kiedy zaczęli prowadzić wojnę z Posleenami, wojsko radykalnie zmieniło swój stosunek do problemu wyposażenia artylerii. Chociaż większa część armii nadal składała się z piechoty zmechanizowanej, zniknięcie problemu kontrostrzału artyleryjskiego prowadzonego przez wroga spowodowało, że artyleria mogła zrezygnować z opancerzenia. Tak narodził się M-222 Reaver.

Reaver był zmodyfikowaną wersją południowoafrykańskiego pojazdu lekkiej artylerii samobieżnej, sześciokołowym wozem terenowym z zamontowaną na pace haubicą kaliber 155 mm. Potrafił rozwinać taką samą prędkość jak pojazdy wojsk zmechanizowanych i dysponował wystarczającą ilością amunicji do ich skutecznego wsparcia.

Trzy pełne baterie tych olbrzymów znajdowały się teraz w miejscach wsparcia dywizji, a ich siła rażenia przekraczała siłę artylerii trzech dywizji z końca dwudziestego stulecia. Posleenom może i udałoby się zająć ich pozycje, ale ponieśli by przy tym ogromne straty.

Kapitan upewnił się, że zweryfikowano go pozytywnie w automatycznej centralnej sieci kontroli ognia, po czym spokojnie podniósł do ust mikrofon i po raz pierwszy w życiu wypowiedział słowa wzywające prawdziwe wsparcie ogniowe.

– Centrala, Centrala, tu Echo-Trzy-Pięć, wsparcie ogniowe, odbiór.

Urwał i zaczął czekać chwilę na odpowiedź. Oparty na sztucznej inteligencji System Zdalnej Kontroli i Dowodzenia Naprowadzaniem Ognia Artylerii, czyli w skrócie Centrala, zazwyczaj odpowiadał natychmiast. Tym razem jednak najwyraźniej jeszcze nie rozpoznał wezwania albo był przeciążony.

– Centrala, Centrala, tu Echo-Trzy-Pięć. Wsparcie ogniowe, odbiór.

– Echo-Trzy-Pięć, tu Centrala, wezwanie wsparcia.

Nareszcie.

– Centrala, Centrala, koncentracja ognia Echo-Dwa, powtarzam, Echo-Dwa.

Znowu cisza. Kapitan odczekał dłuższą chwilę, po czym ponownie wezwał Centralę.

– Centrala, Centrala, tu Echo-Trzy-Pięć. Podaj status wsparcia ogniowego, odbiór.

– Echo-Trzy-Pięć, wsparcie ogniowe nie wezwane, odbiór.

– Co?! – wrzasnął i spojrzał na ukryte w wykopanej norze radio.

Jego oficer łączności poderwał się zakłopotany.

– Co się stało, sir?

Kapitan zdawał sobie sprawę, że musi zachować spokój. Nawet jeśli jedyny as, który jeszcze mu pozostał, zaczynał wyglądać na dwójkę.

– Mam trochę kłopotów z siecią komunikacyjną artylerii, ale zajmę się tym – skłamał.

Korzystał już kilka razy z Centrali podczas manewrów bez udziału żołnierzy i ćwiczeń z mapą i nigdy nie było najmniejszych kłopotów. System został z inicjatywy byłego Głównego Dowódcy Sił Lądowych zaprojektowany przez Zespół do Badań nad Zaawansowaną Technologią, i miał być przeciwwagą dla grupy GalTechu.

Koncepcja była prosta: połączenia nawiązane celem wezwania ognia artylerii realizowały zamiast ludzi komputery. Oprogramowanie rozpoznawania mowy odbierało wezwania wsparcia ogniowego wydawane przez upoważnione osoby, rejestrowało je i przekazywało do centralnego komputera. Komputer zaś ustalał priorytety, wykonywał obliczenia i rozsyłał komendy otwarcia ognia oraz informował jednostki wzywające ogień o statusie wezwania.

Komputer w połączeniu z IVIS i taktycznym GPS dokonywał selekcji i anulował polecenia otwarcia ognia do własnych żołnierzy, jednocześnie bardzo skutecznie rozdzielając rozkazy otwarcia ognia. Aby zamknąć usta opozycji niepewnej nowej technologii, przewidziano możliwość przejęcia kontroli nad systemem i wydawania niektórych poleceń wyłącznie przez ludzi. Właśnie teraz nadeszła taka chwila.

– Centrala, Centrala, tu Echo-Trzy-Pięć. Ostateczne wsparcie obronne, powtarzam, ostateczne wsparcie obronne. Przejmijcie kontrolę, priorytet jeden, odbiór.

Cisza.

– Co z artylerią, sir? – spytał oficer łączności, kiedy ktoś z drugiego plutonu wrzaskiem wezwał sanitariusza.

Jeden z sanitariuszy w pobliskim okopie wyczołgał się w kierunku linii obrony, gdy grupa centaurów przedarła się przez przedpole i pojawiła na widoku. Posleński ostrzał omiół umocnienia, przydusił ogień kompanii i zamienił nieszczęsnego sanitariusza w krwawą miazgę. Kapitan Brantley znowu schował się w swojej norze. Nagle radio znów zatrzeszczało.

– Echo-Trzy-Pięć, weryfikacja Whisky-Tango.

Przecież już to zrobiłem! Kapitan zajrzał do plecaka i wyciągnął ANCD.

- Viktor! Odbiór!
- Powtórz, składnia nie została rozpoznana, odbiór.
- Centrala, tu Echo-Trzy-Pięć, weryfikacja Viktor, odbiór.
- Echo-Trzy-Pięć, powtórz pełny sygnał wywoławczy, odbiór.
- Julia-Mike-Echo-Trzy-Pięć – powiedział bardzo powoli i wyraźnie.
- Julia-Mike-Echo-Trzy-Pięć, witamy w sieci, podaj polecenie, odbiór.
- Centrala, tu Echo-Trzy-Pięć, wsparcie ogniowe, odbiór.
- Echo-Trzy-Pięć, wezwanie wsparcia, odbiór.
- Centrala, tu Echo-Trzy-Pięć, wsparcie ogniowe, celuj Echo...

Wystawił głowę z nory i zerknął w stronę linii frontu. Szeregi Posleenów gęstniały, a siła ich ognia tłamsiła kompanię; tylko autonomiczne karabiny maszynowe jakoś sobie radziły. Na oczach kapitana działo plazmowe Wszechwładcy rozwaliło jeden z nich, zmniejszając siłę ognia kompanii. Wróg szybko wytyczył sobie drogą przez pole minowe, puszczając przez nie po prostu grupkę wojowników. Dowódca zobaczył, że dwóch z nich wyleciało w powietrze, ale za ich plecami kłębiły tysiące innych.

– Wsparcie ogniowe, cel Echo-Jeden. Ostateczne wsparcie obronne, priorytet jeden. Powtarzam: ostateczne wsparcie obronne, Echo-Jeden, priorytet jeden, odbiór.

Przez chwilę było cicho i kapitan przestraszył się, że będzie musiał zacząć wszystko od początku, a na to już nie było czasu.

– Echo-Trzy-Pięć, tu Centrala. Ostateczne wsparcie obronne w drodze. Trafienie za dwadzieścia pięć sekund. Sto pocisków.

Kapitan Brantley przełączył się na lokalną sieć plutonu.

– Wszystkie jednostki Echo, wszystkie jednostki Echo, ostateczne wsparcie obronne, Jeden-Pięć-Pięć w drodze. Dwadzieścia sekund! Nadchodzi! – Zatkał uszy rękami, przykucnął i uśmiechnął się do oficera łączności. – Oto i artyleria! Lepiej późno niż wcale!

– Tak, sir! – Oficer szybko włożył zatyczki do uszu i skulił się blisko ziemi. Dobry żołnierz, pomyślał kapitan i uśmiechnął się.

Uśmiechał się jeszcze, kiedy pierwszy pocisk kalibru 155 mm trafił w jego okop.

\* \* \*

– Julia Jeden-Pięć, Julia Jeden-Pięć, tu Whisky Jeden-Pięć, odbiór!

Keren odwrócił się od komputera kontroli ognia i chwycił mikrofon. Od prawie dwóch minut słyhać było dudnienie ciężkich pocisków artylerii, co oznaczało, że kapitan wezwał ostateczne wsparcie obronne, ale on nie mógł znaleźć w sieci polecenia otwarcia ognia dla moździerzy. Wywoływał go teraz trzeci pluton, a w sieci nadal nic nie było. Przynajmniej porucznik wysłał plutonowego Herda, żeby sprawdził rezerwową pozycję ogniową plutonu.

– Whisky Jeden-Pięć, tu Julia Jeden-Pięć Tatuś, słucham.

– Julia, jesteśmy pod ostrzałem tej cholernej artylerii! Straciliśmy pieprzone stanowisko dowodzenia i drugi pluton. Ostrzał już zatrzymał koniki, a teraz wykańcza nas! Zatrzymajcie tę artylerię!

Nie mamy z nikim łączności!

O, Boże. Keren przywołał ręką plutonowego i porucznika, którzy rozmawiali cicho obok trzeciego transportera.

– Whisky, potwierdź meldunek ostrzału własnych pozycji!

– Potwierdzam, do jasnej cholery! Niebieski ogień! Niebieski ogień!



Keren okręcił się w fotelu i połączył się z Centralną Siecią Kierowania Ogniem.

– Centrala, centrala, niebieski ogień! Powtarzam, niebieski ogień!

Sprawdź cel! Sprawdź cel!

Na ten krzyk wszyscy w okolicy odwrócili głowy w jego kierunku, a obu dowódców rzuciło się do niego biegiem.

– Tu Centrala do stacji wywoławczej, podaj sygnał wywoławczy i weryfikację.

– Centrala, tu Julia Jeden-Pięć, sprawdź cel dla Echo-Trzy-Pięć, powtarzam, sprawdź cel, sprawdź cel, niebieski ogień, sprawdź cel!

Czekał na odpowiedź, a tymczasem w oddali wciąż grzmiała artyleria. Polecenie sprawdzenia celu w przypadku ostrzału własnych pozycji powinno zostać wykonane natychmiast, a dopiero potem zweryfikowane.

– Julia Jeden-Pięć, zweryfikuj Alfa Sierra.

Kurwa mać. Coś się najwyraźniej schrzaniło w Centrali, gdyż nie powinien był nawet podawać sygnału wywoławczego. Wpisał coś do ANCD. Ponieważ urządzenie służyło do kierowania ogniem, zawierało „numery telefoniczne” całej dywizji. Dowódca plutonu sięgnął po swój ANCD, ale na widok miny kaprała odruchowo cofnął się o krok.

Wiedział już, dlaczego Keren został zdegradowany, i obawiał się, że jeśli będzie próbował wziąć ANCD, kaprał po prostu zastrzeli go na miejscu bez zmruczenia oka.

– Charlie-Pięć-Tatuś-Pięć-Cztery – krzyknął Keren, używając sygnału wywoławczego i częstotliwości baterii artylerii przypisanej do udzielania wsparcia jego kompanii. Jeśli Centrala ma problemy, trzeba ją po prostu obejść.

– Tu Golf-Cztery-Julia-Jeden-Pięć, sprawdź cel! Sprawdź cel!

Niebieski ogień, powtarzam: niebieski ogień! Sprawdź cel! Sprawdź cel!

– Stacja wywoławcza, powtórz sygnał wywoławczy. Potwierdzam sprawdzenie celu! Powtórz sygnał wywoławczy!

Dzięki Bogu.

– Tu Golf-Cztery-Julia-Jeden-Pięć. Sprawdź cel!

– Potwierdzam. – Dudnienie artylerii ustało, kiedy jednostka znów wywołała stację. – Julia Jeden Pięć, weryfikacja Whisky Romeo.

– Przyjąłem, czekaj... weryfikacja Del-Ta.

– Julia, tu Tatuś, ostrzał był potwierdzony przez Centralę, odbiór.

– Przyjąłem. Nie mamy już pieprzonej kompanii, Tatuś. Nie wiem, co się stało z Centralą, ale właśnie wykończyliście kompanię Alfa pierwszego batalionu.

– Jezu! To był cholerny zweryfikowany rozkaz! – Przez chwilę było cicho. – Punkt celowania leży na przedpolu kompanii! Co się, kurwa, stało, odbiór?

– Jakie macie koordynaty kompanii?

– Julia, tu Whisky, odbiór! – pojawiło się połączenie z drugiego plutonu.

– Zaczekajcie, artylerzyści.

Keren odwrócił się do drugiej radiostacji, podczas gdy sierżant plutonu przejął mikrofon i kontynuował rozmowę z jednostką artylerii.

– Trzeci, mówcie.

– Wciąż potrzebujemy wsparcia ogniowego! Posłeni szykują się do kolejnego ataku!

– Przyjąłem. Czekać.

Keren chwycił nadajnik łączności międzypojazdowej i już miał wezwać ostateczne wsparcie obronne, ale spojrzał na komputer kontroli ognia. Kierując się instynktownym odruchem, którego nie

potrafił zdefiniować, rzucił się do swojego stanowiska i zaczął grzebać za siedzeniem.

– Co ty tam robisz? – spytał porucznik Leper.

Tymczasem Keren sprawdzał na ręcznym planszecie radiolokacyjnym lokalizację jednostek. Minęły już prawie dwa lata, odkąd po raz ostatni trzymał w ręku ten przestarzały sprzęt i z wielkim trudem przypominał sobie, jak go używać. Ale zważywszy na problemy z Centralą i fakt, że balistyczne komputery sekcji mózdzierzy były do niej podłączone, niech go piekło pochłonie, jeśli zaufa teraz jakimkolwiek innemu sprzętowi.

– Coś sprawdzam, sir.

– Byle szybko.

– Mózdzierze, tu trzeci pluton! Potrzebujemy cholernego wsparcia artyleryjskiego, odbiór!

Keren chwycił mikrofon, nie odrywając wzroku od swoich obliczeń.

– Mamy strzelać do Posleenów czy prosto w wasze łby?

– Keren! – upomniał go porucznik.

– Przepraszam, sir.

Wyciągnął kalkulator i dokonał ostatnich obliczeń.

– Szlag!

– Co się stało? – spytał dowódca plutonu.

– Koordynaty ostatecznego wsparcia obronnego są popieprzone, sir – powiedział Keren i znowu wściekle zaczął wpisywać jakieś liczby. – Wyliczone komputerowo ostateczne wsparcie obronne trafiłoby prosto w stanowisko dowodzenia kompanii. W komputerze jest błąd.

## **Pentagon, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 13:42 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

Major George Nix sądził, że znalazł się właśnie u szczytu kariery. Jako administratorowi systemów taktycznych Dowództwa Armii Kontynentalnej powierzono mu kontrolę nad wszystkimi informacjami, które docierały do dowódcy Armii Kontynentalnej i opuszczały jego biuro. Stanowisko to było odpowiednikiem pozycji pułkownika dowodzącego brygadą albo kapitana marynarki wojennej dowodzącego okrętem. Jego pasją było codzienne – tak zwane ręczne – kierowanie systemami, zbieranie i ponowne rozdzielanie wiadomości. W końcu dokładne informacje wywiadu w znacznej mierze decydują o losach bitew, podobnie jak dobre rozkazy. Cała reszta, czyli właściwa walka, jest, według niego, tylko drugoplanową sprawą.

Kiedy pojawiły się pierwsze raporty o błędnych rozkazach, major – podobnie jak wszyscy – wziął to za skutek chwilowego zamieszania, „zamętu wojny”. Ale w miarę, jak napływały kolejne doniesienia, zaczął zdawać sobie sprawę z alarmujących nieprawidłowości w systemie przekazywania informacji.

Kropkę nad „i” postawiła kłótnia DowArKonu i dowódcy dziesiątego korpusu, którą podслуchał. DowArKon został nieoficjalnie poinformowany, że dziesiąty korpus wydał sprzeczne rozkazy i że część z nich wydał ustnie sam generał Simosin. Generał odparł zarzut z taką furią i takim przekonaniem, że major Nix nie wiedział już, komu ma wierzyć.

Zważywszy na tak sprzeczne zeznania, tylko dodatkowe, obiektywne informacje mogły wskazać winnego. Major Nix zabrał się do poszukiwań. Nie był cyberpunkiem, ale potrafił zrobić, co do niego należało.

Zaczął od logów zawierających zarchiwizowane rozkazy. Wszystkie elektroniczne polecenia wydawane przez Sieć Bitewną przechowywano w serwerze bezpieczeństwa pod górą Cheyenne. Major przywołał najpierw rejestr rozkazów dotyczących rozmieszczenia każdej jednostki dziesiątego korpusu. Potem sprawdził treść odpowiedzi jednostek. Okazało się, że aż dwadzieścia pięć procent jednostek udzieliło nieprawidłowych odpowiedzi. Procedura wymagała, żeby wyższe dowództwo reagowało na niewłaściwe odpowiedzi, ale zarejestrowano tylko trzy takie przypadki. Dodatkowo odpowiedzi sugerowały, że jednostki są rozsiane po całej północnej Wirginii. Gdyby kody szyfrujące były nieprawidłowe, jednostki te albo nie miałyby żadnej łączności, albo otrzymałyby na mapach odnośniki celu rozsiane po całym świecie. Zdezorientowany major sprawdził lokalne serwery jednostek.

Niewielu ludzi wiedziało, że łączność między lokalnymi dowództwami też jest przez jakiś czas przechowywana. Głównie były to e-maile przesyłane między departamentami albo uwagi sztabu do podkomendnych. Okazało się, że informacje te często nie miały nic wspólnego z manewrami ani nawet z wojskiem.

Oprócz lokalnych połączeń, rejestrowano także informacje pojawiające się na ekranach dowodzenia. Uważano je za dane o niewielkim znaczeniu, więc pozostawały do dyspozycji tylko przez krótki czas, a następnie je usuwano. Ku zaskoczeniu majora Nixa większość baz danych korpusu wymazano, i tylko trzydziesta trzecia i pięćdziesiąta dywizja wciąż miały kilka dostępnych plików, ale te dane z kolei nie zgadzały się z tym, co przechowywano w serwerze Cheyenne. A więc okazuje się, że operatorzy na poziomie batalionu mogli otrzymywać nie to, co było im wysyłane z dywizji.

Do sieci dziesiątego korpusu ktoś się włamał.

\* \* \*

Jack Horner popatrzył na elektroniczną mapę północnej Wirginii i zadrżał. Mapa była usłana czerwonymi znacznikami penetracji i ostrzału jego sił bojowych. Teraz już rozumiał, dlaczego tak doświadczony i zdolny oficer jak Arkady Simosin mógł dopuścić do takiej klęski.

Odwrócił się do pułkownika Tremonta.

– Zaczynj ewakuację.

– Ale... sir!

– Miną godziny, zanim to zrobimy, a jeśli major Nix ma rację...

– Mam...

– Nie wiem, jak się to wszystko potoczy. Nie wiem nawet, czy dziewiąty korpus rzeczywiście jest tam, gdzie wskazuje mapa, dopóki nie wyślę pana jak posłańca na cholernym koniu, żeby pan to sprawdził! Jeśli wróg rzeczywiście włamał się do naszych systemów, musimy przyjąć najgorszy scenariusz tej bitwy.

– Tak jest, sir.

– Więc zaczynjcie ewakuację Pentagonu. I to już!

– Tak jest, sir.

– A teraz, majorze, proszę mi wyjaśnić, jak głęboko spenetrowano nasze systemy i kto to zrobił?

– Nie wiem, sir, ale mam pewne przypuszczenia. Poleciałem drugiemu komputerowi batalionu czterysta pięćdziesiątej drugiej dywizji przesłać mi wszystkie pliki, łącznie z kompletną kopią oprogramowania. Przepuściłem to przez kilka programów do analizowania i nie wygląda to dobrze. Mam kilka fragmentów pliku, które są... podejrzane, ale to jest prawdziwy kwiatek – wskazał na tekst na ekranie laptopa.

– Co to jest, majorze? – zapytał generał.

Wyglądał jak szary tygrys, mający zamiar wyjaśnić jeleniowi, czemu powinien patrzeć za siebie, kiedy stoi u wodopoju.

– To jest fragment kodu kontrolnego, który każe systemowi IVIS za każdym razem, kiedy wysyła poprawkę pozycji, sięgać do zewnętrznego pliku. Nie wiem, co to za plik zewnętrzny, ale mam pewne przypuszczenia.

– Plik określa, czy system ma mówić prawdę, czy nie.

– Tak, sir. A skoro to jest w IVIS...

– To jest wszędzie.

– Właśnie, sir. Te incydenty z ostrzałem naszych własnych żołnierzy...

Generał odwrócił się gwałtownie.

– Operacyjny, wyślijcie rozkaz o najwyższym priorytecie do wszystkich jednostek polowych artylerii. Nie używajcie Centrali do kontroli ognia, stosujcie tylko łączność głosową!

– Ale, sir... – przerwał major.

– Czego? – warknął rozwścieczony generał.

– Ich komputery naprowadzania na cel też mogą być uszkodzone. A jednostki nie znają swojego dokładnego położenia bez IVIS.

To się już zdarzało.

– Monsunowy Grom. – Jack gniewnie potrząsnął głową. – Ale tym razem to do nas się włamano. Może renegackie cyberpunkki?

Kim jest ten gość, który dostał Medal, a potem zniknął?

– To nie on, sir – odezwał się major Nix. – Gdyby to był Król Artur, nie dowiedzielibyśmy się o tym tak szybko. Najpierw zniszczyłyby zasoby dowodzenia, a dopiero potem wprowadził zamieszanie do oddziałów. Nie, sir, wydaje mi się, że to ktoś inny. Właśnie z powodu tego fragmentu kodu.

Tym razem wyświetlił na ekranie tylko zera i jedynki.

– Kod binarny. I co z tego?

– To galaksjański kod w systemie binarnym, sir, translator dla algorytmu kwantowego.

– Galaksjański? Czyżby to Posleeni się włamali? Oni chyba używają podobnych kodów?

– Nie wygląda na to, sir. Nie jestem ekspertem GalTechu, ale ta linia bardzo przypomina kod inteligentnych przekaźników. Myślę, że to jakiś renegat z GalTechu. Wydaje mi się, że ten zewnętrzny plik to jakiś program przekaźnika, który podawał jednostkom błędne dane, a potem przekazywał je dalej. Pliki w Cheyenne nie zgadzają się z tym, co otrzymywały bataliony, a odpowiedzi batalionów były ignorowane. Przypuszczam, że program zmieniał rozkazy i odpowiedzi, a kod IVIS miał za zadanie jak najdłużej utrzymywać to zamieszanie. Dodatkowo wszystko skomplikował prawdziwy „zamęt wojenny”. To diablo skomplikowane; nie wiem, czy nawet cyberpunkci zdołałyby to zrobić w tak dużej liczbie jednostek. Raczej wskazałbym na galaksjańskich renegatów. To jedyne rozwiązanie zagadki, jakie mi się nasuwa. Potrzebujemy darhelskich śledczych, albo może Tchpth.

– Darhelowie – powiedział w zamyśleniu generał. – To oni są programistami, Tchpth się na tym nie zna. Cholera, to znaczy, że wszystkie nasze automatyczne systemy mogą być uszkodzone. Nawet pancerze wspomagane mogą zawierać błędy. To załatwia naszego asa w rękawie.

– Nie wydaje mi się, żeby to był globalny problem, sir, ale nie umiem powiedzieć, jaki ma zasięg. Stanowczo zalecam przejście pełnej kontroli nad wezwaniem ostrzału i rozkazami wymarszu.

– Racja, proszę rozesłać ostrzeżenie o pojawieniu się problemu.

Dobra robota, pułkowniku.

– Majorze, sir.

– Już nie.

Oficer zamrugał oczami.

– Dziękuję, sir. Teraz muszę rozesłać ostrzeżenie.

– Proszę się tym zająć i przesłać do dziesiątego rozkaz, żeby wycofali się dowolną dostępną trasą.

\* \* \*

Brzęczyk sygnalizujący rozkazy przychodzące z bezużytecznego teraz komputera balistycznego wyrwał Kereną z rozmyślań. Szybko przeczytał zwięzły tekst.

– Rany, dzięki za informację – mruknął.

– Ostatnia salwa, Keren! – krzyknął sierżant plutonu i wrzucił swój osobisty sprzęt do opancerzonego transportowca.

– Moździerze, tu trzeci pluton! Bądźcie gotowi do odwrotu, bo niedługo wycofamy się za wasze pozycje!

– Przyjąłem, trzeci.

Keren po raz ostatni spojrzął na arkusz ładowania i odłożył planszet; zadanie było dość łatwe. Wstał, żeby było go widać z transportera i zawołał:

– Odchylenie Dwa-Osiem-Zero-Zero!

Ponieważ zawieszono wszystkie połączenia komunikacyjne, dowódcy wychylili głowy z pojazdów, żeby prawidłowo ustawić broń maszynową. Towarzystwo, którego oczekiwano,

zasługiwało na profesjonalne przyjęcie.

– Elewacja lufy tysiąc czterysta! Ładunek jeden! Pięć granatów, trawers, ogień wolny, a potem wiejemy jak cholera!

Każdy został poinformowany, z której trasy ma skorzystać, żeby dotrzeć do drugorzędnych pozycji. Wszyscy kierowcy, niczym kierowcy rajdowi przed startem, równocześnie zapalili wielkie, wysokoprężne silniki.

Keren widział przez gałęzie drzew smugi pocisków z bushmasterów kaliber 25 mm umieszczonych na bradleyach. Jasny rozbłysk poinformował go o zniszczeniu kolejnego wozu bojowego kompanii. Keren był zadowolony, że drzewa zasłaniają mu widok.

– W porządku, Keren – krzyknął dowódca plutonu i wdrapał się do środka, zamykając włącznik dokładnie w chwili, gdy zaczęły opadać pierwsze granaty.

Kiedy moździerze na transporterach zaczęły strzelać, kierowca wozu kierowania ogniem ruszył. Już za kilka chwil miały się skończyć pociski, a wszystkie trzy transportery zacząć „wiał jak cholera”. Lepiej byłoby jechać już wtedy przed siebie, niż wpakować się w korek na drodze.

– Nie przejmuj się. – Porucznik chwycił drążek sterowniczy i uśmiechnął się ponuro. – Nic nam nie będzie, dopóki mamy czym strzelać!

\* \* \*

Arkady Simosin spojrział na mapę Okręgu Prince William i westchnął w myślach. Nie poddawał się rozpaczom mimo tego, co wyraźnie widział na mapie. Jego oddziały, jego wspaniałe dywizje były rozrzucone po lasach. Ale nadal istnieli żołnierze, których warto było ratować.

– Powtórzyc rozkaz DowArKon, ten dotyczący odwrotu. – Spojrział na czerwoną strzałkę oznaczającą Posleenów, nacierających wzdłuż dróg międzystanowych numer 95 i 1. Posleeni wydawali się całkowicie odporni na zmęczenie. W ciągu godziny dotrą do mostów Occoquan.

– Wyślijcie wiadomość do trzydziestej trzeciej i czterdziestej pierwszej dywizji, żeby wycofały się na plażę. Sprawdźcie, czy możemy im wysłać jakieś wsparcie z wody. Pancerników nie włączono do sieci kierowania ogniem i jak na razie ich ogień okazywał się celny. Może uda im się osłonić odwrót. Zróbcie to natychmiast.

– Zajmę się tym – powiedział oficer planowania.

– Dobra, całą resztą skierować na Manassas. Zmieniamy pierwotny plan odwrotu. Przekażcie im, żeby wycofali się jak najszybciej, a dziewiętnasta pancerna niech zostanie w tyle i opóźni Posleenów. – Znowu spojrział na mapę. – Artyleria trzydziestej trzeciej, czterdziestej pierwszej i pięćdziesiątej dywizji powinna zdążyć przejść przez mosty. Na pewno się z tym pospieszą. Niech jadą polnymi drogami wzdłuż Occoquan. W razie czego będą mogli stamtąd strzelać. Jednostki mają się wycofywać, dopóki nie znajdą się w rezerwie dziewiątego korpusu, w rejonie... – spojrział na mapę i uśmiechnął się ponuro – Narodowego Parku Pola Bitwy Buli Run.

Tam się przegrupujemy.

Urwał i spojrział na swój sztab.

– Panowie, wszyscy wiemy, że odwrót pod ogniem jest najtrudniejszym ze wszystkich manewrów. Zasadniczo jest to ucieczka.

Musimy dotrzeć do Manassas przed naszymi oddziałami i zatrzymać ich za liniami dziewiątego korpusu. Użyjemy wciąż jeszcze zdolnych do walki jednostek, które wesprą dziewiąty korpus i zatrzymają Posleenów na tej osi. Nie dojdą dalej niż do Okręgu Prince William!

## Occoquan, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 13:44 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004

Porucznik Ryan starał się nie słuchać głosów otaczających go żołnierzy, ale ciągłe dudnienie samobieżnej artylerii na mostach drogi krajowej numer 95 jeszcze bardziej wzmogło krążące plotki o kłesce. Kilka transporterów opancerzonych zachrząściło na moście drogi stanowej numer 123, pędząc z maksymalną prędkością na północ. Wszystko wskazywało na to, że dziesiąty korpus dostał w dupę i wieje, aż się kurzy. Podczas gdy pluton szykował się na powitanie Posleenów, odgłosy artyleryjskiej kanonady stale się zbliżały.

Porucznik przeniósł stanowisko dowodzenia na wysokie urwisko na północnym brzegu Occoquan. Osłonięty gęstwiną młodych buków, o jaskrawożółtych w jesiennym chłodzie liściach, miał doskonały widok na miasto, łącznie z przeciwległym brzegiem rzeki i dwoma mostami. Zgodnie z ostatnim otrzymanym rozkazem miał wysadzić mosty, kiedy tylko Posleeni pojawią się w zasięgu wzroku, i pozostać na swojej pozycji, żeby osłaniać starą zaporę. Do chwili pojawienia się jednostki piechoty, która miała go zmienić, zadaniem jego plutonu było nie pozwolić Posleenom pokonać tego ważnego strategicznie obiektu.

Żołnierze plutonu saperów krzżeli się, przygotowując się do walki.

Wzdłuż krawędzi urwiska biegł wąski rów z wyciętymi w kształcie litery V pozycjami dla snajperów i umocnionymi stanowiskami karabinów maszynowych. Zbocze pokrywały zasieki i płatańce z drutu kolczastego, a biegnąca w poprzek południowego zbocza droga została zaminowana. Gdyby Posleenom udało się w jakiś sposób przejść pole minowe, droga miała być wysadzona, utrudniając im dojście do mostu.

Kiedy zza zbocza otworzyła ogień bateria artylerii, a wybuchy na południowym skraju miasta cisnęły wysoko w rozświetlone jesiennym słońcem powietrze fragmenty drewnianych domów, Ryan doszedł do wniosku, że dobrze byłoby sprawdzić, w jaki sposób najlepiej skontaktować się z artylerią. Szybkie przeszukanie ANCD przekonało go, że może z tym być pewien problem. Nie miał żadnego wykazu jednostek dziesiątego korpusu.

Ponieważ pluton został tu przerzucony prosto z ośrodka szkoleniowego, nie posiadał informacji o łańcuchu dowodzenia znajdujących się w pobliżu sił. ANCD zawierał częstotliwości wszystkich jednostek szkoleniowych w rejonie Belvoir, a nawet częstotliwości wyższego dowództwa, które w normalnych okolicznościach były dostępne tylko nielicznym dowódcom plutonów. Urządzenie niestety nie wiedziało nic o jednostkach artylerii. Porucznik mógł tylko odczytać tajemniczy napis: „Kontynentalna Sieć Ostrzału Pośredniego”.

Wzruszył ramionami, nastawił PRC-2000 na wskazaną częstotliwość i włączył mikrofon...

\* \* \*

Od chwili wprowadzenia zakazu użycia automatycznej kontroli ognia Centrum Kierowania Ogniem było nieczynne. Nawet kiedy przywrócono możliwość wzywania wsparcia z Centrum, tak niewiele oddziałów miało z nim bezpośredni kontakt, że zlecenia wsparcia wystawiane były na bardzo nieprecyzyjne koordynaty. Jeszcze gorszy był zupełny brak informacji zwrotnej. Obsługa dział na nic tak bardzo nie czeka jak na wiadomość, że właśnie zniszczyła wroga.

Kiedy więc żołnierz z obsługi usłyszała słaby szept w słuchawkach, natychmiast odpowiedziała.  
– Jednostka na tym kanale, jednostka na tym kanale, wasz sygnał jest słaby i zanika. Powtórzcie

sygnał wywoławczy.

– Oskar-Pię... jest... Romeo...

– Jednostka na tym kanale, sygnał zanika. Powtórz albo zwiększ moc.

– Cz... kajcie.

– Przyjęłam, tu Oskar Pięc Uniform Cztery Siedem, czekamy.

Po kilku minutach jednostka wywołująca odezwała się znowu, i tym razem sygnał był ciągły, choć nadal jeszcze słaby.

– Oskar Pięc Uniform Cztery Siedem, tu Mike Osiem Romeo Sześć Siedem, odbiór.

– Romeo Sześć Siedem, tu Uniform Cztery Siedem. Zweryfikuj Wiktor Hotel.

Cisza.

– Weryfikacja Bravo, odbiór.

– Romeo Sześć Siedem, witamy w sieci, odbiór.

– Przyjąłem, zgłaszam cel, odbiór.

– Zgłoszenie celu, koniec. – Zaczęła wpisywać rozkaz i nacisnęła pedał, żeby włączyć interkom.

– Wsparcie ogniowe!

– Cel, Posleeni w otwartym polu, koordynaty 654894. Sięgnięcie, odbiór?

– Romeo, w jakim kwadracie mapy jesteście, odbiór?

Porucznik spojrzął na siedzącego obok szeregowego i zdał sobie sprawę, że nie może się spodziewać po nim żadnej pomocy; obaj byli dopiero w trakcie szkolenia.

– Sierzancie Leo!

– Tak, sir?

– Mam tu jednostkę artylerii, która chce wiedzieć, w jakim kwadracie mapy jesteśmy! –

Dowódca plutonu spojrzął na wojskową mapę pokrytą niezrozumiałymi znakami. – Gdzie my, do diabła, jesteśmy?

– Po co im kwadrat mapy, sir?

– Mam tracić czas i pytać?

Podoficer przepchnął się przez żołnierzy i przebiegł wzrokiem po mapie.

– Tutaj, sir, na prawo u góry. Occoquan. To miało być na zajęciach w przyszłym tygodniu – zakończył z ironicznym uśmiechem.

Porucznik włączył mikrofon.

– Occoquan, odbiór.

Operator kierowania ogniem zmierzyła wzrokiem odległość na mapie.

– Przyjęłam, podaj swoją pozycję i stan, odbiór.

– Urwisko na północnym brzegu Occoquan, nad drogą 123, w okopach, koordynaty 654897.

– Przyjęłam, czekajcie.

– Poruczniku, mamy ruch na drodze 123!

Porucznik Ryan wystawił głowę z okopu i spojrzął na miasto.

Ulicą Main Street, „Starą 123”, parł rój żółtych centaurów z wyraźnie widocznym pośrodku Wszechwładcą.

– Sierzancie Leo!

– Tak, sir.

– Wysadzić most 123!

– A co z mostem dla pieszych?

– Zatrzymamy go jeszcze przez chwilę.

Grupa centaurów okrążyła wzgórze i ruszyła wzdłuż drogi 123.



Na widok mostu Posleeni puścili się galopem. Prawie w tym samym momencie mosty na drogach krajowych numer 1 i 95 wyleciały w powietrze.

– Most Purpurowego Serca – mruknął porucznik.

– Co to było, sir? – zapytał jeden z saperów.

– Chyba mamy w drodze trochę artylerii.

– Świetnie! To ta bateria za nami?

– Nie, nie mam ich częstotliwości. To ktoś inny, ale nie wiem, kto.

Kiedy prawie tona ładunków wybuchowych C-4 wyrzuciła w górę betonową konstrukcję mostu na drodze numer 123, a wraz z nią pierwszy szereg centaurów, radio zasygnalizowało nadejście transmisji.

– Powtórz, odbiór! – krzyknął młody oficer, któremu jeszcze dzwoniło w uszach. Mimo rozkazów nie nosił zatyczek.

– Tu Uniform Cztery Siedem, nadlatuje pocisk kontrolny. Niebezpiecznie blisko, powtarzam, niebezpiecznie blisko!

Porucznik wystawił głowę, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nadal był w odległości ponad trzystu metrów od centaurów, a przecież „niebezpiecznie blisko” dla pocisku kaliber 155 mm to odległość dwustu metrów. Co, u licha, się dzieje?

– Uniform, tu Romeo Sześć Siedem. Jesteśmy trzysta do czterystu metrów od miejsca upadku, odbiór.

– Potwierdzam, nadleć pięć sekund, niebezpiecznie blisko, powtarzam: niebezpiecznie blisko. Padnij i zatkaj uszy, żołnierzyku!

Trafienie za pięć sekund!

– Sir, co to jest?

Porucznik spojrział we wskazanym przez szeregowca kierunku.

Szybko zniżający lot punkcik rósł w oczach. Trudno było dokładnie określić jego rozmiar, ale był to największy pocisk, jaki młody oficer kiedykolwiek widział albo mógł sobie wyobrazić. Wyglądało to tak, jakby ktoś strzelał samochodami.

– Nadlatuje! Wszyscy padnij! – krzyknął porucznik i sam rzucił się na dno wąskiego rowu.

Odgłos uderzenia był porównywalny z grzotem wybuchu znajdującego się o wiele bliżej mostu. Oficer stanął chwiejnie na nogach, na wpół ogłuszony, i zaczął przyglądać się zniszczeniom. Pocisk upadł na przeciwległy brzeg rzeki, blisko miejsca, w które wcześniej trafiały kule milczącej teraz artylerii, a obszar zniszczeń był ogromny. Wszędzie wokół siał się dym i pył. Zważywszy na miejsce upadku pocisku, takie „blisko” było faktycznie „niebezpieczne”. – Jezu Chryste, sir – wrzasnął sierżant Leo – kogo, u diabła, pan wezwał?

– Romeo Sześć Siedem – zatrzeszczało radio. – Widzieliście upadek pocisku?

Wstrząśnięty porucznik chwycił mikrofon.

– Uniform Cztery Siedem, potwierdzam. Siedemdziesiąt pięć metrów dalej i rozpocząć ostrzał. I uważajcie z tymi siedemdziesięcioma pięcioma metrami. Co to za jednostka, odbiór? – Takie pytanie było pogwałceniem regulaminu komunikacji, ale porucznik czuł, że musi wiedzieć, kogo ściągnął na głowę swoich żołnierzy.

– Romeo Sześć Siedem, potwierdzam siedemdziesiąt pięć metrów dalej i rozpocząć ostrzał. Tu USS Missouri, do usług. Przygotuj się na salwę z dziewięciu takich dział, Romeo.

\* \* \*

Kenallai był wściekły na tresh, rozplenionych na tym po trzykroć przeklętym świecie.

– To threshkreen, mój edas’antai – mruknął Kenallurial, kiedy pobliskie działa ostrzeliwały niedobitków zwiadowców Sammadara, przeczesujących główną ulicę miasta.

Przekonał swojego edas’antaia, że najwłaściwszą metodą walki z tym nieprzyjacielem jest obserwowanie jego metod i dostosowanie do nich własnej taktyki. Oddziały Sammadara zostały praktycznie zmiecione podczas ataku na południowe szeregi nieprzyjaciela.

Ale kiedy działa wroga zniszczyły swoje własne pozycje, oolfos Kenallurialabyli we właściwym miejscu, żeby to wykorzystać.

Teraz Kenallurial szedł w stronę miasta i zbierał liczne łupy.

Posuwał się bardzo ostrożnie, strofując młodszego Kessentaia – czasem nawet kuksańcami – żeby się nie wychylał. Jego oolt zajęły teraz strategiczną krawędź urwiska, a on i jego edas’antai oglądali zniszczenie rywalizującego oolf ondar przez dom na wzniesieniu.

Domy były na tej po trzykroć przeklętej planecie niebezpiecznymi pułapkami i Posleeni powoli zaczęli rozpoznawać niebezpieczeństwo.

Wysyłano pojedynczego oolfos, żeby ostrożnie otwierał wrota, które wyglądały na główne wejście do budynku. Jeśli rozlegał się brzęczyk, a na czarnym pudełku zaczynało migać światełko, oolfos uciekał, jakby go goniły demony. Czasem mu się udawało, czasem nie, ale przynajmniej nie tracili już tylu oolfos, co przedtem.

Ten dom nie miał migających światełek. Stał na wznoszącym się nad miastem wzgórzu od strony rzeki. Szyld nad wejściem, napisany zwierzęcym językiem tej planety, mówił coś o „Rock Shelf, co pewnie opisywało rzeźbę terenu.

Odległy brzeg rzeki był stromy i przecinała go wąska, kręta droga. Na rzece widać było czteropasmowy most i małą kładkę dla pieszych tuż poniżej domostwa, które zajmowali.

– Powinniśmy wysłać wojska i zająć to! – warknął Ardan’aath, wskazując na most. – Czemu chowamy się w budynkach?

Ale Oolf ondar miał wątpliwości.

– Jeśli chcesz spróbować – rzekł spokojnie Kenallurial – ruszaj.

Ale Ardan’aath nie był głupcem. Ten po trzykroć nawiedzony przez demony pisklak miał coś w zanadrzu.

– Czemu ty nie spróbujesz?

– Wolę dożyć dnia, w którym skosztuję owoców mych podbojów – odparł młodszy Kessentai i z pogardą zmarszczył pysk.

Ardan’aath już miał powiedzieć, co myśli o tak tchórzliwej postawie, ale powstrzymała go uniesiona dłoń Kenallaia.

– Koniec kłótni – powiedział i wskazał na okno.

Zobaczyli, jak Sammadar posyła swoje główne siły w kierunku mostu i jak pierwsze dwa oolt zostają zmiecione przez wybuch.

– Łajno demonów przestworzy – warknął Ardan’aath i odwrócił się do młodszego Kessentaia. – Wiedziałeś o tym!

– Podejrzewałem.

– Dlaczego? – spytał Kenallai.

– Bo ja sam bym tak postąpił.

– A co uczyniłbyś później?

Kenallurial wyciągnął przechwyconą mapę. Ardan’aath odwrócił się od tego obcego śmiecia, ale Kenallai pochylił się nad nią z zaciekawieniem.

– Spójrz, jesteśmy tutaj. Ta rzeka ciągnie się aż dotąd – wskazał na miasto Manassas. – Dopiero

tutaj możemy skręcić ku skarbowi północy.

– A co z tym? – Kenallai pokazał coś na mapie. – Czy ten most nie jest bliżej?

Niedaleko możliwego miejsca obrony widniał drugi most.

– O jakim moście mówisz, mój edas'antai? – spytał młodszy centaur, nie odrywając wzroku od mapy.

– No tak.

Kiedy się nad tym dobrze zastanowić, stawało się jasne, że threshkreen zniszczą most, zanim oni będą mogli go zająć.

– Lecz zanim Po'oslenar zagrabią łupy na północy – ciągnął eson'antai – jest jeszcze to. – Niedaleko końca zbiornika Occoquan cienka niebieska linia odchodziła na południe i rozszerzała się, tworząc Lake Jackson. – Threshkreen mogą się tu zgrupować i spotkać z nami w straszliwej bitwie. Biada armii, która pierwsza ruszy im na spotkanie!

– Ale byłaby to przynajmniej bitwa – warknął Ardan'aath – a nie chowanie się po kątach. Moglibyśmy zepchnąć ich z frontu, tak jak zmiotliśmy ich ziomków po zniszczeniu miasta, i zagnać tych wszystkich thresh do naszych zagród!

– Postąpilibyśmy jak Sammadar! – warknął młodszy centaur i stanął przed starszym Kessentaiem w wyzywającej pozycji. – Bez jednego oolfos ku naszej chwale, poniżeni do rangi kasztelanów! Czyżbyś tego pragnął?

– Dość! – rzucił oolfondai i stanął między dwoma oficerami. – Każdy z was ma swoje racje i każdy kieruje działaniami swych oolt'os. I sam za nie odpowiada! Taka jest Droga i taka jest Ścieżka. Słucham Ardan'aathu, bo on często ma słuszość. Lecz gdy ruszamy do boju, czyż nie słucham twoich rad?

– Tak, mój panie. – Starszy doradca poczuł się zawstydzony tym upomnieniem.

– Więc teraz i ty go posłuchaj. Nie wynoś gniewu z tej narady, wynieś z niej mądrość.

– Będę czerpał z jego mądrości dopiero wtedy, kiedy ten pisklak ujrzy ogień orna'adar i podbije światy. Dopiero wtedy.

Odwrócił się i podszedł do okna. W tym momencie straszliwy wybuch na południowym zboczu cisnął do środka kawałki szyb, wplątując je w grzywę Wszechwładcy. Centaur gniewnie potrząsnął krokodylim łbem.

– Niechaj demony przestworzy pożą wasze dusze, wy przekłęci thresh!

– Mój edas'antai, nie mamy już wiele czasu – szepnął młodszy centaur.

– Masz na myśli ostrzał tej doliny? Jesteś tego pewien?

– Tak. Jeśli thresh będą się bronić tutaj – wskazał jakiś punkt na mapie, dziwiąc się przez chwilę istotom, które mogły coś takiego stworzyć – będą silni. Ale jeśli ruszymy tutaj – wskazał na południe od Lake Jackson – możemy zająć ich od tyłu. Muszą mieć jakieś słabe punkty.

– Nadłożymy kawał drogi, nie dotrzemy na miejsce przed nocą!

– Taka jest moja sugestia. Jeśli wolisz spróbować przejść przez ten most...

Oolfondai zadrżał. Miał wystarczająco dużo doświadczenia, żeby rozpoznać pułapkę.

– Raczej nie. Ardan'aathu!

– Oolfondaiu?

– Jesteś z nami?

– W długim marszu bez szans na bitwę?

– Ardan'aathu! Tak czy nie? Musimy ruszać!

– Przejechałem z tobą kawał drogi, Kenallai, więc pojedę dalej, mimo że nie podoba mi się twoja słabość do tego pisklaka.

– Więc ruszajmy!

\*\*\*

Brygada minęła obrzeża miasta Occoquan dokładnie w chwili, gdy na placu wylądowała pierwsza salwa szesnastocalowych pocisków.

– Ognia! – Pomimo pospiesznie włożonych zatyczek, Ryanowi potwornie dzwoniło w uszach. – Nie słyszę odpowiedzi! Chyba ogłuchłem! Ale jak dotąd wymiatamy ich setkami.

Sytuacja przeszła ich najśmielsze oczekiwania. Ponieważ wieść o wciąż stojącym w tym miejscu moście rozeszła się z prędkością błyskawicy, przez całe popołudnie Posleeni wdzierali się do doliny, aby jak najszybciej dotrzeć do skarbów północy. A kiedy nacierali, Missouri strzelał tam, gdzie kiedyś było miasto.

Occoquan już nie istniało; w całej dolinie nie zachował się ani jeden dom. Wszystkie budynki zostały zmiecione z powierzchni ziemi przez ostrzał artylerii. Cała Main Street była usłana gruzami, a w miejscu, gdzie kiedyś był Occoquan Botyard, ciągnął się teraz ogromny rów.

Ogień, pył i dym gęstniały z każdym wybuchem. Lekki północny wiatr sporadycznie rozpędzał kurzawę, ale mimo to niewiele było widać. Nie bacząc na straty, grupy Posleenów wciąż brnęły ku zaporze i kładce, nie wiedząc, że czeka ich tam jeszcze gorsza rzeź.

Pluton saperów rozłożył wcześniej na moście miny. Kiedy zaczynało ich już brakować, a na most napierały coraz to nowe szeregi Posleenów, rozpoczął się ostrzał z karabinów. Posleeni szli przez most jeden za drugim, więc byli łatwym celem dla karabinów M-16 i AIW. Wprawdzie trzy razy jakimś Wszechwładcy udało się umknąć ostrzałowi artylerii z pancernika, ale i tak obcy nie mogli przedrzeć się przez most.

Niewiele więcej szczęścia mieli przy starej zaporze. W przebłysku geniuszu jeden z szeregowców wyciągnął z nieczynnego już budynku przepompowni kanister smaru i rozmazał go po całej nawierzchni zapory. Saperzy nawet już nie strzelali do centaurów; zamiast tego zakładali się o wysokie sumy, któremu Posleenowi jak daleko uda się dotrzeć. Masywni obcy oczywiście bardzo szybko wpadali w spienioną wodę przelewającą się przez zaporę.

Porucznik Ryan czuł, że wykonał tego dnia kawał dobrej roboty, mimo że pluton stracił kilku niedoszkołonych saperów. Słońce chyliło się już ku zachodowi i zapanował dotkliwy chłód jesiennej nocy, kiedy szeregowiec obok krzyknął coś do porucznika.

Wołanie ledwie przebiło się przez dzwonienie w jego uszach, za to poczuł klepnięcie w ramię. Przed Ryanem stał kapitan w mundurze polowym ze skrzyżowanymi strzelbami na kołnierzu, a na jego pokrytej kamuflażem twarzy widniał uśmiech.

– Jesteśmy tu, żeby pana zastąpić – trochę usłyszał, trochę odczytał z ruchu jego warg.

Oszołomiony walką tylko skinął głową. Nieskończona ulga na widok wypoczętych, dobrze wyszkolonych i ciężko uzbrojonych żołnierzy piechoty, którzy wbiegali do okopu i zajmowali stanowiska bojowe, mieszała się ze smutkiem. Miał poczucie, że sam jest bezpieczny, ale pozostawia dokończenie walki komuś innemu, być może narażając go na śmierć.

Było to głupie uczucie, zważywszy na to, że kompania piechoty była lepiej przygotowana do tego rodzaju bitwy: była trzy razy liczniejsza i miała wypoczętych, dobrze uzbrojonych żołnierzy. Skoro jego pluton niedoświadczonych saperów zdołał utrzymać most przez cały dzień, to ta kompania nie powinna mieć z tym problemu nawet przez kilka dni. A w innych miejscach na pewno bardzo potrzebowano saperów. Ale to nadal bolało.

Jeszcze raz skinął głową kapitanowi, który stał teraz obok niego.

– Nic nie słyszę, sir, niech pan skinie głową!

Oficer skinął.

– USS Missouri! – krzyknął i pokazał na mikrofon. – Uniform Cztery Siedem. Uważajcie, jak blisko podlatują. – Terkot broni maszynowej w tle utonął w kolejnym huku trzech spadających pocisków. – Dzielicie ogień z dywizjami, które wycofują się przy Deep Hole Point i w Maryland, ale to powinno wam wystarczyć.

– Uniform Cztery Siedem, tu Romeo Sześć Siedem, odbiór.

– Romeo, tu Mo, odbiór.

– Mo, schodzimy z pozycji. Przekazuję dowództwo... – Przerwał i spojrzał na kapitana.

– Lima Dziewięć Dwa! – krzyknął kapitan.

– Lima Dziewięć Dwa, odbiór!

– Rozumiem, przyjmuję Lima Dziewięć Dwa do sieci, odbiór.

– Cóż, dziękuję Mo, tu Romeo Sześć Siedem, koniec.

– Powodzenia, Romeo, tu Julia, koniec – odpowiedziała nieznana kobieta po drugiej stronie linii.

Zmęczony porucznik ostrożnie wyczołgał się z okopu i podążył na tyły wzgórza, gdzie już zbierały się niedobitki jego plutonu.

**Richmond, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 13:20 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

Waszyngton miał szczęście. Odległość w linii prostej między nim a Fredericksburgiem była praktycznie taka sama, jak między Fredericksburgiem a Richmond. Ale konieczność obejścia zbiornika Occoquan oraz opór dziewiątego i dziesiątego korpusu zdecydowały o tym, że pierwszym miastem, które stało się celem ataku Posleenów, było Richmond.

A w Richmond właśnie kończono szykować się na ich przyjęcie.

\* \* \*

– Nie zauważą tego? – spytał kapral, wyznaczony na kierowcę Muellera.

– Może – odpowiedział Mueller i podłączył ostatni przewód do konsoli czujników.

Małe urządzenia obserwacyjne zmodyfikowano dla celów transmisji na dużą odległość. Niewielka kamera i transponder, umieszczone w lekko opancerzonym pudełku, spoglądały na północ, na szosę międzystanową numer 95.

– Jeśli nie zauważą, albo zauważą i nie zniszczą, będziemy mogli za ich pomocą kierować ogniem dalekiego zasięgu przez całą bitwę.

\* \* \*

– Sierżancie Ersin!

– Tak?

Ersin odwrócił się od żołnierzy rozkładających miny wzdłuż północno-zachodniej krawędzi miasta, których nadzorował. Zagadnął go jeden z młodszych techników. Dzieciak nie miał nawet licencji.

Był pionkiem w jednej z lokalnych firm inżynierskich, którą przysłano jako ostatnie wsparcie. Ale przynajmniej wiedział, że nie ma doświadczenia, i nie bał się zadawać pytań. Towarzyszył mu wysoki, krępy cywil. Coś w jego rumianej twarzy i eleganckim ubiorze wskazywało, że jest sprzedawcą.

– Ten gość próbuje mi coś wyjaśnić... – zaczął saper.

– Witam, sierżancie... Ersin, o ile się nie mylę? – Cywil odepchnął na bok technika i potrząsnął ręką sierżanta w serdecznym uścisku. – Tolert, Bob Tolert, reprezentuję Produkcję Zaawansowanych Materiałów w Richmond...

– Jeśli chodzi o Golden Girls...

– Nie, nie, to zupełnie inna firma. My mamy...

– Jesteśmy odrobinę zajęci...

– ...pewien sprzęt wojskowy, który moim zdaniem...

– ...i naprawdę nie mam czasu...

– ...doskonale nadawałby się na...

– Nie słyszy pan, co mówię? – warknął Ersin zaskakująco spokojnym głosem.

Blizny na jego szyi i twarzy stały się teraz szczególnie widoczne.

– Ależ, tak, słyszę, sir – zaśmiał się sprzedawca. – Ma pan teraz na głowie najważniejsze w całych Stanach Zjednoczonych zadanie.

Broni pan naszego pięknego miasta, a te małe kotewki, które zrobiła moja firma, mogą się panu

bardzo przydać.

Jego uśmiech był szeroki i najwyraźniej nieszczerzy. Sprzedawca w oczywisty sposób chciał ubić dobry interes.

Ersin rzucił się naprzód jak wąż i jego pokryta bliznami azjatycka twarz znalazła się tylko kilka cali od twarzy cywila. Jedną ręką chwycił kołnierz jego koszuli i przyciągnął sprzedawcę do siebie.

– Co powiedziałaś?

Bob Tolert miał już nie raz do czynienia z trudnymi klientami.

Nigdy jednak nie spotkał takiego, który mógłby go natychmiast usunąć z powierzchni ziemi. Ostrożnie zastanowił się nad swoimi następnymi słowami.

– Podpisaliśmy kontrakt na produkcję jakichś kotewek do górskich umocnień – zapiszczał. – Nie wiem nawet, co to takiego. Jeden z moich przełożonych powiedział, że może pan kilka kupić.

– Ja też nie wiem, co to jest – powiedział cywilny saper.

Zamachał rękami, jakby chciał zasugerować, że zabicie cywila może nie jest jednak najlepszym rozwiązaniem.

– Ile możemy tego dostać? – spytał Ersin, a jego uśmiech stał się złowieszczy.

– Przywiózł kilka wywrotek – podsunął saper.

– Mogę już iść? – zaskrzeczał Tolert.

– Proszę.

\* \* \*

Posleeńska kompania zwiadowców sunęła szeroką ulicą w zwartym szyku. Za nią, nie zwracając uwagi na wznoszące się przed nimi budynki o ogromnej wartości, podążał zamyślony Wszechwładca. Dowodził piątą kompanią, którą wysłano przed oolfondar. Balistyczna broń thresh powodowała, że horda traciła oolt jedno po drugim. Ten Wszechwładca był zdecydowany utrzymać swoje wojsko przy życiu dłużej, niż pozostali.

Chcąc uniknąć zasadzek, wysłał daleko przed kompanię zwiadowcę. Oolfos był dobrze rozwiniętym osobnikiem, niemal potrafił mówić.

Kessentai zatrzymał swój tenar, kiedy czujka wydał z siebie okrzyk. Ale nie był to okrzyk lęku ani gniewu.

Przodowy trzymał w ręku dziwne urządzenie. Była to metalowa tyczka, zwieńczona jakimś symbolem. Metal, z którego go wykonano, wyglądał jak... Nie, to niemożliwe...

Wszechwładca wydał okrzyk podobny do krzyku zwiadowcy i wyrwał mu zdobycz z ręki. Poklepał podnieconego półgłówka po plecach i dał mu w dowód uznania kawałki thresh.

Jeden z pozostających z tyłu mistrzów zwiadowców pchnął swój tenar naprzód, aby zobaczyć, co jest powodem zamieszania.

Wszechwładca trzymał zdobycz nad głową.

– Czysty ciężki metal – zapiał, wymachując prętem na wszystkie strony.

– Niemożliwe – krzyknął nowo przybyły i nastroszył z emocji grzebień. – Jest tego więcej?

– Sprawdźmy – zawołał Wszechwładca i dał znak swoim oolt. – Naprzód, szukajcie tego! Ruszajcie!

– Są przy pierwszej zabawce – powiedział Mosovich i poprawił ostrość w sześćdziesięciokrotnie powiększającym celowniku.

Uśmiechnął się lekko na ten widok. – Wygląda na to, że połknęli haczyk razem ze spławikiem i żyłką.

– Trzeba by ich powystrzelać – powiedział Ersin i zwałił się na łóżko.

Znajdowali się w hotelu Marriott, skąd mieli doskonały widok na nadciągającego wroga. Ersin odgryzł kawałek suszonej brzoskwini ze swoich wojskowych racji żywnościowych i skrzywił się jak szczur.

– Tak się właśnie robi z mięsem armatnim.

– Pobawmy się z nimi, generale – mruknął John Keene do nikogo w szczególności. – Niech pan nie strzela, dopóki nie zobaczy pan żółtek ich oczu.

Rozwiązał już sprawę umocnień i uznał, że teraz najlepiej byłoby mu w zespole Sił Specjalnych. Byli to jedyni ludzie w Richmond, którzy go nie prześladowali, a przy okazji niezła ochrona.

Leżał teraz na podłodze i sącył swoje pierwsze od dwóch dni piwo.

– Niech wpadną w potrzask.

– Właśnie – powiedział Mueller, robiąc sobie kanapkę.

Ostrożnie położył plasterek szynki, na nim sałatę, potem kolejną warstwę szynki, sałatę, pastrami...

– Niech jak najwięcej z nich dotrze do Schockoe Bortom.

– Jak chcesz – zaśmiał się Ersin. – Tylko pamiętaj, że nie wszystko musi się udać.

– Jak dotąd wszystko idzie dobrze – bronił się Keene. Usiadł i opróżnił butelkę piwa do dna. – Idą na miasto. – Czknął i wyrzucił butelkę do pudła na śmieci.

– Nie wierzę, żeby dotarli do Schockoe bez jednego strzału z naszej strony – powiedział Mosovich. – To wymagałoby o wiele większej dyscypliny, niż wojskowa.

\* \* \*

– No, chodź do tatusia – szepnął specjalista czwartej klasy Jim Turner i przycisnął do ramienia karabin snajperski kaliber. 50. Przynajmniej raz mógł użyć trójnoga przeciw centaurom; czekał teraz niecierpliwie na sygnał do strzału.

Na międzystanówce w regularnych odstępach umieszczono punkty orientacyjne, oznaczone kolorowymi wstążkami. Każda kompania została przydzielona do odpowiedniego obszaru, który z kolei podzielono na mniejsze obszary dla każdego strzelca, grenadiera albo snajpera. Odcinek drogi, który należał do Turnera, miał tylko dwieście metrów długości i sto szerokości. Na tym obszarze znajdowało się obecnie trzech Wszechwładców. Zdecydował, że zacznie od tego z tyłu, a dopiero później przeniesie ogień ku przodowi.

Jim zastanawiał się, czy ktoś nie zacznie wcześniej strzelać. Kazano im pozostawać w gotowości; mieli siedzieć z zabezpieczonymi karabinami i czekać na sygnał. Nie wiadomo, ilu z nich rzeczywiście tak zrobi. W każdym razie Jim nie miał takiego zamiaru.

– Turner, do jasnej cholery! – zdenerwowała się sierżant Dougherty, kiedy stanęła w drzwiach.

– Ja tylko się przyglądam, pani sierżant.

Dougherty była ciężkim przypadkiem. Śmieszył go sposób, w jaki biegła w kółko, jakby ktoś wsadził jej w tyłek gwóźdź, ale z drugiej strony była jednak dobra i – co było najważniejsze – miała rację. Rzeczywiście nie powinien być tu, gdzie jest.

– Nie będę strzelał – powiedział i odsunął się od karabinu.

– Nie wierzę ci, do cholery, na podłogę jak wszyscy! Zabieraliśmy magazynki za mniejsze przewinienia!

– Tak jest, ma'am.

– Jeśli nie radzisz sobie z odpowiedzialnością snajpera, znajdziemy kogoś innego na twoje miejsce! I nie mów do mnie ma'am. Ja pracuję – rzuciła na koniec krępa, tleniona blondynka.

Z wyrazem niezadowolenia na twarzy cofnęła się w głąb korytarza, żeby kontynuować obchód



pozycji. Żeby przypieprzać się do następnych żołnierzy.

\* \* \*

– Jak wygląda droga na wschodzie? – spytał Artulosten.

Mistrz zwiadowców sprawiał wrażenie rozżłoszczonego. Wszyscy jego oolfos wyglądali dosyć mizernie.

– Okropnie. Niczego tam już nie ma, budynki w zgliszczach, drogi zniszczone albo zasłane tym – pokazał kotewkę. – Połowa moich oolt odniosła rany, a wielu nadaje się już tylko na thresh.

Mistrz bitewny wziął kotewkę i obejrzał ją ostrożnie. Kawałek metalu miał skierowany ku górze mały nóż.

– Jak coś takiego może zabić oolfos?

– Nie zabija. Ale kiedy wbija się w stopę, wielu oolto'os wpada w panikę i się przewraca, a wtedy te przyrzady wbijają im się w całe ciało. W ten sposób straciłem prawie tuzin wojowników.

W końcu uznałem, że już dość, i zawróciłem. Nie ma tam niczego ciekawego. Jak rozumiem, tutaj mamy drogę pełną ciężkich metali?

– Istotnie. To musi mieć ogromną wartość. Siły zwiadowcze znalazły mnóstwo takich znaczków z czystego ciężkiego metalu.

Wszystkie leżą na tej drodze i najwyraźniej prowadzą gdzieś na drugą stronę rzeki. W normalnych okolicznościach nasz cel byłby tam – wskazał na zarysy miasta. – Jest tam pełno thresh, ale wojsko chce iść za znaczkami aż do ich źródła.

– Inni mistrzowie zwiadowców wrócili z zachodu z marnymi wieściami. Nie ma tam niczego wartościowego. To, co dałoby się jakoś wykorzystać, zniszczono lub usunięto.

– W tych budynkach jest pełno thresh – zauważył mistrz zwiadowców, który przyglądał się czujnikom. Każdy z górujących nad miastem wieżowców był zaznaczony czerwienią. – Czemu nie strzelają?

– Z lęku przed naszym wojskiem – zaśmiał się mistrz bitewny.

Wskazał w kierunku miasta, gdzie sunęły tysiące centaurów, i do tyłu, skąd nadciągało jeszcze półtora miliona wojowników. – Musieliby być głupcami, żeby strzelać.

\* \* \*

Dla jednego z posleeńskich wojowników nadszedł czas porodu.

W obozie, nawet tymczasowym, wykopano by dół, gdzie mógł złożyć skórzaste jajo i zaczekać, aż wyklują się pisklęta. Potem pisklęta miały zostać przeniesione do zagród, gdzie musiałyby walczyć o przeżycie aż do chwili osiągnięcia dorosłości.

Ale kiedy wojsko się przemieszcza, można tylko złożyć jajka i puścić pisklęta wolno. Większość z nich czekała śmierć, ale Ścieżka nie była łatwa i centaur nie mógł nic na to poradzić. Teraz Posleen chciał tylko jak najszybciej pozbyć się uczucia mdłości, które nachodziło go, kiedy jajo osiągało pełną dojrzałość.

Odbiegł od swojej grupy. Drogę na zachód zagradzał wał z drutem kolczastym, który z łatwością udało mu się przeciąć krótkim mieczem monomolekularnym. Niedaleko stał jakiś budynek. Posleeni otrzymali jednak jasne rozkazy, żeby nie wchodzić bez zezwolenia do budynków, a on potrzebował tylko oddalić się od swoich ziomków. Centaur schował się więc za budynkiem i zaczął rodzić.

Jego brzuch zafalował i u podstawy karku pojawiło się wybrzuszenie, które następnie szybko przesunęło się do tyłu jak kot połknięty przez pytona. Po chwili centaur wydalil z siebie nakrapiane skórzaste jajo, wielkości małego kurczaka. Zlizał ze skorupki soki porodowe, z pogardą rzucił jajo

pod ścianę opuszczonego budynku i pospieszył z powrotem na drogę. Jego misja była skończona.

Kompania wojowników była już daleko na przodzie. Centaur puścił się w pogoń przez zburzone budynki i zwalone, wypalone drzewa. W biegu przeciął niewidzialną wiązkę światła.

Drużyna siedemdziesiątej pierwszej dywizji piechoty w pośpiechu ustawiała autonomiczny system strzelecki i cholernie ciężkie skrzynie z amunicją. Żołnierze byli bardziej zainteresowani powrotem do gry w pchełki niż sprawdzaniem, czy broń jest zabezpieczona, dobrze wycelowana i czy taśmy z amunicją gładko się przesuwają. Sierżant, która miała dopilnować, by broń dobrze ustawiono i zabezpieczono, baraszkowała z przystojnym i dobrze zbudowanym młodym żołnierzem. Starszy sierżant grał w pokera z dwoma sierżantami plutonu i chorążym sekcji zaopatrzenia, zaś dowódca kompanii udał się do batalionu, upewniając się, że jego dowódca zdaje sobie sprawę, jak dobrze dowodzona jest jego kompania.

\* \* \*

Broń wystrzeliła dwanaście pocisków i zacięła się. Kule kaliber 7.62 mm, dwie z nich smugowe, pomknęły przed siebie i zaryły w piach Wirginii. Ponieważ karabinu nie przestrelano, nie trafiły nawet w cel, który pobiegł dalej zupełnie nieświadomy, że do niego strzelano.

\* \* \*

Kapral George Rendel rzucił właśnie trójkę i przebił dwójkę.

Przełożył karty kilka razy i przygotował się do rzucenia kolejnej, kiedy karabin w przeciwległym końcu pokoju wypluł dwanaście pocisków. Żołnierz zamarł i ze zdziwienia otworzył szeroko oczy.

– Zapomnieliśmy... – powiedział ktoś i w tym momencie świat wokół zniknął.

\* \* \*

Posleeni byli przyzwyczajeni do otwartej walki z wrogiem. Nie słyszeli nigdy o czymś takim jak kamuflaż, osłona lub ukrycie. Mimo to jednak radzili sobie z tchórzliwymi ludźmi, którzy chowającymi się podczas bitwy. Spodki Wszechwładców były wyposażone we wspaniałe czujniki, zdolne namierzyć pozycję każdego strzelca.

Chociaż przy dużej liczbie celów miały tendencje do ulegania przeciążeniom, w przypadku jednego działały błyskawicznie.

W polu ostrzału gniazda karabinu maszynowego znalazło się teraz około dwudziestu Wszechwładców. Wszyscy oni, a w ślad za nimi około ośmiu tysięcy wojowników, otworzyli ogień.

Nawała strzałek i rakiet uderzyła w bok wieżowca i rozeszła się po wszystkich trzech piętrach. W jednej chwili zginęły setki żołnierzy. Z niedbałej kompanii przeżyli tylko dowódca, który był w tym czasie na dole w centrum operacji taktycznych, oraz starszy sierżant i sierżanci plutonu, zajęci grą w pokera.

Rakiety hiperszybkie i plazma roznosiły piętro po piętrze, często przechodząc przez budynek na wylot. Nadwątlone elementy nośne konstrukcji poddały się i budowla runęła.

W sąsiednich budynkach wszyscy skoczyli do okien, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Niektórzy, bardziej wystraszeni albo głępsi, zaczęli strzelać, ale szybko zmuszono ich, żeby usiedli na podłodze i nie ściągali na siebie ognia Posleenów.

Ponieważ nikt już do nich nie strzelał, obcy na nowo podjęli marsz w kierunku swojego odległego El Dorado.



**Richmond, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 14:17 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

– To przerażające – powiedział generał Keeton, patrząc na setki monitorów.

W dużej sali konferencyjnej budynku R. J. Reynolds tłoczyli się technicy wywiadu i kilka powołanych do służby sekretarek. Odszyfrowywali nagrania z kamer rozstawionych wzdłuż trasy natarcia i wpisywali dane do systemu kontrolnego przebiegu bitwy. Dwudziestoczerocalowy monitor, który został przystosowany dla potrzeb wojska przez szefa działu Informacyjnych Systemów Zarządzania Reynolds, pokazywał, że awangarda Posleenów dotarła właśnie do muru przeciwpowodziowego i przy wejściu do miasta rozdziela się na dwie grupy.

Generał czuł się niemal zakłopotany wsparciem, jakiego mu udzielono. Miejscowy zastępca prezesa do spraw zarządzania budynkami przysłał kilkudziesięciu techników; uruchomili oni sieć, z której Keeton teraz korzystał. W innych warunkach na zintegrowanie systemów wojskowych z komputerami osobistymi i macintoshami potrzebowano by dziesięciu lat i dwustu miliardów dolarów. Chłopaki z Reynoldsa, którzy mieli się tylko zastanowić nad sposobem przeprowadzenia takiego przedsięwzięcia, zmontowali w pełni działający system w ciągu kilku godzin. Jak się okazało, jest to możliwe, kiedy stawia się jasne cele, daje do dyspozycji odpowiednie zasoby i pozwala kompetentnym ludziom wykonywać swoje zadania.

Podobnie wyglądała sprawa obrony. Kiedy ułożono plan odparcia ataku, zajęli się nim ludzie, którzy rozumieli, że nie ma czasu, żeby się kłócić, a trzeba po prostu działać. Poczynając od Keene'a, który krzątał się jak mrówka, nadzorując realizację projektu w wielu miejscach, a kończąc na sierżant Gleason, która pogoniła do roboty sześciu administratorów szpitala i urządziła zaimprovizowane lazarety.

Istniała też oczywiście druga strona medalu. Jeśli generał zauważał, że jakiś oficer opóźnia przygotowanie obrony czy to z powodów politycznych, czy biurokratycznych, zwalniał go z pracy w komisji i wysyłał na front do kopania dołów. W ten sposób machało łopatą już dwudziestu oficerów polowych i trzech flagowych. Keeton wiedział, że po zakończeniu obrony będzie musiał to wszystko odkręcić; inni generałowie mogliby mieć pretensje.

Tymczasem miał wspaniały widok na nadciągającą armię wroga – tysiące centaurów wchodzących w śmiertelną pułapkę – i dysponował wystarczającym wsparciem, żeby walczyć przez wiele dni.

Nadszedł już czas, żeby wydać rozkaz otwarcia ognia.

Włączył mikrofon i połączył się z oficerem kontroli taktycznej.

– W porządku. Centrala ogniowa-wypuścić kuleczki.

\* \* \*

Technik otrzymał rozkaz ataku. Czas dotarcia pocisku artyleryjskiego do celu zależy od odległości i rodzaju użytej broni. Niektóre jej typy, takie jak na przykład moździerz, strzelają pod dużym kątem, więc pociski zataczają duży łuk i trafiają w cel po stosunkowo długim czasie.

Dlatego technik postanowił, że działa będą strzelać w niewielkich odstępach czasowych, dzięki czemu wszystkie pociski będą mogły dotrzeć do celu niemal równocześnie i w ten sposób zadać wrogowi większe straty.

\* \* \*

Arstenoss ze złością posłał kulę plazmy we wznoszącą się przed nim ścianę. Prowadzący ich Kessentai naładował tenary ciężkim metalem i wycofał się ze skarbem na tyły. Armia dotarła do przekłętego przez demony muru z symbolem tych po trzykroć przeklętych techników, oby ich dusze pochłonęła otchłań; najwyraźniej nie dało się już iść dalej. Kilku Wszechwładców, którzy wzniesli się w swoich tenarach ponad mur, zostało usuniętych ze Ścieżki. Dziesiątki tysięcy wojowników tłoczyły się więc w dolinie i rozglądały za skarbami i tchórzliwymi thresh. Na wschodzie znaleźli mały most i wielu Kessentai skręciło w tę stronę, ale most był dobrze broniony i za wąski. Minęłoby wiele dni, zanim udałoby się im przekroczyć rzekę i zejść thresh od tyłu. W kierunku pozycji wroga w wieżach mknęły sporadycznie wystrzelwane pociski, ale nieprzyjaciel nie odpowiadał ogniem.

– Musimy sobie jakoś poradzić – powiedział w zamyśleniu Artulosten i spojrzął na dziesiątki tysięcy oolfos stłoczonych wokół jego tenara.

Nic na świecie nie może zatrzymać takiej armii.

– Jeśli zbierzemy wielu Kessentaiów, możemy razem zaatakować bramę miasta. Wtedy...

Urwał i odwrócił głowę. Szczyt górującego nad miastem wzgórze wybuchł purpurowym ogniem i całą okolicę zasnuł gęsty dym.

Potem centaur zobaczył lecące w ich stronę w błysku ognia jakieś obiekty. Były ich setki. Zamarł niezdecydowany, nie wiedząc, co ma w tej sytuacji robić. Człowiek wrzasnąłby pewnie „Nadlatuje”, co byłoby równie skuteczne, jak atak paraliżu.

W obronie Richmond uczestniczyło pięć dywizji piechoty. Trzy z nich przekazały swoje moździerze do baz ogniowych na wzgórzach Libby i Montrose. Stosunkowo mała prędkość i wysoki łuk trajektorii granatów moździerzowych zdecydowały o wystrzeleniu ich w pierwszej kolejności. Studwudziestomilimetrowe pociski poszybowały z wdziękiem w górę, obróciły się i runęły w dół. Zanim pokonały jedną trzecią trasy, już wystrzelono drugą salwę. I trzecią. Przy trzeciej salwie odezwało się wreszcie dziewięćdziesiąt siedem dział artylerii.

\* \* \*

Posleeni tłoczyli się ramię w ramię w Schockoe Bortom. Wielu podjęło próby wdrapania się na wał, inni zaczęli na niego napierać, żeby go rozwalić i dostać się na Williamsburg Road. Duży strumień centaurów kierował się na most dla pieszych przy Belle Isle. Żaden Posleen nie był przygotowany na nadlatującą salwę.

Rzeź była nieopisana. Raz po raz, w odstępach kilku sekund, dwieście pocisków artyleryjskich lądowało na obszarze równym czterem boiskom do piłki nożnej.

Punkt ześrodkowania ognia artyleryjskiego ustalono z dala od pozycji piechoty, a pociski ustawiono na różne czasy detonacji. Te z zapalnikami zbliżeniowymi eksplodowały tuż nad siłami Pośleńców, kosząc wrogów w rozległych, kolistych obszarach. Centaury rażone ogniem artyleryjskim bezpośrednio były po prostu rozrywane na strzępy przez eksplozje, których furia rozpylała żółtą krew w ledwie dostrzegalną mgłę.

Granaty moździerzowe były z tego wszystkiego najbardziej efektywne. Ich zapalniki nastawiono na detonację metr nad gruntem, tak że siały śmiercią wszędzie wokół i masakrowały ściśniętych centaurów tuzinami. A zaraz potem nadlatywała następna salwa. I następna.

Żołnierzom piechoty, gęsto obsadzającym okoliczne budynki i umocnienia wokół Bortom powiedziano, że sami się domyśla, kiedy będzie można otworzyć ogień. „Strzelajcie, kiedy działa przeniosą ogień.” Przez długie chwile wszyscy byli jednak zbyt zaszokowani piekłem wybuchów, chmurami odłamków granatów detonujących nad ziemią i podrywanych w powietrze obłokami

strzępów. Kiedy jednak artyleria zmniejszyła intensywność ostrzału do spokojnego rytmu ośmiu strzałów na minutę, siły obsadzające linie obronne podniosły się i odbezpieczając broń zaczęły wybierać cele.

Najpierw odezwały się autonomiczne systemy strzeleckie. Ponieważ cała zabójcza strefa aż roiła się od oszołomionych i rannych Posleenów, którzy kręcili się w kółko pod gradem pocisków, co i rusz któryś z nich przecinał wiązki celownicze i automaty otwierały ogień.

Ustawiono je tak gęsto, że jeden Posleen często zakłócał jednocześnie kilka wiązek. Pociski kaliber 7.62 mm, zaprojektowane specjalnie do zabijania centaurów, wręcz roznosiły nieszczęsnych obcych na strzepy.

Pole bitwy zasnuwał dym i pył, z którego co jakiś czas wyłaniał się oszołomiony centaur, a wtedy z dziką furią otwierano do niego ogień. Wszyscy w Richmond widzieli wiadomości z Fredericksburga, a media zaczęły już emitować wywiady z żołnierzami, którzy przeżyli tamtejsze piekło. Za centaury zabrano się z bezlitosną wściekłością.

Rozmieszczeni w budynkach snajperzy z osadzonymi na trójnogach karabinami wyborowymi kaliber. 50 mieli pełne ręce roboty.

Wszechwładcy, którzy przeżyli, próbowali ogarnąć jakoś swoje oddziały i odpowiedzieć ogniem albo uciec z rzeźni, w którą dwunasty korpus zamienił Schockoe Bortom. Ale snajperzy nic sobie z tego nie robili. Raz po raz przypadkowy błysk działa plazmowego albo wystrzelony hiperszybki pocisk tak bardzo wyróżniał jakiegoś Wszechwładcę z zamieszania na polu bitwy, że nie można było go przeoczyć. Wówczas, lekceważąc wyznaczone pola ostrzału, tuziny snajperów wygarniały do niego z odległości czasem i tysiąca metrów. Brali na cel każdy spodek Wszechwładcy, który tylko wyłonił się z pyłu i dymu w dolinie śmierci. Grad ognia z karabinów kaliber. 50 strącał centaury z ich pojazdów, przebijał osłony napędu inercyjnego, rozwalał kryształy energetyczne.

Popołudnie ognia, dymu i śmierci miało się ku końcowi...

\* \* \*

Generał Keeton śledził na monitorze schemat pola bitwy i cztery wykresy słupkowe. Przygotował je galaksjański przekaźnik, który dostarczono każdemu oficerowi od dowódcy korpusu wzwyż. Pierwszy wykres wskazywał wysokość strat ziemskich obrońców Schockoe Bottom, drugi liczbę Posleenów wziętych pod ogień artylerii, trzeci ogólną liczbę centaurów w pułapce, natomiast czwarty informował o całkowitej liczbie Posleenów.

Mimo faktu, że straty obrońców były sto razy mniejsze niż Posleenów, wyświetlane były w odpowiedniej skali. W końcu liczba żołnierzy była ograniczona, podczas gdy centaurów wydawało się być nieskończenie wiele. Gdyby straty okazały się za duże, generał Keeton miał zamiar wycofać się na drugi brzeg James.

To jednak, jak na razie, nie wydawało się konieczne. Wykres oznaczający liczbę Posleenów w dolinie zagłady na początku stale rósł. Potem jednak, kiedy już się wydawało, że wojska centaurów zaraz wedrą się do miasta, otwarto ogień z zasadzki. W tej chwili w Schockoe Bottom nie było już właściwie nic żywego, a straty Ziemiaków były minimalne. Gdyby stracili więcej niż dwustu żołnierzy, nie licząc tej kompanii rozniesionej w pył z powodu niedopatrzania jakiegoś idioty, generał byłby bardzo zdziwiony. Zgodnie z raportami, jakie złożono generałowi, całkowite straty wynosiły teraz dwustu pięćdziesięciu zabitych i czterystu dwudziestu rannych. Posleeni stracili natomiast ponad czterdzieści tysięcy wojowników.

Nadal jednak było ich prawie cholerne dwa miliony. Część ich wojska, która nie weszła do strefy śmierci, zaczęła rozdzielać się na boki.

Trzeba ich było zatrzymać.

– Zorganizujcie wycieczkę – zarządził generał.

\* \* \*

Podpułkownik Walter Abrahamson owinął żółty jedwabny szalik wokół szyi i zamachał ręką, dając sygnał do wymarszu. Zasadniczo nie było to najlepsze miejsce dla dowódcy batalionu kawalerii – siedzieć we władze abramsa, na szpicy szarzy prowadzonej wprost na dwa miliony przeciwników. Z drugiej strony, gdzie niby miał się podziać podczas tej akcji? Chodziło o to, żeby dać Posleenom na tyle mocnego prztyczka w nos, aby ruszyli z powrotem do strefy ostrzału. Mógł zostawić to zadanie dowódcom kompanii. Powinien był. Tak brzmiał rozkaz z góry. Jasne. Jak cholera. Ale jak kawalerzysta z krwi i kości mógł nie wziąć udziału w takiej akcji?.

– Stew, upewnij się, że ci narwańcy przy działach wiedzą o tej akcji, bez odbioru – krzyknął do mikrofonu łączności zewnętrznej.

Mimo dźwiękoszczelnego hełmu przyspieszające turbinowe silniki sześćdziesięciu czołgów zahuczały w uszach pułkownika jak erupcja Wezuwiusza.

– Nie ma sprawy – powiedział dowódca bratniego batalionu.

Drugi batalion dwudziestego drugiego pułku kawalerii został skierowany do obrony umocnień na Libby Hill, a ich dowódca wściekle zazdrościł pułkownikowi. – Jestem teraz w Centrum Kierowania Ogniem. Wstrzymają ogień, kiedy tylko brama zacznie się otwierać. Moździerze także nie będą strzelać. Tak na wszelki wypadek, gdybyście chcieli sobie tam urządzić defiladę – zażartował.

– Jasne! – krzyknął Abrahamson.

Machnął do cywilnych saperów przy bramie. Wrota, wielotonowy kolos z betonu i stali, podczepiono do buldożerów, żeby można je było w ogóle otworzyć. Maszyny ruszyły naprzód bardzo ostrożnie, a ich operatorzy pilnie słuchali wskazówek saperów, starając się nie uszkodzić bram. Gdyby się wypaczyły, być może nie dałoby się ich ponownie zamknąć. A wszystkim miało bardzo zależeć na tym, żeby za powracającą kawalerią jednak się zamknęły.

Abrahamson przełączył się na interkom.

– Dobra, podjedźmy do wejścia, bramy już się otwierają.

\* \* \*

Otwarte wrota ukazały im zupełnie obcy świat. Nawąła artyleryjska przemieszała nierozpoznawalną papkę ciał Posleenów z potrzaskanymi fragmentami stojących tu do niedawna budynków. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Grad pocisków artylerii i ogień piechoty dokonał tego, co praktycznie nigdy nie zdarzyło się w bitwie: zabito wszystkich przeciwników. Nawet w najbardziej zaciętych bitwach pierwszej i drugiej wojny światowej zawsze pozostawały jakieś niedobitki. Ale nie tu. Rzeź Posleenów w Schockoe Bottom była efektywna, bezlitosna i całkowita.

– Przejedź sto metrów, powoli naprzód – powiedział Abrahamson przez interkom. – Potem stój i czekaj, aż szwadron do nas wyrówna.

– „Choćbym kroczył ciemną doliną, zła się nie ulękne...” – powiedział starszy szeregowy Mills, działonowy czołgu.

– ...bo ja tu jestem najgorszym skurwielem – zaśmiał się pułkownik, kończąc wojskową wersję psalmu.

– Amen – dodał szeregowy Hulm, kierowca.

Młody szeregowiec był oszołomiony widokiem zniszczeń tak samo jak wszyscy; z jego stanowiska zniszczenia było nawet widać wyraźniej. Bez wahania jednak pchnął przepustnicę wielkiego czołgu i wjechał na pobojuwisko.

Czternastą Ulicę pokrywała warstwa jakiejś mazi, którą gąsienice wielkiego pojazdu rozgniatały do postaci pomarańczowego błota. Z wyjątkiem pojedynczych roztrzaskanych spodków Wszechwładców nie napotkali żadnych przeszkód. Czołg najechał na przypadkiem zachowane w całości ciało jakiegoś Posleena. Siedemdziesięcotonowy, pancerny potwór nawet tego nie zauważył.

Nagle starszy szeregowy Mills obrócił w bok wieżyczkę działa.

– Cel. Ruchomy spodek.

Pułkownik sprawdził ekran wyświetlacza. Przekrzywiony na bok spodek sunął powoli na północ, poza obręb strefy śmierci. Wraz z opuszczeniem tumanu pyłu stałby się celem dla ukrytych w wieżach snajperów, ale mógł też być dla nich zagrożeniem.

– Potwierdzam – powiedział pułkownik – Użyć OPL.

– Przyjąłem, OPL – odpowiedział działonowy i przełączył się na system przeciwlotniczy.

M-1E był zmodyfikowaną wersją sprawdzonego czołgu średniego Abrams. Zaprojektowano go do walki z Posleenami, poprawiając grubość pancerza czołowego i kompensacji termicznej, aby stał się bardziej odporny na trafienie pociskiem hiperszybkim i plazmą.

Skorzystano także z patentu, którego pomysłodawcą była armia radziecka.

Rosjanie, którzy sprzedawali swoje czołgi w miejscach, gdzie należało się liczyć z dużą ilością wrogich maszyn powietrznych, zmodyfikowali je tak, aby służyły jednocześnie jako platformy obrony przeciwlotniczej. Po każdej stronie wieży zamontowali dwudziestotrzymilimetrowe działko i dodali odpowiedni do tego system celowniczy. Przy odrobinie szczęścia zmasowany ostrzał przeciwlotniczy batalionu czołgów mógł nawet strącić atakujący samolot.

Amerykanie przyglądali się temu rozwiązaniu z niedowierzaniem i kpiną. Aż do czasu przybycia Galaksjan. Posleeni atakowali zwykle wielkimi masami, ale posiadali także wyjątkową broń. Zdolny do konfrontacji z nimi system uzbrojenia musiał być zdolny do przetrwania trafienia plazmą bądź pociskiem hiperszybkim, a przy tym posiadać dużą siłę rażenia. Wtedy to, zamiast wymyślić coś własnego, Amerykanie skorzystali z pomysłu Rosjan, tylko trochę go ulepsząc.

Po każdej stronie wieżyczki M-1E umieścili parę dwudziestopięciomilimetrowych działek bushmaster. Działka obracały się razem z wieżyczką, oprócz tego mogąc poruszać się w pionie. Komputer celowniczy abramsa, zdolny do wykonania za człowieka niemal każdej pracy, został przystosowany do obsługi nowej broni tak, że stała się niewiarygodnie celna. W tym rozwiązaniu nie chodziło jednak o celność. Chodziło o siłę ognia.

Działonowy wybrał „odłamkowo-burzące” w menu rodzajów amunicji, a potem nacisnął spust.

Maksymalna szybkostrzelność działka Bushmaster wynosi dwa i pół tysiąca strzałów na minutę. W samotnego Wszechwładcę wycelowano osiem działek. Pojedyncze naciśnięcie spustu powodowało wystrzelenie serii siedmiu pocisków z każdego działka. Pięćdziesiąt sześć pocisków, każdy zawierający niemal pół kilograma materiału wybuchowego i owinięty drutem na szrapnel, detonowało wokół spodka rozwalając go dokumentnie i wyrzucając Wszechwładcę w powietrze.

– Cel wyeliminowany.

\* \* \*

Działonowy kontynuował przeszukiwanie okolicy, ale poza samotnym Wszechwładcą nie znalazł już żadnego zagrożającego im obiektu. Czołg ruszył przez unoszący się wszędzie pył, dym



i wzmagający się z każdym metrem odór posleńskich trupów. Pozostałe czołgi szwadronu uformowały tyralierę.

Ostrzał artyleryjski umilkł. Pułkownik Abrahamson zdecydował się wychylić z wjazdu i nieco rozejrzeć. Alternatywą było pozostanie w czołgu, a odór na zewnątrz nie mógł być gorszy niż w środku.

Mógł. Trupi odór był z pięć razy silniejszy, co pułkownik zrozumiał, kiedy tylko się wychylił. Z trudem zapanował nad odruchem schowania się i rozejrzał się po okolicy. Szwadron poruszał się sprawnie, a dowódca ucieszył się, że zdołał nakłonić przełożonego do przeprowadzenia kilku wcześniejszych misji zwiadowczych.

Szwadron był całkiem nieźle przygotowany, zważywszy na sytuację i pełniących w nim służbę żołnierzy, ale starcia na północy, niedużej przecież skali, pozwoliły im zdobyć bezcenne doświadczenie. I pozbyć się najgorzej działających elementów oddziału.

Szwadron rozjechał się na boki i czołgi sformowały szyk w kształcie litery V, wyrównując do machających flagami dowódców kompanii i plutonu. Pułkownik zdecydował się nie zabierać ze sobą żadnych bradleyów czy hunwee. Bradleye były wolniejsze i łatwiejsze do zniszczenia niż abramsy, a utrata hunwee w przypadku dowolnego kontaktu z nieprzyjacielem była pewnikiem.

To była porządna szarża ciężkiej kawalerii. Jak za dawnych lat: galop, pochylenie lancy, ugodzenie barbarzyńców i powrót do swoich przez bramę. Barbarzyńcy zawsze ruszali w pościg. Lepiej, żeby generał trzymał wszystkich z dala od mostu Mayo, kiedy kawaleria będzie wracać. Walter Abrahamson zamierzał rozjechać wtedy wszystkich, którzy staną mu na drodze.

Zatrzeszczało radio.

– Oddział Bravo na pozycji.

– Oddział Charlie na pozycji.

– Alfa, gotowi do zabawy.

Uśmiechnął się. Dowódca Alfa zawsze był indywidualistą, ale znał się na swojej robocie. Abrahamson przestał zwracać uwagę na smród. Teraz nadeszła jego chwila. Popatrzył przez kłęby dymu w kierunku niewidocznego w oddali wroga i kiwnął głową.

– Przyjąłem – powiedział przez radio. – Ruszamy na pozycję przy Shenandoah. I niech Bóg ma nas w swojej opiece.

**Ravenwood, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 19:23 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

– Moździerze, walnijcie kilka granatów na drugi koniec mostu, który właśnie minęliśmy, bez odbioru.

Tyle w temacie formalnej strony procedury wsparcia ogniowego, pomyślał Keren, podskakując na tyle terenówki.

Sprzęt wojskowy żyje własnym życiem. Wojsko wydaje co roku miliardy dolarów bynajmniej nie na zaopatrzenie w nowy sprzęt, ale na konserwację tego, który już ma. Pojazdy opancerzone, a zaraz za nimi śmigłowce, są najgorsze. Mają tysiące ruchomych części, z których, jak się zdaje, żadna nie posiada zamkniętych łożysk.

Gąsienice pojazdu opancerzonego mogą przejechać kilkaset mil, ułamek tego, co potrafi zwykła opona – a są przy tym tysiąc razy droższe. Konserwacja sprzętu to nie czcza zachcianka, ale życiowa konieczność. Na swoje nieszczęście dywizje skierowane do obrony północnej Wirginii dopiero zaczynały koncentrację, kiedy wylądowali Posleeni. To prawda, brakowało im wyszkolenia, ale pod względem konserwacji sprzętu sprawy wyglądały jeszcze gorzej.

Dlatego z czterech transporterów opancerzonych z zamontowanymi moździerzami, którymi pluton Kerena dysponował na początku odwrotu, teraz zostały tylko dwa. Wóz kierowania ogniem padł pierwszy, schodząc z tego świata z powodu pęknięcia gąsienicy, zanim jeszcze zdolali przejechać pięć mil. Moździerz Trzy został zniszczony wkrótce potem, kiedy ich oddział pierwszy i ostatni raz zetknął się bezpośrednio z Posleenami. Sekcja Kierowania Ogniem przeniosła się więc do wozu Dwa. Na skraju Prince William Parkway Keren znalazł suburbaną z silnikiem Diesla. Okazało się, że w pojeździe po prostu brakuje paliwa, więc kilka pięciogalonowych kanistrów wojskowej ropy pozwoliło go uruchomić.

Armia straciła jednak setki innych pojazdów gąsienicowych, i teraz żołnierze z bradleyów i M-113 najszybciej, jak mogli, maszerowali obiema stronami drogi, by ujść nadciągającej hordzie. Oba transportery były pełne żołnierzy, a w suburbanie Kerena upakowano jeszcze rannych.

Jego umysł cały czas zaprzętał problem ostrzału własnych żołnierzy. Wyjrzał przez okno. Jeśli tutaj jest tak dużo ludzi na drodze, to dalej musi być korek.

– Szefie, czy w okolicy są jakieś nasze siły, odbiór?

Dowódca ich plutonu moździerzy był ostatnim oficerem z batalionu, więc objął dowództwo nad wszystkimi pojazdami gąsienicowymi, jakie udało się odnaleźć. Kilka transporterów ugrzęzło, inne po prostu się zepsuły, zostało siedem ostatnich maszyn batalionu z ledwie połową obsady. Kiedy jechali, porucznik zbierał uzupełnienia. Zasada była prosta: możesz jechać, jeśli będziesz walczyć.

Jeśli nie chcesz walczyć, musisz iść. Kiedy ostatni zwarty oddział dziewiętnastej dywizji pancerniej został zniszczony, sformowana z niedobitków jednostka przez całe popołudnie pozostała samotnie w tylnej straży i na bieżąco uzupełniała wszystkie straty. Podczas tego odwrotu „Szczeniak” Leper zmienił się na zawsze.

– Już nie. Saperzy wysadzili właśnie most razem z ostatnimi maruderami. Koniki gromadzą się po drugiej stronie. Przywal im, Keren, dziesięć granatów na lufę, a potem waruj.

– Przyjąłem. – Wychylił się przez szyberdach i machnął do obsad transporterów, zaparkowanych z boku. – Wsparcie ogniowe, strzał z biodra! – Zauważył stojącego w lesie na poboczu hunwee, o którego maskę opierał się jakiś żołnierz. No, jeśli ten dureń nie wie, że powinien

wiać jak cholera, to już jego problem, pomyślał.

\* \* \*

Arkady Simosin patrzył w milczeniu, jak ostatnia jednostka przekracza most Davis Ford. Kimkolwiek byli ci żołnierze, cholernie zawzięcie walczyli w ariergardzie, po tym, jak dziewiętnasta pancerna przestała istnieć. „Ostatnia szarża” miała pewnie zostać zapomniana w natłoku zdarzeń, ale ostatnia kompania pancerna powstrzymała natarcie ze skrzydła, które mogłoby odciąć połowę niedobitków korpusu. Była to szarża bohaterska i zupełnie samobójcza.

Przyszła mu do głowy myśl, że wszystkie militarne katastrofy przebiegają według pewnego utartego scenariusza. Jest wyraźne ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem. Są pewne punkty krytyczne, nawet po tym, jak katastrofa jest oczywista, gdy właściwe rozkazy i działania mogą naprawić sytuację. Po wszystkim pojawia się także histeryczna polityczna reakcja.

Biorąc poprawkę na współczesną prędkość przesyłania informacji i podejmowania decyzji, okazało się, że histeryczna reakcja nie zaczeka z pojawieniem się nawet do końca bitwy. Spojrzał jeszcze raz na oschle sformułowany rozkaz, zgodnie z którym miał przekazać dowództwo swojemu szefowi sztabu i zameldować się w Kwaterze Głównej Pierwszej Armii w Nowym Jorku. E-mail informował, że zmiennik jest już w drodze. Simosin go znał; było to jeden z kumpli Oldsa. Byłoby znacznie lepiej, gdyby dowództwo pozostało w rękach szefa sztabu.

Cóż, pomyślał Simosin, oto szczyt mojej trzydziestoletniej kariery. I tak spotkał go los lepszy, niż tych biednych drani podczas gorączki politycznej poprawności w latach dziewięćdziesiątych.

Zmiał papier i rzucił go na ziemię, po czym wdrapał się do hunwee. W tym właśnie momencie usłyszał huk pierwszego odpalanego pocisku mózdzierzowego.

**Biały Dom, Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 20:45  
letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

– Tyle – Generał Taylor popatrzył na e-mail przyniesiony przez technika łączności, a potem spojrzął na wciśniętego w fotel prezydenta. – Wszystkie istniejące jeszcze jednostki dziesiątego korpusu minęły front korpusu dziewiątego.

– Ilu przeżyło? – spytał Sekretarz Obrony i popatrzył na elektroniczną mapę na ścianie.

– Z piechoty, jednostek pancernych, saperskich i frontowych zostało niecałe dwa tysiące.

– Dobra – powiedział ostro prezydent – zapytam inaczej: ilu straciliśmy?

– Ponad dwadzieścia pięć tysięcy...

– Dwadzieścia pięć?!

– Wysłaliśmy ciężki korpus, panie prezydencie. Pięć ciężkich dywizji z pełnym wsparciem. Z żołnierzy na linii frontu pozostała tylko jedna zdziesiątkowana brygada! Straciliśmy połowę tych żołnierzy, którzy zginęli podczas całej wojny w Wietnamie, i pięć razy tyle, co według szacunkowych danych poległo w pierwszym dniu inwazji na Normandię. Zgodnie z ostatnimi i jedynymi raportami, jakie otrzymaliśmy, zabiliśmy blisko dziewięć tysięcy Posleenów.

– Gdyby nie włamano się do systemu... – zaczął Sekretarz.

– Gdyby nie włamano się do systemu – przerwał mu generał – na pewno zabilibyśmy więcej Posleenów. Ale ponieśliśmy takie same straty.

– Tego już się nie dowiemy – powiedział Sekretarz.

– Owszem, dowiemy się, panie Sekretarzu – odparł generał, nagle zmęczony tą całą rozmową. – Wciąż mamy dziewiąty korpus. – Wskazał na ekran. – Mieli wystarczająco dużo czasu, żeby się okopać i rozłożyć zasieki i miny, czego nie mógł zrobić korpus dziesiąty. Mają prawie zabezpieczone skrzydła, których dziesiąty korpus nie miał. Nikt nie włamał im się do systemu, jak dziesiątemu korpusowi. Nie zostaną ostrzelani przez własną artylerię, jak dziesiąty korpus. Ale i tak ich stracimy! Zabiją wprawdzie więcej Posleenów, ale to nie ma, cholera, znaczenia, bo Posleeni mogą sobie pozwolić na stratę nawet miliona żołnierzy, żeby tylko zniszczyć nasz jeden korpus! A to dopiero początek tej cholernej wojny! Moglibyśmy ją wygrać tylko pod warunkiem, że każdy żołnierz z karabinem w ręku zabije ponad setkę centaurów! A tymczasem my straciliśmy dwudziestu żołnierzy za jednego zabitego Posleena! W tym tempie na skutek tylko jednego lądowania stracimy całą armię wschodnich Stanów Zjednoczonych!

Główny Dowódca zdał sobie nagłe sprawę, że krzyczy na Sekretarza Obrony, a to przecież nie na niego powinien teraz krzyczeć.

– A co będzie, jeśli odwołamy dziewiąty korpus? – wykrztusił prezydent i po raz pierwszy od ponad godziny spojrzął na mapę.

Był wstrząśnięty. Poświęcił dwadzieścia lat życia, żeby dostać się na ten fotel. Kosztowało go to pół żołądka, małżeństwo i dzieci.

A teraz jeden błąd mógł to wszystko przekreślić.

Generał zrezygnowany pokręcił głową.

– Już na to za późno. – Zerknął na notatki, zwłaszcza na irytujące informacje dotyczące stanu technicznego jednostek. – Posleeni są szybsi od naszych jednostek.

– Ale przecież mobilność taktyczna jest jednym z najsilniejszych atutów amerykańskiej armii – zaprotestował Sekretarz.

– Jeśli mamy dobrze wyszkolone, doświadczane jednostki – powiedział Główny Dowódca, na nowo rozwścieczony tą uwagą. – A my mamy niedouczone, niedoświadczonych i niezdecydowanych żołnierzy. Trzecia armia Pattona mogłaby sobie łatwo poradzić. Waffen SS? Żaden problem. Wojska Sojuszu w czasie Pustynnej Burzy? Kurwa, jasne, że tak. Wydać rozkaz, wycofać się, przemieścić na następną rubież, milę albo kilkaset dalej. Żaden problem. Do zrobienia. Ale tutaj mamy oddziały, w który od pięciu miesięcy działa prawidłowo tylko jedna rzecz – hierarchia dowodzenia. Jednostki, w których jeszcze trzy miesiące temu wybuchały zamieszki. Jednostki, w których już rok temu powinno się było przeprowadzić remonty konserwacyjne sprzętu, a żołnierzy intensywnie szkolić od ponad dwóch lat. Jednostki, w których połowa pojazdów psuje się, zanim przejedzie piętnaście mil. Jednostki, które mają problem z utrzymaniem stałych pozycji, nie wspominając nawet o manewrowaniu.

– Nie, sir. – Spojrzał prezydentowi prosto w oczy. – Możemy tylko mieć nadzieję, że dziewiąty korpus zada wrogom więcej szkód niż dziesiąty, zanim ci dranie ich wybiją.

– A Richmond? – spytał Sekretarz Obrony.

– Cóż, sir – powiedział generał – gdybyśmy tylko mogli zmusić Posleenów, żeby zawrócili i zaatakowali dwunasty korpus...

\* \* \*

– Jak idzie? – zapytał generał Keeton.

John Keene przez chwilę patrzył na dowódcę nieobecny wzrokiem.

– Przepraszam – powiedział strapiony – zamyśliłem się.

– Zauważyłem. Jak idzie?

– Zupełnie nieźle. Mam dobrą nowinę: po tej bitwie niewiele trzeba będzie zrobić, żeby przygotować Richmond do długotrwałej kampanii.

Mówiąc to uśmiechnął się słabo.

– A co z przygotowaniem na przybycie znanych wszystkim turystów?

– Cóż, nadal są pewne słabe punkty. Jeśli ruszana zachód, mamy przechlapanie, a jeśli pójdą na wschód, mamy poważne kłopoty. Ale chyba wiemy, żeby skierować ich tam, gdzie należy.

– Jaki?

– Złoto.

– Złoto?

– Tak. Posleeni to urodzeni grabieżcy, a szczególnie interesują ich ciężkie metale i klejnoty. Wydaje się to dziwne, bo o wiele łatwiej zdobyć złoto i diamenty z pasa asteroid niż skarby z wrogiego miasta. W każdym razie tutejszy Bank Rezerw Federalnych ma duży zapas tych materiałów. Więc... wymyśliliśmy nową nazwę dla Czternastej Ulicy. Przemianowaliśmy ją na „Złotą Aleję” i rozłożyliśmy na niej co pięćdziesiąt metrów coś w rodzaju ozdób z czystego złota.

– O rany...

– Tak. Ozdoby leżą na drodze aż do samych bram w wale przeciwpowodziowym.

– A to oznacza, że Posleeni wybiorą tę drogę.

– Właśnie. Żeby było zabawniej, mieliśmy do wyboru pięć różnych wielkości ozdób. Najpierw położyliśmy małe ozdoby, potem większe, potem jeszcze większe. Mamy nadzieję, że w chwili, gdy czołowa falanga dotrze do muru, sprawa się między nimi rozejdzie na tyle, żeby ich naprawdę podgrzało. Mieliśmy trochę sporych odpadów, które rozłożyliśmy w odpowiednich odstępach. Ale także tylko wzdłuż Czternastej Ulicy. Jeśli Posleeni myślą logicznie...

– Będą mieli wielką ochotę przekroczyć most.

– Właśnie, sir. Mamy nadzieję, że jeśli wieść o ozdobach się rozniesie, większość z nich powinna skierować się do Schockoe Bortom.

Generał przez chwilę badawczo przyglądał się swojemu rozmówcy.

– Jak wam się udało tak szybko zdobyć te ozdoby?

– Cóż, w okolicy jest dość dużo zakładów przemysłowych – odpowiedział wymijająco Keene.

– A może powinienem spytać, co to za ozdoby?

– Cóż, nie mieliśmy za dużego wyboru...

– Co to jest, Keene? – domagał się odpowiedzi generał Keeton.

– Czy zauważył pan kiedyś na błotnikach przyczep traktorów takie małe, błyszczące figurki?

\* \* \*

Ersin patrzył, jak szeregowy wbija ostatni żelazny pręt zwieńczony złotą figurką, przedstawiającą dwie kobiety z dużym biustem, i pokręcił głową.

– Wiesz, szefie – powiedział Mueller – komuś na pewno to się nie spodoba.

\* \* \*

– Umocnienia obronne na Libby Hill są już przygotowane do bitwy – ciągnął Główny Dowódca. – Później wybudujemy betonowe bunkry, ale na razie dwunasty korpus ma wszystko, czego potrzeba na tak krótki czas. Ściągamy także trzynasty i czternasty korpus z Północnej i Południowej Karoliny. Richmond będzie cmentarzyskiem Posleenów – zakończył stanowczo.

– A co z bezpieczeństwem naszych danych? – spytał Sekretarz Obrony.

– Wysłaliśmy zespół cyberpunków – odparł Główny Dowódca.

– Sprawdzili IVIS i systemy kierowania ogniem dwunastego korpusu. W jednym i w drugim wykryto wirusa, który jednak najwyraźniej rozpoznał, że go znalezione, i uległ samozniszczeniu. Wyszukują teraz jego pozostałości i zachodzą w głowę, tak samo jak wszyscy inni. Z tego, co mówią NSA, cyberpunk i sekcja ochrony danych DowArKonu, dwunasty korpus z całą pewnością nadaje się do akcji, wliczając w to wszystkie systemy automatyczne. Ponadto wyśrodkowali już całą broń korpusu na odpowiednich celach i czekają, aż Posleeni otworzą ogień. Właściwie system kierowania ogniem i IVIS nie są im nawet potrzebne.

– Zatem według pana ta bitwa powinna wam pójść zgodnie z planem? – spytał sarkastycznie Sekretarz.

– To nie ja planowałem poprzednią bitwę – odpowiedział Główny Dowódca.

– Generale – powiedział prezydent – to ja ją zaplanowałem, co wyraźnie zazaczyłem w telewizyjnym wystąpieniu. Co możemy zrobić dla dziewiątego korpusu?

– Możemy wycofać stamtąd trochę jednostek zaopatrzenia, ale niewiele. W końcu nie wysłaliśmy ich aż tak daleko bez przyczyny. Nie ma tutaj żadnych przeszkód terenowych, które osłoniłyby nasze oddziały wsparcia, tak jak miało to miejsce w przypadku dziesiątego korpusu. Jeśli... kiedy Posleeni przełamają linię obrony, będą mogli zaatakować oddziały wsparcia, w tym artylerię i jednostki zaopatrzenia, których nie mogli dopaść w Dale City. Szacunkowo straty w tej bitwie będą dwu – albo trzykrotnie większe niż w przypadku dziesiątego korpusu.

– I nic nie można z tym zrobić? – zapytał z niedowierzaniem Sekretarz.

– Pierwsza armia przydzieliła wszystkie zwarte jednostki dziesiątego korpusu do wsparcia dziewiątego, dodając też ich artylerię dywizyjną, która była głównie za Occoquan. Wysłano też ósmy i jedenasty korpus, ale DowArKon odwołał rozkaz.

– Dlaczego? – chciał wiedzieć Sekretarz.

– Jeśli dziewiąty korpus utrzyma się na przygotowanych pozycjach razem ze wszystkimi sześcioma dywizjami i dwoma korpusami artylerii, wyślemy mu wsparcie. Jeśli nie, a sędzę, że tak właśnie będzie, nie ma sensu narażać kolejnych sześćdziesięciu tysięcy żołnierzy. Poza tym pierwsza armia jest rozciągnięta stąd aż do Bostonu. Rozlokowujemy te korpusy na przejściach wzdłuż Potomacu.

Mogą się przydać do ratowania uchodźców.

– A co z batalionem pancerny wspomaganym? – spytał prezydent.

– Jest w drodze. Powinni tu być trzy godziny po rozpoczęciu bitwy. Plan zakłada, że wyślemy ich drogą wokół Lake Jackson, żeby uderzyli w skrzydło Posleenów.

\* \* \*

Przeładowane ciągniki siodłowe, wiozące trzeci batalion pięćset pięćdziesiątego piątego pułku piechoty mobilnej, całe godziny temu zjechały z bezpiecznej autostrady międzystanowej numer 81. Rzęzące silnikami, wyładowane półtonowymi pancernymi wspomaganymi ciężarówkami przecięły Błękitne Pasma i wjechały na teren nizinnej Wirginii. To była ziemia niczyja. Nawet policjanci ewakuowali się razem z ostatnimi cywilami i schronili na terenie Błękitnego Pasma.

Dla żołnierzy, stłoczonych na naczepach jak sardynki w puszcze, był to koszmar. Chociaż każdy z nich miał za sobą setki godzin spędzonych w pancernym, leżenie na plecach, czasem nawet pod tuzinem innych pancerny, było koszmarem. Zdarzyło się nawet kilka wybuchów paniki. W jednym przypadku spanikowany żołnierz rozerwał bok naczepy i dwie drużyny żołnierzy w pancernych wspomaganym wysypały się na jezdnię, ku zdziwieniu każdego kierowcy pojazdu, który miał nieszczęście w nie uderzyć. Wskutek paniki i choroby lokomocyjnej jednostka nie była w dobrej formie, kiedy konwój wpadł w posleeńską zasadzkę na obrzeżach Warrenton w Wirginii.

Posleeni nie kwapili się nawet do walki. Ich Wszechwładca stracił cały oolt wskutek ostrzału z North Carolina. Ponieważ nabrał respektu przed ogniem artylerii, zdecydował się uderzyć tam, gdzie opór był najmniejszy. Należał do tych nielicznych Posleenów, którzy nie palili się do walki.

Wcześniej jeszcze stracił kilku oolfos od pojedynczych strzałów Ziemi. Strzelali z dużej odległości i z ukrycia, ale za to wyjątkowo celnie i zaciekle. Sam oolt także szybko nauczył się nie zawracać sobie głowy budynkami. W nielicznych, które nie wybuchły im prosto w twarz, znaleźli tylko resztki jedzenia i niewiele łupów. Z wielu z nich wcześniej wyniesiono wszystko, co miało jakąś wartość. Wszechwładca poprowadził swoje oddziały na północ, wzdłuż drogi międzystanowej numer 17 i przez pagórkowaty teren hrabstw Spotsylvania, Stafford i Fauquier. Minęli wiejskie gospodarstwa, w większości opuszczone, i rzadkie zabudowania. Nigdzie nie znaleźli żadnych pełnych magazynów, ale z drugiej strony nie napotkali też znaczącego oporu. Wszechwładca uznał, że było warto.

U zbiegu dróg 17 i 15/29 natknęli się na opuszczony pojazd, w którym znaleźli sporo różnorodnego pożywienia. Na boku pojazdu widniał wizerunek stworzenia, które Wszechwładca widział już wcześniej. Nie była zbyt smaczna, przypominała w smaku piskłeta threshkreen, co nasunęło niektórym Posleenom przypuszczenie, że to ich młode. Różnice w rozmiarze i kształcie świadczyły przeciw tej tezie, ale Posleeni widzieli już dziwniejsze metody rozmnażania.

Pojazd zawierał wiele dziwnych rodzajów pożywienia, dziwacznie przyprawionych i zapakowanych. Niektóre z paczek, oznaczone sylwetką ptaka, smakowały bardzo podobnie do piskląt.

Nie licząc magazynów thresh był to jak dotąd ich najlepszy łup.

Wprawdzie w drodze na północ udało im się przechwycić trzy pojazdy zaopatrzeniowe, ale

tylko w jednym znaleźli jedzenie, a w innych trochę użytecznych przedmiotów.

Dlatego teraz, kiedy w zasięgu ich wzroku pojawiły się cztery pojazdy, oolt'os natychmiast otworzyli do nich ogień.

Naczepa jadącego na przedzie ciągnika siodłowego, wypełniona kompanią Alfa i częścią sztabu batalionu, przechyliła się, a ciężkie, bezwładne pancerze przebiły boczne ścianki jak śrut przebija papier. Żołnierze wylecieli w powietrze, turlając się jeszcze wiele metrów po ziemi.

Jadące z tyłu ciężarówki zahamowały gwałtownie; kierowcy szybko wyskoczyli z wozów i schowali się w przydrożnym rowie.

Większość żołnierzy lecąc w powietrzu zwinęła się w kule, a inercja półtonowych pancerzy rzuciła ich setki stóp dalej. Ponieważ kompania Posleenów znajdowała się mniej więcej w kierunku, w którym jechały ciężarówki, kilku żołnierzy i oficer wywiadowczy batalionu spadli w sam ich środek.

Zespół projektujący GalTechu tworzyli ludzie znający się na rzeczy i dokładni, którzy przeżyli albo rozważyli wiele różnych pechowych sytuacji. W zasadzie byli pesymistami, co do szans ludzi w walce z Posleenami. Murphy był ich starym dobrym przyjacielem, a długa lista jego praw nadal żyła w ich pamięci.

Dodatkowo sytuacja, w jakiej znalazł się teraz oddział, okazała się bardzo podobna do jednego ze scenariuszy rozważanych na samym początku fazy projektów. Natychmiast więc uaktywniła się część przewidzianego na taką okazję oprogramowania.

Kompensatory bezwładności nie spowolniły ruchu pancerzy, ale za to złagodziły efekty wywierane na ukryte wewnątrz ciała. Wrażenie wirowania zostało mocno zredukowane, a wrażenia wzrokowe dostosowane do odczuwanych przeciążeń. Dzięki temu żołnierze nie poczuli się jak kule kręgielne i przynajmniej częściowo zdołali się przygotować na to, co nieuniknione.

Trzech żołnierzy wrzuconych w sam środek oddziału Posleenów należało do kompanii Alfa, pancerzy w konfiguracji Ponurego Żniwiarza. Dowódca plutonu, zdając sobie sprawę, że może im się w drodze przydać wsparcie bliskiego zasięgu, zdecydował o zamocowaniu na pancerzach działek strzałkowych.

Każde z nich, złożone z dwunastolufowych karabinów strzałkowych było w stanie wystrzelić czterdzieści tysięcy stalowych drzazg na minutę. Jak wszystkie systemy podobnej klasy, tak i Ponury Żniwiarz wyczerpywał całą amunicję po niecałych sześciu minutach prowadzenia ognia. Żołnierze wyposażeni w taką konfigurację sprzętu nie lubili oddalać się od zapasów amunicji.

Dwóch strzelców, dzięki połączeniu szczęścia ze zwinnością, wyładowało na własnych nogach, praktycznie rzecz biorąc obok siebie i w samym środku Posleenów. Większość centaurów, po których się przetoczyli, już nie żyła albo zajęta była umieraniem, ale ci przed nimi już otrząsali się z szoku i ruszyli do ataku w chwili, gdy działka otworzyły ogień.

Opuszczając lufy obaj żołnierze stanęli plecami do siebie i obracając się w miejscu plunęli stalowym huraganem zniszczenia. Każdy Posleen na jego drodze rozpryskiwał się, rozszarpany nawałą hiperszybkich pocisków.

Dwóch żołnierzy jednak nie było w stanie pokryć ogniem całej okolicy. Posleeni rzucili się na parę niosących śmierć derwiszów, tnąc monomolekularnymi ostrzami. W ułamku chwili obaj Ponurzy Żniwiarze zostali porąbani na ćwierci.

Ich ofiara nie poszła jednak na marne – Posleeni stracili na nich zbyt długą chwilę. Chwilę, która pozwoliła pozostałym żołnierzom w pancerzach wspomaganych pozbierać się i odzyskać zdolność działania.

Nim Posleeni zdołali zareagować, żołnierze wyciągnęli swoje karabiny grawitacyjne



i otworzyli ogień.

W obcych uderzył huragan srebrnych błyskawic. Wszechwładca stracił większość oolit na Market Crossing. Kiedy tsunami ognia trafiło w podległe mu niedobitki, zmiotło je w ciągu sekund. Kilka niecelnych strzałów Posleenów trafiło w pustkę.

Pechowy Wszechwładca próbował uciec przed nasilającą się falą relatywistycznego ostrzału, ale został zdjęty z nieba przez ogień broni tuzina żołnierzy. Detonacja energetycznej matrycy została przyćmiona przez tysiące kinetycznych pocisków, których trajektorie zbiegły się w miejscu, w którym jeszcze niedawno unosił się spodek. Po Wszechwładcy pozostał jedynie rozwiewany przez wiatr swąd spalenizny.

Podpułkownik Calvin Bishop wygrzebał się z rozbitej kabiny trzeciej ciężarówki i usiadł na zdewastowanych drzwiach. Jego inteligentny przekąznik kalkulował już straty. Oficer skrzywił się, kiedy spojrział na raport. Batalion był w zasadzie zdolny do dalszej akcji – straty były niewielkie – ale zasadzka na spustoszonej Blue Ridge miała bardzo złe konsekwencje.

Znajdowali się w szczerym polu, trzydzieści mil od frontu, i mieli już cztery godziny opóźnienia. Podpułkownik nie łudził się, że jego batalion może sam wpłynąć na wynik bitwy, ale wiedział, że jeśli dotrą na czas do dziewiątego korpusu, mogą przynajmniej pomóc żołnierzom w ewakuacji. Stawało się to już tradycją oddziałów pancerny wspomaganych.

Przez chwilę jeszcze zastanawiał się nad sytuacją, po czym zerwał się i zaczął wydawać dowódcom swoich kompanii rozkazy.

Musieli zdążyć na bitwę.

**Alexandria, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 22:46 letniego czasu wschodniego USA, 10 października 2004**

Wielebny O'Reilly zastanawiał się, co powinien ze sobą zabrać.

Do jego domku w Arlington szybko zbliżali się Posleeni i był pewien, że większość następnych kilku dni spędzi uciekając pieszo.

Z tak wieloma rzeczami nie chciał się rozstawać. Z kolekcją książek i manuskryptów pochodzących jeszcze z dwunastego wieku.

Z antykami i znaleziskami archeologicznymi z całego świata. Ze skomplikowanym sprzętem elektronicznym do rozszyfrowywania sekretów starożytności i współczesnych czasów. Prawdopodobnie część z tych rzeczy i tak trzeba będzie zniszczyć.

Wreszcie doszedł do wniosku, że jedyny prawdziwy skarb kryje się w jego głowie, więc włożył do torby tylko kilka par skarpetek, żelazne racje i butelkę wody. Po raz ostatni rozejrzał się po swoim wygodnym pokoju, uruchomił sekwencję samozniszczenia i wyszedł.

Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zamknąć za sobą frontowe drzwi.

Zastanawiał się, czy iść pieszo, czy przejechać pół mili do drogi stanowej numer 123 samochodem. W końcu postanowił pojechać.

Powinien oszczędzać swoje siły, a ruch uliczny mógł się już zmniejszyć. Zarzucił torbę na ramię i ruszył w kierunku najnowszego modelu buicka. Zamarł jednak nagle, gdy z mroku wyłonił się ciemny suburban ze zgaszonymi światłami. Samochód zahamował przed domem.

Wielebny zrobił błyskawiczny rachunek sumienia, zastanawiając się, czy w domu jest coś, co mogłoby go obciążać. Szybko jednak doszedł do wniosku, że dla przybyszów i tak nie ma to pewnie żadnego znaczenia. W tym momencie tylne drzwi samochodu uchyliły się, a lampa pod sufitem kabiny oświetliła Indowy Aeloola i Paula des Jardinsa.

– Wsiadaj – rzucił Paul.

O'Reilly'emu przemknęło przez głowę, że to może być pułapka, ale pospieszył w stronę suburbana.

Krępy kierowca ruszył bez słowa w kierunku przeciwnym do drogi stanowej numer 123.

– Wszystko przygotowaliśmy – powiedział Indowy. – Przy Burke Run czeka na nas himmicki statek zwiadowczy.

– Jest tylko jeden problem – powiedział des Jardins, wskazał podbródkiem na Indowy i odwrócił głowę w stronę okna.

O'Reilly uśmiechnął się do siebie, zauważając obok nóg Paula dużą torbę, w której mogła być tylko broń. Można było wyciągnąć człowieka z DGSE, ale nie było szansy, aby usunąć DGSE z człowieka. Dłoń wsunięta pod drogą marynarkę z Saville Row bez wątpienia obejmowała jakieś śmiertelne francuskie narzędzie.

– Istotnie – potwierdził mały Indowy. – Przechwyciliśmy rozkaz zlikwidowania pewnej osoby, pochodzący z biura Tirianina Dol Rona.

– Przechwyciliście? – zapytał jezuita z niedowierzaniem.

– Bane Sidhe jest bardzo starożytne i ma pośród Indowy wielu zwolenników – oświadczył niewielki kosmita. Jego nietoperza twarz zmarszczyła się w grymasie tak złożonym, że nawet O'Reilly, będąc uczonym człowiekiem, nie potrafił go rozszyfrować. Wydawał się w części wyrażać zadowolenie, a w części zniecierpliwienie. – Nasza nieskuteczność w akcjach bezpośrednich wynika

z tych samych powodów, co u Darhelów. Nasza reakcja jest zatem jak zwykle odbiciem ich reakcji, niech brudną robotą zajmą się ludzie.

– Na naszą hańbę – parsknął były agent DGSE.

– Zdaję sobie sprawę, że różnica często polega nie na realizacji, ale na wyznaczonych celach – powiedział oschle O'Reilly. – Jednak co my mamy wspólnego z rozkazem likwidacji? Czy dotyczy ona członka Societe? A może o kogoś z Franklinsów?

– Nie – stwierdził Indowy już z innym grymasem na twarzy. – Chodzi o kogoś, kto nic nie wie o działalności tych koterii. Bane Sidhe ma u tej osoby dług do spłacenia. Co więcej, uważamy, że może ona być silnym czynnikiem destabilizującym poczynania Darhelów.

– Nie warto narażać Societe dla jednej osoby – stwierdził stanowczo wielebny.

– Zwykle nie. Ale ten ktoś wiele razy udowodnił, że jest wyjątkowy. No i Bane Sidhe o to prosiła. Myślę, że to i tak niewiele w porównaniu z tym, co my zrobiliśmy dla Societe!

– A co ty na to, Paul?

– Wszystkie nasze zespoły Marion są teraz na północnym wschodzie. W przeciwnym razie my byśmy się tym zajęli.

– Więc twoim zdaniem warto zaryzykować. W czym mam wam pomóc? – spytał ostrożnie jezuita.

– Potrzebujemy Zespołu Conyers.

Wielebny uśmiechnął się lekko, starając się ukryć zaskoczenie.

Miał nadzieję jak diabli, że do hierarchii kościelnej Darhelowie aż tak głęboko nie przeniknęli.

\* \* \*

Mnich przyklęknął i skosztował winogron. Przez chwilę poruszał ustami, żeby ocenić ich smak. Plon trzeba będzie już wkrótce zebrać, potem może być za późno. Wprawdzie winogrom brakowało odrobiny słodyczy, ale przecież w tak gorzkich czasach wino nie może być słodkie. Lekki, nocny wiatr radował jego duszę. Noc była wciąż taka sama, nawet gdy świat dookoła się rozpadał.

Podniósł się z ziemi, kiedy jeden ze starszych braci zbliżył się do niego i bez słowa poprowadził w kierunku klasztornej dziedziny. Mnich zobaczył, że zbierają się tam także inni bracia, i pomyślał, że widocznie zostanie ogłoszona nowa misja.

Pamiętał swoje własne dni w zespole i wiedział, że wielu spośród zebranych tu braci nie weźmie już udziału w następnych wieczornych mszach. Wezwanie z Societe było bowiem często wyrokiem śmierci. W pewnym sensie byli jak francuska Legia Cudzoziemska; dla Societe liczyła się tylko misja, i do diabła z ofiarami.

Dla benedyktynów zawsze istotny był rytuał i umiejętność. Dlatego właśnie, w przeciwieństwie do krążących po świecie mitów, to nie z jezuitów formowano specjalne oddziały kościoła katolickiego.

Shaolin nie miało ścisłego monopolu.

Podczas gdy mnich w świetle czerwonego oświetlenia bojowego studiował raport, jego bracia w szarych i czarnych strojach zbierali już swoje narzędzia. Misja była trudna, ale można ją było wykonać.

Najwięcej problemów stwarzał brak czasu. No i, oczywiście, brak łączności i skromny wywiad.

Mnisi potrzebowali dyspensy, żeby móc się odezwać podczas takiej odprawy. Tym razem jednak nikt nie miał żadnych pytań.

Wzięli sprzęt, przebrali się i bez słowa wsiedli do furgonetek o przyciemnianych szybach.

\* \* \*

O'Neal przez skąpaną w zielonym świetle przestrzeń patrzył uważnie na przeciwnika. Następny ruch miał zdecydować o wygranej bądź klęsce. Stawka była wysoka, ale Michael O'Neal Senior bywał już w gorszych tarapatach. Zawsze było jakieś wyjście, jeśli tylko człowiek wystarczająco się postarał, dokładnie ogarnął sytuację, a potem zadziałał precyzyjnie i brutalnie. O'Neal musiał jednak przyznać, że rzadko kiedy było aż tak źle.

– Podnoszę do pięciu – powiedziała Cally.

– Sprawdzam.

– Dwie pary, król.

– Cholera! – Dziadek O'Neal rzucił karty.

Para asów leżących na stole wyglądała, jakby naśmiewała się z tego, że przegrał z ośmiolatką proste rozdanie w pokerze. Było już dobrze po północy i Cally już dawno powinna być w łóżku. Ale zważywszy na wiadomości o walkach i fakt, że jej ojciec jechał na front, Dziadek wołał zaczekać, aż sama będzie chciała iść spać. Na razie zachowywała się jak zawodowy pokerzysta.

– Jeszcze jedno takie rozdanie i będziesz zmywał naczynia przez miesiąc – powiedziała ze śmiechem.

– Tak, cóż...

Próbował wymyślić jakąś ripostę, ale szybko się poddał. Bo niby co mógł powiedzieć?

Odezwał się pager. O'Neal wyciągnął go zza paska. Urządzenie było podłączone do czujników rozsianych po całym jego terenie, a nie do telefonu. To, że zbliżał się do siedemdziesiątki, nie znaczyło, że nie potrafi korzystać z nowoczesnej techniki. Czujniki ruchu, a zaraz potem wykrywacze metalu namierzyły kogoś na długiej drodze do farmy. Urządzenie sprawdzające transmisje podprzestrzenne na razie milczało.

A więc to nie byli Posleeni. Może to szeryf chce sprawdzić, czy O'Neal nie pędzi bimbru? Albo przynajmniej nie pędzi go w domu, gdzie można byłoby go znaleźć i zawstydzić tym gospodarza. Bezpieczniej będzie nie częstować go próbką ostatniej partii.

– Mamy gościa – powiedział.

– Swoj czy obcy? – spytała poważnie Cally.

Rzuciła na stół karty, które właśnie tasowała.

– Nie wiem – odpowiedział. – Chyba musimy iść i sprawdzić.

\* \* \*

Był to niczym nie wyróżniający się ford taurus. Prawdopodobnie z wypożyczalni. Kierował nim jakiś mężczyzna. Dziadek O'Neal nie mógł dostrzec nic więcej, nawet za pomocą wysokorozdzielczej lornetki ze wzmacniaczem światła. Czekał przy oknie we frontowym pokoju, aż samochód zatrzyma się przed domem.

Kierowca, który ukazał się w świetle lamp bezpieczeństwa, był dwudziestokilkuletnim mężczyzną i przyjechał sam. Z powodu ciemnej karnacji wyglądał na Latynosa. Miał na sobie starą, zużytą kurtkę polową. Oprócz naszywki Sił Specjalnych na prawym ramieniu, nie miała żadnych oznaczeń; w żargonie komandosów była „sterylna”. Wyglądał jakby znajomo, ale O'Neal nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie go widział.

Mike Senior otworzył frontowe drzwi i wyszedł na zewnątrz, przyglądając się uważnie przybyszowi. Nie było żadnego rozsądnego powodu, aby ktokolwiek obcy składał mu akurat teraz wizytę.

Zastanowiwszy się, doszedł do wniosku, że jeszcze nigdy nikt nie złożył mu wizyty

niezapowiedzianej. Oczywiście z wyjątkiem przedstawicieli prawa. Ale nie wyglądało na to, że ma w tej kwestii jakiś wybór.

– Mike! – powiedział przybysz i na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. – Kopę lat, chłopie!

Twarz O’Neala w dalszym ciągu wyrażała dużą podejrzliwość.

– Czy my się znamy?

– Cholera. – Przybysz był wyraźnie zakłopotany. – Może to ci przypomni: „Czasem dostajesz pióra, czasem dostajesz kości.”.

O’Neal przekrzywił głowę na bok. Jego myśli powędrowały w przeszłość. Nagle otworzył szeroko oczy.

– Harold? – spytał z niedowierzaniem.

\* \* \*

– Więc tak to wygląda, chłopie. Dostałem nowe życie, nową tożsamość i od tamtej pory pracuję dla Szefa. Mów mi teraz Łazarz – skończył i uśmiechnął się krzywo.

– Pracujesz dla Firmy? Dla CIA? – Mike odchylił się do tyłu w obitym krowią skórą fotelu.

– Nie. – Pochylił się nagle do przodu. – Są agencje, o których naprawdę nikt nie wie. Wiesz przecież, kto nas wpieprzył w to bagno. Księgowi liczykrupy! Ci pacyfiści u władzy i politycy w mundurach, którzy nigdy nie pozwalali nam robić swojego tak, jak należy! Sam o tym dobrze wiesz, też się tym zajmowałeś.

– Jasne, Harold – powiedział uspokajająco Mike Senior – ale wtedy świat był inny. Wróg był inny.

Przybysz pokręcił głową.

– Nie, wróg jest wciąż ten sam. Te same dranie z tylnych szeregów, które siedzą w swoich klimatyzowanych biurach i pieprzą wszystko, czego się dotkną, a w dupę dostaje szary żołnierz.

– Harold – Mike Senior wskazał znacząco na Cally.

Dziewczynka siedziała na podłodze za fotelem przybysza i próbowała uporać się z układanką. O’Neal miał nadzieję, że obecność wnuczki trochę Harolda uspokoi. Szósty zmysł, który Mike rozwinął w sobie w sytuacjach, o których wolałby nie pamiętać, mówił mu, że coś się w przybyśzu zmieniło. I to chyba nie na lepsze.

– Słuchaj, Mike – Harold pochylił się do przodu i zniżył głos – jest dla ciebie miejsce. To ludzie, którzy wiedzą, jak trzeba działać.

Czasem zdarzają się kłopoty ze skurwielami z tyłów i wtedy jest potrzebna mała lekcja. Kapujesz?

Mike Senior zapragnął nagle dowiedzieć się, o co tu, u licha, chodzi.

– Harold, tu jest moje miejsce. Jestem już stary. Naprawdę stary.

– Spoko, chłopie. Ja też – powiedział przybysz i rozłożył ręce – spójrz na mnie. Potrzebni im doświadczeni ludzie. A przez tę mobilizację coraz trudniej takich znaleźć. Komputer wypuł twoje nazwisko i to było jak znak od Boga.

– Zastanawiam się, dlaczego tak dobrze wyglądasz. Odmłodzenie? – spytał O’Neal.

– Mamy wszystko co potrzebne – powiedział Harold i pochylił się jeszcze bardziej do przodu. – Możesz dostać, co tylko chcesz.

– Co tylko chcesz.

Mike skinął głową w zamyśleniu i w tym momencie zdał sobie sprawę, że to nie jest oferta, którą można odrzucić. Harold powiedział mu, że pracuje dla grupy, której nie dotyczą żadne

konstytucyjne ograniczenia, która ma pełny dostęp do galaktycznej technologii medycznej i która może zdobyć dowolną broń i wsparcie.

Fakt, że on nie ma pojęcia o tej grupie świadczył, że jej istnienie jest utrzymywane w głębokiej tajemnicy.

Ponieważ nie miał zamiaru przystąpić do tej grupy, na pewno będą chcieli upewnić się, że już nigdy nikomu nie będzie mógł o niej opowiedzieć.

Pozostawienie Cally w pokoju było ze strony jego byłego ucznia sprytnym posunięciem. Harold przypuszczał, być może słusznie, że Mike nie będzie chciał pozbyć się go na oczach dziewczynki, chociaż sam nie miałby takich skrupułów. To był jeden z problemów służby wojskowej, niemożność wyboru współpracowników albo podwładnych. Co do Harolda, Mike Senior zawsze skrycie nim gardził. Facet był podręcznikowym psychopata. Gdyby przez pomyłkę zastrzelił małą dziewczynkę, jedyną rzeczą, jaką by poczuł, byłby odrzut broni.

Mike Senior czuł, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia. W dodatku nie był całkiem pewien, czy uda mu się z niej wyjść z życiem.

Harold miał tyle samo doświadczenia co on, ale teraz był znacznie młodszy. Jeśli spodziewał się, że Mike Senior może odrzucić jego ofertę, był niewątpliwie uzbrojony i gotowy zabić jego i Cally. Potrafił także zignorować albo zlikwidować wszystko, co mogło go rozproszyć. Gdyby Mike nagle wstał, skończyłoby to rozmowę definitywnie. Ruchem uprzedzającym.

Mógł więc tylko grać na zwłokę. Oczywiście Harold będzie podejrzewał, że O'Neal to robi. I właśnie dlatego może być bardzo interesująco.

– Cóż – powiedział O'Neal i złożył dłonie w kształt piramidy, czując nagłe olśnienie. Nic nie powinno wskazywać na to, że przejrzał całą sytuację. – To ciekawa oferta.

Dokładnie w chwili, gdy to powiedział, jego pager znowu zabręczał.

Harold pochylił się błyskawicznie do przodu, a jego dłoń powędrowała do boku, ale Dziadek O'Neal po prostu dalej spokojnie siedział. Kiedy Harold zamarł, Mike uśmiechnął się lekko.

– To tylko brzęczyk – powiedział z uśmiechem.

Harold zaśmiał się.

– No tak. Twój?

Zabójca pochylił się do przodu i położył ręce na udach. Broń miał ukrytą w kaburze z boku albo na plecach, zauważył Mike, zastanawiając się kogo znów diabli nieśli. Uniósł koszulę i odsłonił pager, po czym najspokojniej w świecie wyjął urządzenie zza paska. Mógł tylko mieć nadzieję, że Harold wierzył, iż jego rozmówca nie ma o niczym pojęcia.

Ręce Harolda pozostały na widoku, nadal oparte na udach. A więc kabura z boku. Dziadek O'Neal udał, że sprawdza pager.

– To od mojego syna – skłamał. – Jest w drodze do swojej jednostki.

Czujniki wskazywały kolejny pojazd, ale ten miał sygnaturę ciężkiego metalu. Albo to duża ciężarówka, albo furgonetka z metalem w środku. Ostatnim razem widział taką sygnaturę, kiedy razem z kumplami wracali z Dahlonga, z zawodów strzeleckich.

Ponieważ nie spodziewał się żadnego wsparcia, musieli to być przyjaciele jego gościa, jadący upewnić się, czy rozkazy zostały wykonane.

– Jak mówiłem – ciągnął dziadek O'Neal – to bardzo ciekawa oferta. Szczególnie odmłodzenie. Bo chyba o tym mówimy?

– Tak. – Harold lekko się rozluźnił. – Masz to w zestawie.

– Cóż, Bóg jeden raczy wiedzieć, jak często w swoim czasie wykonywałem mokrą robotę...

– Dziadku, czy tatuś ci powiedział, jak to się układa? – przerwała mu Cally.

– Nie, skarbie – rzucił, nie spuszczać oczu z przybysza.

Cieżarówka pewnie wyjeżdżała właśnie z lasu. Przybysze mogli wysiąść w ukryciu i spróbować się podkraść, albo władować się prosto przez frontowe drzwi. W tym drugim przypadku będą tu za niecałą minutę. A to oznacza, że czas kończyć rozmowę.

– Sama spróbuj się z tym uporać.

– Trochę mi się spieszy – powiedział Harold, jakby czytał mu w myślach. – Potrzebna mi jasna odpowiedź. Tak czy nie. I to teraz.

Pochylił się do przodu, a jego prawa dłoń zsunęła się w dół po udzie.

– I tak nigdy nie lubiłam tych galaksjańskich gówien – powiedziała do siebie Cally.

Rozległ się cichy dźwięk odbezpieczenia broni.

Mike Senior zdążył tylko zamknąć oczy, zanim ochlapała go krew i kawałki mózgu Harolda Locke'a. Pocisk rozrywający kaliber .380 z walthera Cally rozłupał czaszkę przybysza jak melona.

Mike zerwał się na równe nogi, wytarł oczy i wypluł kawałki mózgu, przypominające w smaku jajko na miękko.

– Dobra robota, dziewczyno, ale mamy towarzystwo.

– Wiem, dlatego tak się spieszyłam. Miałam nadzieję, że zdradzi coś więcej. Bunkier?

– Tak. – Patrzył, jak ostrożnie zabezpiecza mały pistolet i rusza w stronę bunkra. – Skąd wiedziałaś?

– Trzęsie ci się prawa ręka, kiedy masz złe karty. Poza tym skłamałeś z tym pagerem. – Nie wspomniała już o tym, że przybysz patrzył na nią tak, jak dziadek patrzy na kurczaka, kiedy ma zamiar ubić go na obiad.

Kiwnął głową i uśmiechnął się.

– Nie wydaje mi się, żebyś nauczyła się tego od ojca, co?

– Nie – powiedziała i ruszyła ku drzwiom – ale tata nie uczył mnie też grać w karty. To zasługa mamy. Chodźmy.

**Okręg Rabun, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 03:25 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

Dowódca drużyny uniósł głowę na odgłos wystrzału z pistoletu.

W domu było dwóch podopiecznych, w tym młoda kobieta. Zważywszy na profil zabójcy nie zapowiadało to niczego dobrego.

Gestem ręki nakazał postój i odwrócił się do eksperta technicznego, który odszyfrowywał właśnie odczyty dostarczonych im przez Galaksjan czujników życia. Wskazywały one na trzy osoby, w tym jedną martwą. Żył mężczyzna i młoda kobieta.

Dowódca drużyny machnięciem ręki rozkazał obieć budynek i ostrożnie wejść do środka. Niecierpliwie czekał na więcej danych.

\* \* \*

Mike Senior skończył zapinać rzepy założonego na Cally kevlarowego pancerza i zarzucił na siebie swój własny. Cally trzymała w ręku brytyjski bullpup kaliber 7.62. Ubiór, broń i wysychająca na jej blond włosach krew – to był naprawdę niecodzienny widok.

– Guzdrasz się, dziadku.

– Ty też nie jesteś zbyt szybka – zaśmiał się, zapiął dwa ostatnie rzepy i podniósł MP-5. Potem podskoczył kilka razy, upewniając się, że nic nie grzechocze. – Ciężko będzie doczyścić dywan w gościnnym.

– No to przepraszam, że go zastrzeliłam. Albo nie.

\* \* \*

Mnich idący na szpicie sprawdził, czy da się wejść oknem. Uniósł mikrokamerę i przeskanował nią sypialnię. Wyglądała na nieużywaną; łóżko było zasłane, żadnych rzeczy osobistych, żadnego bałaganu. Potem sprawdził systemy antywłamaniowe. Okno miało alarm magnetyczny, ale łatwo można go było obejść. W pokoju były jednak detektory ruchu. Unieszkodliwił alarm okna, po czym otworzył je krótkim łomem i ostrożnie wszedł do środka. Jeśli będzie poruszał się bardzo powoli, czujniki ruchu go nie wykryją. Gdyby nastawiono je na dużą czułość, włączałyby alarm przy każdym silniejszym podmuchu powietrza. Ruszył naprzód, a kamera na jego ramieniu wiernie przekazywała obraz do dowódcy drużyny.

\* \* \*

– Są w pokoju gościnnym na dole – powiedział dziadek O’Neal.

Bunkier z kuchnią łączył krótki tunel. O’Neal mógł stąd obserwować przybyszów, miał także dostęp do odczytów czujników rozsianych po całej posiadłości i domu. Czujniki nie były podłączone do alarmów, więc ustawiono je na najwyższy możliwy próg czułości. Odróżnienie fałszywych alarmów od rzeczywistego zagrożenia było nie lada sztuką. W sypialni znajdował się też mały mikrofon i kamera. Może był trochę przewrażliwiony, ale ciężko było mu wyzbyć się starych nawyków.

– Kto to jest? – spytała Cally. Zarzuciła bullpup na plecy i sprawdziła spusty detonatorów min. Czekala ją niezła zabawa; na komendę dziadka miała wysadzić w powietrze ładunki. Może nawet byłaby skłonna pozwolić dziadkowi kilka z nich odpalić. Jeśli będzie grzeczny.



– Hmm, niech się przyjrzę – odpowiedział O’Neal Senior. – Czarne kamizelki kuloodporne. Czarne kominiarki. Czarna broń.

Czarne buciory. Jej, czyżby to był Święty Mikołaj?

– Policja?

– Nie, mieliby to napisane na plecach wielkimi literami – powiedział dziadek O’Neal i wskazał na idącego powoli korytarzem żołnierza. – Ale są dobrzy. Szkoda, że musimy ich zabić.

\* \* \*

Idący na szpicy mnich zamarł przy wejściu do pokoju gościnnego. Ciało leżące na skórzanym fotelu nie należało do żadnego z ich podopiecznych. To był cel. Mnich westchnął z ulgą.

\* \* \*

– To dziwne – mruknął dziadek O’Neal.

– Co? – Cally właśnie zaczęła sprawdzać obwód.

Zapalniki zaprojektowano tak, aby wytrzymały próbny prąd o małym napięciu bez wywołania wybuchu. Tylko dwa obwody nie działały. Bardzo dobrze. Jedna mina była umieszczona bezpośrednio za przybyszami. Na rozkaz dziadka nieznajomi mieli się zamienić w tosty.

– Ten facet wygląda, jakby mu ulżyło. Jeśli ubezpieczał Harolda, powinien być zdenerwowany widokiem jego ciała.

– To kim on może być?

– Nie wiem. Ale to dziwne.

\* \* \*

Dowódca drużyny spojrzał zdziwiony na technika. Potem chwycił telefon komórkowy i zerknął na kawałek papieru.

\* \* \*

Na telefonie w bunkrze zaczęło migać czerwone światełko. Dziadek O’Neal spojrzał na nie zaskoczony i podniósł słuchawkę.

– Czy to pan Michael O’Neal Senior? – spytał głos w słuchawce.

– Tak – odpowiedział ostrożnie dziadek O’Neal.

– Czy pan i Cally O’Neal jesteście cali?

– Tak.

– Jeśli wolno mi spytać, gdzie wy jesteście?

Mike Senior zaśmiał się złośliwie.

– W bunkrze, skąd obserwujemy, jak pan i pański żołnierz drapiecie się w głowę. Proszę o uśmiech, jesteście w ukrytej kamerze!

– Aha – odpowiedział ostrożnie komandos. – Otrzymaliśmy rozkaz chronienia was przed Haroldem Lockem, oficerem operacyjnym... któremu przydzielono zadanie zlikwidowania was. Wszystko w porządku?

– Tak.

– To dobrze. W takim razie wycofujemy się.

– Rozumiecie chyba, że w tej sytuacji nie zaprosimy was na herbatę? – zażartował Dziadek O’Neal.

W słuchawce rozległ się śmiech.

– Oczywiście. Czy chcecie, żebyśmy zabrali ciało, czy wolicie sami się nim zająć?

To dobre pytanie. Jeśli ktoś rozpocznie później śledztwo, ciało może stanowić dowód obciążający Cally. Nie warto byłoby nawet mówić w sądzie, że to on jest za wszystko odpowiedzialny. Nie było na to dowodu.

Ale miał wątpliwości, czy może tym ludziom zaufać. Czy zajmą się tym najlepiej, jak można? Odpowiedział tak, że sam siebie zaskoczył.

– Tak, zabierzcie. Dzięki. Przyjdźcie na herbatę innym razem.

I nie przyprawdzajcie aż tylu przyjaciół.

– Niech Bóg będzie z panem, panie O’Neal.

Grupa wzięła się do pracy. Szpica otworzył drzwi frontowe domu i do środka weszło trzech innych ubranych na czarno żołnierzy. Kilka sekund później podjechały dwie furgonetki. Kiedy żołnierze w czerni pakowali ciało w worku do wozu, z drugiej furgonetki wysiadło kilku ludzi ubranych w białe uniformy. Przytaszczyli ze sobą najprzeróżniejszy sprzęt i przybory do czyszczenia, i rozpoczęli generalne sprzątanie pokoju.

Kiedy usunęli już praktycznie każdą plamkę krwi, zasunęli zasłony w oknach i zgasili światła. Dziadek O’Neal wiedział, co się teraz będzie działo. Wiele nowoczesnych metod śledczych opiera się na badaniu materiałów, które świecą pod wpływem ultrafioletu.

Zespół niewątpliwie usuwał właśnie takie dowody.

Kiedy znów zapalili światła, pokój był tak idealnie wysprzątany, że aż podejrzany. Zwykle pokoje gościnne nie bywają aż tak czyste.

Obie grupy wsiadły do furgonetek i odjechały. Jak zauważył dziadek O’Neal, nie zamienili przy tym ani słowa. Jeden z mężczyzn w białym uniformie przebrał się w cywilne ubranie i odjechał samochodem, którym przybył tutaj Harold. Odkąd pierwszy żołnierz wszedł do pokoju gościnnego, minęła niecała godzina. Widzieli tylko twarz mężczyzny w białym ubraniu, ale nawet on miał ciemne okulary i brodę.

– Cholera – szepnęła Cally – kim byli ci zamaskowani mężczyźni?

– Nie wiem – odpowiedział dziadek O’Neal z szerokim uśmiechem. – Ale na pewno znali się na swojej robocie.

A dziś trudno znaleźć dobrych fachowców.

**Pentagon, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 04:24 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

Jack Horner wpatrywał się w mapę i zastanawiał, co, u licha, ma właściwie robić. Drogi wylotowe z Arlington były zatkane uciekinierami. Zawrócenie korpusu przekreśliło cały plan ewakuacji i trzeba go było teraz układać na nowo. Chociaż międzystanówki opróżniono z pojazdów, na bocznych drogach utknęło tyle samochodów, że praktycznie nikt nie mógł przedostać się na główne arterie ruchu.

Większość ewakuowanych mieszkańców wpadła w panikę, kiedy centaury rozbiły dziesiąty korpus. Nie wiedzieli, że Posleeni potrzebują wielu godzin, żeby okrążyć zbiornik Occoquan, i że dziewiąty korpus jest już w drodze. Baza Quantico, która stała się cmentarzem jednostek, które kiedyś się w niej szkoliły, znajdowała się zaledwie trzydzieści minut drogi od Arlington.

Z powodu ulicznego korka wielu ludzi porzuciło samochody i ruszyło dalej na piechotę. Wielu wsiadało do autobusów. Wędrowali na północ bocznymi drogami, wyobrażając sobie, że Posleeni depczą im po piętach.

W normalnych okolicznościach, na ćwiczeniach, Horner wysłałby już teraz szybkie kolumny pancerne, których zadaniem byłoby spowolnienie marszu Posleenów. W tym czasie żandarmeria wojskowa wspierana przez lekką piechotę mogłaby kierować strumieniami uciekinierów, a w niektórych przypadkach podwozić ich.

Niestety takie zadanie można było przydzielić albo dziesiątemu korpusowi, którego już nie było, albo dziewiątemu, który szybko tracił siły.

Część ósmego korpusu, sto piąta dywizja piechoty, dotarła na północ Dystryktu Kolumbia, ale była w poważnej rozsypce. Żołnierze potrzebowali sporo czasu – a biorąc pod uwagę ostatnie doświadczenia, naprawdę sporo – żeby sprowadzić wozy bojowe z naczep i skoncentrować jednostki. A użycie ich jako szybkich kolumn zakrawało na żart. Trzy miesiące temu musiał wysłać brygadę żandarmerii z Fortu Bragg do Fortu Dix, żeby spacyfikować bunt w tej jednostce. Zamiast zająć pozycje między Posleenami i rzeką uchodźców, równie dobrze mogła teraz po prostu zwać do New Jersey.

A na dodatek te lądowania! W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin z hiperprzestrzeni wyszło ponad czternaście dodekaedrów B. Cztery zostały wprawdzie całkowicie zniszczone przez jeszcze sprawne okręty Floty, ale Ziemia straciła przy tym trzy fregaty.

Centra obrony planetarnej nadal miały kłopoty. Ponieważ nie były w stanie powstrzymać lądowania Posleenów, wykorzystano je do ataków na startujące lądowniki. Europa straciła dwanaście z dwudziestu centrów obrony planetarnej, Chiny osiem, a Ameryka cztery.

Lądowania odbywały się wszędzie. Jedno przytrafiło się nawet Phoenix, na miłość Boską. Posleenów wciąż przybywało, a Horner nie wiedział już, skąd ma brać żołnierzy. A musiał ich skądś wziąć.

Wiedział, że mapy i wykresy nie oddają dokładnie rzeczywistości, ale tylko z ich pomocą mógł podejmować jakiegokolwiek decyzje. Liczby w arkuszu zestawienia sił dziewiątego korpusu mały jak kostka lodu na patelni, w miarę jak coraz to nowe oddziały Posleenów wciskały się w szczelinę między Lake Jackson i Occoquan. Ikona drugiego batalionu pięćset pięćdziesiątego piątego pułku znajdowała się blisko podstawy natarcia opodal Lake Jackson, ale nawet natarcie ze skrzydła nie zatrzymałoby teraz Posleenów. Do diabła, mogłoby ich skłonić do ruszenia naokoło. Na razie na

szczęście tego nie próbowali.

Generałowi pozostała do dyspozycji tylko jedna jednostka w bazie Indiantown Gap, położonej najbliżej Arlington. W Harrisburgu stacjonowała brygada z dwudziestej ósmej zmechanizowanej.

A więc czas wyciągnąć paru ludzi z ukrycia.

\* \* \*

Lekkie kołysanie pięciotonowej ciężarówki, która przebijała się przez korek na drodze krajowej, najpierw działało Michaelowi na nerwy, a potem go znużyło. Zdawał sobie jednak sprawę, że przemieszczał się w stronę odległej kanonady najszybciej, jak to było możliwe.

Za każdym razem, kiedy jednostka zatrzymywała się na odpoczynek albo ciężarówka, którą jechał, psuła się, Mike przesiadał się do pojazdu innej jednostki. Zazwyczaj sam mundur Floty gwarantował, że zostanie podwieziony. Tylko raz musiał podać swoje nazwisko i skontaktować się z przełożonymi. Ale to był powolny marsz.

Mike nie martwił się, że zabraknie dla niego Posleenów, mieli przecież kręcić się w okolicy jeszcze przez całe tygodnie. Obawiał się jednak rzucenia kompanii do walki w sytuacji, gdy dowodziła nią Nightingale. Jego koszmar się ziścił.

Prawie już spał, kiedy zabrzączał jego przekaźnik.

– Połączenie przychodzące z generałem Hornerem.

Mike westchnął i nawet nie zadał sobie trudu, żeby otworzyć oczy.

– Odbierz.

– Mike?

– Tak, generale.

Przez chwilę było cicho.

– Próbowaliśmy.

– Wiem.

Znowu cisza.

– Mamy tu sytuację...

– Uchodźcy.

– Właśnie – westchnął generał.

Mike otworzył oczy. Przekaźnik niemal nauczył się już czytać w myślach oficera, więc nagle, bez słowa rozkazu, w ciemnym wnętrzu ciężarówki zawisł holograficzny schemat bitwy we wschodniej części Stanów Zjednoczonych. Żołnierze, którzy nie spali, zerwali się przerażeni na równe nogi. Nagle, bez słowa ze strony oficera Floty, w ciemnym wnętrzu ciężarówki pojawił się holograficzny schemat bitwy, toczony we Wschodnich Stanach Zjednoczonych.

Światła jadącego za nimi w konwoju samochodu częściowo go zakłóciły, ale przekaźnik spolaryzował światło i stworzył zacienioną strefę.

To była technologia tak zaawansowana, jak radio dla Aborygena, i równie obca. I takie robiła wrażenie.

Przekaźnik naszkicował prawdopodobne trasy marszu rozsianych po całej mapie uchodźców z Arlington, a potem wyliczył, kiedy mogą ich dopaść Posleeni, zakładając, że dziewiąty korpus utrzyma się tak długo, jak przewidywano. Przekaźnik wyliczył też czas przemarszu batalionu piechoty mobilnej. Trzy kolorowe trasy wyraźnie nie przecinały się tam, gdzie trzeba.

– Przybędziemy za późno – powiedział cicho Mike.

Każdy spodziewał się przybycia kawalerii, która w ostatnim momencie, powiewając sztandarami, ruszy do szarży. Ale tym razem kawaleria była za daleko i w zbyt dużej rozsypce. Mimo

wszystkich starannych przygotowań było jej trochę za mało i przybywała trochę za późno.

– Mimo wszystko nakazałem ewakuację. Mam przecucie, że najgorzej będzie przy moście na Czternastej Ulicy.

– No tak. – Mike skinął głową. – Brzmi sensownie. To właściwie ostatni z mostów prowadzący na wschód, wąskie gardło, o którym wszyscy wiedzą, gdzie się znajduje.

Most prowadził prosto pod pomnik Lincolna, a górował nad nim cmentarz Arlington.

– Spodziewam się, że kiedy ułóżcy dotrą na miejsce, będzie tam na nich czekać wsparcie. A trzecia piechoty planuje jak najdłużej utrzymać południową stronę mostu.

– Niech zgadnę.

– Tak, dowódca stwierdził, że Posleeni mogą zająć wzgórza Arlington dopiero po jego trupie.

– I traktuje to dosłownie.

Stara Gwardia była fanatycznym zwolennikiem utrzymania Arlington. Bardziej niż jakiegokolwiek byłego prezydenta czy innego pomnika. Jednak była to jednostka głównie paradna, nie dysponująca bronią ciężką.

– Cóż, przypuszczam, że jeszcze jedna głupia akcja w niczym już nie zaszkodzi.

– To nasz prezydent, kapitanie O’Neal – powiedział cicho generał.

Była to oczywista reprimenda, ale Mike wiedział, że w głębi serca generał zgadza się z nim.

– Wasz prezydent – powiedział tak samo cicho Mike. – Zrzekliśmy się obywatelstwa, wstępując do Floty. Nie pamięta pan, sir?

Odpowiedzią była cisza.

– Rozkazał pan już batalionowi wyruszyć? – zmienił temat Mike.

– Nie, porozumiem się z majorem Givensem, kiedy wszystko będzie już gotowe.

– Muszę się tam dostać, generale.

Mike wyłączył hologram machnięciem ręki i odetchnął głęboko.

Para z ust była w światłach jadącej z tyłu ciężarówki jak mgła.

– Cóż, nie widzę sposobu, kapitanie.

– Śmigłowiec.

– Zgłupiałeś?! Posleeni zestrzelą cię, zanim jeszcze będziesz w połowie drogi do Indiantown Gap! Do diabła, przypomnij sobie zasadzkę drugiego batalionu!

Mike znów wyświetlił mapę. Tym razem do wyświetlonych danych wprowadził wektory i przypisał im poziomy zagrożenia.

– Shelly, prześlij to generałowi Hornerowi.

Dopiero te słowa uświadomiły przebywającym w ciężarówce żołnierzom, z kim tak się kłóci kapitan Floty. Skulili się w kącie, jakby O’Neala miał zaraz trafić grom.

– Dojeżdżamy do Winchester. Niech czeka tam na mnie jakiś ptaszek. Blackhawk, kiowa, wszystko jedno. Polecimy nisko i prześlizgniemy się przez dolinę koło Harper’s Feny. Dołączę do jednostki gdzieś na drodze krajowej 83.

Po drugiej stronie linii przez chwilę było cicho; generał Horner studiował schemat. Hologram pokazywał pozycje Posleenów i prawdopodobne pola ostrzału. Gdyby śmigłowiec trzymał pułap poniżej stu metrów, może udałoby mu się znaleźć wystarczająco blisko trasy, o której mówił Mike.

– Zakładasz dwie rzeczy, które nie są prawdą. Po pierwsze, że Posleeni nie wystartują. Jeżeli lądownik się wzniesie, zmiecie cię z nieba. Po drugie, że nie przybędą żadne nowe lądowniki. A przecież w ciągu ostatniej godziny zanotowaliśmy aż trzy kolejne lądowania.

– Jeśli jakiś wyląduje albo wystartuje, schemat się zmieni. Shelly będzie go stale uaktualniać. Po to ją mam. Wylądujemy, jeśli będzie trzeba, i zaczekamy, aż niebezpieczeństwo minie.

– To mi się nie podoba, Mike. Uważam, że to niepotrzebne ryzykowanie jednym z naszych najmocniejszych punktów.

Mike przełknął ślinę. Uważał Hornera za kogoś w rodzaju drugiego ojca, ale nigdy nie był pewien, co generał tak naprawdę o nim myśli. Jego słowa zabrzmiały jak komplement, którego każdy syn chciałby wysłuchać.

– Ma pan na myśli mnie czy śmigłowiec? – zażartował. – Nieważne. Nie jestem niezastąpiony, sir. Chociaż to rzeczywiście dobry pomysł, żebym był obecny podczas działań wojennych.

Znowu zaległa długa cisza.

– Dam ci śmigłowiec. Zgadzam się, że raczej nie mamy wiele czasu.

**Brentsville, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 04:46 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

– Poruczniku – syknął Keren.

Porucznik Leper obudził się i zacisnął dłoń na AIW. Keren chwycił lufę i skierował ją w górę, byle dalej od siebie.

Porucznik potrząsnął głową i popatrzył na Kerena.

– Która godzina?

Wewnątrz bradleya panowały nieprzeniknione ciemności.

– Wpół do piątej, poruczniku. Właśnie przybył oddział pancerzy wspomaganych. Szykują się za nami. Pułkownik chciałby z panem pomówić. Powiedziałem mu, że pan śpi...

Leper zaśmiał się. Znajac Kerena, pułkownik dowiedział się nie tylko tego.

– W porządku. Wspominałem ten moment, gdy straciliśmy Trójkę.

– Było jak pan mówił, poruczniku. Szło nieźle, dopóki nie skończyła się amunicja. – Keren wzruszył ramionami. Baterie mózdzierzy nigdy, pod żadnym pozorem, nie były przewidziane do nawiązywania bezpośredniego kontaktu z nieprzyjacielem. Ci, którzy mają do tego okazję, rzadko przeżywają.

Porucznik usiadł i odruchowo sprawdził swoje AIW. Włożył granat do magazynka, upewnił się, że karabin i granatnik są zabezpieczone, po czym depcząc po porozrzucanym sprzęcie i śpiących żołnierzach ruszył do luku desantowego.

Na zewnątrz było ciemno choć okol wykol i tylko gwiazdy migotały na bezchmurnym niebie. Niedaleko szemrał strumień Kettle Run; skręcał na północy w kierunku zbiornika Occoquan, po czym znów zawracał. Niedobitki kompanii zatrzymały się wewnątrz zakola, naprzeciw Brentsville Road.

Porucznik żałował, że nie zabrał ze sobą noktowizora. Prąd przekierowano do Manassas i przyległych terenów, więc wokół nie paliła się ani jedna żarówka, która mogłaby chociaż odrobinę rozjaśnić najciemniejszą noc we wschodnich Stanach Zjednoczonych. Porucznik ledwie widział swoje własne dłonie.

Zrobił krok naprzód i jego kevlarowy hełm uderzył w metalową ścianę.

Ledwie dojrzał majaczącą przed nim postać.

– Porucznik Leper? – spytała zjawa.

– Tak – odpowiedział porucznik, pocierając bolące czoło.

– Podpułkownik Bishop, Siły Uderzeniowe Floty.

– Na rozkaz, sir – powiedział zmęczony porucznik. Dwie godziny snu po tym wszystkim, co przeszli, po prostu nie wystarczały.

– Jaka jest sytuacja, poruczniku?

Leper zastanowił się nad tym pytaniem i nagle ogarnęła go chęć wydarcia się na oficera. Jaka jest sytuacja?! Sytuacja jest taka, że mamy przejebane! Dziewiąty korpus już zapowiedział, że długo nie wytrzyma. W jaki sposób mieli się wycofać, mając Posleenow tuż za plecami – to było naprawdę dobre pytanie. Będzie z dziesięć razy gorzej niż pod Occoquan. Wtedy przynajmniej Posleeni byli rozproszeni, a teraz są zmasowani tuż przed frontem korpusu.

A jego oddział był po złej stronie dziewiątego korpusu. Ponieważ bronili południowego skrzydła, to jeśli linie korpusu puszczą, Posleeni znajdą się za nimi. I była to jedynie kwestia czasu. A do tego pojawiła się plotka o oddziałach żandarmerii, rozlokowanych za frontem z rozkazami

strzelania do dezertorów.

Ale wszystko to wkrótce miało przestać się liczyć. Kiedy linie zostaną przełamane, nic już nie będzie miało najmniejszego znaczenia.

– Trzymamy południowe skrzydło korpusu, sir. – Właściwie trzymali południowe skrzydło Lake Jackson. Samo jezioro ubezpieczało południowe szeregi korpusu. – W terenie nic się nie dzieje. Mieliśmy tu jednego Wszechwładcę z jego kompanią, ale zajęliśmy się nim, nie ponosząc znaczących strat.

Front trzymała niecała brygada. Większość żołnierzy nie należała nawet do piechoty. Byli tu księgowi, kucharze i orkiestra pułkowa. To wszystko, co zostało z dziesiątego korpusu, oprócz artylerii dywizyjnej.

Straty podczas natarcia kompanii Posleenów wyniosły niecały pluton. Z drugiej strony, z całego korpusu zostało niewiele więcej.

Podjeżdżał, że to zmienia jakiś obraz całości, ale nie miał ochoty się nad tym zastanawiać. Czy dla korpusu ten pluton nie był teraz odpowiednikiem batalionu? A jeżeli tak, to czy nie powinno się go przedstawić jako utraty batalionu?

– Na razie sobie radzimy – zakończył.

– Rozumiem, że cofaliście się międzystanówką?

Leper poczuł, że stojący za nim Keren aż się zjeżył.

– Byliśmy tylną strażą, sir – powiedział porucznik głucho.

– Na ile szacujecie wielkość posleńskich oddziałów?

– Słucham?

– Ilu ich tam jest, poruczniku? – pułkownik zapytał z żelazną cierpliwością.

Wyczerpany oficer popatrzył na niego przez chwilę.

– Czy to podchwytliwe pytanie?

– Nie.

– Sir, jest ich więcej niż gwiazd na niebie, więcej niż źdźbeł trawy na łące i więcej niż drzew w lesie. Wypełniają świat od horyzontu aż po horyzont i wszyscy co do jednego chcą nas, kurwa, pozabijać!

Pułkownik stał przez chwilę nieruchomo i milczał.

– Więc jak udało wam się przeżyć?

Porucznik mrugnął gwałtownie i pomyślał o tych wszystkich, którym się nie udało.

– Nie wiem – przyznał Leper – powinienem już być martwy.

Zamknął oczy i potrząsnął głową.

– Chryste, przegraliśmy. Nie wspominam o zabiciu Starego i zniszczeniu kompanii przez naszą własną artylerię. Traciliśmy ludzi z prędkością, z jaką rzekami płynie woda! Chwilami miałem już pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu żołnierzy. Zatrzymaliśmy się na sekundę, żeby... odetchnąć, żeby... się przegrupować, żeby ustalić, kto, u licha, ma prowadzić. A potem pojawiali się oni... a wtedy... następną rzeczą jaką pamiętam, to to, że znów byliśmy w drodze, uciekając tak szybko jak się dało. A z ludzi zostawały mi może ze dwie drużyny. I ciągle się to powtarzało. Nie wiem, ilu żołnierzy przeszło przez moje ręce, pułkowniku. Nie wiem, ilu straciłem po drodze. Nie wiem ilu minęliśmy. Niektórzy po prostu się poddali, niektórzy byli ranni albo po prostu zmęczeni się biegiem. Nie znam nawet ich nazwisk!

Porucznik wyprostował się i spróbował otrzeć oczy.

Pułkownik zdjął hełm z sykiem zasysanego powietrza. Dotknięcie przycisku spowodowało, że pancerz zaczął lekko świecić na niebiesko, nieco rozjaśniając ciemność.



– Czy ktokolwiek prosił w ogóle o zdanie raportu? – spytał miękko głosem.

– Nie, sir – odpowiedział Keren zamiast porucznika. – Kiedy wjechaliśmy na terytorium dziewiątego korpusu, potraktowali nas jak śmierdzące jajo. Kazali nam tylko przyjechać tutaj i zebrać się do kupy. I nie deptać trawników.

Pułkownik skinął głową.

– Cóż, poruczniku, uważam, że bardzo dobrze dał pan sobie radę – powiedział stanowczo. Potem położył rękę na ramieniu Lepera. – Synu, to piekło. Wiem. Ja też byłem w piekle.

Porucznik podniósł wzrok na oficera i głęboko odetchnął.

– Moja kompania przez tydzień walczyła w Dak-To. Straciliśmy paru ludzi, a kiedy w ich miejsce przysyłano uzupełnienia, znów ich traciliśmy. Nigdy nie wiedziałem dokładnie, kto siedział w okopach. Na koniec całej sprawy, Vietcong z powrotem zniknął w dżungli, a z naszej kompanii zostało piętnastu żołnierzy, łącznie ze mną. Przez oddział przewinęło się wtedy prawie dwustu ludzi. Ja także nie znałem nazwiska żadnego z nich. Nikt w kompanii nie znał.

– Nie zapisałem, sir – powiedział cicho porucznik.

– I zawsze będzie cię to prześladowało – dodał pułkownik. – Ale nadal jest robota do wykonania. Wykonasz ją?

– Tak jest, sir.

– Wystawiliście obserwatorów?

– Tak, sir. Na razie nie widać nic poza jedną kompanią.

– Patrole?

– Żadnych. Za parę godzin chciałem wysłać jeden. Prędzej czy później Posleeni muszą tu trafić. Dopiero co skończyliśmy się okopywać. Jeśli wyślę teraz żołnierzy na patrol, przejdą kilkaset metrów i po prostu padną z nóg.

– W porządku – powiedział pułkownik. Porucznik przynajmniej miał rozeznanie w sytuacji. – Nie musicie wysłać patroli. Za dziesięć minut minimy wasze szeregi. Ruszymy Bristol Road i spróbujemy wziąć Posleeniów od tyłu, jak małpa żonę młynarza. Może się uda, może nie. Jest szansa, że wrócimy tak szybko, jak wyruszyliśmy. Zastaniemy was tutaj?

– Tak jest, sir.

– Dobrze. Miło mi to słyszeć. A ciebie, Keren?

– Zależy, kto tu dotrze pierwszy – odpowiedział szeregowiec. – Jeżeli to będą Posleeni, to będziecie musieli wiać aż w góry.

– W porządku. – Pułkownik włożył hełm i chwilę później niebieskie światło zgasło. – Czas ruszać, nie sądzicie?

\* \* \*

Ardan'aath zawarczał wściekle, kiedy kolejna droga okazała się nie do przebycia.

– Możemy jeszcze nie zawracać? – ryknął. Skierował swoje działo plazmowe na północ, skąd wyraźnie dolatywał huk artylerii i rakiet.

W niebo wzbijały się wiązki światła i pociski smugowe.

– Tam! Tam jest bitwa!

Strzelił smugą plazmy w stronę odległego frontu.

– Już niebawem pójdziemy dalej – próbował go uspokoić Kenallai. Zerknął na swojego eson'antaia. – Prawda?

– Prawda – zgodził się młody Kessentai i nastroszył grzebień. – Przed nami jest droga, którą Arnata'dra już ruszył.

– Nareszcie! – warknął starszy Kessentai. – Bitwa się skończy, zanim tam dotrzemy!

– Arnaathu – powiedział Kenallai – zastanów się nad otwartym szturmem na tych thresh! U ich stóp padło więcej oolfondai niż Po’oswroju!

Ardan’aath wściekle nastroszył grzebień, ale musiał się z tym zgodzić. Po trzykroć przeklęty pokarm z tego świata potrafił piekielnie dobrze walczyć. Kiedy nikt nie patrzył, skopiował wreszcie informacje z Aradan 5. Tresh w metalowych szatach były nieprzećiętymi wrogami. Mimo, że miał już kilka pomysłów, jak sobie z nimi poradzić, miał nadzieję, że nie będzie musiał ich sprawdzać w praktyce.

\* \* \*

Batalion Sił Uderzeniowych Floty dostał pancerze zaledwie miesiąc wcześniej. Podczas gdy żołnierze pierwszego batalionu pięćset pięćdziesiątego piątego pułku przebywali w pancerzach ponad tysiąc godzin, większość drugiego batalionu spędziła w nich niecałe trzysta. Dowodzącym oficerom sporo czasu zabrało rozpoznanie na mapach symboli własnych sił, ustawienie formacji, przeprowadzenie odprawy i przygotowanie pancerzy do walki. Robili to wszystko w czasie, gdy pułkownik rozmawiał z dowódcą lokalnych sił.

Ale zajęło im to ponad dziesięć minut. A zatem więcej czasu, niż mieli do dyspozycji.

Kiedy więc pierwsi zwiadowcy zjawili się na linii frontu dziesiątego korpusu, ich czujniki po prostu się rozszalały.

\* \* \*

– Pułkowniku... – zaczął oficer operacyjny, łącznik między kompaniami w linii i rezerwą.

– Widzę – warknął Bishop.

Dwie z jego kompanii przemieszczały się naprzód, a trzecia czekała, czy się w coś nie wpakują. Gdyby wiedział, że kucyki są przed nim, byłoby na odwrót.

– Zatrzymać Bravo i Charlie! Niech Charlie okopie się razem z chłopakami ze zmechanizowanej, a Bravo kryje ich, dopóki się nie okopią. Wyślij Alfę na prawo, żeby sprawdzić skrzydło.

Była to prawidłowa, wręcz podręcznikowa reakcja na zagrożenie. Tyle tylko, że doskonale pasowała do walki z ludźmi, a nie z Posleenami.

\* \* \*

Posleeński zwiadowca miał oczy szeroko otwarte, żeby uchwycić każdą drobinę światła. Eksplozje na północy czasem boleśnie raniły mu wzrok, ale nie zwracał na to uwagi. Skupił się na myślach o swoim bogu i poszukiwaniu thresh. Pragnął obfitego żniwa i pochwały swojego bóstwa. Strach przed bólem znajdował się w jego hierarchii na bardzo odległym miejscu.

Zatrzymał się i nadał nozdrza, węsząc w powietrzu. Jego ziomkowie z tyłu zrobili to samo. Dochodzący ich zapach był mieszaniną gryzących chemikaliów i organicznych wydzielin. Zwiadowca znów skierował myśli ku swojemu bogu.

\* \* \*

Arnata’dra studiował przez chwilę odczyty, a potem przesłał je do Kenalluriala.

\* \* \*

Kessentai przyglądał im się przez chwilę, po czym się skrzywił.

– Mój edas'antaiu, mamy problem.

Kenallai sprawdził odczyt i nastroszył grzebień.

– Możemy spróbować ich ominąć...

– Tchórzliwy szczeniak...

– Cisza! – Kenallai ponownie zerknął na odczyty. Wyraźnie wskazywały na thresh w metalowych szatach, właśnie rozciągające własne linie. Następną rzeczą będzie natarcie na jego oolfondai.

W dodatku wspierali je zwykli, okopani żołnierze. Wyglądali raczej na wojowników niż na przeklętych wojskowych techników. Ale na pewno mieli materiały wybuchowe i broń balistyczną.

– Nie. Są momenty, gdy trzeba atakować, i takie, gdy trzeba manewrować. Musimy wdrzeć się na tyły thresh. Wdrzeć głęboko.

Kiedy zajmiemy pozycje na ich tyłach, główne oddziały wroga podejmą próbę odwrotu, a wtedy my przypuścimy szturm i zgnieciemy ich w kleszczach obłężenia. Sieć uzna nasze zasługi i przydzieli nam nowych wasalów.

– Tak, mój edas'antaiu.

– Ardan'aath!

– Słucham, mój oolfondarze?

– Zniszcz ich.

Ardan'aath przejrzał raporty z Barwhon i Diess. Ci threshkreen byli chytry i waleczni, stanowili większe wyzwanie na ich drodze niż Po'oslenar w orna'adar. Ale on obawiał się tylko trzech rzeczy: broni balistycznej, tego, że okopywali się jak abat, i thresh w metalowych szatach.

Z bronią balistyczną można sobie poradzić, podchodząc do thresh jak najbliżej. Kiedy jego oolt'ondar znajdzie się wśród nich, balistyczna broń będzie musiała przerwać ogień. Wtedy wróg może sobie tkwić w okopach jak abat. Jedyne problemy to thresh w metalowych szatach. Na szczęście ich też mają się posleeni ostrza, no a poza tym jest ich niewielu. Posleeni mają przewagę liczebną, szczególnie kiedy rozwiną szyki i przypuszczą zmasowany atak.

Sytuacja wymagała szarży szerokim frontem. Nie mogła być lepsza.

– Telaradanie! Naprzód! Assarnathu! Na lewo! Rozwinąć szyk!

I zabić najpierw metalowych thresh! Tel'ena, fuscirto uut!

\* \* \*

– Kopać!

Starszy sierżant kompanii Charlie szedł wzdłuż szeregu pancerni, wyrównywał ich pozycję, i udzielał ostatnich pospiesznych lekcji.

– Nie! Cholera jasna! – Gwałtownie zerwał ładunek z pasa żołnierza, który kopał ziemię pancernymi rękawicami. Kombinezony mogły przerzucać olbrzymie ilości ziemi w zaskakująco szybkim tempie, ale ładunki kopiące robiły to jeszcze szybciej.

– Użyć ładunków do kopania nor! – krzyknął podoficer na kanale plutonu, zerwał z pasa kolejny ładunek i włożył go w pancerną dłoń zaskoczonych żołnierzy.

\* \* \*

– Nadchodzą! – krzyknął żołnierz na czatach i wyskoczył z dziury.

Nie zdołał jednak dotrzeć do swojej kompanii, gdy jego pierś rozerwał pocisk. W ciemności wzbijała się w górę flara ze spadochronem. Rozległ się huk eksplozji i na polu bitwy zrobiło się jasno jak w dzień. Wszędzie roило się od centaurów.

\* \* \*

Karabin maszynowy trzeciego plutonu jako pierwszy rozpoczął ostrzał. Pomarańczowe pociski smugowe, które leniwie przecięły nieruchome nocne powietrze i poszybowały w stronę nadchodzącej kompanii, rozpętały prawdziwą burzę ognia.

\* \* \*

– Moździerz Trzy! Flary trawersem. Ustawić na pięć! – krzyknął Keren.

Załoga zerwała się ze snu i rzuciła w kierunku moździerza. Kiedy niedobitki korpusu znowu się zebrały, okazało się, że mają do dyspozycji dość wozów bojowych, żeby rozstawić je na całym terenie. Względnie sprawna bateria moździerzy otrzymała dwa porzucone wozy, żeby uzupełnić swoje straty. Zaproponowano im też transporter kierowania ogniem, ale Keren odmówił. Suburban był o wiele wygodniejszy.

Zgodnie z sugestią Kerena moździerze plutonu wycelowano według z góry wybranych koordynatów, aby w razie czego jak najszybciej wesprzeć kompanię. Moździerz Trzy miał strzelać flarami, a jedyne, co musiała robić jego obsługa, to wrzucać w gardziel lufy kolejne pociski.

Amunicyjna moździerza spała na ziemi, owinięta wokół zimnej podstawy moździerza. Słyszając krzyk z Centrum Kierowania Ogniem po prostu obróciła się na plecy z pociskiem w dłoni. Zanim do końca się obudziła, granat zsunął się w dół lufy i moździerz strzelił. Był to zwykły pocisk burzący zamiast flary, a złe ustawienie lufy spowodowało, że poleciał milę aż za nacierających Posleenów.

Dopiero potem odpalono flarę.

Porucznik Leper pobiegł w kierunku stanowiska dowodzenia na linii obronnej. Dowodził nie tylko moździerzami, ale i resztą kompanii. Dlatego nagiął standardowe procedury. Moździerze były wysunięte do przodu, żeby nie znajdowały się daleko od punktu dowodzenia. Miał zamiar zmienić to nad ranem, ale Posleeni nie dali mu na to czasu.

Kiedy dotarł do dużego okopu dowodzenia, załamał się. Kompania nie była w stanie sprostać takiej masie Posleenów. Wróg najwyraźniej miał stukrotną przewagę liczebną.

Zanurkował na dno wykopu i sięgnął po radio.

\* \* \*

Jeśli Keren czegokolwiek nauczył się na tej wojnie, to tego, że nigdy nic ma się wystarczających danych. Właśnie dlatego miał jedno radio nastawione na częstotliwość kompanii, drugie na częstotliwość kontroli ognia, a dwa nadprogramowe odbiorniki, które zdobył po drodze, na kanał batalionu i brygady. I właśnie dlatego jako pierwszy usłyszał, jak porucznik spisuje ich już na straty.

– Tatus Jeden Pięc, tu Listopad Jeden Pięc, odbiór.

W tle przekazu słyhać było odległy pomruk karabinów i terkot broni maszynowej.

– Listopad Jeden Pięc, tu Tatus Jeden Pięc, odbiór.

– Tatus Jeden Pięc, mamy kontakt z co najmniej pułkiem Posleenów. Oceniam, że nie zdołamy ich zatrzymać, odbiór.

– Roger, przyjąłem. Panczerze wspomagane w drodze, odbiór.

– Oni już tu są, ale Posleeni wyglądają na wypoczętych i w tej chwili szturmują na nas, a panczerze wspomagane są w rozsypce.

Nie zamierzam opuścić stanowiska, ale nie sądzę, żebyśmy mogli ich zatrzymać. Niech korpus przygotuje się do odwrotu, odbiór.

– Listopad Jeden Pięc. Wszystkie rezerwy korpusu są na froncie.

Macie rozkaz się utrzymać, odbiór.

– Chyba żartujesz, Tatuś. Listopad, bez odbioru.

\* \* \*

– Tango Trzy Sześć, tu Listopad Jeden Pięć, odbiór.

Przez chwilę było cicho. Centrum Kierowania Ogniem było zajęte; nadal starano się zastąpić centralną sieć kierowania ogniem.

– Jednostka wywołująca, powtórz sygnał wywoławczy, odbiór.

– Tango Trzy Sześć, tu Listopad Jeden Pięć. Ostateczne wsparcie obronne, koordynaty Jeden-Jeden-Bravo. Posleeni w bliskim kontakcie. Ostateczne wsparcie obronne, odbiór.

– Listopad, nie mamy teraz dostępnej artylerii. Większość dziewiątego korpusu, wezwwała ostateczne wsparcie obronne odbiór.

– No, jeśli wróg przełamie nasze szyki, cholernie szybko będziecie mieć gości. Zdecydujcie się, bez odbioru.

\* \* \*

– Wszystkie mózdzierze! – wrzasnął Keren z suburba. – Ostateczne wsparcie obronne! Ogień ciągły!

\* \* \*

Kapral Nick Warren kuczał w swoim okopie i starał się liczyć zabitych. Okop przygotowano do prowadzenia ognia krzyżowego; miał z przodu wał ziemny i stanowisko strzeleckie skierowane pod kątem czterdziestu pięciu stopni, tak, by móc strzelać do wszystkiego, co się zobaczy, samemu nie narażając się na ogień kucyków. Teraz jednak wał omiatał grad ognia karabinów magnetycznych. Ziemia bryzgała na boki, a pociski rwały zewnętrzną warstwę worków z piaskiem i zaczynały roznosić osłonę.

W strefie ostrzału aż się roiło od centaurów. Było ich tyle, że kapral nie zawracał sobie głowy celowaniem. Gdyby pocisk chybił jednego, na pewno trafiłby w idącego tuż za nim. Warren rzuciłby się do ucieczki, ale wiedział, czym to się skończy. Kucyki biegały o wiele szybciej, niż ludzie. Można więc było tylko je zabijać i znów zabijać tak długo, aż mieli dosyć. Miał nadzieję, że w innych okopach jest dość żołnierzy, żeby powstrzymać natarcie obcych na jego kryjówkę. Żałował, że zużył wszystkie granaty; teraz mogłyby się przydać. Nie miał już ani ręcznych, ani tych do granatnika.

Rygiel uderzył w pustą komorę i plastikowy magazynek wypadł na ziemię. Kapral pomacał zasobnik amunicyjny, próbując znaleźć kolejny magazynek, kiedy nagle za jego plecami rozległ się dźwięk przypominający rozcinanie maczetą arbuza. Spojrzał przez ramię.

Jego towarzyszka broni leżała na ziemi z połową twarzy rozerwaną przez pocisk karabinowy, który przebił się przez ścianę worków z piaskiem. Warren nie pamiętał nawet jej nazwiska. Przez chwilę zawstydził się swojej pierwszej reakcji – radości, że kobiecie zostały jeszcze dwa magazynki. Nagle posypały się na niego cięższe i większe niż poprzednio grudy ziemi i Warren nie poczuł nawet, jak ostrze przebija jego kevlarowy hełm i wchodzi w mózg jak w masło.

\* \* \*

Ogień nie okazał się wystarczająco zmasowany. Walkę z Posleenami często opisywano jako próbę powstrzymania lawiny za pomocą węża strażackiego. Udaje się tylko wtedy, gdy masz dość

węży strażackich.

Posleeni szli wąskim frontem, nacierając przez otwartą przestrzeń.

Stanowiliby doskonały cel dla dobrze przygotowanej jednostki dysponujących wsparciem weteranów, albo nawet i okopanej zielonej jednostki pancerzy wspomaganych. Ale przy braku zmasowanego ognia artylerii, zwartego batalionu pancerzy, większej ilości żołnierzy, płatańców, drutu kolczastego i min, Ardan'aath nacierał wściekle ze swoim wojskiem i po prostu przytłaczał obrońców.

Jako pierwsza padła kompania Bravo z jednostki pancerzy wspomaganych, pozostawiona bez osłony na skrzydle kompanii zmechanizowanej. Ich węże srebrnych błyskawic atakowały nacierających Posleenów i cięły ich jak papier. Podobna rzeź powstrzymałaby atak ziemskiego wojska, ale teraz na Ziemi nacierało ponad dwanaście tysięcy Posleenów i tuziny Wszechwładców. A Posleeni nigdy się nie zatrzymują.

Najpierw skierowali na kompanię bezpośredni ogień. Pancerze chroniły żołnierzy przed każdym rodzajem broni, oprócz dział plazmowych i pocisków hiperszybkich, ale zmasowany ogień przygwoździł ich do ziemi, a tu i ówdzie trzymilimetrowe pociski trafiały w słabe punkty. Do tego Posleeni mieli ponad sześćset wyrzutni pocisków hiperszybkich i dziewięćset ciężkich karabinów magnetycznych. W ten sposób kompania pancerzy wspomaganych została wyeliminowana, zanim zdążyła zabić więcej, niż sześciuset wrogów.

Wojsko w okopach wytrzymało dłużej, ale nie tyle, żeby to miało jakieś znaczenie. W pierwszej kolejności zaatakowano częściowo tylko okopaną kompanię Charlie. Jej Ponurzy Żniwiarze zostali wzięci na cel przez ciężką broń posleenijskiej brygady. Kompania Charlie stawiała opór, ale centaury nie zważały na ścianę ognia i piętzące się stosy trupów, pragnąc tylko dostać się do opancerzonych ludzi. W końcu bitwa przerodziła się w walkę wręcz. Posleeni dotarli do okopów jednostki i zaatakowali obrońców monomolekularnymi mieczami.

Tymczasem lżejsze karabiny magnetyczne i strzelby posleenijskich wojowników skoncentrowały ogień na jednostce zmechanizowanej, w większości przypadków przygważdżając ją zupełnie. Każdy, kto wyskakiwał z okopu i rzucał się do ucieczki, był rozrywany zmasowanym ostrzałem. Kiedy Posleeni dotarli do okopów strzeleckich, było już po wszystkim. Nieszczęśni żołnierze zostali wyrżnięci jak stado owiec. Jedynie kilku udało się w zamieszaniu uciec. Jednostka przestała istnieć.

\* \* \*

– Nie możemy pozwolić, żeby ci metalowi thresh dalej włóczyli się po okolicy – powiedział Kenallurial i wskazał na ekran.

Zżerała go zazdrość. O zwycięskim szturmie te'naal, takim jak ten, jeszcze przez tysiąc lat będą krążyć opowieści, a jego spryt i przemyślność, które sprowadziły ich tutaj, odejdą w zapomnienie.

– Ardan'aath zajmie się nimi we właściwym czasie – powiedział spokojnie Kenallai i wskazał na schemat. – Patrz, jak ci thresh uciekają.

Niedobitki dziesiątego korpusu szybko wycofywały się w kierunku Manassas.

– Jak abat z trupa.

– Powinniśmy ich ścigać – powiedział Kenallai. – Nie wolno nam dopuścić, żeby się zatrzymali i zbudowali umocnienia, zanim dotrzemy do wielkich skarbów północy.

– Zrobimy tak, mój eson'antaiu, zrobimy – powiedział oolt'ondar i nastroszył grzebień. – Powstrzymaj swą zazdrość.

Kenallai odwrócił się zawstydzony, że odgadnięto jego uczucia, i dotknął ekranu, żeby powiększyć obraz. To była wspianiała, bogata w łupy kraina. Dostanie wielu wasalów, jeśli tylko

Sieć doceni jego zasługi.

W oddali ucichły już krzyki i warkoty dieslowskich silników.

**Okręg Rabun, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 04:46 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

Cally wtarła pomarańczowy rozpuszczalnik w nylon Cordura, żeby usunąć plamy.

– Szkoda, że ci faceci w kitlach tego nie wyczyścili.

Oboje wzięli prysznic, żeby zmyć z siebie krew świętej pamięci Harolda Lockego, ale na pancerzu pozostało trochę obciążających ich śladów. Należało je niezwłocznie usunąć.

– No cóż, chyba będziemy musieli sami trochę się natyrać. – Dziadek O’Neal zaciągnął się dymem z fajki i zajął kolejną plamką krwi.

– Jak sądzisz, kim oni byli? – zapytała poważnie Cally.

Przestał na chwilę szukać plam na czarnym materiale. To było dobre pytanie.

– Skarbie, nie mam zielonego pojęcia. Wiadomo tylko, że przyjechali po to, żeby uratować naszą skórę. Mam wielu przyjaciół w tym interesie, ale żaden z nich nie mógłby zebrać takiego zespołu. Wiedzieli, że Harold tu będzie. Poza tym zaplanowali zatuszowanie tej całej sprawy tak, żeby ten, kto go tu przysłał, nie dowiedział się, co się stało. Gdyby wieść się rozniosła, mielibyśmy poważne kłopoty.

– Zatem nadal pozostaje pytanie, kto ich przysłał.

Wróciła do pracy, ale O’Neal widział z wyrazu jej twarzy, że w dalszym ciągu o tym myśli.

– O czym tak dumasz? – spytał.

– Myślę, że to był ktoś, kto jest winien tacie przysługę.

Już otworzył usta, żeby zaprzeczyć, ale zaraz zamknął je z powrotem. Mike Junior opowiedział mu o prezencie w postaci pancerza bojowego. Pancerz wart pół miliarda kredytów to nie jest drobnym podarunek. Ktoś, kto dał mu ten pancerz, mógł też sądzić, że jest mu winien szybką akcją zespołu do zadań specjalnych. Zamiast więc odrzucić tę myśl, przytaknął wnuczce.

– Dobra, kupuję ten pomysł.

Odwzajemniła mu się uśmiechem. Kiedy podnosiła z podłogi szczoteczkę do zębów, w oddali odezwał się naddźwiękowy grom.

Oboje spojrzeli w górę i jednocześnie zaklęli.

– O, kurwa! – powiedział Mike Senior.

– Cholera jasna! – zawtórowała mu Cally.

Michael O’Neal Senior popatrzył na mokry, umazany na pomarańczowo pancerz i pokręcił głową.

– Co nas jeszcze dzisiaj czeka? – zaśmiał się nieco histerycznie.

\* \* \*

Dowódca zespołu ścisnął nasadę nosa palcami, jakby chciał z niej wydusić jakąś myśl. W pobliżu nie było żadnych domów, w których mogliby się schować. Nawet gdyby lądownik nie wylądował nigdzie w pobliżu, zespół na pewno zostałby zatrzymany, gdyż wszystkie poruszające się pojazdy mogły być dowodzone tylko przez miejscowe zespoły reagowania.

Była tylko jedna możliwa droga ucieczki.

– Zawracaj – rzucił do kierowcy. – Do domu O’Neala.

Po raz drugi w ciągu godziny wyciągnął telefon komórkowy.



\* \* \*

Dziadek O'Neal miał radio nastawione na lokalny kanał meteorologiczny. Oboje z Cally zaciągali teraz story. Mieli ustaloną procedurę na wypadek wylądowania wroga, ale nie mogli jej wcześniej wykonać ze względu na nieoczekiwane pojawienie się przybyszów.

Pozamykali we wszystkich oknach okiennice i zaprowadzili konie do stajni. Sprawdzili obwody, załadowali amunicję i przygotowali zapasową broń.

Dzwonek telefonu niemal utonął w hałasie dobiegającym z odbiornika radiowego. Cally podbiegła do telefonu.

– Halo?

– Panna Cally O'Neal?

– Tak.

– Czy mógłbym rozmawiać z panem Michaeliem O'Nealem Seniozem?

– A czy mógłbym spytać, kto mówi?

– Niedawni goście – odpowiedział głos z nutką lekkiego rozbawienia.

– Aha. Proszę poczekać. – Wybiegła na zewnątrz, przyciskając do boku bezprzewodowy telefon.

– Dziadku! – krzyknęła.

Drgnął i oderwał się od naprawiania jednego z uszkodzonych obwodów.

Pomachała energicznie telefonem nad głową.

– Będzie tu za moment – powiedziała „niedawnemu gościowi”.

– Czy mógłbym zadać jedno pytanie? – spytał głos w słuchawce.

– Jasne.

– Jak by to ująć? Ten drugi gość. Wyglądał na...

– To ja.

– Aha. To by wszystko wyjaśniało.

– Daję dziadka. Pa.

Przykryła słuchawkę dłonią.

– Nasi goście chyba jednak zdecydowali się na herbatę.

– O, cholera – powiedział O'Neal Senior i pokiwał głową. – Powiniennem na przyszłość uważać, co mówię.

– Halo?

– Pan O'Neal?

– Przy telefonie.

– Mówi jeden z pańskich niedawnych gości. Znaleźliśmy się w nieco trudnej sytuacji...

– Proszę się nie krępować. Proponuję zostawić samochody w garażu. Wyprowadzę swoją ciężarówkę, żeby zrobić wam miejsce.

I proszę się pospieszyć. Jeśli nasi przyjaciele dotrą tu szybciej, aktywuję pole minowe i będą panowie zdani tylko na siebie.

– Oczywiście. Jesteśmy już prawie na miejscu.

W oddali rozległ się pomruk artylerii i terkot broni maszynowej.

Łądownik Posleenów wylądował pośrodku między pięćdziesiątą trzecią dywizją piechoty broniącą Rabun Gap a głównymi pozycjami wspierających ich ochotników z Tennessee. I tylko dwie mile od wejścia do doliny O'Nealów. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Posleeni powinni minąć małe wejście do doliny. Było bardzo dobrze zakamuflowane.

Ale biorąc pod uwagę to wszystko, co się dziś zdarzyło...

\* \* \*

Dziadek O'Neal z trudem poruszał się w pancerzu. Albo kevlar był cięższy, bo nasiąkł wodą po czyszczeniu, albo to on robił się już za stary na takie zabawy. Uśmiechnął się na widok nadchodzącego korytarzem komanda w czarnych maskach i wyciągnął rękę.

– Mike O'Neal. Nie dosłyszałem poprzednio pańskiego nazwiska.

– Proszę mi mówić Rafael – powiedział dowódca zespołu.

Uściskał podaną dłoń, a jego zespół pospiesznie stłoczył się za nim. „Kitle” trzymały się trochę dalej z tyłu. Ubrani na czarno komandosi byli uzbrojeni, zaś „kitle” nie miały broni ani pancerza.

– Nie chciałby pan ich uzbroić? – Dziadek O'Neal wskazał podbródkiem na techników.

– Nie miałyby to większego sensu – odpowiedział Rafael. – Wątpię, żeby udało im się trafić nawet w zbocze góry. Jeśli mógłby pan gdzieś ich ukryć, byłoby cudownie.

– Cóż, muszę powiedzieć, że cieszę się, iż panowie wrócili – przyznał dziadek O'Neal. – Może razem uda nam się przetrwać, jeśli zjawią się tu Posleeni.

Wskazał zapraszającym gestem na dom.

– Pocieszam się myślą, że nie tylko my zostaliśmy zaskoczeni przez tych przybyszów – powiedział gość. – Chyba Bóg nas nie opuścił, skoro Posleeni lądują też na ziemiach muzułmanów.

\* \* \*

Porucznik Mashood Farmazan westchnął, patrząc na wrogie wojsko przez staroświecką lornetkę zeissa. Była to część hordy Posleenów, która zaatakowała Turkmenistan. Ich siły przetoczyły się od miejsca lądowania – koło zdewastowanego Chardzou – przez cały zubożały kraj, niszcząc wszystko na swojej drodze. Armia, która maszerowała teraz Jedwabnym Szlakiem w kierunku irańskiej granicy, wciąż składała się z dziesiątków tysięcy Posleenów i zostawiała za sobą krwawy ślad. Zrównała z ziemią starożytną Bucharę i nacierała teraz na słynny Taszkient. Wojsko prawdopodobnie kierowało się na Teheran, po bogactwa, które skrywał.

Porucznik chciałby móc powiedzieć, że dalej już nie pójdą. Przełęcz w Koppeh Dagh doskonale nadawała się do zatrzymania ich szturmu. Był jednak dowódcą tylko pojedynczego, osłabionego batalionu, który stał teraz między Posleenami a wyżyną Fars.

Jego jednostka była częścią pierwszej dywizji pancernej, tak zwanych Nieśmiertelnych. Dywizja ta wywodziła się z czasów legendarnych Medów i Cyrusa.\*[\* starożytny lud, który w początkach VII w. p. n. e. założył niezależne państwo na terenach dzisiejszego północno-zachodniego Iranu. Około 550 r. p. n. e. państwo to zostało podbite przez Persów pod wodzą Cyrusa II Starszego] Później jednak popadła w niełaskę po obaleniu szacha.\*[\* Szach Iranu Mohammed Reza Pahlavi (1919-1980) został odsunięty od władzy przez islamskich fundamentalistów w 1979 r.] Obecny reżim kwestionował sens istnienia jednostki, która wywodzi swoje korzenie od Zoroastra.

Przodkowie dywizji stale prowadzili w tych górach krwawe boje z barbarzyńskimi plemionami. Teraz najeźdźcy obrali drogę okrężną przez Pulichatum i wzdłuż Daszt-e-Kawiru, żeby zająć Maszad, oraz na północ, na równiny wzdłuż Morza Kaspijskiego. Tylko najgłupszy barbarzyńcy przychodzili krętą przełęczą Bajgiran, bardzo łatwą do obrony.

Ponieważ był to powszechnie znany fakt, większość dywizji, łącznie z dwiema innymi regularnymi dywizjami piechoty, zebrała się w pobliżu Maszadu. Dywizje rezerwowe i Gwardia Islamska zgromadziły się wokół Gorgan. Wróg mógł zdobyć Mazadaran, ale miał się natknąć na zawzięty opór daleko przed Quaramshar.

Przełęcz Bajgiran bronił tylko batalion zdezelowanych M-60 z czasów szacha. Jedynie około kompanii czołgów nadawało się do użytku, a i te powiązane były drutem. Jednostką, która była

batalionem tylko z nazwy, dowodził niczym nie wyróżniający się, niezależny politycznie i przeintelektualizowany oficer.

Wioska Bajgiran leżała w śródgórskiej dolinie. Okoliczne pola zaczynały właśnie pokrywać się zielenią kielkujących zbóż, a między polami i dużym zagajnikiem topoli szemrał mały strumień. Była to typowa irańska osada – zbieranina starych chat z błota i cegły, przycupniętych u stóp potężnych szarych gór. W całej wiosce było tylko kilka nowocześniejszych budynków, wzniesionych w złotych latach siedemdziesiątych. Nieliczne brukowane drogi przechodziły w polne trakty.

Imperia rosły w siłę i przemijały, w odległym Teheranie, Isfahanie i Taszkencie wynoszono i obalano kolejne rządy, które na zmianę przejmowały zwierzchnictwo nad wioską. A tutaj nic się nie zmieniało. Muezzin jak zwykle pięć razy dziennie wzywał wiernych do modlitwy, kozy jak zwykle skubały rzadką trawę na górskich pastwiskach. A zimą niezmiennie przychodziły śniegi. Czasem tylko pojawiali się najeźdźcy. Wtedy pola tratowano w boju, po czym wyznaczano nowego poborcę podatków i życie toczyło się dalej.

Porucznik Farmazan miał olbrzymie trudności z przekonaniem miejscowego mułły, że ci najeźdźcy są zupełnie inni. Pokazał staremu człowiekowi obrazy z odległych gwiazd i przeczytał mu edykty nakazujące ewakuację w obliczu nacierającej hordy, ale mułła odrzucił je, wygłaszając przy tym długi monolog na temat Koranu i małości śmiertelnych ziemskich władców. Po obejrzeniu nagrań z odległej Ameryki, gdzie bitwy szalały na ziemi, w wodzie i powietrzu, mułła stwierdził, że tylko tego można się spodziewać po kraju, który jest siedliskiem zła i perfidii. W końcu, niemal rwąc sobie włosy z głowy, porucznik wspomniął Tamerlana.

Stary mułła aż zbladł, słysząc to straszliwe imię. Mongolski najeźdźca zmienił owiane legendą starożytne perskie imperium w cień jego pierwotnej potęgi, wybijając wszystkich władców, przywódców i całą inteligencję. Po przejściu Tamerlana przez kraj pozostali przy życiu tylko więźci w niewolę chłopci.

Wreszcie mułła ustąpił – aczkolwiek bardzo niechętnie – i zaczął namawiać biednych rolników i robotników do opuszczenia domów i wyruszenia w długą drogę do odległego Maszadu. Kiedy ostatnia grupa uchodźców była jeszcze widoczna na wyżynie, pojawiła się straszliwa armia.

Porucznikowi udało się wygrzebać kilka dział i trochę pocisków.

Artyleria była śmiechu warta, w większości składała się z zabytkowych dział kaliber 105 mm, które pochodziły z arsenału ostatnich Pahlavich, a przysłano je jeszcze w ramach Lend Lease podczas drugiej wojny światowej. Znalazły się jeszcze zdezelowane brytyjskie pięciofuntówki. Te potężne działa wykorzystywano w brytyjskiej artylerii przez dziesięciolecia, ale teraz w niektórych krajach uważano je za eksponaty muzealne. Lufy były zdarte do gołego metalu, a sworznie w każdej chwili mogły się rozpaść. Takiej broni nie używano w żadnej armii z prawdziwego zdarzenia.

Z garstką ledwo wyszkolonych żołnierzy z poboru, z przestarzałą bronią, ograniczoną ilością amunicji i małymi racjami żywnościowymi porucznik miał zatrzymać armię, która rozbiła już sześć turkmeńskich brygad. Miał tylko nadzieję, że Posleeni skręcą na północ, gdzie okopały się niedobitki turkmeńskiej armii, żeby bronić Aszhabadu.

Na szare, strome góry zaczęły padać drobne płatki śniegu. Westchnął. Czy jest na świecie ktoś, kto miał bardziej przerąbane od niego?

\* \* \*

Pham Mi pokręcił głową i wyrwał młodemu rekrutowi karabin z ręki. Szybko rozmontował wysłużone AK-47. Rekrut ze wstydem zwiesił głowę, kiedy weteran pokazał mu rdzę na ryglu.

– Głupi dzieciak – warknął pokryty bliznami Pham i stuknął młodego mężczyznę w głowę

wyjętym rygłem. – Wolna wola, umieraj, ale twoi towarzysze na pewno woleliby żyć. Wyczyść to i dołącz do kobiet kopiących pozycje.

Minęły lata, odkąd Pham strzelał w ogniu walki. Wiele, wiele lat. Nie było go w Demokratycznej Armii ani podczas obrony przed Chińczykami, ani w czasie najazdu na Kambodżę. Jako szef Ludowej Milicji w swojej wiosce odpowiadał za opóźnienie marszu wroga. Jego zwierzchnicy nie oczekiwali, że zatrzyma nieprzyjaciół, ale z pewnością spodziewali się, że stawi im opór. Ale on wierzył, że uda im się powstrzymać wrogów ludu. Taka była ich tysiącletnia historia i taki miał być ten dzień.

Grupa kobiet z wioski kopała rowy i budowała bunkry, podczas gdy mężczyźni z partyzantki zajęli się bronią i sprzętem. Większość broni stanowiły niemal antyki, relikty walk przeciw Francuzom i Jankesom. Sprzęt – buty, plecaki, pasy na amunicję i mundury – był w całości amerykański.

Śmieszło go to. Sprzęt był oczywiście zużyty, ale część wciąż jednak mogła się przydać. Tylko Amerykanie byli na tyle rozrzutni, żeby pozbywać się jeszcze działającego sprzętu, i tylko Amerykanie postępowali tak dziwnie, że dawali go swoim byłym wrogom za darmo.

Partyzancki oddział Phama miał kilka skrzyń doskonałych amerykańskich min. Ta broń była mu znana jak stary, dobry przyjaciel; jako partyzant wielokrotnie wykradał ją zza amerykańskich linii.

Wojsko Posleenów po wylądowaniu bez wątpienia zajmie Dak Tho. Ale mając broń, amunicję, sprzęt, a zwłaszcza claymore'y i „Skaczące Berty”, Milicja Ludowa była w stanie zadać wrogom poważne straty. Partyzanci będą ich cały czas nękać. Bez przerwy.

Tyle przynajmniej mogą zrobić. Ameryka ma własne problemy, na pewno nie przyjdzie im na pomoc. Swoją drogą to zabawne życzyć sobie, żeby nagle spadł z nieba batalion amerykańskich „rzygających kurczaków”. Naprawdę zabawne.

\* \* \*

– Rany, to dopiero jest zabawne! – rzuciła Sharon O'Neal.

– Co się stało, ma'am? – spytał przez radio Michaels.

– Klamry na wyrzutni numer cztery są wygięte! – warknęła Sharon z wnętrza bulwiastego hełmu kombinezону bojowego.

Szybkie fregaty nie były przeznaczone do brania udziału w walkach, ale ludzka pomysłowość pozwoliła rozwiązać ten problem za pomocą zewnętrznych systemów wyrzutni samonaprowadzających rakiet z ładunkiem antymaterii. Fregaty zabierały sześć dużych wyrzutni, z których każda zawierała cztery pociski. Ponieważ na okrętach brakowało miejsca na zapasowy ładunek, wyposażono je tylko w dwie takie dodatkowe wyrzutnie, co oznaczało, że gdyby trzeba było ich użyć, ktoś musiałby wyjść ze statku na zewnątrz, nawet w samym środku bitwy.

Mimo oszczędzania pocisków kapitan Weston w końcu zużyła wszystkie dwadzieścia cztery. Mimo, że czujniki nadal wskazywały co najmniej sześć źródeł zagrożenia, uznała, że warto zaryzykować i podjąć próbę przygotowania zapasu do użycia. I dlatego właśnie Sharon, dwóch innych techników i jeden Indowy pracowali przy wyrzutni w otwartej przestrzeni.

Michaels oglądał klamrę na monitorze.

– Mamy część zapasową, która będzie działać, ma'am.

– Nie – rzuciła komandor O'Neal – przesuniemy na numer pięć.

– Nie mamy połączenia z numerem pięć, ma'am – przypomniał jej Michaels.

Sharon czuła, że zmęczenie zaczyna zaciemniać jej umysł. Nawet mimo cudownego provigilu znużenie wojną dawało o sobie znać.

– Przeładowaliśmy trójkę – powiedziała. – Dwójki i szóstki już nie mamy.

To pewnie podmuch nuklearnej eksplozji Posleenów uszkodził wyrzutnię. Gdyby wybuch nie nastąpił pod statkiem, tylko z przodu, gdzie nadal nie naprawiono ekranów ochronnych, cała załoga fruwałaby już wśród aniołów.

– A trójka też szwankuje, ma'am – zakończył Michaels. – Albo naprawimy ten cholerny sprzęt, albo będziemy mieć tylko jedną wyrzutnię.

Sharon przytaknęła. Miała swoje zdanie na ten temat, ale decyzja należała do pani kapitan.

– Kapitan Weston? – spytała, wiedząc, że przekaźnik przełączy kanał.

– Słyszałam was – odpowiedziała Weston głosem ochryłym od wielogodzinnego wydawania rozkazów. – Potrzebujemy wszystkich wyrzutni, pani komandor. Przykro mi.

– W porządku, ma'am – odpowiedziała Sharon. – Ja też tak uważam. Bosun?

– Przyniosę klamry, ma'am.

– Zaczniemy na razie wyjmować stare.

Sharon pokręciła głową. Praca w otwartej przestrzeni zawsze jest trudna, ale praca w otwartej przestrzeni, kiedy w każdej chwili grozi nagły ostrzał, jest tylko dla najlepszych.

Odwróciła się do technika Indowy, żeby poprosić go o pomoc w zdejmowaniu urządzenia... i otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

Nigdy nie spodziewała się zobaczyć czegoś takiego gołym okiem.

Wiedziała też, że widzi to po raz ostatni w życiu. Posleński dodekaedr bojowy wyszedł z hiperprzestrzeni. Nagromadzenie energii, a w konsekwencji załamanie światła gwiazd spowodowało, że statek wydawał się wyłaniać z wodnych fal. Przez chwilę lśnił wyładowaniami elektrycznymi, a potem nagle pojawił się przed nimi w całej okazałości i niemal na wyciągnięcie ręki.

– Alarm! – wrzasnął technik od czujników, wyrwany nagle z płytkiej drzemki. – Cztery tysiące metrów!

– Namierzony – odpowiedziano z taktycznego, kiedy laserowe systemy naprowadzania i podprzestrzenne detektory namierzyły gigantyczne źródło sygnału.

– Ognia! – rzuciła odruchowo kapitan Weston. I nagle otworzyła szeroko oczy. – Cofam rozkaz!

Ale było już za późno. Technik uzbrojenia pełnił służbę przez ostatnie osiemnaście godzin bez przerwy i cofnięcie rozkazu nie dotarło do jego świadomości. Automatycznie podniósł plastikową osłonę przycisku startowego i uruchomił zapłon.

Pirotechniczny generator gazu odpalił, kiedy tylko zwolniły się klamry przytrzymujące pocisk. Gaz wypchnął sześciometrowy pocisk wystarczająco daleko od statku, żeby mógł bezpiecznie włączyć raketowy silnik na antymaterię.

Bezpiecznie dla statku. Ale nie dla zespołu instalacyjnego ani dla platformy pocisków antymaterii, które ten zespół instalował.

**Biały Dom, Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 05:26  
letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

– Panie prezydencie, czas ruszać – powiedział szef Tajnych Służb Specjalnych.

Thomas Edwards patrzył w ekran wizyjny na ścianie Pokoju Sytuacyjnego. Pojedyncze plamki czerwieni na terenie hrabstwa Fairfax coraz bardziej zbliżały się do Fairfax Parkway. Ciągła linia przedstawiała Posleenów nacierających między stanową numer 28 w pościgu za niedobitkami dziewiątego i dziesiątego korpusu.

Prezydent przypuszczał, że kiedy dotrą do dróg krajowych numer 29 i 66, skręcą na wschód w kierunku Waszyngtonu i najbliższych mostów. Jeśli rozproszone wojska nie dotrą tam wcześniej, nikt z nich nie przeżyje.

Ale nie to było najgorsze.

Ekran wizyjny pokazywał też, że na drogach roi się od uchodźców. Większość z nich była w Alexandrii albo przeprowiała się przez Potomac, a dystans między nimi a wrogiem zmniejszał się z minuty na minutę. Wkrótce zaczną napływać pierwsze raporty o zaatakowaniu uchodźców. A on nie mógł nic na to poradzić.

– Przykro mi – szepnął do siebie.

– Zdarza się, panie prezydencie – nieoczekiwanie odpowiedział mu jakiś głos.

Prezydent odwrócił się. Obok Szefa Tajnych Służb stał kapitan piechoty morskiej Hadcraft, dowódca sił Gwardii.

– Ale nie tutaj, nie nam! – wybuchnął prezydent.

– A co? Myślał pan, że na Ziemi będzie inaczej? – spytał kapitan z nutką drwiny w głosie. – Cóż, witamy w naszym świecie, sir.

Prezydent przyjrzał się nowo przybyłemu. Żołnierze piechoty morskiej należeli teraz do Sił Uderzeniowych Floty, co powodowało pewne napięcia między nimi a Tajnymi Służbami, napięcia, których nigdy wcześniej nie było.

Piechota morska ochraniała prezydentów od czasów Johna Adamsa, a więc znacznie dłużej niż Tajne Służby. Ale Służby zawsze traktowały ich jak najemną pomoc. Piechota morska obstawiała bowiem obrzeża, podczas gdy Służby zajmowały się bezpośrednio ochroną prezydenta.

Przejsie części piechoty morskiej do Sił Uderzeniowych Floty pogłębiło napięcia między nimi. Po pierwsze, powodem były pieniądze, a po drugie, kwestia inaczej pojmowanej lojalności.

Amerykańscy żołnierze jednostek pancerzy wspomaganych, którzy wyróżnili się w walce na Barwhon i Diess i otrzymali pochwały w aktach, mogli zgłaszać się do ochrony prezydenta. Cykl szkolenia trwał dwa lata i – na szczęście – nie wymagał brania udziału w walce.

Po zakończeniu kursu żołnierzy wysyłano razem z pancerzami z powrotem na Ziemię. Po krótkich, „odświeżających wiedzę” ćwiczeniach na Parris Island[\*] wyspa w archipelagu Sea Islands u południowych wybrzeży Południowej Karoliny. Od 1915 roku znajduje się tam baza treningowa amerykańskiej piechoty morskiej] zaprzysięgano ich jako żołnierzy piechoty morskiej Stanów Zjednoczonych, ubierano w błękit marines i wysyłano do Waszyngtonu.

Tam mogli uganiać się za dziewczynami, patrzeć z góry na żołnierzy Starej Gwardii i żyć bez większych napięć.

Nadal jednak należeli do Sił Uderzeniowych Floty. Pancerze i żołnierze byli pożyczką z Floty, a Federacja nie stosowała wobec USA taryfy ulgowej przy ściąganiu należności. Dlatego właśnie

tylko amerykański prezydent, jako jedyny zwierzchnik sił zbrojnych na świecie, posiadał pełną kompanię panczerzy wspomaganych. Jeden pancierz kosztował blisko pół miliarda kredytów, a Darhelowie amortyzowali go dwadzieścia lat. Jeśli dodać do tego waloryzowaną pensję Sił Uderzeniowych Floty, miesięczny koszt utrzymania takiej kompanii dorównywał kosztom utrzymania regularnej dywizji wojska.

Był jeszcze problem lojalności. Flota nie wymagała zrzeczenia się obywatelstwa, ale ostro tępiła nacjonalizm. Przysięga wobec Floty była wiążąca. Według prawa Federacji, piechota morska wykonywała rozkazy Floty i odpowiadała tylko przed Flotą, tak jak każda inna jednostka panczerzy wspomaganych.

Niektórzy marines zgłosili się do tej służby po to, żeby wydostać się z piekła, jakim była Barwhon. Ale większość była tu, bo głęboko w sercu czuła się Amerykanami, dumnymi z możliwości obrony prezydenta swojego kraju.

Prezydent zastanawiał się nad tym wszystkim, wpatrując się w kapitana piechoty morskiej. Oficer nosił Srebrną Gwiazdę i Krzyż Floty, który był odpowiednikiem Krzyża za Wybitną Służbę.

Od miesięcy nikt tak otwarcie nie drwił z prezydenta. Ale to był marine, który dobrze wiedział, co „w trawie piszczy”. Miał prawo.

\* \* \*

– Tak – wychrypiał prezydent. Gładki, wyszkolony głos znikł gdzieś po wielu godzinach mówienia. Prezydent był na nogach od prawie trzydziestu sześciu godzin i czuł się, jakby od tygodnia nie żył.

– Tak – powtórzył i odkaslnął. – Tak właśnie myślałem. Wszyscy mówili, że teren i sytuacja są odpowiednie i wystarczy tylko spróbować.

– Powtarzam: witamy w naszym świecie, panie prezydencie – powiedział ironicznie kapitan. – Wracamy tutaj i słyszymy, jak wszyscy generałowie wokół mówią, że „manewrujące siły” i „rzeźba terenu” pokonają Posleenów. I śmiejemy się z tego. I upijamy. Żołnierze jednostek panczerzy wspomaganych często się upijają, panie prezydencie. Bo to zawsze my sprzątamy pole bitwy, kiedy generałowie nas w coś wpięprzą. Widziałem wiele spieprzonych akcji na Barwhon, ale ta przebija wszystkie.

Prezydent Edwards uciszył gestem dłoni szefa Tajnych Służb, który omal nie wybuchnął.

– Więc co mam zrobić?

– Ucieczka niczego nie załatwi – powiedział stanowczo Hadcraft. – To kolejna nauczka z Barwhon. Jeśli trzeba uciekać, to trudno. Ale zważywszy na obecną sytuację, chyba powinien pan zostać.

– Czas już ruszać, panie prezydencie – przerwał szef Służb Specjalnych i obrzucił żołnierza piechoty morskiej wściekłym spojrzeniem.

– Dokąd jedziemy? – spytał od niechcienia prezydent.

– Do Camp David, [\* Camp David – schronienie prezydenckie w górach Catoctin w północnej części sianu Maryland, założone przez Franklina D. Roosevelta w 1942 r. pod nazwą Shangri-La. Dwight D. Eisenhower przemianował je na Camp David ]. panie prezydencie. Nie możemy tu zostać.

Zważywszy na liczbę mostów do obrony, generał Horner nie może nam zagwarantować, że wróg nie przejdzie. Zanotowaliśmy wszędzie lądowania, panie prezydencie. Przed chwilą znowu wylądowali w Pensylwanii.

– Jest pewien problem – zauważył oschle kapitan. – Niektórzy żołnierze mogą nie być tak wyrozumiali dla prezydenta, jak ja.

Prezydent znowu uciszył szefa Tajnych Służb Specjalnych.

– Więc jakie jest rozwiązanie?

– Powinien pan założyć pancierz – odpowiedział Hadcraft.

Prezydent zamrugał oczami zaskoczony.

– Myślałem, że pancierz może nosić tylko jego właściciel?

Kapitan rozłożył ręce.

– To długa historia.

– Więc niech się pan streszcza.

Kapitan podszedł i bez pytania o pozwolenie usiadł na brzegu stołu konferencyjnego. Okruszki z ostatniego posiłku Sekretarza Obrony podniosły się i zawisły na chwilę nad blatem stołu. Widocznie uruchomił się system antygravitacyjny, próbujący zmniejszyć skutek nacisku półtonowego pancierza na stół.

– Pancerze rzeczywiście dostosowują się do figury użytkownika – powiedział kapitan. – A kiedy już przyjmą odpowiedni kształt, potrzeba zdolności mistrza rzemieślników Indowy, żeby to zmienić. Dlatego staramy się, żeby ludzie zachowywali swój wygląd po dopasowaniu im pancierzy. Można się zmieniać jedynie bardzo powoli. Pancierz potrafi dostosować się do powolnych zmian. Ale nagły wzrost wagi ciała, podobnie jak i spadek, stwarza bardzo poważne problemy. Dlatego można założyć czyjś pancierz pod warunkiem, że ma się mniej więcej te same gabaryty.

– Rozumiem, że mam wymiary zbliżone do kogoś z jednostki? – spytał prezydent.

Pancierz milczał przez chwilę. Prezydent był pewien, że gdyby mógł zobaczyć twarz oficera, wyrażałaby ona zakłopotanie.

– Właściwie nie powinienem o tym mówić, sir – mruknął wreszcie niechętnie.

– O czym?

Hadcraft rozłożył ręce, a w tym momencie prezydent zdał sobie sprawę, że jest to jedyny gest, jaki może wykonać użytkownik pancierza bojowego.

– Kryterium doboru ponad połowy jednostki było podobieństwo do obecnego prezydenta. Żeby na wypadek, gdyby sytuacja naprawdę się popieprzyła, można było włożyć go w pancierz.

Prezydent spojrział na szefa Służb, który nie potrafił ukryć zdumienia.

– Co ty na to, agencie Rohrbach?

Oficer potrząsnął głową.

– Wy to zaplanowaliście?

– Hej, agencie – odpowiedział marine z ponurym śmiechem – „Spodziewaj się zwycięstwa, bądź gotów na klęskę”. Tylko tak można było w ogóle przeżyć na Barwhon. Tak, my to zaplanowaliśmy. Wierz albo nie, ale naszą odpowiedzialność za prezydenta bierzemy cholernie serio.

Pancierz ani na jotę nie zmienił swojej pozycji, ale agent Rohrbach czuł, że jest uważnie obserwowany.

– W każdym razie – ciągnął po chwili marine – mamy wolny pancierz. Sierżant Martinez jest na przepustce i nieprędko wróci.

Przebywa w Los Angeles.

– Rozumiem, że sierżant Martinez jest mojego wzrostu – zażartował drobny prezydent.

– Tak – odpowiedział kapitan – to akurat nie stanowi żadnego problemu.

– Więc w czym rzecz?

– Cóż, są dwie kwestie. Jedna bardzo ważna i druga mniej ważna.

– Najpierw ważna – powiedział Rohrbach.



– Otóż pancerze odbierają sygnały z układu nerwowego użytkownika. Program napędzający to niezależny inteligentny przekaźnik, który reaguje nie tylko na nasze sygnały nerwowe, ale i naszą osobowość. Jest zbudowany według zupełnie innego algorytmu niż te – marine wskazał na przekaźniki na biurku prezydenta. – Może przejąć kontrolę nad pancierzem, jeśli jego użytkownik jest ranny, i zrobić wszystko to, na co nie pozwalałoby oprogramowanie zwykłego przekaźnika.

– Chwileczkę – przerwał szef Tajnych Służb. – Czy to oznacza, że w środku jest samosterujący komputer z jakąś osobowością? Jak on zareaguje na obecność prezydenta w środku?

– Właśnie tego nie wiemy – przyznał dowódca jednostki.

– A więc nie ma mowy, żeby prezydent założył pancierz!

– A co – spytał Hadcraft zmęczonym głosem – wolisz go zapakować w bagażnik jednego z tych waszych pieprzonych suburbanów i przewieźć przez strefę lądowania?

– Poczekajcie – przerwał im prezydent. – Tylko spokojnie. Kapitanie, czy można... rozmawiać z tą osobowością? Przekonać ją do czegoś?

– Oczywiście.

– Więc porozmawiacie z nią, zanim założę pancierz?

– Tak, sir. I jeśli stwierdzimy, że jest zbyt niebezpiecznie, nie będziemy pana narażać. – Te słowa kapitał zaadresował bardziej do szefa Służb niż prezydenta.

Prezydent uniósł dłoń, żeby powstrzymać protest agenta.

– Dobra, spróbujmy. Zgadzam się, że ukrywanie się w samochodzie nie jest w obecnej sytuacji najlepszym pomysłem. Podobno jest jeszcze jakaś druga sprawa?

– No tak... – powiedział zmieszany kapitan.

\* \* \*

Roselita Martines musiała być bardzo gwałtowną i pełną gniewu kobietą. Jeśli istniały jakieś przekazy pozazmysłowe, to prezydent Edwards właśnie ich doświadczał. Wściekłość pancierza była wyraźnie wyczuwalna przez łącze, które umożliwiała dwustronną komunikację. Było kilka powodów do gniewu. Pancierz tęsknił za swoim własnym użytkownikiem. Nienawidził Posleenów. Nienawidził dowódców, a właśnie miał jednego z nich w brzuchu. Kochał swoją podopieczną. Uwielbiał ją i musiał ją chronić. Był więc mocno dezorientowany. Ale przede wszystkim był bardzo, bardzo zły.

– Panie prezydencie – powiedział kapitan.

Jego głos brzmiał niewiarygodnie czysto, gdyż technologia przekazu usuwała wszelkie szумы z otoczenia.

Prezydent próbował obrócić głowę w otaczającej go galarecie hełmu. Nie mógł się poruszyć, ale jego pole widzenia gwałtownie się zmieniło, co przyprawiło go o zawrót głowy.

– Panie prezydencie – powiedział znowu kapitan, chwycił pancierz i go obrócił.

Prezydentowi udało się w końcu zatrzymać spojrzenie na oficerze. Obraz przesłaniały jednak dziesiątki nieznanymi danych.

– Proszę patrzeć przed siebie i ostrożnie iść naprzód. Jeśli obraz zacznie wirować dookoła, proszę się nie ruszać i zamknąć oczy.

– Tu są jakieś dane – powiedział prezydent i zamknął oczy, bo obraz znów zaczął się gwałtownie przesuwać.

– Przekażnik, niech pancierz wyczyści obraz i zmniejszy czułość na zmiany pola widzenia o pięćdziesiąt procent – powiedział kapitan. – Sir, nie mamy czasu, żeby nauczyć pana obsługiwać pancierz.

Musimy już iść.

– Dobra – powiedział prezydent, walcząc z ogarniającym go gniewem. Wziął głęboki wdech. – Dobra, chodźmy.

Znowu chciał pokręcić głową, ale powstrzymał go żel wyściółki.

Pole widzenia przesunęło się jednak na boki. W jaki sposób można się przyzwyczaić do tego szalonego sprzętu, pozostawało dla prezydenta zagadką.

**Niedaleko Harper's Ferry, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 05:46 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

– Jak, do cholery, można się do tego przyzwyczaić? – spytał kapitan O'Neal, walcząc z zawrotami głowy, kiedy śmigłowiec OH58 Kiowa skręcił za Harper's Ferry, zniżył lot nad drogą krajową 70 i skierował się na Baltimore. Na drodze roilo się od pojazdów wojskowych, z których większość stała w korku.

– Do czego? – spytał pilot, uważnie wypatrując drutów wysokiego napięcia.

Lot na wysokości poniżej trzydziestu metrów powodował spory stres. Nigdy nie było wiadomo, którądy jakaś głupia elektrownia pociągnęła swoją linię, zwłaszcza, że często nie było ich na mapie.

– Nieważne – mruknął Mike i zaczął żałować, że nie mógł włożyć swojego pancerza.

Nie pomagały nawet wojkulary. Marzył o pełnym wyposażeniu pancerza jak narkoman o działce. Ale na razie musiał się zająć innymi rzeczami.

Odchylił się na siedzeniu małego śmigłowca i patrzył na kolejne dane napływające z okularów rzeczywistości wirtualnej. Główne drogi były całkowicie zakorkowane, podobnie jak boczne. Jego misja wymagała dotarcia do Waszyngtonu przed Posleenami, a to wydawało się raczej niemożliwe.

Ale wyraz „niemożliwe” już dawno zniknął z jego słownika.

Posleeni rozerwali świat na kawałki i zakończyli złoty wiek, w którym dorastał. Takiemu gatunkowi nie wolno pozwolić dalej żyć, oddychać i mnożyć się. Ziemia będzie ich ostatnim celem. Włączył przekaźnik.

– Shelly, daj mi majora Givensa.

Nadszedł czas rozpocząć taniec.

\* \* \*

Bob Givens był doświadczonym oficerem. Wiedział więc, że stoją w obliczu prawdziwej klęski i nie jest to bynajmniej koszmarny sen. Szkoda, bo z koszmarnych snów zawsze można się obudzić.

– Wiem, sierżancie Clarke. Zgadzam się – powiedział do podoficera operacyjnego.

Starszy sierżant był jednym z niewielu podoficerów batalionu, którzy nie rozpięchli się na cztery strony świata. Przyszedł ze skargą. Zadanie przysłane z Dowództwa Armii Kontynentalnej było nie do wykonania. Na drogach było pełno jednostek wojskowych spieszących we wszystkich kierunkach i uchodźców zmierzających w stronę gór. Dotarcie do Waszyngtonu w czasie krótszym niż dwadzieścia godzin granoczyło z cudem.

– Ale takie są rozkazy.

– A jak zdaniem generała Hornera mamy je, do diabła, wykonać? Dał jakieś wskazówki?

– Nie, sami musimy sobie poradzić.

– Zacznę przygotowywać transport – powiedział podoficer. – Ale niech mnie diabli, jeśli wiem, jak się przedostać przez korki uliczne.

– Majorze Givens – zaćwierkał przekaźnik. – Przychodząca rozmowa od kapitana O'Neala.

Givens poczuł nieopisaną ulgę, że kapitan w końcu nawiązał z nim łączność. Bóg jeden wiedział, jak bardzo potrzebował teraz pomocy. Na miejscu był tylko jeden dowódca kompanii i połowa starszych sierżantów. Nie było także innych oficerów batalionu.

Powrót kapitana rozwiązałyby wiele problemów, nawet gdyby to nie chodziło o O'Neala. Ale zadzwonił właśnie on. I chociaż Givens należał do doświadczonych oficerów polowych, wciąż miał

nadzieję, że waleczny kapitan spowoduje jakiś cud.

Uznał, że najlepiej będzie zareagować z humorem.

– O’Neal, gdzie ty, u licha, się podziewał?

W głowie O’Neala tak wściekle kłębiły się myśli, że nawet nie zareagował na żart.

– Przedzierałem się przez drogę numer 81, majorze, tak jak jedenasta dywizja.

– Dobrze, że wracasz. Gdzie jesteś?

– W śmigłowcu kiowa, kieruję się w górę drogi numer 70. Planuję dołączyć do pana w Baltimore.

– Cóż, pewnie będziesz tam przed nami.

– Być może, sir. Ale niedługo przed wami.

– Szacuję, że przedostanie się przez korki uliczne zajmie nam około dwunastu godzin, kapitanie.

Sierżant Clarke właśnie wezwał ciężarówki.

– Ciężarówki? – zapytał O’Neal. – Nie trzeba nam żadnych cholernych ciężarówek.

\* \* \*

Gąsienicowy pojazd dowodzenia gwałtownie się zatrzymał, a jadący za nim hunwee żandarmerii ominął go i podjechał do stojącego przy drodze mężczyzny. Dowódca pojazdu wysiadł i zasalutował pułkownikowi o chłopięcym wyglądzie.

– Pułkownik Cutprice? – spytał.

Na polowym mundurze bojowym widniało tylko oznaczenie rangi, nie było zaś plakietki z nazwiskiem ani identyfikatora Sił Lądowych Stanów Zjednoczonych.

– Tak – potwierdził krótko pułkownik.

Przez ostatnie dwa tygodnie poddawano go procesowi odmładzania i nadal był cholernie obolały. Ale oczekiwanie wraz z resztą bohaterskich oficerów i patrzenie, jak dowództwo wszystko pieprzyło było jeszcze gorsze. Musiał przyznać, że to nie była wina Taylora i Hornera. Zastali już większość problemów i starali się tylko im przeciwdziałać. Ale trudno było znieść widok rzezi dokonywanej na doskonałych żołnierzach, i to z powodu nieudolności dowództwa. Była to cholerna powtórka Korei. I Kasserine\*[\* miejscowość w Tunezji, gdzie w grudniu 1942 r. rozegrała się bitwa, w której Alianci stracili dziesięć tysięcy żołnierzy]. I Bull Run. I Sommy\*[\* rzeka w północnej Francji, nad którą w 1916 r. odbyła się wyniszczająca bitwa, podczas której po raz pierwszy użyto czołgów]. Ci przekłeci wyperfumowani książęta po prostu niczego się nie nauczyli.

– Generał chciałby z panem pomówić – powiedział żandarm i zaprowadził rozmówcę na tył pojazdu.

Horner siedział przed wideotelefonem. Pułkownik, do którego kierował swój jadowity uśmiech, nie wyglądał na zadowolonego z ich rozmowy.

– Pułkowniku, rozkazy z tych jednostek mają priorytet przed wszelkimi innymi rozkazami. Czy to jasne?

– Sir... – zaczął pułkownik.

– Cholera jasna, pytałem, czy to jasne! – Horner stracił cierpliwość. – Jeśli nie otrzymam prostej odpowiedzi, wyślę do was tak szybko jednostkę żandarmerii, że aż wam w głowie zakręci! Już sześciu pułkownikom kazałem ładować amunicję i prowadzić ciężarówki! Chcecie do nich dołączyć?

– Nie, sir, ale...

– Jasne czy nie?

– Tak, sir – odpowiedział wreszcie krnąbrny pułkownik. – Jasne.

– Dobra, a teraz zjeżdżać mi z mojego monitora – rzucił zirytowany generał, po czym odwrócił się i wbił wzrok w Cutprice'a.

Pułkownik pracował już nie raz z generałami o bardziej świdrującym wzroku, więc spojrzenie Hornera spłynęło po nim jak woda po gęsi. Stał na baczność i wpatrywał się w jakiś punkt sześć cali nad głową generała.

– Pułkownik Cutprice zgłasza się na rozkaz.

Horner patrzył na niego jeszcze przez chwilę, a potem odwrócił się i zaczął szperać w biurku. Po chwili wyciągnął mały medal.

– Weźcie to – rzucił medal pułkownikowi – i przypnijcie.

Medal przedstawiał karabin na niebieskim tle, otoczoną wiercietis z dwiema gwiazdami u góry. Naszywka bojowej piechoty oznaczała, że jej właściciel brał udział w walce. Takiej prawdziwej, w której ludzie z tamtej strony naprawdę próbowali go zabić, a on starał się im odwdzięczyć tym samym, tylko szybciej. Gwiazdy zaś wskazywały, że właściciel medalu jest weteranem trzech wojen. Liczba żyjących uprawnionych do jego noszenia była bardzo niewielka.

– Spocznij – rzucił generał. – Słyszałem, że nie nosicie nawet przekłętej plakietki z nazwiskiem, pułkowniku. Więc mam to dla was. Potrzebujecie jeszcze czegoś?

– Nie, sir – odpowiedział cicho Cutprice i spojrzał na generała, tak jak zezwalała na to komenda spocznij. Drzwi za nim otworzyły się i po chwili ktoś stanął obok niego na baczność.

– Sierżant Waclewa zgłasza się na rozkaz, sir.

Cutprice zerknął na przybysza. Był to niski i chudy młody mężczyzna z belkami sierżanta na kołnierzu. Widać było, że także musiał przejść proces odmłodzenia. Wyglądał nieco znajomo.

– Spocznij i rozluźnijcie się obydwaj – powiedział Horner. – Chyba już się znacie.

– Czyżby? – spytał Cutprice.

Sierżant tylko się uśmiechnął, wyjął paczkę pall malli i zapalił. Pomieszczenie wypełnił drażniący zapach dymu z papierosa bez filtra.

– Tak – odpowiedział zaskakująco niskim głosem sierżant – znamy się. Trochę.

Wydmuchał kółko dymu... i zakasłał.

– Och ty! – zaśmiał się Cutprice. – Sprawdzasz nowe płuca?

Horner nie dał im dokończyć.

– Macie zebrać resztę przypisanych wam grup i ruszyć na Washington Mall. Większość jednostek, które przetrwały Lake Jackson i odwrót, jest tutaj. Sprawdźcie, czy któreś nadają się jeszcze do walki. Oczekuję przybycia jednostki pancerzy wspomaganych i mam jedną zbierającą się dywizję. Martwią mnie Posleeni, którzy chcą przejąć most.

– Tak jest, sir – powiedział Waclewa. – Jeśli pozwolimy im przejść Potomac, wdepniemy w niezłe szambo.

– Problem polega jednak na tym, że prawdopodobnie nie będziemy ich mogli zepchnąć z pozycji zajętych przed głównym lądowaniem. A to oznacza całkowitą utratę kontroli w tym rejonie. Właściwie między James a Potomakiem nie ma aż tak wielu ważnych obiektów. Ale utrata terenów na pomoc od Potomacu będzie dla nas klęską. Więc zbierzcie wasze bractwo – Horner uśmiechnął się lekko – i ruszajcie na Mall. Odszukajcie wszystkich żywych żołnierzy i stwórzcie z nich jednostki. Przygotujcie się do walki, bo mam złe przeczucia co do Potomacu.

Znowu się uśmiechnął.

– Na szczęście oprócz waszej kompanii braci mam jeszcze jednego asa w rękawie.

\* \* \*

O świcie O'Neal czekał na wiadukcie Crosby Road nad drogą krajową numer 695. Po odlocie śmigłowca w powietrzu nadal unosił się swąd spalin. Nagle w zasięgu jego wzroku pojawiły się pierwsze kontenery.

Wspomagane pancerze bojowe były magazynowane i przewożone w ogromnych skrzyniach. Srebrzyste „kostnice” mieściły aż czterdzieści pancerzy. Były wyposażone w generator termonuklearny zgodny z federalną klasą dwa albo generator antimaterii do ładowania pancerzy.

Każdy pancerz leżał w osobnym pojemniku, a szereg takich pojemników ustawiano po obu stronach kontenera. Po założeniu pancerzy żołnierze wrzucali mundury do koszy na ubrania i układali się w pojemnikach.

Wspomagane pancerze bojowe Sił Uderzeniowych Floty były wyposażone w pełny zestaw kompensatorów bezwładności i napęd.

Kosztowało to jednak dużo mocy. Zwykły pancerz bojowy mógł latać tylko przez dziesięć minut, a pancerz dowódczy przez dwadzieścia do trzydziestu minut, a potem trzeba go było naładować.

Wykonując zwykłą pracę w sprzyjających warunkach, pancerz mógł działać aż trzy dni.

\* \* \*

Mike miał nadzieję, że srebrzyste kontenery, które poruszały się z prędkością stu dziesięciu do stu dwudziestu kilometrów na godzinę, pozwolą mu w niecałą godzinę pokonać drogę z Harrisburga do Baltimore, a potem w mgnieniu oka dotrzeć do Waszyngtonu.

\* \* \*

Gigantyczne skrzynie bezszelestnie zawisły nad wiaduktem, po czym ruszyły w kierunku przebiegającej w dole drogi. Odgłos, jaki wydały przy opadaniu na drogę, spowodował, że wielu pozostających jeszcze w okolicy mieszkańców wybiegło z domów, żeby sprawdzić, czy to nie jest już lądowanie Posleenów. Zobaczyli jakieś dziwne, najwyraźniej pozaziemskie obiekty, co ostatecznie ich utwierdziło, że już najwyższy czas uciekać w góry.

Kiedy pierwszy kontener zaczął wypluwać z siebie pancerze, Mike poczuł ogromną ulgę. Aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo był niespokojny. Żołnierz bez swojej jednostki jest jak człowiek bez ręki. Nareszcie wrócił do domu.

Pierwszy pancerz, który ruszył w jego kierunku, miał niepowtarzalny kształt sierżanta Pappasa. Mike roześmiał się, kiedy podoficer stanął przed nim.

– Co was zatrzymało, Gunny?

– Cholera jasna, jakże się cieszę, że pana widzę, szefie – odpowiedział podoficer. – Mieliśmy pełne ręce roboty.

– Tak, ja też. Jak się sprawuje drugi oficer? – spytał, niemal obawiając się tego, co usłyszy w odpowiedzi.

Pappas zawahał się przez chwilę.

– Porucznik Nightingale jakoś sobie radzi, sir – odpowiedział z przekonaniem.

O'Neal nie po raz pierwszy żałował, że nie może zobaczyć twarzy sierżanta.

– Czy to znaczy, że marnie jej idzie?

– Nie – odparł stanowczo Pappas – zrobiła cholernie duże postępy. Chyba będą z niej ludzie.

– To jest poważna sprawa, zastępczo – powiedział kapitan stalowym głosem. – Nie mogę ryzykować. Lepiej, żeby rzeczywiście była dobra.

– Wiem, sir – odpowiedział podoficer – jest dobra. Powiedziałbym nawet, że... nieważne. Jest dobra.

O'Neal przekrzywił głowę na bok i zmarszczył czoło.

– Słucham?

– Jest dobra, sir. Poradzi sobie. Ręczę za to.

Mike spędził tysiące godzin w pancerzu i nauczył się rozumieć mowę ciała, mimo że pancerze bardzo to utrudniały. A mowa ciała sierżanta przeczyła jego słowom. O'Neal położył ręce na biodrach.

– O co tu, kurwa, chodzi, sierżancie?

Sierżant milczał przez chwilę, po czym zasłonił się rękami w obronnym geście.

– To nie ma wpływu na pracę kompanii ani na moją ocenę porucznik Nightingale, sir. Musi mi pan wierzyć w tej sprawie na słowo.

Mike westchnął.

– Dobra, sierżancie. Wierzę na słowo.

W czasie rozmowy pozostałe kombinezony utworzyły wokół nich szereg ochronny. Ponieważ nikt nie wydał im takiego rozkazu, żołnierze musieli sami to wymyślić.

– Wszędzie są lądowiki, sir – mruknął sierżant. Był zadowolony, że może zmienić temat ich rozmowy. – Właśnie natknęliśmy się po drodze na jeden.

– Jakież ofiary? – spytał kapitan O'Neal.

Szybko rozebrał się i wrzucił ubranie do kosza.

– Nie, sir – odpowiedział sierżant. – Zamontowaliśmy wszędzie kulki czujników, więc zauważyliśmy, jak się zbliża, i wysiedliśmy z kontenerów. Koniki miały dość gorące powitanie.

Mike uśmiechnął się i ruszył w stronę swojego pojemnika. Pojemnik otworzył się, zanim jeszcze zdążył podejść, i jego oczom ukazał się otwarty jak homar pancerz.

– Tęskniłaś, co? – zaśmiał się.

Przypiął Shelly do gniazda interfejsu i wszedł do środka.

**Fairfax, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 06:06 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

Keren gwałtownie złapał za kierownicę, kiedy suburban zaczął zjeżdżać z drogi.

– Przepraszam – rzuciła żołnierz za kierownicą i potrząsnęła głową, żeby się rozbudzić.

Keren nie znał nawet imienia dziewczyny; na plakietce widniało tylko nazwisko Elgars. Kobieta nosiła naszywkę trzydziestej trzeciej dywizji piechoty, co oznaczało, że jest całe mile od swojej jednostki. W jaki sposób dotarła do Lake Jackson, a potem wydostała się z tego piekła, kiedy rozleciał się dziewiąty korpus, było zagadką. Keren zwinął ją z pobocza, gdzie starannie oliwiła części rozmontowanego AIW. Było oczywiste, że postanowiła skończyć z uciekaniem.

– Kurwa, gdzie my jesteśmy? – spytał Keren ochrypłym głosem.

W ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin spał zaledwie trzy.

Dywizja miała dostać nowe środki pobudzające, ale ich – tak jak wielu innych rzeczy – nie otrzymała. Pluton zadowalał się więc kofeiną. A ona właśnie przestawała działać.

– Minęliśmy Beltway – odpowiedziała kobieta. – Mamy pewien problem.

– Tak? To nic nowego.

Droga krajowa numer 66 była główną trasą przejazdową przez hrabstwo Fairfax w Wirginii, prowadzącą do stolicy kraju. Żeby nie utrudniać żołnierzom przemieszczania się wraz z transportem obowiązywał tu zakaz jazdy pojazdów cywilnych, ale od czasu, kiedy Posleeni przełamali obronę Lake Jackson, na drodze tkwiły nieruchomo tłumy spanikowanych cywilów, którzy nie przyjmowali zakazu do wiadomości oraz cofające się jednostki dziewiątego i dziesiątego korpusu. Dezercje z szeregów żandarmerii spowodowały, że nikt nad tym nie panował, a droga została zatkana zwartym gąszczem pojazdów. Z miejsca, w którym tkwili w korku, roztaczał się widok na drugorzędne drogi. Główne przełotówki były zablokowane, ale na szczęście niektóre drogi boczne pozostawały przejezdne.

– Dobra wiadomość jest taka – szepnął Keren – że to na trochę zatrzyma kucyki. – Chwycił radio i wystawił antenę przez okno. – Reed, słyszysz mnie? – zapytał.

– Tak – brzmiała odpowiedź z odbiornika.

– Chyba musimy ruszyć bocznymi drogami. – Keren wyciągnął mapę DeLorme. Wielostronicowa mapa Wirginii nie raz okazała się użyteczna, kiedy skończyły się mapy taktyczne w mniejszej skali.

– Zetniemy róg sześćdziesiątej szóstej i skierujemy się na Arlington – powiedział przez radio, szukając odpowiedniej trasy na mapie. – Muszą się tam zbierać jakieś jednostki. Reed, kilka samochodów blokuje nam drogę, więc postaraj się je zepchnąć ciężarówką. Jeśli się nie przebijemy, objedziemy je bocznymi drogami.

Przejedź nawet przez budynki, jeśli będzie trzeba.

– Robi się.

– Dobra, ruszajmy. Ja pojedę za tobą, a za mną wóz Trzy i wóz Jeden. Trzymajcie się razem i miejcie się na baczności. Te przeklęte kuce mogą być w pobliżu.

\* \* \*

Kenallurial spojrział na raport i jego grzebień uniósł się w niemym podziwieniu.

Starszy Kessentai popatrzył mu przez ramię i zaśmiał się.



– Sieć najwyraźniej doceniła twoje zasługi. Ale i moje też.

Obszar wokół Fredericksburga został uznany przez Sieć informacyjną jako bezpieczny, więc zaczęto już rozdzielać łupy. Sposób, w jaki Sieć decydowała, któremu Kessentai przydzielić dany obszar, był dla centaurów niejasny. Ale jednocześnie czuli, że tylko dzięki niemu nie popadają w orna'adar, apokalipsę światów ujarzmionych w wyniku podboju.

– W miarę, jak będziemy zajmować coraz więcej ziem tych thresh – włączył się do rozmowy Kennallai – ilość nagród będzie rosła.

W tym tempie niedługo zostaniemy najbogatszymi Kessentai w siedmiu systemach. Wkrótce będzie ci potrzebny kasztelan.

Kenallurial rozdał nozdrza na znak potwierdzenia. Wcześniej służył jako mistrz zwiadowców i dało mu to bardzo niewielkie zyski. Miał małą farmę, trochę ziemi i niedużą fabrykę. Przy tak mizernych zasobach nie mógł nawet utrzymać własnego kasztelana.

Ale ostatnie trzy dni przyniosły mu więcej szczęścia niż zwykle. Otrzymał kilka mil żyznej ziemi uprawnej, parę obszarów przemysłowych i cztery stacje przetwarzania chemikaliów. Teraz mógł się wycofać albo przebroić. Ardan'aath na przykład miał najciężej uzbrojone oolfos w całej armii. Uczestniczył w pięciu podbojach i zdobyte bogactwa posłużyły mu głównie do wyposażenia swoich oolt'ondar i eson'antaiów. W rezultacie ponosił mniejsze straty i zajmował więcej ziemi, a jego wojsko coraz bardziej rosło w siłę. Całe jego oolt dysponowało teraz karabinami kaliber trzy milimetry, a oolt jego podwładnych były prawie tak samo dobrze uzbrojone.

Kenallurial planował, że wycofa się ze Ścieżki i rozpocznie długoterminowy program modyfikacji genetycznych.

– To niesamowite – mruknął, zatopiony w myślach o przyszłości.

Zaczął już nawet pobierać cenne próbki genetyczne od najbystrzejszych wojowników. Planował uruchomienie linii ulepszonych wojowników, niemal tak samo inteligentnych i niezależnych jak Wszechwładcy. Linia wypełniłaby braki w sile roboczej spowodowane niedoborem Kenstain, tchórzliwych kasztelanów, którzy zapełniali szeregi mistrzów bitewnych Kessentai. Zysk z nagrody byłby ogromny.

Dość, żeby wyposażyć tuzin eson'antaiów, ruszyć dalej i podbijać inne światy. I to oni będą teraz jego dłużnikami, tak jak on był dłużnikiem Kenallaia. Jego dług został spłacony przed lądowaniem, więc teraz był czysty.

– A największa zdobycz jeszcze przed nami! – zagrzemiał podekscytowany Ardan'aath.

Jego grzebień znowu się nastroszył.

– Dopóki nie okaże się, że jest tak samo trudna do zdobycia, jak zdobycz z południa – powiedział Kenallurial ponuro.

W odpowiedzi Kenallai nerwowo poruszył grzebieniem.

\* \* \*

Pułkownik Abrahamson szedł wzdłuż rampy. Jego powiewający żółty szalik był umazany sadzą i ropą, zbryzgany ludzką i posleńską krwią. Oficer kroczył zdecydowanie, ale widać było po nim ogromne zmęczenie.

Ledwie trzymający się na nogach generał Keeton przystanął na chwilę, a idąca za nim grupka żołnierzy zrobiła to samo. Rampa, tak jak reszta nasypu wzdłuż wewnętrznej strony wału przeciwpowodziowego Richmond była słabo ubita, ale nadawała się do chodzenia. Pierwsza poważna powódź pewnie ją zmyje, ale jak dotąd dobrze spełniała swoje zadanie.

Generał Keeton spojrział na wał i pokręcił zmartwiony głową.

Wał wyglądał jak ponadgryzany. Na szczycie brakowało dużych kawałków betonu i prętów zbrojeniowych, a miejscami wyrwy te sięgały aż do podnóża. Usunięto już ciała martwych i rannych żołnierzy z sześćdziesiątej dywizji piechoty, ale ciemne plamy krwi i doły z nadtopioną ziemią wymownie świadczyły o stratach, jakie poniosła dywizja. Podobnie jak migotliwy blask płonących plam paliwa i dymiące pojazdy pancerne wzdłuż drogi.

Niedobitki brygady krzątały się w najbardziej zniszczonym sektorze, wykonując zwykłe czynności. Z ciężarówek wyładowywano amunicję, a technicy naprawiali lub wymieniali autonomiczne systemy strzeleckie. Wszyscy żołnierze ze zmęczenia ledwie trzymali się na nogach, ale prace niezmiennie posuwały się naprzód.

Generał podszedł do oficera kawalerii, stojącego przy wale i spoglądającego na dolinę. Jak okiem sięgnąć widać było posleenie trupy i roztrzaskane spodki. Generał wychylił się przez krawędź wału i spojrzał w dół. Zobaczył tam nasyp utworzony z posleenie ciał, ciągnący się na długości co najmniej stu metrów w kierunku bram Czternastej Ulicy. Trudno było nawet oszacować, ile ciał liczy ta sterta. Większość z nich została zmiażdżona przez własnych ziomków w próżnym trudzie pokonania przeszkody wymyślonej przez Johna Keene'a.

– Przyszli do nas tak samo, jak zawsze.

Poranek był spokojny, jedynie z daleka dochodził huk artylerii strzelającej do skoncentrowanych grup rozbitej armii wroga.

– Trzecia fala była nieco inna – mruknął pułkownik Abrahamson. – Chyba w końcu nabrali trochę rozumu albo tym razem było więcej niż zwykle Wszechwładców. Zaatakowali nas, kiedy dopiero zmierzaliśmy w ich stronę.

– To wtedy stracił pan swój czołg? – spytał generał.

– Tak, byłem przez chwilę w tarapatach.

Omiał nie zginął, kiedy szrapnele Jeden-Pięć-Pięć dzwoniły o dach czołgu jak stalowy deszcz, a hiperszybkie pociski jeden po drugim uderzały w jego pojazd. Stracił kierowcę, sześć innych czołgów i dwunastu żołnierzy. Posleeni ścigali ich aż do muru, gdzie pół miliona żądnych krwi centaurów tłoczyło się pod ogniem dział, próbując przedrzeć się przez wał albo obejść go bokiem. Na koniec nad wałem pojawiło się prawie dwustu Wszechwładców w spodkach.

Snajperzy strzelali z wieżowców nad umocnieniami albo z przeciwległego brzegu James, a do atakujących ich spodków otworzyli ogień obrońcy. Straty były ogromne, bo wzdłuż fortyfikacji latały pociski plazmowe, a pociski hiperszybkie waliły w cysterny z paliwem i skrzynie z amunicją.

Ostatecznie ziemscy obrońcy pokonali nacierających Wszechwładców i ich wojowników. Z pół miliona centaurów, które wkroczyły w dolinę śmierci, pozostało mizerne kilka setek.

Keeton zastanawiał się, co robić dalej. Z jednej strony chciał wysłać siedemdziesiątą piątą pancerną do ataku, aby zawrócić Posleenów, którzy najwyraźniej kierowali się z powrotem na północ, z drugiej jednak strony obrona była w opłakanym stanie.

Doszedł do wniosku, że jednak lepiej będzie walczyć z nimi w odpowiednim czasie, dobrze przygotowanymi jednostkami. Walka z wrogiem na umocnionych pozycjach to zupełnie co innego, niż ściganie ich po drogach. Jedenasta dywizja piechoty mobilnej była już prawie na miejscu. Niech ona zabawi się z Posleenami w berka.

Do tego właśnie służą pancerze wspomagane. On natomiast zamierzał zająć się swoimi wojskami, zwłaszcza, że zanosilo się na długą wojnę.

– Będą próbowali wziąć nas w kleszcze – powiedział pułkownik Abrahamson, jakby czytał mu w myślach. – Wciąż może im się to udać.

– Może – zgodził się generał. – Nadal mają wystarczająco liczne siły. Ale będę się tym martwił,

kiedy zaczną wracać. A wtedy wyślę kogoś, kto trzaśnie ich w mordę.

- Kogoś innego, mam nadzieję – powiedział pułkownik.
- Kogoś innego – zgodził się generał.
- To dobrze. Najwyższy czas, żeby ktoś inny się zabawił.

**Okręg Rabun, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol ill 06:12 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

– Rany, niezły ubaw – zaśmiał się dziadek O’Neal.

Ochotnikom Tennessee nie udało się jak dotąd popisać swoimi umiejętnościami. Wylądował tylko jeden lądownik, a więc najwyżej sześciuset Posleenów, a może nawet tylko czterystu. Siły te nie zaatakowały ochotników, tylko zawróciły i ruszyły na fortyfikacje Rabun Gap. Teraz tłoczyły się mniej więcej na wysokości wejścia do doliny O’Neala. Na czujnikach pojawiły się pierwsze informacje o wchodzących do doliny zwiadowcach.

– To stąd pan wiedział – powiedział cicho Raphael, patrząc na przyrządy.

– Tak. Pańscy chłopcy zostawiali ślad jak rakietę – zaśmiał się dziadek O’Neal.

Przywódca zespołu do zadań specjalnych kiwnął głową.

– Moi towarzysze mają pewien problem. Nie wiedzą, co robić z pańską wnuczką.

– Cóż – odpowiedział oschle O’Neal – zobaczymy, co ona zrobi z nimi.

\* \* \*

– Używałaś kiedyś czegoś takiego? – Cally pokazała komandosowi w czarnej masce wielolufowy karabin maszynowy produkcji General Electric. Ponieważ miała się zająć ładunkami wybuchowymi, dziadek przydzielił jej jednego z komandosów do obsługi gatlinga kaliber 7.62 mm.

Kiedy przecząco pokręcił głową, dotknęła przycisku kontrolnego.

– To go uruchamia – powiedziała, kiedy lufy zaczęły się z wizgiem obracać. – Spust ma miękki jak motylek, ale bezpiecznik jest z boku. – Wskazała na właściwy przycisk i zwolniła go. – Poza tym działa jak sikawka. Wystrzeliwuje osiem tysięcy pocisków na minutę, a ich strumień wygląda prawie jak promień lasera.

Stała na palcach i wyjrzała przez strzelnicę bunkra. Posleenów nie było jeszcze widać.

Komandos ostrożnie zabezpieczył broń i wyłączył napęd luf.

Z jednej z nich wyleciał pojedynczy pocisk i wpadł do pięćdziesięciopięciogalonowego plastikowego zasobnika po amunicji.

– Dzięki temu nie skończysz przysypany mosiądzem po szyję. – Cally wskazała na wielkie pudło amunicji pod karabinem. – Łuski wpadają do niego tylko jak strzela się w konkretnym kierunku, ale to i tak przydatne.

Komandos także wyjrzał przez strzelnicę.

– Nie jesteś zbyt gadatliwy – znowu zagadnęła go Cally.

Mężczyzna w masce odwrócił się i jego brązowe oczy spotkały się z jej niebieskimi. Odchrząknął.

– Możemy pmówić – powiedział.

Jego akcent wyraźnie różnił się od akcentu przywódcy zespołu.

– Mogę cię o coś prosić? – spytała Cally.

Kiwnął głową.

– Mogę zobaczyć twoją lewą rękę?

Komandos ściągnął z dłoni czarną rękawiczkę z nomexu i podał jej dłoń. Obrócił ją tak, żeby mogła dobrze się jej przyjrzeć, i poruszył palcami. Najwyraźniej uznał to za dziwną prośbę. Potem założył rękawiczkę z powrotem.

Cally popatrzyła na jego rękę i uśmiechnęła się, a potem spojrzała mu prosto w oczy i przeżegnała się.

Po czym odwróciła się i bez słowa opuściła bunkier.

\* \* \*

– No to ładnie! – rzucił wielebny O'Reilly, kiedy przeczytał tekst na ekranie palmtopa.

Wiadomość napisano w klasycznej grece i zaszyfrowano na sześć różnych sposobów z użyciem kluczowej frazy, ale jej treść była mimo wszystko jasna.

– Co? – Paul podniósł wzrok znad kart, w które grał z Indowy.

Himmicki statek zwiadowczy znajdował się sześćdziesiąt pięć metrów pod wodą w Zatoce Hudsona. Indowy wyjaśnił, że pozostanie tam, dopóki teren nie zostanie uznany za czysty. Himmici potrafili czasem ryzykować, chociaż uważali, że ostrożność jest bardziej cenna niż odwaga.

– Nasz zespół utknął na farmie O'Neala! – warknął O'Reilly.

– Spokojnie, Nathan, spokojnie – pocieszył go Indowy. – O'Nealowie to sprytni ludzie. Nasz zespół jest w dobrych rękach.

– Po prostu mała zmiana planów. – Paul uśmiechnął się i wyciągnął kartę z kupki na stole. Skrzywił się. – Twój ruch. – Karty były ledwie widoczne w dziwnym zielononiebieskim świetle. Himmicki statek nigdy nie został dostosowany do ludzkich potrzeb.

Stół był zbyt niski, a ława, na której siedział, bardziej nadawała się do leżenia. Powietrze było rozrzedzone, grawitacja zbyt silna, a oświetlenie dostosowane do himmickiej normy, co oznaczało dziwną, zielononiebieską barwę. W tym oświetleniu wszystko wyglądało jak pod wodą. Himmici porozumiewali się za pomocą wysokich pisków, które ledwie mieściły się w paśmie słyszalności ludzi. Wszędzie wokół unosiły się zapachy nieznanymi substancjami chemicznymi. W sumie były to najbardziej niedogodne warunki, z jakimi zetknął się des Jardins w czasie swoich rozlicznych podróży.

Aelool spojrzał na wielebnego.

– Wcześniej też zdarzały się problemy – powiedział.

– Tak, ale tam jest tyle samo reporterów, co Posleenów – powiedział rozdrażniony wielebny – i już wszyscy wiedzą, że koło miejsca ich wylądowania jest dobrze broniona farma. Miejscowy dowódca powiedział nawet, że nie zaatakowali jeszcze Posleenów tylko dlatego, że chcą zobaczyć, jak poradzą sobie z nimi ci na farmie, a poza tym boją się trafić ją ogniem własnym. Wygląda na to, że jest przekonany, iż O'Nealowie dadzą sobie radę z atakiem. Jeden stary człowiek i mała dziewczynka przeciwko kompanii Posleenów?!

Paul uśmiechnął się.

– Cóż, przecież to Irlandczycy.

Nathan przymknął oczy, co nadało mu jeszcze bardziej zmęczony wygląd.

– To mały i ciasny statek, Paul, a oświetlenie działa mi na nerwy, więc nie przesadzaj.

\* \* \*

– Musimy ich odepchnąć, sir – powiedział kapitan O'Neal. Jak w transie oglądał przesuwające mu się przed oczami wykresy i mapy. Film zawierał także urywki z nagrań na żywo z frontu, gdzie reporterzy spotkali się oko w oko z wrogiem.

W wielu przypadkach można było jedynie domyślać się lokalizacji Posleenów. Gdzieś bowiem nie odpowiadała jakaś kompania, gdzie indziej znów odcięto łączność. Ale powoli z chaosu wyłaniał się obraz sytuacji. Batalion nie odszedł daleko od Waszyngtonu, a Posleeni przedostali się w głąb

hrabstwa Fairfax i dotarli prawie do samego Arlington. Na północy sięgnęli aż po Potomac i szybko przemieszczali się wzdłuż Beltway w stronę wschodniego Arlington.

Wszystkie niedobitki były spychane w stronę waszyngtońskich mostów, tak jak to przewidział generał Horner.

– Zgadza się, kapitanie – odpowiedział dowódca batalionu. – Jakies sugestie?

– Nie, sir. Nie tym razem.

Przemieszczanie się kontenerów odbywało się tak szybko, jak tylko przekaźniki mogły sobie poradzić z natłokiem informacji. Nie dało się przekroczyć średniej prędkości stu dwudziestu kilometrów na godzinę, ale gdyby wyszli z kontenerów i biegli, byłoby jeszcze wolniej. Maksymalna prędkość pancerzy wynosiła siedemdziesiąt kilometrów na godzinę, i to przy braku przeszkód.

A tutaj aż roiło się od jednostek wojskowych i uchodźców. Pierwsza armia zbierała swoje siły i jej jednostki spływały szerokim strumieniem z północnego wschodu w okolice Potomacu. Tak jak w jednostkach dziewiątego i dziesiątego korpusu, większość żołnierzy była źle wyszkolona, a sprzęt w opłakanym stanie. Ale przy odrobinie szczęścia będą mogli walczyć ze stałych pozycji obronnych.

Mike spojrział na obraz z zewnętrznych kamer i doszedł do wniosku, że na szczęście ktoś ruszył głową i jako pierwszą przemieszczał głównie artylerię. Zanim reszta oddziałów nawiąże kontakt z wrogiem, na miejscu będą już działa. Ale dowodzenie wciąż pozostawiało wiele do życzenia.

– Coś wymyślę. Wkrótce się do pana zgłoszę, sir.

– Dobra, kapitanie. Potrzebny nam dobry plan, jeśli ma się nam udać.

– Przyjąłem, sir. – Spojrzał znowu na kaskady danych. – Shelly, jakie masz informacje z Waszyngtonu?

– Niezły groch z kapustą, sir – odpowiedział przekaźnik.

Mike uśmiechnął się. Przekaznik coraz lepiej posługiwał się ludzką mową.

– Mam tu wiele jednostek – ciągnęła Shelly. – Niektóre są na rozkaz, tak jak saperzy, którzy minują mosty oraz sto piąta dywizja piechoty. Ale większość pochodzi z dziewiątego i dziesiątego korpusu.

– Jakies ślady dowodzenia?

– Widzę małe, spójne jednostki. Ale nic większego od kompanii.

– Hmm. Wyszukaj odpowiedni scenariusz. Załóż, że Posleeni przejmą most w całości.

Jeśli Posleeni nie zajmą mostu, batalion będzie mógł czekać na wsparcie ósmego korpusu, a potem razem przekroczyć rzekę i zacząć się na Posleenów. Ale jeśli padnie jeden z mostów Waszyngtonu, czas zacznie naglić.

– Masz jakiś gotowy scenariusz na tę sytuację? – Mike miał wrażenie, że powstało coś takiego. Jednak przerobił już tyle ćwiczebnych scenariuszy, że nie był w stanie ich wszystkich ogarnąć.

– „Most na rzece Die” – odpowiedział przekaźnik. – Na podstawie prawdopodobnej liczby Posleenów i przy założeniu wsparcia przyjacielskich wojsk zalecałabym ustawienie poziomu trudności na szósty.

– Jasne. – Oficer zaczął czytać przewijający się po lewej stronie wyświetlacza hełmu scenariusz.

Teraz sobie przypominał. Grał w to co najmniej trzy razy. Nie był to jego ulubiony scenariusz, ale zawierał kilka ciekawych rozwiązań. Mike dostrzegł jego zadziwiające podobieństwo do obecnej sytuacji. Nawet budynki były podobne; autor scenariusza najwyraźniej brał pod uwagę Waszyngton jako cel ataku.

– Kto napisał ten scenariusz?

– Jakiś nastolatek z Fredericksburga. Thomas Sunday Junior.

– O cholera.

Fredericksburga już nie było. Co za strata. Programista najwyraźniej miał zdrowe podejście do taktyki panczerzy wspomaganych.

Szkoda, że go stracili.

– Shelly, wprowadź scenariusz. Ustaw poziom trudności na osiem.

Czego nam brakuje do takiego poziomu?

– Dowództwa i sztabu. Ten poziom trudności wymaga, aby wszystko działało doskonale.

– Jakie są najważniejsze potrzeby? Pokaż je w kolejności od najważniejszej do najmniej ważnej.

– Nie mamy Zespołu Wsparcia Ogniwego.

– Racja. Mamy kogoś w batalionie z dużym doświadczeniem w kierowaniu ogniem?

– Oprócz pana? – spytała Shelly.

Mike przewrócił oczami. Uchroń mnie, Panie, od przekaźnika z poczuciem humoru, pomyślał.

– Oprócz mnie.

– W batalionie jest czterech podoficerów z doświadczeniem w kierowaniu ogniem i jeden porucznik.

– Co to za porucznik?

– Porucznik Arnold, pański dowódca plutonu moż...

– Pomiń go. Niech Arnold zostanie tam, gdzie jest.

Na wypadek, gdyby musiał przejąć dowództwo od Nightingale.

– Zostaje jeden z czterech podoficerów.

– Kto jest najstarszy stopniem?

– Plutonowy kompanii Bravo. Duncan.

Mike zmarszczył brwi. Nie przypominał sobie nikogo o tym nazwisku w swojej własnej kompanii. O ile wiedział, z wyjątkiem sierżanta Brooka w plutonie sekcji mózdzierzy, nikt z podoficerów kompanii Bravo nie miał doświadczenia w kierowaniu ogniem.

– Coś mi świta, ale nie w związku z kompanią Bravo.

– Dołączył do kompanii Bravo, kiedy pan był na przepustce.

Mike pomyślał przez chwilę i skrzywił się.

– Daj mi Pappasa.

Przekaźnik zaćwierkał i po chwili rozległ się głos sierżanta.

– Tak, sir?

– Ten nowy podoficer, który do nas dołączył, kiedy mnie nie było...

– Duncan?

– Tak. Niech zgadnę. Dostał przydział na dowódcę drugiej drużyny drugiego plutonu?

– Tak. Jedynej drużyny bez plutonowego. Niewiele mogłem zrobić.

– Jak to przyjął Stewart?

– Dość dobrze. Duncan to naprawdę doświadczony podoficer.

Pozwala Stewartowi dowodzić drużyną i pomaga Boggy w szkoleniu. Stewart docenia jego wiedzę i często prosi go o rady. Dobrze im się współpracuje.

– Chwileczkę – powiedział Mike – już wiem. Czy to jest Bob Duncan?

– Tak. Przepraszam, szefie, myślałem, że pan wie. Shelly panu nie mówiła?

– Nie. Shelly, włącz plutonowego Duncana do rozmowy.

– Tak jest, sir.

Po chwili rozległ się dźwięk przełączania obwodów.

– Kapitanie O’Neal?

– Duncan! Kto cię, u licha, wpuścił do mojej kompanii? – rzucił Mike.

Przez chwilę było cicho.

– Cóż, chcieli mnie awansować i dać stopień kapitana. Powiedzieli, że mają tu taką pochrzanioną kompanię, którą trzeba postawić na baczność. Postanowiłem więc najpierw zająć się nią jako podoficer. Dlatego tu jestem.

Mike i sierżant się roześmiali.

– Tak jak mówiłem – stwierdził Pappas – prawdziwe z niego dziwadło.

– Już to kiedyś zauważyłem – odpowiedział rozbawiony Mike.

Przez chwilę zastanawiał się nad sytuacją. Na linii miał teraz trzech najbardziej doświadczonych żołnierzy w batalionie. Pomyślał też o połączeniu się z plutonowym Bogdanowicz, ale ona niewątpliwie była teraz zajęta swoim plutonem. Wiedział jeszcze o trzech innych weteranach w batalionie, ale żaden z nich nie był oficerem.

– W Waszyngtonie mamy FUBAR. – Spojrzał na szacunkowe dane ze scenariusza. – Jest tu sporo niewielkich oddziałów, które możnaby wykorzystać. Niestety nie istnieje nad nimi żadna kontrola, więc większość po liniowych jednostek po prostu przejeżdża przez miasto i zwiewa. Pierwszy problem na liście Shelly to wsparcie artylerii. Nie mamy Zespołu Wsparcia Ogniwego, zautomatyzowany system został wyłączony. Potrzebujemy kogoś do koordynowania ognia artylerii.

– Mnie – stwierdził Duncan.

– Tak. Gdybym miał kapitana od kierowania ognia, wziąłbym jego. Ale nie mam, więc biorę ciebie.

– Czy artyleria nie ma nic przeciw? – spytał starszy sierżant.

Było to dobre pytanie. Duncan będzie wydawał rozkazy batalionom artylerii, a pułkownicy zazwyczaj nie lubią słuchać plutonowych.

– Zajmę się tym – powiedział Mike. – Shelly, wyślij e-mail do generała Hornera. Przekaż mu, że przejmujemy kontrolę nad obroną mostów Waszyngtonu na podstawie przepisów o podporządkowaniu miejscowych wojsk siłom Federacji.

– O w mordę – szepnął Duncan.

– Czy to oznacza to, o czym myślę? – spytał z niedowierzaniem Gunny Pappas.

– Tak. Mamy teraz pod kontrolą wszystkie wojska w Waszyngtonie – powiedział zdecydowanym tonem O’Neal.

Zdał sobie nagłą sprawę, że major Givens powinien się o tym dowiedzieć. Generał właśnie dostawał wiadomość, że mało znaczący batalion dowodzony przez majora przejmuje właśnie kontrolę nad jedną z jego armii. Gdyby nie chodziło o Jacka Hornera, nie byłoby to możliwe nawet mimo przepisów.

– Shelly, prześlij mu plan, żeby zrozumiał, co chcemy zrobić.

– Tak jest, sir.

– Posłuchają? – spytał Duncan.

– Ty się tym zajmiesz. Pierwsze twoje zadanie polega na odtworzeniu sieci automatycznego kierowania ogniem. Przekazniki zlikwidują każdego wirusa, którego znajdą, więc bezpieczeństwo nie jest problemem. Zajmij się tym. O ile nie będzie innych bezpośrednich rozkazów, armaty posłuchają komputerów. A komputery będą słuchać naszych rozkazów.

– A co potem? – spytał Duncan.

– Shelly? – Mike zwrócił się do swojego przekaznika.

– Następnym problemem jest dowództwo. Brakuje nam trzech z czterech dowódców kompanii.



– Pomiń to. Nightingale może się zająć kompanią – powiedział O’Neal. Panie, wysłuchaj tej modlitwy. – To samo dotyczy zastępcy dowódcy kompanii Alfa. Użyjemy Bravo jako kompanii uderzeniowej, a Alfa i Charlie jako wsparcia.

– Scenariusz wymaga, żeby wszystkie trzy kompanie idealnie współdziałały – dodał przekąźnik.

– Jeśli zajdzie taka potrzeba, sam przejmę bezpośrednią kontrolę nad pancernymi. Zaczniemy przygotowywać program, który pozwoli prowadzić za rękę każdego żołnierza kompanii Alfa i Charlie. Mogą powtarzać działania żołnierzy Bravo. To trzykrotnie zwiększy siłę uderzenia każdego strzelca kompanii Bravo. Ponurzy Żniwiarze z Deltę będą dostawać rozkazy z systemu kontroli ognia. Co dalej?

– Łączność.

– Zajmij się tym.

– Kapitanie, nie mogę zająć się stworzeniem strategii łączności! – odpowiedział przekąźnik niemal histerycznym tonem. – Jest za dużo zmiennych.

– Zdefiniuj problem – przerwał Duncan.

– Będzie nam potrzebne wsparcie wojsk z okolicy – nieoczekiwanie odpowiedział jego własny przekąźnik. – Kapitanie O’Neal, sam pan wybrał ósmy poziom trudności, dlatego będziemy potrzebowali większości wojsk z tego terenu do stworzenia bazy ogniowej. Potrzebujemy też całkowitej sieci kierowania ogniem oraz łączności z dowództwami, w celu uzyskania wsparcia logistycznego. My, przekąźniki, nie możemy same się tym zająć. Będziemy zbyt obciążone lokalną koordynacją, szczególnie jeśli trzeba będzie przejąć bezpośrednią kontrolę nad pancernymi.

– Dobrze, już dobrze. – Mike zapragnął nagle podrapać się w głowę, ale w tym ciasnym pojeździe nie mógł nawet podnieść przyłbicy. – Zostawmy to na razie. Co dalej?

– To tyle – odpowiedziała Shelly. – Mając wojska z tego terenu oraz te, które dopiero się tu zbliżają, będziemy posiadać dość sił, żeby odbić i zburzyć dowolne dwa mosty, w odległości nie większej niż sześć mil od nas.

– Dobra. Duncan, Pappas, jestem otwarty na sugestie odnośnie do problemu łączności.

– Debbie – powiedział Duncan – jakie rozmowy będą wychodzić z batalionu? To znaczy z kim planujesz rozmawiać?

– W normalnych okolicznościach rozmawialibyśmy z miejscowym dowódcą. Ale teraz nie ma żadnego miejscowego dowódcy.

Jednostki są w rozsypce. – Nagle na wszystkich trzech ekranach pojawiła się mapa terenu wokół Washington Mall. Była pokryta plamami we wszystkich kolorach tęczy. – Kolory oznaczają jednostki, które dotarły do Waszyngtonu. Te, które pochodzą z podobnych jednostek nadrzędnych, mają zbliżone kolory.

Mike skinął ręką na znak potwierdzenia. Był to gest wymyślony przez żołnierzy pancerny wspomaganych, który oznaczał kiwnięcie głową.

– Dobra. Ładny obraz.

– Dziękuję.

– Ale te jednostki są bezładnie przemieszane.

– Zgadza się. Zupełny groch z kapustą. Miesz-masz.

– Dobra, dziękuję. Mamy więc pełen obraz problemów komunikacyjnych. Trzeba będzie znaleźć częstotliwość każdej jednostki i przekazać im informacje.

– Zgadza się. Ale mamy częstotliwości tylko tych jednostek, które przekazywały połączenia. Inne nie mają łączności. Mogą nawet nie mieć radiostacji.

– Czy są na Mall? – spytał Duncan.

– Wiele z nich tak – odpowiedziała Shelly. – Jednostki dziewiątego korpusu szukają transportu do baz, a jednostki dziesiątego korpusu po prostu się zgubiły.

– Chryste – mruknął sierżant Pappas – co za burdel.

– Dantren – dodał zagadkowo Duncan.

– Tak – zgodził się Mike. – Zdziwiające, jak często Posleeni nam to robią.

Chodziło o to, że jednostki mobilne pierwszych wojsk ekspedycyjnych na Diess zostały uwięzione przez nacierających Posleenów w megawieżowcu Indowy. Obleżenie zostało przełamane przez pluton ówczesnego porucznika O’Neala. Amerykańskie i brytyjskie jednostki zostały zredukowane do kilku potrząskanych drużyn.

– A co z artylerią? – spytał Duncan, przyglądając się uważniej wyświetlonym danym. Większość z jednostek, które widział, stanowiły siły z pierwszych linii.

– Jednostki artylerii i wsparcia generalnie lepiej się trzymają – odpowiedziała Shelly. – Wiele z nich po prostu przekroczyło rzekę za daleko na północ. Te schwytane w pułapkę w Arlington także są już na drugim brzegu i zbierają się w rejonie Chevy Chase i Rock Creek Park. Niedobitki artylerii dziewiątego korpusu gromadzą się w Klubie Chevy Chase.

Starszy sierżant się zaśmiał.

– Nie chciałbym zobaczyć rachunku za tę zabawę.

– Właśnie – zawtórował mu O’Neal. – Jeśli ktoś przyśle mi rachunek, każę mu go wsadzić tam, gdzie małpy wkładają orzeszki ziemne. Duncan?

– Tak, sir?

– Powodzenie zadania będzie zależało od wsparcia ogniowego.

Skontaktuj się z tymi jednostkami. Mają się nie tylko zgrupować, ale i przygotować do ostrzału.

– Tak jest, sir – odpowiedział niepewnie plutonowy.

– W razie jakichkolwiek problemów łącz się bezpośrednio z generałem Hornerem – powiedział stanowczo Mike.

– Dobra. – Tym razem Duncan odpowiedział tak samo stanowczym tonem.

– A więc ruszaj.

– Tak jest, sir.

– Gunny?

– Tak, sir?

– Postaraj się nawiązać łączność z jednostkami przebywającymi w dzielnicy handlowej. Ułóż dla nich plan zbiórki. Użyj barw, które już mamy.

– Tak jest, sir.

– Postaraj się ich popędzić. Będzie nam potrzebne wsparcie. Przypomnij wszystkim, że jeśli Posleeni przekroczą Potomac, będziemy uciekać aż do choleralnej rzeki Susquehanna.

– Dobra.

– Poproś przekaźnik o pomoc.

– Żaden problem, sir.

– No to w porządku. – Mike desperacko zapragnął podrapać się w podbródek. – Shelly, coś jeszcze?

– Jeszcze tylko jedna sprawa – odpowiedziała.

– Tak?

– Ten scenariusz zakłada, że wojska są gotowe stanąć do walki.

A nasze wojska są w odwrocie.

– Cóż – odpowiedział łagodnie Mike – mam nadzieję, że przeżyli żołnierze, którzy nie tylko

szybko biegają, ale i dobrze strzelają.

**Fairfax, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 07:26 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

Suburban podskoczył, kiedy najechał na wystający fragment ogrodzenia.

Najszybsza droga przez osiedla jedno – i dwupiętrowych budynków wiodła przeważnie przez podwórka. Wcześniej musieli zawrócić przy Glebe Road i pojechać z powrotem w górę Wilson Boulevard, zanim znaleźli miejsce nie zablokowane całkowicie przez samochody. Na zakorkowanych ulicach wszystko stało, a w dzielnicach handlowych i przed fast-foodami przy głównych trasach przelotowych roilo się od porzuconych pojazdów. Kiedy wreszcie przebili się przez Wilson Boulevard, postanowili jechać tylko podwórzami i bocznymi drogami.

Mogli porzucić transportery. W okolicy napotykali bardzo dużo bezpańskich pojazdów wojskowych. Ale gdyby je zostawili, musieliby pożegnać się z moździerzami i półcalowymi M-2. Keren wolał jednak zachować siłę ognia, na wypadek małego spotkania z Posleenami.

Ale z wyborem okężnej drogi wiązały się inne problemy.

– Gdzie my jesteśmy? – spytała Elgars i wychyliła się przez okno, żeby spojrzeć na jadące za nimi dwa transportery.

Wbrew obawom podczas forsownej jazdy z Manassas żaden z pojazdów się nie zepsuł. Najwyraźniej wszystkie, które mogły sprawiać problemy, zostały w Okręgu Prince William.

– Domyślasz się, gdzie możemy być?

– Nie bardzo – powiedział Keren i podał jej mapę.

Zamienili się miejscami, kiedy jazda stała się trudniejsza. Elgars dobrze radziła sobie na ulicach, ale Keren miał więcej doświadczenia w jeździe po bezdrożach.

Wziął mikrofon. Kiedy po raz trzeci wystawił antenę przez okno, Elgars znalazła rolkę taśmy izolacyjnej i przykleiła ją do otwieranego dachu pojazdu. Keren zastanawiał się, dlaczego sam na to nie wpadł. Może dlatego, że przez ostatnie trzy dni jedyną rzeczą, którą robił, kiedy nie uciekał, był kamienny sen.

– Reed!

– Tak?

– Znajdź mi oznaczenie drogi.

– Dobra.

Transporter opancerzony skręcił ostro w lewo, wzbijając kurz.

Przejechał po drewnianym ogrodzeniu, które poszło w drzazgi, minął jakiś budynek i znowu gwałtownie skręcił w prawo.

Kiedy dojechali do końca ulicy, zobaczyli wreszcie stojące tam zielone znaki.

– Jackson Street i Szósta Ulica – powiedział Reed przez radio.

– Cholera – zakłęta Elgars. – Nieźle. Jesteśmy prawie na Cmentarzu Arlington.

– Jak daleko? – spytał Keren.

Przed nimi wznosiły się drapacze chmur, a to nie wróżyło niczego dobrego. Posleeni lecieli do cholernych wieżowców jak pszczoły do miodu. Keren znowu nacisnął mikrofon.

– Czy ktoś widzi tu jakieś wzgórze? Powinno być na godzinie dziewiątej.

– Ja widzę – odpowiedział ktoś z Wozu Trzy.

Ta drużyna należała do innej brygady i dołączyła do ich plutonu przy Jackson Lake. Chociaż nie czuli się częścią tej rodziny, przynajmniej z nimi współdziałali.

– Między dwoma budynkami. Prawdopodobnie z waszego miejsca nie widać.

– Dobra – powiedział Keren – to nasz cel...

W tym momencie straszliwa eksplozja rozerwała elewację wieżowca na południe od nich, a w górę wzbil się pocisk smugowy.

– O, w dupę! – krzyknął Reed. – Posleeni!

Półcalówka na szczycie jednego z transporterów obróciła się na południe, w stronę Szóstej Ulicy i plunęła ogniem.

– Dalej! – krzyknął Keren przez radio i ruszył suburbanem z miejsca. – Nie siedźcie tak!

Skręcił w boczną ulicę dokładnie w chwili, gdy transporter ruszył. Pocisk hiperszybki zmiotł fragment jezdni po prawej stronie, kiedy suburban przemknął przez skrzyżowanie. Elgars chwyciła swoją AIW i wychyliła się przez szyberdach. Kątem oka Keren zobaczył, jak pozostałe transportery ścinają róg parkingu. Nacisnął pedał gazu i ruszył w stronę odległego wzgórza.

Przekroczył właśnie sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, kiedy Elgars, wychylona do pasa przez okno w dachu samochodu, kopnęła go w ramię.

– Stój! – wrzasnęła, kiedy tuż obok przeleciał kolejny hiperszybki pocisk. Fala uderzeniowa wściekle zatrzęsła pojazdem, a sam pocisk uderzył w stację benzynową na rogu.

– Pieprz się! – odkrzyknął i jechał dalej.

Nagle błysnęła srebrna smuga wystrzelona z działka plazmowego i Keren zobaczył, że Wóz Dwa wybucha ogniem.

– Cholera!

Strzelcy na transporterach siekli ze swoich półcalowych kaemów, ale pojazdy tak bardzo podskakiwały na nierównościach, że nie było szans trafić Wszechwładcy, który tak celnie strzelił plazmą. Ledwie było go widać w lusterku; był z kilometr od nich. Odległość w przypadku Wszechwładcy w niczym jednak nie pomagała.

– Stój albo wszyscy mamy przesrane! – krzyknęła znowu Elgars.

Keren z całej siły nacisnął hamulec i sięgnął do tyłu po AIW.

Wiedział, że jeśli nie zabiją Wszechwładcy, będą zgubieni. Osobiście nigdy nie udało mu się trafić z karabinu 7.62 nawet z odległości pół kilometra, ale, co tam, z centaurami może będzie inaczej.

Ledwie pojazd się zatrzymał, nad nim rozległ się pojedynczy strzał.

– Jazda!

Keren spojrzał w tylne lusterko. Wszechwładca był martwy, a jego spodek odlatywał w dal. Wojownicy posleńskiej kompanii zaciekle nacierali, ale na szczęście strzelali do wszystkiego w zasięgu wzroku, a nie tylko do ich pojazdów. Keren znów wcisnął gaz do dechy. Przed nimi unosił się gęsty dym z płonącej stacji benzynowej; gdyby zdołali się w nim ukryć, byłiby uratowani.

– Panno Święta patronko przyspieszenia, nie zawieź nas teraz! – krzyknęła Elgars i znowu zaczęła strzelać z granatnika.

Dwudziestomilimetrowe pociski uderzały jak metronom, siejąc zniszczenie za odjeżdżającym plutonem.

\* \* \*

Przebili się przez Fort Myer. Kwatera Główna Dowództwa Armii Kontynentalnej przypominała miasto duchów. Zupełnie jakby na całym świecie pozostali tylko żołnierze plutonu i ścigający ich Posleeni. Jednostka móździerzowa minęła komisariat i klinikę, po czym znalazła się przy murze cmentarza Arlington.

Keren zwolnił i pozwolił pozostałym pojazdom wyrównać szyk.

Znowu chwycił mikrofon.

– Pojazd Trzy, zrób wyrwę w murze.

– Nie ma tu jakieś bramy? – spytał żołnierz obsługujący radiostację w Wozie Jeden.

– Chcesz marnować czas na szukanie bramy? – spytał dowódca Wozu Trzy i machnął dłonią w stronę muru.

Pojazd skoczył naprzód, dotykając przodem kadłuba powierzchni muru. Silnik ryknął potężnie, po czym cała sekcja muru runęła.

– A teraz naprzód. Wóz Trzy, Wóz KO, Wóz Jeden. Jazda!

Keren ruszył za Wozem Trzy, który zaczął przecierać sobie drogę wśród nagrobków. Kapral powiódł wzrokiem po porzrzuconych na wszystkie strony kawałkach białych płyt i pokręcił głową. Podejrzewał, że mieszkańcy cmentarza na pewno rozumieli niezwykle motywy prowadzące pluton tym skrótem, ale z pewnością nie podobało im się to, że to ucieczka. Ale w końcu musiała się trafić jakaś porządna jednostka, do której można będzie się przyłączyć.

Wtedy skończy się uciekanie.

Wóz Trzy skręcił w prawo i okrążył wzgórze. Rosnące tu drzewa osłaniały ich przed wzrokiem nieprzyjaciela, ale Keren nie uspokoił się, dopóki nie znaleźli się za wzniesieniem. Moździerze nigdy, przenigdy nie powinny zostać dostrzeżone przez wroga. Wpajano mu to od samego początku przeszkolenia. Nie potrafią tak jak artyleria strzelać we wroga ogniem na wprost. Jednak jeżeli używało się ich z głową, ich studwudziestomilimetrowe pociski potrafiły być straszne. Dojeżdżali właśnie do ronda, kiedy drogę zagroził im jakiś oficer. Podpułkownik miał na sobie błękitny uniform i trzymał w ręku pistolet maszynowy MP-5. Podszedł od czoła do prowadzącego transportera, sygnalizując uniesioną ręką, żeby się zatrzymali.

Po krótkiej rozmowie z dowódcą pojazdu podszedł do suburbana.

Elgars odłożyła AIW i sięgnęła po pistolet, na wpół zapomniany w kaburze Kerena.

Nie odwracając głowy, Keren rzucił krótko:

– Zostaw.

– Dlaczego? – zapytała.

Zwrócił w jej stronę zimne jak u rekina bladoniebieskie oczy i wskazał zbocze po prawej stronie. Linia okopów była widoczna, wspinając się w górę zbocza, w stronę Grobu Nieznanego Żołnierza. Czaili się w nich żołnierze, w oczekiwaniu na atak centaurów.

Zewsząd sterczały lufy AIW i ciężkiej broni maszynowej.

– Myślisz, że będą spokojnie patrzeć, jak rozwalamy tego gościa? – szepnęła.

– Zastanowię się nad tym – odpowiedziała Elgars i usiadła wyprostowana na siedzeniu pasażera.

\* \* \*

Keren przybrał odpowiedni wyraz twarzy i zaszalutował, kiedy oficer podszedł do samochodu. W tych okolicznościach nie był to właściwy gest, ale zaszalutować nigdy nie zaszkodzi.

– Pułkowniku – powiedział – starszy kapral Keren, pluton moździerzy, kompania Alfa pierwszego batalionu czterysta pięćdziesiątego drugiego pułku piechoty, trzecia brygada pięćdziesiątej dywizji.

I Pułkownik był wysoki, szczupły i zabójczo przystojny. Wyglądał raczej jak drugoplanowy aktor filmu wojennego. Odpowiedział na salut tak precyzyjnie, jakby był na placu apelowym.

– Podpułkownik Alexander.

Spojrzał na suburbana. Pojazd był zapewne radością i chlubą jakiegoś młodego, przedsiębiorczego człowieka, zanim wpadł w ręce piechoty. Teraz została mu już tylko jedna szyba, bok i tył były podziurawione, lakier z lewego boku został prawie całkowicie zdarty przy bliskim spotkaniu z transporterem, a z silnika wydobywała się para.

– Gdzie zdobyliście ten pojazd, kapralu? – spytał grobowym głosem.

Keren zamrugął oczami. Było to ostatnie pytanie, jakiego mógł się spodziewać. Cholera, pluton poszedł w rozsypkę, nie mają już praktycznie żadnych podoficerów, oficerów, amunicji ani łączności, a pojazdy gaśnicowe ledwie się wloką. A ten głupi skurczybyk pyta, dlaczego ukradli furgonetkę.

Pozostawało tylko jedno: skłamać.

– Nasz pojazd do kierowania ogniem został zniszczony w ostrzale własnych pozycji w Occoquan. Mój dowódca kompanii osobiście dowodził tym pojazdem. Używaliśmy go do transportu amunicji i rannych podczas odwrotu. Kiedy znowu nas zaatakowano przy Lake Jackson, straciliśmy naszego dowódcę kompanii, dowódcę plutonu i wszystkich podoficerów. Od tamtej pory używam tego pojazdu jako centrum kierowania ogniem. Jesteśmy ostatnią ocalałą jednostką.

Wykonywaliśmy manewr taktycznego odwrotu pod ostrzałem wroga. Nie udałoby się to nam bez tego pojazdu, sir.

Pułkownik mógł w to uwierzyć lub nie, ale gdyby dalej się czepiał, Keren zamierzał po prostu pozwolić tej siedzącej obok niego suce zrobić swoje. A potem czekał ich kolejny odwrót pod ostrzałem.

Dowódca takiej jednostki powinien być weteranem. Właśnie tacy byli żołnierze Prezydenckiej Piechoty Morskiej. Każdy gość u nich był bohaterem z Barwhon lub Diess. Ale owocowa sałatka z baretek na mundurze tego faceta wskazywały na coś innego.

Z trudem rozpoznał najwyższe odznaczenie; prawdopodobnie była to Legia Zasług. A to mówiło samo za siebie. Legię Zasług dostawało się po trzydziestu latach niewolniczej papierkowej harówki w Pentagonie. Po uważnym przyjrzeniu się pozostałym medalom Keren stwierdził pewne braki. Nie było Srebrnych i Brązowych Gwiazd, odznaczenia bojowego piechoty i Gwiazdy Skoków Bojowych. Pułkownik miał tylko Medal Wyborowego Strzelca i Skrzydła Mistrza Spadochroniarzy. Obwieszona medalami pierś pułkownika ponad wszelką wątpliwość zdradzała, że nigdy nie słyszał ani jednego wystrzału w zamęcie bitewnym.

Keren starał się zachować uprzejmy wyraz twarzy, aby nie zdradzić, że wie, co jest grane. Ten gość jest tylko pionkiem. Ma pietra i wysyła żołnierzy na śmierć, żeby samemu sobie udowodnić, że nie jest tchórzem. Kiedy nadejdzie pora, pewnie zwieje w stronę mostów i będzie się modlił jak cholera, żeby saperzy nie wysadzili ich w powietrze, dopóki nie przejdzie na drugą stronę.

Pułkownik zaszczycił go kolejnym zimnym spojrzeniem.

– Wiem, że wasza kompania wycofuje się już od dłuższego czasu. – Jego twarz wyrażała teraz pogardę.

Keren z trudem stłumił gniew.

– Tak, sir. Rzeczywiście.

– Cóż – oficer uśmiechnął się zimno – szczęście wam sprzyja. Oto koniec waszego odwrotu. – Wskazał na ledwie widoczny na szczycie zbocza Grób Nieznanego Żołnierza. – Niech wasza... jednostka zajmie pozycję tam na górze. Okopcie się. Wzmocnicie naszą siłę ognia.

Keren sięgnął po mapę.

– Sir, chciałbym zwrócić uwagę na dwa punkty regulaminu używania mózdzierzy...

Oficer ściągnął brwi.

– Znam regulamin, kapralu. To był rozkaz.

– ...które mówią, że przy bliskim ostrzale mózdzierze powinny pozostać na pojazdach, sir. Minie trochę czasu, zanim się okopimy. – Spojrzał oficerowi prosto w oczy. – Zaatakowano nas niecałe dwie mile stąd, sir.

Twarz oficera napięła się jeszcze bardziej. Nie mógł nie zauważyć śladów po hiperszybkich pociskach, ale najwyraźniej miał nadzieję, że wróg jest nieco dalej.

– Gdzie?

– Jednostka Posleenów była przy Arlington Hall, sir. Ich Wszechwładca używał działa plazmowego. Chyba widział pan ogień, sir?

– Tak. Kapralu, nie mamy czasu na kłótnie...

W tej chwili mamy jeszcze mnóstwo czasu, ty ośle, pomyślał Keren. Ale jeśli pošlesz nas na ten szczyt, zostanie nam najwyżej piętnaście minut życia.

– Sir, minimalny zasięg prowadzenia ognia dla studwudziestomilimetrowego mózdzierza to prawie osiemset metrów. Nie mogę zapewnić ostatecznego wsparcia obronnego dla pańskiego oddziału ze szczytu wzgórza.

Było to oczywiste kłamstwo. Zasięg był trzy razy mniejszy, ale był pewien, że oficer tego nie wie.

I miał rację.

– No dobrze – rzucił oficer. – Ale jeśli spróbujecie opuścić pozycję, kiedy będziemy mieli kontakt z wrogiem, każę zniszczyć wasze pojazdy. Wasz odwrót się zakończył, kapralu.

– Tak jest, sir! – odpowiedział Keren. – Na jakim kanale zamierza pan prowadzić kierowanie ogniem?

Oficer usilnie starał się nie patrzeć przez jego ramię w kierunku, z którego mogli nadciągnąć Posleeni. Pytanie zupełnie go zaskoczyło.

– Eee...

– Nasz to Sześćdziesiąt Trzy Siedemdziesiąt, sir. – Keren wyciągnął notes i zapisał tę informację na kartce, po czym podał ją pułkownikowi. – Proszę, sir. Pojedziemy już zająć naszą pozycję.

– Jedźcie, a ja...

– Połączy się pan z nami.

– Tak.

Keren znowu zasalutował i wziął do ręki mikrofon.

– Wóz Trzy za mną. Poprowadzę was na pozycję.

– Co?! Zatrzymujemy się?!

Wóz Jeden zareagował podobnie.

– Tak, jedziemy do ronda. Mam mapę, a pułkownik zna naszą częstotliwość. Ja prowadzę. Przygotujcie się do zajęcia pozycji.

Uśmiechnął się do pułkownika i zasalutował mu. Zapalił silnik suburbana i przyspieszył, żeby wyprzedzić jadący przed nim transporter. Tylne koła wielkiego pojazdu zahaczyły o zadbane trawnik i wbiły za sobą gęsty tuman kurzu. Keren spojrział w tylne lusterko, na pułkownika, który nadal stał w tym samym miejscu z kawałkiem papieru w ręce. Co za skurwiel!

\* \* \*

– Ty skurwielu! – warknął kapral, wychylając się przez okno.

Dowódca trzeciej drużyny nie był zadowolony z postępu. Keren zobaczył, że w kierunku



suburbana idzie także dowódca pierwszej drużyny. Sierżant należał do innego batalionu w trzeciej brygadzie i był starszy stopniem od Kerena. Ale był tylko dowódcą zespołu karabinierów i niewiele wiedział o moździerzach. Nie nadawał się też zbytnio na dowódcę, dlatego cieszył się, że może na czas bitwy przekazać dowodzenie Kerenowi. Keren skończył właśnie czytać mapę, kiedy obaj do niego podeszli.

– Może i tak. – Keren wskazał podbródkiem na zbocze. – Tam są wyrzutnie pocisków przeciwczołgowych typu Dragon. I może jeszcze te wielkie, cholerne karabiny snajperskie. Chcecie dostać w tyłek z jednego z nich, jeśli zaczniemy uciekać? – Spojrzał dowódcy trzeciej drużyny prosto w oczy. – Pieprzeni Posleeni będą tu lada chwila. Nie sądzisz, że będzie lepiej, jeśli przygotujemy się do otwarcia ognia?

Dowódca trzeciej drużyny był roslym mężczyzną o rzadkich, przyciętych na języka blond włosach. Zarost na jego twarzy miał prawie taką samą długość. Zazgrzytał zębami, zaciskając pięści.

Zerknął w kierunku pozycji snajperów i zaklął, po czym wrócił do pojazdu, wykrzykując rozkazy przygotowania broni.

Dowódca pierwszej drużyny był starszym, grubym facetem, czarnym jak pikowy as. Stał z zaplecionymi rękami i czekał, aż drugi dowódca drużyny się oddali.

– Tak? – Keren popatrzył na niego ponuro.

– Jak długo tu zostaniemy?

– Odpowiedź brzmi: dotąd, aż oni – wskazał podbródkiem na batalion – złączą prawdziwe starcie z Posleenami i nie będą już mogli zmarnować ani jednego pocisku na uciekającą jednostkę.

– A więc będziemy uciekać w najgorszym momencie.

To stwierdzenie nie wymagało odpowiedzi.

– Nigdy nie posądzano mnie o to, że jestem sprytny – powiedział Keren. – Uparty – tak. Głupi – tak. Upierdliwy – jeszcze jak. Ale nie sprytny.

Sierżant uśmiechnął się lekko i ruszył z powrotem do swojego pojazdu.

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 08:17 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

– Panie prezydencie – powiedział kapitan Hadcraft – to głupie.

Bojowy wóz piechoty Bradley brnął pod górę nasypu drogowego. Pluton ze sto piątej dywizji piechoty niechętnie oddał swoje pojazdy. Ale bezpośredni rozkaz prezydenta i obecność plutonu panczerzy wspomaganych zrobiły swoje. Teraz jednostka panczerzy miała środek transportu, który nadawał się do jazdy terenowej bardziej niż suburbany, w których do tej pory jechali.

Ale to by im nie pomogło, gdyby zaatakował ich rozwścieczony tłum.

Z dróg krajowych numer 29 i 50 bez litości usuwano wszystkie pojazdy. Każdy, kto do tej pory nie dotarł jeszcze do Beltway, musiał wysiąść ze swojego samochodu, ciężarówki albo furgonetki, a pojazd był spychany do rowu przez saperskie czołgi-spychacze.

Uchodźców kierowano do parku wokół Szpitala Weteranów, gdzie powstało już całe miasto namiotów.

Oddział Prezydencki maszerował właśnie przez te tereny, kiedy prezydent zwrócił na to uwagę. Natychmiast rozkazał im tamtędy przejechać.

Według Tajnych Służb, podobnie jak piechoty morskiej, prezydent cieszył się obecnie nie najwyższym poparciem. W końcu to na skutek jego bezpośredniego rozkazu Stany Zjednoczone straciły w ciągu czterdziestu ośmiu godzin więcej żołnierzy, niż w jakimkolwiek konflikcie ubiegłego stulecia. W nadal działającym jakoś Internecie dawało się odczuć niesprecyzowany gniew. Jakkolwiek by go jednak nie precyzować, był wymierzony w prezydenta. Kiedy dodać do tego ogromne wzburzenie, wywołane wypędzeniem ludzi z domów, szansę na zaatakowanie przywódcy państwa wypadało określić jako niemile wysokie.

Prezydent obracał w rękach hełm.

– Może. Nigdy nie mówiono o mnie, że jestem sprytny. Uparty – tak. Upierdliwy – też. Ale nie sprytny.– Podniósł wzrok na oficera piechoty morskiej, skulonego na siedzeniu dla załogi. Bradleyów, rzecz jasna, nigdy nie projektowano tak, aby pomieściły panczerze wspomagane i było to wyraźnie widoczne. Drużyna w tym pojeździe była upchana jak sardynki w puszcze. Prezydent popatrzył prosto w miejsce, gdzie jego zdaniem powinny znajdować się oczy kapitana. – Ale to są moi ludzie. To należy do moich obowiązków.

Ujmę to tak: czy kiedy jeden z pańskich żołnierzy trafia do szpitala, odwiedza go pan?

Pancerz nie poruszył się, ale prezydent miał wrażenie, że ramiona lekko zmieniły swoje położenie.

– Tak.

– To jest to samo. A na pana też czasem żołnierze są wściekli.

Kapitan uniósł dłonie w geście przytaknięcia.

Prezydent znowu obrócił hełm w rękach. Zabełtał żel i patrzył, jak płynna masa wiruje. Wyglądała jak rekwizyt z kiepskiego horroru, a on miał to włożyć na głowę.

– Muszę zobaczyć tych ludzi. Jeśli po prostu wyminę ich w drodze do Camp David, może to być policzek, po którym ten rząd już nigdy się nie podniesie. – Ściągnął brwi. – Więc każcie kierowcy jechać właśnie tam.

Uchodźcy tworzyli skłębioną masę. Tysiące ludzi, samotnych i z rodzinami, przywieziono ciężarówkami i autobusami i pozostawiono na polu golfowym. Kompania żandarmerii wojskowej bezskutecznie usiłowała zaprowadzić jakiś porządek i dopilnować ustawiania namiotów; ludzie i tak robili, co chcieli. Dowódca jednostki żandarmerii wydzielił nawet pluton do reagowania w nagłych przypadkach i od czasu do czasu musiał wysyłać go do akcji, przerywając bójki albo tłumiąc rodzące się zamieszki. W miarę upływu czasu całość coraz bardziej zaczynała przypominać obóz jeniecki.

Bradleye i suburbany prezydenckiego konwoju skręciły w Arnold's Drive, w stronę Domu Żołnierza i tam się zatrzymały. Ponieważ nie wszyscy marines zmieścili się do bradleyów i samochodów, jedna drużyna podróżowała bezpośrednio na pancierzach bewupów. Teraz natychmiast zeskoczyli na ziemię i unieśli karabiny grawitacyjne, na wypadek pojawienia się zagrożenia.

Kłębiące się masy uchodźców z zaciekawieniem i obawą patrzyły na zbliżający się konwój. Suburbany sugerowały, że przyjechał wysoki urzędnik państwowy, chociaż brakowało obowiązkowej w takich sytuacjach limuzyny. Wozy bojowe – dla większości obserwatorów czołgi – przypominały, że rząd nie zawsze jest przyjacielem ludu. W sytuacji, kiedy ludzi traktuje się właściwie jak jeńców wojennych, widok zwartych oddziałów, a zwłaszcza na wpół cudownych, na wpół demonicznych żołnierzy w pancierzach wspomaganych, nie wywołuje przyjaznych uczuć. Dlatego kiedy żołnierze piechoty morskiej unieśli broń, nie myśląc o reakcji cywilów, tłum cofnął się przerażony.

Dziennikarze zlecieli się do obozów uchodźców jak pszczoły do miodu. Nadawanie wiadomości z linii frontu, jak zaobserwowali na przykładzie relacji kilku swoich kolegów, było niebezpiecznie bliskie samobójstwa. Dlatego najlepszym kąskiem dla reportera był problem niekompetencji rządu. Skoro rząd nie potrafi natychmiast zapewnić żywności i schronienia dla piętnastu tysięcy uchodźców, w oczywisty sposób jest niekompetentny. W połączeniu ze śmiercią prawie stu tysięcy żołnierzy w północnej Wirginii dawało to materiał na reportaż o największym potencjale w dziejach mediów. Albo tak się przynajmniej wydawało.

Wskutek zniszczenia przez Posleenów sieci satelitarnych większość głównych stacji telewizyjnych musiała przerwać transmisję.

Pospiesznie przełączano się na nadawanie przez Internet. Po raz pierwszy informacje o wojnie docierały bezpośrednio do domów zwykłych obywateli praktycznie bez ograniczeń.

Internauci otrzymywali uaktualniane na bieżąco mapy z IVIS, na których oznaczano miejsca potyczek, a nawet transmisje na żywo przekazywane z panczerzy wspomaganych spieszących do walki albo biorących w niej udział. Potyczka pierwszego batalionu pięćset ósmego pułku piechoty mobilnej z załogą małego lądowiska pod Redmond koło Waszyngtonu miała najwyższą oglądalność w historii, większą nawet niż ostatnie godziny walki we Fredericksburgu.

Największym zainteresowaniem cieszyła się strona internetowa poświęcona Siłom Zbrojnym, ukryta pod hasłem „wiadomości o wojnie”. Przez całe trzy godziny trwania bitwy zajrzało na nią blisko sześćdziesiąt milionów internautów. Całe zajście było komentowane w dodatkowych okienkach tekstowych, umieszczono też opisy jednostek i objaśniające grafiki.

Komentatorem był były amerykański pułkownik, który ze względu na wiek – nawet po odmłodzeniu – nie nadawał się do służby w wojsku. Nagranie uzupełniono odgłosami bitwy i komentarzem na temat podobieństwa wszystkich bitew prowadzonych aż od czasów Sargona. Reklamujący się w przerwach producent karabinów szturmowych Barrett otrzymał przez Internet najwięcej w historii zamówień.

Kiedy więc tłum zgromadzony na polu golfowym cofnął się przed wysiadającymi z wozów bojowych marines, do przodu rzucili się reporterzy. Krzyki rozhisteryzowanych uchodźców,

doprowadzonych na skraj rozpaczy utratą bliskich, domów i wieloletniego dorobku, zostały przesłane na cały świat.

Kapitan piechoty morskiej położył rękę na ramieniu prezydenta, podczas gdy reszta kompanii opuszczała pojazdy.

– Proszę zaczekać, aż będzie bezpiecznie – rzucił.

Prezydent kiwnął głową. Chwilę później szef wywiadu wyjrzał przez drzwi.

– Sir, zaczął, twarz miał napiętą. Był w kropce. Tłum balansował na krawędzi zamieszek, a jedyną osobą, która mogła temu zapobiec był prezydent. Ale było to bardzo niebezpieczne.

Kapitan Hadcraft zaklął i złapał prezydenta za ramię.

– Sir, mamy problem.

Prezydent schylił się, żeby nie uderzyć głową we framugę drzwi.

Pancerz próbował się cały czas dostosować do sylwetki nowego właściciela i stylu jego poruszania, ale czasami potrafił zinterpretować krótki, zdecydowany ruch jako polecenie wykonania skoku. Na szczęście nie zdarzyło się to w chwili, gdy znajdował się w przedziale desantowym bradleya bez hełmu na głowie. Teraz jednak ruch wypchnął go na zewnątrz, poza platformę desantową solidnym susem.

Kiedy prezydent wysiadł z wozu bojowego, od razu zrozumiał, o jaki problem chodzi kapitanowi. Powiódł wzrokiem po żołnierzach piechoty morskiej stojących z opuszczoną bronią, kłębiącym się tłumie i kamerach telewizyjnych.

– Chryste – szepnął – co jeszcze pójdzie nie tak?

Zastanowił się przez chwilę, po czym odżyła w nim ta sama zdolność szybkiego i skutecznego działania, która ułatwiła mu efektywną wspinaczkę po szczeblach politycznej kariery.

– Przekaznik, czy pancerz może działać jako wzmacniacz? W podobny sposób z jakiego skorzystano na Diess?

– Tak, sir.

– Dobra, to powiem tym cholernym marines, żeby schowali broń.

Zdjął hełm i rozkazał:

– Wzmacniaj!

– Rodacy Amerykanie! – Jego słowa powtórzyły bardzo głośno wszystkie pancerze. Znajomy głos zaskoczył tłum, który zamarł w bezruchu. Prezydent położył ręce na biodrach i pochylił się do przodu. – Przyszedłem zobaczyć, w czym mogę wam pomóc!

\* \* \*

Prezydent szedł wśród tłumy, a członkowie Tajnej Służby dostawali białej gorączki. Z trudem dotrzymywali kroku przemieszczającemu się pancerzowi, a prezydent ścisnął dłonie cywilów i brał ich w objęcia. Zapach tłumy różnił się od wszystkich zapachów, z jakimi miał dotąd do czynienia. W obozie brakowało pryszniców i toalet, co groziło wybuchem epidemii. Myśl o cholery i tyfusie napawała wszystkich przerażeniem.

– Robimy, co możemy – uspokajał tłum.

Zatrzymał się przed matką trzymającą w ramionach śpiące dziecko. Mały chłopiec miał dużą ranę z boku głowy, częściowo tylko zaleczoną.

– Proszę pani – powiedział ostrożnie. Kobieta miała zamknięte oczy i kiwała się do przodu i do tyłu jak w transie. – Pani syn jest ranny.

Nie było żadnej odpowiedzi.

– Kapitanie Hadcraft?

– Tak, sir? – Oficer wreszcie przedarł się do niego przez tłum.

– Czy mamy lekarza?

– Chodzi panu o sanitariusza, sir? Nie, nie ma go na naszej liście.

– A jakiś sprzęt medyczny?

– Tylko pancerze, sir.

– Dajcie je tutaj. – Podeszedł do kobiety i delikatnie dotknął jej ramienia. – Proszę pani?

Gwałtownie otworzyła oczy i krzyknęła.

– On umarł! Umarł! Zostawcie mnie! On umarł! Umarł!

– Przekaznik? – powiedział prezydent. – Możesz...

– Dziecko nie umarło, sir – stwierdziło stanowczo urządzenie. – Jego sygnały życiowe są dosyć silne. Chłopiec najwyraźniej doznał uszkodzenia czaszki i jest w śpiączce. Ale nie umarł.

Tłum napierał, żeby zobaczyć, co się dzieje, a reporterzy przepychali się w ślad za kapitanem Hadcraftem. Kapitan przekazał matkę jednemu z członków Tajnych Służb, a sam wziął dziecko w ramiona i ruszył w stronę wozów bojowych.

– Kapitanie.... – zaczął prezydent.

– Zabiorę go do szpitala stanowego Wirginii, sir. A pan niech uspokoi sytuację.

Zwierzchnik Sił Zbrojnych uśmiechnął się. Dobry podwładny to prawdziwy skarb.

Rozejrzał się wokół i jego uwagę przyciągnęła kobieta, która wyglądała na dosyć opanowaną.

– Czego wam potrzeba? Namiotów? Jest ich tu trochę, a będzie ich jeszcze więcej. Czego jeszcze?

Wyglądała przez chwilę na zaskoczoną, po czym odpowiedziała:

– Żywności. Prawie nie mamy co jeść. Już zaczynają się z tego powodu walki. Potrzebujemy także lepszej ochrony. To prawdziwe piekło.

– Dobrze – odpowiedział prezydent – natychmiast się tym zajmę. Ale... – Rozejrzał się wokół. Chciał przemówić do tłumu, ale nie było podium, na którym mógłby stanąć. – Przekaznik, muszę stanąć wyżej.

– Mogę pana unieść za pomocą systemu antygravitacyjnego, ale tłum może to źle odebrać.

Prezydent przytaknął. Uniesienie się w powietrze jak Chrystus nie było najlepszym pomysłem.

– Nie mogę przecież, do cholery, po prostu stanąć komuś na ramionach.

Pancerz ważył prawie tonę i był wyładowany amunicją.

– Jeśli pan sobie życzy, mogę zmniejszyć ciężar pancerza prawie do zera. Wtedy mógłby pan stać na ramionach agenta Rohrbacha.

Mogę go także ustabilizować, żeby pan nie spadł.

– Zrób to. – Prezydent spojrzał na Rohrbacha. – Słyszał pan?

– Tak – odpowiedział barczysty były futbolista.

Kiedy prezydent poczuł zmniejszenie się ciężaru pancerza, wdrapał się na ramiona agenta, a inni agenci natychmiast ich otoczyli, żeby powstrzymać napór tłumu.

Prezydent rozglądał się przez chwilę, po czym doszedł do wniosku, że najlepiej będzie zacząć od żartu.

– Cześć, jestem z rządu i przyszedłem wam pomóc!

W tłumie rozległy się słabe śmiechy.

– A poważnie mówiąc – ciągnął nadal wzmocnionym głosem – pomoc jest już w drodze. Ja osobiście nie wyjadę stąd, dopóki tu nie dotrze. Ale wy też musicie nam pomagać! Mamy tu namioty, które trzeba rozstawić. Sprowadzę więcej żołnierzy do pomocy, ale jest was dosyć, żebyście przy odrobinie dobrej organizacji sami je rozstawili.

– Żywność... – powiedział i urwał. – Przekaznik? – Rozmowa nadal była wzmacniana.

– Tak, sir?

– Czy mamy w pobliżu jakąś jednostkę zaopatrzeniową, którą można by tu skierować?

– Tak, sir. Główna kompania zaopatrzeniowa trzydziestej trzeciej dywizji zajmuje pozycję niecałe cztery mile stąd.

Prezydent spojrział na tłum.

– Każę ją tu skierować. I inne jednostki do pozostałych obozów.

Poświęciliście swoje życie pracy dla kraju, a teraz my możemy chociaż trochę wam się zrewanżować.

– Ale musicie nam pomagać. Pracować razem! Troszczyć się o siebie nawzajem! Tu obok jest szpital – pokazał przez ramię. – Jeśli ktoś jest ranny, pomóżcie mu tam dotrzeć. Niech silni pomagają słabszym, zanim nie odbudujemy naszego zwykłego życia!

– Kiedy będziemy mogli wrócić do naszych domów? – dobiegł głos z tłumy.

Twarz prezydenta spochmurniała.

– Nie chciałem, żeby tak wielu z was musiało opuścić swoje domy. I dlatego spieprzyłem sprawę, jak jeszcze nikt w całej historii Ameryki. Ale to się już nigdy nie powtórzy! Kiedy zbierzemy nasze siły i przygotujemy je, wtedy wrócimy do domu. Kiedy wszystkie oddziały będą gotowe. Wrócimy do domu, kiedy cholernie mocno skopiemy dupy pieprzonym Posleenom!

Chór okrzyków radości był słaby i niespecjalnie brzmiący przekonaniem, ale w tych okolicznościach nie można było spodziewać się niczego więcej. Prezydent nie wspomniał, że większość domów na pewno została zniszczona. Te, których nie zaminowano, zostały splądrowane przez Posleenów.

– Cholernie spieprzyłem swoją robotę – powtórzył polityk. – Kiedy tylko nadejdzie chwila spokoju, oddam się pod osąd Kongresu.

Zaskoczenie było tak wielkie, że jeden z operatorów upuścił kamerę, a kilku dziennikarzom wyleciały z rąk mikrofony.

– Ale do tej chwili pozostanę na stanowisku. Jestem w kontakcie z generałami Hornerem i Taylorem. Nie wiem, czy słyszeliście, że rozgromiliśmy inwazję na południu. Generał Keeton i dwunasty korpus wykonali wspaniałą robotę. Ale tu, w północnej Wirginii, bitwa jeszcze się nie zakończyła. Nadal zdarzają się lądowania Posleenów, a naszych oddziałów właściwie nie ma tu. Zostanę tu, dopóki nie przybędzie większe wsparcie. Według planu miałem pojechać do Camp David, a później do bunkra obronnego. Ale kiedy zobaczyłem to miejsce, zrozumiałem, gdzie naprawdę jestem potrzebny. Generałowie Horner i Taylor mogą kierować bitwą bez mojego udziału. Kiedy uporządkuję sprawy w tym obozie, pojedę do innych, żeby zobaczyć, jak tam sobie radzą.

Raz jeszcze rozejrzał się po skierowanych ku górze twarzach.

W zgromadzonym tłumie przeważały czarne twarze, ale byli też biali.

Latynosi stali koło Azjatów, Hindusi ramię w ramię z Pakistańczykami. W obliczu pozaziemskiego zagrożenia na chwilę zapomniano o różnicach między Sziwą i Allahem.

Wszyscy ci ludzie oczekiwali, że podtrzyma ich na duchu. Jakiegokolwiek błędy popełnił, był ich prezydentem i powinien być przy nich w potrzebie. To było dla nich ważniejsze, niż ciepły posiłek.

– A teraz powiem moim marines, żeby pokazali wam, jak rozbija się namioty i ustawia toalety. Zbierzcie ludzi do pomocy. Każdy będzie miał jakieś zadanie, a każde zadanie jest ważne. Ja muszę zdobyć żywność i skierować tu wsparcie. Jesteśmy Amerykanami!

Czarni, biali czy żółci, jesteśmy potomkami tych, którzy tu żyli!

Wiele razy udowodniliśmy już, że jesteśmy najdzielniejszym narodem na świecie! Teraz znów

musimy to udowodnić!

Przy wtórze aplauzu zeskoczył z ramion szefa wywiadu.

– Co za burdel – szepnął.

Rohrbach tylko potarł ramię i ściągnął brwi.

Alexandria, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 09:23 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004

Keren skrzywił się, wyciągając z paczki rakotwora. Zapalił pall malla zapalniczką i odchylił się do tyłu w wygodnym siedzeniu kierowcy w suburbanie. Na kierownicy położył mapnik, a na nim filiżankę lurowatej kawy. Było mu tak nieźle, że lepiej chyba już nie mogło. Oczywiście, nieźle nie znaczyło dobrze.

– To cię zabije – powiedziała cicho Elgars. Złożyło świeżo wyczyszczonej AIW i wyciągnęła rękę po paczkę papierosów. – Rzuć jednego.

Keren zaśmiał się i wyjął paczkę z kieszeni.

Elgars rozejrzała się za samochodową zapalniczką, ale w suburbanie było tylko puste gniazdo z napisem „Napięcie: 12 V”.

W pojeździe nie było też popielniczki, a z małego kubeczka na śmieci wysypywały się już opakowania po gotowych racjach żywnościowych dla żołnierzy. Keren podał jej swoją zapalniczkę, a ona przypaliła papierosa i oparła nogi na ramie wybitej przedniej szyby.

– Więc co teraz będzie? – zapytała i położyła broń na udach.

Zaciągnęła się mocno papierosem bez filtra i zakasłała. – Jezu, jakie to okropne!

Keren wydmuchnął chmurę niebieskiego dymu i roześmiał się.

– No co ty powiesz? Zaraz pokażą się kucyki. A nasi poproszą o wsparcie ogniowe. – Stuknął w mapnik. – Zaznaczyłem tu wszystkie drogi, którymi mogą nadejść Posleeni. Kiedy batalion poprosi o wsparcie, przekażę to do mózdzierzy. Polecą granaty, źli goście zginą, a każdy kto się liczy będzie szczęśliwy.

– A-ha – mruknęła żołnierz, która walcząc wycofała się z dwóch przegranych starć. – A jeśli te żółte dranie nadal będą szarżować?

Keren znowu się zaciągnął, wydmuchnął dym i wystawił jedną stopę przez rozbite okno.

– No, to wtedy dopiero się zaczniesz.

\* \* \*

– Mózdzierze, jaki jest wasz sygnał wywoławczy?

Keren chwycił mikrofon.

– Golf Jeden Jeden.

– Golf Jeden Jeden, tu sekcja kierowania ogniem trzeciego pułku. Dostroić celowniki, odbiór.

– Co? – Elgars zerwała się, obudzona z krótkiej drzemki, i złapała za karabin.

– Czekaj – zaśmiał się Keren. – Przyjąłem, trzeci pułk, dostrajam celowniki, bez odbioru.

Wyłączył mikrofon i znowu zaczął się śmiać.

– Chcieli poznać nasz sygnał wywoławczy, żeby wróg nie wiedział o jaką dokładnie jednostkę chodzi. Ale własną identyfikację podali nie zakodowaną.

– Aha. – Zmarszczyła brwi i widać było, że zastanawia się, jakie to ma znaczenie.

– Elgars, wszyscy w piechocie powinni znać procedurę wywoływania przez radio. To należy do podstawowego szkolenia piechoty.

Ale ci tutaj nie znają. O czym to świadczy?

– Że w ogóle gównie wiedzą?

– Właśnie – potwierdził Keren. – A to oznacza, że robi się cholernie ciekawie, nie sądzisz?



- Golf.. – powiedział głos z radiostacji i umilkł.-Golf... – Znowu cisza.
- Jeden Jeden – podpowiedział Keren. – Albo mówcie po prostu „Moździerze”.
- Golf Jeden Jeden, wzywamy wsparcie, odbiór.
- Dawaj.
- Posleeni są na skrzyżowaniu Washington i Pięćdziesiątej. Więcej jest ich przy Aneksie. Kerenowi natychmiast przeszło rozbawienie.

Nacisnął mikrofon.

- Przyjąłem, czekajcie.

Obrócił urządzenie rysujące w stronę Elgars.

- Możesz odszukać na tej mapie coś, co nazywa się Aneks? – poprosił.

Zanim nastawił radio na częstotliwość operatorów dział, już znalazła.

- Mam tu jakiś Aneks Marynarki. To w pobliżu Pentagonu.

– Moździerze! Odchylenie dwa siedem trzy siedem, uniesienie tysiąc sto, ładunek trzy. Cztery granaty.

Odłożył mikrofon i obrócił deskę w swoją stronę.

- Gdzie koło Pentagonu?

\* \* \*

Posleński wojownik wpatrywał się w umieszczony na drzwiach symbol. Ten był mu nieznanym. Zetknęli się już ze skrzyżowaną bronią palną i wiedzieli, że z nimi łatwo można sobie poradzić. Znali także budynek z dwiema wieżami – symbol techników wojskowych.

Wydano rozkazy, żeby zawsze go unikać. Ale ten nie był im znany.

Wyglądał jak planeta otoczona liną. Może to symbol grupy, która zakuwa świat w łańcuchy? Wojownik obejrzał się na swojego Wszechwładcę, a ten kiwnięciem krokodylej głowy nakazał mu otworzyć drzwi.

\* \* \*

C-9 była atomowym katalitycznym materiałem wybuchowym.

Prezydencka Gwardia Piechoty Morskiej miała łatwy dostęp do galaktycznej broni i ładunków wybuchowych. Ponieważ służyli w niej weterani z Barwhon i Diess, doskonale wiedzieli, że Posleeni najpierw plądrują, a dopiero potem niszczą zdobyte budynki. Z Henderson Hall wiązała się wspaniała tradycja, więc nie było powodu, aby oddawać go centaurom. W piechocie morskiej po prostu tak się nie robi.

\* \* \*

Keren już dawno odkrył, że nie istniało wiele miejsc tak bezpiecznych, jak to pod kolumną kierowniczą suburba. Kiedy więc dotarła do niego fala gorąca białego rozblysku po lewej, zsunął się z siedzenia i przywarł do podłogi samochodu.

Fale uderzeniowe mikronuklearnych eksplozji przewróciły samochód na dach, po czym postawiły go z powrotem na koła. Keren odczekał chwilą, żeby upewnić się, że najgorsze już minęło, po czym wdrapał się na siedzenie i spojrzał na południe.

W miejscu, gdzie dotąd majaczył Pentagon, wznosiły się kłęby dymu. Drzewa na wzgórzu Arlington zostały odarte z jesiennych liści, a wierzchołki tych najbardziej oddalonych na południe – połamane. Na południowym zboczu wzgórza wybuchło kilka pożarów.

Rozejrzał się, żeby ocenić uszkodzenia. Jeden z PRC-2000, ustawiony na kanał łączności ze

wspieranym pułkiem, był całkowicie zniszczony. Drugi zaklinował się pod siedzeniem i dzięki temu przetrwał. Keren postanowił sprawdzić, czy nadal działa.

Wnętrze pojazdu było okropnie zaśmiecone. Wszystkie rzeczy osobiste, które trzymali z tyłu, były teraz dokładnie przemieszane z napoczętymi posiłkami, otwartymi napojami i odpadkami. Prawdę mówiąc, przed wybuchem nie wyglądało to o wiele gorzej niż teraz. Właściwie było tylko mniej spaghetti na granatowym mundurze. Ale niewiele mniej.

Elgars także przeżyła. Siedziała wtulona w drzwi i z twarzą wykrzywioną bólem ścisnęła lewy nadgarstek.

Najpierw trzeba było sprawdzić, czy nadal mają środek transportu. Keren przekręcił kluczyk i po kilku chwilach silnik zaskoczył. Pojawiło się wprawdzie trochę niebieskiego dymu, ale wszystkie wskaźniki opadły do zielonego poziomu i silnik pracował. Keren ostrożnie ruszył z miejsca, ale z silnika dochodziło takie samo jak zwykle rżenie.

Teraz mógł się zająć Elgars.

– Złamana czy tylko zwichnięta? – spytał.

– Chyba złamana – odpowiedziała przez zaciśnięte zęby.

– Nie ruszaj się przez chwilę.

Musiał jeszcze sprawdzić, czy wciąż działa radio. Fala uderzeniowa przypominała podmuch bomby atomowej, a to oznaczało powstanie impulsu elektromagnetycznego, który mógł zniszczyć całą elektronikę. Ale skoro pojazd zapalił, to może i radio działa.

– Moździerze, żyjecie? – spytał.

– Potwierdzam, Centrum Kierowania Ogniem. Co to, kurwa, było? – spytał sierżant z Wozu Jeden.

– Nie wiem. Czy ktoś z was widzi któryś z mostów?

– Tak – odpowiedział Wóz Trzy – widzę most Arlington. Wciąż stoi.

– Dobra. Muszę zmienić kanał. Zaraz wracam. Wszystko u was w porządku?

– Żyjemy – odpowiedział Wóz Jeden.

– Jak na razie – dodał Wóz Trzy.

Keren przełączył się na kanał pułku i nastawił drugie radio na możliwość zmiany częstotliwości.

– Pułk, tu Moździerze, odbiór. – Brak odpowiedzi. Zwrócił się do Elgars. – Poczekaj sekundę.

Przeczołgał się na tył pojazdu i zaczął przewracać masę plecaków, ubrań, opakowań i spiworów. Po krótkich poszukiwaniach znalazł apteczkę, w której, tak jak oczekiwał, był bandaż elastyczny. Owinął nim nadgarstek Elgars i znowu zajął się radiem.

– Pułk, tu Moździerze, odbiór.

Wziął głęboki oddech. Ogień na wzgórzu rozprzestrzeniał się, dotarł już do suchych traw na cmentarzu. Kilka drzew po południowej stronie wzgórza też się tliło. Jeśli ogień zacznie jeszcze bardziej się rozchodzić, będą musieli odjechać, niezależnie od tego, czy będzie to strategicznie właściwy moment.

– Moździerze, tu pułk – odpowiedział inny niż przedtem głos.

Wcześniejszy rozmówca był młody i nieśmiały. Ten głos należał do kogoś starszego i bardziej pewnego siebie.

– Pułk, pożar przemieszcza się w naszą stronę. Wkrótce będziemy musieli opuścić pozycję. Czy potrzebujecie wsparcia ogniowego, odbiór?

– Moździerze, potrzebujemy wsparcia jak cholera, i to o wiele więcej niż możecie nam dać. Jak tam u was z amunicją, odbiór?

Keren nie wiedział, z kim rozmawia, ale to nie był na pewno dowodzący oddziałem pułkownik.

– Nie najlepiej. Mamy około pięćdziesięciu pocisków moździerzowych na lufę i wypstrykaliśmy się z amunicji do M-2.

– Przyjąłem. – Przez chwilę było cicho. – Daj mi salwę dwudziestu pocisków w zmiennych odstępach czasu na ten wielki zjazd koło Pomnika Marines. Wygląda na to, że z jakiegoś powodu marines go nie zaminowali. To jest kwadrat 1762-8974, jeśli macie mapę wojskową.

Na twarzy Kerena pojawił się uśmiech.

– Przyjąłem. Ale z kim ja, kurwa, rozmawiam?

– Tu major Cummings. Jestem oficerem operacyjnym.

– No, majorze, jak to miło wreszcie porozmawiać z zawodowcem. Proszę czekać.

\* \* \*

– Tak, to samo ja mogę powiedzieć o was. – Major Alfred Cummings odłożył mikrofon.

Kompania Alfa znalazła się akurat w samym środku zmagania z nadciągającą od północy masą Posleenów. Przydałby się deszcz pocisków artylerii, najlepiej kasetowych. Majora doprowadzał do furii fakt, że nie zna właściwych częstotliwości i kodów, potrzebnych do wezwania ognia artylerii. To kolejna wpadka w tej wojnie.

A zapowiadało się, że na tym stanowisku nie będzie miał wiele pracy, że to wygodna jednostka dla dowódcy kompanii, który widział w swoim życiu zbyt wiele walk. On i kilku podoficerów mieli tylko wesprzeć moralnie czysto reprezentacyjne siły Gwardii.

Ale zupełnie nieoczekiwanie wydarzenia przybrały zły obrót.

Pułkownik postanowił stawiać opór, ale kiedy wybuchły ładunki C9, a Posleeni natarli jeszcze ostrzej, nie zachował się tak, jak przystało na oficera. Major Cummings z niechęcią przypomniał sobie o splamieniu świętej ziemi cmentarza krwią tego tchórza, ale był pewien, że duchy mu to wybaczą. Niektórzy z chłopców okopując się natrafili na trumny, niektóre w dobrym stanie, inne rozszczepione. Kazał im kopać dalej. Żołnierze, marynarze i marines pochowani na tym wzgórzu na pewno nie mieliby nic przeciwko temu, żeby się trochę posunąć. Zrozumieliby.

I chłopak, z którym rozmawiał przez radio też rozumiał. Major to wiedział. Dobry oddział. Uśmiechnął się, słysząc dochodzące z tyłu tąpnięcia strzelających moździerzy. Niestety strzelały tylko dwie lufy, szkoda. Moździerze potrafiły nauczyć żółte diabły moresu.

– Sir – zameldował starszy sierżant Smalę – prawie przebili się przez kompanię Alfa. Bravo i Charlie jeszcze się trzymają, a Delta jest bezpieczna przy Grobie Nieznanego Żołnierza.

– Ale oskrzydłają nas.

– Tak jest, sir.

– Czy powinniśmy się wycofać?

Nie chodziło o sprawdzenie sierżanta, on też był weteranem.

– Nie, majorze. Oni lądują na lewo i prawo. To miejsce jest równie dobre, żeby umrzeć, jak każde inne. Lepiej tu zginąć niż w pieprzonej prowincji Andatha.

Podoficer obrócił głowę w bok i splunął.

– Ta. Ale nie widzę powodu, żeby zabierać ze sobą do grobu wszystkich innych.

\* \* \*

– Golf Jeden Jeden, tu Echo Dziewięć Cztery, odbiór.

Keren wziął mikrofon i popatrzył na wzgórze na zachodzie.

– Golf Jeden Jeden, tu Echo Dziewięć Cztery, odbiór.

Sądząc po głosie, był to znowu ten sam oficer operacyjny.

– Golf Jeden Jeden, wybuchy spowolniły marsz turystów po tej stronie. Spychają nas jednak na północ. Prawdopodobnie wkrótce utracimy most. Zalecam zmianę pozycji po zakończeniu wsparcia ogniowego.

Keren uśmiechnął się.

– Przyjąłem, Echo Dziewięć Cztery. – Zastanawiał się, jak zadać kolejne pytanie. – Czy będziemy mieć towarzystwo?

W głosie rozmówcy słychać było rozbawienie.

– Nie, chyba że będziecie zbyt wolni i dopadnie was tutejszy element napływowy. Ja już się raczej stąd nie ruszę.

– Cóż, są gorsze miejsca niż to – powiedział Keren.

– Potwierdzam, Golf. Większość z nich odwiedziłem i chyba zostało mi już tylko jedno.

Keren uśmiechnął się.

– Przyjąłem, Echo. Spotkamy się tam kiedyś. Golf Jeden Jeden, bez odbioru.

Zmienił kanał.

– Możesz strzelać? – zapytał Elgars.

Skrzywiła się z bólu, ale wycelowwała broń w kierunku pożaru na północy.

– Tak. Kiedy się stąd wreszcie, do diabła, ruszymy? – spytała.

W tym momencie na południowym wschodzie huknęła potężna eksplozja. – Co to było, do cholery?

– Pewnie wysadzili most. A my musimy się przeprawić, zanim wezmą nas na cel. – Znowu włączył mikrofon. – Moździerz Jeden, ile pocisków wam zostało?

– To już prawie koniec.

– Przyjąłem. Moździerz Trzy?

– Ten był ostatni.

– Dobra. Zapiąć guziki i ruszamy do tanga. Pułk kazał nam się wynosić.

Ledwie skończył mówić, wóz Trzy ożył. Kierowca najwyraźniej nie uważał zakończenia ostrzału za warunek konieczny do odjazdu.

Keren ruszył za nim suburbanem. Jedyne Wóz Jeden nadal stał w miejscu.

– Moździerz Jeden, czy coś się stało?

– Nie, nic. – Pojazd wypuścił jeszcze ostatni pocisk w kierunku nieba i gwałtownie ruszył naprzód. – Już nas tu nie ma.

– Miejmy tylko nadzieję, że saperzy wiedzą, iż jedziemy – szepnęła Elgars.

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 09:25 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

Porucznik Ryan bynajmniej się nie zgubił. Nie można się zgubić na Washington Mall. Tutaj człowiek zawsze wie, gdzie się znajduje. Porucznik nie wiedział natomiast, gdzie on i jego pluton powinni teraz być.

Po Occoquan plutonowi nie udało się odnaleźć nikogo z własnego łańcucha dowodzenia. Ciężarówka, w których przyjechała mająca ich zastąpić kompania strzelecka, natychmiast odjechała. Szli więc pieszo na północ i tylko czasem ktoś ich podwoził. Ich celem był Belvoir, ale żandarmeria wojskowa kazała im przyłączyć się do niedobitków jednostek idących na Waszyngton. W końcu znaleźli transport, ale kierowcy autobusów także nie mieli zielonego pojęcia, dokąd powinni jechać.

Na Mall tłoczyła się większość niedobitków dziewiątego i dziesiątego korpusu, jednostki zwiadu elektronicznego bez dywizji, jednostki zaopatrzeniowe bez batalionów oraz parę jednostek artylerii i piechoty, którym udało się ująć z kotła na południu. Nikt nie próbował niczego zorganizować; jednostki stawały tam, gdzie się zatrzymały.

Porucznik Ryan zatrzymał swój pluton koło waszyngtońskiego Pomnika Ofiar Wojennych i wysłał sierżanta Leo z misją poszukiwawczą. Sierżant zameldował po powrocie, że wszystko, czego potrzeba, można tu zdobyć, ale za odpowiednią cenę. Ponieważ nie było rozkazów, by cokolwiek wydawać, jedynym sposobem zdobycia potrzebnych rzeczy był czarny rynek. W pobliżu znajdowała się jedna jednostka zaopatrzeniowa, ale żywność dawno już się skończyła. Teraz trzeba było płacić gotówką albo głodować.

Leo zameldował także, że wkrótce pojawią się saperzy, których zadaniem miało być przygotowanie mostów do wysadzenia. Możliwe, że pluton będzie mógł się do nich przyłączyć i dostać trochę racji żywnościowych.

Porucznik Ryan puścił w obieg hełm, żeby zrobić zrzutkę, a kiedy to się nie powiodło, razem z sierżantem przeszukali osobiście każdego sapera. Tym razem Ryan zostawił Leo z plutonem i wyruszył na poszukiwanie żywności sam. Zdawał sobie sprawę, że starszy stażem podoficer wynegocjowałby pewnie lepsze warunki – nie znaczyło to jednak, że wróciliby z żywnością do oddziału.

Zebrane dwieście dolarów wystarczyło na dwie skrzynie racji żywnościowych. Za sygnet Akademii dostał dodatkowo ciepłe zakąski.

Wodociągi w mieście nadal działały, więc przynajmniej z wodą nie było problemów. Pluton podzielił się przygotowaną naprędce lasagną, a porucznik stwierdził, że jest lepsza od serwowanej na poligonie Rangersów. W ciągu dnia powinni jakoś znaleźć jednostkę, do której będą mogli się przyłączyć, więc żywności nie musiało im starczyć na długo.

\* \* \*

Zbliżające się odgłosy bitwy ściągnęły nad Potomac rzeszę gapiów. Ale porucznik Ryan udał się tam, żeby znaleźć saperów, którzy na pewno zakładali teraz ładunki na moście Arlington. Powstrzymujący gapiów żandarmi przepuścili go bez słowa na widok naszywki sapera. Widząc ostrożnie chodzące po moście i rozwijające kable postacie porucznik poczuł, że nareszcie jest już w domu. Podeszedł do zaparkowanego hunwee i zasalutował.

– Ryan, podporucznik, korpus saperski.

Siedzący w samochodzie oficer był niskim, barczystym pułkownikiem. Właśnie palił cygaro. Przez chwilę oglądał porucznika od stóp do głów, po czym wyjął cygaro z ust.

– Co mogę dla pana zrobić, poruczniku?

– Sir, mój pluton zgubił nadrzędną jednostkę. Wysłano nas z Belvoir i nie mogliśmy już tam wrócić. Nie mamy już żywności i nie wiemy, komu się zameldować. – Młody oficer urwał, jakby się zawahał. – Nie wiem, co robić, sir. Nie skończyłem nawet podstawowego szkolenia! – skończył nieco podniesionym tonem. Złapał się na tym, że w pośpiechu zaczął niemal bełkotać. Elew Akademii nie powinien tracić nad sobą kontroli tylko dlatego, że sprawy nieco się popieprzyły.

Pułkownik zaciągnął się cygarem i znowu mu się przyjrzał.

– Gdzie byliście?

Porucznik nie zrozumiał pytania.

– Rozbiliśmy obóz na Mall, sir.

Pułkownik strząsnął popiół.

– Chodzi mi o to, który most wysadzaliście. Przecież chyba właśnie to robili wszyscy chłopcy z Belvoir?

– Tak, sir. Mój pluton otrzymał zadanie wysadzenia mostu przy drodze stanowej numer 123, koło...

– Occoquan.

– Tak, sir – niepewnie potwierdził porucznik. – Skąd pan wie?

Pułkownik w końcu pozwolił sobie na uśmiech.

– A więc to wy jesteście tym zaginionym plutonem, poruczniku.

Gdzie jest reszta jednostki?

– Na Mall – odpowiedział całkiem zdezorientowany porucznik.

– Cóż, dałbym panu mojego hunwee, ale na piechotę wcale nie będzie wolniej. Niech pan wróci do swoich żołnierzy i każe im przywlec tyłki tutaj. Ja tymczasem przekażę informację przez radio.

– Tak jest, sir – zsalutował porucznik i poczłapał z powrotem do swojego plutonu.

\* \* \*

– Zamek Sześć, tu Zamek Pięć, odbiór.

Oficer, który chwycił mikrofon, zanim zdążył to zrobić oficer operacyjny, był wielki jak góra. Miał ponad dwa metry wzrostu i odpowiednio do tego szerokie bary, więc jego mundur musiał być szyty specjalnie na miarę. Przewieszony przez jego plecy wysłużony M-60 wyglądał jak zabawka.

– Zamek Pięć, tu Zamek Sześć, odbiór – powiedział basem.

– Sześć, znaleźliśmy zaginiony pluton, odbiór.

Hebanową twarz rozjaśnił szeroki uśmiech i generał pokazał uniesiony kciuk niewidocznemu stąd pułkownikowi.

– Świetnie! Kto nim dowodzi?

– Ryan.

– No, towarzystwo z West Point będzie w siódmym niebie, kiedy to usłyszysz.

– A poza tym jak idzie?

– Bardzo dobrze. Musiałem zagonić biedne dzieciaki do roboty, ale wkrótce będziemy gotowi.

– Przyjąłem. My już prawie skończyliśmy rozlewać szampana.

– Szkoda, że nie będzie mnie na przyjęciu.

– Ja też żałuję. Ale wszyscy musimy zdobyć się od czasu do czasu na małe poświęcenie. Powodzenia, Tom, bez odbioru.

\* \* \*

Generał rozejrzał się i uśmiechnął. Większość jednostek, które wysłano do zaminowania mostów nad Occoquan, wróciła do bazy w Fort Belvoir.

W obliczu zniszczenia dziewiątego i dziesiątego korpusu generał wcielił w życie swój własny plan. W składach amunicji w Fort Belvoir, zapelnionych w celu szkolenia tutaj rekrutów, znalazł zaskakującą różnorodność ładunków wybuchowych i min.

Ponieważ miał pod swoimi rozkazami ekwiwalent brygady saperów, był zdecydowany zgotować Posleenom bardzo gorące przyjęcie. Z drugiej strony nie był głupcem i nie miał zamiaru strugać bohatera. Zastępy rekrutów i ich instruktorów zmieniały więc Belvoir w prawdziwe piekło.

Rozmieszczanie min i pułapek to prawdziwa sztuka. Chodzi o to, żeby nie tylko zabić przeciwnika, ale zaszokować go i wzbudzić w nim strach. Z reguły najlepiej sprawdza się brutalna, przygniatająca przewaga, ale posiadając tyle materiałów wybuchowych i dokładnie rozplanowany harmonogram działań, generał był pewien, że „Dom rodzinny saperów” stać na o wiele, wiele więcej.

Dokopał się do programu komputerowego, napisanego przez jakiegoś złośliwego sapera. Program nazywał się „Piekło Doskonałe” i służył do komputerowego wspomaganie planowania pól minowych, potrafiąc na przykład wygenerować taką mapę zaminowania obszaru, aby wypełnić go zestawem wielu współśrodkowych, samoczynnie aktywujących się pól. Celem było zagnanie wroga do środka, a potem całkowite odcięcie mu drogi ucieczki.

Generał wprowadził do programu odpowiednie parametry dostępnych materiałów i ludzi i aż go zatkało, kiedy zobaczył projekt rozwiązania. Program zmienił Belvoir w koszmarną sieć pól minowych.

Miłą niespodzianką okazał się fakt, że projekt został sporządzony z myślą o Posleenach. Wróg mógł przeprowadzić swoje oddziały przez miny, ale oczyszczenie drogi musiało kosztować go całe tysiące żołnierzy. Oczywiście, gdyby okazało się, że generał musi tu wrócić i wszystko rozminować, nie byłoby łatwo. Ale i to dawało się obejść.

Zaczęli rozmieszczać miny, a cała brygada rzuciła się do pracy jak demony. W miarę jednak jak kolejne sekcje kończyły pracę na swoich odcinkach, generał odsyłał kolejne partie rekrutów do przystani fortowej, a stamtąd przewożono ich na drugi brzeg Potomacu.

\* \* \*

Teraz po prostu czekał, razem z kilkoma oficerami i podoficerami. Przez ostatnią godzinę rozmawiali o starych, dobrych czasach i patrzyli w monitory podłączone do kamer rozstawionych wzdłuż szosy międzystanowej numer 1. Generał właśnie wyszedł na zewnątrz budynku portowego, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, kiedy usłyszał dochodzący ze środka krzyk.

– Widać ich! Widać ich! – wrzeszczał oficer operacyjny Belvoir.

Pułkownik stał pochylony i ścisnął ramię technik obsługującej monitory.

Generał delikatnie odciągnął go do tyłu.

– Nie sprawi pan w ten sposób, że przyjdą szybciej. A ona jest praktycznie naszym jedynym szeregowcem. Jest ważniejsza niż którykolwiek z nas trzech.

Pułkownik zaśmiał się.

– Przepraszam, żołnierzu.

Technik kiwnęła głową z uśmiechem i przełączyła monitor na obraz z innej kamery. Oficerowie pochyliłi się do przodu jak widzowie oczekujący katastrofy, a oficer operacyjny aż zacierał z radości

ręce.

– Sir – powiedział starszy sierżant z Belvoir, zerkając na ekran – zrobiłem mały najazd na bar dla oficerów. – Uniósł w górę dwie butelki moet & chandon. – Pomyślałem, że moglibyśmy uczcić pierwszy wybuch.

Generał zaśmiał się. Chłopcy naprawdę to przeżywali.

– Jasne, czemu nie – powiedział.

Masa Posleenów na ekranie zatrzymała się. Jeden z nich wystąpił naprzód i podszedł na odległość równo pięćdziesięciu metrów do tablicy powitalnej. Reszta liczącej tysiące żołnierzy hordy nerwowo tupiąc stała w miejscu.

Spośród tłumu nagle naprzód wysunęło się dwóch Wszechwładców. Ich spodki bezustannie kołysały się na boki, najwyraźniej w celu utrudnienia celowania snajperom. Zbliżyli się do znaku i rozpoczęła się kłótnia. Spodki powoli przestały się huścić, a centaury obnażyły zęby i nastroszyły grzebień.

W końcu dołączył do nich jeszcze jeden, najwyraźniej najstarszy. Zerknął na znak i cofnął się, po czym na jego rozkaz wojska po prostu odwróciły się i pocwałowały z powrotem na południe.

Pozostał tylko jeden przywódca z pojedynczą kompanią. Jeszcze przez chwilę patrzył, jak inni się wycofują, po czym po raz ostatni obejrzał się przez ramię i niechętnie ruszył za nimi.

\* \* \*

W prowizorycznym pokoju kontrolnym zapadła głucha cisza. Generał pochylił się do przodu i poklepał technik po ramieniu.

– Przełącz na północ, na drogę numer 1 – powiedział cicho.

Nadbiegała stamtąd pojedyncza kompania bez zwiadowcy na czele. Kiedy zbliżyła się do miejsca, gdzie zaczynały się pułapki, zatrzymała się tak gwałtownie, że centaury aż na siebie powpadały.

Wszechwładca wystąpił naprzód, żeby przyjrzeć się umieszczonemu na tablicy symbolowi, i jego grzebień uniósł się sztywno w górę. Przez chwilę coś krzyczał, po czym uniósł spodek z ziemi. Zanim jeszcze wojownicy z jego kompanii zdążyli się odwrócić, był już z powrotem nad szosą i odlatywał na pomoc.

Generał nie był pewien, kto pierwszy zaczął się śmiać. Niektórzy mówili, że to sierżant. Inni, że pozostałych zaraził rechot techniczki.

Jeszcze inni przekonywali, że najpierw rozległ się niski, tubalny śmiech dowódcy saperów Armii Stanów Zjednoczonych. Ktokolwiek zaczął, śmiech trwał nieprzerwanie dziesięć minut, kiedy monitor po monitorze pokazywał posleenińskie oddziały w pełnym odwrocie.

Jeszcze cała lata później ci szczęśliwcy, którzy byli tego dnia w pokoju kontrolnym, nawet w najgorszej sytuacji potrafili ryknąć gromkim śmiechem na widok gestu oznaczającego uniesiony w górę grzebień. Uniesiony w obłądnym, śmiertelnym strachu przed zamkiem o dwóch wieżach. Przed Fortem Belvoir, domem rodzinnym saperów. Przed saperami.



**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 10:45 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

– Myślę, że musimy trzymać się z daleka od tego miejsca – stwierdził Kenallai. Wypowiedź poparł jeden z towarzyszy Kenalluriala.

Być może gdyby udało się zająć tereny techników wojskowych, spadłaby ich liczba.

Wojownicy spod znaku skrzyżowanych strzelb stawali się coraz trudniejszym wyzwaniem. Ta ostatnia grupa, mimo że zdziesiątkowana i wyposażona w żalosną broń, poważnie poszarpała oolfondar, które ich zaatakowało. Ostatnia walka na szczycie wzgórza godna była pieśni, do tego nadal trwała dyskusja, który z nich jest Kessentaiem. Zważywszy na ogromną liczbę zdobytych thresh, można było całą grupę mianować Kessentaiami i oddać im pojedynczy Kessanalt.

Okopali się w takim miejscu, że nie było w tym widać żadnego sensu. O wiele skuteczniej mogli się ukryć na zboczu, ale było to zbyt daleko od pomnika, wokół którego się skupili. A całe zbocze pokryte było kwadratowymi kamieniami. Kenallai wysłał więc Kenalluriala, żeby zbadał do czego służyło zbocze, a sam skupił się na problemach na wschodzie.

– Więc, stary przyjacielu, cóż mamy robić? – spytał Ardan'aatha i wskazał na most w dole. Nadal był cały, ale przekonali się już, co się działo, kiedy próbowali po taki moście przejść.

– Tego nie wiem – przyznał stary oolt'ondai. – Jeśli podniesiemy łapy na tę budowlę, trafimy do Fuscirtl – Tak – zgodził się Kenallai – ci saperzy to Fuscirto uutl – Mam dwie odpowiedzi, edas'ataiu – powiedział Kenallurial, który cicho wyłonił się z mroku.

Kenallai pytająco uniósł grzebień.

– To miejsce nazywają cmentarzem. Składa się tu po śmierci niektórych thresh.

Kenallai przekrzywił łeb na bok.

– Nie rozumiem.

– Mnie też trudno było to pojąć, edas'antaiu. Zamiast przetwarzać zmarłych, thresh najwyraźniej składają ich w skrzyniach do ziemi. – Wskazał na płytę nagrobną. – Tu jest napisane, kim byli i kiedy żyli.

– To jest – Kessentai z odrazą wykrzywił pysk – obrzydliwe.

Młodszy Kessentai uniósł grzebień na znak zgody i zaśmiał się.

– A jednak najwyraźniej tak właśnie robią. Poza tym w tym miejscu nie leżą zwykli thresh, tylko sami threshkreen.

Ardana'aath powiódł wzrokiem po szeregach nagrobków.

– Och, łajno abatu – szepnął.

Kenallai spojrzał na niego pytająco.

– Co?

– Założę się, że większość z nich to nie zwykli threshkreen. To Kessanalt.

Na te słowa w obu Kessentai aż zabuzowały hormony bitewne.

Na tytuł Kessanalta zasługiwali jedynie najlepsi, najwaleczniejsi.

Znajdować się w miejscu, gdzie wciąż unosiły się nieprzetworzone dusze Kessanalt, to było jak powrót koszarów z czasu pisklęcia.

– Fuscirto uut! – zaklął Kenallai. – Najpierw metalowi threshkreen. Potem cmentarzysko Kessanalt. Co jeszcze nas czeka? – skończył retorycznie. – Mówiłeś, że masz dwie informacje.

– Tak, mój edas'antai – zgodził się Kenallurial. – Widzę możliwość przejścia mostu.

– Tak? – zakrzyknął oolfondai. – W jaki sposób?

Kenallai patrzył na statek, zniżający lot nad przeciwległym brzegiem rzeki. Mógłby wysłać swoje Oolfpos, ale zbyt wiele statków dowodzenia zostało zniszczonych podczas podobnych prób. Nie, lepiej spróbować przeprawy zgodnie z pomysłem eson’antaia.

– Spójrz na tych abat – prychnął Ardarfaath. – My wykonujemy całą pracę, a oni tylko zbierają za nas nagrody.

– Łądują po drugiej stronie rzeki, Ardan’aathu – odparł ze śmiechem Kenallai – w samym gnieździe grat.

\* \* \*

Naddźwiękowy grom był ledwie słyszalny po wszystkich wystrzałach i wybuchach, jakich doświadczyli. Keren spojrzał w górę.

– O, kurwa – zaklął. Suburban podskakiwał na zrytym trawniku po południowej stronie pomnika Washingtona.

Przejechało tędy już wiele pojazdów kołowych i gąsienicowych, więc ziemia była zryta koleinami i wybojami. Keren widział rozsiane po całym Mall i parku jednostki i zastanawiał się, gdzie, do cholery, w tym morzu namiotów, ciężarówek i wozów bojowych znajduje się punkt zbiórki.

– To tylko jeszcze jeden lądownik-powiedziała Elgars.

– Tak, ale wyląduje koło jakiś biedaków, którzy będą musieli coś z nim zrobić.

– Wyląduje w samym gnieździe szerszeni.

– To prawda, ale zabije trochę tych szerszeni.

\* \* \*

Sierżant Carter w całej swojej wojskowej karierze ani razu nie rozkładał namiotu dla drużyny. Na szczęście przekaźnik potrafił udzielić dokładnych wskazówek. Kiedy więc jedna drużyna wyjmowała rusztowanie namiotu, on i jego drużyna pokazywali cywilom, jak je ustawić. Reszta kompanii wyjaśniała, jak budować toalety polowe lub pełniła wartę. Właśnie wtedy nadleciał posleński statek.

Zawisł na chwilę nieruchomo w powietrzu, a potem powoli podryfował nad Piątą Ulicę, gdzie wylądował i spuścił rampę.

Tłum wpadł w panikę już na sam dźwięk silników lądownika i widok przesuwanego się w górze cienia. Ludzie zaczęli uciekać, porywając ze sobą prezydenta i odgradzając go od Tajnych Służb.

Prezydent w swoim półtonowym pancerzu wspomaganym raz po raz z kimś się zderzał. Raz nawet upadł na ziemię, ale szybko podniósł się na nogi, kiedy tylko tłum się przerzedził.

Pole golfowe było pokryte rannymi i zabitymi przez spanikowany tłum. W większości byli to starcy i dzieci. Prezydent rozejrzał się wokół i poczuł, że znowu zawiódł tych ludzi. Mógł im nakazać podzielić się na niewielkie grupy, pokierować nimi. Wtedy nie byłoby tych wszystkich ofiar. Gdyby miał chociaż tyle rozsądku, ile Bóg dał osłu, wszystkie te dzieci wciąż by żyły.

Spojrzał w głąb znieawidzonego hełmu. Czuł, jak agregat buntuje się przeciwko jego kontroli; najchętniej działałby na własną rękę.

Włożył hełm i czekał, aż masa utworzy kieszenie wokół oczu, nosa i ust.

– Przekażnik?

– Tak, sir?

– Kiedy pojawią się pierwsi Posleeni, przejmij kontrolę nad agregatem.

– Tak jest, sir.

– Spróbuję nie robić gwałtownych ruchów i nie wydawać żadnych dźwięków. Ale gdybym niewłaściwie się poruszył, rób to, co zrobiłaby sierżant Martinez. Jasne?

– Jasne – odpowiedział przekaźnik.

Prezydent wyciągnął karabin grawitacyjny M-300 i w tym momencie przed oczami pojawił mu się szereg ekranów. Tym razem informacje były zaskakująco zrozumiałe.

– No, chłopcy – szepnął do elektronicznych urządzeń – teraz wszystko w waszych rękach. Nie zawiedźcie swojego prezydenta.

Przynajmniej będzie mógł spojrzeć swoim duchom prosto w oczy.

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 10:46 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

Stanowczy, ale przyjazny pułkownik wyjechał, kiedy tylko Ryan i jego pluton przyłączyli się do miejscowych wojsk. Zastąpił go o wiele bardziej surowy kapitan. Ryan miał wrażenie, że oficer nie jest z niego zadowolony. Rzucił nawet jakąś uwagę na temat negatywnej oceny Towarzystwa Absolwentów West Point.

Porucznik Ryan był w wojsku od niedawna, ale wiedział, że przynależność do Towarzystwa gwarantuje absolwentom Akademii w West Point zajęcie dobrego stanowiska. Ale on, „gubiąc” pluton, mógł to sobie wybić z głowy. Wdepnął w większe gówno, niż się spodziewał. Rzecz jasna zapomniano już o jego sukcesach w Occoquan, a pamiętano tylko, że przez cały dzień wędrował po Mall w poszukiwaniu swojej jednostki. Nie było to sprawiedliwe, ale w wojsku trudno oczekiwać sprawiedliwości. Na całym świecie wszystkie gubiące się oddziały witane są z dezaprobatą.

Jednak niezależnie od nastawienia kapitana, Ryan uważał za swój obowiązek zwrócić jego uwagę na kilka spraw. Zebrał się więc na odwagę i zbliżył do dowódcy.

– Sir? – zagadnął zdecydowanie.

Kapitan odwrócił się plecami do Arlington Bridge, gdzie trwały nadzorowane przez niego prace. Z tego miejsca roztaczał się wspaniały widok prosto na most.

– Tak, poruczniku Ryan? – powiedział pogardliwym tonem.

Kapitan Spitman był wysokim, barczystym oficerem o świdrującym spojrzeniu czarnych oczu.

– Zastanawiałem się, sir – powiedział z wahaniem porucznik i odchrząknął – że to miejsce jest... zbyt odkryte.

Kapitan ściągnął brwi. Najwyraźniej odebrał tę uwagę jako atak.

– Przypuszczam, że to spostrzeżenie zawdzięcza pan swojemu ogromnemu doświadczeniu bojowemu, poruczniku? – rzucił.

W pierwszej chwili porucznik miał ochotę odpowiedzieć złośliwie: Nie, zawdzięczam je temu, że mam głowę trochę wyżej, niż dupę. Miejsce było odsłonięte i Posleeni, jeśli tylko będą mieli choć trochę oleju we łbach, rozwalą w drobiazgi całe to „stanowisko dowodzenia”.

Powstrzymał się jednak od takich uwag.

– Nie, sir. Tylko się zastanawiałem.

– To jest najlepsze miejsce, żeby kontrolować rozkładanie ładunków i przeprowadzenie detonacji, poruczniku. Mamy trzy oddzielne systemy odpalania ładunków z centrum dowodzenia. Nie chciałbym, żeby ktoś dla kaprysu wysadził most w powietrze. Poza tym mam stąd doskonały widok na nadciągające wojska wroga, a my sami jesteśmy daleko poza zasięgiem ataku posleeńskich oddziałów.

Porucznik kiwnął głową, mimo że nie zgadzał się z tym głupim wyjaśnieniem. Przecież siódme prawo wojenne Murphy’ego mówi:

Jeśli wróg jest w twoim zasięgu, ty jesteś w zasięgu wroga.

– Bardzo dziękuję za pańskie wyjaśnienia, sir. Mam kilka spraw do omówienia z moim sierżantem plutonu. Za pozwoleniem, czy mogę odejść?

Kapitan odprawił go gestem ręki i znowu zajął się nadzorowaniem rozkładania ostatnich drutów detonacyjnych. Istotnie przygotowano trzy sposoby wysadzenia mostu w powietrze. Jeden z nich musiał zadziałać. Wszystkie prowadziły do centrum dowodzenia, więc tylko tam coś mogło się

zepsuć. Był to drobny szczegół, ale porucznik doskonale go dostrzegał. Drobny szczegół, który we wszystkich podręcznikach umieszczano pod hasłem „jak tego nie robić”. Ale jakoś zupełnie umknęło to uwadze dowódcy kompanii saperów.

– Echo Trzy Golf Jeden Jeden, tu Whisky Cztery Delta Jeden Pięć, odbiór.

Keren zdezorientowany spojrzał na radio i podał mikrofon Elgars. Sam wyciągnął ANCD. Urządzenie przestawało już działać i nie miał pojęcia, skąd wziąć następne.

Pluton zatrzymał się na tyłach wzniesienia za pomnikiem Waszyngtona. Byli osłonięci przed ostrzałem Posleenów od strony Potomacu, ale nadal można ich było dosięgnąć z Arlington Hill.

Na wzgórzu nie było już widać fajerwerków, więc Keren mógł przypuszczać, że major Starej Gwardii dołączył do swoich poległych kolegów. Jak na razie plutonowi mózdzierzy zostało to oszczędzone.

Rozstawili się na pozycjach z mózdzierzami gotowymi do strzału, a Keren natychmiast zaznaczył je w mapniku. Teraz odpoczywali. Miał zamiar później poszukać w całej tej masie żołnierzy kogoś, kto będzie mniej więcej zorientowany, co się właściwie dzieje.

Ale na razie chciał odpocząć.

Dlatego zaskoczyło go wywołanie go przez jakąś nieznaną stację, próbującą załogować się do ich sieci.

ANCD wyświetlił jako rozmówcą Centrum Kierowania Ogniem należące do artylerii pięćdziesiątej dywizji. Ale włamanie do systemu na początku bitwy sprawiło, że Keren był teraz podejrzliwy.

Wziął mikrofon od Elgars, która wyszła z suburbana, szepcząc, że zaraz wróci.

– Whisky Cztery Delta Jeden Pięć, tu Echo Trzy Golf Jeden Jeden. Weryfikacja Wiktor Charlie, odbiór – powiedział.

I Nie było takiej weryfikacji. To był podstęp, stara sztuczka Kerena.

– Golf Jeden Jeden, nieznaną weryfikacja – odpowiedział zdziwiony głos w radiostacji.

– Na pewno ją znacie, Delta. Przypomnijcie sobie albo wynocha z mojej sieci.

Przez chwilę było cicho. Nagle Keren zauważył, że Elgars idzie w kierunku grupki żołnierzy stojących około siedemdziesięciu metrów przed plutonem. Coś z nią było nie w porządku. Z futerału przy mundurze wyjęła berettę kaliber 9 mm. Z jej słów Keren wywnioskował, że idzie do toalety, ale teraz widział, że najwyraźniej się pomylił. Błyskawicznie zmienił częstotliwość.

– Sierzancie Chittock! – wrzasnął. – Niech ktoś kryje Elgars!

Szeregowy weszła w sam środek grupy i zbliżyła się do barczystego żołnierza, chwalonego się kumplom swoim karabinem snajperskim kaliber. 50. Keren patrzył z przerażeniem, jak Elgars przykładła lufę beretty do tyłu głowy żołnierza i odbezpiecza broń kciukiem. Wyglądało na to, że zaraz pociągnie za spust.

Ktoś z grupy skoczył ku niej, ale zatrzymał się, gdy nad głową przeleciała mu seria wystrzelona z półcalówki na Wozie Trzy. Ciężki karabin maszynowy przemieliłby całą grupę na hamburgera, gdyby strzelec opuścił lufę tylko kilka cali niżej. Pociski smugowe minęły pomnik Waszyngtona i pomknęły w stronę odległych oddziałów wroga.

Po chwili załoga dwóch wozów bojowych pojawiła się na widoku i wyciągnęła broń. Wycelowane karabiny i miotacze granatów przekonały grupę żołnierzy, że raczej nie należy reagować na nieformalne wypowiedzenie wojny jednemu z nich przez damę. Jednocześnie sierżant Chittock zaczął przekonywać Elgars, żeby wróciła do suburbana. Ona jednak wygłaszała jakąś tyradę do bladego jak prześcieradło właściciela karabinu snajperskiego. Kilku jego kumpli także nie wyglądało imponująco.

Keren znowu zmienił częstotliwość, kiedy tłumek prowadzony przez sierżanta plutonu i osłaniany przez dwa karabiny maszynowe na wozach bojowych ruszył w stronę suburbana.

– Whisky Cztery Delta Jeden Pięć, tu Echo Trzy Golf Jeden Jeden, odbiór.

– Golf Jeden Jeden, tu Jeden Pięć – powiedział teraz inny głos. – Jaki macie problem z weryfikacją? I gdzie się podziewaliście?

– Delta, mamy tu pewien problem. Weryfikuj Wiktor Charlie albo wynocha z sieci.

Keren szybko znudził się tą zabawą, ale był zdecydowany bronić się przed przyjęciem rozkazów znikąd.

– Echo Trzy Golf Jeden Jeden, tu Whisky Cztery Delta Jeden Pięć. Weryfikuję Daj Spokój Chuju. Znasz jeszcze jakieś radiowe sztuczki?

Keren uśmiechnął się.

– Bynajmniej, Delta Jeden Pięć, witamy w sieci.

– Przyjąłem. Podaj pozycję i status, odbiór.

Grupka osób pod eskortą karabinów plutonu podeszła do suburbana. Sierżant Chittock niósł teraz karabin snajperski i beretę. Zapowiadało się naprawdę ciekawie.

– Delta, musicie chwilę poczekać. Mamy tutaj mały problem z podkomendnymi. Zajmujemy pozycję po wschodniej stronie pomnika Waszyngtona, zaraz przy Piętnastej Ulicy. Jesteśmy plutonem moździerzy 120 mm i mamy jeszcze dwa wozy bojowe, około dwudziestu pocisków odłamkowo-burzących na lufę, trochę flar i Willi-Pete. Naprawdę przydałoby nam się trochę ropy, żarcia i pestek. Stanowimy ostatnią cholerną linię w cholernym odwróceniu od samego pieprzonego Dale City i mamy w zasadzie dosyć. To jest nasz status, odbiór.

– Przyjąłem, Golf Jeden Jeden – odpowiedział głos. – Spróbujemy zdobyć dla was dostawę. Zameldujcie się, kiedy odzyskacie kontrolę, bez odbioru.

Keren przełączył się z powrotem na częstotliwość plutonu i wysiadł z suburbana, unosząc ręce w uspokajającym geście.

– Dobra, mówcie pojedynczo. Co się, kurwa, stało?

– Ten sukinsyn...

– Ta zakłamaną cipa...

Keren uniósł pistolet kaliber 9 mm i wystrzelił w stronę Potomacu.

– Powiedziałem: pojedynczo. Sierżancie Chittock?

Wycelował w żołnierzy lufę pistoletu. Jeżeli ktokolwiek zachodził w głowę dlaczego starszy kapral wydaje rozkazy sierżantowi, widać nie miał zamiaru pytać.

Okrągła i zwykle przyjazna twarz sierżanta przybrała surowy wyraz.

– Mówi, że to jej karabin, a ten żołnierz wraz z kolegami zgwałcił ją i go ukradł.

Keren zastanowił się przez chwilę. Elgars w żadnym razie nie wyglądała na łatwą ofiarę gwałtu.

Zwrócił się więc do niej i ostrzegawczo uniósł palec.

– Tylko spokojnie. Wyjaśnij, o co chodzi.

Wzięła głęboki oddech i skrzyżowała ręce na piersiach.

– Byłam snajperem w trzydziestej trzeciej. Kompania Bravo, drugi batalion pięćset dziewięćdziesiątego pierwszego pułku piechoty. Byliśmy w trzeciej brygadzie. Mój pluton przyłączył się do dwudziestej pierwszej dywizji kawalerii w tym pierdolniku przy Dale City. Byłam po zachodniej stronie, kiedy zarządzili odwrót.

W ten sposób wylądowałam wśród tych pajaców – wskazała kciukiem na barczystego kaprała, którego wcześniej zaatakowała. – Nie wiem, gdzie jest reszta, ale on był w kolumnie transportowej.

Utknęłam z nimi przy Lake Jackson, bo nie wiedziałam, gdzie mam, kurwa, iść. Chciał wypróbować mój karabin i kilka razy się do mnie dobierał. Nie przejmowałam się tym, bo takie gówny czasem się zdarza. Potem, kiedy znowu się wycofaliśmy, postanowiłam trochę odpocząć. Byliśmy z tyłu w ciężarówce jadącej drogą do Manassas. – Urwała i znowu głęboko odetchnęła. – Kiedy się obudziłam, dwóch mnie przytrzymało, a Piździec ściągał mi spodnie. Kiedy wszyscy trzej skończyli, wyrzucili mnie do rowu z tą gównianą bronią i jednym pieprzonym magazynkiem! Chyba myśleli, że są ostatnim cofającym się oddziałem. To tam mnie znaleźliście. – Spojrzała na Keren oczami miotającymi błyskawice.

– Chcę z powrotem mój pieprzony karabin i żeby Piździec stanął przed sądem! Wolałabym sama go wykastrować, ale nie chcę trafić do Leavenworth.

Kiedy skończyła mówić, Keren odwrócił się do barczystego kaprała. Zauważył, że na jego identyfikatorze widnieje nazwisko Pittets. Stało się więc jasne, skąd Elgars wymyśliła przezwisko Piździec.

– Co macie do powiedzenia? – zapytał spokojnie.

Był w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przekonany, że Elgars mówi prawdę. Ale skoro wszyscy czekali, że to właśnie on rozsądzi spór, musiał starać się być bezstronny.

– Ta kurwa łze – rzucił krępy kapral i zacisnął pięści. – Nigdy wcześniej jej nie widziałem. Ta suka po prostu chce mi zabrać karabin. Nie mogę uwierzyć, że pozwalacie jej tak mnie wpieprzyć!

Sierżant Chittock w samą porę złapał Elgars za kołnierz munduru, ale zarobił za to łokciem w brzuch.

Keren pogładził w zamyśleniu zarost na podbródku.

– Jaki jest numer seryjny broni? – spytał Pittetsa.

Barczysty specjalista kilka razy mrugnął oczami.

– Po co, u licha, miałbym pamiętać numer seryjny? Nie rozumiem, co to...

– BR 19784 – syknęła Elgars. – Skrót oznacza producenta Barrett Rifles. A na dole kolby są wydrapane moje inicjały A-L-E – uśmiechnęła się lekko. – Skoro nigdy się nie spotkamy, to nie mogłam widzieć tego karabinu, prawda, Piździelcu?

Sierżant Chittock zaczął oglądać karabin i oczywiście znalazł na nim numer seryjny.

Keren ściągnęła brwi i spojrzała na Pittetsa.

– Owińcie go taśmą izolacyjną i przyczepcie na zewnątrz Pojazdu Jeden. Oddamy go odpowiednim władzom, kiedy je spotkamy. Jeśli będzie się wydzierał, zaklejcie mu też usta.

– Nie możecie tego zrobić! Mam swoje prawa... – krzyczał kapral, kiedy ciągnęli go w stronę pojazdu móżdziejowego

– No, Elgars – powiedział Keren z ponurym wyrażeniem twarzy – masz z powrotem swój karabin. Co ty z nim, u diabła, zrobisz?

Oparła kolbę na ziemi i otworzyła jedną ręką magazynek.

– Najpierw go dobrze wykąpię, a potem wyzeruję celownik – Nie wiem tylko, jak będę jedną ręką przeładowywać magazynek – No – powiedział z lekkim uśmiechem Keren – chyba przyda ci się pomoc.

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 10:48 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

– Możemy w czymś pomóc, poruczniku? – spytał sierżant Leo.

Stary miał tak smutną minę, że podoficer jeszcze u niego takiej nie widział. Nawet smutniejszą niż wtedy, kiedy myślał, że skończyła im się żywność.

Siedział na schodach pomnika Lincolna i patrzył w wodę basenu.

Był kolejny wspaniały jesienny dzień. Wydawało się, że przyroda lekceważy ich głupie gry wojenne. Nawet bombardowania kinetyczne nie miały żadnego wpływu na przepiękne wschody i zachody słońca.

Porucznik Ryan patrzył na odbicie pomnika w wodzie. Jego nastrój wahał się między histerią a depresją. Uważał, że wypełnił swój pierwszy zawodowy obowiązek lepiej niż ktokolwiek miał prawo oczekiwać. Nawiązanie łączności z Missouri pozwoliło mu dokonać rzezi Posleenów, a żołnierze jego plutonu spisali się pod ostrzałem jak weterani.

Zgubili wprawdzie swoją jednostkę, ale to nie była ich wina. Nie było także jednostki, do której mogliby się przyłączyć. A jednak teraz zastanawiano się nad przebiegiem jego dalszej kariery. Fakt, że zamienił większą część dywizji Posleenów w krwawą papkę, nie miał żadnego znaczenia.

A teraz jeszcze na dodatek i to.

Brał udział w prawdziwej walce dopiero kilka dni, ale miał wrażenie, że wykształcił się u niego pewien instynkt. A on podpowiadał mu, że Posleeni zmiotą z powierzchni ziemi jedyny punkt kontroli ładunków wybuchowych, a to oznacza, że przejmą most. Wtedy byle jak sklecone jednostki na Mall rozsypią się jak potłuczone szkło, a Posleeni zdobędą samo serce Ameryki.

Utrata Mall wytnie Stanom Zjednoczonym serce. Cholera, może mieć nawet poważny wpływ na morale żołnierzy. Amerykanie narzekają na swój rząd przez cały czas, ale to nie znaczyło, że nienawidzą symboli przeszłości, które tutaj, w tym miejscu się wznosiły.

A do tego wszystkiego może dojść tylko dlatego, że jeden głupi oficer nie zwraca uwagi na to, co mówi mu podręcznik, doświadczony młodszy oficer i zdrowy rozsądek.

– Wszystko w porządku, sierżancie.

Wstał i głęboko odetchnął. W powietrzu czuło się lekki swąd z pożarów na południu, gdzie piechota morska zaminowała Pentagon mikrobombami jądrowymi.

Miałem rację, pomyślał Leo, siedzimy w gównie. On wiedział, co trapi porucznika, i czuł to samo. Był w końcu instruktorem minowania. A kapitan totalnie spierdolił sprawę. Kiedy porucznik minował most 123, Leo czekał, żeby w razie czego pomóc w rozplanowaniu ładunków. Ale porucznik sam wyliczył odpowiednie wagomiary ładunków wybuchowych, i nie tylko obmyślił trzy metody zapłonu, ale także trzy różne punkty kontroli. Była to może zbytnia ostrożność, ale dowódca wolał dmuchać na zimne. Ryzykanctwo przy rozkładaniu ładunków burzących było baaaardzo stanowczo niewskazane.

– Jak tam żołnierze? – spytał porucznik i ponownie pogрузił się w rozmyślaniach.

– W porządku, sir. Dostaliśmy żywność i amunicję. Cholera, udało się nawet zorganizować cztery kółka. – Czuł, że oficer nagle przestał go słuchać. Spojrzał w tym samym kierunku co porucznik, ale dostrzegł tylko pomnik odbijający się w zwierciadle wody.

Porucznik na chwilę zamknął oczy, po czym gwałtownie je otworzył.

– Sprowadź ich tu! – rzucił. – Niech przyniosą ładunki. I to już!



– Tak jest, sir! – Sierżant puścił się biegiem po schodach, zanim jeszcze zdążył się zastanowić, o co chodzi. W końcu nie należy się sprzeciwiać dowódcy.

Po chwili porucznik szedł przez rozbrzmiewające echem pomieszczenie poświęcone największemu humaniście albo – jak kto woli – największemu tyranowi w dziejach Ameryki. Zatrzymał się przed małymi drzwiami. Kiedy przychodził tu jako dziecko, zawsze zastanawiał się, dokąd prowadzą. Ktoś odstrzelił już zamek, więc porucznik wszedł do następnego pomieszczenia. Prowadziły stąd w dół schody. Porucznik uśmiechnął się. Zachciało im się, kurwa, walczyć z jego krajem? Śmieli, kurwa, podskoczyć saperom?

Kiedy ostatni żołnierz plutonu ruszył w dół po schodach, w pomnik uderzył pierwszy ładunek plazmy.

\* \* \*

Dotknięcie strumienia zjonizowanego deuteru zmieniło twarz pomnika w parę. Początkowo nikt nie zauważył nadlatujących Wszechwładców, ale już po chwili całe Maił wypełniło się szybko zbliżającymi się spodkami, których działa zmiatały wszystko, co znalazło się na drodze między pomnikiem a mostem.

\* \* \*

Kenallurial wydał okrzyk radości, gnając naprzód w swoim tenarze. A więc tak wygląda szła bitewny te'naal, o którym tyle mówiono! Czuł, że wreszcie odzyskał siły, i skupił się tylko na swoim zadaniu. Thresh płonęli w ogniu jego wystrzałów, a on się z tego cieszył. Zajęli drugi koniec mostu i zniechęceni technicy wojskowi zostali pokonani. Wysłał Arnata'drę, żeby usunął ładunki wybuchowe, a sam ruszył na wielki budynek.

Podleciał tenarem do miejsca, gdzie wcześniej znajdowały się pozycje techników i wylądował. Nie było śladu ich urządzeń, pozostały tylko kable, miejscami wtopione w skałę albo wijące się po ziemi. Ponieważ nie znał ich przeznaczenia, wolał ich nie dotykać; to zajęcie dla Arnata'dry.

Triumfalnie uniósł szpony. Niech no tylko Ardan'aath spróbuje pomniejszyć znaczenie tego zwycięstwa. Most nad rzeką jest w rękach jego armii. Niech piekło pochłonie tych thresh.

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 10:50 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

Jack Horner czytał wiadomości w świetle padającym z wjazdu bradleya, rzucającego niemiłosiernie na wszystkie strony. Batalion pancerzy wspomaganych znajdował się na skrzyżowaniu drogi krajowej numer 1 i Capitol Avenue, zaledwie dziesięć przecznic od miejsca, w którym atakowano prezydenta.

Chcieli opuścić pojazdy tuż przed samym Mall, ale nadlatujący lądownik zmusił ich do pozostania na swoich miejscach. Horner zastanawiał się, co teraz zrobić. Jeśli wyśle żołnierzy na pomoc do obozu dla uchodźców, który wciąż atakowano, i tak nie uda im się ocalić prezydenta, który może nawet już nie żyje. Mogliby wprawdzie uratować trochę cywilów, ale Gwardia Prezydencka pewnie doskonale sobie z tym poradzi.

A więc pozostawało południe. Ale zanim tam dotrą, batalion może zostać pokonany, tak jak ci biedacy przy Lake Jackson. Było to jedno z miejsc, w których kazał walczyć regularnym oddziałom wojska, a nie jednostkom pancerzy wspomaganych. Liczba pancerzy była ograniczona, dlatego wykorzystanie ich tutaj do powstrzymania fali ataku byłoby błędem strategicznym.

Ale nawet sto piąta dywizja nie mogła zapobiec zdobyciu mostu.

Jednostka była słaba jak młode źdźbło trawy, nawet z tą „kompanią bohaterów”, których mógł im wysłać jako wsparcie. Przegraliby tak samo, jak wszystkie inne jednostki. A przejście Posleenów przez Potomac oznacza konieczność odwrotu do Susquehanna i pozostawienie wrogom Marylandu i Delaware. I Washington Mall. Jeśli chodzi o to ostatnie, musieli stracić albo batalion, albo pomnik. A on nie potrafił dokonać takiego wyboru.

Pokręcił głową i stuknął w przekaźnik.

– Jędzio, daj mi majora Givensa z pancerzy wspomaganych.

\* \* \*

O’Neal miał na swoim ekranie sześć różnych map taktycznych.

Lądownik na północy nie był dla niego żadnym problemem, a stanie w miejscu i dyskusowanie tylko pogarszało sytuację. Zdjął hełm i głęboko wciągnął powietrze. Z Mall dolatywał lekki zapach palonego drewna. Czuł też trochę mniej przyjemny zapach – smród przepoconych ludzkich ciał. Wkrótce poczuje także zapach wyrzynanych Posleenów. Albo nie nazywa się Michael Leonidas O’Neal.

Wciągnął w płuca ostatni haust świeżego powietrza, którego przez dłuższy czas miał nie zakosztować, i poczuł, że jego nerwy wreszcie się rozluźniają. Żadnych wątpliwości. Żadnego strachu. Żadnych błędów. Przysiągł to na grobach swoich zmarłych towarzyszy.

– Kapitanie O’Neal – wyrwał go z zadumy major Givens – mamy dwa problemy...

– Piechota morska może się zająć uchodźcami – przerwał mu gwałtownie Mike. – My musimy się dostać na Mall. I to już.

Otworzył kieszeń przy pasku i wyjął puszkę napoju.

– Mike – powiedział generał Horner – Posleeni zajmują wielki obszar...

– To żaden problem – rzucił krótko.

– Mike...

– Jack, nie ucz ojca dzieci robić. Nie ma na to czasu.

Odwrócił głowę w bok i zaczął nadśłuchiwać. Strzelanina na północy najpierw się wzmożła, a potem ucichła, kiedy duża liczba karabinów grawitacyjnych otworzyła ogień. Sądząc po odgłosach ich właściciele likwidowali ostatnie przeszkody. A do tego byli źli, naprawdę źli.

– Kapitanie... – zaczął major Givens.

– Majorze, kapitan jest ekspertem – przerwał mu generał Horner. – Jeśli mówi, że mamy iść, to lepiej chodźmy.

– Mamy jeszcze... czternaście sekund do zakończenia rozmowy – powiedział ze stoickim spokojem Mike, kiedy zerknął na wyświetlany hologram. Batalion był gotowy. Wystarczyło tylko wydać rozkaz wymarszu.

Żadnych wątpliwości, pomyślał. Rozgrywałem to już tysiące razy.

Uda się.

– Generale Horner – powiedział oficjalnie – Siły Uderzeniowe Floty nie oddadzą Waszyngtonu Posleenom.

Żadnego strachu. Są niepokonani. Może Posleeni zabiją niektórych z nich, ale jako jednostka przegrają tylko wtedy, jeśli nie spróbują. To jest prosta akcja. Przygotowali czterdzieści scenariuszy.

I każdy z nich się powiedzie.

– Generale? – spytał major.

Był przyzwyczajony do uzgadniania ułożonych wcześniej planów. Chociaż mógł je do pewnego stopnia zmieniać podczas akcji, nie lubił improwizacji na wojnie. Miał wtedy wrażenie, że traci kontrolę i wszystko wymyka mu się z rąk.

– Zrób to – powiedział Horner.

Nie miał pojęcia, co przewiduje plan. Ale znał Mike'a O'Neala.

Gdyby Mocarne Maleństwo nagle stwierdził, że niebo jest zielone, Horner dwa razy sprawdziłby prognozę pogody i zasięgnął opinii z innego źródła, zanim zwątpiłby w jego słowa.

– Dobra, kapitanie O'Neal – powiedział wreszcie dowódca – jaki jest plan?

– Opowiem panu po drodze, majorze. Nie mamy już czasu.

Następnie – wbrew swoim własnym słowom – spokojnie włożył do ust trochę tytoniu, zamknął pudełko i schował je, po czym włożył rękawicę i hełm. Kiedy skończył, zmienił częstotliwość na otwarty kanał batalionu.

– Dobra, chłopcy i dziewczynki. Chodźmy zabić parę ET.

\* \* \*

– No ileż można – jęknął Keren – Ani chwili dla siebie. Ciągłe tylko zabijamy i zabijamy Posleenów!

Pomógł Elgars wstać i zawiesił jej na ramieniu wielki karabin.

– Cóż – uśmiechnęła się ponuro – może później.

– Jasne.

Jakby miało być jakieś „później”. Keren widział, jak Posleeni i ich Wszechwładcy ogromnym strumieniem przekraczają most i zbierają się wokół pomnika. Cholerna banda demonów przeszła przez rzekę.

Elgars ruszyła biegiem w stronę pomnika, prawą ręką podtrzymując podskakujący karabin, zaś Keren ruszył do suburbana. Cieszył się, że wreszcie odzyskała swój karabin. Nagle uświadomił sobie, że nawet nie zna jej imienia.

Od strony pomnika nadleciał strumień ognia, ale on nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

\* \* \*

Teren pod pomnikiem przypominał ogromny labirynt. Jak mieli się wkrótce przekonać Posleeni, saperzy na powierzchni ziemi byli niczym w porównaniu z saperami w tunelach.

Kulki i szrapnele detonującego claymore'a odbiły się od ścian i stropu wyłożonego kamieniem tunelu i skosiły czoło szturmu Posleenów. Kilka granatów dokończyło dzieła i reszta saperów rzuciła się naprzód, żeby na nowo zająć pozycje.

– Rozłożyć ładunki! – krzyknął sierżant Leo, rozwijając drut i przygotowując sponki. – Jazda, ruszać się!

Podał po jednym ładunku każdemu z szeregowców. Młodzi mężczyźni i jedna kobieta przeszli w ciągu ostatnich trzech dni błyskawiczny kurs pirotechniki. Każdy, kto przeżył ten kurs, był teraz ekspertem.

Skręcił za róg i niemal wpadł na porucznika i jego osłonę. Do osłony sierżant skierował tych, którzy jego zdaniem nie nauczyli się odpowiednio sztuki wyburzania. Używano ich jako wsparcia dla prawdziwych saperów. Leo zamierzał w przyszłości zaproponować, żeby każdy z nich dostał mały medal i przeszedł do piechoty.

– Zabezpieczyliśmy korytarz – powiedział porucznik Ryan i pokazał za siebie. – Kiedy wysadzimy ten tunel, zostanie tylko jedno wejście i jedno wyjście. Będą musieli nas stąd wykopać.

– Cóż, my już prawie skończyliśmy – powiedział sierżant Leo, kiedy za rogiem pojawili się saperzy.

Policzył wszystkich i wychylił się za róg, żeby sprawdzić, co się tam dzieje. Wywołało to gwałtowną reakcję – na kamiennych ścianach pojawiły się dziury wyrąbane pociskami strzałkowymi, a w głąb tunelu pomknęły rykoszety. Rozległ się okrzyk bólu jednego z saperów, trafionego w udo.

– Uwaga, wysadzam! – krzyknął Leo i sam nacisnął detonator.

Powiało gorącem i przez tunel przetoczyła się chmura marmurowego pyłu. Pluton usłyszał dochodzący z góry odgłos obsuwania się kamieni.

– O cholera – mruknął cicho jeden z szeregowych.

– Właśnie – powiedział porucznik Ryan – chyba czekają nas małe kłopoty.

\* \* \*

Elgars opadła szczeka, kiedy pomnik Lincolna przechylił się lekko w lewo.

– Jasna cholera.

Teren wokół pomnika szybko zapełniał się Posleenami. Do atakujących Wszechwładców dołączyły ich jednostki i wojska zaczęły rozwijać skrzydła, żeby objąć nimi całe miasto.

Przyłożyła do ramienia dobrze jej znaną broń. Laserowy miernik pokazał odległość tysiąca trzystu metrów do schodów pomnika. Kiedy przesuwiała celownik na boki, niezdecydowana, którym Wszechwładcą ma się zająć, z wnętrza pomnika wydobyła się chmura pyłu i buchnęły języki ognia. A więc przynajmniej jedna grupa chce jeszcze walczyć. Z tyłu słyszała cichnące silniki pojazdów tych mądrzejszych albo bardziej tchórzliwych.

\* \* \*

– Ja stąd zjeżdżam! – krzyknęła kobieta siedząca w Wozie Trzy, po czym wycofała i obróciła pojazd, wyrzucając w górę grudy ziemi z pieczołowicie wypielęgnowanego trawnika.

Keren wspiał się na szczyt krętych schodów, ryzykując, że zostanie trafiony.

– Austin! – wrzasnął i rzucił granatem.

Granat wylądował na tyle sekcji załogowej Wozu Trzy.

Działonowy i amunicyjna dali susa na zewnątrz i przywarli do ziemi. Kierująca pojazdem kobieta zwolniła i też wyskoczyła, podczas gdy krępy dowódca drużyny gramolił się przez właz pojazdu.

Pomocnik działonowy znajdował się głęboko w brzuchu bestii, kiedy granat wleciał do środka i przetoczył się po podłodze. Przerażony żołnierz podniósł granat, aby go wyrzucić z powrotem... i wrzasnął wściekle.

– Nie wyciągnął pieprzonej zawlecзки!

Przy wyjściu natknął się na wycelowaną w niego berettę. Keren huknął go lufą w nos, aż bryznęła krew, i popchnął żołnierza w głąb pojazdu.

Austin próbowała tymczasem wycelować karabin maszynowy kaliber .50 w rozwścieczonego Kerena, ale nie mogła sobie poradzić z bezpiecznikiem. Keren kopnął rzucającego się pomocnika działonowego w krocze, odwrócił się i wystrzelił pojedynczy pocisk w twarz dowódcy drużyny.

Kula weszła tuż pod nosem i czubek głowy kaprała odskoczył w górę razem z fontanną krwi i kawałkami mózgu. Ciało runęło w tył przez barierkę pojazdu moździerzowego.

Keren podciągnął się na dach pojazdu i wycelował pistolet w działonowego i amunicyjną, którzy właśnie podnosili się z ziemi.

– Wsiadać do pojazdu – krzyknął. – I odłożyć pieprzoną broń!

Albo osobiście was porozwalam, sukinsyny! Czy to jasne?!

– Nie oddam cholernym kucykom tego przeklętego pomnika!

Uciekaliśmy, uciekaliśmy i uciekaliśmy. Więcej już nie będziemy!

Czy to jasne? – Keren zeskoczył z pojazdu i przystawił broń do twarzy działonowego.

Lufa napierała na policzek żołnierza tak mocno, że groziło to uszkodzeniem kości policzkowej. Działonowy zaniknął z przerażenia oczy, a po nogach pociekła mu cienka strużka moczu.

Amunicyjna drżącą dłonią odsunęła pistolet Kerena.

– Ja... jasne.

– Zajmijcie... się... bronią. I nie próbujcie mi się więcej stawiać.

Kiedy odszedł, drżąc z wściekłości amunicyjna warknęła:

– Możemy zestrzelić tego gównianego suburbaną. Zobaczymy, jak sobie poradzi z ogniem M-2!

Działonowy zdzielił ją w tył głowy tak silnie, że aż upadła na ziemię.

– Nawet o tym nie myśl. A co by było, gdyby przeżył? Zjadłby nas żywcem. A teraz, kurwa, wracaj do pojazdu.

Okazało się, że załoga Wozu Jeden cały czas obserwowwała zajście. Na wszelki wypadek sierżant Chittock był przy półcalówce i celował w Wóz Trzy.

– Skieruj to tam! – wrzasnął Keren i wskazał na Potomac. – I przygotuj się do strzelania!

Reszta załogi zerwała się i wycelowała broń w kierunku wrogów. Kiedy rozwścieczony Keren dotarł do ciężarówki, sierżant Chittock bardzo starannie mu zaszalutował. Keren równie starannie odpowiedział na salut. Kiedy wszedł do pojazdu, zdał sobie sprawę, że towarzyszący mu odór moczu wcale nie pochodzi od działonowego Wozu Trzy. Wszyscy jesteśmy pieprzonymi tchórzami, pomyślał i wziął do ręki kontroler ognia.

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 10:53 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

Szeregowy przygryzła wargę i pogładziła leżący na jej udzie karabin. Nadal brakowało AIW, więc jednostki na tyłach otrzymywały wysłużone M-16A2. Strzelała z nich na skróconym szkoleniu podstawowym, ale później, kiedy dotarła na docelowe stanowisko, sytuacja była tak skomplikowana, że dowództwo nie zamierzało wydawać żołnierzom broni. Tak więc dopiero trzy dni temu po raz pierwszy od czasu szkolenia miała karabin w ręku. Wtedy to kolumna zaopatrzenia amunicyjnego pospiesznie opuściła Fort Indiantown Gap.

Patrzyła na selektor i zastanawiała się, co robić. Najprościej byłoby nie przeciwdziałać, pozwolić kierowcy jechać tam, gdzie chce.

W końcu kto, do diabła, chciałby prowadzić ciężarówkę pełną amunicji w kierunku posleńskiej armii?

Rozkazano im zaopatrzyć w broń jednostkę mózdzierzy przy pomniku Waszyngtona. Pluton wystrzelał całą swoją amunicję i widać zamierzał nadal walczyć. I zapewne nadal tam czekał, niezależnie od tego, co mówił Lee.

Cholera, pomyślała. Może być ciężko.

– Zawracaj – szepnęła.

Jej głos ledwie było słychać poprzez ryk przeciążonego silnika pięcotonowej ciężarówki.

– Co? – warknął szeregowy Lee.

Głupia suka! Nawet nie kiwnęła przeklętym palcem, kiedy rozładowywali pojazd. Już kilka razy miał zamiar wyrzucić ją z wozu jako prezent dla pieprzonych koników.

– Zawracaj.

Tym razem szeptowi towarzyszył cichy szcęk odbezpieczania karabinu.

Lee odwrócił się i spojrzał na nią z niedowierzaniem.

– Popieprzyło cię? Skieruj to, do cholery, w inną stronę, zanim każę ci to zjeść, cipo!

Szeregowy miała minę, jakby połknęła cytrynę. Zaszło jej w ustach ze strachu, ale powoli uniosła karabin, wycelowała nim w skroń kierowcy i przycisnęła kolbę do ramienia. Wzięła głęboki wdech i wypuściła powietrze, tak jak uczył ich instruktor podczas ćwiczeń.

Potem skierowała karabin w bok i wystrzeliła w okno kierowcy.

Podmuch powietrza zerwał mu okulary z twarzy i poparzył skórę.

– Zawracaj kurwa tę ciężarówkę, draniu – wrzasnęła – albo rozpaćkam ci mózg po całym wozie! Czy teraz usłyszałeś wyraźnie, zasańcu?!

Pojazd skręcił o sto osiemdziesiąt stopni.

\* \* \*

Elgars usłyszała za plecami ryk dieslowskiego silnika, a potem zobaczyła żołnierzy wysiadających z wozu bojowego bradley. Drużyna rozproszyła się po całym nasypie i ukryła za niewielkim wzniesieniem. Mężczyzna na czele był młody jak na podpułkownika, ale kiedy przywarł do ziemi niedaleko niej, zobaczyła dwie gwiazdki na naszywce jego polowego munduru piechoty. Albo był już na trzech wojnach i brał udział w czwartej, albo był strażnikiem składnicy wojskowej. Zważywszy na spokojny wyraz twarzy i profesjonalizm, z jakim dowodził, była całkowicie pewna, która z tych dwóch możliwości jest prawdziwa.

Bradley zawrócił i przejechał na drugą stronę pomnika. Lufa działka Bushmaster uniosła się w górę i wypuściła garść pocisków smugowych.

Elgars patrzyła, jak pociski wlatują, po czym opadają i znikają w Potomacu. Podpułkownik kierował ogniem przez radiostację.

– Hej! – zawołała, żeby zwrócić jego uwagę. – Te transportery z moździerzami za nami są na częstotliwości sześćdziesiąt-trzy-siedemdziesiąt!

Roześmiał się i pokazał jej uniesiony kciuk, po czym zmienił kanał.

Z tyłu rozległ się huk wystrzału i Elgars zauważyła, że pozycję za nią zajął zespół obsługujący moździerz kaliber 60 mm. Dowódca drużyny, jeszcze jeden dzieciak o grzecznej buzi, wystawiał głowę, żeby zobaczyć, gdzie padają pociski, i naprowadzić ostrzał. Była to niezbyt precyzyjna metoda kontroli ognia, ale biorąc pod uwagę masę Posleenów, którzy formowali szyk na trawniku, skuteczna. Elgars zobaczyła, jak grupa Posleenów wylatuje w powietrze od wybuchu jednofuntowego pocisku, i z zadowoleniem kiwnęła głową.

Przynajmniej nie umrze tutaj sama. Widziała coraz więcej ludzi spieszących na zbocze. Wielu z nich z pewnością przeszło proces odmładzania, sądząc po ich stopniach wojskowych i pewności siebie, ale było też wielu zwykłych żołnierzy, którzy po prostu spontanicznie odpowiadali na zagrożenie bytu ich narodu. Doskonale ich rozumiała. Niezależnie od tego, jak bardzo popieprzone było jej życie, zawsze czuła się Amerykanką i nie mogła znieść myśli o przejęciu przez Posleenów Białego Domu albo Kapitolu, albo nawet tego głupiego pomnika.

Jeśli strzeli do Wszechwładcy bez odpowiedniego wsparcia, jej los będzie przesądzony. Ale może nie musi strzelać do Wszechwładcy? Może wystarczy zwykły wojownik? Podparła się na zabandażowanej ręce i głęboko odetchnęła.

\* \* \*

– Duncan?

– Tak, szefie?

Zastosowanie pancerzy wspomaganych zmieniło niektóre odwieczne zwyczaje wojskowe. Należało do nich między innymi rytmiczne śpiewanie podczas marszu lub biegu. Pancerze wspomagane poruszały się długimi susami i dopasowanie do nich tradycyjnego śpiewnego podkładu było niezwykle trudne.

Okazało się jednak, że hard rock lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych i podobny rytmem raker rock przełomu stuleci zaskakująco harmonizuje z rytmem marszu pancerzy. Dlatego zaczęto nadawać przez głośniki żołnierzy ten rodzaj muzyki, żeby pomóc im utrzymać tempo marszu. Dawno zapomniani artyści świętowali teraz swój powrót na scenę wśród jednostek pancerzy wspomaganych.

Bieganie w pancerzach było mniej obciążające niż zwykły bieg szkoleniowy, przypominało powolny bieg długodystansowy. Dobrze wyszkolona jednostka u szczytu swej formy mogła biec przez dwie lub trzy godziny, na odległość około sześćdziesięciu mil.

Tym razem jednak chodziło o stosunkowo niewielką odległość.

Batalion, bez kompanii Bravo, biegł w czterokolumnowej formacji Siódmą Ulicą w centrum Waszyngtonu w takt „Crazy on You” Hearta. Duncan musiał teraz tylko skoordynować ostrzał artylerii dwóch korpusów.

– Status. – Głos po drugiej stronie były zimny i odległy. Mocarne Maleństwo najwyraźniej wpadł przez bitwą w trans.

– Gotowi.

Nie w tym rzecz, że od biegu dostał zadyszki. Ale Stary nie potrzebował wiedzieć nic więcej.

Tylko to chciał usłyszeć.

– Ilu?

– Trzy bataliony sto pięćdziesiątek piątek i rozproszone moździerz.

Nie było odpowiedzi, więc Duncan zrozumiał, że dowódca się wyłączył. Wprawdzie fizycznie był wciąż na kanale, ale już układał plan, wodząc palcami po wirtualnej mapie. Każda z jednostek, która mu odpowiedziała, widniała po jednej stronie mapy jako ikona gotowości do strzału. Przesunięcie ikony na cel wywoływało pojawienie się okna dialogowego z pytaniem o rodzaj i ilość pocisków.

Po ustawieniu parametrów pierwszej salwy, inne wezwania ognia z tej samej pozycji przejmowały takie ustawienie jako wartość domyślną. W ten sposób łatwo można było ułożyć plan ataku, ale złożony plan bitwy wymagał kilku oddzielnych planów ostrzału. Zaprogramowanie ich zabierało dużo czasu, ale dowódca nie przestawał cały czas pracować. Do wtórze perkusji.

\* \* \*

– Gunny?

– Tak, sir?

Kiedy minęli budynek MCI, podoficer przyspieszył, zwiększając moc napędu i wydłużając krok. Na prawie pustej ulicy osiągnął prędkość blisko osiemdziesięciu kilometrów na godzinę. Sierżant musiał dostać się na Mall przed batalionem. Chciał porozmawiać na osobności z kilkoma jednostkami. Niektóre z nich chciały stanąć do walki, ale wiele jednostek uciekło. Podoficer skierował się w stronę tych kilku, od których zależało powodzenie misji. Jeśli nie zmusi ich do stawienia się na froncie, plan dowódcy może spalić na panewce.

– Status – znowu odezwał się kapitan.

– Podchodzimy. Nie chcą wejść w kontakt z nieprzyjacielem.

– Napierajcie. Ktoś musi obsadzić Watergate. Ktokolwiek. Natychmiast.

Pappas stłumił westchnienie.

– Tak jest, sir.

Nie było sensu się kłócić. Postawił stopę na masce zaparkowanego mercedesa i odbił się od niej, jeszcze bardziej przyspieszając.

Na pieprzonym Mall panował rozgardiasz. Posleeni uformowali już szyk i byli gotowi do ataku. Zapowiadała się rzeź.

\* \* \*

Ardan'aath prychnął.

– Ten nędzny most całkiem krzyżuje nam szyki. Wojsko prze naprzód bez żadnej kontroli. Miną wieki, zanim znowu się pogrupujemy.

Przesunął tenor w bok i patrzył, jak młodszy Kessentai próbuje na nowo sformować oolt'ondar. Jego oolfos też błędzili gdzieś w tym bezhołowiu, ale pocieszał się, że później go znajdą. Większość przeszła z nim przez wiele światów, znaleźliby go nawet w piekle.

– Cóż, ale przynajmniej go zdobyliśmy – prychnął Kenallurial.

Kenallai uniósł grzebień, żeby zapobiec kłótni.

– Jesteśmy tu na otwartej pozycji... – zaczął, ale przerwała mu fala wybuchów, która przeszła przez oolt na południu.

Wybuchy były słabe, ale mimo to zabiły kilku oolfos.

– Strzelano od strony tamtej budowli – powiedział gorliwy młody dowódca i wskazał na



obelisk. – Na szczęście niecelnie. Thresh nie mogą tra... – To były jego ostatnie słowa. Jego klatka piersiowa eksplodowała żółcią, rozsadzona pociskiem kaliber. 50.

Młody Kessentai runął na pulpit sterowniczy tenoru, a jego szpony zaczęły konwulsyjnie drapać po przyciskach. Próbował wypowiedzieć imię swego władcy, ojca i pana. Potem ześlizgnął się z pulpitu i padł na zrytą koleinami ziemię, a jego jeszcze niedawno rozognione oczy stały się teraz zimne i szkliste.

Czujniki sześciu tenarów oszalały, a ich broń zwróciła się w stronę źródła ognia. Działa rzygnęły mieszaniną skupionego światła, pocisków relatywistycznych i zagęszczonej plazmy. Nie kończący się ostrzał był skierowany w miejsce, skąd ktoś miał czelność strzelać do ich Wszechwładcy. Po chwili do dział dołączyły pociski dziesiątków, a potem setek posleeńskich wojowników.

Nie strzelał tylko Kenallai. Siedział nieruchomo na tenarze i spoglądał na ciało swojego eson'antai. Kiedy ostrzał zelżał, oolfos rzucili się w kierunku ciała, ale Kenallai uniósł rękę.

Miał wątpliwości, czy powinien pozwolić na przetworzenie kogoś takiego na wieczerzę. Nawet nie uroczystą wieczerzę, ale po prostu zwykły kawałek jedzenia dodany do reszty żywności. Czyż nie było czegoś szczególnego w tym wspaniałym Kessentaiu? Czegoś, co trwało jeszcze, mimo że ci po trzykroć przekłęci threshkreen przeszli go kawałkiem metalu? Czy to coś nie żyło dalej?

Sięgnął do stopy i odczepił swoją buławę Kessentaia. Zgodnie z tradycją, każdy Kessentai miał tylko jedną. Wcześniej czy później robiła to większość. Podczas długiej jazdy do tego piekielnego miejsca porzucono aż trzy buławy. Ale on sam nigdy nie czuł takiej potrzeby. Nigdy nie czuł takiej potrzeby. Aż do tej chwili. Teraz.

Nareszcie zrozumiał swojego syna, który rzucił swoją w piekielnym ogniu pierwszej bitwy na tej paskudnej planecie. Na tym po trzykroć przeklętym, niegodnym wspomnienia, strasznym, strasznym małym świecie.

Wreszcie zrozumiał także thresh. I przestraszył się. Bo oni czuli to samo po śmierci każdego z nich. Dla threshkreen wszyscy, nawet pokonani i martwi, byli Kessanalt. Każdy z nich. I każdy thresh czuł taki sam gniew, jaki targał nim w tej chwili. Przeraziła go nagła myśl, jak wielki popełnili błąd, lądując na tym błękitno-białym globie.

– Jesteśmy skończeni – szepnęła i rzucił buławę na martwe ciało.

Spojrzał na oolfos. Wszyscy należeli do jego osobistego oolt i byli dość inteligentni. Powinni to zrozumieć.

– Zanieście go na wzgórze i połóżcie na stosie threshkreen, który jest na szczycie. I weźcie tę buławę.

Tymczasem Ardan'aath uniósł się w górę swoim tenorem.

– Musimy ruszać – wskazał na odległy obelisk – bo przybędzie ich więcej.

Kenallai odwrócił się do starszego Kessentaia. Nie mógł od niego oczekiwać, że zmieni się tak nagle jak on.

– Zdajesz sobie sprawę, jak wielki popełniliśmy błąd?

Drżenie grzebienia Ardan'aatha zdradzało jego niepokój.

– Nigdy bym się nie spodziewał, że i ty rzucisz buławę – powiedział.

Kenallai rozszerzył nozdrza.

– Cóż, rzuciłem. I powiem ci jedno. Wpadliśmy w gniazdo grat i nie ma stąd ucieczki.

Ardan'aath głęboko odetchnął.

– Dam ci chwilę na zastanowienie. Potem możesz przejąć dowodzenie albo wycofać się na tyły.

Kenallai nastroszył grzebień.

– Ty idioto. Nie ma żadnych tyłów. I niech piekło pochłonie twoje groźby. Nie ma odwrotu! To koniec! W tym przeklętym budynku thresh roją się jak abat – ciągnął, wskazując na budynek za sobą.  
– Siły na południu zniszczyły naszą armię. Jesteśmy zgubieni!

Ardan'aath wykonał gest przeczenia.

– Zmiękleś od nauk tego młodego głupca. – Wskazał na pagórek z obeliskiem na szczycie. – Ich jest mało i już uciekają.

Czujniki znowu oszalały, kiedy kolejny Wszechwładca zwałił się z tenara. Mimo odpowiedzi Posleenów na Aneksie pojawił się kolejny cel. I jeszcze jeden na Budynku Rolnictwa. Grupa oolfos wyleciała w powietrze od wybuchu pocisku mózdzierzowego kaliber 120 mm.

Karabiny kaliber. 50 miały olbrzymi zasięg. Snajperzy trafiali w cel z odległości półtora kilometra. Czasem ich strzały godziły w przywódców, i wtedy wywoływały zmasowaną odpowiedź. Ale w miarę jak coraz więcej broni włączało się do walki, odpowiedź Wszechwładców była coraz bardziej chaotyczna.

Kenallurial nastroszył grzebień.

– Wiele razem przeszliśmy. Ale teraz nadszedł czas, by nasze drogi się rozeszły. Ruszam do boju. I już nie wrócę.

Zawrócił tenar i skierował go w kierunku oczekujących oolt.

Uzbrojona po zęby kompania była gotowa wybić wszystkich ziemskich obrońców. Ale Kenallurial wiedział już, że na nic się to nie zda.

Nagle na szczycie obelisku pojawiła się kropka celownika i po chwili tenar Ardan'aatha wyparował w aktywnym ogniu, kiedy kula przeszła przez jego kryształową matrycę.

Niewielki wybuch jądrowy zmiotł Posleenów ze schodów pomnika. Kenallurial oddalił się już na tyle od byłego towarzysza, że nie stracił panowania nad tenarem, kiedy dopadła go fala uderzeniowa.

Nawet nie zaklął. Skrzywił się tylko, kiedy odłamek szrapnela wyłobił mu rysę na plecach, i spojrzał na obelisk w oddali.

– Tego już za wiele – szepnął. – Do Alld'nt z tym! Wysiadać z tenarów! – krzyknął do swojego oolfondar.

Sam wyskoczył ze spodka i zdjął z czopa działo plazmowe. Ciężki zasilacz przyjemnie osiadł na jego grzbiecie. Inni Wszechwładcy także zeskoczyli na ziemię i zaczęli zbierać szczątki oolt'os zabitego Ardan'aatha.

– Dopóki jesteśmy wśród oolfos, ci przekłenci thresh nie mogą nas namierzyć!

Skręcił na wschód w stronę pomnika, kiedy nowa salwa wybuchów przeorała zebranych przed basenem oolfos.

– Ruszajmy w bój! – krzyknął. – To dobry dzień na śmierć!

\* \* \*

Kaszal boleśnie wstrząsnął jej ciałem i na biały pył znowu pociekła krew. Wprawdzie spadające ze stropu odłamki kredowej skały mocno poobijały jej zębra i zraniły lewą rękę, ale najważniejsze, że strzał był celny. Została na miejscu wystarczająco długo, żeby zobaczyć, jak spodek Wszechwładcy staje w płomieniach. W oczach nadal miała powidoki od wybuchu.

Wiedziała, że musi zapłacić za swój sukces. Już podczas przekłętego biegu po schodach czuła, że to głupi pomysł. Ale myśl o oddaniu strzału po prostu nie dawała jej spokoju. Strzał ze szczytu pomnika Waszyngtona – to marzenie każdego snajpera. Wiedziała już, że to był dobry strzał, kiedy kolba uderzyła ją w ramię. W sam pieprzony środek ramienia.

Jej serce jeszcze nie mogło się uspokoić. Chociaż teraz pompowało krew na marmurową

posadzkę. Ale warto było. To była wspaniała chwila. A w jej życiu było cholernie mało wspaniałych chwil.

To był dobry strzał...

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 11:16 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

Może i nie było im pisane zwycięstwo, ale przynajmniej świetnie strzelali. Moździerze wysyłały strumienie pocisków na całą szerokość frontu atakujących Posleenów. Dołączyły do nich jeszcze dwa transporterzy i cztery inne moździerze.

Załoga Wozu Trzy wydawała się teraz mniej nerwowa; wreszcie dotarła amunicja i wsparcie. Keren wolałby, żeby pomocnik kierowcy ciężarówki z amunicją odprężyła się nieco albo chociaż odłożyła karabin. Jednak widział, co miała w oczach i wolał nie być pierwszym, który jej to zaproponuje. Zresztą nie potrzebowali aż tak bardzo dodatkowych rąk do pracy.

Żołnierze, którzy pomagali nosić amunicję, nosili odznaki chyba każdego rodzaju sił zbrojnych. Kawaleria, piechota, oddziały wsparcia najróżniejszego typu. Wykonywali swoją pracę tak sprawnie, że pocisków moździerzowych przybywało szybciej, niż lufy były w stanie wystrzelić. Dowodził nimi pułkownik kawalerii, o wyglądzie siedemnastolatka, co oznaczało, że poddano go odmłodzeniu. Kręcił się wokół, wydawał rozkazy i dysponował tak niewiarygodnym zasobem przekleństw, że wielu z nich Keren nigdy do tej pory nie słyszał.

Do oddziału kawalerii przy pomniku przyłączyła się także duża liczba ochotników. Niektórzy mieli po prostu dość uciekania. Mogli umrzeć równie dobrze tutaj. Wielu z nich wyglądało na wściekłych, że walki toczą się właśnie tutaj, w pobliżu pomnika. Niech Posleeni wezmą Wirginię. To żaden problem. Niech wezmą cmentarz Arlington. Trudno, odzyskamy go. Ale pomnik? Nigdy w życiu! Była też spora garstka odmłodzonych żołnierzy. Przyjechali razem i najwyraźniej się znali. Teraz wyciągano z ukrycia każdego żołnierza, który wykazywał choć odrobinę woli walki.

Keren widział, jak wielu żołnierzy ucieka z Mall. Miasto namiotów prawie zupełnie opustoszało. Większości starych mieszkańców także już nie było.

Ale ci, co pozostali, pomagali żołnierzom. Kiedy przyjechała ciężarówka z amunicją, zaroił się wokół niej ochotnicy; zrzucali skrzynie pocisków kaliber. 50 do karabinów maszynowych na transporterach i drobniejszą amunicję, którą zanosili na pozycje piechoty.

Piechota tymczasem szykowała kurtynę ognia. Co najmniej sześciuset żołnierzy wczółgało się na nasyp i strzelało do nadchodzących Posleenów. Czasem pocisk hiperszybki albo rykoszet tworzyły wyrwę w ich szeregach, ale natychmiast podczołgiwali się nowi ochotnicy i zajmowali opuszczone stanowiska.

To nic, że większość uciekła. Ale wielu pozostało. I koniki będą musiały przejść po ich trupach.

\* \* \*

– Sierzancie, nie obchodzi mnie, że jesteście z Floty. Dla mnie możecie mieć rozkazy nawet od samego Boga. Prędzej zginę niż tam wrócę. Nie mamy szans zwyciężyć, a ja nie będę zgrywał się na bohatera.

Zmęczony i brudny porucznik był ostatnim ocalałym oficerem w kompanii kawalerii. Dowodził już tylko niecałym plutonem abramsów.

Pappas zastanowił się przez chwilę.

– Poruczniku, potrzebne mi pańskie czołgi przy Watergate. Kieruję tam część batalionu piechoty i naprawdę bardzo potrzebuję pańskiego wsparcia.

– Nie, kurwa, nie – warknął porucznik, zmęczony kłótnią z nieustępliwym podoficerem.

Ten bezczelny drań z Floty naciskał na niego już od blisko godziny, zanim jeszcze kucyki przeszły przez rzekę. Gdyby tak się nie stało, może mógłby tu zostać, ale w obecnej sytuacji nie było ku temu powodu. Najmniejszego powodu. Żadna siła na Ziemi nie może zatrzymać fali Posleenów, kiedy przeszli już Potomac.

Oficer kopnął w krawędź wjazdu.

– Wynocha z mojego pojazdu – warknął i przełączył się na interkom. – Pauls, ruszamy.

Abrams ruszył wzdłuż Mall na wschód, w stronę Kapitolu, a pozostałe trzy czołgi także zaczęły oddalać się od rejonu walk wokół mostu Arlington.

Pappas westchnął i pochylił się do przodu. Swoimi stalowymi palcami ściągnął hełm z głowy broniącego się porucznika i przyciągnął go do siebie. Szarpiący się żołnierz zrozumiał, że walka z nim nie ma żadnego sensu.

– Przekąźnik, tryb szeptania – powiedział spokojnie Pappas i zwrócił się do porucznika. – Zawróć pluton albo wycisnę ci mózg z tej durnej pały. Dosłownie. – Położył dłoń na głowie oficera i nacisnął z odpowiednią siłą.

Oficer aż jęknął z bólu. Czuł się tak, jakby za chwilę miały mu wypłynąć oczy.

– Nie możesz tego zrobić! – krzyknął.

Uderzył piszczelem we wskaźnik termiczny, ale ze strachu nawet nie poczuł najmniejszego bólu.

Pappas zmarszczył brwi i wywlókł oficera z czołgu.

– Przekąźnik, prześlij do wszystkich jednostek czołgowych. Do wszystkich jednostek. Zatrzymajcie się. Musimy pogadać. – Czołgi nadal jednak jechały na wschód, coraz bardziej przyspieszając. – Przekąźnik, czy wiadomość dotarła do wszystkich?

– Wszystkie czołgi mają włączone radiostacje i są przełączone na interkom.

– Racja – rzucił Pappas.

Wyciągnął rolkę taśmy izolacyjnej i przywiązał daremnie protestującego oficera do wieży. Potem przeszedł po czołgu do wjazdu kierowcy i walnął w niego pięścią.

– Otwierać!

Nie było żadnej odpowiedzi, ale Pappas mógłby przysiąc, że słyszy w środku cichą rozmowę.

Nacisnął jakiś przycisk na przedramieniu i spod pachy pancerza wyskoczyło sześćdziesięciocentymetrowe ostrze. Umieszczenie go w tym miejscu było pomysłem Duncana, a rzemieślnicy Indowy z największą przyjemnością podjęli się zainstalowania ostrzy w pancerzach całej kompanii. Teraz monomolekularne, wibrujące ostrze bardzo się przydało. Ciężko pancerz czołgu jak masło.

Po chwili Pappas wyciągnął z wnętrza pozostałych żołnierzy plutonu i kazał im stanąć w szeregu na baczność. Dwóch było posiniaczonych, a jeden miał złamaną rękę. Działonowy wymagał poważnej opieki lekarskiej. Ale większość wciąż była na chodzie.

– Próbowałem to zrobić inaczej, po dobroci – powiedział grobowym głosem. – Zgodnie z Jednolitym Wojskowym Kodeksem Karnym oraz Federacyjnymi Procedurami Postępowania Wojennego, wasza jednostka jest winna dezercji w obliczu wroga i życie każdego z was jest teraz w moich rękach.

Urwał i spojrzął na żołnierzy. Nie wierzyli mu.

– Otrzymaliście rozkaz od podoficera Sił Uderzeniowych Floty.

Wasze przewinienie podpada więc pod prawo Federacji. – Znowu urwał i zniżył głos. – A to oznacza, że trafiliście do piekła.

Podszedł do związanego porucznika i złapał go za tył głowy.

– Ten oficer zignorował mój bezpośredni rozkaz. Ponosi najcięższą odpowiedzialność.

Pappas zacisnął pięść i czaszka oficera eksplodowała. Ciało porucznika wylądowało u stóp stojących w szeregu żołnierzy, a jego krew ochlapała ich ubrania. Większość z nich wyglądała na oszołomionych, kilku najwyraźniej się ucieszyło. Po chwili niektórzy zaczęli wymiotować.

– Chcę, żebyście dobrze mnie zrozumieli – warknął Pappas. – Posłeeni być może was zabiją. Ale jeśli jeszcze raz spróbujecie uciec, ja zabiję was na pewno.

Pappas uniósł swoje M-300 i strzelił ponad głowami plutonu.

Impet relatywistycznych pocisków w kształcie kropli zerwał fragment budynku Longworth i spnął gruzem po całej ulicy.

– Ta broń jest w stanie przestrzelić wasze pieprzone puszki nawet z dużej odległości. Więc powinniście bardziej bać się mnie, niż wroga.

\* \* \*

– Moździerze, są na Siedemnastej Ulicy i rozdzielają się – powiedział spokojny głos przez radio.

Keren widział gościa co jakiś czas: wyciągał rannych lub zabitych, dowodził ochotnikami, a nawet udzielał im lekcji strzelania.

I nawet teraz nie wydawał się ani trochę zdenerwowany.

– Czy możecie nam dać więcej wsparcia ogniowego, odbiór? – Głos był młody, ale brzmiała w nim pewność siebie doświadczonego żołnierza. Znowu ktoś odmłodzony.

– Nie możemy – odpowiedział Keren przez radiostację w Wozie Trzy.

Krew sączyła się z bąbli na jego dłoni. Załoga Wozu Trzy wreszcie prysnęła, ale nie miało to znaczenia. Amunicję podawał teraz tłum ochotników. Keren miał do pomocy gamoniowatego działonowego, który co chwila upuszczał pociski. I dwie laski z łączności, które ładowały do lufy granaty, oraz kilkunastu mężczyzn i parę kobiet.

– Sprawdziłem wszystkie częstotliwości artylerii. Nikogo nie ma.

Nawet centrum kontroli ognia pięćdziesiątej dywizji. Pewnie dranie pouciekali.

– No cóż – powiedział rozmówca nieco zrezygnowanym tonem – kiedyś przecież trzeba umrzeć.

Keren zmienił ustawienie lufy i skrócił korbą jego zasięg.

– Chyba nadszedł czas.

– Tak – odpowiedział rozmówca po drugiej stronie. – Cóż, zawsze sobie mówiłem, że każdy dzień po Chosin jest jednym z tych, których miałem nie dożyć. Dzięki za wsparcie, Moździerze, bez odbioru.

\* \* \*

Mike musiał podjąć kilka ważnych decyzji. Kiedy batalion wszedł na Dwunastą Ulicę, nadal jeszcze się wahał. Wreszcie dokonał wyboru.

– Duncan!

– Jesteśmy gotowi!

– Mam pytanie: jaką chcecie melodię?

Strzały z odległego pomnika ustały. Może żołnierze myślą, że są już zgubieni.

– Co?!

– Pomyślałem o „Jeździe Walkirii”.

– Co?!

– Czy raczej zgodnie z tradycją?

– Jaką tradycją?... Aha.

– No tak, rozumiem. Tradycja wygrywa. Szkoda. To taka wagnerowska chwila.

\* \* \*

Keren podniósł wzrok, rozgniewany, że żołnierz podający mu pociski zamarł w bezruchu. Kiedy zobaczył jego rozdziawioną gębę, sam także obejrzał się do tyłu. Dolatująca z oddali melodia była mu znana. Najpierw za żadne skarby świata nie mógł sobie przypomnieć, gdzie ją słyszał. Ale po chwili, kiedy zbliżająca się jednostka zaczęła śpiewać, przypomniał sobie i zaczął się śmiać do rozpuku.

\* \* \*

Pułkownik Cutprice także się roześmiał. Czasem, kiedy człowiek myśli, że już przegrał, życie podaje mu asa. Jego radość udzieliła się wszystkim weteranom. Młodzi strzelcy obserwowali ich, nie rozumiejąc, o co w tym wszystkim chodzi. Znali tę melodię ze szkolenia podstawowego, ale jej znaczenie pozostawało dla nich zagadką. Za to weterani najwyraźniej pojęli, w czym rzecz.

\* \* \*

Przy wtórze „Yellow Ribbon”, hymnu kawalerii Stanów Zjednoczonych, mężczyźni i kobiety z pierwszego batalionu pięćset pięćdziesiątego piątego pułku piechoty mobilnej „Triple-Nickles” zaczęli zajmować pozycje.

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 11:16 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

Teri Nightingale nie była zadowolona z planu kapitana O'Neala.

Wiązał się z niepotrzebnym ryzykiem. Pozostawiał kompanię Bravo z odsłoniętym skrzydłem. Ryzyko było widoczne nawet dla ślepeca, ale nie dla największego na świecie eksperta od taktyki pancerzy wspomaganych, pomyślała z sarkazmem.

Wysyłał też Erniego na pewną śmierć. Powstrzymanie wojsk przekraczających most kilkoma żołnierzami piechoty i tchórzliwymi załogami paru czołgów nie może się udać. To miała być rzeź. A to oznaczało śmierć Erniego Pappasa.

Nie była zadowolona z ich związku. Właściwie nie zamierzała iść z Ernie'm do łóżka. Ale potem, kiedy kapitan powierzył ją pappasowi, naszła ją ochota z nim poplirtować. Dobra ocena podoficera poprawiłaby jej notowania u kapitana.

Ale flirt szybko przerodził się w coś więcej. Teraz nie była pewna, czy może zakończyć ten związek, nie wywołując skutku dokładnie odwrotnego od zamierzonego. I chociaż nie przyznawała się sama przed samą sobą, to jednak uznała, że tylko śmierć sierżanta Pappasa pozwoliłaby jej się uwolnić.

Równie dobrze może sama zginąć. Po raz pierwszy poważnie żałowała przejścia z wywiadu do piechoty. Siedzenie w wywiadzie oznaczało wprawdzie wolniejszy awans, ale za to w siłach zbrojnych było za duże ryzyko śmierci. Aż do dzisiaj nie zdawała sobie z tego sprawy.

Kompania szła w standardowym tempie przez New York Avenue. Ufny w siły swojej kompanii i zapewniony przez sierżanta, że drugi oficer doskonale sobie poradzi, kapitan O'Neal przydzielił Bravo najtrudniejszą misję. Plan zakładał przejście przez cały Waszyngton i zaatakowanie wojsk Posleenów z boku. Pozostawiał ich też na otwartej pozycji, bez wsparcia reszty kompanii batalionu.

Naprawdę mogły ich czekać kłopoty.

Podeszli na tyły Białego Domu. Porucznik Fallon wysłał swojego zwiadowcę daleko do przodu, ponieważ biegli bez osłony bocznych skrzydeł i łatwo mogli wpaść w zasadzkę.

– Poruczniku Fallon – powiedziała drugi oficer, starając się panować nad głosem – proszę zatrzymać się na skrzyżowaniu New York i Piętnastej Ulicy. Nie podoba mi się ten bieg w kierunku wroga. Musimy wysłać zwiadowców.

– Ma'am, nie możemy się zatrzymywać, mamy opóźnienie. Musimy zająć pozycje, żeby wesprzeć atak batalionu.

– Jestem świadoma wymogów planu, poruczniku! Ale jeśli wpadniemy w zasadzkę, to też nie pomożemy batalionowi!

– Tak jest, ma'am – mruknął oficer.

Kompania zatrzymała się w otwartym terenie na wschód od Skarbca. Jednostka utworzyła formację taktyczną: pancerze w odległości dwudziestu metrów od siebie, broń wycelowana we wszystkie strony. Gdyby jakakolwiek posleńska jednostka ich zaatakowała, skończyłaby jako tosty.

\* \* \*

Wilson poprawił karabin grawitacyjny, żeby snajper celował po właściwej osi, i podszedł do Stewarta, który stał obok i wybijał rytm nogą. Pochylił się do dowódcy drużyny i nastawił komunikator na kanał prywatny.



– Manuel, nie powinniśmy się tu zatrzymywać – syknął.

Stewart nawet go nie upomniał za użycie jego prawdziwego imienia. Imię i nazwisko James Stewart było komedią, którą gangowi udało się utrzymać w tajemnicy przed wszystkimi, oprócz starszego sierżanta. Ale teraz bardziej martwił się pierdolnikiem, w jaki wepchnięto ich kompanię, niż utrzymywaniem swojego dawnego życia w tajemnicy.

– No, rusz się!

– A co niby miałbym zrobić? – zapytał zirytowany. – Zdjąć drugiego oficera?

Odpowiedzią była grobowa cisza.

– Myślisz, że Rogers i Fallon przymkną oko, jak zastrzelimy Nightingale? To zły, zły i jeszcze raz zły pomysł.

– Dobra – ustąpił były kumpel z gangu, – To co, u diabła, robimy? Powinniśmy już być na pozycji, a nie siedzieć na tyłku przed Białym Domem!

– Mucho trabajo, stary. Ja to wiem, ty to wiesz i porucznik to wie. Jediną osobą, która nie ma o tym pojęcia, jest pieprzona Nightingale. Więc kiedy staruszek dowie się, co się dzieje, skopie jej tyłek i zajmie się tym. Noproblemo.

– Jasne, Jim – rzucił Wilson – dla nas to żaden problem. Ale reszta batalionu skończy nabita na pal.

Stewart uśmiechnął się.

– No proszę, Juan, myślałem, że obchodzi cię tylko gang!

– No – Wilson spojrzał na widoczny po drugiej stronie ulicy symbol ich kraju – może uważam, że to tak samo moja ziemia, jak kogokolwiek innego. A wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli będziemy stać w miejscu, prędzej czy później dopadną nas te cholerne Czarne Stopy!

\* \* \*

Atalanara uczestniczył w przeprawie Kenalluriala przez Potomac. W przeciwieństwie do większości innych Kessentaiów, pogrupował oolt gotowych do przejścia. Wojsko pokonało więc rzekę we względnym porządku.

Jako bardzo młody mistrz bitewny nie chciał ścierać się z dobrze przygotowanymi oddziałami. Jego pierwszy marsz na północ wzdłuż wielkiej rzeki został powstrzymany przez ostrzał thresh z okopów wokół dużego kompleksu budynków. I chociaż sam kompleks zachęcał do ataku, Atalanara wątpił w możliwość zepchnięcia wojsk thresh z ich pozycji.

Skręcił w boczną uliczkę i posłał zespoły oolt'os do budynków wzdłuż drogi. Nie znaleźli niczego wartościowego. W niektórych budynkach znajdował się wysokiej klasy sprzęt, ale nigdzie nie było ciężkich metali, oczyszczonych chemikaliów ani urządzeń produkcyjnych, których pragnął. Sieć prawdopodobnie oddałaby takie skarby temu, kto je znalazł. A to pozwoliłoby mu wyposażyć jego oolt w lepszą broń.

Threshkreen już i tak mu w tym pomogli. Oolt opuścili lądownik wyposażeni jedynie w najtańsze strzelby i kilka wyrzutni rakiet.

Tenor, na którym rozpoczął najazd, miał tylko jeden trzymilimetrowy karabin magnetyczny.

Teraz tenar był wyposażony w gigawatowy laser i nowy zestaw czujników, a jego wojownicy dysponowali wspaniałym uzbrojeniem: dużą liczbą wyrzutni pocisków hiperszybkich i karabinami magnetycznymi. To prawda, że większość z nich miała kaliber 1 mm, a nie 3 mm. Ale było też kilka dział plazmowych, które to rekompensowały. W jego oolt nie było już ani jednej strzelby, a on sam był uzbrojony jak niejeden starszy mistrz bitewny.

Mapa, której używał Kenallurial, wskazywała, że gdzieś w pobliżu znajduje się Skarbiec. To na

pewno zdobycz warta walki.

\* \* \*

– Dobra – odezwała się Nightingale na kanale dowódcy – wiem, że się zastanawiacie, dlaczego zatrzymaliśmy się. Po prostu nie podoba mi się bieganie po okolicy bez zwiadowców. Nie wiemy, co tam jest, i mogą nas w każdej chwili zaatakować.

– W takim razie – powiedział ze złością porucznik Rogers – tym bardziej powinniśmy się ruszać, a nie stać w miejscu. Nie wiem, czy pani zauważyła, ale reszta batalionu zaraz zaatakuje wroga.

I oczekują, że my uderzymy na niego z boku! Nie możemy siedzieć na tyłku i nawet nie kiwnąć palcem!

– Uważaj, co mówisz – warknęła Nightingale. – Rozumiem wasze obawy, ale plan jest niekompletny. – Urwała na chwilę. – Nie mamy raportów o rozmieszczeniu jednostek wroga.

– Ma’am – powiedziała sierżant Bogdanowicz – to jest piechota.

My zawsze zbieramy takie dane w najmniej miły sposób. Ale tu nie chodzi o wywiad, tylko o atak. Musimy ruszać.

– Ruszymy, kiedy będę gotowa – powiedziała ze złością Nightingale. – I ani chwili wcześniej!

\* \* \*

– Szefie – powiedział Arnold na bocznym kanale.

– Tak – westchnął O’Neal – widzę.

Bravo zatrzymała się na skrzyżowaniu New York Avenue i Piętnastej Ulicy. Nie było to miejsce, w którym on zorganizowałby zebranie przez bitwą. Postój od biedy miałby sens, ale pod warunkiem, że niedługo by ruszyli. Ale oni tego nie robili.

Batalion oczyścił już Mall i przygotowywał się do przekroczenia Piętnastej Ulicy. Nakazał jednostce bieg. Kiedy pokonali Piętnastą Ulicę, kompania Alfa poszła w rozsypkę. Skraj kompanii wszedł już w zasięg broni Wszechwładców i na skraju nasypu czekało ich prawdziwe piekło. Trzeba było zmusić Nightingale do marszu. I to szybko.

– Gunny!

– Tak, sir? – zgłosił się starszy sierżant. Był niedaleko Bravo, w kompanii plutonu czołgów. – Mam w miarę sprawny batalion, gotowy do wymarszu pod Watergate. Posleeni trochę nas drasnęli, ale poradzimy sobie. Są jeszcze inne oddziały, które mogą do nas dołączyć. Jeśli dostaniemy wsparcie artylerii i nie natkniemy się na zbyt wielu złych chłopców, powinno się nam udać.

– To świetnie – powiedział szybko Mike – tylko że jest jeden problem. Zobacz, gdzie jest teraz Bravo.

Mike zaczekał chwilę i zaśmiał się cicho z przekleństw, które przekaźnik wiernie mu przesłał.

– Przykro mi, szefie – odezwał się sierżant.

– Masz jakiś pomysł?

Mike był wściekły. Na Pappasie zawsze można było polegać, jeśli chodziło o ocenę podkomendnych. W przypadku Nightingale najwyraźniej jednak się pomylił i Mike zaczął podejrzewać, dlaczego.

Pappas szybko przemyślał całą sytuację. Próba przekonania Nightingale przez radio byłaby tylko stratą czasu. Rozumiał tak samo dobrze jak stary, że ogarnął ją strach. Pozostało tylko jedno wyjście, chociaż bolesne ze względów osobistych.

– Proszę ją zwolnić, sir – powiedział. – Niech Rogers przejmie dowództwo. Jeśli zaatakują ich

Posleeni, będzie pan miał cholerny problem z ruszeniem ich dalej.

– Zgoda, bez odbioru – powiedział chłodno O’Neal.

Pappas wiedział, że w najbliższej przyszłości ten mały mięśniak skopie mu dupę. Ale tylko jeśli przeżyją zbliżającą się bitwę.

Atalanara był prawie na miejscu. Teraz musiał już tylko przejąć Skarbiec. Jeśli mu się to uda, będzie ustawiony na całą wieczność; skarbiec tak bogatego narodu na pewno pęka w szwach. Kiedy minął zasłaniające widok stare biuro Administracji, jego oczom ukazał się długo poszukiwany budynek. I oolt metalowych threshkreen.

\* \* \*

– Posleeni! – wrzasnął szeregowiec z pierwszego plutonu i posłał w kierunku wrogiej kompanii strumień relatywistycznych pocisków w kształcie kropli.

Nightingale spojrzała na odczyty.

– Może nam się uda. – Złączyła palce w rękawicach i zastanowiła się przez chwilę. – Pierwszy pluton, okopcie się i przygotujcie bazę ognia. Drugi, odbijcie w prawo i przygotujcie się do ataku na skrzydło wroga. Trzeci, przygotujcie się na wzmocnienie pierwszego plutonu. Moździerze...

– Nie, nie, nie! – krzyknął Stewart na kanale dowodzenia. – Skopać im dupę i nie cackać się z nimi! Wróg rozpieprzy nam zaraz batalion, bo nie jesteśmy na właściwej pozycji!

– Stewart – warknęła pani porucznik – jeszcze jedno słowo i oddam cię pod sąd wojenny!

– On ma rację, Nightingale – włączył się do rozmowy Rogers, po czym otworzył ogień do Posleenów.

Wróg zmierzał właśnie do budynku Administracji i zawzięcie strzelał. Ale jego opór można byłoby przełamać przy minimalnych stratach, gdyby tylko ta suka z wywiadu przestała im przeszkadzać.

Dał upust swojej frustracji, przesyłając plutonowi kod rozpoczęcia ataku granatami.

Małe granaty z ładunkiem antymaterii roztrzaskały wszystkie szyby w budynku, a potem wśród jasnych rozbłysków runął cały przód budowli. Ale posleński ostrzał mimo to wcale nie zelżał.

– Wstrzymać ogień z granatników! – wrzasnęła Nightingale, przerażona zniszczeniami. W końcu, na litość Boską, budynek stoi na gruncie Białego Domu i skutki tego mogą być katastrofalne.

– Nightingale – odezwał się O’Neal, zagłuszając otwarty kanał kompanii – jesteś zwolniona. Idź natychmiast do kontenerów towarowych i pozostań tam do czasu otrzymania dalszych instrukcji.

Poruczniku Rogers, przejmuje pan dowodzenie taktyczne. Proszę natychmiast przeprowadzić pluton na Dziewiętnastą Ulicę. Ma pan trzy minuty na zakończenie manewru. Jeśli napotka pan opór, proszę się przebić. Skopać im dupę, nie cackać się z nimi! – skończył, przedrzeźniając swojego najmłodszego dowódcę drużyny.

– Tak jest, sir – odpowiedział nowy dowódca. – Kompania Bravo! Za mną!

Skierował broń grawitacyjną i moździerze na budynek osłaniający Posleenów, po czym otworzył kaskadę ognia i ruszył. Zanim dotarł do Placu Lafayette, rozwinął pełny bieg, przyspieszając do ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę.

\* \* \*

Stewart był tuż za nim wraz z porucznikiem Fallonem, a reszta kompanii biegła za nimi. Rozpętany przez nich huragan zniszczenia odłupał północny szczyt gotyckiej budowli, zasypując centaury gradem gruzu. W połowie drogi Stewart zdał sobie sprawę, że wykonanie skrętu przed samym budynkiem będzie niebezpieczne. Jeśli skręcą w lewo, wejdą prosto pod ostrzał Posleenów.

Jeśli natomiast skręca w prawo, będą ich mieć za plecami.

Kiedy dotarli do końca Placu Lafayette, okazało się, że Rogers wcale nie zamierza skręcać.

Pancerz wspomagany dowódcy pędził wprost na budynek z prędkością ponad sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Półtonowy pancerz roztrzaskał betonowo-kamienną ścianę i pozostawił w niej otwór przypominający ludzką sylwetkę, a oficer zniknął we wnętrzu budynku wśród odgłosów zniszczenia.

Śmiejąc się jak szaleńcy, Stewart i porucznik Fallon przygotowali się do powiększenia otworu.

**Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 11:21 letniego czasu wschodniego USA, 11 października 2004**

Mike słuchał tego, co przysyłał mu przekaźnik z pancerza Stewarta, i też się zaśmiał. Tymczasem obie strony formowały szyk.

Posleeni mieli przewagę liczebną, ale ponieważ musieli przejść przez wąski most Arlington, było im trudno zebrać w krótkim czasie odpowiednio silne oddziały, żeby zepchnąć obrońców z ich pozycji.

Ludzie byli w gorszej sytuacji. Większość jednostek dopiero co się pozbierała po generalnej ucieczce. Nie było centralnego dowództwa. Nie było też ważnego powodu, żeby bronić tego miejsca. Nie była to typowa lokacja o znaczeniu strategicznym.

A mimo to żołnierze leżący na nasypie nieustannie strzelali do wroga. Moździerze nieprzerwanie wypluwały pociski, a wspierały ich półcalówki z transporterów. Snajperzy wmieszali się w tłum regularnej piechoty, a oficerowie i podoficerowie krzatali się między żołnierzami, zagrzewając ich do walki, kontrolując ich działania i sprawdzając, czy każdy z nich ma amunicję.

Posleeni posuwali się jednak naprzód. Kompanie na przedzie minęły już basen i dotarły prawie do Siedemnastej Ulicy. Mike był zaskoczony brakiem spodków, ale szybko domyślił się, że Wszechwładcy najwyraźniej zsiadli z nich po to, aby trudniej było ich trafić. Duży oddział nacierał na ich pozycje, ale tak samo liczne albo jeszcze liczniejsze oddziały kłębiły się w rejonie pomnika. Jeśli tylko udałoby im się powstrzymać te siły, z innymi też jakoś mogli sobie poradzić.

Bardzo przydałaby się teraz kompania Bravo. Plan zakładał, że miała nie tylko ostrzelać boczne skrzydła wroga, ale także sprowokować Posleeniów do wejścia na pole śmierci, w jakie O'Neal miał zamiar zamienić przestrzeń wokół pomnika.

Nasyp znalazł się teraz w zasięgu posleenińskiej broni i przyczajone tu oddziały zaczynały ponosić poważnie straty.

\* \* \*

– Naprzód! – krzyknął Kenallai. – Musimy zdobyć ten pomnik!

Nie wiedział, czym jest obelisk, który tak przyciąga threshkreen.

Może to generator mocy albo jakaś inna ważna budowla. W każdym razie był im najwyraźniej niezbędny i on zamierzał go zdobyć.

Z przyjemnością patrzył, jak thresh padają od strzałów z dział plazmowych i karabinów. Jeszcze inni ginęli od zmasowanego ataku hiperszybkich pocisków. Jeszcze chwila, a zajmą ich pozycje.

I wtedy się pożywią.

\* \* \*

Duncan skosztował odrobinę racji żywnościowych z pancerza i skrzywił się. Stary lubi smażony ryż, ale on za nim nie przepada.

Wstukał ostatnie polecenia dla kontroli ognia i rozejrzał się za jakimś miejscem, gdzie mógłby chwilę odpocząć. Zauważył poważnie uszkodzonego suburbaana stojącego samotnie na zrytym trawniku Mall. Podszedł i usiadł, wciąż śledząc wyświetlacze. Wyglądało na to, że bal ma się zaraz rozpocząć. Przez pieprzenie się z Bravo stracili kilka minut, a biedacy na nasypie kilku towarzyszy. Ale żaden plan nigdy nie udaje się w stu procentach. Porównał pozycje Posleeniów z odczytami

i uśmiechnął się. Nie spodoba im się to, co ich za chwilę spotka. Ale za to on z przyjemnością będzie oglądał każdą pieprzoną minutę tego spektaklu.

\* \* \*

Mike się uśmiechnął. Posleeni kierowali się wprost na źródło ostrzału. Byłoby dobrze, gdyby cała armia zebrała się wokół pomnika. Potem trzeba będzie zatrzymać ich tu jak najdłużej i odwrócić ich uwagę od pomocy. Gdyby tylko Bravo mogła teraz wkroczyć do akcji, rozpieprzyliby ich wszystkich, a nie tylko część.

\* \* \*

Stewart wczołgał się na swoją pozycję i westchnął. Z budynku Instytutu Farmacji na rogu Dwudziestej Trzeciej i Constitution roztaczał się wspaniały widok na Potomac i pomnik. Ale teraz widział tam więcej Posleenów, niż chciałby kiedykolwiek oglądać. Pozycja była odsłonięta, i jeśli kapitan schrzanił plan choćby w najmniejszym szczególe, szykowała się dla nich śmiertelna pułapka. Ale było to też najlepsze miejsce do zabijania Posleenów. Stewart czuł, że nie może się już tego doczekać.

Jego drużyna okopywała się teraz na stanowiskach bojowych.

W pobliżu kręciło się kilku wojowników, ale bez swoich Wszechwładców byli łatwym celem i szybko się z nimi uporano. Pancerze dotarły już na miejsce i z włączonymi hologramami mylącymi oczekiwały rozkazu detonacji ładunków wybuchowych.

\* \* \*

Mike zerknął na wyświetlacze i machnął do odmłodzonego pułkownika, który dowodził obroną nasypu. Oficer przekazał strzelcom na zboczach rozkaz odwrotu.

O'Neal uśmiechnął się i wstukał kilka ostatnich poleceń. Wszystko trzeba było idealnie zaplanować, aby nie tylko wygrać tę bitwę, ale na dodatek wygrać ją z klasą.

– Duncan – szepnął – teraz.

I wstał.

\* \* \*

– Thresh w odwrocie! – krzyknął Kenallai i machnął do żołnierzy. – Naprzód! Zająć wzgórze! Nasza armia jest niezwyciężona!

Jakoś w to jednak nie wierzył. Doskonale wiedział, że ich armia jest już zgubiona. Ale im więcej strat mogą zadać thresh, którzy zabrali mu eson'antaia, tym lepiej.

Pierwsze szeregi docierały już do stóp wzgórza, kiedy niebo zahuczało od gromów.

\* \* \*

Nad grzbietem nasypu wznosił się potwór z najgorszych koszmarów. Bestia była smokiem o stu głowach, a każdy wijący się na długiej szyi łeb pluł srebrnym ogniem.

Nacierający Posleeni doznali szoku na widok krwiożerczej zjawy, ale mimo to nie zawrócili. Mieli za sobą dziesiątki tysięcy towarzyszy i wierzyli, że ich siła musi powalić tę bestię. Śmiercionośny oddech potwora wyrzynał ogromne wyrwy w ich fali, ale mimo ognia wciąż parli naprzód.

Walka z metalowymi threshkreen skończyła się klęską, ale największą wściekłość wzbudziło w Atalanarze odkrycie, że w Skarbcu nie ma niczego prócz papierów. Teraz pragnął tylko połączyć

swe siły z jakimś ważniejszym oolfondai.

Kiedy przekroczył Virginia Avenue przy Osiemnastej Ulicy, zaraz przy Mall, jego zestaw czujników ożył.

– Atak artylerii – odezwał się bezbarwny głos. Ten termin był im znany. Oznaczał zniechęconą broń balistyczną thresh. – Cel namierzony, odpalenie. Czterdzieści pocisków.

To raczej dużo. Zaczął rozglądać się po otaczających go budynkach, zastanawiając się, czy nie powinien się ukryć. Czterdzieści pocisków to bardzo dużo.

– Sześćdziesiąt pocisków. Sto dwanaście. Sto dwadzieścia. Sto sześćdziesiąt trzy. Dwieście dwadzieścia cztery. Dwieście pięćdziesiąt osiem. Uderzenie.

\* \* \*

Ostrzał stworzył złożoną strukturalnie zaporę ogniową. Technikę tę rozwinięto podczas pierwszej wojny światowej, w celu uniemożliwienia przeciwnikowi przekraczania pasa ziemi niczyjej. Teraz była ona młotem, zaganiającym Posleenów prosto na kowadło pancerzy wspomaganych.

Duncan miał pełne upoważnienie Dowódcy Armii Kontynentalnej do dysponowania artylerią dwóch dziesiątkowanych korpusów.

Większość stanowiły samobieżne armaty kaliber 155 mm. Pociski z opóźnionym zapłonem i kasetowe zasunęły prawdziwą kurtynę śmierci na Constitution Avenue; najintensywniej spadały na prześwit prowadzący do Watergate.

Zbaczające z głównego kierunku marszu na północ posleńskie siły rozbijały się o tę ścianę śmierci. Nieliczne oddziały, którym udało się przedrzeć, napotykały srebrne błyskawice pancerzy wspomaganych, które zajęły już pozycję na parterze budynku Instytutu Farmacji.

Duncan przeszedł do realizowania następnego etapu zabawy.

Cztery baterie miały utworzyć zaporę dymną i rozciągnąć ją wzdłuż Potomacu, aby uniemożliwić przekraczającym rzekę Posleenom ustalenie, co się dzieje w miejscu najbardziej zaciętych walk. Jednocześnie zaczęto przesuwac zaporę ogniową z północy.

\* \* \*

Kenallai spojrzal na zbliżającą się ścianę stalowego deszczu.

Następnie przeniósł wzrok na wschód, gdzie dziwna bestia walczyła z pierwszymi szeregami jego armii. Stalowy deszcz. Bestia. Stalowy deszcz. Bestia. Jego grzebień uniósł się powoli, aż zupełnie się wyprostował. Spojrzal na Kessentaiów zgromadzonych wokół niego.

– Alrantathu, skieruj swoje oolfondar na prawo. TenaFoncie, ty na lewo. Cała reszta do tyłu razem z moim własnym oolfondar.

Wezwijcie wszystkich Kessentaiów! Wołajcie oolt'os! Na mój sygnał poprowadzimy armię do szturm te'naal, jakiego nikt jeszcze nie widział!

\* \* \*

Mike spodziewał się, że Posleeni ruszą w stronę ich pozycji, a nawet na to liczył. Olbrzymia masa – przekaźnik oszacował jej liczebność na ćwierć miliona – zwróciła się ociężale na wschód i przypuściła zmasowany atak na pomnik, chcąc ująć przed stalowym deszczem. Mike zatrzymał batalion i zaczął pospiesznie wydawać rozkazy.

Porucznik Rogers zaklął siarczyście. Teraz powinna się pojawić kompania Bravo, ale rzeczywistość rozminęła się z oczekiwaniami Starego. Nie był pewien, czy powinien posłuchać

pierwotnych rozkazów, żeby nie strzelać, dopóki wróg nie podejdzie na odległość dwustu metrów od batalionu. Postanowił jednak trzymać się planu.

\* \* \*

– Naprzód! – krzyknął Kenallai, strzelając z działa plazmowego ponad głowami swojego osobistego oolt.

Do jego własnych wojsk dołączyła większość oolf os Ardan'aatha, i teraz wzmocniona kompania szła w pierwszym szeregu szturmu.

Bestia strzelała srebrnym wodospadem, który dziesiątkował ich armię, ale odpowiedź posleeniskich wojsk była równie śmiertelna.

W końcu zbliżyli się do miejsca, z którego ich zmasowany atak mógł spowodować, że straszliwy potwór stanie się tylko ich kolejnym trofeum opiewanym w pieśniach.

\* \* \*

– Jezu Chryste! – krzyknął major Givens i runął w tył pod gradem pocisków karabinów magnetycznych.

Wszechwładcy wmieszali się w tłum posleeniskich oddziałów, skutecznie kryjąc się wśród zwykłych wojowników. To oni celowali w pancerze. Nawet lekkie draśnięcie wystarczało, żeby uszkodzić pancerz, a co dopiero, gdy uderzał w niego grad trzymilimetrowych pocisków karabinowych albo hiperszybkich rakiet.

Dwa razy jakiś Wszechwładca brał na cel kapitana O'Neala, ale w obu przypadkach udało mu się uniknąć ich pocisków.

Zdawało się, że niewielki pancerz jest wszędzie. Gdzie tylko jakaś drużyna została osłabiona przez wrogi ostrzał, on natychmiast się tam pojawiał, kierując ogniem i wzywając wsparcie.

Givens zdał sobie sprawę, że za długo leży bezczynnie, i zaczął działać. Nawet formalny dowódca batalionu zwijał się pod batem małego hobgoblina.

\* \* \*

– Dlaczego się nie okopują?! – krzyknęła porucznik Nightingale. Odłożyła hełm i śledziła przebieg bitwy na generowanym przez komputer hologramie. – Ten sadystyczny mały drań ich wykończy!

– Teri, musisz zrozumieć – rzucił Pappas przez sieć komunikacyjną – że jeśli się schowają, zniszczy to iluzję. Posleeni wierzą, że walczą ze smokiem. Kiedy tylko zwabi jak najwięcej z nich do strefy śmierci, zagrzebią się w ziemi. Ale na razie dobrze wykonuje swoją misję, mimo że ponosi duże straty.

– To szaleństwo! – krzyknęła. – On wyrzyna batalion... zupełnie niepotrzebnie!

Pappas westchnął cicho i doszedł do wniosku, że nie ma sensu ciągnąć dalej tę bezsensowną kłótnię.

– Poruczniku Nightingale, chyba musi pani poszukać sobie innej pracy. Są pewne sprawy z zakresu strategii wojskowej, których moim zdaniem nigdy pani nie pojmie. – Nacisnął przycisk na pancerzu i przełączył się na prywatny kanał. – Przekażnik, nie chcę więcej rozmawiać z porucznik Nightingale.

– Dobra jest, Gunny – powiedział miły kobiecy głos. Przez krótką chwilę było cicho. – Czy to znaczy, że teraz będę pana częściej widywać?



\* \* \*

Mike przysunął się do szeregowca z kompanii Charlie i wskazał na prawo.

– Skacząca piłeczka jest tam, szeregowy Vargas. Proszę iść za nią.

Pancerz zastosował się do polecenia i odbił w prawo dokładnie w chwili, gdy ostrzał z karabinów przeleciał nad miejscem, gdzie jeszcze przed chwilą rozmawiali.

– Zyg, zyg! Zyg, zyg! – zakpił z wroga Mike i przesłał to do zewnętrznych głośników i na otwarty kanał batalionu.

Potem zaprogramował, aby holograficzna głowa smoka pokazała język szarżującej masie Posleenów.

– A kuku! Jestem tutaj! Łapcie mnie! – zakpił znowu i tym razem polecił systemowi przetłumaczyć to na posleeński.

Kiedy ostrzał całej bez mała dywizji centaurów skierował się w jego stronę, rzucił parę granatów i usunął się na bok.

– Zyg, zyg! – zaśmiał się, kiedy burza ognia przeszła bokiem.

Zniknęły strach i niepewność, zastrzeżenia i wątpliwości. Owładnęła nim euforia walki. Znów był w swoim żywiole, a co najważniejsze, wybrał wariant zwycięstwa z klasą. Nawet teraz, kiedy atakowała ich rosnąca masa posleeńskiej armii i straty były coraz większe, toczyli walkę w wielkim stylu.

Posleeni podeszli już wystarczająco blisko, żeby pokazać im, że są na świecie rzeczy gorsze niż artyleria.

W przypadku ziemskiego wojska najlepiej było wstrzymać się z pełnym otwarciem ognia, dopóki nie podejdziesz na odległość dwustu metrów. Oddziały wroga miały wtedy wrażenie, że mają szansę zająć pozycję przeciwników, i szarżowały mimo najgorszej nawet burzy pocisków.

W przypadku Posleenów tego magicznego dystansu nie można było tak łatwo określić.

Postanowił więc zdać się na muzykę. Rozpoczęli bitwę przy dźwiękach „Immigrant Song” Led Zeppelin w tle. Słuchanie tej właśnie melodii stało się od czasu Diess tradycją jednostek pancerzy wspomaganych. Melodia przeszła następnie w dźwięki „Paint it Black” Rolling Stonesów. Ale to niezupełnie było to, na co czekał.

Kiedy rozległa się kolejna piosenka, uśmiechnął się złowrogo.

– Poruczniku Rogers – szepnął przez sieć komunikacyjną i przesunął się w kierunku wybranej wcześniej pozycji.

– Tak, sir – zgłosił się dowódca kompanii.

– Proszę się przygotować na ostrzał ze skrzydła na mój znak.

– Tak jest, sir.

Mike nacisnął wirtualne ikony, które unosiły się w powietrzu na wysokości jego twarzy. Przekazniki przyjęły polecenie, przeanalizowały aktualną sytuację i przygotowały rozkaz natarcia dla wszystkich żołnierzy w batalionie.

– Wykonać – szepnął, kiedy w głośnikach rozległy się pierwsze takty „Mob Rules” Black Sabbath.

\* \* \*

Masa posleeńskich wojowników zbliżała się do bestii. Mimo potężnego ostrzału i straszliwych strat, oddziały przeszły przez najgorszy ogień. Za chwilę miały położyć bestię trupem i ruszyć po łupy. Byli już tak blisko, że nic nie mogło ich powstrzymać. Niektóre głowy smoka już padły, a ich ogień wygasł. Reszta padnie już wkrótce. Kiedy jednak armia zbliżyła się nieco bardziej, wszystko

się zmieniło.

Na oczach Posleenów potwór zmienił się w oolfondar thresh w metalowych szatach. Thresh byli widoczni tylko przez chwilę, gdyż zniknęli w wykopanych wcześniej dołach tak szybko, jak się pojawili. Po chwili z dołów wysunęły się działa.

Ale ten straszny widok był niczym w porównaniu z tym, co ich jeszcze czekało.

\* \* \*

– Kompania Bravo, ognia – powiedział cicho oficer.

Trzy kompanie batalionu utrzymywały pozycje na trzech bokach kwadratu. Każdy pancernik był w stanie utrzymać ciągły strumień ognia przez trzydzieści minut, zasilany wyłącznie własnym zapasem amunicji. Kiedy oddział pancerników napotykał oddział Posleenów twarzą w twarz, klasyczną metodą postępowania był ostrzał frontalny. Przesuwające się strumienie ostrzału zmywały tysiące Posleenów z powierzchni ziemi jak woda z węży strażackich.

Jednak w obecnej sytuacji aż prosiło się o użycie ostrzału ze skrzydła. Strzelając z karabinów grawitacyjnych na wprost, na wysokości kolan, każdy żołnierz tworzył „promień” śmierci. Posleen, który dotknął takiego promienia, ginął. A ogień trzech kompanii był przepieczony.

Kiedy promienie kompanii Bravo wystrzeliły naprzód, zaczęły masakrować Posleenów tysiącami, przebijając się aż do samego wnętrza hordy. Teren był zupełnie płaski i centaury nie miały gdzie się ukryć. Ucieczka w kierunku pomnika oznaczała przecięcie strumieni ognia kompanii Bravo, a zawrócenie w jej kierunku groziło dostaniem się pod śmiertcionośną kurtynę wciąż padającego stalowego deszczu.

I wtedy kompanie zaczęły poszerzać swoje promienie ognia.

\* \* \*

To nie strzał ze straszliwej broni threshkreen powalił Kenallaia na ziemię. Gdyby tak było, umarłby na miejscu. Potworna broń threshkreen rozrywała bowiem oolfos i kessentaiów nawet pojedynczym trafieniem. Ciało wybuchało przy najlżejszym dotyku strumieni ognia.

Położyła go kula z jego własnych oddziałów, kiedy to jedna z tych potwornych wiązek ugodziła w karabin jego strażnika i spowodowała wybuch, który złamał mu kark i pogrzebał pod rozdartym na strzępy Po’oslana’ar.

Jego osobiste oolt i Kessentai jego oolfondar walczyli na śmierć i życie. Padł waleczny, zwinny i zawzięty Alltandai. Zginęli Kenallurial i Ardan’aath.

Mistrz bitewny obracał głowę z boku na bok i patrzył na stosy poległych. Nie mógł się podnieść. Stało się tak, jak przewidywał.

Armia jest zgubiona. Thresh ją zniszczą. Dobrze, że nie będzie musiał tego oglądać. Dziwne, robiło się ciemno.

Słyszał w mroku przytłumione głosy starszych i piskląt, i radosne dźwięki biesiady. Ale on, leżąc pod stosem ciał, był bezpieczny.

Dziś w nocy pożywią się kimś innym.

\* \* \*

Piętrzące się ciała centaurów zaczęły wreszcie przesłaniać batalionowi widok.

– Na nich! – krzyknął Mike i sam wyskoczył ze swojej dziury w ziemi. Zaznaczył na mapie taktycznej kolejny punkt, do którego miał się przemieścić batalion.

– Ruszamy na Siedemnastą Ulicę w szyku bojowym i z ciągłym ostrzałem pozycji wroga. Duncan, potrzebujemy ruchomej zapory.

Posleńskie wojska nie stanowiły już zagrożenia. Niedobitki uciekły do śmiertelnej pułapki i batalion bardzo rzadko musiał strzelać podczas marszu.

Wartość bojowa pancerzy została wreszcie udowodniona. Ich ostrzał mógł zlikwidować batalion konwencjonalnej piechoty, a nawet czołgów. Natomiast sam pancerz przebijały tylko trzymilimetrowe pociski karabinów, i to jeśli trafiły idealnie w cel; pociski ze strzelb i jednomilimetrowych karabinów nie stanowiły dla nich żadnego zagrożenia. Czasem tylko hiperszybka rakietka albo ładunek plazmy z działa Wszechwładcy zdejmowały jakiegoś pechowego żołnierza. Ale posleńskiego dowódcę natychmiast uciszał zmasowany ostrzał pancerzy. Batalion nadal mógł nacierać ponosząc „akceptowalne” straty.

Mike skierował teraz batalion na pozycje bojowe na końcu sadzawki i ostatni raz rozkazał się okopać. Można było rozpocząć końcową fazę bitwy artyleryjskiej.

Trzy kompanie zaczęły prowadzić zmienny ostrzał dróg wylotowych ze śmiertelnej pułapki. Mike rozkazał wykonanie planu ostatecznego uderzenia artyleryjskiego.

\* \* \*

Wyglądało na to, że źli chłopcy nie przejdą już przez wzgórze, więc Keren ruszył na jego szczyt. Dym nad Potomakiem opadał, ale nadal spory kłęb wisiał nad mostem Arlington i pomnikiem. Miejsce bitwy – zielone trawniki, pomniki, wiśniowe drzewa, dobrze znane z filmów i programów telewizyjnych – było teraz zryte od ostrzału i gąsienic czołgów, a wokół unosił się swąd spalenizny i fetor martwych ciał Posleenów.

Keren nie mógł dostrzec ze wzgórza, co dzieje się w śmiertelnej pułapce koło pomnika Lincolna, ale nieprzerwanie słychać było trzaski bomb kasetowych, a przez zasłonę dymną przebijały czerwone rozbłyski wybuchów.

Posleeni, którym obca była koncepcja wewnętrznej łączności, nie wiedzieli, co się dzieje w kłębach gęstego dymu. Dlatego tylko nieliczni się zatrzymywali, ale napierające z tyłu oddziały spychały ich do piekielnego kotła. A tam ostrzał dosłownie ścierał ich na proch.

Pociski z zapalnikami zbliżeniowymi wybuchały w powietrzu, kosząc całe oddziały Posleenów, a zdziesiątkowane siekła grupy amunicja kasetowa. Wszędzie lała się żółta posleńska krew; całymi rzekami ściekała do Potomacu, barwiąc jego brązowe wody na niecodzienny kolor.

Centaury zachowywały się tak, jakby nie zdawały sobie sprawy z zagrożenia. Tysiące, setki tysięcy, miliony przelewały się przez most jak niekończąca się powódź. Tylko nielicznym z nich udawało się przedrzeć przez piekielny kocioł, ale zaraz ginęli pod ostrzałem batalionu. Przecinające się błyskawice wyglądały jak pokaz sztucznych ogni, ale dla Posleenów były to gromy śmierci. Kompania Bravo rozdzieliła się. Połowa wzięła na cel centaury na Mall, podczas gdy pozostali ostrzeliwali teren na północy.

Batalion także się podzielił. Połowa strzelała po południowej stronie pomnika, a reszta po północnej. Posleeni, którzy próbowali uciekać na północ, natykali się na krzyżujące się pola ostrzału kompanii Bravo i Alfa. Ci, którzy uciekali w stronę prowadzącego tu mostu, wpadali pod ostrzał kompanii Charlie.

Tylko garstka niedobitków dotarła do Parku Roosevelta po południowej stronie śmiertelnej pułapki.

Posleńscy wojownicy stłoczeni u wejścia na most Arlington widzieli te zdziesiątkowane resztki hordy. Potem zauważyli zmianę koloru wód rzeki. Na pomoc od mostu wody były brązowe, a na południu żółto-brązowe, poprzecinane żółtymi smugami. Posleeni byli niezbyt rozgarniętym gatunkiem, dlatego jedynie nieliczni – ci najmądrzejsi, którzy potrafili patrzeć, rozumieć i używać

czujników przejętych od dawno już nieobecnych Alld'nt – zawrócili. A głupcy, dla których rzemiosło wojownika było wszystkim, przeszli przez most.

Dlatego tylko nieliczni mądrzy przeżyli. Na razie.

\* \* \*

Mike obserwował rzeź z kamienną twarzą. Rozumiał Posleenów tak, jak rozumiało ich niewielu ludzi. Gdzieś w przeszłości ktoś bawił się ich gatunkiem. I to właśnie te zabawy popchnęły ich w długą drogę, która doprowadziła ich aż na to pole śmierci. Musieli poszukiwać nowych, młodszych światów, które można podbić.

A skoro ich rozumiał, nie potrafił ich nienawidzić. Byli więźniami cyklu, którego sami nie stworzyli. Ale mógł być ekspertem od ich zabijania. Dlatego czuł osobistą satysfakcję z rzezi, która właśnie się dokonywała. Nacisnął przycisk na przekaźniku.

– Daj mi generała Hornera.

– Kapitanie O'Neal – odpowiedział Horner.

Głos generała wydał się Mike'owi bardziej zmęczony niż zwykle. Obydwu im przydałby się odpoczynek.

– Generale, chciałbym zameldować, że zatrzymaliśmy atak przy Potomacu. Kiedy tylko oddziały się przegrupują, możemy zacząć ich wybijać w Wirginii.

– To dobrze, kapitanie – powiedział Jack.

– Co tak oficjalnie, sir? – zażartował Mike. To było wspaniałe uczucie odnieść tak ogromny sukces na oczach swojego mentora. – W porządku, ponieśliśmy duże straty, ale odbijemy to sobie następnym razem...

– Tak, odbijemy sobie, Mike – powiedział Horner. – Kapitanie O'Neal... – zaczął łamiącym się głosem i urwał.

– Jack-powiedział Mike z uśmiechem-już dobrze...

– Nie, Mike, nie jest dobrze. Kapitanie O'Neal, z bólem zawiadamiam, że pańska żona, komandor porucznik Sharon O'Neal, zginęła dzisiaj około piątej nad ranem podczas pełnienia obowiązków służbowych.

– O, szlag! – jęknął Mike, prawie łkając. – O, kurwa!

– Składam kondolencje w imieniu nowego prezydenta.

– Ja pierdołę, Jack!

– Wysłałem wykwalifikowany zespół z wiadomością na farmę. – Horner czekał w ciszy, niepewny, co dzieje się po drugiej stronie. – Mike?

– Tak, sir – odpowiedział kapitan O'Neal bezbarwnym głosem.

– Dobrze się czujesz? Możesz poprosić o urlop, jeśli chcesz.

– Nie, sir. Wszystko będzie dobrze. Nic mi nie będzie.

– Mike...

– Nic mi nie będzie, sir.

– Jeśli jesteś tego pewien...

– Wszystko świetnie, panie generale – powiedział kapitan lodowatym głosem. – Wszystko świetnie.

I rzeczywiście tak było. Było świetnie, kiedy patrzył na bezlitosną rzeź centaurów. Było świetnie, kiedy poprowadził swój batalion jako kowadło dla młota, który ścierał je na proch. Bo kowadło nigdy nie płacze nad żelazem.



**Fredericksburg, Wirginia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 09:26 letniego czasu wschodniego USA, 27 października 2004**

Sensor na wysięgniku był o wiele czulszy, niż detektory na pancerzach wspomaganym, a Minnet w posługiwaniu się nim był mistrzem. Chociaż niewiele mógł wskórać.

Padał zimny, słaby deszcz. Płynąca woda utworzyła wyłobienia w ziemi wokół resztek budynków i chodników, splukując stare kostki brukowe i podmywając trzystuletnie fundamenty – to, co zostało jeszcze z Fredericksburga w Wirginii.

Minnet przeniósł się na kolejny kwadrat na siatce poszukiwań, a druga drużyna ruszyła za nim z karabinami grawitacyjnymi w pogotowiu. Po okolicy wciąż jeszcze kręciły się grupy Posleenów.

Podzielony na niezależne kompanie batalion stacjonował w nienaruszonym Forcie Belvoir, z którego organizował wypadki na wroga. Napotykając Posleenów wzywali artylerię, po czym wyrzynali ocalałych obcych. Jeśli któraś kompania napotykała zbyt duży oddział, łączyła swoje siły z innymi albo wycofywała się do Belvoir.

Dowódca armijnych saperów pracował nad przekształceniem bazy w gigantyczną fortecę. Roboty szły powoli, ubite, ziemne wały zastępowano zbrojonym betonem, ale i tak było nieźle. Kiedy kilkutysięczne stado Posleenów podeszło pod mury zwieńczone gigantycznym, drewnianym symbolem Korpusu Saperów, jego znaczenie dotarło do nich wraz z gradem pocisków artyleryjskich. Na południu to samo robiła brygada jedenastej dywizji piechoty mobilnej. Z podobnymi skutkami.

Zagrożenie ze strony Posleenów zostało więc zminimalizowane.

Nowy prezydent zastanawiał się nawet, czy nie zezwolić ochotnikom na powrót do północnej Wirginii.

Większość uchodźców rozlokowano już w Podmiastach. Olbrzymie, podziemne osiedla wciąż nie były jeszcze w stu procentach ukończone, ale mogły już przyjąć część Wirginijczyków. Ich domy zostały w znacznej mierze zniszczone, a na wielu obszarach nadal istniało niebezpieczeństwo ataku Posleenów. Woleli więc było przyjąć dotację osiedleńczą rządu i zacząć nowe życie, niż oglądać ruiny ich niegdyś pięknych stanów.

To pozostawiono pancerzom wspomaganym. Jak zwykle. Jednostki PW uważnie przeczesywały pola bitwy dziewiątego i dziesiątego korpusu, wbrew zdrowemu rozsądkowi mając nadzieję odszukać kogoś, kto przeżył. Znajdowali jednak tylko buławy wojowników i leżące obok zwłoki. Zazwyczaj nie dało się dociec, jak wyglądało ostatnie starcie zabitego. Największą niespodzianką napotkali w ciągu kilku pierwszych dni poszukiwań. Znaleźli ciała prawie całej kompanii trzeciego pułku i samotnego Wszechwładcy, ułożone w żałobny stos. I aż dwie buławy. Musiało się tu wydarzyć coś niezwykłego, ale nie pozostał przy życiu nikt, kto mógłby tę historię opowiedzieć.

Teraz doszli do centrum. Detektor wykryłby każdego żyjącego człowieka, nieważne, jak okaleczonego, nieważne, jak głęboko pogrzebanego. Ale jak dotąd zawsze wracali z pustymi rękami.

– Hej, panie plutonowy! – zawołał Stewarta Wilson.

Drobny podoficer zbliżył się kilkoma susami. Spojrzał na mapę i pokręcił głową. Powinni teraz stać wewnątrz najstarszego w Ameryce Kościoła Prezbiterian. Zamiast tego wokół roztaczało się pustkowienie. Zobaczyli wystającą z gruzu buławę, na której powiewał jakiś strzęp materiału.

– Co to była za jednostka? – spytał Wilson.

Pytanie było prawdopodobnie retoryczne. Mówili przecież o tym na odprawie. Ale Stewart i tak odpowiedział.

– Saperzy. Batalion lekkiej piechoty.

Wilson zdjął strzep z buławy.

– No, musieli się porządnie odgryzać – powiedział ponuro i wręczył kawałek materiału Stewartowi.

Plutonowy otworzył hełm i nadstawił twarz na krople ulewy. Zimny deszcz do rana miał się przypuszczalnie zamienić w gołoledź.

Ale teraz zadziwiająco dobrze zmywał łyzy. Zakrwawiony strzep materiału był naszywką z munduru oficera saperów.

– Żebyś kurwa wiedział, stary – odparł Stewart zdławionym głosem. Otarł oczy i znowu zapiął hełm. Nanity pospiesznie zabrały się za usuwanie nadmiaru wody. Gdyby były ludźmi, kiwałyby z aprobatą głowami.

– Kontakt! – krzyknął Minnet, obracając się na pięcie. Wyskoczył w powietrze i spadł siedem metrów dalej, na poszarpanym odcinku drogi; cholernie blisko centrum wybuchu bomby paliwowo-powietrznej. Jak cokolwiek mogło tu przeżyć, pozostawało tajemnicą.

Stewart zobaczył kątem oka jakieś poruszenie i zaczął je namierzać, zanim zorientował się, że to kapitan. Oficer wykorzystywał niemal nieograniczoną energię wytwarzaną za przez generator antymaterii w jego pancerzu. Według lidaru Stewarta leciał teraz w kierunku zgłoszonego kontaktu z prędkością ponad czterystu kilometrów na godzinę. Gdyby wszyscy mieli taki sprzęt, wojna byłaby o wiele łatwiejsza.

– Gdzie? – O’Neal wylądował tuż przy taszczącym czujnik szeregowcu.

– Dokładnie pod panem, sir. Dwie osoby. Zahibernowane, jak wskazuje mój czujnik.

Szeregowiec opadł na kolana i zaczął odgarniać beton, asfalt i szkło, która przykrywały znalezisko.

O’Neal położył mu rękę na ramieniu.

– Czekaj.

Wysunął swój monomolekularny nóż bojowy i wbił go w rumowisko. Kilka cięć i po chwili odwalił na bok ogromną bryłę gruzu.

Cała drużyna zanurkowała do środka. Wkrótce dotarli do ceglanego sufitu.

– Co to jest, sir? – spytał Stewart. Kapitan znów zaczął kontaktować. Pierwszego dnia wyglądało to nieciekawie. Ale wydawał się dochodzić do siebie. A nawet, jeśli nie, niewiele mogli na to poradzić.

– Nie wiem – odparł O’Neal, przeglądając bazę danych o Fredericksburgu. – Nie ma tu wzmianki o takich konstrukcjach.

Szybki skan echosondą pozwolił ustalić, że mają pod sobą pojedynczą warstwę cegieł. Mike uniósł się na napędzie antygravitacyjnym i wyciął otwór w suficie.

Szare światło i zimny deszcz padły na dwie pokryte pyłem postacie, mężczyznę, i kobietę. Dwoje młodych cywilów leżało objętych ramionami na materacu z pancerza osobistego. Obok nich, po obu stronach, leżała broń automatyczna. Czujniki potwierdzały, że z niej strzelano.

Mike wzbiał się nad otwór, a drużyna zanurkowała do środka, by wyciągnąć ocalałych. Kapitan parsknął kilka razy, w końcu ryknął śmiechem. Shelly miała dość doświadczenia, by wiedzieć, kiedy mówi do siebie, więc nikt nie usłyszał jego rechotu ani słów, które padły zaraz potem.

– Biedne posleeńskie bydlaki.

\* \* \*

– Kontakt! – krzyknął inny operator czujnika, bliżej rzeki. – Duży!

Tym razem był to betonowy bunkier. Mike zastanawiał się, w jaki sposób saperom udało się go zbudować podczas bitwy, ale szybkie oględziny wykazały, że była to znacznie starsza konstrukcja.

Chociaż trudno było stwierdzić, jaka konkretnie.

– Co my tu mamy? – spytał Pappas i kopnął ścianę betonowego szkaradzieństwa.

– Dużo sygnałów – odpowiedział poszukiwacz. – Wszyscy zahibernowani, jak sędzę. Jeśli ktoś jest przytomny, to sygnał i tak gubi się w masie pozostałych.

– Ilu ich jest? – warknął Mike.

– Nie wiem, sir. Dużo.

Ampele wyjął przecinak i złapał za wystający róg budowli. Stał po kolana w podnoszącej się wodzie rzeki, ale wydawał się tego nie zauważać. Po trzech cięciach w grubej betonowej ścianie powstał spory otwór. Ampele podniósł głowę, żeby zajrzeć do środka, i dostał w twarz ładunek śrutu ze strzelby.

Wystrzał, dla pancerza równie groźny, co komar, nawet nie przestraszył flegmatycznego Hawajczyka, ale żołnierz na wszelki wypadek przywarł do ziemi. Lepiej było pozwolić ludziom w środku zdać sobie sprawę, do kogo strzelili.

Mike uniósł się na kompensatorach grawitacji i podleciał do otworu.

– Jestem kapitan Michael O’Neal z piechoty mobilnej. Jesteśmy przyjaciółmi.

Uniósł się wyżej, aż znalazł się dokładnie na wprost dziury.

W środku stała kobieta ubrana w coś, co najwyraźniej było brudnym fartuchem kelnerki. Miała tłuste, pozlepiane jasne włosy i oszalałe spojrzenie. Mike sam był kiedyś uwięziony pod budynkiem, więc doskonale mógł wczuć się w stan jej umysłu; jeszcze do tej pory bał się ciemności. Nigdy potem nie mógł się zdecydować, czy zdjęcie hełmu było więc gestem genialnym, czy idiotycznym.

Kobieta zobaczyła ludzką twarz i wybuchnęła płaczem. Mike zajrzał do środka i niemal odskoczył z przerażenia. Pomieszczenie było pełne ciał, na pierwszy rzut oka trupów czy nawet wampirów.

Ich skóra była woskowata, wargi napęczniałe i wydęte, a oczy otwarte i szkliste. Ale taki sam efekt wywoływała hibernyna. Mike po prostu nigdy jeszcze nie widział tylu zahibernowanych ludzi, ułożonych jeden obok drugiego i zamkniętych w takim grobowcu.

– Jest pani sama? – spytał z troską.

Odpowiedzią był kolejny wybuch płaczu, kobieta jednak wzięła go za rękę i przeszła przez otwór.

– Ja ja... – zaczęła się jąkać. W końcu się opanowała. – Była ze mną... strażak. Ale nie mogła znieść zamknięcia... Musiałam... ją...

– Uśpić – powiedział Mike.

Pokręcił zdumiony głową. Siła to dziwaczna cecha. Tak jak nadzieja, kiełkuje w najdziwniejszych miejscach.

## **Poligon Doświadczalny Aberdeen, Maryland, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 16:25 letniego czasu wschodniego USA, 13 października 2004**

Keren oglądał nagranie po raz n-ty. Stacje telewizyjne, zasypane niewiarygodną ilością obrazów heroizmu i tchórzostwa, kompetencji i idiotyzmu, zdecydowały się właśnie na ten jeden, podsumowujący całość materiał.

Tłum gwałtownie się cofnął. Lądownik opadł idealnie: dość daleko, by nikogo nie poranić i dość blisko, by nikt nie zdołał daleko uciec. Kiedy otworzyła się gigantyczna rampa, spanikowany



tłum odpłynął w tył, pozostawiając na placu boju samotnego żołnierza we wspomaganym pancerzu.

Na pierwszym planie płakała dziewczynka, najwyraźniej ze złamaną ręką. Jeśli w tłumie byli jej rodzice, uciekali teraz razem z tymi, którzy wcześniej zasłaniaли samotną postać, uchwyconą teraz idealnie w tle płaczącego dziecka. Kiedy rampa opadła – na ekranie bezgłośnie – opancerzony kolos zdjął z pleców karabin grawitacyjny. Przyjął idealną pozycję strzelecką – wyglądał jak ilustracja z podręcznika szkolenia z Fort Benning. Jedną ręką trzymał karabin, drugą podniósł go do ramienia. Stopy rozstawił na szerokość ramion, jedną nieco z tyłu, a całym ciałem nieznacznie pochylił się w stronę celu.

Kiedy Posleeni runęli w dół rampy, wznosząc nad głowami miecze gotowe do zebrania krwawego żniwa, postać otworzyła ogień.

### **Góra Cheyenne, Kolorado, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 14:23 letniego czasu wschodniego USA, 14 października 2004**

Nigdy nie zamierzała zostać prezydentem. Miała tylko wyprostować pewne sprawy. A już na pewno nie chciała być prezydentem zamkniętym w betonowym bunkrze w środku jakiejś góry w Kolorado.

Musiała jednak przyznać, że miało to więcej sensu niż siedzenie w pancerzu w samym środku Waszyngtonu.

Gabinet prezydenta praktycznie nie istniał. Tak samo jak sztab.

Najszybszym dostępnym środkiem transportu była kolej. Pociągi.

Mieli już tylko pociągi.

Ale Galaksjanic nie. Tirianin Dol Ron miał zjawić się lada chwila, dzięki skorzystaniu z niewykrywalnego statku Himmitów. Pomyślała, że sama pewnie też mogłaby sobie na taki pozwolić. Ale zebranie sztabu na nowo i tak miało potrwać co najmniej kilka miesięcy.

Kiedy zaczęła się inwazja, miała przy sobie zaledwie kilku doradców. Do tej pory na miejsce dotarło zaledwie kilku następnych.

Jeden z nich jednak okazał się prawdziwym skarbem. Dziewczyna nie miała zielonego pojęcia o niczym, poza swoją wąską specjalnością, wiedziała za to mnóstwo o Galaksjanach i ich skomplikowanym protokole dyplomatycznym.

Co mogło zadecydować o losach wojny.

### **Pomnik Waszyngtona, Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 14:30 letniego czasu wschodniego USA, 14 października 2004**

– To od was, i innych żołnierzy takich jak wy, zależą losy tej wojny – powiedział generał Taylor.

Zaraz po zakończeniu bitwy o pomnik, dwaj pułkownicy i ich starsi sierżanci sztabowi zgromadzili wszystkich ocalałych i sporządzili listę. Sześciuset żołnierzy wraz z plutonem oszołomionych saperów, wydobytych z niemałym trudem spod pomnika, stało teraz w miejscu swego zwycięstwa, czekając na odznaczenia.

Wysoki, czarnoskóry generał wodził po zebranych świdrującym spojrzeniem.

– Wielu z was będzie zapewne w przyszłości bagatelizować wagę tej chwili. Taka jest bowiem natura prawdziwych bohaterów. Ale ja wam powiem już dziś, że tę bitwę będzie się wymieniać jednym tchem z Bunker Hill, Lexington i Concord. Nie tylko dlatego, że dzięki tamtym bitwom

powstał wspaniały naród, a dzięki tej ten naród przetrwał. Tamte bitwy były potyczkami, które zapowiadały wielką, straszliwą wojnę. A ci, którzy je przeżyli, stworzyli rdzeń wspaniałej armii, która powstała z ich popiołów.

Uśmiechnął się lekko.

– Ale dość już słów. Wszyscy wiemy, że nie ma pieniędzy na premie do żołdu, a raczej żywnościowe musimy oszczędzać. Ale wciąż jeszcze mamy mnóstwo medali!

## **Okręg Rabun, Georgia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 18:20 letniego czasu wschodniego USA, 14 października 2004**

Reporter z lokalnej stacji telewizyjnej strząsnął wodę z kaptura płaszcza przeciwdeszczowego i spojrzął w kamerę.

– Trzy, dwa, jeden... Dzień dobry, tu Tom Speltzer z WKGR, jestem w Habersham w Georgii. Medali dla żołnierzy nie zabrakło, ale okazuje się, że nie tylko żołnierze walczyli z Posleenami. Rozmawiam z panem Michaelem O’Nealem z Rabun Gap w Georgii i jego ośmioletnią wnuczką, Cally O’Neal.

Reporter odwrócił się i podał mikrofon starszemu O’Nealowi, stojącemu w deszczu nieruchomo jak posąg.

Woda spływała po polowym płaszczu przeciwdeszczowym Mike’a Seniora jak po kaczce. O’Neal nie zamierzał wpuścić tego szukającego sensacji drania do domu.

– Panie O’Neal, czy może pan nam powiedzieć, jakie to było uczucie, kiedy Posleeni atakowali pana dom?

– No, po pierwsze, nie podeszli aż pod dom. Zatrzymaliśmy ich już w dolinie.

– My? – spytał zaskoczony reporter. – Ktoś panu pomógł?

– Ja! – zapiszczała mała dziewczynka. – Ja rozłożyłam ładunki!

Twarz reportera przybrała wyraz udawanego, przyjemnego zaskoczenia, który pojawia się u dorosłych, kiedy dzieci wtrącają się do rozmowy. Program szedł na żywo na cały kraj i trzeba było dzieciaka jak najszybciej uciszyć. O jakich ładunkach ona mówiła, do cholery?

– Naprawdę? Czy to pomogło? – spytał.

– Rozpieprzyły bydlaków na kawałki – powiedziała zadowolona Cally. – Wybiliśmy chyba z pół kompanii. Cały skraj lasu obstawiliśmy, kurwa, claymore’ami i rozwaliliśmy skurwieli na strzępy.

Operatorka kamery stłumiła śmiech, ale sprawnie uchwyciła wyraz twarzy reportera, który starał się jak najszybciej wymyślić jakąś odpowiedź.

– Przejdź z powrotem do starego – warknął producent. – Spytaj go o nazwisko.

– Panie O’Neal, jest jeszcze jeden O’Neal, który znowu stał się sławny. Czy to...

– To mój tatuś! – zawołała z podnieceniem Cally. – Nieźle przysunął tym centaurowatym sukinsynom, co nie?

Reporter znów zrobił minę jak kierowca pędzącego z góry samochodu, w którym właśnie wysiadły hamulce. Mike Senior postanowił go dobić. Przesunął tytoń w ustach i splunął.

– Wszystko, co wie, ode mnie się nauczył – zaciągnął, patrząc prosto w kamerę.

Miał cholerną nadzieję, że przeklętym mnichom uda się zachować śluby cholernego milczenia i nie posikają się ze śmiechu. Mieli za dużo problemów, żeby jeszcze musieć wyjaśniać ich obecność.

W tle z lasu wyjechał zielony, wojskowy sedan; skierował się w stronę domu. Padał zimny

## **Szpital Wojskowy „Walter Reed”, Waszyngton, Dystrykt Kolumbia, Stany Zjednoczone Ameryki, Sol III 20:15 letniego czasu wschodniego USA, 15 października 2004**

Keren zapukał do drzwi i skinął głową pielęgniarce, która właśnie wychodziła.

W pomieszczeniu unosił się zapach środków odkażających, od którego zjeżyły mu się włosy na karku. Nie trzeba było geniusza, żeby zrozumieć, że jest źle, a będzie jeszcze gorzej.

Spojrzał na postać leżącą w łóżku. Do poduszki przypięto trzy medale; najwyraźniej jakieś informacje przedostały się do bazy danych, zanim jeszcze przy Lake Jackson wszystko się posypało. Potrząsnął głową i usiadł.

– Ominęło cię wspaniałe przyjęcie – szepnął i wyciągnął z zanadrza butelkę. W świetle lampy nad łóżkiem zaśniły przez chwilę złote belki podporucznika. – Generał stawiał. Cholera, ten to potrafi wypić. I ten stary chorąży, co chodzi za nim jak cień. Generał opowiedział nam nawet historię, cholernie zabawną, jak to się stało, że ten chorąży tak za nim łązi. Wszystko zaczęło się od jednego aligatora i dwóch butelek bourbona.

I opowiedział przyjaciółce tę historię. Potem opowiedział jej jeszcze parę innych. O tym, jak generałowie Simosin i Ford załatwili w końcu porachunki między sobą. Ford przed kamerami oskarżył Simosina o niekompetencję, a Simosin opowiedział o tym, jak Ford był przeciwny włączeniu odmłodzonych żołnierzy do oddziałów, i przez to spieprzył wszystko tak, że już bardziej się nie dało. Ford był teraz na wylocie, Simosin wrócił do dziesiątego korpusu, a generał Keeton do pierwszej armii.

Opowiedział też o spotkaniu nowego prezydenta z Darhelami.

Jak to prezydent zagroził wycofaniem wszystkich wojsk ekspedycyjnych, jeśli Darhelowie nie dostarczą broni grawitacyjnej. I jak Tirianin zgodził się wreszcie, że cały sprzęt będzie za darmo, gdyż dla wszechświata najważniejszą sprawą jest w tej chwili dbanie o ludzi. Ale zaopatrzenie ciągle miało zaparcie, Flocie wszystko zajmowało wieki, a z większości centrów obrony planetarnej zostały jedynie dymiące dziury...

Opowiedział jej o tym, że jakiś szmatogłowy stoczył bitwę taką samą, jak oni, zbierając niedobitki różnych oddziałów i w jakiś sposób scalając je tak, że utrzymały bardzo ważną przełęcz i odepchnęły Posleenów. Przynajmniej takie chodziły słuchy.

Ale w Indie zamieniły się w dom wariatów i nikt nie wiedział, co się dzieje w Afryce. A horda w Kazachstanie błąkała się bezradnie, próbując wydostać się z równin...

W końcu butelka zrobiła się pusta i trzeba było iść.

– No, Elgars. Mówią, że może mnie słyszysz. I że może kiedyś z tego wyjdiesz. Zostawiłem im e-mail mojej... naszej jednostki.

Wszyscy, którzy przeżyli bitwę o pomnik, trafią do specjalnej jednostki. Jesteś jedną z nas. Ty i wszyscy inni... ranni. I zabici. Więc możesz, wiesz...

Urwał i otarł łzę.

– Widziałem, jak wieszają Pittetsa. Ucieszyłaby cię ta wiadomość. Nie zawiązali sznura tak, jak prosiłem, chciałem, żeby chwilę się porzuczał. – Chciał jeszcze coś dodać, ale nic już nie przychodziło mu do głowy. – Muszę lecieć – powiedział i zerknął na zegarek, starając się nie patrzeć na śliczną twarz pod maską tlenową.

– Teraz Galaksjanie za wszystko płacą, więc nie ma powodu, żeby cię... no, wiesz... odłączyć. Zabiorą cię do Podmieścia. Mają tam mnóstwo miejsca i świetny sprzęt. Zostaniesz podłączona na

wypadek, gdybyś...

Zaczął żałować, że wszystko wypił. Przydałby mu się teraz łyk.

Po raz ostatni wziął ją za rękę.

– Dzięki za ten strzał na Szóstej Ulicy. – Skinął jej głową, jak żołnierz żołnierzowi. – Wiem, że uratował też ciebie. Ale i moją dupę. – Znowu skinął głową, mając nadzieję, że Elgars, jak na filmie, ściśnie jego dłoń, ale nie doczekał się żadnej reakcji.

– No, na razie, Elgars. Trzymaj się.

Odwrócił się i wyszedł, pozostawiając za sobą tylko ciszę i sapanie maszyn.

*Za ścieżką słoń najdalszych, choć to cienia i mroku świat*

*Dalej niż sięga komet blask, gwiazdnego pyłu mat*

*Są ci, co walką, siłą, duchem nasz budowali świat.*

*Ostatni dech zmył już pychy grzech, już wiedzą, co laur ich jest wart,*

*Wznoszą kielich z muzami i dni dawnych bogami, piją wino ze złotych czar,*

*I czekają by nieść Pana dobroci pieśń albo pięść jego srogich kar.*

*Przez wieczny ziąb zejda w mroczną głąb, gdzie Azriel rządzi sam,*

*Lub niczym tur skruszą Piekła mur, kiedy w bój ich sam wyśle nasz Pan,*

*Lub z gwiazd czerwoną luną wraz z serafy się puszcza w tan.*

*Cieszą się dniem wśród radości swych ziem, głupi tylko by wspomniał swój ból,*

*Znoju już kres, wiedzą, co dał ów znój, jak głosił sam Niebios Król,*

*Więc gwizdzą na diabła, by spróbował ich zwieść, gdy grzech już nie kusi wśród pól.*

*Przybywa często Pan nasz, Bóg, każdego z fachów to mistrz,*

*I prawi im o trudzie swym, o tym, co stworzył dziś;*

*A oni wstają, gdy mija ich, i lęku nie zna ich myśl.*

*Do tych, co obca im ziemską chuć, smutek i wstyd i gniew,*

*Bogów, bo serc słuchają, ludzi, bo sławy gonią zew,*

*Przybył dziś duch wśród śmierci tchu, z mej krwi braterska krew.*

*I nie unosił on dumą się, ni karku nie przygiął w pył;*

*Ku Bogu szedł i uśmiechał się, bez lęku marsz jego był,*

*Prosty, z honorem i jasnym spojrzeniem, jak wtedy, gdy jeszcze żył.*

*Więc wzniosł swój kielich każdy wraz, uczcili tam jego cześć,*

*I zasiadł wśród, tam gdzie biesiad stół, i z nimi śpiewa swą pieśń,*

*Tych, co skończyli pracę swą już, bez lęku szli po swą śmierć.*

*Gdzie światło zórz ostatniej z gwiazd, choć mroku wciąż to świat,*

*Dalej niż sięgnął komet bunt lub rój zawitał gwiazd,*

*Zasiada wśród tych, co Pana czczą, bo Jego tworzyli świat.*

## Posłowie

10 września 1998 roku mój ojciec, oglądając powtórkę Seinfelda, zmarł na atak serca.

Był to pierwszy chłodny dzień jesieni po okropnym, upalnym i parnym lecie, które upłynęło pod znakiem powtarzających się zawałów i niewydolności nerek. Był to też jego pierwszy dobry dzień od sześciu miesięcy, a ze wszystkich pór roku mój ojciec najbardziej lubił właśnie jesień. Wszystko więc zapowiadało się wyjątkowo pomyślnie.

Nie ma czegoś takiego jak „dobry dzień, żeby umrzeć”. Ale są lepsze i gorsze. W porównaniu ze śmiercią tak wielu jego rówieśników podczas lądowania w Normandii, bitwy o Ardeny, w lesie Hurtgen albo na Iwo Jimie, śmierć podczas ataku śmiechu wywołanego wygłupami Jerry’ego wydaje się nienajgorsza.

Wspominam o moim ojcu z dwóch względów. Po pierwsze, pisząc swoje książki, zachowuję w pamięci jego pokolenie. Warunki, które ukształtowały żołnierzy amerykańskiej armii podczas drugiej wojny światowej nie miały w historii precedensu.

Najbardziej zaawansowane technologicznie społeczeństwo na świecie zaistniało w ciężkich czasach, wymagających ogromnego poświęcenia. Wszystkie te trudne chwile usunęły z metalu część zanieczyszczeń – pozostało solidne żelazo, które rok 1944 przekuł w stal.

Nie stałoby się tak, gdyby teraz pojawiła się taka konieczność.

Osobiście lubię współczesność. Obecne czasy można nazwać złotym wiekiem. Ze wszystkimi towarzyszącymi mu przypadłościami złotego wieku (przeczytajcie Dekameron i spróbujcie mi powiedzieć, że na świecie pojawiła się jakaś nowa przypadłość). Mając jednak wybór między dekadencją złotego wieku i stoicyzmem niedostatku i wojny... wybieram złoty wiek.

Ale... Zawsze jest jakieś „ale”, prawda? Gdyby dziś sytuacja wymagała od naszego narodu zmobilizowania wszystkich sił w walce o przetrwanie, trudno byłoby nam dorównać „Najwspanialszej Generacji”. Po pierwsze, musielibyśmy przejść coś na kształt Wielkiego Kryzysu, żeby wypełnić „drobniejsze” skazy. Dopiero wtedy jako naród byłibyśmy przygotowani do kolejnych prób.

Osobiście uważam jednak, że nie starczyłoby nam na to czasu.

Dlatego na zawsze zachowam w życzliwej pamięci mojego ojca i jego pokolenie.

Po drugie, wspominam ojca, ponieważ to właśnie on zainteresował mnie twórczością Kiplinga. Pewnego razu spędziłem w domu jeden dzień z mojej tygodniowej przepustki ze szkoły wojsk powietrznodesantowych (dlaczego tylko jeden? Przecież czekały na mnie dziewczyny i piwo). Tuż przed odjazdem tata wręczył mi wymiętą książkę. Powiedział, że jego tata dał mu ją, zanim wyjechał do Anglii w 1944 roku i że teraz nadszedł czas, żeby przekazać ją mnie. Nie zawracałem sobie wtedy głowy (wiadomo, dziewczyny i piwo), ale później, kiedy miałem trochę czasu, wyciągnąłem ją i przejrzałem.

Wydanie Mandalay, Dzieła Rudyarda Kiplinga. Departmental Ditties, Barrack-Room Ballads and Other Verses Five Nations and the Seven Seas, Rudyard Kipling, Doubleday, Page & Company, Garden City, NY, 1925. Ostatni wiersz to „To Wolcott Balestier”, dedykacja do „Barrack-Room Ballads”.

Przez dłuższy czas myślałem, że jestem ostatnim człowiekiem na świecie, który czyta jeszcze Kiplinga. Aż pewnego razu pewien starszy sierżant, weteran z Wietnamu (którego nie posądzałem nawet o umiejętność czytania) rzucił jakiś cytat z Kiplinga. Potem usłyszałem, jak zachwyca się Kiplingiem jakiś generał. Potem dowódca batalionu. Plutonowy. Goszczący u nas sierżant sztabowy SAS, chlubiący się tomikiem dzieł zebranych. Odkryłem wówczas taki oto sekret: na świecie jest

cholernie mało żołnierzy, którzy nie lubią Kiplinga. Niektórzy mogą go nie znać, ale ci, którzy go czytali, są jego fanatykami. Jest to niemal kryterium podziału ludzi na lepszych i gorszych.

Kto nigdy nie czytał Kiplinga, a lubi moje książki, powinien sięgnąć po dzieła tego pisarza. Rudyard potrafił wyrazić wiele rzeczy tak, jak nikt inny przed nim i po nim. Przemawia do serca i duszy żołnierza. W końcu w głębi serca wszyscy jesteśmy żołnierzami.

I to jest jeszcze jeden powód, dla którego wspominam mojego tatę.

William Pryor Ringo, kapitan Korpusu Saperów Armii Stanów Zjednoczonych (emerytowany)

Urodzony: 24 lipca 1924

Zmarł: 10 września 1998

*Ja, którym był, jakim był...*

*Ja, którym szedł tam, gdzie szedł...*

*Ja, którym żył tam, gdzie żył...*

*Ja!*

# Spis treści

[PROLOG.. 5](#)

[1. 8](#)

[2. 16](#)

[3. 32](#)

[4. 42](#)

[5. 47](#)

[6. 53](#)

[7. 57](#)

[8. 61](#)

[9. 67](#)

[10. 70](#)

[11. 78](#)

[12. 84](#)

[13. 91](#)

[14. 107](#)

[15. 118](#)

[16. 122](#)

[17. 133](#)

[18. 137](#)

[19. 140](#)

[20. 143](#)

[21. 146](#)

[22. 151](#)

[23. 155](#)

[24. 160](#)

[25. 162](#)

[26. 177](#)

[27. 179](#)

[28. 184](#)

[29. 186](#)

[30. 197](#)

[31. 206](#)

[32. 219](#)

[33. 226](#)

[34. 247](#)

[35. 256](#)

[36. 261](#)

[37. 267](#)

[38. 272](#)

[39. 282](#)

[40. 290](#)

[41. 297](#)

[42. 311](#)  
[43. 323](#)  
[44. 330](#)  
[45. 335](#)  
[46. 342](#)  
[47. 348](#)  
[48. 354](#)  
[49. 363](#)  
[50. 370](#)  
[51. 378](#)  
[52. 380](#)  
[53. 387](#)  
[54. 395](#)  
[55. 399](#)  
[56. 404](#)  
[57. 415](#)  
[58. 423](#)  
[59. 429](#)  
[60. 435](#)  
[61. 439](#)  
[62. 449](#)  
[63. 457](#)  
[64. 464](#)  
[65. 471](#)  
[66. 477](#)  
[67. 480](#)  
[68. 485](#)  
[69. 488](#)  
[70. 494](#)  
[71. 501](#)  
[72. 506](#)  
[73. 512](#)  
[74. 523](#)  
[Posłowie. 532](#)